

Dean Koontz

Fałszywa Pamięć.

(False Memory)

Przełożył Maciej Antosiewicz.

Książkę tę poświęcam Timowi Hely'emu Hutchinsonowi.

Wiele lat temu twoja wiara w moją pracę dodała mi odwagi, kiedy najbardziej tego potrzebowałem.
A także Jane Morpeth.

Z żadnym wydawcą nie współpracowałem tak długo, co jest świadectwem twojej wyjątkowej
cierpliwości, uprzejmości i tolerancji dla głupców!

AUTOFOBIA jest zaburzeniem osobowości.

Terminu używa się na określenie trzech różnych schorzeń: 1) strachu przed samotnością; 2) strachu
przed egotyzmem; 3) strachu przed samym sobą.

Trzecie schorzenie jest najrzadsze.

Złudzenie opadających płatków niknie w księżycu i kwiatach...

OKYO.

Wąsy kota, pletwiaste palce płynącego psa: Bóg jest w szczegółach.

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW.

W prawdziwym świecie, tak jak i we śnie, nic nie jest tym, czym się wydaje.

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW.

Życie jest bezlitosną komedią.

I na tym właśnie polega jego tragedia.

MARTIN STILLWATER.

Rozdział 1.

Tego styczniowego wtorku, kiedy jej życie odmieniło się na zawsze, Martie Rhodes obudziła się z bólem głowy, nabawiła się niestrawności, popijając dwie aspiryny sokiem grapefruitowym, na cały dzień zrujnowała sobie fryzurę, biorąc przez pomyłkę szampon Dustina zamiast własnego, złamała paznokiec, przypaliła grzanekę, odkryła mrówki rojące się w szafce pod zlewem kuchennym, wytępiła je, posługując się pojemnikiem ze środkiem owadobójczym w aerozolu z taką samą zaciętością, z jaką Sigourney Weaver użyła miotacza płomieni w jednym z tych filmów o pozaziemskich pasożytach, wytarła skutki rzezi papierowym ręcznikiem, zanuciła motyw z „Muzyki żałobnej” Bacha, gdy uroczyście składała maleńkie ciałka do kosza na śmieci, i odebrała telefon matki, Sabriny, która nadal modliła się o rozpad małżeństwa córki, choć od ślubu minęły już trzy lata.

Przez cały ten czas myślała o czekającym ją dniu z pogodą – a nawet z entuzjazmem – ponieważ po zmarłym ojcu, Robercie Uśmiechniętym Bobie Woodhousie, odziedziczyła nie tylko błękitne oczy, atramentowoczarne włosy i brzydkie palce u nóg, lecz także optymistyczną naturę, niezwykłą umiejętność stawiania czoła przeciwnościom i głęboką radość życia.

Dzięki, tato.

Kiedy Martie przekonała zawsze pełną nadziei matkę, że małżeństwo państwa Rhodes układa się szczęśliwie, włożyła skórzaną kurtkę i zabrała Lokaja, psa rasy golden retriever, na poranny spacer.

Ból głowy stopniowo minął.

Na oślece czystego wschodniego nieba słońce ostrzyło skalpele światła.

Od zachodu jednak chłodna bryza popychała złowieszcze masy ciemnych chmur.

Lokaj z niepokojem popatrzył na niebo, czujnie pociągnął nosem i nastawił zwisające uszy, wsłuchując się w klekoczący szelest liści palmowych poruszanych przez wiatr.

Najwyraźniej czuł, że nadciąga burza.

Był miłym, skorym do zabawy psem.

Bał się jednak głośnych dźwięków, jakby w poprzednim życiu był żołnierzem i nawiedzały go wspomnienia pól bitewnych wypełnionych hukami dział.

Na jego szczęście zły pogodzie w południowej Kalifornii rzadko towarzyszyły gromy.

Zazwyczaj deszcz spadał niespodzianie, szmerząc na ulicach i poszeptując cicho w listowiu, a takie dźwięki nawet na Lokaja działały uspokajająco.

W większość poranków Martie spacerowała z psem przez godzinę, chodząc po wąskich, wysadzanych drzewami uliczkach Corona Del Mar, ale w każdy wtorek i czwartek czekały ją specjalne obowiązki, które ograniczały ich przechadzki w te dni do piętnastu minut.

Lokaj zdawał się mieć w kudłatej głowie kalendarz, ponieważ we wtorki i czwartki nigdy się nie ościagał, załatwiając swoje potrzeby w najbliższym sąsiedztwie.

Tego ranka, zaledwie jedną przecznicę od ich domu, na trawniku oddzielającym chodnik od krawężnika, pies rozejrzał się wstydliwie, podniósł dyskretnie prawą nogę i wysikał się, jakby trochę zakłopotany brakiem prywatności.

Niecała przecznicę dalej, gdy zamierzał przystąpić do drugiej części porannej toalety, przejeżdżająca śmieciarka strzeliła gaźnikiem, płosząc go.

Przycupnął za palmą i wyjrzał ostrożnie zza pnia, najpierw z jednej strony, a potem z drugiej, zdjęty lękiem, czy przerażający pojazd nie pojawi się znowu.

– Już po strachu – zapewniła go Martie.

– Wielka paskudna śmieciarka odjechała. Nie ma się czego bać. Możesz spokojnie robić swoje.

Lokaj nie wydawał się przekonany.

Zachował czujność.

Martie odziedziczyła po Uśmiechniętym Bobie także cierpliwość, zwłaszcza w postępowaniu z Lokajem, którego kochała prawie tak, jak mogłaby kochać dziecko, gdyby je miała.

Był łagodny i piękny: jasnozłoty, z białozłotymi kudłami na nogach, śnieżnobiałymi strzałkami na zadzie i grubym ogonem.

Oczywiście, kiedy pies siedział przykucnięty i załatwiał się, tak jak teraz, Martie nigdy na niego nie patrzyła, ponieważ był skrepowany niczym zakonnica w barze topless.

Czekając, aż skończy, zaśpiewała cicho „Czas w butelce” Jima Croce’a, co zawsze go uspokajało.

Ledwie zaczęła drugą zwrotkę, nagły chłód przeszedł jej po krzyżu i sprawił, że zamilkła.

Nie była osobą ulegającą podszeptom intuicji, ale gdy lodowaty dreszcz dotarł do jej karku, ogarnęło ją poczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Odwróciła się, na wpół oczekując, że ujrzy nadchodzącego napastnika lub rozpędzony samochód.

Była jednak sama na cichej willowej ulicy.

Nic nie pędziło w jej kierunku z morderczymi zamiarami.

Poruszały się tylko przedmioty dotykane wiatrem.

Drzewa i krzewy drżały.

Kilka brązowych liści sunęło po chodniku.

Pod okapem pobliskiego domu szeleściły i grzechotały girlandy świecidełek i świątecznych lampek, wiszące tam od Bożego Narodzenia.

Martie, wciąż czując się niepewnie, ale także i głupio, wypuściła oddech, który wstrzymywała.

Kiedy powietrze zagwizdało jej w zębach, uświadomiła sobie, że zaciska szczękę.

Prawdopodobnie nie uwolniła się jeszcze od snu, który obudził ją nad ranem i śnił się jej przez kilka poprzednich nocy.

Człowiek z martwych, gnijących liści.

Koszmarna postać, wirująca, postrzępiona.

Spuściła wzrok i zobaczyła swój wydłużony cień, który ciągnął się przez krótko przyszczyżony trawnik, padał na krawężnik i załamywał się na popękany betonowy chodnik.

Z niewiadomego powodu jej niepewność przerodziła się w strach.

Postąpiła krok do tyłu, potem drugi, a jej cień oczywiście poruszył się wraz z nią.

Dopiero gdy zrobiła trzeci krok, zdała sobie sprawę, że właśnie tej sylwetki się boi.

Śmieszne.

Bardziej absurdalne niż jej sen.

A jednak z jej cieniem było coś nie tak: wyglądał dziwacznie, groźnie.

Serce zabiło jej tak mocno, jakby ktoś uderzył pięścią w drzwi.

W padających pod ostrym kątem promieniach porannego słońca domy i drzewa też rzucały zniekształcone cienie, ale w ich rozciągniętych, wykoślawionych kształtach nie dostrzegła nic niepokojącego – tylko we własnym.

Zdała sobie sprawę z nedorzecznosci swego lęku, lecz ta świadomość nie umniejszała jej zdenerwowania.

Ogarnęła ją trwoga.

Cień zdawał się pulsować w takt tępych, wolnych uderzeń serca.

Martie zamknęła oczy, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Przez chwilę czuła się tak lekka, iż wydawało się, że wystarczy podmuch wiatru, by porwać ją w powietrze i ponieść w głąb łądu wraz z nadciągającymi nieubłaganie chmurami, w stronę kurczącej się wstęgi bładoniebieskiego nieba.

Kiedy jednak wzięła kilka głębokich oddechów, odzyskała zwykły ciężar.

Gdy odważyła się znów spojrzeć na swój cień, nie zobaczyła w nim nic niezwykłego.

Wydała westchnienie ulgi.

Serce wciąż jej waliło, choć już nie z irracjonalnego strachu, lecz z najzupełniej zrozumiałej obawy o przyczynę tego osobliwego zajścia.

Nigdy dotąd nie doświadczyła niczego podobnego.

Lokaj patrzył na nią z zadartą pytająco głową.

Upuściła jego smycz.

Ręce miała mokre od potu.

Wytarła dłonie o dzinsy.

Gdy zorientowała się, że pies skończył poranną toaletę, wsunęła prawą dłoń do plastikowej torby, by użyć jej w charakterze rękawiczki.

Jako dobra obywatelka zebrała starannie produkt przemiany materii Lokaja, wywróciła jasnobłękitną torbę na drugą stronę, zacisnęła i zawiązała u wylotu podwójny węzeł.

Pies spoglądał na nią zakłopotanym wzrokiem.

– Gdybyś kiedykolwiek zwątpił w moją miłość, maleńki – powiedziała Martie – pamiętaj, że robię to codziennie.

W oczach Lokaja dostrzegła wyraz wdzięczności.

A może jedynie ulgi.

Znajoma, upokarzająca czynność przywróciła jej równowagę umysłową.

Mała niebieska torba z ciepłą zawartością zakotwiczyła ją w rzeczywistości.

Dziwaczny epizod pozostawał niepokojący, intrygujący, ale już jej nie przerażał.

Rozdział 2.

Skeet siedział wysoko na dachu, wyraźnie widoczny na tle posępnego nieba, zatopiony w wizjach i myślach samobójczych.

Trzy tłuste wrony krążyły nad jego głową, jakby czuły już zapach padliny.

W dole Motherwell stał na podjeździe z wielkimi dłońmi zaciśniętymi w pięści i wspartymi na biodrach.

Chociaż był odwrócony plecami do ulicy, sama jego poza świadczyła o wściekłości.

Pałał chęcią rozbijania głów.

Dusty zaparkował furgonetkę przy krawężniku, tuż za samochodem patrolowym ozdobionym godłem prywatnej agencji ochrony, która służyła tej bogatej, zamkniętej społeczności.

Obok samochodu przystanął wysoki mężczyzna w mundurze, starając się przybrać wygląd osoby urzędowej, a jednocześnie najzupełniej zbędnej.

Trzypiętrowy dom, na którego szczycie Skeet Caulfield rozmyślał o swojej śmiertelności, był przytłaczającym koszmarem za cztery miliony dolarów.

Architekt, który albo miał braki w wykształceniu, albo wielkie poczucie humoru, połączył w jednej bryle kilka śródziemnomorskich stylów – hiszpański modernizm, toskański klasycyzm i wczesny Taco Bell.

Coś, co wyglądało na bezkresne połączenie pnących się uskokami dachów, zachodziło na siebie w chaotycznej obfitości akcentowanej przez zbyt wielką liczbę kominów udających nieudolnie dzwonnice z kopułami, a biedny Skeet przycupnął na najwyższej krawędzi, tuż obok najbrzydszej z tych wieżyczek.

Pracownik ochrony, może dlatego, że nie bardzo wiedział, jak ma się zachować w tej sytuacji, a chciał mimo wszystko coś zrobić, spytał: – Mogę panu w czymś pomóc?

– Jestem przedsiębiorcą malarskim – odparł Dusty.

Ogorzały ochroniarz, którego twarz przecinało tyle bruzd, że wyglądał jak origami, albo nabrał podejrzenia co do Dusty'ego, albo był nieufny z natury.

– Przedsiębiorcą malarskim, he?

– powiedział sceptycznie.

Dusty miał na sobie białe bawełniane spodnie, biały sweter, białą drelichową kurtkę i białą czapkę z napisem USŁUGI MALARSKIE RHODESA wydrukowanym błękitnymi literami nad daszkiem, co powinno nadawać nieco wiarygodności jego słowom.

Przez chwilę chciał spytać podejrzliwego ochroniarza, czy w sąsiedztwie grasują zawodowi włamywacze przebrani za malarzy pokojowych, hydraulików i kominiarzy, ale zamiast tego powiedział tylko: – Jestem Dustin Rhodes – i pokazał napis na swojej czapce.

– Ten człowiek na dachu należy do mojego zespołu.

– Zespołu?

– Ochroniarz nachmurzył się.

– Tak to pan nazywa?

Może starał się być sarkastyczny, a może po prostu nie potrafił rozmawiać z ludźmi.

– Większość przedsiębiorców remontowych nazywa to zespołem – powiedział Dusty, patrząc na Skeeta, który mu pomachał.

– Kiedyś nazywaliśmy się grupą uderzeniową, ale to budziło niepokój niektórych klientów, brzmiało

zbyt agresywnie, więc teraz nazywamy się zespołem, jak wszyscy.

– Hm – powiedział ochroniarz.

Jego źrenice zwężyły się.

Może próbował zrozumieć, o czym mówi Dusty, a może zastanawiał się, czy nie dać mu w zęby.

– Proszę się nie martwić, ściągnę Skeeta na dół – zapewnił go Dusty.

– Kogo?

– Skoczka – wyjaśnił Dusty i ruszył podjazdem w stronę Motherwella.

– Myśli pan, że powinienem wezwać straż pożarną?

– spytał ochroniarz, idąc za nim.

– Nie.

Nie podpali się, zanim skoczy.

– To przyjemna okolica.

– Przyjemna?

Do diabła, jest doskonała.

– Samobójstwo na pewno zdenerwuje mieszkańców.

– Pozbieramy wnętrzności, zapakujemy szczątki do torby, zmyjemy krew i niczego nie zauważą.

Dusty był zadowolony i zaskoczony, że sąsiedzi nie wyszli na ulicę, by oglądać przedstawienie.

Zapewne o tak wczesnej godzinie wciąż jedzą grzanki z kawiozem i piją szampana lub sok pomarańczowy ze złotych pucharów.

Na szczęście klienci Dusty'ego – Sorensonowie – na których dachu Skeet gawędził ze Śmiercią, wyjechali na wakacje do Londynu.

– Dzień dobry, Ned – powiedział Dusty.

– Skurwiel – odparł Motherwell.

– Ja?

– On – powiedział Motherwell, wskazując na Skeeta na dachu.

Przy swoich stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu i stu dwudziestu kilogramach wagi Ned Motherwell był o pół głowy wyższy i o czterdzieści pięć kilogramów cięższy od Dusty'ego.

Jego muskularne ramiona wyglądały jak przeszczepione nogi konia pociągowego.

Miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami, ale mimo zimnego wiatru nie włożył kurtki; nigdy nie przejmował się pogodą bardziej niż granitowy posąg Paula Bunyana.

Pukając w telefon zawieszony na pasku od spodni, Motherwell powiedział: – Cholera, szefie, dzwoniłem do ciebie całe wieki temu.

Gdzie byłeś?

– Dzwoniłeś do mnie dziesięć minut temu, a tam, gdzie byłem, jest pełno świateł i całe gromady dzieci na przejściach dla pieszych.

– Na tym osiedlu obowiązuje ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę – oświadczył uroczyście ochroniarz.

Spoglądając na Skeeta Caulfielda, Motherwell potrząsnął pięścią.

– Jezu, mam ochotę rąbnąć tego gnojka.

– To zagubiony dzieciak – powiedział Dusty.

– To zaćpany fajfus.

– Ostatnio nic nie brał.

– To śmieć.

– Masz wielkie serce, Ned.

– Przede wszystkim mam mózg i nie zamierzam zatruwać go prochami, i nie chcę mieć do czynienia z ludźmi, którzy dążą do samozniszczenia, tak jak on.

Ned, brygadzysta zespołu, był Naprawiaczem.

Ten niezwykły, lecz coraz bardziej popularny wśród młodych ludzi – raczej mężczyzn niż kobiet – ruch wymagał od swoich zwolenników, by wyrzekli się narkotyków, nieumiarkowanego picia i przypadkowego seksu.

Do szczęścia wystarczył im rock'n'roll, wstrzemięźliwość i poczucie własnej wartości.

Ten lub inny odłam klasy rządzącej mógłby uznać ich za inspirujący trend kulturowy, gdyby Naprawiacze nie odnosili się z pogardą do systemu i obu wielkich partii politycznych.

Czasem w klubie lub na koncercie, kiedy natknęli się na ćpuna, starali się wybić mu prochy z głowy i nie zadawali sobie trudu, by znaleźć na to jakieś eleganckie określenie, co również odgradzało ich od świata polityki.

Dusty lubił i Motherwella, i Skeeta, chociaż z różnych powodów.

Motherwell był bystry, dowcipny i godny zaufania – nawet jeśli zbyt zasadniczy.

Skeet był uprzejmy i miły – choć zapewne skazany na smutne życie w nałogu, dni bez celu i noce wypełnione samotnością.

Motherwell był znacznie lepszym pracownikiem niż Skeet.

Gdyby Dusty stosował się ściśle do reguł zarządzania przedsiębiorstwem, już dawno wykluczyłby Skeeta z zespołu.

Życie byłoby łatwiejsze, gdyby rządził nim zdrowy rozsądek, czasem jednak łatwa droga nie wydaje się drogą właściwą.

– Prawdopodobnie będzie padać – powiedział Dusty.

– Dlaczego posłałeś go na dach?

– Wcale go nie posyłałem.

Kazałem mu umyć ramy okienne i elewacje na parterze.

Zanim się zorientowałem, już tam był, grożąc, że skoczy na podjazd.

– Pójdę po niego.

– Już próbowałem.

Im bliżej podchodziłem, tym bardziej histeryzował.

– Pewnie się ciebie boi.

– I powinien, do diabła.

Jeśli ja go zabiję, będzie to bardziej bolesne, niż gdyby roztrzaskał sobie czaszkę o beton.

Ochroniarz sięgnął po telefon komórkowy.

– Chyba lepiej wezwę policję.

– Nie!

– Uświadomiwszy sobie, że jego głos zabrzmiał zbyt ostro, Dusty wziął głęboki oddech i powiedział spokojnie: – W takim sąsiedztwie ludzie nie chcą zamieszania, jeżeli można go uniknąć.

– Jeśli pojawią się gliny, prawdopodobnie ściągną Skeeta bezpiecznie na dół, ale potem odstawią go na oddział psychiatryczny, gdzie pozostanie co najmniej trzy dni.

A może dłużej.

Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie Skeet, było wpaść w ręce tych lekarzy od głowy, którzy uwielbiają grzebać w apteczce ze środkami psychoaktywnymi.

Ich leki może nawet przyniosłyby Skeetowi chwilowe ukojenie, ale później miałby w mózgu dużo więcej wadliwych połączeń niż teraz.

– W takim sąsiedztwie – powtórzył – ludzie nie lubią skandali.

Przyjrząwszy się okolicznym domom, królewskim palmom i pełnym godności fikusom, dobrze utrzymanym trawnikom i rabatom kwiatowym, ochroniarz skinął głową.

– Daję wam dziesięć minut.

Motherwell uniósł pięść i pogroził Skeetowi.

Pod wirującą aureolą z wron Skeet pomachał mu w odpowiedzi.

– Nie wygląda na to, żeby chciał skoczyć – mruknął ochroniarz.

– Ten mały degenerat twierdzi, że jest szczęśliwy, ponieważ obok niego siedzi anioł śmierci – wyjaśnił Motherwell.

– Anioł pokazał mu, jak jest po drugiej stronie, i podobno jest tam naprawdę całkiem niezłe.

– Pójdę z nim porozmawiać – powiedział Dusty.

Motherwell prychnął.

– Porozmawiać, też coś.

Lepiej go zepchnij.

Rozdział 3.

– Kiedy ciężkie chmury, brzemienne deszczem, zawisły groźnie nad samą ziemią, a wiatr przybrał na sile, Mar-tie i pies wrócili do domu kłusem.

Martie co chwila spoglądała w dół, na podążający za nią cień, ale potem chmury przesłoniły słońce i jej mroczny towarzysz zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, wracając do zaświatów.

Po drodze zerkąta na mijane domy, zastanawiając się, czy ktoś stoi w oknie i widzi jej dziwaczne zachowanie, i mając nadzieję, że wcale nie wygląda tak głupio, jak się czuje.

W sąsiedztwie domy były z reguły stare i niewielkie, choć znajdowało się wśród nich sporo starannie wykończonych, mających więcej uroku i charakteru niż ludzie z otoczenia Martie.

Przeważała architektura hiszpańska, ale zdarzały się też angielskie cottages, francuskie chaumieres, niemieckie Hauschens i wille w stylu art deco.

Ta eklektyczna mieszanka, spleciona w całość zielonym haftem z wawrzynów, palm, delikatnych eukaliptusów, paproci i opadających kaskadami bugenwilli, prezentowała się całkiem nieźle.

Martie, Dusty i Lokaj mieszkali w proporcjonalnej jednopiętrowej miniaturowej wiktoriańskiego domu z filigranową werandą.

Dusty pomalował fasadę w kolorowej, lecz wyrafinowanej tradycji wiktoriańskich domów, jakie można zobaczyć na niektórych ulicach San Francisco: bladożółte tło, błękitne, szare i zielone ornamenty z oszczędnym użyciem różu w detalach gzymsu i obramowań okien.

Martie uwielbiała ten dom i uważała go za doskonałe świadectwo talentu i sztuki Dusty’ego.

Jej matka jednak, ujrawszy po raz pierwszy efekt jego pracy, oświadczyła: „Wygląda, jakby mieszkali tu kłowni”.

Gdy Martie otwierała drewnianą furtkę po północnej stronie domu i szła za Lokajem wąską brukowaną ścieżką na podwórze, zastanawiała się, czy jej nedorzeczny strach miał coś wspólnego z przygnębiającym telefonem od matki.

Bądź co bądź największym źródłem zmartwień w jej życiu był opór Sabriny przed zaakceptowaniem Dusty’ego.

Byli dwojgiem ludzi, których Martie kochała najbardziej na świecie i pragnęła, aby zapanował między nimi pokój.

Dusty nie stanowił problemu.

Sabrina była jedyną walczącą stroną w tej smutnej wojnie.

Niestety, postawa Dusty’ego, który nie chciał angażować się w walkę, zdawała się tylko podsycać jej wrogość.

Przystanąwszy przed śmietnikiem na tyłach domu, Martie zdjęła pokrywę z jednego z pojemników i wrzuciła do niego torbę z odchodami Lokaja.

Być może nagły niewytłumaczalny niepokój zrodziły narzekania matki na rzekomy brak ambicji Dusty’ego oraz brak tego, co Sabrina uważała za odpowiednie wykształcenie.

Martie obawiała się, że jad matki zatruje w końcu jej małżeństwo.

Wbrew własnej woli mogła zacząć patrzeć na Dusty’ego bezlitośnie krytycznymi oczami swojej matki.

A może Dusty zacznie mieć za złe Martie otwartą niechęć, jaką okazywała mu Sabrina.

Jeśli chodzi o ścisłość, Dusty był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego Martie kiedykolwiek znała.

Motor w jego głowie wydawał się znacznie lepiej wyregulowany niż w przypadku jej ojca, a przecież

Uśmiechnięty Bob był o wiele inteligentniejszy, aniżeli sugerował to jego przydomek.

A co do ambicji...

Cóż, wolała mieć męża dobrego niż ambitnego, a w Dustym można znaleźć więcej dobroci niż chciwości w Vegas.

Poza tym Martie również nie spełniła oczekiwań matki.

Po ukończeniu studiów na wydziale zarządzania i handlu i uzyskaniu tytułu magistra zoczyła z drogi, która mogła zaprowadzić ją na szczyty, by zostać projektantką gier wideo.

Sprzedawała kilka hitów własnego pomysłu, głównie jednak tworzyła scenariusze, postacie i wyimaginowane światy oparte na cudzych koncepcjach.

Zarabiała nieźle, choć jeszcze nie bardzo dobrze, i spodziewała się, że jako kobieta w dziedzinie zdominowanej przez mężczyzn uzyska w końcu ogromną przewagę, ponieważ ma świeższy punkt widzenia.

Lubiła swoją pracę, a ostatnio podpisała umowę na opracowanie zupełnie nowej gry opartej na „Władcy pierścieni” Tolkiena, która mogła jej przynieść honoraria wystarczająco wysokie, by zaimponować Scrooge’owi McDuckowi.

Mimo to matka określała jej pracę jako „karnawałowe bzdury”, zapewne dlatego, że gry wideo kojarzyły jej się ze straganami, stragany z wesołymi miasteczkami, a wesołe miasteczka z karnawałami.

Gdy Lokaj ruszył za nią w stronę tylnych schodów i werandy, powiedziała: – Może psychoanalitik uznalby, i zapewne miałby rację, że cień jest symbolem mojej matki, jej negatywnym odbiciem...

Lokaj wyszczerzył zęby i zamerdał puszystym ogonem.

– ...

i może mój mały atak lęku wyrażał podświadomą obawę, że mama...

no cóż, że chce zamącić mi w głowie, zarazić mnie swoim toksycznym wpływem.

Martie wyłowiła z kieszeni kurtki pęk kluczy i otworzyła drzwi.

– Mój Boże, gadam jak student drugiego roku w połowie kursu podstaw psychologii.

Często rozmawiała z psem.

Pies słuchał, lecz nigdy nie odpowiadał, a jego milczenie było jednym z filarów ich cudownego porozumienia.

– Najprawdopodobniej – powiedziała, idąc za Lokajem do kuchni – nie ma żadnej psychologicznej symboliki, tylko po prostu całkiem zwyczajnie mi odbija.

Lokaj sapnął, jakby zgadzał się z tą diagnozą, a potem zaczął chciwie chleptać wodę z miski.

Przez pięć poranków w tygodniu, po długim spacerze, ona lub Dusty spędzali pół godziny, czesząc i szczotkując psa na kuchennym ganku.

We wtorki i czwartki czesanie następowało po spacerze wieczornym.

W ich domu prawie nie było psiej sierści i Martie zamierzała to utrzymać.

– Nie wolno ci – przypomniała Lokajowi – linieć aż do odwołania.

I pamiętaj: fakt, iż nie będzie nas tutaj, żeby cię przyłapać, nie oznacza, że masz jakieś przywileje związane z meblami i nieograniczony dostęp do lodówki.

Łypnął na nią, jakby chciał powiedzieć, że czuje się dotknięty jej brakiem zaufania.

Potem znów zabrał się do picia.

W przylegającej do kuchni małej łazience Martie zapaliła światło.

Zamierzała poprawić makijaż i uczesać potargane włosy.

Kiedy stanęła przy umywalce, nagły dreszcz znów przebiegł jej po krzyżu, a serce ścisnął bolesny

skurcz.

Tym razem nie miała wrażenia, że czai się za nią jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo.

Po prostu bała się spojrzeć w lustro.

Ogarnięta raptowną niemocą, pochyliła się, wciągając głowę w ramiona; czuła się tak, jakby ogromny worek kamieni przygniatał jej plecy.

Czepiając się obiema rękami porcelanowych krawędzi, wbiła wzrok w pustą umywalkę.

Była tak przytłoczona irracjonalnym strachem, że po prostu nie mogła spojrzeć w górę.

Na krzywiźnie białego porcelitu leżał pojedynczy czarny włos, jej włos – zawinięty koniec wpadał pod otwarty mosiężny korek odpływu i nawet ten widok wydawał się złowieszczy.

Nie ośmielając się podnieść oczu, namacała kurek, odkręciła gorącą wodę i splukała włos.

Pozwalając wodzie lać się strumieniem, wdychała buchającą parę, lecz gorące kłęby nie rozproszyły chłodu, który znów przenikał ją na wskroś.

Stopniowo krawędź umywalki nagrzała się w jej kurczowym uścisku, chociaż dłonie pozostały zimne.

Lustro czekało.

Martie nie mogła dłużej myśleć-o nim jak o nieszkodliwej tafli szkła w srebrzonych ramach.

Ono czekało.

A raczej coś w lustrze czekało, aby nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

Wyczuwała tę istność.

Nie podnosząc głowy, spojrzała w prawo i zobaczyła stojącego w drzwiach Lokaja.

Normalnie wyraz zdziwienia malujący się na pysku psa pewnie by ją rozbawił, teraz jednak śmiech wymagał świadomego wysiłku i wcale nie brzmiał jak śmiech, kiedy się z niej dobył.

Chociaż bała się lustra, przerażało ją też – i to znacznie bardziej – własne dziwaczne zachowanie, zupełnie niezwykła u niej utrata kontroli.

Para skraplała się na jej twarzy.

Gęstniała w gardle, dusiła.

A lejąca się, bulgocząca woda przypominała złośliwy chichot.

Martie zakręciła kurek.

We względnej ciszy jej oddech był niepokojąco gwałtowny i naznaczony nutą desperacji.

Wcześniej, na ulicy, głęboki oddech przywrócił jej jasność umysłu, odpędzając strach, a zniekształcony cień przestał być groźny.

Tym razem jednak każdy haust powietrza zdawał się potęgować grozę, tak jak tlen podsyca ogień.

Chciała uciec z łazienki, ale opuściły ją wszystkie siły.

Nogi miała jak z gumy i bała się, że upadnie i rozbije sobie głowę.

Potrzebowała umywalki, aby utrzymać równowagę.

Próbowała przemówić sobie do rozsądku w nadziei, że zwykła logika przywróci jej poczucie rzeczywistości.

Lustro nie może jej skrzywdzić.

Nie jest obecnością.

Jest tylko rzeczą.

Martwym przedmiotem.

Zwykłym szkłem, na miłość boską.

Nic, co tam zobaczy, nie będzie dla niej zagrożeniem.

To nie okno, w którym mógłby stać jakiś szaleniec, zaglądając do środka z obłąkańczym uśmiechem i oczami płonącymi żądzą mordy, jak w kiepskim dreszczowcu.

Lustro nie może ukazać niczego poza odbiciem łazienki i samej Martie.

Logika nie pomogła.

W mrocznych zakamarkach umysłu, do których nigdy wcześniej nie zaglądała, Martie odkryła splątany gąszcz przesądów.

Domyśliła się, że istność w lustrze materializuje się i nabiera mocy na skutek jej wysiłków, aby wyzwolić się z koszmaru, i zamknęła oczy, ażeby nie zobaczyć tego złowrogiego ducha nawet przelotnie.

Każde dziecko wie, że straszdyło pod łóżkiem staje się coraz większe i coraz bardziej przerażające, kiedy próbuje się zaprzeczać jego istnieniu, że najlepiej jest nie myśleć o zaczajonej tam głodnej bestii z cuchnącym oddechem przesyconym wonią krwi innych dzieci – „Po prostu o tym nie myśl” – z żółtymi obłąkanymi oczami i kolczastym czarnym językiem.

„Nie myśl o tym”, dopóki nie rozplynie się całkowicie, i wreszcie przyjdzie błogi sen, i obudzisz się w przytulnym łóżku, pod ciepłym kocem, a nie w żołądku demona.

Lokaj otarł się o nią – prawie krzyknęła.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że pies patrzy na nią z tym badawczym i jednocześnie zatroskanym wyrazem, który psy jego rasy opanowały niemal do perfekcji.

Chociaż nadal pochylała się nad umywalką, pewna, że bez podparcia nie utrzyma się na nogach, oderwała od niej jedną rękę.

Trzęsąc się, sięgnęła w dół, by dotknąć Lokaja.

Paraliżujący strach odpłynął z niej jak potrzaskujące wyładowanie elektryczne; przerażenie zmieniło się w zwykły lęk.

Lokaj, choć oddany, łagodny i piękny, był stworzeniem bojaźliwym.

Jeśli nic w tym małym pomieszczeniu nie wystraszyło go, to znaczy, że nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa.

Polizał jej dłoń.

Martie wreszcie uniosła głowę.

Powoli.

Drżąc od straszliwych przeczuć.

Lustro nie ukazało żadnego potwornego oblicza, żadnego nieziemskiego pejzażu, żadnego ducha – tylko jej twarz, białą jak kreda, i znajomą łazienkę w tle.

Kiedy spojrzała w odbicie swoich niebieskich oczu, serce znów jej zabiło w przyspieszonym rytmie, ponieważ w zasadniczym sensie stała się sobie obca.

Ta roztrzęsiona kobieta, która bała się własnego cienia, która wpadała w panikę na myśl o konfrontacji z lustrem...

to nie była Martine Rhodes, córka Uśmiechniętego Boba, która zawsze chwyciła życie za cugle i prowadziła je z entuzjazmem i pewnością siebie.

– Co się ze mną stało?

– spytała kobiety w lustrze, ale odbicie nie mogło jej tego wyjaśnić, podobnie jak pies.

Zadzwoił telefon.

Poszła do kuchni, by go odebrać.

Lokaj podążył jej śladem.

Patrzył na nią zdziwiony; z początku merdał ogonem, a potem przestał.

– Przykro mi, to pomyłka – powiedziała w końcu i odwiesiła słuchawkę.

Zauważyła niezwykle zachowanie psa.

– Co z tobą?

Lokaj wciąż na nią patrzył, lekko najeżony.

– To nie pudliczka z przeciwka, przysięgam.

Kiedy wróciła do łazienki, wciąż nie podobało jej się to, co zobaczyła, ale teraz wiedziała już, co z tym zrobić.

Rozdział 4.

Dusty ruszył pod szeleszczącymi cicho liśćmi palm wzdłuż ściany domu.

Tam znalazł Fostera Figę Newtona, trzeciego członka zespołu.

Do pasa Figi przytroczone było radio – jego nieodłączna elektroniczna butelka.

Para słuchawek sączyła głosy z radia wprost do jego uszu.

Nie słuchał programów dotyczących spraw politycznych lub problemów współczesnego życia.

Za to o każdej porze dnia i nocy wiedział, na jakiej fali można złapać audycje na temat UF spotkań z obcymi, wiadomości telefonicznych od umarłych i Wielkiej Stopy.

– Cześć, Figa.

– Cześć.

Figa pracowicie skrobał futrynę okna.

Jego zgrubiałe palce były białe od sproszkowanej farby.

– Wiesz o Skeecie?

– spytał Dusty, przechodząc wykładaną tłuczniem ścieżką obok Figi.

Figa skinął głową i powiedział: – Dach.

– Udaje, że chce skoczyć.

– Skoczy.

Zaskoczony Dusty zatrzymał się i odwrócił.

– Naprawdę tak myślisz?

Newton był zazwyczaj tak małowówny, że Dusty nie oczekiwał niczego więcej prócz wzruszenia ramion jako odpowiedzi.

Figa jednak ciągnął: – Skeet w nic nie wierzy.

– Co znaczy: w nic?

– spytał Dusty.

– W nic i kropka.

– To nie jest zły dzieciak, naprawdę.

Kolejna wypowiedź Figi, była dla niego odpowiednikiem podsumowującego długie obrady przemówienia: – Problem w tym, że on prawie w ogóle nie jest.

Okrągła jak ciastko twarz, rodzynek podbródka, pełne usta, wiśniowoczerwony nos z wiśniowym koniuszkiem i rumiane policzki Fostera Newtona upodabniałyby go do rozwiązłego hedonisty, gdyby nie jasnoszare oczy, które, powiększone przez grube okulary, wypełniał smutek.

Nie był to okolicznościowy smutek, spowodowany samobójczym popędem Skeeta, ale wieczny smutek, z jakim Figa zdawał się patrzeć na wszystkich i wszystko.

– Pusty – dodał Figa.

– Skeet?

– W środku.

– Odnajdzie się.

– Przestał patrzeć.

– To pesymistyczne – powiedział Dusty, używając lapidarnego stylu wypowiedzi Figi.

– Realistyczne.

Figa zadarł głowę, skupiając uwagę na audycji radiowej, którą Dusty słyszał tylko jako niewyraźny metaliczny szmer dobiegający z jednej ze słuchawek.

Figa stał z kostką szlifierską przyciśniętą do framugi okna, z oczami przepęnlionymi jeszcze głębszym smutkiem, najwyraźniej mającym swoje źródło w niezwykłych rzeczach, których słuchał, tak nieruchomy, jakby trafiła go wiązka paralizująca z pozaziemskiego miotacza promieni.

Dusty, zaniepokojony ponurą przepowiednią Figi, pospieszył do aluminiowej składanej drabiny, po której wcześniej wspiął się Skeet.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ustawić jej przed frontem domu.

Skeet mógłby się jednak przestraszyć i skoczyć, zanim zdążyłby mu to wyperswadować.

Szczeble trzeszczały pod stopami Dusty'ego, gdy pospiesznie wchodził na dach.

Dotarłszy na szczyt drabiny, Dusty znalazł się na tyłach domu.

Skeet Caulfield siedział po drugiej stronie, poza zasięgiem wzroku, ukryty za stromą pochyłością z pomarańczowych glinianych dachówek, która wznosiła się jak łuskowaty bok śpiącego smoka.

Dom został zbudowany na wzgórzu, a kilka kilometrów na zachód, za ciasno słożonymi zabudowaniami Newport Beach i jej osłoniętym portem, leżał Pacyfik.

Jednostajny błękit rozpościerał się jak szklista powłoka na powierzchni oceanu, lekko wzburzone fale przybierały różne odcienie szarości nakrapianej czernią kradzioną posępnemu niebu.

Na horyzoncie morze i niebo zdawały się wypiętrzać w ogromną ciemną falę, która, gdyby była prawdziwa, spadłaby na brzeg z siłą wystarczającą, by przesunąć Góry Skaliste tysiąc kilometrów na wschód.

Za domem, dwanaście metrów pod Dustym, znajdował się wykładany łupkiem dziedziniec, który stwarzał bardziej realne zagrożenie aniżeli ocean i nadciągający sztorm.

Oczami wyobraźni Dusty wyraźniej widział siebie rozciągniętego na łupku niż unoszone w głąb ładu Góry Skaliste.

Odwróciwszy się plecami do oceanu i zdradliwej krawędzi, zginając się wpół, z rękami lekko rozłożonymi i wysuniętymi do przodu, by zrównoważyć niebezpieczny wpływ grawitacji, Dusty ruszył przed siebie.

Powiew od morza wciąż był jedynie silną bryzą i nie przerodził się jeszcze w prawdziwy wiatr, mimo to Dusty ucieszył się – wiało w plecy, przyciskając go do dachu.

Dotarłszy do szczytu długiej pochyłości, usiadł na nim okrakiem i ponad kolejnymi załamaniem skomplikowanego dachu spojrzął w stronę frontu domu.

Skeet przycupnął na równoległej krawędzi za podwójnym kominem udającym przysadzistą dzwonnice.

Wieżę wieńczyły łuki i kolumny podpierające miedzianą kopułę w hiszpańskim stylu kolonialnym, z której szczytu sterczała skrócona gotycka iglica; w tej dzikiej konstrukcji nie wydawała się bardziej nie na miejscu niż neonowa reklama budweisera.

Skeet, siedzący plecami do Dusty'ego, z podkurczonymi kolanami, patrzył na trzy krążące nad nim wrony.

Wzniósł do nich ręce, zachęcając ptaki, by usiadły mu na głowie i ramionach, jakby nie był malarzem pokojowym, lecz świętym Franciszkiem z Asyżu.

Wciąż okraczając krawędź i kołyszając się jak pingwin, Dusty przesunął się powoli na północ, aż dotarł do miejsca, gdzie niższy dach, biegnący z zachodu na wschód, zachodził pod okap dachu, na którym siedział.

Przerzucił nogę przez wierzchołek i zszedł po zaokrąglonych dachówkach, odchylając się do tyłu, ponieważ teraz siła ciężenia popychała go nieubłaganie w przód.

Przykucnął, zawahał się na moment, a potem skoczył ponad rynną i wylądował w rozkroku metr niżej, jednym podgumowanym butem na jednej, drugim na drugiej pochyłości dwuspadowego dachu.

Ponieważ ciężar jego ciała nie był równo rozłożony, Dusty przechylił się w prawo.

Spróbował odzyskać równowagę, ale uświadomił sobie, że nie utrzyma się na nogach.

Zanim wychylił się wystarczająco daleko, by spaść i skrócić kark, rzucił się w przód i uderzył twarzą o dachówki, przyciskając prawą nogę i rękę do południowego, a lewą nogą i ręką czepiając się północnego spadu dachu.

Leżał tak przez chwilę, kontemplując pomarańczowo-brązowy deseń i uschły mech na dachówkach.

Przypominały mu prace Jacksona Pollocka, chociaż tamte były bardziej subtelne i przemawiające do wyobraźni.

Kiedy zaczął padać deszcz, warstwa martwego mchu błyskawicznie nasiąkła, a wypalane dachówki stały się zdradziecko śliskie.

Musiał dotrzeć do Skeeta i sprowadzić go na dół, zanim rozpęta się burza.

Wreszcie doczołgał się do mniejszej dzwonnicy.

Ta nie miała kopuły.

Konstrukcja na jej szczycie przypominała zwieńczenie minaretu pokryte ceramicznymi płytkami, które układały się we wzór nazywany Rajskim Drzewem.

Właściciele domu nie byli muzułmanami, zapewne więc umieścili tu ten egzotyczny detal, ponieważ wydawał się im przyjemny dla oka, chociaż jedynymi ludźmi, którzy mogli podejść dostatecznie blisko, aby go podziwiać, byli dacharze, malarze i kominiarze.

Dusty podniósł się na nogi, przytrzymując się komina.

Przekładając ręce z jednego otworu wentylacyjnego do drugiego, obszedł go i dotarł do następnego odcinka otwartego dachu.

Znów usiadł okrakiem na szczycie, podciągnął kolana i ruszył w kierunku kolejnej fałszywej dzwonnicy z kolejnym Rajskim Drzewem.

Czuł się jak Quasimodo: zapewne nie był tak brzydki jak ów nieszczęsny kaleka, ale też ani w połowie tak zwinny.

Okrążył następną wieżę i dotarł do końca spadu na linii wschód-zachód, który zachodził pod okap dachu biegnącego z północy na południe i kryjącego frontowe skrzydło rezydencji.

Skeet zostawił krótką aluminiową drabinę, opartą o szczyt wyższego dachu, i Dusty skorzystał z niej.

Kiedy wreszcie wspiał się na ostatni daszek, Skeet nie wydawał się ani zaskoczony, ani zaniepokojony jego widokiem.

– Dzień dobry, Dusty.

– Cześć, mały.

Dusty miał dwadzieścia dziewięć lat, był więc zaledwie o pięć lat starszy od Skeeta, lecz mimo to myślał o nim jak o dziecku.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli usiądę?

– spytał.

– Lubię twoje towarzystwo – odparł Skeet z uśmiechem.

Dusty usiadł obok niego z podciągniętymi kolanami, wpierając mocno podeszwy w dachówki.

Daleko na wschodzie, za poruszonymi wiatrem koronami drzew i dachami odległych domów, za drogami i przejazdami kolejowymi, za wzgórzami San Jacquin, wznosiły się posępne góry Santa Ana; teraz, na początku pory deszczowej, wokół ich sędziwych wierzchołków wiły się brudne turbany chmur.

W dole, na podjeździe, Motherwell rozpostarł wielką płachtę brezentu, ale jego samego nigdzie nie było widać.

Ochroniarz popatrzył na nich spode łba, a potem spojrział na zegarek.

Dał Dusty'emu dziesięć minut na ściągnięcie Skeeta z dachu.

– Przepraszam za to – powiedział Skeet.

Głos miał złowieszczo spokojny.

– Za co?

– Że naćpałem się w pracy.

– Mógłbyś to zrobić w czasie wolnym – zgodził się Dusty.

– Tak, ale chciałem się naćpać, kiedy jestem szczęśliwy, a nie kiedy jestem nieszczęśliwy, a najszczęśliwszy jestem w pracy.

– No cóż, staram się stworzyć przyjemne warunki.

Skeet roześmiał się cicho i otarł rękawem ciekący nos.

Skeet, choć zawsze smukły, był kiedyś żyłasty i muskularny; teraz, o wiele za chudy, a nawet wymizerowany, wydawał się sflaczały, jakby waga, którą stracił, składała się wyłącznie z kości i mięśni.

Był blady, chociaż dużo pracował na słońcu; upiorna bladość przeświecała przez jego opaleniznę, która miała odcień bardziej szary niż brązowy.

W tanich czarnych trampkach na białej gumowej podeszwie, czerwonych skarpetkach, białych spodniach i rozciągniętym jasnożółtym swetrze z wystrzępionymi rękawami wyglądał jak zagubione dziecko, które długo błąkało się bez jedzenia i wody po pustyni.

Skeet znów wytarł nos w rękaw swetra i powiedział: – Chyba się przeziębilem.

– A może to tylko efekt uboczny.

Zazwyczaj oczy Skeeta miały miodowobrunatny kolor i pały intensywnym blaskiem, ale teraz były tak zażawione, że straciły swoją barwę, stały się zamglone i żółtawe.

– Myślisz, że cię zawiodłem, co?

– Nie.

– A właśnie że tak.

I to jest w porządku.

Nie mam ci tego za złe.

– Nie zawiodłeś mnie – zapewnił go Dusty.

– No cóż, zawiodłem.

Obaj wiemy, że tak.

– Możesz zawieść tylko siebie.

– Odpręż się, braciszku.

– Skeet klepnął Dusty'ego w kolano i uśmiechnął się.

– Nie winie cię za to, że zbyt wiele ode mnie oczekujesz, i nie winie siebie, że nie mogę spełnić twoich oczekiwań.

Skończyłem z tym wszystkim.

Dwanaście metrów niżej Motherwell wyszedł z domu, taszcząc materac z podwójnego łóżka.

Nieobecni właściciele zostawili Dusty'emu klucze, ponieważ niektóre ściany wewnętrzne też wymagały odmalowania.

Ta część pracy została już wykonana.

Motherwell rzucił materac na rozłożoną uprzednio płachtę i wszedł do domu.

Nawet z wysokości dwunastu metrów Dusty mógł dostrzec, że ochroniarz nie pochwała postępowania Motherwella, który buszuje po rezydencji, by przygotować tę zaimprovizowaną poduszkę powietrzną.

– Co wzięłeś?

– spytał Dusty.

Skeet wzruszył ramionami i zwrócił twarz ku krążącym w górze wronom, patrząc na nie z tak niewinnym uśmiechem i z taką rewerencją, iż można by pomyśleć, że jest fanatykiem zdrowego żywienia i życia zgodnie z naturą, który rozpoczyna dzień od szklanki świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, dietetycznej razowej bułeczki, omletu z tofu i piętnastokilometrowej przebieżki.

– Musisz pamiętać, co brałeś – naciskał Dusty.

– Różne rzeczy – odparł Skeet.

– Pigułki i prochy.

– Pobudzające, uspokajające?

– Pewnie i takie, i takie.

Inne też.

Ale nie czuję się źle.

– Odwrócił wzrok od ptaków i położył rękę na ramieniu Dusty'ego.

– Nie czuję się już jak gównno.

Jestem spokojny, Dusty.

– Mimo to chciałbym wiedzieć, co brałeś.

– Po co?

Nawet gdyby to była najsmaczniejsza mieszanka na świecie, i tak jej nie skosztujesz.

– Skeet uśmiechnął się i pieszczotliwie uszczypnął Dusty'ego w policzek.

– Nie ty.

Nie jesteś taki jak ja.

Motherwell wyszedł z domu z drugim materacem z drugiego podwójnego łóżka.

Położył go na pierwszym.

– To głupie – powiedział Skeet, wskazując na materace.

– Po prostu skoczę obok.

– Posłuchaj, nie skoczysz na głowę na podjazd Sorensonów – powiedział Dusty stanowczo.

– Nie przejmą się tym.

Są w Paryżu.

– W Londynie.

– Wszystko jedno.

– Nie wszystko jedno.

I przejmą się.

Będą wkurzeni.

Mrugając załzawionymi oczami, Skeet spytał: – A co, tacy są drażliwi czy jak?

Motherwell spierał się z ochroniarzem.

Dusty słyszał głosy, ale nie rozróżniał słów.

Skeet nadal trzymał rękę na jego ramieniu.

– Zimno ci?

– Nie – odparł Dusty.

– Nic mi nie jest.

– Trzęsiesz się.

– To nie z zimna.

Boję się.

– Ty?

– Skeet z niedowierzaniem wytrzeszczył zamglone oczy.

– Boisz się?

Czego?

– Wysokości.

Motherwell i ochroniarz ruszyli w stronę domu.

Z góry wyglądało to tak, jakby Motherwell złapał faceta za kołnierz, podniósł i ciągnął za sobą.

– Wysokości?

– Skeet wpatrywał się w niego.

– Ilekroć jest dach do pomalowania, zawsze chcesz robić to sam.

– Z żołądkiem zawiązanym na supeł za każdym razem.

– Daj spokój.

Nie boisz się niczego.

– Owszem, boję się.

– Nie ty.

– Ja.

– Nie ty!

– powtórzył Skeet z nagłym gniewem.

– Nawet ja.

Nastrój Skeeta zmienił się raptownie; zdjął rękę z ramienia Dusty'ego, skulił się i zaczął kołysać powoli w przód i w tył na wąskiej półeczce, którą tworzył pojedynczy rząd ułożonych płasko dachówek.

Jego głos był przepelniony taką udręką, jakby Dusty nie przyznał się po prostu do lęku wysokości, ale oznajmił, że umiera na raka.

– Nie ty, nie ty, nie ty, nie ty...

W tym stanie Skeet mógł zareagować pozytywnie na słowa współczucia; gdyby jednak uznał, że się go pociesza, stałby się niedostępny, a nawet wrogi, co w normalnych okolicznościach było irytujące, ale dwanaście metrów nad ziemią mogło okazać się niebezpieczne.

Zazwyczaj lepiej reagował na twardą przyjacielską rozmowę, humor i brutalną prawdę.

Przerywając monotony refren Skeeta, Dusty powiedział: – Jesteś taki dziecinny.

– Ty jesteś dziecinny.

– Nie.

Ty jesteś dziecinny.

– Jesteś taki strasznie dziecinny.

Dusty potrząsnął głową.

– Nie.

Jestem psychicznym progeriakiem.

– Czym?

– Psychiczny, to znaczy odnoszący się do lub mający związek z psychiką.

Progeriak to osoba cierpiąca na progerię, czyli wrodzoną wadę rozwoju charakteryzującą się

przedwczesnym i gwałtownym starzeniem się – chory w dzieciństwie wydaje się osobą starą.

Skeet kiwnął głową.

– A, tak, widziałem program na ten temat.

– Czyli psychiczny progeriak to ktoś, kto jest psychicznie stary nawet jako dziecko.

Psychiczny progeriak.

Mój tata tak mnie nazywał.

Czasem skracał to do samych inicjałów – PP.

Mówił: „Jak się dziś czuje mój mały pe-pe”?

albo: „Jeśli nie chcesz patrzeć, jak nalewam sobie jeszcze jedną szkocką, mój mały pe-pe, dlaczego nie pójdziesz do drewni i nie pobawisz się przez chwilę zapałkami”?

Zapominając o cierpieniu i gniewie równie nagle, jak wcześniej pozwolił im nad sobą zapanować, Skeet powiedział współczująco: – Jejku.

Nie było to zbyt pieszczotliwe, co?

– Nie.

Ani dziecinne.

Skeet nachmurzył się i spytał: – Który z nich był twoim tatą?

– Doktor Trevor Penn Rhodes, profesor literatury, specjalista w dziedzinie teorii dekonstruktywnej.

– Ach, ten.

Doktor Dekon.

Spoglądając na góry Santa Ana, Dusty parafrazował doktora Dekona: – Język nie może opisać rzeczywistości.

Literatura nie ma żadnego stałego punktu odniesienia, żadnego prawdziwego znaczenia.

Interpretacja każdego czytelnika jest równie uzasadniona, właściwie ważniejsza niż intencja autora.

W gruncie rzeczy nic w życiu nie ma znaczenia.

Rzeczywistość jest subiektywna.

Wartości i prawda są subiektywne.

Życie jest samo w sobie formą iluzji.

Bła, bła, bła, dolejmy sobie szkockiej.

Odległe góry z pewnością wyglądały prawdziwie.

Dach pod jego siedzeniem też był prawdziwy, a gdyby spadł głową w dół na podjazd, albo by się zabił, albo został kaleką na całe życie, co nie wpłynęłoby w najmniejszym stopniu na punkt widzenia niepoprawnego doktora Dekona, lecz dla niego byłoby wystarczająco rzeczywiste.

– To przez niego boisz się wysokości?

– spytał Skeet.

– Z powodu czegoś, co ci zrobił?

– Kto?

Doktor Dekon?

Nie.

Wysokość po prostu mnie przeraża.

Rozbrajająco szczerzy w swojej trosce Skeet powiedział: – Mógłbyś się dowiedzieć, dlaczego.

Porozmawiaj z psychiatrą.

– Myślę, że po prostu pójść do domu i porozmawiam z moim psem.

– Ja długo chodziłem na terapię.

– W twoim przypadku działała cuda, prawda?

Skeet parsknął tak niepoohamowanym śmiechem, że aż się zasmarakał.

– Przepraszam.

Dusty wyciągnął z kieszeni chusteczki higieniczne i podał mu.

Wycierając nos, Skeet powiedział: – No cóż, ja...

Ze mną jest inaczej.

Odkąd sięgam pamięcią, bałem się wszystkiego.

– Wiem.

– Bałem się wstać, bałem się położyć do łóżka i wszystkiego pomiędzy.

Ale teraz się nie boję.

Uporał się z nosem i wręczył chusteczki Dusty'emu.

– Zatrzymaj je – powiedział Dusty.

– Dzięki.

A wiesz, dlaczego już się nie boję?

– Ponieważ jesteś naćpany?

Skeet roześmiał się niepewnie i skinął głową.

– Ale również dlatego, że widziałem Drugą Stronę.

– Drugą stronę czego?

– Duże D, duże S.

Miałem wizję anioła śmierci, który pokazał mi, co nas czeka.

– Jesteś ateistą – przypomniał mu Dusty.

– Już nie.

Co powinno cię uszczęśliwić, prawda, braciszku?

– Jakie to łatwe.

Łyknij pigułkę, a odnajdziesz Boga.

Uśmiech Skeeta uwydatnił kości pod skórą, opiętą ciasno na jego przeraźliwie wychudłej twarzy.

– Zabawne, co?

Tak czy inaczej, anioł kazał mi skoczyć, więc skaczę.

Nagle wiatr przybrał na sile, gwizdząc na dachu, chłodniejszy niż przedtem, i przynosząc ze sobą słony zapach odległego morza – a potem, na krótko, jak złowieszczą wróżba, doleciał ich zgniły odór rozkładających się wodorostów.

Dusty nie miał ochoty stać i rozmawiać na stromym dachu przy takiej pogodzie, modlił się więc, aby wiatr szybko ucichł.

Podejmując ryzyko i zakładając, że samobójczy impuls Skeeta wziął się z jego nowo odnalezionej odwagi, a także mając nadzieję, iż pokaźna dawka strachu obudzi w nim na powrót chęć do życia, Dusty powiedział: – Jesteśmy zaledwie dwanaście metrów nad ziemią, a od krawędzi dachu do chodnika jest zapewne tylko dziewięć lub dziesięć.

Jeśli skoczysz, będzie to klasyczna dziecinna decyzja, ponieważ może się zdarzyć, że wcale nie będziesz martwy, tylko sparaliżowany przez resztę życia, przykuty do wózka przez następne czterdzieści lat, bezradny.

– Nie, umrę – powiedział Skeet niemal zuchwale.

– Nie masz żadnej pewności.

– Nie próbuj mnie zagadywać, Dusty.

- Nie zagaduję cię.
- Nawet jeśli zaprzeczasz, że mnie zagadujesz, to też mnie zagadujesz.
- W takim razie zagaduję cię.
- A widzisz.

Dusty wziął głęboki oddech, aby uspokoić nerwy.

- To takie żałosne.

Zejdźmy stąd.

Zawiozę cię do hotelu „Cztery pory roku” na Fashion Island.

Wjedziemy na samą górę, czternaste lub piętnaste piętro, i możesz skoczyć stamtąd, żebyś miał pewność, że się uda.

- Nie mówisz poważnie.
- Najzupełniej poważnie.

Jeśli masz zamiar to zrobić, zrób to dobrze.

Nie spieprz i tego.

- Dusty, jestem nagrzany, ale nie jestem głupi.

Motherwell i ochroniarz wyszli z domu z ogromnym materacem.

Kiedy mocowali się z tym nieporęcznym przedmiotem, wyglądali jak Flip i Flap, i to było zabawne, ale dla Dusty’ego śmiech Skeeta wcale nie brzmiał wesoło.

Na podjeździe rzucili swój ciężar na dwa mniejsze materace, które już leżały na płachcie.

Motherwell spojrzał na Dusty’ego, uniósł ramiona i rozłożył ręce, jakby mówił: „Na co czekasz”?

Jedna z krążących wron wpadła w bojowy nastrój i wykonała podejście do bombardowania z dokładnością, która wzbudziłaby zazdrość każdych sił powietrznych na świecie.

Na lewym bucie Skeeta rozprysnął się brudnobiały kleks.

Skeet popatrzył na wronę, a potem na swój zapaćkany trampek.

Uśmiech zniknął z jego twarzy jak zdmuchnięty, pojawiła się rozpacz.

Skeet nieszczęśliwym głosem oznajmił: – Takie jest moje życie.

- Dotknął palcem plamy na bucie.
- Moje życie.
- Nie bądź śmieszny.

Nie jesteś aż tak wykształcony, by myśleć metaforami.

Tym razem nie udało mu się skłonić Skeeta do śmiechu.

- Jestem taki zmęczony – powiedział Skeet, rozcierając ptasią kupę kciukiem i palcem wskazującym.
- Czas iść do łóżka.

Nie miał na myśli łóżka, kiedy powiedział „łóżko”.

Nie chciał też powiedzieć, że zamierza uciąć sobie drzemkę na stercie materacy.

Chciał powiedzieć, że pragnie zapaść w wielki sen pod kocem z ziemi i śnić z robakami.

Skeet stanął na szczycie dachu.

Chociaż był chudy jak szczapa, stał wyprostowany i zdawał się nie przejmować wyjąłym wiatrem.

Kiedy Dusty zaczął się ostrożnie podnosić, podmuch wiatru uderzył go z taką siłą, że pochylił się w przód i chwiał się przez moment na obcasach butów, nim odzyskał równowagę.

Albo był to idealnie dekonstruktywny wiatr, którego natężenie różniło się w zależności od osobistej interpretacji – bryza dla jednych, tajfun dla innych – albo też lęk wysokości Dusty’ego wyolbrzymiał w jego odczuciu każdy powiew.

Ponieważ już dawno odrzucił niedorzeczną filozofię ojca, wyobrażał sobie, że skoro Skeet może stać wyprostowany i nie spaść, to on też.

Podnosząc głos, Skeet powiedział: – Tak będzie najlepiej, Dusty.

– Tak jakbyś potrafił ocenić, co jest najlepsze.

– Nie próbuj mnie powstrzymać.

– No cóż, muszę spróbować.

– Nie dam się ściągnąć na dół.

– Zdążyłem się zorientować.

Stali naprzeciwko siebie, jakby byli dwoma zawodnikami uprawiającymi dziwny nowy sport na pochyłym boisku: Skeet wyprostowany, jak gracz w koszykówkę czekający na rozpoczęcie meczu, Dusty przykucnięty, jak zapaśnik sumo szykujący się do założenia dźwigni.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – powiedział Skeet.

– Ja też nie chcę, żeby coś mi się stało.

Jeśli Skeet postanowił skoczyć z domu Sorensonów, nie można było nic zrobić, aby go powstrzymać.

Ostry kąt nachylenia dachu, wiatr i prawo grawitacji działały na jego korzyść.

Dusty mógł mieć jedynie nadzieję, że biedny dzieciak spadnie na materace.

– Jesteś moim przyjacielem, Dusty.

Moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

– Dzięki za wotum zaufania, mały.

– A to znaczy, że jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Z braku konkurencji – zgodził się Dusty.

– Mój najlepszy przyjaciel nie powinien stawać mi na drodze do chwały.

– Chwały?

– To właśnie zobaczyłem po Drugiej Stronie.

Chwałę.

Istniał tylko jeden sposób, aby mieć pewność, że Skeet spadnie z dachu dokładnie na materace: złapać go we właściwym momencie i zepchnąć w odpowiednim miejscu.

Czyli spaść na dół razem z nim.

‘ Wiatr rozwiewał długie włosy Skeeta, które były ostatnią atrakcyjną cechą fizyczną, jaka mu pozostała.

Kiedyś był przystojnym chłopcem i podobał się dziewczynom.

Teraz miał wyniszczone ciało, szarą i wynędzniałą twarz, a oczy wypalone jak dno pękniętej fajki.

Grube, lekko kręcone złote włosy tak bardzo nie pasowały do reszty jego powierzchowności, że wydawały się peruką.

Skeet stał nieruchomo.

Choć bardziej nabuzowany niż czarownica z Salem, był napięty i czujny; myślał intensywnie, jak wymknąć się Dusty’emu i wykonać czysty skok głową w dół na kamienny podjazd.

Próbując odciągnąć uwagę małego, a przynajmniej zyskać trochę na czasie, Dusty powiedział: – Jest coś, nad czym zawsze się zastanawiałem...

Jak wygląda anioł śmierci?

– Dlaczego pytasz?

– Widziałeś go, prawda?

Marszcząc brwi, Skeet odparł: – No tak, wyglądał w porządku.

Silny powiew wiatru zerwał Dusty'emu czapkę z głowy i uniósł ją do krainy Oz, lecz Dusty nie odrywał wzroku od Skeeta.

– Czy wyglądał jak Brad Pitt?

– Dlaczego miałby wyglądać jak Brad Pitt?

– spytał Skeet.

Jego oczy powędrowały w bok, a potem znów zatrzymały się na Dustym, który zerkał ukradkiem w stronę krawędzi.

– Brad Pitt grał go w tym filmie, „Joe Black”.

– Nie widziałem.

Z rosnącą desperacją Dusty spytał: – Czy wyglądał jak Jack Benny?

– O czym ty mówisz?

– Jack Benny grał go kiedyś w naprawdę starym filmie.

Pamiętasz?

Oglądaliśmy go razem.

– Niewiele pamiętam.

To ty masz fotograficzną pamięć.

– Ejdetyczną.

Nie fotograficzną.

Pamięć ejdetyczną i audialną.

– Widzisz?

Nie pamiętam nawet, jak to się nazywa.

Ty pamiętasz, co jadłeś na obiad pięć lat temu.

Ja nie pamiętam, co robiłem wczoraj.

– To tylko taka sztuczka, pamięć ejdetyczna.

Całkowicie bezużyteczna.

Pierwsze ciężkie krople deszczu rozprysnęły się na dachu domu.

Dusty nie musiał patrzeć w dół, by zobaczyć, jak martwe porosty zamieniają się w oślizgły nalot, ponieważ czuł to – delikatny, niepowtarzalny odór pleśni – i czuł też zapach mokrych glinianych dachówek.

Straszny obraz mignął mu w głowie: on i Skeet ześlizgują się z dachu, a potem spadają w dół, Skeet ląduje na materacach i nie doznaje ani jednego stłuczenia czy skaleczenia, ale Dusty nie trafia i łamie sobie kręgosłup na kamiennych płytach.

– Billy Crystal – powiedział Skeet.

– Co?

Masz na myśli Śmierć?

Anioł śmierci wyglądał jak Billy Crystal?

– I co w tym złego?

– Na miłość boską, Skeet, nie możesz ufać aniołowi śmierci, który wygląda jak jakiś przemądrzały, ckliwy, zmanierowany Billy Crystal!

– Mnie się podobał – odparł Skeet i ruszył ku krawędzi.

Rozdział 5.

Ciężkie, głuche eksplozje rozbrzmiewały echem na południowych plażach, jakby potężne działa pancerników otworzyły ogień, wspierając desant.

Ogromne fale waliły o brzeg, a masy wody, przrzucone ponad falochronem przez wzmagający się wiatr, wdzierały się w głąb lądu, zalewając niskie wydmy i rzadkie kępy traw.

Martie Rhodes biegła bulwarem na półwyspie Balboa, szeroką betonową promenadą z domami po jednej stronie i szerokimi plażami po drugiej.

Miała nadzieję, że deszcz nie zacznie padać wcześniej niż za pół godziny.

Wąski, dwupiętrowy dom Susan Jagger stał wciśnięty między podobne budynki.

Wyblakła cedrowo-kamienna elewacja i białe okiennice sugerowały nieuchwytnie podobieństwo z domami na przylądku Cod, chociaż szczupła parcela nie pozwoliła, by ten styl znalazł swój pełny wyraz.

Dom, podobnie jak sąsiednie, nie miał dziedzińca przed frontem ani wysokiego portyku, tylko jedynie płytki ganek z kilkoma roślinami w doniczkach, wykładany cegłą i zasłonięty białym drewnianym płotem.

Otwarta furtka skrzypiała na wietrze.

Susan zajmowała kiedyś parter i pierwsze piętro wraz z mężem, Erikiem, który używał drugiego piętra – z własną łazienką i kuchnią – jako domowego biura.

Od niedawna żyli w separacji.

Eric wyprowadził się w zeszłym roku i Susan musiała się przenieść, by móc wynająć dwie niższe kondygnacje spokojnej parze emerytów, których jedynym złym nawykiem wydawało się podwójne martini przed kolacją i których jedynymi zwierzętami były cztery papugi.

Strome schody zewnętrzne prowadziły na drugie piętro.

Kiedy Martie wspinała się na niewielki kryty podest, stado wrzesz – czących mew nadleciało znad Pacyfiku, przecinając półwysep i kierując się w stronę zatoki, gdzie chciały przeczekać sztorm pod wiatami.

Martie zapukała, a potem otworzyła drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Susan niechętnie witała gości, aby nie narażać się na zetknięcie ze światem zewnętrznym, toteż Martie otrzymała własny klucz już prawie rok temu.

Przygotowując się na ciężką próbę, weszła do kuchni, którą oświetlała pojedyncza żarówka nad zlewem.

Żaluzje były opuszczone, a starannie udrapowane zasłony zwisały jak ciemnopurpurowe flagi.

Pomieszczenia nie wypełniał zapach ziół ani typowy kuchenny zaduch.

W powietrzu unosiła się słaba, lecz doskonale wyczuwalna woń środków dezynfekujących, proszku do szorowania i woskowej pasty do podłogi.

– To ja – zawołała Martie, ale Susan nie odpowiedziała.

Jadalnię oświetlała jedynie lampka we wnętrzu niewielkiego kredensu, w którym połyskiwała na szklanych półkach stara chińska majolika.

Tutaj powietrze pachniało politurą do mebli.

Gdyby zapalić wszystkie światła, mieszkanie okazałoby się nieskazitelne, czystsze niż sala operacyjna.

Susan Jagger miała mnóstwo czasu do wypełnienia.

Sądząc z konglomeratu zapachów w salonie, dywan został niedawno wyprany, meble wypolerowane, tapicerka wyczyszczona, a dwa ceramiczne słoje na konsolach wypełnione świeżym potpourri o cytrusowym aromacie.

Szerokie okna z oszałamiającym widokiem na ocean zostały zasłonięte plisowanymi firankami, w większej części ukrytymi pod ciężkimi draperiami.

Jeszcze przed czterema miesiącami Susan mogła przynajmniej patrzeć na świat z pełną zadumy tęsknotą, chociaż od szesnastu miesięcy bała się wychodzić i opuszczała dom tylko w towarzystwie kogoś, kto w razie potrzeby udzieliłby jej emocjonalnego wsparcia.

Teraz sam widok otwartej przestrzeni, bez ścian i bezpiecznej osłony dachu, mógł wywołać reakcję lękową.

W przestronnym salonie dla odmiany paliły się wszystkie lampy.

Mimo to z powodu zasłoniętych okien i nienaturalnej ciszy i tu panowała pogrzebowa atmosfera.

Susan siedziała w fotelu ze spuszczonej ramionami i zwieszoną głową.

W czarnej sukience i czarnym swetrze wyglądała jak pogrążona w żałobie.

Sądząc z jej stroju i pozy, książka w miękkiej oprawie, którą trzymała w dłoniach, powinna być Biblią – w rzeczywistości była powieścią detektywistyczną.

– Kto zabił?

– spytała Martie, siadając na brzegu sofy.

– Kamerdyner?

Susan odparła, nie podnosząc wzroku: – Zakonnica.

– Trucizna?

Susan, wciąż z nosem w książce, powiedziała: – Dwóch siekierą.

Jednego młotkiem.

Jednego drucianą garotą.

Jednego palnikiem acetylenowym.

I dwóch z pistoletu na gwoździe.

– Coś podobnego, zakonnica seryjnym mordercą.

– Pod habitem można ukryć mnóstwo broni.

– Powieści detektywistyczne zmieniły się od czasów, kiedy czytywałyśmy je w szkole.

– Nie zawsze na lepsze – zakończyła Susan, zamykając książkę.

Były najlepszymi przyjaciółkami od początku szkoły: osiemnaście lat wypełnionych nie tylko wspólnymi lekturami, lecz także nadziejami, obawami, radościami, szczęściem, śmiechem, łzami, plotkami, młodzieńczym entuzjazmem i ciężko zdobytym doświadczeniem.

Przez szesnaście ostatnich miesięcy, od niewyjaśnionych początków agorafobii Susan, dzieliły więcej bólu niż radości.

– Powinam do ciebie zadzwonić – powiedziała Susan.

– Przepraszam, ale nie mogę iść dzisiaj na spotkanie.

To był rytuał i Martie podjęła grę: – Oczywiście, że możesz, Susan.

I pójdiesz.

Odkładając na bok książkę, Susan potrząsnęła głową.

– Nie, zadzwonię do doktora Ahrimana i powiem mu, że jestem chora.

Mam katar, a może grypę.

– Nie słyhać, żebyś miała zapchany nos.

Susan skrzywiła się.

– To raczej katar żołądka.

– Gdzie termometr?

Powinnaś zmierzyć temperaturę.

– Och, Martie, spójrz tylko na mnie.

Wyglądam strasznie.

Ziemista cera, czerwone oczy i słoma na głowie.

Nie mogę tak wyjść.

– Bądź poważna, Susan.

Wyglądasz tak jak zawsze.

– Jestem straszylłem.

– Julia Roberts, Sandra Bullock, Cameron Diaz – wszystkie one zabiłyby, żeby wyglądać tak dobrze jak ty, nawet kiedy masz nudności i rzygasz jak kot, a teraz nie masz.

– Jestem wybrykiem natury.

– O tak, jesteś kobietą-słoniem.

Będziemy musiały założyć ci worek na głowę i ostrzegać przed tobą małe dzieci.

Gdyby uroda była ciężarem, Susan złamałaby się pod tym brzemieniem.

Zielonooka, filigranowa blondynka o subtelnie rzeźbionych rysach i skórze gładkiej jak brzoskwinia z rajskiego drzewa przyciągała więcej spojrzeń niż tablica u okulisty.

– Nie mieszczę się w tej sukience.

Jestem gruba.

– Jak sterowiec – powiedziała Martie zgryźliwie.

– Prawdziwa kobieta-balon.

Chociaż odosobnienie Susan nie dawało jej okazji do żadnych ćwiczeń poza sprzątaniem i długimi spacerami w czterech ścianach mieszkania, zachowała smukłą figurę.

– Przytyłam prawie kilogram.

– Mój Boże, trzeba cię odwieźć na ostry dyżur – powiedziała Martie, podrywając się z sofy.

– Wezmę twój płaszcz.

Z samochodu zadzwonimy do chirurga plastycznego, żeby przygotował przemysłową pompę próżniową do odessania tłuszczu.

W krótkim korytarzu prowadzącym do sypialni stała szafa na ubrania z rozsuwanymi lustrzanymi drzwiami.

Zbliżając się do niej, Martie wzdrygnęła się i zawahała, przestraszona, że opanuje ją taki sam lęk jak wcześniej.

Musiała wziąć się w garść.

Susan jej potrzebowała.

Jeśli znów popadnie w szaleństwo, jej strach udzieli się Susan.

Gdy spojrzała w wysokie lustro, nie zobaczyła nic, co mogłoby przyprawić ją o dreszcze.

Zmusiła się do uśmiechu, ale wyglądał nienaturalnie.

Popatrzyła w odbicie swoich oczu, a potem szybko odwróciła wzrok i odsunęła połowę drzwi.

Kiedy zdejmowała z wieszaka płaszcz, przyszło jej do głowy, po raz pierwszy, że dziwaczne napady strachu biorą się może stąd, iż w ciągu ostatniego roku spędzała zbyt wiele czasu z Susan.

Twarcz Martie oblał lekki rumieniec wstydu.

Nawet rozważanie takiej możliwości wydawało się niemądre, samolubne i nieuczciwe wobec biednej Susan.

Zaburzenia lękowe i napady paniki nie są przecież zaraźliwe.

Odwracając się od drzwi szafy, a potem wyciągając rękę, aby je zamknąć, zastanawiała się, jakim terminem posłużyliby się psychologowie na określenie strachu przed własnym cieniem.

Obezwładniający strach przed otwartą przestrzenią, który nękał Susan, nazywano agorafobią.

Ale strach przed cieniem?

Przed lustrem?

Martie przeszła przez korytarz i weszła do salonu, zanim zdążyła sobie uświadomić, że sięgnęła ręką za plecy, aby zamknąć przesuwane drzwi i nie spojrzeć w lustro po raz drugi.

Zdumiona, zastanawiała się, czy nie wrócić do szafy i nie zmierzyć się z lustrem.

Susan patrzyła na nią z fotela.

Lustro mogło poczekać.

Trzymając płaszcz za kłapy, Martie podeszła do przyjaciółki.

– Wstań, włóż to i chodźmy.

Susan chwyciła się kurczowo poręczy fotela.

– Nie mogę.

– Jeśli nie odwołasz spotkania czterdzieści osiem godzin wcześniej, musisz za nie zapłacić.

– Stać mnie na to.

– Nie, nie stać cię.

Nie masz żadnych dochodów.

Jedyną chorobą psychiczną, która mogła zrujnować karierę Susan jako pośrednika w handlu nieruchomościami bardziej skutecznie niż agorafobia, byłaby piromania.

Czuła się względnie bezpiecznie wewnątrz posiadłości, którą pokazywała klientowi, ale w drodze do niej ogarniał ją tak paraliżujący strach, że nie mogła prowadzić.

– Dostaję czynsz – powiedziała Susan, mając na myśli comiesięczny czek od rozkochanych w papugach emerytów na dole.

– Który nie wystarcza na pokrycie długów hipotecznych, podatków, niezbędnych wydatków i kosztów utrzymania domu.

– Dom jest już w znacznej części splecony.

Co może okazać się jedyną rzeczą, która ocali cię przed całkowitą nędzą, jeśli nie zwalczysz tej przeklętej fobii, pomyślała Martie, lecz nie zdołała się przemóc, żeby powiedzieć to głośno, chociaż ta ponura perspektywa mogłaby skłonić Susan do wstania z fotela.

Unosząc swój delikatny podbródek z mało przekonującym wyrazem męznego wyzwania, Susan powiedziała: – Poza tym Eric mi przysłał...

– Niewiele więcej niż kieszonkowe.

A jeśli ta świnia rozwiedzie się z tobą, prawdopodobnie nie dostaniesz już nic, chociaż wniosłaś w to małżeństwo większy majątek niż on, bo nie macie dzieci.

– Eric nie jest świnia.

– Przepraszam, nie wyraziłam się wystarczająco dosadnie.

Jest bydlakiem.

– Nie bądź niemiła, Martie.

– Mówię to, co myślę.

Jest skunksem.

Susan za wszelką cenę chciała uniknąć uzalania się nad sobą i łez, co było godne pochwały, nie chciała natomiast przyznać się do gniewu, co było już mniej chwalebne.

– Był taki zdenerwowany, kiedy widział mnie...

w tym stanie.

Po prostu nie mógł tego znieść.

– Och, biedny, wrażliwy chłopczyk – powiedziała Martie.

– Przypuszczam, że był też zbyt zdenerwowany, by przypomnieć sobie tę część małżeńskiej przysięgi, która brzmi „w chorobie i zdrowiu”.

Gniew Martie na Erica był szczery, chociaż musiała podsycać to uczucie jak ogień, by nie pozwolić mu zgasnąć.

Eric zawsze wydawał się jej cichy, skromny i miły, gdyby więc nie porzucił żony, nie miałyby za co go nienawidzić.

Za bardzo jednak kochała Susan, aby nie pogardzać Erikiem, i uważała, że Susan potrzebuje gniewu, który pomógłby jej zwalczyć agorafobię.

– Eric byłby tutaj, gdybym miała raka lub coś takiego – powiedziała Susan.

– Nie jestem tak zwyczajnie chora, Martie.

Jestem stuknięta, w tym rzecz.

– Nie jesteś stuknięta – zaprzeczyła Martie.

– Fobie i stany lękowe to nie to samo co szaleństwo.

– Czuję się szalona.

Czuję się kompletnie obłąkana.

– Nie wytrzymał nawet czterech miesięcy, kiedy to się zaczęło.

Jest świnią, skunksem, łasicą i jeszcze gorzej.

Ta przykra część każdej wizyty – o której Martie myślała jako o fazie ekstrakcji – była przygnębiająca dla Susan i męcząca dla Martie.

Aby wyciągnąć opierającą się przyjaciółkę z domu, musiała być stanowcza i bezlitosna, a chociaż ta stanowczość wynikała z wielkiej miłości i współczucia, czuła się tak, jakby znęcała się nad Susan.

Bezwzględność nie leżała w charakterze Martie i pod koniec tej brutalnej cztero – lub pięciogodzinnej przeprawy wracała do domu w Corona Del Mar w stanie fizycznego i emocjonalnego wyczerpania.

– Sooz, jesteś piękna, miła, wyjątkowa i wystarczająco bystra, aby sobie z tym poradzić.

– Martie potrząsnęła płaszczem.

– Rusz tyłek z fotela.

– Dlaczego doktor Ahriman nie może przychodzić do mnie na te spotkania?

– Wyjście z domu dwa razy w tygodniu to część terapii.

Znasz teorię: musisz stawić czoło temu, co cię przeraża.

To coś w rodzaju szczepionki.

– To nie działa.

– Daj spokój.

– Jest coraz gorzej.

– Dalej, rusz się.

– To takie okrutne – zaprotestowała Susan.

Puściła poręczę fotela, zacisnęła dłonie w pięści i położyła na udach.

– Takie cholernie okrutne.

– Mazgaj.

– Czasem potrafisz być naprawdę wredną suką.

– Tak, to cała ja.

Gdyby Joan Crawford żyła, wyzwalałabym ją do walki na druciane wieszaki i rozszarpała na kawałki.

Śmiejąc się i potrząsając głową, Susan wstała z fotela.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

Przepraszam, Martie.

Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Przytrzymując płaszcz, gdy Susan wkładała ręce w rękawy, Martie zapewniła ją: – Wszystko będzie dobrze, przyjaciółko, a w drodze powrotnej weźmiemy sobie na wynos mnóstwo chińskiego zarcia.

Otworzymy parę butelek tsingtao i zagramy w ostrego bezika na dwie ręce po pięćdziesiąt centów od punktu.

– Jesteś mi już winna ponad sześćset tysięcy dolców.

– Więc połam mi nogi.

Długi karciane są prawnie nieściągalne.

Kiedy Susan zgasila wszystkie lampy z wyjątkiem jednej, wzięła portmonetkę ze stolika do kawy i poprowadziła Martie do wyjścia.

Przechodząc przez kuchnię za Susan, Martie odkryła, że jej uwagę przyciąga złowieszczo wyglądający przedmiot leżący na blacie obok zlewu.

Była to mezzaluna, klasyczny włoski przyrząd kuchenny: zakrzywione ostrze z nierdzewnej stali w kształcie półksiężyca z rękojeściami na końcach, dzięki czemu można go było rozkołysać i błyskawicznie siekać lub kroić.

Rozmigotane światło zdawało się iskrzyć na ostrej krawędzi jak prąd elektryczny.

Martie nie mogła oderwać od niego wzroku.

Nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia zafascynowała ją mezzaluna dopóki nie usłyszała głosu Susan: – Co się dzieje?

Miała ściśnięte gardło, a język rósł jej w ustach.

Ochryłym głosem zadała pytanie, na które znała odpowiedź: – Co to jest?

– Nigdy takiego nie używałaś?

Wspaniała rzecz.

Można tym pokroić cebulę w mgnieniu oka.

Widok noża nie nappełnił Martie przerażeniem, tak jak cień i lustro w łazience, sprawił jednak, że poczuła się nieswojo, choć nie potrafiłaby wyjaśnić swojej dziwacznej reakcji.

– Martie?

Dobrze się czujesz?

– Tak, jasne.

Chodźmy.

Susan przekreśliła gałkę w kuchennych drzwiach, ale zwlekała z ich otwarciem.

Martie położyła rękę na dłoni przyjaciółki i razem pociągnęły drzwi ku sobie, wpuszczając do środka szare światło i przejmujący wiatr.

Twarz Susan pobladła na myśl o wkroczeniu w pozbawiony dachu świat za progiem.

– Robiliśmy to już setki razy – przypomniała jej Martie.

Susan chwyciła się framugi.

– Nie wyjdę.

– Wyjdiesz.

Susan próbowała wrócić do kuchni, lecz Martie zastąpiła jej drogę.

– Puść mnie, nie dam rady, to dla mnie za trudne.

– Dla mnie to też trudne – powiedziała Martie.

– Gówno prawda.

– Grymas rozpaczy wykrzywił twarz Susan, a obłądny strach zamącił zieloną głębię jej oczu.

– Ty to lubisz, uwielbiasz to, jesteś obłąkana.

– Nie, jestem wredna.

– Martie chwyciła się gałki obiema rękami i nie puszczała.

– Ja jestem wredną suką.

Ty jesteś obłąkaną suką.

Nagle Susan przestała napierać na Martie i objęła ją, szukając oparcia.

– Cholera, mam ochotę na to chińskie żarcie na wynos.

Martie zazdrościła Dusty’emu, którego największym porannym zmartwieniem było to, czy deszcz nie zacznie padać za wcześnie i czyjego zespół zdąży wykonać chociaż część pracy.

Ciężkie krople deszczu – najpierw w nieregularnych odstępach, potem coraz bardziej miarowo – zabębniły po dachu kryjącym podest.

Wreszcie wyszły za próg, na zewnątrz.

Martie pociągnęła drzwi i zamknęła je.

Faza ekstrakcji była za nimi.

Najgorsze miało dopiero nadejść, ale Martie jeszcze o tym nie wiedziała.

Rozdział 6.

Skeet biegł żwawo po stromym dachu, wypatrując punktu, który zapewniłby mu upadek na podjazd, a nie na materace, podskakując na pomarańczowo-brązowych dachówkach, jakby był dzieckiem pędzącym brukowaną ulicą ku sprzedawcy lodów.

Dusty rozpaczliwie biegł za nim.

Dla patrzących z dołu musiało to wyglądać tak, jakby obaj byli równie obłąkani i wypełniali samobójczy zakład.

W połowie drogi do krawędzi Dusty dogonił Skeeta, złapał go, zbił z obranego kursu i pociągnął za sobą w poprzek pochyłości.

Kilka glinianych dachówek pękło mu pod stopami, a wykruszone kawałki zaprawy murarskiej potoczyły się po dachu i zagrzechotały o rynnę.

Utrzymanie pozycji pionowej na toczących się szczątkach było wystarczająco trudne, a tu miał jeszcze dodatkowe komplikacje w postaci deszczu, śliskiego mchu oraz energicznego i radosnego oporu Skeeta, który młócił rękami, dźgał łokciami i zanosił się dziecięcym chichotem.

Jego niewidoczny towarzysz, śmierć, zdawał się używać mu nadnaturalnego wdzięku i zdolności utrzymania równowagi.

W końcu Dusty przewrócił się i pociągnął Skeeta za sobą.

Spleceni w uścisku potoczyli się przez ostatnie trzy metry i polecili przez miedzianą rynnę, która brzęknęła jak zerwana struna.

Koziółkując w powietrzu, Dusty myślał o Martie: czysty zapach jej czarnych jedwabistych włosów, figlarny łuk jej uśmiechu, szczerość jej oczu.

Dziesięć metrów to nie było bardzo wysoko, zaledwie dwa piętra, ale wystarczająco, by roztrzaskać najtwardszą czaszkę lub złamać kręgosłup jak kruchy precelek, kiedy więc Dusty spadł plecami na ułożone w stertę materace, podziękował Bogu za cudowne ocalenie.

Potem zdał sobie sprawę, że w powietrzu, gdy każda przelatująca mu przez głowę myśl mogła być ostatnią, jego umysł wypełniał obraz Martie, i że o Bogu pomyślał dopiero po wszystkim.

Sorensonowie kupili pierwszorzędne materace.

Przy uderzeniu Dusty nawet nie stracił tchu.

Skeet również wylądował w bezpiecznej strefie.

Teraz leżał tak jak spadł, z twarzą wtuloną w płótno, z rękami nad głową, bez ruchu, jakby był tak kruchy, że nawet upadek na bawełnianą watę, gumową piankę i puch zgruchotał jego ptasie kości.

Kiedy górny materac zaczął nasiąkać deszczem, Dusty podniósł się, opierając się na rękach i kolanach.

Odwrócił dzieciaka na plecy.

Lewy policzek Skeeta był otarty, a płytki dołek na jego podbródku przecinało niewielkie zadrapanie.

Obrażenia odniósł zapewne, gdy toczył się po glinianych dachówkach; żadne z nich nie krwawiło.

– Gdzie jestem?

– spytał Skeet.

– Nie tam, gdzie chciałeś być.

Brązowe oczy chłopca pokrywała ciemna patyna cierpienia, która nie była widoczna w szalonych chwilach spędzonych na dachu.

– W niebie?

– Postaram się, żeby wydało ci się piekłem, nędzny pokurczu – powiedział Motherwell, pochylając się nad nimi, łapiąc Skeeta za sweter i stawiając na nogi.

Gdyby niebo rozdarła błyskawica i uderzył piorun, Motherwell mógłby uchodzić za Thora, skandynawskiego boga burz.

– Wylatujesz z mojego zespołu, pierdolcu jeden!

– Spokojnie, spokojnie – mówił Dusty, schodząc z materaca.

Wciąż trzymając Skeeta trzydzieści centymetrów nad ziemią, Motherwell odwrócił się do Dusty'ego.

– Albo on odejdzie raz na zawsze, albo nie będę z tobą więcej pracował.

– Dobrze, w porządku.

Tylko go postaw, Ned.

Zamiast puścić Skeeta, Motherwell potrząsnął nim i zaczął krzyczeć mu w twarz, wypluwając dosyć spienionej śliny, by przystroić go jak świąteczną choinkę: – Na nowe materace, trzy drogie materace, pójdzie większość naszych zysków.

Masz jakiś pomysł, zasańcu?

Zwisający z rąk Motherwella Skeet wymamrotał: – Nie prosiłem cię, żebyś kładł tu te materace.

– Próbowałem cię ocalić, dupku.

– Zawsze mnie przezywasz – powiedział Skeet.

– Ja nigdy cię nie przezywam.

– Jesteś chodzącym wrzodem.

Naprawiacze odmawiali sobie wielu rzeczy, ale nigdy prawa do słusznego gniewu.

Dusty podziwiał ich starania, by wieść czyste życie w brudnym świecie, który odziedziczyli, i rozumiał ich gniew, nawet jeśli czasem był nim zmęczony.

– Chłopie, lubię cię – wyznał Skeet Motherwellowi.

– Szkoda, że ty mnie nie lubisz.

– Jesteś pryszczem na dupie ludzkości – zagrzmiał Motherwell, odrzucając Skeeta na bok jak worek śmieci.

Skeet prawie wpadł na przechodzącego obok Foster Newtona.

Figa zatrzymał się, kiedy Skeet rymnął jak długi na podjazd, spojrzął na Dusty'ego i powiedział: – Do zobaczenia jutro, jeśli nie będzie padać.

Przekroczył Skeeta i ruszył do zaparkowanego przy krawężniku samochodu, wciąż ze słuchawkami na uszach, jakby codziennie widywał ludzi skaczących z dachów.

– Co za burdel – powiedział Ned Motherwell, spoglądając chmurnym wzrokiem na przemoczone materace.

– Muszę go zawieźć do kliniki – oznajmił Dusty, pomagając Skeetowi wstać.

– Zajmę się tym bałaganem – zapewnił go Motherwell.

– Tylko zabierz stąd tego zasmarkanego małego szczura.

Kiedy w strumieniach deszczu szli podjazdem w kierunku ulicy, Skeet wspierał się na ramieniu Dusty'ego.

Jego żywiołowa energia, wszystko jedno, czym spowodowana, narkotykami czy perspektywą skutecznego samozniszczenia, zniknęła bez śladu; teraz słał się na nogach, prawie spał na stojąco.

Gdy zbliżali się do białej furgonetki Dusty'ego, pojawił się ochroniarz.

– Będę musiał złożyć raport – oznajmił.

– Doprawdy?

Komu?

– Radzie nadzorczej stowarzyszenia właścicieli domów.

Z kopia dla spółki zarządzającej nieruchomościami.

– Chyba nie przestrzelą mi kolan z dubeltówki, co?

– spytał Dusty, opierając Skeeta o furgonetkę.

– Nie, oni nigdy nie słuchają moich zaleceń – odparł ochroniarz i Dusty musiał przyznać, że źle go ocenił.

Budzący się z odrętwienia Skeet skonstatował przytomnie: – Będą chcieli twojej duszy, Dusty.

Znam tych skurwieli.

Zza welonu wody, która ściekała z daszka jego czapki, ochroniarz powiedział: – Mogliby wpisać pana na listę niepożądanych przedsiębiorców, ale jej nie mają.

Najprawdopodobniej zażądamy tylko, żeby nigdy więcej nie przyprowadzał pan ze sobą tego gościa.

Jak on się nazywa, tak przy okazji?

Otwierając drzwi od strony pasażera, Dusty odparł: – Bruce Wayne.

– Wydawało mi się, że Skeet jakiś tam.

Pomagając Skeetowi wsiąść do furgonetki, Dusty powiedział: – To tylko przezwisko.

Co było prawdą, choć niecałkowitą.

– Muszę zobaczyć jego dowód tożsamości.

– Przywiozę go później – odparł Skeet, zatrzasnął drzwi.

– Teraz jadę do lekarza.

– Jest ranny?

– spytał ochroniarz, okrążając w ślad za Dustym furgonetkę.

– Jest wykończony – powiedział Dusty, siadając za kierownicą, i zamknął drzwi.

Ochroniarz zastukał w szybę.

Zapalając silnik jedną ręką, a drugą otwierając okno, Dusty spytał: – Tak?

– Nie może pan wrócić do grupy uderzeniowej, ale zespół to też nie jest dobre słowo.

Niech pan lepiej nazwie to cyrkiem albo trupą.

– Jest pan w porządku – powiedział Dusty.

– Lubię pana.

Ochroniarz uśmiechnął się i dotknął końcami palców daszka mokrej czapki.

Dusty zamknął okno, włączył wycieraczki i odjechał przed domu Sorensonów.

Rozdział 7.

Zstępując po zewnętrznych schodach swego mieszkania, Susan przesuwiała prawą ręką po kamiennej elewacji, jakby nieustannie musiała się upewniać, że bezpieczne schronienie jest blisko; lewą ręką czepiała się kurczowo ramienia Martie.

Głowę miała spuszczoną, wpatrując się intensywnie w swoje stopy i pokonując każdy dwudziestopięciocentymetrowy stopień tak ostrożnie, jak alpinista walczący ze stromą ścianą granitowego masywu.

Ponieważ z powodu deszczu Susan włożyła kaptur i ponieważ była niższa od Martie, jej twarz pozostawała w ukryciu, lecz Martie, która wielokrotnie towarzyszyła jej w pogodne dni, wiedziała, jak musi wyglądać przyjaciółka.

Trupioblada cera, zaciśnięte szczęki, ściągnięte usta.

Zielone oczy szeroko otwarte, jakby zobaczyła upiora, chociaż w tym wypadku jedynym upiorem był jej żywotny niegdyś duch, którego zabiła agorafobia.

– Co jest z powietrzem?

– spytała Susan drżącym głosem.

– Nic.

– Ciężko oddychać – poskarżyła się Susan.

– Duszno.

Dziwnie pachnie.

– To tylko wilgoć.

A zapach to ja.

Nowe perfumy.

– Ty?

Perfumy?

– Mam swoje dziewczęce chwile.

– Jesteśmy takie odsłonięte – powiedziała Susan trwożnie.

– Do samochodu niedaleko.

– Tam na zewnątrz wszystko może się stać.

– Nic się nie stanie.

– Nie ma się gdzie ukryć.

– I nie ma przed czym.

Religijne teksty sprzed półtora tysiąca lat nie miały bardziej niezmiennej struktury niż te powtarzające się dwa razy w tygodniu rozmowy w drodze na sesje terapeutyczne i z powrotem.

Zanim dotarły do końca schodów, deszcz rozpadał się na dobre, mlaszcząc wśród liści doniczkowych roślin i tłukąc o cegły.

Susan przystanęła niepewnie przy narożniku domu.

Martie otoczyła ją ramieniem.

– Wesprzyj się na mnie, jeśli chcesz.

Susan usłuchała.

– Wszystko jest takie dziwne, zupełnie inne niż kiedyś.

– Nic się nie zmieniło.

To tylko burza.

– To nowy świat – zaproponowała Susan.

– Niedobry świat.

Tuląc się do siebie – Martie zgięta w pół, by osiągnąć przygarbionych pleców przyjaciółki – ruszyły przez ten nowy świat, najpierw biegiem, ponieważ Susan popychała naprzód perspektywa względnie zamkniętej przestrzeni samochodu, potem z ociąganiem, gdy niezmierna pustka nad głową zwała się na Susan i ją przytłoczyła.

Chłostane wiatrem i sieczone deszczem, osłaniane przez kaptury i łopoczące płaszcze, wyglądały jak dwie przerażone zakonnice w habitach szukające schronienia w ostatnich momentach Armagedonu.

Najwyraźniej Martie udzielił się albo niepokój przed nadchodzącą burzą, albo cierpienie udręczonej przyjaciółki, ponieważ gdy szły chwiejnie promenadą w kierunku bocznej uliczki, gdzie zaparkowała samochód, w coraz większym stopniu zdawała sobie sprawę z niezwykłości tego dnia, łatwej do uchwycenia, lecz trudnej do zdefiniowania.

Na betonowej promenadzie kałuże jak czarne lustra roily się od obrazów tak zniekształconych przez padający deszcz, że trudno było rozpoznać rzeczywiste kształty, a mimo to ich widok niepokoił Martie.

Walczące z wiatrem palmy trzepotały liśćmi, które zmieniły barwę z zielonej na czarnozieloną, a wydawany przez nie klekot budził w niej pierwotne instynkty.

Po prawej stronie piasek był gładki i blady, niczym skóra jakiejś ogromnej śpiącej bestii, a po lewej każdy dom zdawał się wypełniony własną burzą, gdy bezbarwne odbicia skłębionych chmur i poruszane wiatrem wierzchołki drzew kotłowały się w wielkich, wychodzących na ocean oknach.

Wszystkie te osobliwe zwiastuny nienaturalnej groźby w otaczającym je krajobrazie nie działały na Martie, niepokoiło ją natomiast dziwne uczucie w niej samej, które burza zdawała się podsycać.

Jej serce wypełniało irracjonalne pragnienie, by poddać się czarodziejskiej energii tej dzikiej pogody.

Nagle przestraszyła się mrocznej możliwości, której nie potrafiła zdefiniować: że straci kontrolę nad sobą, pograży się w ciemności, a potem odzyska zmysły i odkryje, że zrobiła coś strasznego...

coś niewyobrażalnego.

Aż do dzisiejszego ranka takie dziwaczne myśli nigdy jej nie nawiedzały.

Teraz przychodziły w nadmiarze.

Przypomniała sobie nienormalnie kwaśny sok grapefruitowy, który piła na śniadanie, i zaczęła się zastanawiać, czy był zepsuty.

Nie chorowała na żołądek, ale może cierpiała na zatrucie pokarmowe, które wywoływało objawy psychiczne, a nie fizyczne.

To była kolejna dziwaczna myśl.

Zepsuty sok nie wydawał się bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem niż to, że CIA przesyłała sygnały do jej mózgu przez jakiś nadajnik.

Jeśli nadal będzie stąpać tą krętą drogą absurdu, niebawem zacznie nosić wymyślne kapelusze z folii aluminiowej, aby bronić się przed praniem mózgu na odległość.

Nim dotarły do betonowych schodów prowadzących z bulwaru na wąską uliczkę, gdzie stał zaparkowany samochód, Martie czerpała od Susan tyle samo emocjonalnego wsparcia, ile go jej dawała, chociaż miała nadzieję, że Susan tego nie czuje.

Martie otworzyła drzwi od strony krawężnika, pomogła Susan wsiąść do czerwonego saturna, a potem okrążyła go i usiadła na miejscu kierowcy.

Deszcz bębnił o dach; zimny i pusty dźwięk przywodził na myśl odgłos końskich kopyt, jakby czterech jeźdźcy Apokalipsy – Mór, Wojna, Głód i Śmierć – zbliżali się w pełnym galopie pobliską plażą.

Martie zsunęła z głowy kaptur i sięgnęła ręką do kieszeni płaszcza po kluczyki.

Susan, nadal w kapturze, siedziała z pochyloną głową, dłońmi przyciśniętymi do policzków, zamkniętymi oczami i ściągniętą twarzą, jakby saturn znalazł się w prasie hydraulicznej, która za chwilę miała go zgnieść w metrowy sześcian.

Martie skupiła uwagę na kluczyku od stacyjki.

Był to ten sam kluczyk, którego używała zawsze, a mimo to jego koniec wydał jej się nagle złowieszczo ostry, jak nigdy wcześniej.

Nacięcia przypominały te na nożu do chleba, który z kolei przywoływał skojarzenia z mezzaluną w kuchni Susan.

Ten prosty klucz był potencjalną bronią.

Umysł Martie wypełnił się obrazami krwawych ran, jakie mógł zadać kluczyk od samochodu.

– Co się dzieje?

– spytała Susan, chociaż nie otworzyła oczu.

Wciskając kluczyk do stacyjki i starając się ukryć targające nią uczucia, Martie powiedziała: – Nie mogłam znaleźć kluczyka.

Już w porządku.

Mam go.

Silnik zakaszłał i zaskoczył.

Kiedy Martie zapinała pas bezpieczeństwa, ręce tak się jej trzęsły, że twarda plastikowa klamra i metalowy trzpień pasa szczękały o siebie jak osadzone na sprężynowych zawiasach sztuczne zęby, nim wreszcie się z nimi uporała.

– A jeśli coś mi się stanie i nie będę mogła wrócić do domu?

– zaniepokoiła się Susan.

– Zajmę się tobą – obiecała Martie, choć biorąc pod uwagę osobliwy stan jej umysłu, obietnica mogła okazać się gołosłowna.

– A jeśli coś stanie się tobie?

– Nic mi się nie stanie – zapewniła ją Martie, włączając wycieraczki.

– Każdemu może się coś stać.

Spójrz, co stało się mnie.

Martie odbiła od krawężnika, dojechała do końca krótkiej uliczki i skręciła w lewo, w bulwar Balboa.

– Trzymaj się.

Wkrótce będziesz w gabinecie doktora.

– Chyba że zdarzy się wypadek – zamartwiała się Susan.

– Jestem dobrym kierowcą.

– Samochód może się zepsuć.

– Samochód jest w porządku.

– Strasznie pada.

Jeśli zaleje ulice...

– A może uprowadzą nas wielcy, obleśni Marsjanie – powiedziała Susan.

– Zabiorą nas na swój statek, gdzie będziemy musiały płodzić potomstwo z obrzydliwymi kałamarnicami.

– Na półwyspie czasem zalewa ulice – upierała się Susan.

– O tej porze roku Wielka Stopa grasuje w pobliżu przystani i odgryza głowy nieostrożnym

przechodniom.

Miejmy nadzieję, że samochód nie zepsuje się w tej okolicy.

– Jesteś złośliwa – poskarżyła się Susan.

– Jestem wredna jak cholera – zgodziła się Martie.

– Jesteś okrutna.

Naprawdę.

– Jestem ohydna.

– Odwieź mnie do domu.

– Nie.

– Nienawidzę cię.

– Mimo to kocham cię.

– A niech to cholera – powiedziała Susan żałośnie.

– Ja też cię kocham.

– Trzymaj się.

– To takie trudne.

– Wiem, kochanie.

– A jeśli zabraknie nam benzyny?

– Zbiornik jest pełny.

– Nie mogę tu oddychać.

Nie mogę oddychać.

– Sooz, ty oddychasz.

– Ale powietrze jest jak...

szlam.

Bolą mnie płuca.

I serce.

– A mnie boli tyłek – powiedziała Martie.

– Zgadnij, co mi jest.

– Jesteś wredną suką.

– To nic nowego.

– Nienawidzę cię.

– Kocham cię – powiedziała Martie cierpliwie.

Susan zaczęła płakać.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Już dłużej tak nie mogę.

– Jeszcze trochę.

– Nienawidzę siebie.

Martie zmarszczyła brwi.

– Nie mów tak.

Nigdy.

– Nienawidzę tego, czym się stałam.

Tej przerażonej, roztrzęsionej rzeczy, którą się stałam.

Oczy Martie zaszyły łzami współczucia.

Zamrugła gwałtownie, aby przywrócić spojrzeniu ostrość.

Od zimnego Pacyfiku płynęły po niebie fale czarnych chmur, jakby zaczął się przyptyw nocy i miał za chwilę zatopić ten nowy ponury dzień.

Wszystkie samochody jadące z przeciwka miały włączone światła, które srebrzyły mokry asfalt.

Wypełniające Martie przeczucie nienaturalnego zagrożenia ustąpiło.

Deszczowy dzień nie wydawał się już w najmniejszym stopniu niezwykły.

Świat był tak boleśnie piękny, tak doskonały w każdym szczególe, że chociaż już się go nie bała, strasznie bała się go stracić.

Pograżona w rozpacz Susan spytała: – Martie, czy pamiętasz...

jaka byłam dawniej?

– Tak.

Doskonale.

– Ja nie.

Są dni, kiedy nie pamiętam innej siebie niż ta, którą jestem teraz.

Boję się, Martie.

Nie wyjścia na zewnątrz, z domu.

Boję się...

tych wszystkich lat, które są jeszcze przede mną.

– Przejdziemy przez to razem – zapewniła ją Martie – i będzie jeszcze wiele dobrych lat.

Masywne pnie palm okalały drogę wjazdową na Fashion Island i centrum handlowe Newport Beach.

Poruszone wiatrem drzewa potrząsały wielkimi zielonymi grzywami jak lwy, które zaraz zaryczą.

Gabinet doktora Marka Ahrimana mieścił się na czternastym piętrze jednego z wysokich budynków otaczających rozległy plac centrum handlowego.

Przeprowadzenie Susan przez parking, a później przez obszerną sieć wykładaną polerowanym granitem do windy nie było co prawda tak zuchwałą wyprawą jak podróż Froda ze spokojnego Shire do krainy zwanej Mor-dorem, gdzie miał zniszczyć Wielki Pierścień Władzy, mimo to Martie odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się za nimi i kabina ruszyła w górę.

– Prawie bezpiecznie – mruknęła Susan, wpatrując się w umieszczoną nad drzwiami tablicę i obserwując lampkę przeskakującą z numeru na numer w kierunku czternastki, gdzie czekała bezpieczna przystań.

Susan, choć zamknięta w ciasnej przestrzeni w towarzystwie Martie, nigdy nie czuła się bezpieczna w windzie.

Martie objęła ją ramieniem, świadoma, że z punktu widzenia udręczonej Susan nisza windy na czternastym piętrze i przylegający do niej korytarz, a nawet poczekalnia psychiatry, to też wrogi teren najeżony niezliczonymi niebezpieczeństwami.

Każda przestrzeń publiczna, niezależnie od tego, jak mała i przytulna, była otwartą przestrzenią w tym sensie, że każdy mógł tam wejść w dowolnym momencie.

Susan czuła się bezpiecznie tylko w dwóch miejscach: we własnym domu na półwyspie i w prywatnym gabinecie doktora Ahrimana, gdzie nie przerażał jej nawet dramatyczny, panoramiczny widok wybrzeża Pacyfiku.

– Prawie bezpiecznie – powtórzyła Susan, kiedy drzwi windy otworzyły się na czternastym piętrze.

Co dziwne, Martie znów przyszedł na myśl Frodo z „Władcy pierścieni”.

Frodo w tunelu, który był tajemnym wejściem do krainy zła, Mordoru.

Frodo walczący ze strażniczką tunelu, potworną pajęczycą Szelobą.

Frodo użądłony przez bestię, na pozór martwy, lecz w rzeczywistości sparaliżowany i przeznaczony do pożarcia później.

– Chodźmy, chodźmy – szeptała niecierpliwie Susan.

Po raz pierwszy od chwili, gdy opuściła mieszkanie, chciała iść dalej.

Z niewiadomej przyczyny Martie zapragnęła wepchnąć przyjaciółkę z powrotem do windy, zjechać do hallu i wrócić do samochodu.

Znów wyczuwała niepokojącą niezwykłość otoczenia, jakby nie była to zwyczajna nisza windy, lecz tunel, gdzie Frodo i jego towarzysz Sam Gamgee zmierzli się z ogromną, wielooką pajęczycą.

Reagując na dźwięk za plecami, odwróciła się z trwogą, na wpół oczekując pojawienia się Szeloby.

Drzwi windy zamknęły się.

Nie stało się nic więcej.

W jej wyobraźni błona pomiędzy wymiarami pękła i świat Tolkiena wsącał się nieubłaganie w Newport Beach.

Może pracowała zbyt długo i zbyt ciężko nad adaptacją wideo.

Czy w swojej obsesji, by sprostać wyzwaniu, jakim stał się dla niej „Władca pierścieni”, i pod wpływem psychicznego wyczerpania myliła rzeczywistość z fantazją?

Nie.

To nie to.

Prawda była trochę mniej fantastyczna, lecz równie dziwaczna.

Nagle Martie dostrzegła swoje odbicie w szybcie, która zamykała wnękę z węzłem przeciwpożarowym.

Odwróciła się gwałtownie, wstrząśnięta wyrazem przerażenia na swojej twarzy.

Jej rysy zdawały się wyrzeźbione tępym nożem, z głębokimi szramami na policzkach, ustami jak blizna i oczami jak otwarte rany.

Ale to nie ten odstręczający widok kazał jej się odwrócić.

Coś innego.

Gorszego.

Coś, czemu nie potrafiła nadać nazwy.

Co się ze mną dzieje?

– Chodźmy – powiedziała Susan jeszcze bardziej natarczywie niż przedtem.

– Martie, co ci jest?

Chodźmy.

Martie z ociąganiem wyprowadziła Susan z niszy.

Skręciły w korytarz po lewej stronie.

Susan czerpała odwagę ze swojej mantry – „prawie bezpiecznie, prawie bezpiecznie” – lecz Martie nie znajdowała w niej żadnej pociechy.

Rozdział 8.

Kiedy Dusty przejeżdżał przez wzgórza New-port, wiatr zrywał z drzew mokre liście, a strumienie wody płynęły ulicami w kierunku na wpół zapchanych studzienek odpływowych.

– Przemokłem.

Zimno mi – poskarżył się Skeet.

– Mnie też.

Na szczęście jesteśmy bardzo zorganizowanymi naczelnymi i mamy pod ręką mnóstwo technicznych sztuczek.

– Dusty włączył ogrzewanie.

– Narozrabiałem – wymamrotał Skeet.

– Kto, ty?

– Zawsze narozrabiam.

– Każdy jest w czymś dobry.

– Jesteś na mnie wściekły?

– W tej chwili mam cię serdecznie dosyć – odparł Dusty szczerze.

– Nienawidzisz mnie?

– Nie.

Skeet westchnął i zapadł się głębiej w fotel.

W tej pozycji, gdy jego ubranie zaczęło lekko parować, nie wyglądał jak istota ludzka, lecz jak sterta wilgotnego prania.

Jego zaczerwienione i opuchnięte powieki opadły.

Usta otworzyły się.

Zdawał się smutny.

Niebo zwisało ciężko, tak czarnoszare, jak mokry popiół i węgiel.

Deszcz nie miał zwykłej srebrzystej barwy, lecz ciemną i brudną, jakby natura była sprzątaczką wyzymającą zabłoconą szmatę.

Dusty skręcił na wschód, potem na południe, minął New port Beach i skierował się do Irvine.

Miał nadzieję, że Klinika Nowego Życia, zakład odwykowy dla osób uzależnionych narkotyków i alkoholu, będzie dysponowała wolnym łóżkiem.

Skeet był już na odwyku dwa razy, z czego raz w Klinice Nowego Życia, sześć miesięcy temu.

Wyszedł czysty, ze szczerym postanowieniem, że wytrwa w tym stanie.

Po każdej terapii staczał się jednak z powrotem w nałóg.

Aż do tej pory nie osiągnął takiego stadium, by próbował samobójstwa.

Może z tej nowej perspektywy uświadomił sobie, że stoi przed ostatnią szansą.

Nie odrywając podbródka od piersi, Skeet powiedział: – Przepraszam...

za to na dachu.

Przepraszam, że zapomniałem, który z nich był twoim tatą.

Doktor Dekon.

To dlatego, że jestem taki wykończony.

– W porządku.

Przez większość życia starałem się o nim zapomnieć.

– Założę się, że ty pamiętasz mojego tatę.

– Doktor Holden Caulfield, profesor literatury.

– Prawdziwy skurwiel – powiedział Skeet.

– Jak oni wszyscy.

Naszą matkę pociągali skurwiele.

Skeet uniósł powoli głowę, jakby to był ogromny ciężar wprawiany w ruch przez skomplikowany system hydraulicznych podnośników.

– Holden Caulfield to nie jest nawet jego prawdziwe nazwisko.

Dusty przyhamował na czerwonych światłach i popatrzył na Skeeta z powątpiewaniem.

Nazwisko, identyczne z nazwiskiem bohatera „Buszującego w zbożu”, wydawało się zbyt trafne, aby można je było wymyślić.

– Zmienił je oficjalnie, kiedy miał dwadzieścia jeden lat – powiedział Skeet.

– Urodził się jako Sam Farner.

– To takie naćpane gadanie czy prawda?

– Prawda – powiedział Skeet.

– Ojciec staruszką Sama był zawodowym wojskowym.

Pułkownik Thomas Jackson Farner.

Jego matka, Luanne, uczyła w szkole podstawowej.

Staruszek Sam poróżnił się z nimi, kiedy już pułkownik i Luanne umieścili go na uczelni i kiedy dostał stypendium magisterskie.

Inaczej musiałby poczekać z zerwaniem, aż rodzice sfinansują jego studia.

Dusty znał ojca Skeeta – fałszywego Holdena Caulfielda – i to aż nazbyt dobrze, ponieważ ten pretensjonalny skurwiel był jego ojczymem.

Trevor Penn Rhodes, ojciec Dusty’ego, był drugim spośród czterech mężów ich matki, a Holden Sam Caulfield Farner trzecim.

Od czwartych do czternastych urodzin Dusty’ego ten samozwańczy arystokrata panował w ich rodzinie z wyniosłym poczuciem boskiego prawa i z tak autorytarną gorliwością i socjopatyczną surowością, że zyskałaby uznanie nawet Hannibala Lectera.

– Mówił, że jego matka była profesorem w Princeton, a ojciec w Rutgers.

Wszystkie te historie...

– To nie biografia – upierał się Skeet.

– To tylko jego upiększona wersja.

– Ich tragiczna śmierć w Chile?...

– Kolejne kłamstwo.

– W przekrwionych oczach Skeeta załśnił intensywny płomień, który mógł być pragnieniem zemsty.

Przez chwilę dzieciak nie wydawał się smutny, wymizerowany, posępny i przybity, lecz wypełniony dziką i ledwie hamowaną radością.

Dusty spytał: – Czy tak strasznie pokłócił się z pułkownikiem Farnerem, że zapragnął zmienić nazwisko?

– Przypuszczam, że lubił „Buszującego w zbożu”.

Dusty zdumiał się.

– Może i lubił, ale czy rozumiał?

– Było to retoryczne pytanie.

Ojciec Skeeta był płytki jak szalka Petriego i dawał się porywać kolejnym krótkotrwałym

namiętnościom, w większości szkodliwym jak salmonella.

– Kto chciałby być Holdenem Caulfieldem?

– Sam Farner, mój kochany tatuś.

I założę się, że nie zaszkodziło to jego karierze uniwersyteckiej.

W jego dziedzinie to nazwisko zapewniło mu renomę.

Za nimi zabrzmiał klakson.

Światła zmieniły się z czerwonych na zielone.

Podejmując jazdę do Nowego Życia, Dusty spytał: – Jak dowiedziałeś się tego wszystkiego?

– Zacząłem od internetu.

– Skeet wyprostował się i kościstymi palcami odgarnął mokre włosy z twarzy.

– Najpierw sprawdziłem emerytowanych profesorów w Rutgers.

Wszystkich, którzy tam kiedykolwiek wykładali.

To samo w Princeton.

W żadnej z tych uczelni nie było profesorów o nazwiskach jego rodziców.

To znaczy, jego wymyślonych rodziców.

Z nutą niekłamanej dumy w głosie Skeet odtworzył całą skomplikowaną drogę, jaką przebył w poszukiwaniu prostej prawdy o swoim ojcu.

Dochodzenie wymagało zsynchronizowanych wysiłków i sporej dozy kreatywnego myślenia, nie wspominając o trzeźwej logice.

Dusty nie mógł się nadziwić, że ten kruchy dzieciak, zniszczony przez życie oraz własne słabości i skłonności, potrafił skoncentrować się w takim stopniu i na tak długo, by uporać się z tym zadaniem.

– Ojciec mojego ojca, pułkownik Farner, umarł dawno temu – powiedział Skeet.

– Ale Luanne, jego matka, żyje.

Ma siedemdziesiąt osiem lat, mieszka w Cascade w Kolorado.

– Twoja babka – wtrącił Dusty.

– Jeszcze trzy tygodnie temu nie miałem pojęcia o jej istnieniu.

Dwa razy rozmawiałem z nią przez telefon.

Wydaje się na prawdę miłą, Dusty.

Pękło jej serce, kiedy jedyne dziecko wyrzuciło ich ze swego życia.

– Dlaczego to zrobił?

– Przekonania polityczne.

Nie pytaj mnie, co to znaczy.

– Przekonania?

– zdziwił się Dusty.

– Zmienia je jak skarpetki.

Musiało być coś innego.

– Nie, jeśli wierzyć Luanne.

Duma z osiągnięcia, która dała Skeetowi siłę, by usiadł prosto i podniósł głowę, nie wystarczyła na długo.

Stopniowo zapadł się i wycofał jak żółw w parę, mokry zapach i wilgotne fałdy przesiąkniętego deszczem ubrania.

– Nie stać cię na to wszystko po raz drugi – powiedział Skeet, gdy Dusty wjeżdżał na parking Kliniki Nowego Życia.

– Nie przejmuj się.

Mam nagrane dwie duże roboty.

Poza tym Martie projektuje wszystkie rodzaje straszliwej śmierci z rąk orków i innych potworów, a za to będą poważne pieniądze.

– Nie wiem, czy dam radę znowu przejść przez program.

– Dasz.

Dziś rano skoczyłeś z dachu.

Odwyk to będzie bułka z masłem.

Klinika mieściła się w budynku w stylu siedziby zarządu sieci dochodowych meksykańskich restauracji: dwupoziomowym, ze sklepionymi portykami na parterze i krytymi balkonami na piętrze, starannie upiękuszonym kwitnącymi purpurowo bugenwillami, którymi opleciono misternie kolumny i arkady.

Rezultatem agresywnego dążenia do perfekcji była disneyowska sztuczność, jakby wszystko aż do trawy na dachu zostało wytłoczone z plastiku.

Tutaj nawet brudny deszcz miał błyszczący poblask.

Dusty zaparkował furgonetkę przy krawężniku w pobliżu wejścia, w strefie zarezerwowanej dla izby przyjęć.

Wyłączył wycieraczki, ale nie zgasił silnika.

– Powiedziałeś mi, czego się dowiedziałeś?

– Masz na myśli kochanego tatusia?

– Skeet zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Nie.

Wystarczy, że ja to wiem.

W rzeczywistości Skeet bał się profesora Caulfielda nie mniej, niż kiedy był chłopcem – i zapewne nie bez powodu.

– Cascade w Kolorado – powiedział Skeet, wymawiając tę nazwę tak, jakby to było jakieś magiczne miejsce, kraina czarnoksiężników, gryfów i jednoroźców.

– Chcesz tam pojechać, zobaczyć się z babcią?

– Za daleko.

Za trudno – odparł Skeet.

– Już nie mogę prowadzić.

Z powodu notorycznego naruszania przepisów Skeet stracił prawo jazdy.

Codziennie jeździł do pracy z Figą Newtonem.

– Posłuchaj – powiedział Dusty – przejdiesz przez program, a ja zawiozę cię do Cascade na spotkanie z babcią.

Skeet otworzył oczy.

– Och, braciszku, to ryzykowne.

– No, nie jestem aż takim złym kierowcą.

– Chciałem powiedzieć, że ludzie często sprawiają nam zawód.

Z wyjątkiem ciebie i Martie.

I Dominique.

Ona nigdy mnie nie zawiodła.

Dominique była ich przyrodnią siostrą, córką pierwszego męża ich matki.

Cierpiała na zespół Downa i zmarła w niemowlęctwie.

Żaden z nich nigdy jej nie widział, chociaż Skeet odwiedzał czasem jej grób.

Nazywał ją „tą, która uciekła”.

– Ludzie zawsze sprawiają nam zawód – powiedział – i niemądrze jest oczekiwać od nich zbyt wiele.

– Mówiłeś, że przez telefon wydała ci się miła.

I najwyraźniej twój ojciec nienawidzi jej, a to dobry znak.

Cholernie dobry.

Poza tym, jeśli okaże się babką z piekła rodem, będę tam z tobą i połamię jej nogi.

Skeet uśmiechnął się.

Spoglądał z zadumą przez zalewaną deszczem szybę, nie na pejzaż za oknem, lecz zapewne na idealny obraz Cascade w Kolorado, który już namalował oczami wyobraźni.

– Powiedziała, że mnie kocha.

Nigdy mnie nie widziała, ale tak powiedziała.

– Jesteś jej wnukiem – odparł Dusty, wyłączając silnik.

Oczy Skeeta nie wydawały się po prostu zapuchnięte i przekrwione, lecz otarte, jakby widział zbyt wiele bolesnych rzeczy.

Ale na jego bladej, zapadniętej i wychudzonej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

– Nie jesteś tylko przyrodnim bratem.

Jesteś więcej niż bratem.

Dusty położył rękę na karku Skeeta i przyciągnął go do siebie, póki ich czoła nie zetknęły się.

Siedzieli tak przez chwilę, brew przy brwi, nie mówiąc ani słowa.

Potem wyszli z furgonetki na zimny deszcz.

Rozdział 9.

W poczekalni doktora Ahrimana stały dwie pary lakierowanych krzeseł z sykomorowego drewna obitych czarną skórą.

Podłoga była z czarnego granitu, podobnie jak blaty dwóch stolików, na których leżały ułożone w wachlarz egzemplarze „Architectural Digest” i „Yanity Fair”.

Kolor ścian pasował do ciepłego tonu drewna.

Dwa obrazy w stylu art deco, nocne pejzaże miejskie przypominające niektóre z wczesnych prac Georgii O’Keeffe, były jedynymi dziełami sztuki.

Stylowy wystrój był również zdumiewająco spokojny.

Jak zawsze, Susan wyraźnie się ożywiła, gdy przekroczyła próg poczekalni.

Po raz pierwszy od chwili wyjścia z mieszkania nie musiała wspierać się na Martie.

I wyglądała znacznie lepiej.

Podniosła głowę, opuściła kaptur płaszcza i oddychała przeciągle, jakby wynurzyła się właśnie z zimnego, głębokiego stawu.

Martie również poczuła znaczną ulgę.

Jej osobliwy niepokój, który nie wydawał się związany z jakimś szczególnym źródłem, zmniejszył się nieco, kiedy zamknęła za sobą drzwi poczekalni.

Sekretarka doktora, Jennifer, siedziała za biurkiem ze słuchawką telefoniczną przy uchu.

Pomachała im na powitanie przez okno recepcji.

Wewnętrzne drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Doktor Ahriman, jakby dowiedział się telepatycznie o przybyciu pacjenta, wyszedł z tak samo gustownie umeblowanego pokoju, w którym prowadził sesje terapeutyczne.

Ubrany w ciemnoszary garnitur z kamizelką, równie stylowy jak jego gabinet, poruszał się z gracją charakterystyczną dla zawodowych sportowców.

Miał lat czterdzieści z okładem, przyprószone siwizną włosy, był wysoki, opalony i tak przystojny jak na fotografiach z obwolut swoich poczytnych książek o psychologii.

Chociaż jego orzechowe oczy patrzyły niezwykle bezpośrednio, ich spojrzenie nie było natarczywe ani wyzywające, nie kliniczne, lecz ciepłe i uspokajające.

Doktor Ahriman w niczym nie przypominał ojca Martie, odnajdywała w nim jednak uprzejmość, szczerze zainteresowanie ludźmi i spokojną pewność siebie Uśmiechniętego Boba.

Dla niej roztaczał wokół siebie ojcowską aurę.

Zamiast pogłębić agorafobię Susan zatroskanym pytaniem, jak zniosła podróż z mieszkania, zaczął rozprawiać ze swadą o pięknie burzy, jakby mokry poranek był co najmniej tak samo świetlisty jak płótno Renoira.

Kiedy opisywał przyjemności spacerowania w deszczu, chłód i wilgoć nabierały uroku słonecznego dnia na plaży.

Zdejmując płaszcz i wręczając go Martie, Susan uśmiechała się.

Lęk zniknął z jej twarzy, choć tlił się jeszcze w oczach.

Kiedy przechodziła z poczekalni do gabinetu, nie poruszała się już jak stara kobieta, lecz jak młoda dziewczyna, najwyraźniej gotowa stawić czoło rozległej panoramie linii brzegowej, która czekała na nią za oknami czternastego piętra.

Martie, jak zawsze, była pod wrażeniem natychmiastowego kojącego wpływu, który doktor wywierał

na Susan, i mało brakowało, a postanowiłaby nie dzielić się z nim swoimi obawami.

Potem jednak, zanim wszedł w ślad za Susan do gabinetu, spytała, czy mogłaby zamienić z nim słowo.

– Zaraz do pani przyjdę – powiedział do Susan i zamknął drzwi gabinetu.

Przechodząc z Ahrimaniem na środek poczekalni i zniżając głos, Martie powiedziała: – Martwię się o nią, doktorze.

Jego uśmiech był krzepiący jak gorąca herbata, kruche ciasto i fotel przy kominku.

– Świetnie sobie radzi, pani Rhodes.

Mam wszelkie powody do zadowolenia.

– Nie ma jakichś leków, które mógłby jej pan dać?

Czytałam, że środki uspokajające...

– W jej przypadku środki uspokajające byłyby wielkim błędem.

Leki nie zawsze są wskazane, pani Rhodes.

Proszę mi wierzyć, gdyby mogły jej pomóc, wypisałbym receptę w tej chwili.

– Ale to trwa już szesnaście miesięcy.

Podniósł głowę i spojrzał na nią tak, jakby podejrzewał, że z niego kpi.

– Naprawdę nie zauważyła pani u niej żadnych zmian, zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

– O, tak.

Mnóstwo.

I wydaje mi się...

No cóż, nie jestem lekarzem ani terapeutą, ale ostatnio stan Susan chyba się pogorszył.

Bardzo się pogorszył.

– Ma pani rację.

Pogorszył się, ale to nie jest zły objaw.

Zbita z tropu Martie wybąkała: – Nie jest?

Widząc głębię rozpaczony Martie i zapewne intuicyjnie wyczuwając, że jej lęk nie bierze się wyłącznie z troski o przyjaciółkę, doktor Ahriman poprowadził ją w stronę krzesła.

Sam usiadł obok niej.

– Agorafobia – zaczął – prawie zawsze zaczyna się gwałtownie, rzadko stopniowo.

Strach jest tak samo intensywny podczas pierwszego ataku paniki jak podczas setnego.

Kiedy więc następuje zmiana w intensywności, często oznacza to, że pacjent jest na granicy przewyciężenia choroby.

– Nawet jeśli stan się pogarsza?

– Zwłaszcza jeśli się pogarsza.

– Ahriman zawahał się.

– Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że nie mogę naruszać prywatności Susan, dyskutując o szczegółach jej konkretnego przypadku.

Generalnie jednak osoba cierpiąca na agorafobię często wykorzystuje swój strach jako ucieczkę od świata, sposób na odseparowanie się od innych ludzi lub uniknięcie szczególnie przykrych doświadczeń osobistych.

W izolacji znajduje przewrotną przyjemność...

– Ale Susan nienawidzi swojego strachu i zamknięcia w mieszkaniu.

Skinął głową.

– Jej rozpacz jest głęboka i szczerą.

A jednak jej potrzeba izolacji jest większa niż cierpienie z powodu ograniczeń narzucanych przez chorobę.

Martie rzeczywiście zauważyła, że czasem Susan trzyma się swojego mieszkania dlatego, że jest tam szczęśliwa, a nie dlatego, że boi się świata zewnętrznego.

– Jeśli pacjent zaczyna rozumieć, dlaczego wybiera samotność – ciągnął Ahriman – jeśli w końcu zaczyna rozpoznawać prawdziwe źródło lęków, któremu nie chce stawić czoła, wtedy czasem, w odruchu buntu, ucieka głębiej w agorafobię.

Nasilenie symptomów oznacza zwykle, że wznosi ostatnią linię obrony przed prawdą.

Kiedy ta linia pęka, staje wreszcie przed tym, czego naprawdę się boi: nie otwartej przestrzeni, lecz czegoś bardziej osobistego i bezpośredniego.

Wyjaśnienia doktora brzmiały dla Martie sensownie, a mimo to nie było jej łatwo zaakceptować teorię, że postępujące pogorszenie prowadzi nieuchronnie do wyleczenia.

Przez ostatni rok walka jej ojca z rakiem odbywała się na równi pochyłej, a na samym dnie czekało nie radosne wyzdrowienie, lecz śmierć.

Oczywiście, choroby psychicznej nie można porównywać z rakiem.

A jednak...

– Uspokoilem panią, pani Rhodes?

– Iskierka humoru zamigotała w oczach doktora Ahrimana.

– Czy też uważa pani, że to tylko taki psychiatryczny bełkot?

Podbił ją swoim wdziękiem.

Imponująca kolekcja dyplomów w jego gabinecie, sława największego specjalisty w leczeniu fobii w Kalifornii, a zapewne i w kraju, a także przenikliwy umysł nie działały więcej, by wzbudzić zaufanie pacjentów, niż jego podejście do chorych.

Martie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Nie.

Jeśli ktoś tu bełkocze, to ja.

Przypuszczam...

Czuję, że zawiodłam ją w jakiś sposób.

– Nie, nie, nie.

– Położył rękę na jej ramieniu uspokajającym gestem.

– Pani Rhodes, nie potrafię podkreślić dostatecznie mocno, jak ważna jest pani dla wyzdrowienia Susan.

Pani oddanie znaczy dla niej więcej niż wszystko, co ja mogę zrobić.

Niech pani nie waha się wyrażać przede mną swoich obaw.

Pani troska o nią jest opoką, na której stoi.

– Przyjaźnimy się od dziecka, przez większą część życia – powiedziała Martie ochryłym głosem.

– Bardzo ją kocham.

Nie mogłabym kochać jej bardziej, gdyby była moją siostrą.

– O tym właśnie mówię.

Miłość może działać więcej niż terapia, pani Rhodes.

Nie każdy pacjent ma kogoś takiego jak pani.

Susan jest w bardzo szczęśliwej sytuacji pod tym względem.

Oczy Martie zaszyły mgłą.

– Wydaje się taka zagubiona – powiedziała cicho.

Jego palce zacisnęły się lekko na jej ramieniu.

– Odnajdzie się.

Proszę mi wierzyć, tak będzie.

Wierzyła mu.

Pocieszył ją do tego stopnia, że prawie wspomniała o własnych dziwacznych napadach lęku tego ranka: cień, lustro, mezzaluna, spiczasty koniec i ząbkowana krawędź kluczyka od samochodu...

Susan czekała w gabinecie na sesję.

Ten czas należał do niej, nie do Martie.

– Coś jeszcze?

– spytał doktor Ahriman.

– Nie.

Już mi lepiej – powiedziała, wstając.

– Dziękuję.

Bardzo panu dziękuję, doktorze.

– Proszę nie tracić wiary, pani Rhodes.

– Nie tracę.

Uśmiechnął się, uniósł w górę kciuk, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

Martie przeszła wąskim korytarzem pomiędzy gabinetem doktora a podręcznym archiwum do drugiej poczekalni.

Była mniejsza, ale podobna do pierwszej.

Stamtąd tylne drzwi prowadziły do gabinetu doktora Ahrimana, a kolejne drzwi otwierały się na korytarz czternastego piętra.

Dzięki podwójnej poczekalni następni pacjenci i osoby towarzyszące, jeśli takie były, nie spotykały się z pacjentami wychodzącymi, co zapewniało każdemu wymaganą prywatność.

Martie powiesiła płaszcz Susan i swój na wieszaku przy drzwiach wyjściowych.

Dla zabicia czasu przyniosła ze sobą książkę, powieść sensacyjną, ale nie mogła skupić się na intrydze.

Żadna z mrozących w żyłach rzeczy, które działy się w książce, nie była tak niepokojąca jak prawdziwe wydarzenia tego poranka.

Niebawem Jennifer, sekretarka doktora, przyniosła kubek kawy – czarnej, bez cukru, takiej jaką Martie lubiła – i czekoladowy biszkopt.

– Nie zapytałam, czy wolałaby pani coś zimnego.

Po prostu uznałam, że w taki dzień jak dziś kawa będzie w sam raz.

– Doskonała.

Dziękuję, Jenny.

Kiedy Martie po raz pierwszy przyszła tu z Susan, zaskoczył ją ten prosty przejaw uprzejmości; chociaż nie odwiedzała wcześniej gabinetów psychiatrów, przyjęła za pewnik, że tak troskliwe traktowanie nie jest typowe dla tej profesji, i nadal była nim oczarowana.

Kawa była mocna, ale nie gorzka.

Biszkopt smakował wybornie; postanowiła spytać Jennifer, gdzie go kupuje.

To zabawne, jak jedno dobre ciastko może uspokoić umysł i napęlić otuchą udręczoną duszę.

Po chwili zdołała skoncentrować się na książce.
Styl był dobry, fabuła zajmująca, a postacie barwne.
Powieść podobała się jej.
Druga poczekalnia była wymarzonym miejscem do czytania.
Cisza.
Żadnych okien.
Żadnej irytującej muzyki w tle.
Niczego, co rozpraszałoby uwagę.
W powieści występował lekarz, który lubił haiku.
Wysoki, przystojny, obdarzony dźwięcznym głosem, recytował haiku, stojąc przed wielkim oknem i patrząc na burzę: Tęskny wiatr zawodzi, przenikliwy deszcz, rozdarty papier mówi do siebie.
Martie pomyślała, że poemat jest piękny.
Oszczędne linijki doskonale oddawały nastrój tego styczniowego deszczu, który siekł wybrzeże za oknem.
Cudowne – obraz burzy i słowa.
Mimo to poemat wzburzył ją.
Był niepokojący.
Za pięknymi obrazami czaiła się złowieszcza intencja.
Ogarnął ją nagły lęk, poczucie, że nic nie jest tym, czym być powinno.
Zamknęła oczy, musiała się uspokoić.
Musiała się uspokoić.
Uspokoić.
Nie tracić wiary.
Stopniowo doszła do siebie.
Postanowiła spędzić czas z książką.
Książki to dobra terapia.
W książce można się zatracić, zapomnieć o kłopotach, o strachu.
Ta konkretna książka wydawała się szczególnie dobrą ucieczką.
Prawdziwy dreszczowiec.
Styl był dobry, fabuła zajmująca, a postacie barwne.
Podobała się jej.

Rozdział 10.

Jedyny wolny pokój w Klinice Nowego Życia mieścił się na piętrze.

Przez okna rozciągał się widok na dobrze utrzymany ogród.

Palmy i paprocie chwiały się na wietrze, krwistoczerwone cyklameny dygotały.

Skeet, którego ubranie wciąż lekko parowało, siedział w fotelu z błękitnym tweedowym obiciem.

Kartkował nieuważnie stary numer „Timesa”.

Był to pokój prywatny, a nie półprywatny.

Pojedyncze łóżko z kapą w żółte i zielone pasy.

Jedna lakierowana szafka nocna z jasnego drewna i także komoda.

Bielone ściany, ciemno-pomarańczowe zasłony, żółto-zielony dywan.

Kiedy grzeszni projektanci wewnątrz idą do piekła, kwaterują ich tam na wieczność w takich właśnie pokojach.

W przyległej łazience znajdowała się kabina prysznicowa, ciasna jak budka telefoniczna.

W rogu lustra nad umywalką widniała czerwona nalepka: SZKŁO HARTOWANE.

Po stłuczeniu nie rozbijało się na ostre kawałki potrzebne do podcięcia sobie nadgarstków.

Pokój, choć skromny, był drogi, ponieważ Klinika Nowego Życia zapewniała lepszą opiekę niż umeblowanie.

Ubezpieczenie zdrowotne Skeeta nie obejmowało terapii dla niedoszłych samobójców i kuracji odwykowej, toteż Dusty wypisał już czek za cztery tygodnie pobytu z wyżywieniem i zobowiązał się zapłacić za usługi terapeutów, lekarzy, konsultantów i pielęgniarzy.

Ponieważ była to już trzecia kuracja odwykowa Skeeta – druga w Klinice Nowego Życia – Dusty zaczynał podejrzewać, że aby się powiodła, Skeet nie potrzebuje psychologów, lekarzy i terapeutów, lecz czarodzieja, wróżki i magicznej pałeczki.

Skeet miał pozostać w klinice przynajmniej trzy tygodnie.

Może sześć.

Z powodu próby samobójczej kilku pielęgniarzy musiało czuwać nad nim na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez co najmniej trzy dni.

Nawet z nagranyymi już kontraktami na remonty i honorarium Martie za projekt nowej gry wideo na podstawie „Władcy pierścieni” w tym roku nie będą mogli pozwolić sobie na długie hawajskie wakacje.

Zamiast tego powieszą na ganku lampiony tiki, włożą koszule aloha, nastawią płytę Dona Ho i przyrządzą sobie luau z puszkowanej szynki.

Też będzie przyjemnie.

Każda chwila spędzona z Martie jest przyjemna, niezależnie od tego, czy scenerię stanowi zatoka Waimea czy pomalowany parkan z desek na tyłach ich ogródka.

Gdy Dusty przysiadł na skraju łóżka, Skeet odrzucił „Timesa”.

– Ten magazyn schodzi na psy, odkąd przestali zamieszczać zdjęcia gołych pańienek.

Ponieważ Dusty nie odpowiedział, Skeet dodał pospiesznie: – To był tylko żart, braciszku, a nie naćpane gadanie.

Nie jestem już szczególnie nagrany.

– Byłeś zabawniejszy, kiedy byłeś.

– Wiem.

Ale kiedy samolot spadnie, trudno być zabawnym we wraku.

Głos mu drżał jak wirujący bąk, który traci rozpęd.

Werbel deszczu na dachu działał zwykle kojąco, ale teraz brzmiał przygnębiająco, jak zimne przypomnienie wszystkich marzeń i przesiąkniętych narkotykami lat splukanych do ścieku.

Skeet przycisnął do powiek blade, pomarszczone palce.

– W łazience widziałem w lustrze swoje oczy.

Jakby ktoś splunął flegmą do dwóch brudnych popielniczek.

Jezu, i tak też się czuję.

– Chciałbyś coś oprócz przyborów do mycia?

Jakieś czasopisma, książki, radio?

– Nie.

Przez kilka dni będę dużo spał.

– Popatrzył na końce swoich palców, jakby sądził, że mógł się do nich przykleić kawałek jego oka.

– Doceniam to, Dusty.

Nie jestem tego wart, ale doceniam to.

W jakiś sposób zwrócę ci pieniądze.

– Zapomnij o tym.

– Nie.

Chcę ci zwrócić.

– Powoli rozptywał się na fotelu, jakby był woskową świecą w kształcie człowieka.

– To dla mnie ważne.

Może wygram na loterii albo coś takiego.

Czemu nie?

To mogłoby się stać.

– Mogłoby – zgodził się Dusty, bo chociaż nie wierzył w loterię, wierzył w cuda.

Pojawił się pielęgniarz z pierwszej zmiany, młody Azjata nazwiskiem Tom Wong, którego spokojna fachowość i chłopięcy uśmiech umocniły Dusty'ego w przekonaniu, że oddaje brata w dobre ręce.

Nazwisko wypisane na karcie informacyjnej pacjenta brzmiało Holden Caulfield junior, ale kiedy Tom przeczytał je głośno, Skeet ocknął się z letargu.

– Skeet!

– powiedział z naciskiem, siadając prosto i zaciskając pięści.

– Tak się nazywam.

Skeet i tylko Skeet.

Niech pan nigdy nie nazywa mnie Holdenem.

Nigdy.

Jak mogę być Holdenem juniorem, skoro mój cholerny podrabiany ojciec nie jest nawet Holdenem seniorem?

Powiniennem być Samem Farnerem juniorem.

Ale tak też proszę mnie nie nazywać!

Jeśli zwróci się pan do mnie inaczej niż Skeet, rozbiorę się do naga, podpale sobie włosy i rzucę się z tego wspaniałego okna.

Jasne?

Zrozumiał pan?

Czy tego pan właśnie chce, żebyśmy wykonał nagi, płonący samobójczy skok do tego ślicznego małego

ogródka?

Śmiejąc się i potrząsając głową, Tom Wong powiedział: – Nie na mojej zmianie, Skeet.

Płonące włosy to byłby zabawny widok, ale z pewnością nie chciałbym oglądać cię nagiego.

Dusty uśmiechnął się z ulgą.

Tom uderzył we właściwy ton.

I Osuwając się z powrotem na fotel, Skeet powiedział: – Jest pan w porządku, panie Wong.

– Proszę mi mówić Tom.

Skeet potrząsnął głową.

– Jestem ciężkim przypadkiem opóźnienia w rozwoju, zatrzymanym na wczesnym etapie dojrzewania, bardziej skomplikowanym, powikłanym i pokreconym niż para kopulujących dżdżownic.

Nie potrzebuję tu zgrai nowych przyjaciół, panie Wong.

Potrzebuję natomiast autorytetów, ludzi, którzy pokażą mi drogę, ponieważ naprawdę nie mogę tak dalej żyć i naprawdę chcę odnaleźć właściwą drogę.

Czy to jasne?

– Jasne – odparł Tom Wong.

– Wrócę z twoimi rzeczami – powiedział Dusty.

Skeet spróbował wstać, ale nie starczyło mu sił, by podnieść się z fotela.

Dusty pochylił się i pocałował go w policzek.

– Kocham cię, braciszku.

– Problem w tym – powiedział Skeet – że nigdy nie zwrócę ci pieniędzy.

– Na pewno zwrócisz.

Loteria, pamiętasz?

– Nie mam szczęścia.

– Wobec tego kupię dla ciebie los – powiedział Dusty.

– Zrobisz to?

Ty masz szczęście.

Zawsze miałeś.

Do diabła, znalazłeś Martie.

Tarzasz się w szczęściu po uszy.

– Zarobiłeś trochę pieniędzy.

Będę ci kupował dwa losy tygodniowo.

– To byłoby wspaniale.

– Skeet zamknął oczy.

Jego głos przeszedł w niewyraźny pomruk.

– To byłoby...

wspaniale.

Zasnął.

– Biedny dzieciak – powiedział Tom Wong.

Dusty skinął głową.

Z pokoju Skeeta Dusty poszedł prosto do ambulatorium na pierwszym piętrze, gdzie porozmawiał z naczelną pielęgniarką, Colleen O'Brien, tęgą, piegowatą kobietą o siwych włosach i łagodnych oczach, która mogłaby grać matkę przełożoną każdego zakonu w każdym filmie o katolicyzmie.

Twierdziła, że zdaje sobie sprawę ze wszystkich ograniczeń w sposobie leczenia przypadku Skeeta,

ale Dusty i tak omówił z nią to wszystko jeszcze raz.

– Żadnych leków.

Ani uspokajających, ani uśmierzających, ani przeciwdepresyjnych.

Przyjmował taki lub inny cholerny lek, odkąd skończył pięć lat, czasem dwa albo trzy naraz.

Miał trudności z koncentracją, co nazwano zaburzeniem reaktywnym, i ojciec kazał mu brać leki.

Kiedy jeden lek wywoływał efekty uboczne, przepisywano środki, które miały je zniwelować, a kiedy te z kolei powodowały efekty uboczne, przepisywano inne leki, aby zrównoważyć nowe efekty uboczne.

Wyrastał na chemii i właśnie dlatego jest taki pokręcony.

Do tego stopnia przyzwyczał się łykać pigułki lub brać zastrzyki, że nie potrafi wyobrazić sobie życia bez nich.

– Doktor Donklin wie o tym – powiedziała Colleen, wyjmując kartę Skeeta.

– Nie zalecił żadnych środków farmakologicznych.

– Metabolizm Skeeta jest tak rozregulowany, a jego system nerwowy tak rozstrojony, że nigdy nie można być pewnym, jaką reakcję wywoła u niego nieszkodliwy normalnie lek.

– Nie dostanie nawet tylenolu.

Słuchając siebie, Dusty zdał sobie sprawę, że w swojej trosce o Skeeta stał się gadatliwy.

– Raz prawie się wykończył tabletkami kofeinowymi, od których się uzależnił.

Wpadł w psychozę kofeinową, miał halucynacje i dostał konwulsji.

Teraz jest na nią niezwykle wrażliwy, a nawet uczulony.

Jeśli da mu pani kawę lub colę, może doznać wstrząsu anafilaktycznego.

– Synu, to też jest w karcie.

Wierz mi, dobrze się nim zajmiemy.

– Ku zaskoczeniu Dusty’ego uczyniła znak krzyża, a potem mrugnęła do niego.

– Pod moją opieką twojemu młodszemu bratu nie stanie się żadna krzywda.

– Dziękuję, pani O’Brien – powiedział cicho.

– Bardzo pani dziękuję.

Na zewnątrz, w furgonetce, nie od razu włączył silnik.

Za bardzo się trząsł, aby prowadzić.

Drgawki były po części spóźnioną reakcją na upadek z dachu Sorensonów, ale trząsł nim również gniew.

Gniew na biednego, pokręconego Skeeta i nieustanne kłopoty, jakich przysparzał.

A gniew sprawił, że zadrżał ze wstydu, ponieważ kochał Skeeta i czuł się za niego odpowiedzialny, ale nie mógł zrobić nic, aby mu pomóc.

Najgorsze ze wszystkiego było właśnie poczucie bezsilności.

Położył ręce na kierownicy, oparł czoło na rękach i zrobił coś, na co rzadko sobie pozwalał.

Rozpłakał się.

Rozdział 11.

Po sesji z doktorem Ahrimanem Susanl Jagger wydawała się dawną sobą, kobietą, którą była przed agorafobią.

Kiedy wkładała płaszcz, oświadczyła, że umiera z głodu.

Z humorem i znajomością rzeczy skrytykowała trzy chińskie restauracje, do których Martie proponowała wstąpić w drodze powrotnej.

– Nie przeszkadza mi glutaminian sodu ani nadmiar ostrej papryki w wołowinie po seczuańsku, ale obawiam się, że muszę odrzucić wybór numer trzy, ponieważ mogłybyśmy tam dostać nieapetyczne przybranie z karaluchów.

Nic w jej twarzy lub zachowaniu nie wskazywało, że cierpi na jakąkolwiek fobię.

Kiedy Martie otworzyła drzwi na korytarz czternastego piętra, Susan powiedziała: – Zapomniałaś książki.

Powieść leżała na małym stoliku przy krześle, na którym Martie siedziała wcześniej.

Przeszła przez poczekalnię, ale zawahała się, nim podniosła książkę.

– Co się dzieje?

– spytała Susan.

– He?

Och, nic.

Wydawało mi się, że zgubiłam zakładkę.

– Martie wsunęła książkę do kieszeni płaszcza.

W korytarzu Susan zachowała dobry nastrój, ale kiedy zjeżdżały windą, jej zachowanie zaczęło się zmieniać.

Zanim dotarły do hallu, jej twarz pobladła, a drzenie w głosie ścięło nutę do brego humoru w kwaśny niepokój.

Przygarbiła się, zwiesiła głowę i pochyliła się do przodu, jakby już czuła zimne smagnięcia szalejącej na zewnątrz burzy.

Z windy wyszła o własnych siłach, ale po przejściu kilku kroków musiała wesprzeć się na ramieniu Martie.

Kiedy zbliżały się do drzwi, strach znów przemienił ją w roztrzęsioną, godną pożałowania istotę.

Droga do samochodu była męcząca.

Zanim dotarły do zaparkowanego przed budynkiem saturna, Martie rozbolał prawy bark i szyja, ponieważ Susan wczepiła się w nią kurczowo i przywarła bezradnie do jej ramienia.

W samochodzie skuliła się na fotelu pasażera, obejmując się rękami i kołysząc, jakby ścisnęło ją w żołądku, z opuszczoną głową, aby nie patrzeć na świat za oknami.

– Czułam się tak dobrze tam na górze – poskarżyła się żałośnie – z doktorem Ahrimanem, przez całą sesję, tak dobrze.

Czułam się normalnie.

Byłam pewna, że kiedy stamtąd wyjdę, będzie lepiej, przynajmniej trochę lepiej, a tymczasem jest gorzej niż przedtem.

– Nie jest gorzej, kochanie – powiedziała Martie, uruchamiając silnik.

– Wierz mi, kiedy tu jechałyśmy, też byłaś cierniem w tyłku.

– No cóż, czuję się gorzej.

Czuję się tak, jakby coś miało spaść z góry, z nieba, i zmiotć mnie.

– To tylko deszcz – powiedziała Martie, ponieważ ulewa bębniła teraz o dach ze zdwojoną siłą.

– To nie deszcz.

Coś gorszego.

Coś potwornie ciężkiego.

Wiszącego nad nami.

O Boże, nienawidzę tego.

– Wlejemy w ciebie butelkę tsingtao.

– To nie pomoże.

– Dwie butelki.

– Potrzebuję beczki.

– Dwóch beczek.

Upijemy się razem.

Nie podnosząc głowy, Susan powiedziała: – Jesteś dobrą przyjaciółką, Martie.

– Zobaczmy, czy będziesz myśleć tak samo, kiedy trafimy obie do poradni odwykowej dla alkoholików.

Rozdział 12.

Z Kliniki Nowego Życia Dusty pojechał do domu, aby zmienić mokry strój roboczy na suche ubranie.

W drzwiach prowadzących z garażu do kuchni powitał go z psim entuzjazmem Lokaj, merdając ogonem tak energicznie, że trząsał mu się cały zad.

Sam widok psa wyrwał Dusty'ego z ponurego nastroju.

Przykucnął i przywitał się z nim nos w nos, drapiąc go delikatnie za aksamitnymi uszami, pod brodą, głaszcząc po karku i gęstym zimowym futrze na piersi.

On i Lokaj jednakowo cieszyli się tą chwilą.

Głaskanie, drapanie i przytulanie psa może być tak kojące dla umysłu i serca jak głęboka medytacja – i prawie tak dobre dla duszy jak modlitwa.

Kiedy Dusty zajął się ekspresem do kawy, Lokaj przewrócił się na grzbiet, domagając się drapania po brzuchu.

– Jesteś niemożliwym pieszczochem – powiedział Dusty.

Ogon Lokaja zamiatał kafelki podłogi.

– Powinienem się tobą zająć – przyznał Dusty – ale w tej chwili bardziej potrzebuję kawy.

Bez obrazy.

Jego serce zdawało się pompować freon zamiast krwi.

Mróz przenikał go do szpiku kości.

Ciepły strumień powietrza z klimatyzacji w furgonetce nie zdołał go rozgrzać.

Liczył na kawę.

Kiedy Lokaj zdał sobie sprawę, że nie będzie drapania po brzuchu, podniósł się i poczłapał przez kuchnię do małej łazienki.

Wetknął pysk w szczelinę uchylonych drzwi i obwąchiwał ciemność.

– W kącie masz idealnie czystą miskę z wodą – powiedział Dusty.

– Dlaczego chcesz pić z sedesu?

Lokaj spojrział na niego, a potem znów skupił uwagę na ciemnej łazience.

Kiedy świeżo zaparzona kawa zaczęła kapać do szklanego dzbanka, wypełniając kuchnię upajającym aromatem, Dusty poszedł na górę, gdzie przebrał się w dżinsy, białą koszulę i granatowy sweter.

Zazwyczaj kiedy tylko jedno z nich było w domu, towarzyszył mu wszędzie, licząc na pieszczoły, zabawę czy choćby słowo pochwały.

Tym razem pozostał na dole.

Kiedy Dusty wrócił do kuchni, pies nadal tkwił w drzwiach łazienki.

Podszedł do swego pana, przyglądał się, jak Dusty napełnia filiżankę parującą kawą, a potem wrócił pod uchylone drzwi.

Kawa była mocna, pachnąca i bardzo gorąca, lecz ciepło, które zapewniała, okazało się bardzo powierzchowne.

Lód w kościach Dusty'ego wcale nie topniał.

Prawdę mówiąc, gdy pochylał się nad blatem i obserwował Lokaja obwąchującego szczelinę pomiędzy drzwiami łazienki a framugą, poczuł nowy, inny chłód.

– Coś nie tak, kosmata fajtłapo?

Lokaj spojrział na niego i zaskomlił.

Dusty nalał sobie drugą filiżankę kawy, lecz zanim jej spróbował, podszedł do łazienki, trącił Lokaja,

aby się odsunął, pchnął drzwi do środka i zapalił światło.

W umywalce poniewierało się kilka brudnych chusteczek higienicznych wysypanych z mosiężnego pojemnika na śmieci.

Sam pojemnik leżał na zamkniętej pokrywie sedesu.

Ktoś najwyraźniej użył go, by rozbić lustro na drzwiach apteczki.

Ostre odłamki połyskiwały na podłodze łazienki jak stężała błyskawica.

Rozdział 13.

Martie, idąc do restauracji, aby wziąć coś na wynos – mu gu gai pan, wołowinę po seczuańsku, groszek, brokuły, ryż i karton z sześcioma butelkami zimnego tsingtao – zostawiła Susan w samochodzie z włączonym silnikiem i radiem nastawionym na stację nadającą klasycznego rocka.

Zamówiła jedzenie po drodze, przez telefon komórkowy, i kiedy przyjechała, wszystko było gotowe.

Z powodu deszczu kartonowe pojemniki z jedzeniem i piwem zostały zapakowane do dwóch plastikowych toreb.

Martie, zanim jeszcze wyszła z restauracji kilka minut później, wyraźnie słyszała, jak Gary U.S. Bonds ryczy „Szkola się skończyła” przy wtórze zawodzących saksofonów.

Skrzywiła się, wsiadłszy do samochodu.

Membrany samochodowych głośników wibrowały tak gwałtownie, że kilka drobnych monet leżących na pokrywie skrzyni biegów podzwaniało o siebie.

Susan pozostawiona sama w samochodzie, choć nie znajdowała się w otwartej przestrzeni i trzymała głowę nisko, starając się nie patrzeć w okna, czuła się przytłoczona rozległym światem na zewnątrz.

Głośna muzyka pomagała jej, odwracając uwagę i zmniejszając skłonność do ulegania panice.

O natężeniu strachu świadczyła głośność muzyki, której potrzebowała, aby go przezwyciężyć.

Ten atak musiał być naprawdę poważny: głośniej nastawić radia już by się nie dało.

Martie radykalnie ściszyła radio.

Dynamiczne rytmy i hucząca melodia „School Is Out” całkowicie głużyły odgłosy burzy.

Teraz nad nimi znów rozległ się pomruk werbli, grzechot marakasów i syczenie cymbałów ulewy.

Rozdygotana, dysząca ciężko Susan nie podniosła głowy ani się nie odezwała.

Martie też nie powiedziała ani słowa.

Nauczyła się już, jak należy postępować z Susan.

Czasami wystarczyło przemówić do niej, przymilić się, pocieszyć, albo przeciwnie – huknąć na nią, by otrząsnęła się z przerażenia.

Przy innych okazjach jednak, tak jak teraz, najlepsze, co można było zrobić, aby pomóc jej zejść z najwyższego szczebla drabiny strachu, to nie zwracając uwagi na jej stan, ponieważ mówienie o tym potęgowało tylko trawiący ją lęk.

Po przejechaniu kilku przecznic Martie powiedziała: – Wzięłam też pałeczki.

– Dziękuję, wolę widelec.

– Chińszczyzna nie smakuje naprawdę jak chińszczyzna, jeśli używa się widelca.

– A krowie mleko nie smakuje naprawdę jak mleko, jeśli nie tryska ci do ust prosto z wymienia.

– Pewnie masz rację.

– Zadowolę się więc rozsądną namiastką autentycznego smaku.

Nie przeszkadza mi, że jestem drobnomieszczanką, dopóki mogę być drobnomieszczanką z widelcem.

Nim zaparkowały w pobliżu jej domu na półwyspie Balboal Susan odzyskała panowanie nad sobą na tyle, by przejść z samochodu do swego mieszkania na drugim piętrze.

Mimo to przez cały czas wspierała się na Martie.

Bezpieczna w swoim mieszkaniu, za szczelnie zaciągniętymi wszystkimi firankami i zasłonami, Susan znów mogła stanąć prosto, z opuszczonymi swobodnie ramionami i podniesioną głową.

Grymas przerażenia zniknął z jej twarzy.

Choć jej oczy pozostały niespokojne, nie wypełniał ich już obłądny strach.

– Jeśli nakryjesz do stołu – powiedziała – wstawię jedzenie do mikrofalówki.

W jadalni, gdy Martie kładła widelec obok nakrycia Susan, ręka zaczęła jej gwałtownie drżeć.

Zęby z nierdzewnej stali zadzwoniły o porcelanowy talerz.

Rzuciła widelec na obrus i spojrzała na niego z lękiem, który szybko przerodził się w tak niepoahamowany wstręt, że cofnęła się od stołu.

Zęby były złowieszczo ostre.

Nigdy dotąd nie pomyślała, jak niebezpieczny może być zwykły widelec!

Można nim wyłupić oko.

Rozorać twarz.

Wbić komuś w szyję i wyciągnąć tętnicę szyjną, jakby nawijało się nitkę spaghetti.

Można...

Owładnięta rozpaczliwym pragnieniem, aby znaleźć dla rąk jakieś nieszkodliwe zajęcie, otworzyła jedną z szuflad kredensu i wyjęła talię kart do gry w bezika.

Stojąc przy stole jadalnym, tak daleko od widelca, jak tylko mogła, zaczęła tasować talię.

Z początku robiła to niezdarnie, rozsypując karty po stole, potem jej ruchy stały się bardziej skoordynowane.

Nie mogła jednak tasować kart w nieskończoność.

Zając się czymś.

Czymś nieszkodliwym.

Dopóki ten dziwny nastrój nie przeminie.

Starając się ukryć wzburzenie, poszła do kuchni, gdzie Susan czekała, aż zabrzęczy zegar w kuchence mikrofalowej.

Martie wyjęła z lodówki dwie butelki tsingtao.

Pomieszczenie wypełniała złożona woń chińskiego jedzenia.

– Myślisz, że chińskie żarcie ma autentyczny zapach, kiedy jestem tak ubrana?

– spytała Susan.

– Co takiego?

– Może powinnam włożyć czang szan, żeby pachniało prawdziwie.

– Cha, cha – powiedziała Martie, zbyt wstrząśnięta, by zdobyć się na dowcipną odpowiedź.

Omam nie postawiła piwa na blacie do krojenia przy zlewie, ale mezzaluna nadal tam leżała, a jej zakrzywione ostrze połyskiwało złowrogo.

Na widok noża gwałtownie załomotało jej serce.

Postawiła butelki na małym stole kuchennym.

Wyjęła z szafki dwie szklanki i postawiła je obok.

Zając się czymś.

Zaczęła przeszukiwać szufladę pełną różnych przyborów, dopóki nie znalazła otwieracza.

Wyrzebała go spośród innych przedmiotów i wróciła do stołu.

Otwieracz miał jeden koniec zaokrąglony, do kapsli.

Drugi koniec, ostry i wygięty, służył do otwierania puszek.

Zanim dotarła do stołu, otwieracz wydał się jej narzędziem tak samo morderczym jak widelec i mezzaluna.

Szybko położyła go obok piwa i szklanek, bojąc się, że wypadnie jej z drżącej ręki lub że sama rzuci

go z przerażeniem.

– Otworzysz piwo?

– spytała, wychodząc z kuchni, zanim Susan zdążyła zobaczyć jej wystraszoną twarz.

– Muszę skorzystać z toalety.

Mijając jadalnię, starała się nie patrzeć na stół, na którym leżał, zębami do góry, widelec.

W korytarzu prowadzącym do salonu odwróciła wzrok od lustrzanych drzwi szafy.

Łazienka.

Kolejne lustro.

Omal nie uciekła na korytarz.

Nie przyszło jej jednak na myśl żadne inne miejsce, gdzie mogłaby ochłonąć na osobności, a nie chciała, by Susan zobaczyła ją w takim stanie.

Gdy zebrała się na odwagę i spojrzała w lustro, nie znalazła tam nic, czego mogłaby się bać.

Wyraz strachu na twarzy i w oczach był jednak deprymujący, chociaż nie tak widoczny jak sądziła.

Martie szybko zamknęła drzwi, opuściła pokrywę sedesu i usiadła.

Dopiero gdy powietrze wyrwało się z jej płuc z chrapliwym poświstem, uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu wstrzymywała oddech.

Rozdział 14.

Gdy Dusty odkrył rozbite lustro w łazience przy kuchni, w pierwszej chwili pomyślał, że w domu jest włamywacz.

Zachowanie Lokaja nie potwierdzało tych podejrzeń.

Sierść mu się nie zjeżyła.

Co więcej, był w nastroju do zabawy.

No, ale Lokaj był kanapowym pieszczochem, nie psem wartowniczym.

Gdyby poczuł sympatię do intruza – jak do większości ludzi, których spotykał – nie odstępowałby faceta, liżąc go po złodziejskich rękach, a tymczasem rodzinne skarby znikająby w worku na łupy.

Z psem, który tym razem szedł za nim krok w krok, Dusti przeszukał pokój po pokoju, szafę po szafie, najpierw na parterze, później na piętrze.

Nie znalazł nikogo, żadnych innych zniszczeń i nie zauważył, by czegoś brakowało.

Może Martie wyjaśni sprawę lustra, kiedy wróci.

Musiał tu być jakiś wypadek, który zdarzył się tuż przed jej wyjściem do Susan.

Albo to, albo wprowadził się do nich złośliwy duch.

Będzie o czym rozmawiać przy kolacji: niedosłże samobójstwo Skeeta, kolejna wyprawa z Susan, duchy...

Ćwicząc głębokie wdechy w łazience Susan, Martie doszła do wniosku, że przyczyną problemów jest ogromne napięcie w którym ostatnio żyła.

To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

Miała tyle na głowie, tyle obowiązków.

Projektowanie nowej gry na podstawie „Władcy pierścieni” było najważniejszą i najtrudniejszą z jej dotychczasowych prac.

Wiązało się z nią kilka nieprzekraczalnych terminów, co wywoływało stres zapewne większy, niż to sobie uświadamiała.

Do tego matka i jej niekończący się konflikt z Dustym.

Ten stres również towarzyszył jej od dawna.

A w zeszłym roku musiała patrzeć, jak ojciec umiera na raka.

Ostatnie trzy miesiące jego życia były agonią, którą znosił ze zwykłą pogodą ducha, nie chcąc przyznać, że cierpi, i nie skarząc się na nic.

W tych ostatnich dniach jego pogodny uśmiech i urok nie podnosiły jej już na duchu tak jak kiedyś, lecz przeszywały jej serce przy każdym spotkaniu; Martie utraciła część życiowego optymizmu i jeszcze go w pełni nie odzyskała.

Susan, rzecz jasna, też była źródłem poważnego stresu.

Miłość jest świętą szatą, utkaną z płótna tak cienkiego, że trudno ją zobaczyć, a mimo to tak mocną, że nawet śmierć nie może jej rozedrzeć, szatą, która nigdy się nie wystrzępi, która ogrzewa to, co w przeciwnym razie byłoby nieznośnie zimnym światem, ale czasem miłość potrafi być również ciężka jak stalowa kolczuga.

Brzemie miłości w tych wypadkach, gdy naprawdę jest trudnym do udźwignięcia ciężarem, czyni ją tym cenniejszą, kiedy w lepszych czasach chwytą wiatr w rękawy i unosi cię jak na skrzydłach.

Mimo stresu, z jakim wiązały się te podejmowane dwa razy w tygodniu wyprawy, Martie nie mogła zostawić Susan, tak jak nie mogła odwrócić się od umierającego ojca, od uciążliwej matki, od Dusty’ego.

Wyjdzie teraz do jadalni, zje chińszczyznę, wypije butelkę piwa, zagra w bezika i będzie udawała, że nie wypełniają jej dziwne przecucia.

Kiedy wróci do domu, zatelefonuje do doktora Clostermana, swojego internisty, i umówi się na badania, na wypadek gdyby jej diagnoza okazała się błędna.

Fizycznie czuła się dobrze, ale tak samo dobrze czuł się Uśmiechnięty Bob przed nagłym atakiem dziwnego, niezbyt silnego bólu, który zwiastował śmiertelną chorobę.

Choć brzmiało to idiotycznie, nadal nie mogła wyzbyć się podejrzeń związanych z nienaturalnie kwaśnym sokiem grapefruitowym.

Piła go ostatnio każdego ranka zamiast soku pomarańczowego, ze względu na niższą zawartość kalorii.

Być może to wyjaśniało również sen o Liściastym Człowieku: wirującej postaci z martwych, gnijących liści.

Chyba powinna zanieść próbkę soku doktorowi Clostermanowi do analizy.

Wreszcie umyła ręce i znów spojrzała w lustro.

Uznała, że wygląda na osobę względnie normalną.

Czuła się jednak jak skończona wariatka.

Kiedy Dusty skończył zamiatać kawałki rozbitego lustra, postanowił dać Lokajowi nagrodę za to, że był grzeczny i nie pętał mu się pod nogami: kilka kawałków pieczonego kurczaka, które zostały z wczorajszej kolacji.

Pies brał każdy kawałek z ręki swego pana z delikatnością niemal równą tej, z jaką koliber pije wodę z cukrem z ogrodowego karmnika, a kiedy zjadł już wszystkie, spojrzał na Dusty'ego z uwielbieniem, które nie mogło być mniejsze niż miłość, z jaką aniołowie patrzą na Boga.

– W porządku, jesteś aniołem – powiedział Dusty i delikatnie podrapał Lokaja pod brodą.

– Kudłatym aniołem.

A z takimi wielkimi uszami nie potrzebujesz skrzydeł.

Postanowił zabrać ze sobą psa do mieszkania Skeeta, a później do Kliniki Nowego Życia.

Chociaż w domu nie było intruza, Dusty czułby się nieswojo, zostawiając ulubieńca samego, dopóki nie wyjaśni, co stało się z lustrem.

– Rany, jeśli jestem taki nadopiekuńczy w stosunku do ciebie – powiedział do Lokaja – możesz sobie wyobrazić, jaki będę dla dzieci?

Pies uśmiechnął się, jakby spodobała mu się sugestia o dzieciach.

I jakby rozumiał, że ma jechać ze swoim panem, podszedł do drzwi łączących kuchnię z garażem, gdzie przystanął, wachlując powietrze grubym ogonem.

Kiedy Dusty wkładał ortalionową kurtkę z kapturem, zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

– Ktoś próbował mi sprzedać prenumeratę „Los Angeles Times” – powiedział, gdy ją odwiesił, jakby pies musiał wiedzieć, kto dzwonił.

Lokaj nie stał już w drzwiach garażu.

Leżał przed nimi, na wpół pogrążony w drzemce, jakby Dusty rozmawiał przez telefon co najmniej dziesięć minut, a nie trzydzieści sekund.

Dusty powiedział, marszcząc brwi: – Dostałeś sporą dawkę kurzych protein, mój złocisty.

Okaż trochę wigoru.

Lokaj wstał z pobłażliwym westchnieniem.

Zakładając w garażu psu obrozę i przypinając do niej smycz, Dusty mówił: – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest codzienna gazeta.

Czy wiesz, czego jest pełno w gazetach, złocisty?

Lokaj najwyraźniej nie wiedział.

– Pełno w nich świństw, które robią ludzie z pierwszych stron gazet.

A wiesz, kim są ludzie z pierwszych stron gazet?

To politycy i faceci od mediów i wielcy uniwersyteccy intelektualiści, którzy za dużo myślą o sobie i w ogóle za dużo myślą.

Tacy jak doktor Trevor Penn Rhodes, mój ojciec.

I tacy jak doktor Holden Caulfield, ojciec Skeeta.

Pies kichnął.

– Właśnie – powiedział Dusty.

Nie oczekiwał, że Lokaj pojedzie z tyłu furgonetki, wśród przyborów malarskich i pojemników z farbą.

I rzeczywiście, pies wskoczył na przednie siedzenie; lubił patrzeć przez okno podczas jazdy.

Dusty zapiął mu pas bezpieczeństwa; zanim zamknął drzwi od strony pasażera, Lokaj z wdzięcznością polizał go po twarzy.

– Ludzie z pierwszych stron gazet psują świat, próbując go ocalić – podjął Dusty, wyjeżdżając z garażu na deszcz.

– Wiesz, do czego prowadzi całe to ich głębokie myślenie, złocisty?

Prowadzi do tej rzeczy, którą zbieramy do małych niebieskich toreb, kiedy chodzimy za tobą.

Naciskając przycisk pilota, by zamknąć drzwi garażu, Dusty zastanawiał się, dlaczego nie powiedział tego wszystkiego sprzedawcy, który wciskał mu gazetę.

Ustawiczne telefony od łowców prenumeratorów „Timesa” były jedną z najgorszych stron życia w południowej Kalifornii, na równi z trzęsieniami ziemi, pożarami i błotnistymi drogami.

Gdyby uraczył taką samą przemową kobietę – czy też był to mężczyzna?

– proponującą mu „Timesa”, być może jego nazwisko zostałoby wreszcie wykreślone z listy potencjalnych klientów.

Wyjeżdżając na ulicę, Dusty uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie pamięta, czy przedstawiciel „Timesa”, z którym rozmawiał przez telefon, był mężczyzną, czy kobietą.

Inna sprawa, że gdy tylko zorientował się, o co chodzi, odwiesił słuchawkę.

Zazwyczaj kończył takie rozmowy, sam składając propozycję nie do odrzucenia: Dobrze, zaprenumeruję, jeśli dobijemy targu.

Ja pomaluję jedno z waszych biur, wy dacie mi trzyletnią prenumeratę.

Albo: Wezmę dożywotnią prenumeratę, jeśli wasza gazeta obieca nigdy więcej nie pisać o zwykłych sportowcach jak o bohaterach.

Tym razem nie złożył żadnej propozycji.

Dziwne, ale nie mógł sobie przypomnieć, co powiedział, nawet jeśli było to zwykłe „nie, dziękuję” lub „proszę mi nie zawracać głowy”.

Miał w mózgu czarną dziurę.

Najwyraźniej był bardziej zaabsorbowany i zdenerwowany tą poranną historią ze Skeetem, niż to sobie wcześniej uświadamiał.

Rozdział 15.

Chińskie jedzenie było z pewnością takie pyszne, jak twierdziła Susan, ale chociaż Martie też się nim zachwycała, w rzeczywistości jadła bez apetytu.

Tsingtao smakowało dziś gorzko.

Problem jednak nie tkwił w jedzeniu ani w piwie.

Powracający falami niepokój Martie, choć w tym momencie opadał, odebrał jej zdolność do czerpania przyjemności z czegokolwiek.

Jadła pałeczkami i początkowo myślała, że sam widok Susan jedzącej widelcem przyprawi ją o kolejny atak paniki.

Ale złowieszcze zęby nie budziły w niej takiego strachu jak wcześniej.

Nie bała się widelca; bała się wszystkich okropnych rzeczy, które mogłaby wyrządzić widelcem, gdyby znalazł się w jej ręku.

W ręku Susan wydawał się zupełnie niegroźny.

Świadomość, że ona, Martie, kryje w sobie mroczną skłonność do aktów przemocy, przejmowała ją takim lękiem, iż nie chciała o tym nawet myśleć.

Był to całkowicie irracjonalny strach, ponieważ całym umysłem, sercem i duszą wiedziała i czuła, że nie jest zdolna do żadnych brutalnych czynów.

A mimo to nie zaufała sobie z otwieraczem do butelek...

Zważywszy na jej zdenerwowanie – i rozpaczliwe starania, by ukryć ten stan przed Susan – powinna była przegrać w bezika sromotniej niż zwykle.

Tymczasem szła jej karta i grała z mistrzowską zręcznością, wykorzystując do końca swoją dobrą passę, zapewne dlatego, że gra pomagała jej oderwać się od ponurych rozmyślań.

– Jesteś dzisiaj niepokonana – powiedziała Susan.

– To mój szczęśliwy dzień.

– Twój dług zmniejszył się z sześciuset do pięciuset dziewięćdziesięciu ośmiu tysięcy.

– Świetnie.

Może teraz Dusty będzie mógł spać po nocach.

– Co u niego?

– Słodszy niż Lokaj.

– Masz faceta, który jest miłszy niż golden retriever – westchnęła Susan.

– A ja wysłałam za samolubną świnię.

– Wcześniej broniłaś Erica.

– Jest świnią.

– Ja to powiedziałam.

– I dziękuję ci za to.

Na zewnątrz wiatr wył jak wilk, drapał w okna i wznosił żałosne zawodzenia do okapu.

Martie spytała: – Skąd ta zmiana zdania?

– Źródłem mojej agorafobii mogą być problemy pomiędzy Edkiem a mną.

Problemy sprzed kilku lat, rzeczy, których nie dopuszczałam do świadomości.

– Tak twierdzi doktor Ahriman?

– On właściwie nie naprowadza mnie na takie myśli.

Po prostu sprawia, że mogę...

wyobrazić to sobie.

– Nigdy nie wspominałaś o problemach pomiędzy tobą a Erikiem.

Dopóki nie postąpił...

w ten sposób.

– Ale przypuszczam, że je mieliśmy.

– Przypuszczasz?

– No cóż, to nie przypuszczenie.

Mieliśmy problem.

– Bezik – powiedziała Martie, biorąc ostatnią lewę.

– Jaki problem?

– Kobieta.

Martie była wstrząśnięta.

Rodzone siostry nie mogłyby żyć ze sobą bliżej niż ona i Susan.

Chociaż obie miały zbyt wiele poczucia godności własnej, by dzielić się intymnymi szczegółami życia seksualnego, zawsze mówiły sobie o rzeczach ważnych, a mimo to nigdy wcześniej nie słyszała o tej kobiecie.

– Ten bydlak cię zdradzał?

– spytała Martie.

– Tego rodzaju odkrycie, zupełnie zniecka, sprawia, że czujesz się taka bezbronna – powiedziała Susan, ale bez emocji, jaką implikowały te słowa, jakby cytowała podręcznik psychologii.

– I do tego właśnie sprowadza się agorafobia: do przytłaczającego, obezwładniającego poczucia bezbronności.

– Nigdy o tym nie wspomniałaś.

Susan wzruszyła ramionami.

– Może za bardzo się wstydziałam.

– Wstydziałaś?

A czego miałabyś się wstydzić?

– No, nie wiem...

– Wydawała się zaskoczona.

– Dlaczego miałabym się wstydzić?

Martie odniosła wrażenie, że Susan myśli o tym po raz pierwszy.

– No cóż...

być może dlatego...

dlatego, że nie byłam dla niego dość dobra...

dość dobra w łóżku.

Martie spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Z kim ja rozmawiam?

Jesteś piękna, Sooz, jesteś pociągająca, masz zdrowy popęd seksualny...

– Ale może nie odpowiadałam mu emocjonalnie, może go niedostatecznie wspierałam?

Odsuwając karty na bok bez liczenia punktów, Martie powiedziała: – Nie wierzę własnym uszom.

– Nie jestem doskonała, Martie.

Daleko mi do tego.

– Smutek cichy, lecz ciężki i szary jak ołów, stłumił jej głos prawie do szeptu.

Spuściła oczy, jakby zakłopotana.

– W jakiś sposób go zawiodłam.

Jej skrucha wydawała się absolutnie niestosowna, a słowa rozgniewały Martie.

– Dajesz mu wszystko: swoje ciało, duszę, serce, życie – i dajesz to w tym bezkompromisowym, przebojowym, żarliwym stylu Susan Jagger.

Potem on cię zdradza, a ty obwiniasz siebie?

Obracając w delikatnych dłoniach pustą butelkę po piwie i patrząc na nią tak, jakby to był talizman, który mógł, gdyby się z nim odpowiednio obchodzić, w magiczny sposób zapewnić pełne zrozumienie, Susan powiedziała: – Być może trafiłaś w sedno, Martie.

Być może styl Susan Jagger po prostu tłamsił go.

– Tłamsił go?

Zlituj się.

– Nie, może tak było.

Może...

– Ile jeszcze tych „może”?

– spytała Martie.

– Dlaczego szukasz usprawiedliwień dla tej świni?

A jaka była jego wymówka?

Ciężkie uderzenia deszczu wygrywały nierytmiczną melodię na szybach okiennych, a z oddali dochodził złowieszczy, miarowy łoskot sztormowych fal, uderzających o brzeg.

– Jaka była jego wymówka?

– naciskała Martie.

Susan obracała butelkę po piwie coraz wolniej, a kiedy wreszcie przestała ją obracać, zmarszczyła brwi, wyraźnie zmieszana.

– Susan?

Jaka była jego wymówka?

Odkładając butelkę i patrząc na swoje dłonie, Susan odparła: – Jego wymówka?

Cóż...

nie wiem.

– Zmierzamy prosto do króliczej nory i na obłąkaną herbatkę – oznajmiła rozdrażniona Martie.

– Co to znaczy, że nie wiesz?

Kochanie, przyłapałaś go na romansie i nie chcesz wiedzieć, dlaczego się w to wdał?

Susan poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Nie rozmawialiśmy wiele na ten temat.

– Naprawdę?

To do ciebie niepodobne, przyjaciółko.

Nie jesteś strachliwa.

Susan mówiła wolniej niż zwykle, lekko zachrypłym głosem, jak ktoś wyrwany ze snu, kto jeszcze się w pełni nie obudził.

– Cóż, rozmawialiśmy o tym trochę, no wiesz, i to może być przyczyną mojej agorafobii, ale nie wyciągaliśmy brudnych szczegółów.

Rozmowa przybierała tak dziwaczny obrót, że Martie wyczuwała w niej ukrytą i niebezpieczną prawdę, coś ulotnego, co mogłoby od razu wyjaśnić wszystkie problemy tej nieszczęsnej kobiety, gdyby

tylko potrafiła to uchwycić.

Wypowiedzi Susan były oburzające i mgliste zarazem.

Niepokojąco mgliste.

– Jak się nazywała ta kobieta?

– spytała Martie.

– Nie wiem.

– Dobry Boże.

Eric ci nie powiedział?

Wreszcie Susan podniosła głowę.

Jej spojrzeniu brakowało ostrości, jakby patrzyła na kogoś innego niż Martie, w innym miejscu i czasie.

– Eric?

Susan wymówiła to imię z takim zdziwieniem, że Martie odwróciła się na krześle, spodziewając się zobaczyć Erica, który po cichu wszedł do pokoju.

Nie było go tam.

– Tak, Sooz, pamiętasz starego Erica?

Mężulek.

Cudzołożnik.

Świnia.

– Ja nie...

– Co?

Głos Susan opadł teraz do szeptu, a jej twarz była pozbawiona wyrazu, martwa jak twarz lalki.

– Ja nie dowiedziałam się o tym od Erica.

– Więc kto ci powiedział?

Milczenie.

Wiatr przycichł, ale jego zimne poszeptywanie i chytre pomruki szarpały nerwy bardziej skutecznie niż posępne wycie.

– Sooz?

Kto ci powiedział, że Eric posuwa na boku?

Gładka skóra Susan nie miała już koloru brzoskwiń i śmietany, była blada i przezroczysta jak skwaśniałe mleko.

Na jej czole pojawiła się pojedyncza kropla potu.

Sięgając przez stół, Martie pomachała dłonią przed twarzą przyjaciółki.

Susan najwyraźniej nie widziała jej.

Patrzyła przez dłoń.

– Kto?

– naciskała łagodnie Martie.

Nagle czoło Susan pokryły liczne kropelki potu.

Ręce, które wcześniej leżały swobodnie na stole, były teraz kurczowo zaciśnięte, skóra napięta i zbieła na kłykciach, a paznokcie prawej dłoni wbijały się mocno w grzbiet lewej.

– Kto ci powiedział, że Eric posuwa na boku?

Wciąż wpatrując się w jakąś zjawę, Susan próbowała przemówić, ale nie mogła wydusić z siebie słowa.

Usta jej zaczęły drżeć, jakby miała się rozpłakać.

Widmowa ręka zdawała się zmuszać Susan do milczenia.

Poczucie czyjejś obecności było tak silne, że Martie znów chciała się odwrócić i spojrzeć za siebie, lecz wiedziała, że nikogo tam nie zobaczy.

Wciąż trzymała dłoń przed oczami Susan.

Pstryknęła palcami.

Susan drgnęła i zamrugła.

Spojrzała na karty, które Marti odsunęła na bok, i uśmiechnęła się.

– Nieźle przetrzepałaś mi tyłek.

Chcesz jeszcze jedno piwo?

Martie nie dawała za wygraną: – Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Kto ci powiedział, że Eric posuwa na boku?

– Och, Martie, to takie nudne.

– Nie uważam, żeby to było nudne.

Ty...

– Nie chcę o tym mówić – odparła Susan tonem raczej lekceważącym niż gniewnym czy zakłopotanym, choć każdy z nich wydawałby się bardziej odpowiedni.

Machnęła ręką, jakby opędzała się od uprzykrzonej muchy.

– Przepraszam, że w ogóle zaczęłam.

– Na miłość boską, Sooz, nie możesz rzucać takiej bomby a potem...

– Jestem w dobrym nastroju.

Nie chcę go zepsuć.

Lepiej plotkujmy o Marcie Stewart albo porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

– Poderwała się z krzesła z niemal dziewczęcą zręcznością.

Biegając do kuchni, spytała: – Jaka jest twoja decyzja w sprawie piwa?

Był to jeden z tych dni, kiedy perspektywa zachowania trzeźwości nie wydaje się szczególnie pociągająca, mimo to nie odmówiła drugiej butelki tsingtao.

W kuchni Susan nuciła „Nowe spojrzenie”, klasyczną piosenkę Patti LaBelle.

Miała dobry głos i śpiewała z pogodnym przekonaniem, zwłaszcza gdy doszła do słów: „Panuję nad wszystkim, nie mam żadnych trosk”.

Martie była pewna, że nawet gdyby nie wiedziała nic o Susan jagger, to i tak wykryłaby nutę fałszu w tym na pozór radosnym śpiewie.

Kiedy przypomniwała sobie, jak wyglądała Susan jeszcze kilka minut temu – niezdolna wypowiedzieć słowa, z twarzą bladą jak śmiertelna maska, z czołem zroszonym potem i zaciśniętymi kurczowo rękami – to nagle przejście od katatonii do wylewności wydało jej się niesamowite.

– „Czuję się świetnie od stóp do głów” – śpiewała Susan w kuchni.

Może stopy brały w tym udział.

Głowa nie.

Rozdział 16.

Mieszkanie Skeeta nieodmiennie zaskakiwało Dusty'ego.

Trzy małe pokoje i łazienka były niemal obsesyjnie dobrze utrzymane i nieskazitelnie czyste.

Skeet był tak rozmemłanym fizycznie i psychicznie wrakiem, że Dusty zawsze spodziewał się zastać to miejsce w stanie chaosu.

Gdy jego pan pakował ubrania i przybory toaletowe do dwóch toreb, Lokaj obszedł pokoje, obwąchując podłogi i meble i napawając się przenikliwym zapachem wosków, past i płynów do czyszczenia innych niż te, których używano w domu państwa Rhodes.

Uporawszy się z pakowaniem, Dusty sprawdził lodówkę, która zdawała się należeć do skończonego anorektyka.

Jedyna kwarta mleka była już od trzech dni przeterminowana, jak wynikało z daty przydatności do spożycia wytłoczonej na kartonie, więc wylał ją do zlewu.

Pół bochenka białego chleba wrzucił do zsypu na śmieci, w ślad za nim posłał również zawartość otwartej paczki bolońskiej kiełbasy, która wyglądała tak, jakby miała niebawem porosnąć sierścią i zacząć warczeć.

Poza tym w lodówce znajdowało się tylko piwo, napoje i przyprawy, a wszystko to powinno zachować świeżość do powrotu Skeeta do domu.

Na blacie obok kuchennego telefonu Dusty znalazł jedyny przejaw nieporządku w mieszkaniu: rozrzucony plik luźnych kartek wyrwanych z notatnika.

Kiedy je zbierał, zauważył, że na każdej z nich zostało wypisane to samo nazwisko, czasem raz, częściej jednak trzy lub cztery razy.

Ogółem na czternastu kartkach pojawiała się trzydzieści dziewięć razy jedno – i tylko jedno – nazwisko: Doktor Yen Lo; żadna nie zawierała numeru telefonu lub jakichkolwiek dodatkowych informacji.

Dusty rozpoznał charakter pisma Skeeta.

Na kilku kartkach pismo było staranne i czytelne.

Na innych jednak wyglądało tak, jakby Skeetowi trochę drżała ręka, a w dodatku zmagał się zaciekle z długopisem, ryjąc litery głęboko w papierze.

Co dziwne, na połowie kartek nazwisko było wypisane z tak widoczną pasją – i zapewne z wysiłkiem – że niektóre litery zostały dosłownie wydarte w papierze.

Na blacie leżał również tani długopis.

Przezroczysta plastikowa obudowa była pęknięta, a miękki wkład, który wypadł ze złamanego długopisu, zgięty w połowie.

Marszcząc brwi, Dusty przejechał ręką po blacie i zgarnął szczątki długopisu na mały stosik.

Przez minutę sortował kartki, umieszczając najstaranniejszą próbkę pisma na wierzchu, a najbardziej nieczytelną na spodzie i układając pozostałe według tego samego klucza.

Istniał wyraźny postęp w pogarszaniu się charakteru pisma.

Na ostatniej kartce nazwisko pojawiała się tylko raz i było niedokończone – prawdopodobnie dlatego, że długopis złamał się na początku „n”.

Nasuwał się nieodparty wniosek, że Skeet wpadał w coraz większy gniew lub przygnębienie i w końcu przycisnął długopis za mocno.

Przygnębienie, nie gniew.

Skeet nie miał problemu z gniewem.

Wręcz przeciwnie.

Był łagodny z natury, a jego temperament został dodatkowo urobiony do konsystencji słodkiej leguminy za sprawą całej gamy środków farmakologicznych, które przepisywali mu wyznający filozofię agresywnego leczenia psychologowie przy entuzjastycznym poparciu ukochanego ojca Skeeta, doktora Holdena Caulfielda alias Sama Farnera.

Po latach bezlitosnej obróbki chemicznej poczucie własnego ja Skeeta zanikło do tego stopnia, że stał się niezdolny do prawdziwego gniewu; na najgorszą obelgę, która rozwścieczyłaby przeciętnego człowieka, reagował wzruszeniem ramion lub delikatnym uśmiechem rezygnacji.

Rozgoryczenie w stosunku do ojca, będące najbardziej zbliżonym do gniewu uczuciem, na jakie mógł się zdobyć, wspierało go w poszukiwaniach prawdy o pochodzeniu profesora, okazało się jednak zbyt słabe i krótkotrwałe, by dać siłę do podzielenia się z tym fałszywym sukinsynem swoimi odkryciami.

Dusty złożył starannie czternaście kartek z notatnika, wsunął je do kieszeni dzinsów i pozbiarał z blatu kawałki długopisu!

Długopis był niedrogi, ale solidnie wykonany.

Jednoczęściowa plastikowa obudowa wyglądała na sztywną i mocną.

Siła potrzebna do tego, by ją złamać, musiała być znaczna.

Skeet nie wydawał się zdolny do takiego gniewu; trudno też było sobie wyobrazić, co mogłoby go wprawić w tak skrajne przygnębienie, żeby przycisnął długopis wystarczająco mocno.

Po chwili wahania Dusty wrzucił połamany długopis do kosza na śmieci.

Lokaj wsunął pysk do pojemnika; sprawdzał, czy wyrzucony przedmiot może być jadalny.

Dusty otworzył szufladę i wyciągnął książkę telefoniczną.

Pod hasłem „Lekarze” doktora Yena Lo nie było.

Spróbował pod „Psychiatrzy”.

Potem pod „Psychologowie”.

Bez rezultatu.

Rozdział 17.

Kiedy Susan chowała karty i notatnik, Martie zmyła talerze i wyrzuciła kartonowe opakowania, starając się nie patrzeć na mezzalunę leżącą na blacie do krojenia.

Susan przyniosła do kuchni widelec.

– Zapomniałaś o tym.

Ponieważ Martie wycierała już ręce, Susan umyła widelec i odłożyła go na miejsce.

Gdy Susan piła drugie piwo, Martie usiadła z nią w salonie.

W tle Glenn Gould grał na fortepianie „Wariacje Goldbergowskie” Bacha.

Jako młoda dziewczyna Susan marzyła, że zostanie muzykiem w wielkiej orkiestrze symfonicznej.

Była dobrą skrzypaczką; nie światowej klasy, nie tak wybitną, by samodzielnie występować na koncertach, ale wystarczająco dobrą, by jej skromniejsze marzenie mogło stać się rzeczywistością.

Tak się jednak złożyło, że zajęła się sprzedażą nieruchomości.

Aż do ostatniej klasy szkoły średniej Martie chciała zostać weterynarzem.

Teraz projektowała gry wideo.

Życie oferuje nieskończenie wiele możliwych dróg.

Czasem głowa wybiera jedną z nich, a czasem serce.

Czasem jednak, na szczęście lub na nieszczęście, ani głowa, ani serce nie mogą przeciwstawić się losowi.

Od czasu do czasu kaskady srebrzystych nut Goulda przypominały Martie, że chociaż wiatr ucichł, za szczelnie zasłoniętymi oknami wciąż pada zimny deszcz.

Mieszkanie było tak zaciszne i przytulne, iż kusiło ją, by poddać się niebezpiecznie krzepięcemu wrazeniu, że poza tymi opiekuńczymi murami nie istnieje żaden świat.

Rozmawiały z Susan o dawnych czasach i starych znajomych.

Ani słowa nie poświęciły przyszłości.

Susan nie nadużywała alkoholu.

Dwa piwa były dla niej pijatyką.

Zazwyczaj alkohol nie odurzał jej ani nie przygnębiał, lecz wprawiał w przyjemnie sentymentalny nastrój.

Tym razem stawała się coraz bardziej milcząca i uroczysta.

Niebawem ciężar rozmowy spoczął na Martie.

To, co mówiła, brzmiało w jej uszach coraz bardziej głupio, w końcu przestała więc paplać.

Łączyła je wystarczająco głęboka przyjaźń, by czuły się swobodnie milcząc.

Ta cisza jednak była nienaturalna i napięta, pewnie dlatego, że Martie przyglądała się ukradkiem przyjacielce, szukając oznak dziwnego transu, który ją wcześniej ogarnął.

Nie mogła dłużej słuchać „Wariacji Goldbergowskich”, ponieważ nagle ta przeszywająco piękna muzyka wydała się jej przygnębiająca.

Nieoczekiwanie zaczęła wywoływać u niej skojarzenia ze stratą, samotnością i cichą rozpaczą.

Zaciszne i przytulne mieszkanie stało się wkrótce ciasne i przytłaczające.

Kiedy Susan sięgnęła po pilota, by nastawić jeszcze raz tę samą płytę, Martie spojrzała na zegarek i wymieniła wiele nieistniejących powodów, które zmuszały ją do wyjścia przed piątą.

W kuchni, gdy Martie włożyła płaszcz, padły sobie w objęcia, jak zawsze przy pożegnaniu.

Tym razem uścisk był bardziej żarliwy, jakby obie próbowały przekazać wiele ważnych

i odczuwanych głęboko rzeczy, których żadna z nich nie potrafiła wyrazić słowami.

Kiedy Martie przekręciła gałkę, Susan wycofała się za drzwi by schronić się przed widokiem groźnego świata na zewnątrz.

Z nutą udręki, jakby nagle zdecydowała się ujawnić kłopotliwy sekret, którego dochowanie przychodziło jej z najwyższym trudem, wyznała: – On przychodzi tu nocą, kiedy śpię.

Martie zdążyła już uchylić drzwi.

Zamknęła je, ale nadal trzymała rękę na gałce.

– Kto przychodzi tu, kiedy śpisz?

Zielone oczy Susan przybrały bardziej lodowaty odcień, nowy strach nadał im mocniejszą barwę i przejrzystość.

– To znaczy, myślę, że przychodzi.

– Susan wbiła wzrok w podłogę.

Na jej blade policzki wystąpił rumieniec.

– Nie mam dowodu, że to on, ale któż mógłby to być, jeśli nie Eric?

Odwracając się od drzwi, Martie spytała: – Eric przychodzi tu nocą, kiedy śpisz?

– Twierdzi, że nie, ale chyba kłamie.

– Ma klucz?

– Nie dałam mu.

– I zmieniałaś zamki.

– Tak.

Ale jakoś tu wchodzi.

– Oknem?

– Rano...

kiedy uświadamiam sobie, że tu był, sprawdzam wszystkie okna, ale zawsze są zamknięte.

– Po czym poznajesz, że tu był?

To znaczy, co robi?

Zamiast odpowiedzieć, Susan wymamrotała: – Przychodzi...

snuje się po mieszkaniu, skrada się jak jakiś kundel.

Wzdrygnęła się.

Martie szczególnie lubiła Erica, ale trudno jej było wyobrazić go sobie, jak skrada się nocą po schodach i wślizguje do mieszkania przez dziurkę od klucza.

Po pierwsze, brakowało mu wyobraźni, by wymyślić sposób, jak dostać się tu niepostrzeżenie; był doradcą finansowym z głową pełną danych i liczb, bez żadnego poczucia mistyki.

Poza tym wiedział, że Susan trzyma w nocnej szafce broń, a nienawidził wszelkiego ryzyka; był ostatnim z ludzi, który narażałby się na to, że zostanie zastrzelony jako włamywacz, nawet gdyby znajdował przewrotną przyjemność w dręczeniu własnej żony.

– Czy rano rzeczy są poprzestawiane...

czy co?

Susan nie odpowiedziała.

– Nigdy nie słyszałaś go w mieszkaniu?

Nigdy się nie obudziłaś, kiedy tu był?

– Nie.

– A więc rano są jakieś...

ślady?

– Ślady – przytaknęła Susan, ale nie sprecyzowała tego bliżej.

– Poprzestawiane rzeczy?

Zapach jego wody kolońskiej?

Coś w tym rodzaju?

Wciąż patrząc w podłogę, Susan skinęła głową.

Ale co konkretnie?

– naciskała Martie.

Żadnej odpowiedzi.

– Hej, Sooz, możesz na mnie spojrzeć?

Kiedy Susan uniosła twarz, była mocno zaczerwieniona, jakby nie ze zwykłego zakłopotania, ale ze wstydu.

– Sooz, co ty chcesz mi powiedzieć?

– Nic.

Ja po prostu...

chyba wpadam w paranoję.

– Jest coś, czego nie mówisz.

Dlaczego wyjeżdżasz z tym wszystkim, a potem mnie zbywasz?

Susan objęła się ramionami i zadrżała.

– Myślałam, że jestem gotowa, aby o tym mówić, ale nie jestem.

Muszę jeszcze...

poukładać sobie w głowie różne rzeczy.

– Eric zakrada się tu w nocy; to bardzo dziwne.

To głupie.

I cóż miałby robić?

Patrzeć, jak śpisz?

– Później, Martie.

Muszę to wszystko przemyśleć, zebrać się na odwagę.

Powiem ci później.

– Teraz.

– Masz jakieś sprawy do załatwienia.

– Nie są takie ważne.

Susan zmarszczyła brwi.

– Jeszcze przed chwilą były cholernie ważne.

Martie nie chciała zranić uczuć Susan i przyznać, że wymyśliła te sprawy jako wymówkę, aby uciec z tego ponurego miejsca na świeże powietrze i orzeźwiający chłód zimnego deszczu.

– Jeśli nie zadzwonisz do mnie później i nie opowiesz mi o wszystkim, do ostatniego szczegółu, przyjadę tu w nocy, usiądę ci na piersiach i przeczytam ci strona po stronie ostatnią książkę o krytyce literackiej ojca Dusty’ego.

Nosi tytuł „Znaczenie nieoznaczoności: chaos jako struktura” i w połowie dowolnego akapitu będziesz przysięgać, że czerwone mrówki chodzą ci po mózgu.

Albo „Odważ się być swoim najlepszym przyjacielem”.

To ostatnia książka jego ojczyma.

Posłuchaj jej z kasy magnetofonowej, a zapragniesz obciąć sobie uszy.

Są rodziny piszących idiotów, a ja mogę ich na ciebie napuścić.

Uśmiechając się słabo, Susan powiedziała: – Jestem wystarczająco przerażona.

Na pewno zadzwonię.

– Obiecujesz?

– Uroczyście przysięgam.

Martie znów chwyciła gałkę, ale nie otworzyła drzwi.

– Jesteś tu bezpieczna, Sooz?

– Oczywiście – odparła Susan, lecz Martie dostrzegła błysk niepewności w jej zielonych oczach.

– Ale jeśli się zakrada...

– Eric nadal jest moim mężem – powiedziała Susan.

– Oglądaj dziennik.

Niektórzy mężowie robią straszne rzeczy!

– Znasz Erica.

Może jest świnią...

– Jest świnią – orzekła kategorycznie Martie.

– ...

ale nie jest niebezpieczny.

– Jest palantem.

– Właśnie.

Martie zawahała się, a potem otworzyła drzwi.

– Kolację skończymy o ósmej, może wcześniej.

Położę się o jedenastej, jak zwykle.

Będę czekała na twój telefon.

– Dzięki, Martie.

– Ucałuj ode mnie Dusty'ego.

– Będzie to suche cmoknięcie w policzek.

Wszystkie prawdziwe mokre pocałunki pochodzą bezpośrednio ode mnie.

Martie przykryła głowę kapturem, wyszła na podest i zamknęła za sobą drzwi.

Powietrze zastygło w bezruchu, jakby wiatr został przygnieciony ogromnym ciężarem deszczu, który spadał na ziemię kataraktą metalowych kulek.

Zaczekała, aż Susan zaciągnie zasuwę, solidny zamek Schlage, który wytrzymałby poważny atak.

Potem zeszła szybko po długich, stromych schodach.

Na dole przystanęła, odwróciła się i spojrzała w górę, na podest i drzwi mieszkania.

Susan Jagger wydawała się piękną księżniczką z bajki uwięzioną w wieży, obleżoną przez trolle i złośliwe duchy, bez dzielnego księcia, który by ją ocalił.

Szary dzień rozbrzmiewał nieustannym rykiem sztormowych fal, gdy Martie spieszyła nadbrzeżną promenadą w stronę bocznej uliczki, gdzie brudna woda z przepełnionych kanałów odpływowych pieniała się wokół opon jej czerwonego saturna.

Miała nadzieję, że Dusty wykorzystał złą pogodę, by nacieszyć się urokami domowego zacisza i przyrządzić swoje niezrównane klopsiki w ostrym sosie pomidorowym.

Niczego nie pragnęła bardziej niż wejść do domu i zobaczyć go w kucharskim fartuchu z kieliszkiem czerwonego wina pod ręką.

Powietrze wypełniałyby smakowite zapachy i dobra stara muzyka pop – może Dean Martin – ze stereofonicznej wieży.

Uśmiech Dusty’ego, jego uścisk, jego pocałunek.

Po całym tym dziwnym dniu potrzebowała ukojenia i poczucia pewności, jakie mogło jej zapewnić ciepło domowego ogniska i kochający mąż.

Gdy Martie uruchamiała samochód, przyprawiająca o mdłości wizja przemknęła jej przez głowę, niwecząc nadzieję, że dzień mógłby jej przynieść choć odrobinę spokoju i ukojenia.

Było to bardziej realne niż zwykle twory wyobraźni, tak intensywne i szczegółowe, iż wydawało się, że dzieje się tu i teraz.

Gdy wkładała kluczyk do stacyjki, jej umysł wypełnił obraz oka przebitego ostrym końcem klucza, wylupionego ząbkowaną krawędzią, która zagłębiła się w mózg za okiem.

Wcisnąwszy kluczyk do stacyjki, przekreśliła go, a jednocześnie klucz z jej wizji przekreślił się w oku.

Nieświadoma tego jak, Martie znalazła się na zewnątrz samochodu i oparta o niego zwymiotowała obiad na zalewaną deszczem ulicę.

Stała tak przez dłuższą chwilę, ze spuszczoną głową.

Kiedy była pewna, że zwróciła całą zawartość żołądka, sięgnęła do samochodu, wyciągnęła z leżącej na tablicy rozdzielczej paczki chusteczkę higieniczną i otarła wargi.

Zawsze trzymała w samochodzie małą butelkę z wodą.

Użyła jej teraz, by przepłukać usta.

Choć nadal czuła mdłości, wsiadła do saturna i zamknęła drzwi.

Silnik pracował na wolnych obrotach.

Nie musiała dotykać kluczyka aż do garażu w Corona Del Mar.

Mokra, zziębnięta, nieszczęśliwa, przerażona i zmieszana, niczego nie pragnęła bardziej niż znaleźć się w domu, bezpiecznym, suchym, ciepłym, w otoczeniu znanych przedmiotów, była jednak za bardzo roztrzęsiona, by prowadzić.

Odczekała prawie piętnaście minut, nim wreszcie zwolniła ręczny hamulec i wrzuciła bieg.

Chociaż rozpaczliwie pragnęła jechać do domu, bała się tego, co może się stać, kiedy tam dotrze.

Nie.

Nie była wobec siebie uczciwa.

Nie bała się tego, co może się stać.

Bała się tego, co może zrobić.

Oko, które zobaczyła w swojej wizji – jeśli naprawdę nawiedziła ją wizja – nie było po prostu jakimś tam okiem.

Miało charakterystyczny szarobłękitny odcień, przejrzysty i piękny, oczu Dusty’ego.

Rozdział 18.

W Klinice Nowego Życia uważano, że pozytywny wpływ psychologiczny, jaki wywierają zwierzęta, może być w niektórych przypadkach użyteczny, Lokaja więc wpuszczono bez wstrętów.

Dusty zaparkował w pobliżu portyku i zanim dotarli do budynku, lekko tylko zmokli, ku wielkiemu rozczarowaniu psa.

Lokaj był bądź co bądź retrieverem o pletwiastych łapach, kochał wodę i przejawiał umiejętności pływackie wystarczające, by zakwalifikować się do drużyny olimpijskiej.

W swoim pokoju na piętrze Skeet spał na pościeli – w ubraniu, ale bez butów.

Posępne zimowe popołudnie przyciskało do szyby swą wyblakłą twarz i w pokoju zbierały się cienie.

Jedynym źródłem sztucznego światła była niewielka, zasilana na baterię lampa przypięta zaciskiem do książki, którą czytał Tom Wong, pielęgniarz.

Tom chętnie skorzystał z okazji, by zrobić sobie przerwę.

Dusty rozpakował po cichu obie torby, ułożył ich zawartość w szufladach komody i usiadł w fotelu, podejmując czuwanie.

Lokaj usadowił się u jego stóp.

Do zmierzchu pozostały dwie godziny, ale cienie w rogach pokoju przedły gęste sieci, dopóki Dusty nie zapalił szpitalnej lampki przy fotelu.

Chociaż Skeet skulił się w pozycji płodowej, nie wyglądał jak dziecko, lecz jak wysuszone zwłoki, tak wymizerowany i chudy, że jego ubranie zdawało się okrywać nagi szkielet.

Martie prowadziła bardzo ostrożnie, nie tylko z powodu złej pogody, lecz również ze względu na swój stan.

Perspektywa nagłego ataku paniki przy prędkości stu kilometrów na godzinę była odstręczająca.

Na szczęście półwyspu Balboa nie łączyły z Corona Del Mar żadne tunele; cały ruch odbywał się na powierzchni.

Na Autostradzie Nadbrzeżnej, nim jeszcze przebyła połowę drogi, trafiła na potężny zator.

Przed nią stało czterdzieści, a może i pięćdziesiąt samochodów, a migające czerwone i niebieskie światła karetek pogotowia i wozów policyjnych znaczyły miejsce wypadku.

Stojąc w korku, sięgnęła po telefon komórkowy, by zadzwonić do doktora Clostermana, swojego internisty, mając nadzieję, że umówi się na wizytę następnego dnia rano.

– To dosyć pilne.

Bardzo mi na tym zależy, nie mam bólów ani nic takiego, ale chciałabym się z nim zobaczyć możliwie szybko.

– Jakie są objawy?

– spytała recepcjonistka.

Martie zawahała się.

– To sprawa osobista.

Wolałabym rozmawiać na ten temat tylko z doktorem Clostermanem.

– Dziś już go nie będzie, ale możemy wecisnąć panią na jutro około ósmej trzydzieści rano.

– Dziękuję.

Przyjdę – odparła Martie, kończąc rozmowę.

Cienki całun szarej mgły unosił się nad zatoką, a igły deszczu zaszywały go wokół ciała umierającego dnia.

Od strony wypadku nadjechał przeciwnym pasem ambulans.

Kierowca nie włączył syreny ani koguta.

Najwidoczniej pacjent nie potrzebował już opieki lekarskiej.

Martie patrzyła, jak karetka mija ją w strumieniach deszczu, a potem spojrzała w boczne lustro, gdzie tylne światła rozplywały się we mgle.

Nie mogła mieć pewności, że ambulans jechał do kostnicy, lecz mimo to była przekonana, że wóz zwłoki.

Czuła przeciągającą obok Śmierć.

Kiedy Dusty czuwał przy łóżku Skeeta, czekając na powrót Toma Wonga, ostatnią rzeczą, o jakiej chciał myśleć, była przyszłość – mimo to jego umysł przywoływał obrazy dzieciństwa spędzonego ze Skeetem, jego władczygo ojca i, co najgorsze, człowieka, który zastąpił tego sukinsyna jako głowa rodziny.

Mąż numer cztery.

Doktor Derek Lampton, neofreudo psycholog, psychiatra, wykładowca i pisarz.

Ich matka, Claudette, miała słabość do intelektualistów zwłaszcza takich, którzy byli również megalomanami.

Ojciec Skeeta, fałszywy Holden, odszedł, kiedy Skeet miał dziewięć lat, a Dusty czternaście.

Uczcili jego odejście, oglądając przez całą noc filmy grozy, pochłaniając worki frytek ziemniaczanych i kubły lodów czekoladowych z orzechami, które były verboten z powodu ścisłej niskotłuszczowej, bezsolnej, bezcukrowej, bezprzyprawowej, bezlitosnej nazistowskiej diety narzucanej wszystkim dzieciom – chociaż nie dorosłym – za jego dyktatury.

Rano, na wpół żywi ze zmęczenia i choroby z przejedzenia, lecz upojeni nowo odkrytą wolnością, zdołali pozostać na nogach jeszcze przez kilka godzin, by przeszukać sąsiedztwo i zebrać dwa funty psich odchodów, które zapakowali starannie do pudełka i wysłali na nowy adres obalonego despoty.

Chociaż paczka została nadana anonimowo, z fałszywym adresem zwrotnym, przypuszczali, że profesor odgadł tożsamość nadawców, ponieważ po kilku podwójnych martini ubolewał czasem nad miernymi postępami szkolnymi syna, twierdząc, iż śmierdząca kupa gnoju ma więcej zdolności niż Skeet: – Jesteś mniej więcej tak wykształcony jak gówno, chłopcze, nie bardziej uczony niż próbka kału, tak kulturalny jak nawóz, mniej pojęty niż krowie łajno i spostrzegawczy jak stolec”.

Wysyłając ojcu Skeeta pudełko psich ekskrementów, rzucali mu wyzwanie, by wcielił swoje wzniosłe teorie edukacyjne w życie i przekształcił psie odchody w lepszego studenta niż Skeet.

Kilka dni po tym, jak podrabiany Caulfield został wykopany w zboże, jego miejsce zajął doktor Lampton.

Ponieważ wszyscy dorośli byli niesłuchanie cywilizowani i pragnęli ułatwiać sobie nawzajem pogoń za osobistym spełnieniem, Claudette oznajmiła dzieciom, że natychmiast po szybkim i sprawnie przeprowadzonym rozwodzie nastąpi nowy ślub.

Dusty i Skeet przestali świętować.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zrozumieli, że wkrótce nadejdzie dzień, gdy zatęsknią za złotym wiekiem, w którym wisiał nad nimi władczy kciuk fałszywego Holdena, ponieważ doktor Derek Lampton bez wątplenia nazaczy ich swoim tradycyjnym numerem identyfikacyjnym: 666.

Skeet sprowadził Dusty'ego na powrót do teraźniejszości.

– Wyglądasz, jakbyś właśnie zjadł robaka.

O czym myślisz?

- O Jaszczurze Lampionie.
- O rany, myśl o nim dalej, a to ja będę musiał ściągać cię z dachu.
- Skeet spuścił nogi z łóżka i usiadł.

Lokaj podszedł do Skeeta i zaczął go lizać po trzęsących się rękach.

- Jak się czujesz?
- spytał Dusty.
- Jak niedoszły samobójca.
- Dobrze, że niedoszły.
- Dusty wyciągnął z kieszeni koszuli dwa losy na loterię i podał je Skeetowi.
- Jak obiecałem.

Kupiłem je w całodobowym sklepie w pobliżu, gdzie w listopadzie sprzedali szczęśliwy los. Trzydzieści milionów wygranej.

- Trzymaj je z dala ode mnie.

Moje dotknięcie wysysie z nich szczęście.

Dusty podszedł do szafki nocnej, otworzył szufladę i wyjął Biblię.

Wertował ją, szukając odpowiedniego ustępu, a potem odczytał werset z Jeremiasza: – „Błogosławiony mąż, który pokłada ufność w Panu”.

- No cóż, nauczyłem się nie pokładać ufności w metamfetaminie.
- To już postęp – powiedział Dusty.

Włożył dwa losy do biblii na stronie, z której czytał, zamknął książkę i schował ją do szuflady.

Skeet wstał z łóżka i ruszył chwiejnie w kierunku łazienki.

- Muszę się wysikać.
- Muszę cię pilnować.

Zapalając światło w łazience, Skeet powiedział: – Nie martw się, braciszku.

Nie ma tu nic, czym mógłbym się zabić.

- Mógłbyś spróbować spłynąć z wodą do muszli – odparł Dusty, stając w otwartych drzwiach.
- Albo zrobić pętlę z papieru toaletowego.
- Widzisz, jesteś za sprytny.

Wymagasz bacznego nadzoru.

Sedes miał zacementowany zbiornik i przycisk do splukiwania; żadnych części, które można by szybko rozłożyć, żadnych metalowych krawędzi dostatecznie ostrych, by przeciąć sobie nadgarstki.

Minutę później, kiedy Skeet mył ręce, Dusty wyciągnął z kieszeni złożone kartki z notatnika i przeczytał głośno odręczną zapiskę Skeeta: – Doktor Yen Lo.

Kostka mydła wysliznęła się Skeetowi z rąk i wpadła do umywalki.

Nie próbował jej podnieść.

Pochylił się nad umywalką, trzymając dłonie pod kranem, a woda splukiwała pianę z jego palców.

Powiedział coś, kiedy upuścił mydło, ale szum wody zagłuszył jego słowa.

Dusty nadstawił uszu.

- Co mówiłeś?

Podnosząc nieznacznie głos, Skeet powtórzył: – Słucham.

Zaskoczony tą odpowiedzią Dusty spytał: – Kto to jest doktor Yen Lo?

Skeet milczał.

Stał zwrócony plecami do Dusty'ego.

Ponieważ pochylił głowę, jego twarz nie była widoczna w lustrze.

Zdawał się patrzeć na swoje ręce, które wciąż trzymał pod kranem, chociaż woda spłukała już z nich wszelkie ślady mydła.

– Hej, mały?

Cisza.

Dusty wszedł do ciasnej łazienki i stanął za bratem.

Skeet, z błyszczącymi oczami i otwartymi ustami, które nadawały mu wygląd zdziwiony i wystraszony, wpatrywał się w swoje dłonie, jakby odpowiedź na pytanie o tajemnicę istnienia kryła się w jego rękach.

Nad umywalką unosiły się kłęby pachnącej mydłem pary.

Woda była przeraźliwie gorąca.

Ręce Skeeta, zwykle blade, stały się wściekle czerwone.

– Dobry Boże.

– Dusty szybko zakręcił wodę.

Metalowy kurek był tak rozgrzany, że ledwie mógł go dotknąć.

Najwyraźniej nie czując bólu, Skeet wciąż trzymał poparzone dłonie pod kranem.

Dusty puścił zimną wodę, a jego brat w ogóle nie zareagował na tę zmianę.

Tak jak wcześniej gorąca woda nie sprawiała mu żadnej przykrości, tak teraz zimna zdawała się nie przynosić najmniejszej ulgi.

Lokaj zaskamlał w drzwiach łazienki.

Podniósł łeb, zastrzygł uszami i wycofał się do sypialni.

Zorientował się, że coś jest zdecydowanie nie tak.

Dusty ujął brata pod ramię.

Skeet, który nadal wbijał wzrok w swoje wyciągnięte dłonie, pozwolił się wyprowadzić z łazienki.

Usiadł na skraju łóżka z rękami na kolanach, studiując je, jakby odczytywał swój los z linii na dłoniach.

– Nie ruszaj się – powiedział Dusty, a potem wybiegł z pokoju na poszukiwanie Toma Wonga.

Rozdział 19.

Kiedy Martie wprowadziła samochód do garażu, poczuła się rozczarowana, nie widząc furgonetki Dusty'ego.

Ponieważ padało, liczyła na to, że zastanie go w domu.

W kuchni znalazła krótką notatkę przyczepioną magnesem do drzwi lodówki: O, Moja Piękna.

Będę w domu przed siedemnastą.

Wyjdziemy gdzieś na kolację.

Kocham cię bardziej niż tortillę.

Dusty.

Skorzystała z małej łazienki i dopiero gdy myła ręce, zauważyła, że na drzwiczkach apteczki nie ma lustra.

Pozostał tylko maleńki odłamek srebrzonego szkła w prawym dolnym rogu metalowej ramy.

Widocznie Dusty stłukł je przypadkiem, a potem starannie zamiótł wszystkie szczątki.

Jeśli rozbite lustro oznaczało pecha, to był najgorszy możliwy dzień, aby je stłuc.

Chociaż zwymiotowała cały obiad, nadal czuła mdłości.

Napełniła szklankę lodem i lemoniadą imbirową.

Coś zimnego i słodkiego zwykle uspokajało jej żołądek.

Dusty, dokądkolwiek pojechał, musiał zabrać ze sobą Lokaja.

Teraz ich dom, mały i przytulny, wydawał się wielki, zimny i samotny.

Martie usiadła przy stole śniadaniowym obok zalewanego przez deszcz okna, by wypić lemoniadę i zdecydować, czy wolałaby wyjść dziś wieczorem, czy zostać w domu.

Przy kolacji zakładając, iż będzie mogła jeść – zamierzała opowiedzieć Dusty'emu o dziwnych wydarzeniach tego dnia i obawiała się, że podsłucha ją kelnerka bądź inni goście.

Poza tym nie chciała znaleźć się w miejscu publicznym, gdyby nastąpił kolejny atak.

Z drugiej strony, jeśli zostaną w domu, nie ufała sobie w dostatecznym stopniu, by ugotować kolację...

Podniosła oczy znad lemoniady i spojrzała na wieszak z nożami wiszący na ścianie w pobliżu zlewu.

Kostki lodu zagrzechotały o szklankę w jej zaciśniętej prawej dłoni.

Połykujące ostrza z nierdzewnej stali zdawały się promieniować, jakby nie tylko odbijały światło, lecz także je emitowały.

Odstawiając szklankę i wycierając dłoń o dzinsy, Martie odwróciła wzrok od wieszaka z nożami.

Ale po chwili, pod wpływem nieodpartego impulsu, znów spojrzała w tamtą stronę.

Wiedziała, iż nie jest zdolna do wyrządzenia krzywdy innym – chyba że w obronie własnej – a zwłaszcza tym, których kochała.

Wątpiła też, by zdołała wyrządzić krzywdę sobie.

Mimo to widok noży tak ją wzburzył, że nie mogła usiedzieć na miejscu.

Wstała, przystanęła niezdecydowana, poszła do jadalni, a potem do salonu; krążyła po domu bez wyraźnego celu aby tylko znaleźć się możliwie daleko od wieszaka z nożami.

Przestawiwszy bibeloty, które nie wymagały przestawiania, poprawiwszy abażur, który nie był przekrzywiony, i wygładziwszy poduszki, które nie były zmarszczone, Martie skierowała się do przedpokoju i otworzyła frontowe drzwi.

Przekroczyła próg i wyszła na ganek.

Serce waliło jej tak mocno, że dygotała od jego uderzeń, a ciśnienie krwi w żyłach mąciło jej wzrok. Stała u szczytu schodów.

Nogi uginały się pod nią i drżały.

Położyła rękę na balustradzie ganku.

Aby oddalić się jeszcze bardziej od wieszaka z nożami, musiałaby wyjść na deszcz, który wyraźnie osłabł i przemienił się z ulewy w intensywną mżawkę.

Dokądkolwiek jednak by poszła, w dowolny zakątek świata, w ładną czy brzydką pogodę, w słońcu czy w ciemnościach, zawsze natknie się na ostre rzeczy, tnące rzeczy, wyszczerbione rzeczy, instrumenty, przedmioty i narzędzia, których można użyć do złowrogich celów.

Musiała ukoić stargane nerwy, wyciszyć umysł, wyrzucić z głowy te dziwaczne myśli.

Uspokoić się.

Boże, pomóż mi.

Próbowała oddychać powoli i głęboko.

Jej oddech stawał się jednak coraz bardziej gwałtowny, nieregularny.

Kiedy zamknęła oczy, szukając wewnętrznego spokoju, znalazła tylko zamęt, przyprawiającą o zawrót głowy ciemność.

Nie zdoła odzyskać panowania nad sobą, dopóki nie zdobędzie się na odwagę, by pójść do kuchni i stawić czoło rzeczy, która wywołała ten atak strachu.

Noże.

Musiała uporać się z nożami, i to szybko, zanim narastający strach przerodzi się w dziką panikę.

Noże.

Z ociąganiem odwróciła się od schodów.

Podeszła do otwartych drzwi frontowych.

Przedpokój za progiem napawał ją lękiem.

Jej ukochany dom, miejsce, gdzie przeżyła najszcześniejsze chwile w swoim życiu, teraz wydawał się prawie tak obcy jak dom nieznanym ludzi.

Noże.

Weszła do środka, zawahała się i zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 20.

Chociaż ręce Skeeta były mocno zaczerwienione, nie wyglądały już tak strasznie jak kilka minut temu i nie były poparzone.

Tom Wong posmarował je kojącą maścią.

Ponieważ Skeet popadł w apatię i nadal nie odpowiadał na Pytania, Tom pobrał próbkę krwi do testu na obecność narkotyków.

Po przyjęciu do Kliniki Nowego Życia Skeet został poddany skrupulatnej rewizji, lecz ani w jego rzeczach, ani w zakamarkach ciała nie znaleziono żadnych niedozwolonych substancji.

– To może być spóźniona reakcja wtórna na to, co wpomPował w siebie rano – wyraził przypuszczenie Tom, kiedy wychodził z próbką krwi.

W ciągu ostatnich kilku lat, w najgorszych momentach swego okresowego uzależnienia, Skeet zachowywał się bardziej dziwnie niż Kaczor Donald po fencyklidynie, lecz Dusty wcześniej nie widział u niego tak szklatego, katatonicznego wzroku.

W domu Lokaj nawet nie zbliżał się do mebli, teraz jednak wydawał się tak zatroskany stanem Skeeta, że zapomniał o zasadach i ułożył się na fotelu.

W pełni rozumiejąc przygnębienie psa, Dusty zostawił go w spokoju.

Przysiadł na krawędzi łóżka, obok brata.

Skeet leżał na plecach, z głową wspartą na trzech poduszkach.

Wpatrywał się w sufit.

W świetle nocnej lampki jego twarz była spokojna jak twarz pogrążonego w medytacji jogina.

Przypomniawszy sobie wyraźną natarczywość i wzburzenie z jakim na kartkach z notesu zostało nakreślone nazwisko doktora Yena Lo, Dusty wymówił je półgłosem.

Skeet, choć nadal sprawiał wrażenie kompletnie oderwanego od otaczającego go świata, odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy Dusty wymienił to nazwisko w przylegającej do sypialni łazience.

– Słucham – powiedział, dokładnie tak samo jak przedtem.

– Czego słuchasz?

– Czego słucham?

– Co ty wyprawiasz?

– Co ja wyprawiam?

– spytał Skeet.

– Pytałem, czego słuchasz.

– Ciebie.

– No tak.

Dobrze, powiedz mi zatem, kto to jest doktor Lo.

– To ty.

– Ja?

Ja jestem twoim bratem.

Pamiętasz?

– Czy to jest to, co chcesz, żebym powiedział?

Dusty mruknął: – No cóż, to chyba prawda, nie?

Choć jego twarz pozostała nieruchoma i pozbawiona wyrazu, Skeet spytał: – To prawda?

Jestem zdezorientowany.

– Coś takiego.

Zapisz i mnie do tego klubu.

– Do jakiego klubu mam cię zapisać?

– spytał Skeet najzupełniej poważnie.

– Skeet?

– Hmm?

Dusty zawahał się, próbując dociec, do jakiego stopnia dzieciak może być oderwany od rzeczywistości.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– Gdzie jestem?

– A więc nie wiesz?

– Wiem?

– Możesz się rozejrzeć?

– Mogę?

– Czy to jest skecz Abbotta i Costella?

– Jest?

Zniechęcony Dusty powiedział: – Rozejrzyj się.

Skeet natychmiast podniósł głowę z poduszek i zlustrował pokój.

– Na pewno wiesz, gdzie jesteś – powiedział Dusty.

– W Klinice Nowego Życia.

Skeet opuścił głowę z powrotem na poduszki.

Jego oczy znów wbiły się w sufit, a po chwili stało się z nimi coś dziwnego.

Nie bardzo pewien, co zobaczył, Dusty pochylił się nad bratem, by popatrzeć z bliska na jego twarz.

W padającym z ukosa świetle lampy prawe oko Skeeta było złote, a lewe miodowo brunatne, co sprawiało niepokojące wrażenie, jakby z tej samej czaszki spoglądały dwie różne osoby.

Ale to nie gra światła przyciągnęła uwagę Dusty'ego.

Czekał prawie minutę, zanim znów to zobaczył: oczy Skeeta poruszały się gwałtownie tam i z powrotem przez kilka sekund, a potem na powrót znieruchomiały.

– Tak, w Klinice Nowego Życia – potwierdził z opóźnieniem Dusty.

– I wiesz, dlaczego tu jesteś.

– Żeby usunąć trucizny z organizmu.

– Właśnie.

Ale czy brałeś coś, odkąd się tu znalazłeś, czy wniosłeś tu po kryjomu jakieś prochy?

Skeet westchnął.

– Co chcesz, żebym powiedział?

Oczy chłopca znów się poruszyły.

Dusty policzył w pamięci sekundy.

Pięć.

Potem Skeet mrugnął, a jego wzrok znieruchomiał.

– Co chcesz, żebym powiedział?

– powtórzył.

– Powiedz mi prawdę – nalegał Dusty.

– Powiedz mi, czy wniosłeś tu jakieś prochy.

– Nie.

– Więc co się z tobą dzieje?

– Co chcesz, żeby się ze mną działo?

– Do diabła, Skeet!

Delikatny mars pojawił się na czole chłopca.

– To nie tak miało być.

– Jak co nie miało być?

To.

– Napięcie wykrzywiło kąciki ust Skeeta.

– Nie przestrzegasz reguł.

– Jakich reguł?

Bezwładne ręce Skeeta zwinęły się i zacisnęły w pięści.

Jego oczy znów się poruszyły, z boku na bok, lecz tym razem zapadły się również w głąb czaszki.

Siedem sekund.

To było to.

Gwałtowne odruchy okołozrenicowe.

Według psychologów takie odruchy zamkniętych oczu świadczyły, że śpiący śni.

Skeet jednak nie miał zamkniętych oczu, i chociaż znajdował się w jakimś szczególnym stanie, z pewnością nie spał.

Dusty powiedział: – Pomóż mi, Skeet.

Nie jestem na tej samej stronie.

O jakich regułach mówisz?

Powiedz mi, na czym polegają te reguły?

Skeet nie odpowiedział od razu.

Stopniowo zmarszczki zniknęły z jego czoła.

Jego skóra stała się gładka i przejrzysta.

Wzrok nadal miał wbity w sufit.

Jego oczy poruszyły się, a kiedy znowu zastygły, przemówił głosem spokojnym i nie tak matowym jak wcześniej.

Szepnął: – Czyste kaskady.

Niezależnie od ich sensu, te dwa słowa mogły zostać wybrane przypadkowo, jak dwie ponumerowane piłeczki wyrzucone z maszyny do losowania.

– Czyste kaskady – powtórzył Dusty.

Gdy jego brat nie odpowiedział, dodał: – Wciąż potrzebuję pomocy, mały.

– Na fale padły – wyszeptał Skeet.

Dusty odwrócił głowę, słysząc jakiś dźwięk za plecami.

Lokaj zeskoczył z fotela i poczłapał do przedpokoju, gdzie odwrócił się i stanął, z postawionymi uszami i podkulonym ogonem, patrząc na nich uważnie spod progu, jakby się czegoś przestraszył.

Na fale padły.

Więcej piłek.

Mała śnieżna ćma z delikatnym wzorem na krawędziach kruchych skrzydełek usiadła na odwróconej prawej dłoni Skeeta.

Gdy zaczęła po niej pełznąć, jego palce nawet nie drgnęły, jakby w ogóle nie czuł owada.

Usta miał otwarte, wargę obłą.

Oddychał tak płytko, że jego pierś nie unosiła się ani nie opadała.

Jego oczy znów się poruszyły, a kiedy znieruchomiały, Skeet mógłby uchodzić za zmarłego.

Czyste kaskady – powiedział Dusty.

– Na fale padły.

Czy to cokolwiek znaczy, mały?

– Znaczy?

Prosiłeś, żebym ci powiedział, na czym polegają reguły.

– Czy to są te reguły?

– spytał Dusty.

Oczy Skeeta poruszały się przez kilka sekund.

Potem chłopiec powiedział: – Znasz reguły.

– Założmy, że nie.

– To są dwie z nich.

– Dwie reguły.

– Tak.

– Nie są tak jasne jak reguły pokera.

Skeet nic nie powiedział.

Chociaż wszystko to brzmiało jak czysty bełkot, majaczenia zamroczonego narkotykami umysłu, Dusty żywił osobliwą pewnością, że ta nedorzeczna rozmowa ma prawdziwe – choć niejasne – znaczenie i że prowadzi do wstrząsającego odkrycia.

Przyglądając się uważnie bratu, poprosił: – Powiedz mi, ile jest reguł.

– Przecież wiesz – odparł Skeet.

– Założmy, że nie.

– Trzy.

– Jaka jest trzecia reguła?

– Jaka jest trzecia reguła?

Błękitne igły sosnowe.

Czyste kaskady.

Na fale padły.

Błękitne igły sosnowe.

Lokaj, który rzadko szczeakał, a jeszcze rzadziej warczał, stanął teraz w otwartych drzwiach, patrząc na nich z przedpokoju, i wydał z siebie głuchy, groźny pomruk.

Sierść na grzbiecie zjeżyła mu się jak u komiksowego psa, który spotkał komiksowego ducha.

Choć Dusty nie potrafił określić z całą pewnością przyczyny wzburzenia Lokaja, zdawało się, że jest nią biedny Skeet.

Po dłuższej chwili namysłu Dusty powiedział: – Wyjaśnij mi te reguły, Skeet.

Wy tłumacz mi, co znaczą.

– Ja jestem falami.

– W porządku – powiedział Dusty, choć miało to dla niego mniej sensu, niż gdyby Skeet, w tradycji poezji psychodelicznej ery Beatlesów, oznajmił: „Jestem morsem”.

– Ty jesteś czystymi kaskadami – ciągnął Skeet.

– Jasne – powiedział Dusty, aby go zachęcić.

- A igły są zadaniami.
- Zadaniami.
- Tak.
- Czy dla ciebie ma to sens?
- Ma?
- Zapewne ma.
- Tak.
- Dla mnie nie ma w tym żadnego sensu.

Skeet milczał.

- Kto to jest doktor Yen Lo?
- spytał Dusty.
- Kto to jest doktor Yen Lo?
- Pauza.
- To ty.
- Myślałem, że jestem czystymi kaskadami.
- To jedno i to samo.
- Ale ja nie jestem Yenem Lo.

Na czole Skeeta znów pojawiły się głębokie zmarszczki.

Jego ręka, która leżała bezwładnie, znów zwinęła się powoli w pięść.

Delikatna ćma przeleciała pomiędzy bladymi, zaciśniętymi palcami.

Po kolejnej serii odruchów okołożrenicowych Dusty spytał: – Skeet, czy ty jesteś przytomny?

Po chwili wahania chłopiec odparł: – Nie wiem.

– Nie wiesz, czy jesteś przytomny.

A zatem...

musisz spać.

Nie.

– Jeżeli nie śpisz i nie wiesz, czy jesteś przytomny, to co się z tobą dzieje?

– Co się ze mną dzieje?

– To ja spytałem.

– Słucham.

– Nie zaczynaj znowu.

– Czego?

– Co czego?

– Czego mam nie zaczynać?

– spytał Skeet.

Dusty utracił wewnętrzne przekonanie, że rozmowa jest oparta na głębokiej, choć ukrytej treści i że zbliżają się do odkrycia które nagle ujawni cały jej sens.

Chociaż niezwykle i wyjątkowo dziwaczna, wydawała się teraz tak samo irracjonalna i przygnębiająca jak inne rozmowy, które prowadzili, kiedy Skeet wychodził z zamroczenia narkotykowego.

– Czego mam nie zaczynać?

– spytał znowu Skeet.

– Och, nie męcz mnie i idź spać – powiedział Dusty z irytacją.

Skeet posłusznie zamknął oczy.

Spokój zstąpił na jego twarz, a na wpół zaciśnięte dłonie zwiotczały.

Zaczął oddychać w płytkim, powolnym, miarowym rytmie.

Po chwili zachrapał cicho.

– Co tu się, do diabła, dzieje?

– zdumiał się na głos Dusty.

położył prawą dłoń na karku, aby go rozgrzać i zetrzeć szorstki nalot gęszej skórki.

Jego ręka była jednak zbyt zimna i wtarła chłód jeszcze głębiej, do kręgosłupa.

Węsząc ciekawie, zaglądnął w ciemne kąty i pod łóżko, jakby szukał kogoś lub czegoś, wrócił z przedpokoju Lokaj.

Sierść już mu się nie jeżyła.

Cokolwiek go wystraszyło, musiało zniknąć.

Najwyraźniej Skeet zasnął, ponieważ otrzymał takie polecenie. Ale nie można przecież zasnąć na komendę, w jednej chwili.

– Skeet?

Dusty położył rękę na ramieniu brata i potrząsnął nim łagodnie, a potem mniej łagodnie.

Skeet nie zareagował.

Nadal chrapał cicho.

Jego powieki drżały, gdy oczy poruszały się pod nimi.

Odruchy okołozrenicowe.

Niewątpliwie był w fazie marzeń sennych.

Podnosząc prawą dłoń Skeeta, Dusty przycisnął dwoma palcami arterię promieniową na nadgarstku brata.

Puls małego był silny i regularny, ale powolny.

Dusty zaczął liczyć.

Czterdzieści osiem uderzeń na minutę.

Tętno wydawało się niepokojąco wolne, nawet jak na śpiącego.

Skeet był w fazie marzeń sennych, zgoda.

Głęboko w fazie marzeń sennych.

Rozdział 21.

Wieszak na noże wisiał na dwóch hakach na ścianie, niczym totem jakiegoś uprawiającego kult diabła klanu, który używał kuchni do bardziej złowieszczych celów niż gotowanie.

Martie zdjęła wieszak, starając się nie dotykać noży.

Wsunęła go na półkę w dolnej szafce i szybko zamknęła drzwiczki.

Źle.

Usunąć z zasięgu wzroku to nie znaczy wyrzucić z umysłu.

Noże nadal były łatwo dostępne.

Musiała schować je głębiej.

W garażu znalazła puste kartonowe pudło i rolkę taśmy samoprzylepnej.

Kiedy przykucnęła przed szafką, w której ukryła noże, nie mogła od razu otworzyć drzwiczek.

Tak naprawdę bała się ich nawet dotknąć, jakby to nie była zwyczajna szafka, lecz jakiś satanistyczny relikwiarz, w którym przechowuje się skrawki jednego z rozszczępionych kopyt Belzebuba.

Musiała zebrać się na odwagę, aby sięgnąć po noże, a kiedy wreszcie wyjęła je ostrożnie z szafki, ręce tak się jej trzęsły, że stalowe ostrza podzwaniały w szczelinach wieszaka.

Wrzuciła noże do pudła i zamknęła kartonowe klapy.

Za częła odwijać taśmę, by zakleić pudło, lecz wtedy uświadomiła sobie, iż musi ją czymś uciąć.

Otworzyła szufladę i sięgnęła po nożyczki, ale nie zdołała ich podnieść.

One też mogły posłużyć jako śmiertcionośna broń.

Widziała niezliczone filmy, w których morderca używał nożyczek zamiast rzeźnickiego noża.

Na ludzkim ciele jest tyle miękkich, wrażliwych miejsc.

Pachwina.

Żołądek.

Przestrzeń pomiędzy żebrami, gdy chce się ugodzić prosto w serce.

Gardło.

Szyja.

Jak w talii kart z wizerunkami seryjnych morderców.

– Wszystkie zbrodnie Kuby Rozpruwacza przedstawione z najdrobniejszymi szczegółami!

Każdy joker zawiera inną kolorową ilustrację kolekcji zamrożonych głów Jefreya Dahmera!

Przed oczami Martie zaczęły przesuwac się groteskowe i krwawe sceny.

Zatraskując szufladę i odwracając się do niej plecami, starała się wyrzucić z umysłu brutalne obrazy, które podsuwała ją z dziką uciechą jakaś chora część jej psychiki.

Była w domu sama.

Nie mogła skrzywdzić nikogo nożyczkami.

Z wyjątkiem, rzecz jasna, siebie.

Od momentu, gdy zareagowała tak dziwnie na mezzalinę w kuchni Susan i kluczyk do samochodu kilka minut po niej, Martie czuła, że posiada nową, zdumiewającą i niewyjaśnioną zdolność do zadawania gwałtu, i przerażała ją myśl, jaką krzywdę mogłaby wyrządzić niewinnej osobie w napadzie chwilowego szaleństwa.

Teraz, po raz pierwszy, zaczęła podejrzewać, że w irracjonalnym odruchu byłaby w stanie wyrządzić krzywdę sobie.

Spojrzała na pudło, w którym umieściła komplet noży.

Gdyby zaniósła je do garażu, postawiła w kącie i położyła na wierzchu stertę innych rzeczy, i tak mogłaby się do niego dostać w ciągu minuty.

Pojedynczy pasek taśmy dałoby się bez trudu rozerwać, otworzyć klapy i wyciągnąć noże.

Chociaż nóż rzeźniczy – podobnie jak wszystkie inne – pozostawał w pudle, czuła ciężar tej broni, jakby właśnie trzymała ją w ręku: kciuk przylegający płasko do stalowego ostrza, palce zaciśnięte na drewnianym trzonku, palec wskazujący oparty twardo, mały palec w zakłębieniu na końcu trzonka.

Takiego chwytu mogłaby użyć, gdyby chciała uderzyć nożem od dołu, obrócić go mocno i szybko i wbić głęboko, by rozplatać brzuch ofierze.

Jej prawa ręka zaczęła drżeć, potem ramię, a w końcu całe ciało.

Rozwarła dłoń, jakby próbowała wypuścić wyimaginowany nóż, niemal oczekując, że stalowe ostrze zabrzęczy o kafelki podłogi.

Nie, dobry Boże, nie mogłaby popełnić tak strasznych rzeczy żadnym z tych noży.

Nie była też zdolna do samobójstwa ani do samookaleczenia.

Weź się w garść.

Mimo to nie mogła przestać myśleć o lśniących klingach i ostrych krawędziach, tnących i kaleczących.

Za wszelką cenę starała się wyrzucić z głowy talię z Kubą Rozpruwaczem, lecz nagle, jak w obłąkanym pasjansie, przed jej oczami zaczęły przesuwać się straszliwe sceny, wirujące karty szybowały w powietrzu i układały się jedna obok drugiej, plask-plask-plask, dopóki nie porwała ich skłębiona fala, która przetoczyła się jej pod czaszką, zalała piersi i spłynęła prosto do żołądka.

Nie pamiętała, jak padła na kolana przed kartonowym pudłem.

Nie pamiętała też, jak chwyciła rolkę taśmy samoprzylepnej, lecz nagle uświadomiła sobie, że przewraca pudło z boku na bok, gorączkowo owijając je taśmą, raz po raz, najpierw wokół dłuższych krawędzi, potem wokół krótszych, a później po przekątnej.

Była przerażona szaleńczą pasją, jaką wkładała w to zadanie.

Próbowała opuścić ręce, oderwać je od pudła, ale nie mogła się powstrzymać.

Pracując tak szybko i tak intensywnie, że oblewał ją lepki pot, dysząc ciężko i kwiląc ze strachu, Martie zużyła całą rolkę, omotując taśmą karton w jednym nieprzerwanym splocie, aby tylko nie dotykać nożyczek.

Okleiła pudło tak starannie, jak starożytni egipcjczycy balsamiści owijali zmarłych faraonów w nasyczone żywicą bawełniane całuny.

Kiedy doszła do końca rolki, wciąż nie była usatysfakcjonowana, ponieważ nadal wiedziała, gdzie znaleźć noże.

To prawda: nie były już łatwo dostępne.

Musiałaby zerwać wiele warstw taśmy klejącej, aby otworzyć pudło i dotrzeć do śmiercionośnych ostrzy, a za żadne skarby nie ośmieliłaby się sięgnąć po żyłkę lub nożyczki, by ułatwić sobie zadanie, powinna odczuwać ulgę.

Ale pudło to nie sejf bankowy, tylko kawał kartonu, a ona nie będzie bezpieczna – nikt nie będzie bezpieczny – dopóki wie, gdzie znaleźć noże, i dopóki istnieje najmniejsza szansa, że zdoła się do nich dostać.

Gęsty, czerwony opar strachu unosił się nad morzem jej duszy, zimna, skłębiona mgła napływała z najciemniejszych zakątków serca, zasnuwając umysł, mącąc myśli, wzmagając ogarniający ją zamęt, a wraz z rosnącym zamętem przyszedł większy strach.

Wyniosła kartonowe pudło z domu, na ganek kuchenny, zamierzając zakopać je na podwórzu.
Co oznaczało wykopanie dołu.
Co oznaczało użycie łopaty lub motyki.
Ale te przedmioty były czymś więcej aniżeli zwykłymi narzędziami: były potencjalną bronią.
Nie mogła zaufać sobie na tyle, by wziąć do rąk łopatę lub motykę.
Upuściła pakunek.
Noże zagrzechotały wewnątrz pudła wydając stłumiony, lecz mimo to groźny dźwięk.
Musiała pozbyć się noży raz na zawsze.
Wyrzucić je.
To było jedyne rozwiązanie.
Jutro jest dzień wywożenia śmieci.
Jeśli wyrzuci noże do pojemnika, rano zostaną zabrane na wysypisko.
Nie wiedziała, gdzie znajduje się wysypisko.
Nie miała pojęcia.
Gdzieś daleko na wschodzie, na odległym pustkowiu, może nawet w innym hrabstwie.
Już nigdy nie zdoła odnaleźć ich jeśli zostaną wywiezione na wysypisko.
Po wizycie śmieciarzy będzie bezpieczna.
Z sercem szamoczącym się w klatce z żeber chwyciła przekłete pudło i zeszła po stopniach ganku.
Tom Wong zbadał Skeetowi puls, osłuchał go i zmierzył ciśnienie.
Zimna membrana stetoskopu na piersi chłopca i opaska zaciskowa na prawym ramieniu nie wywołały u niego żadnej reakcji.
Żadnego skurczu, mrugnięcia, dreszczu, westchnienia, chrząknięcia czy pomruku.
Leżał bezwładny i blady jak obrana i ugotowana cukinia.
– Miał tętno czterdzieści osiem, kiedy je mierzyłem – powiedział Dusty, stając w nogach łóżka.
– Teraz czterdzieści sześć.
– Czy to niebezpieczne?
– Niekoniecznie.
Nie ma objawów zapaści.
Zgodnie z kartą normalne tętno Skeeta, kiedy był czysty, trzeźwy i przytomny, wynosiło sześćdziesiąt sześć.
Dziesięć lub dwanaście uderzeń mniej, gdy spał.
– Czasem podczas snu tętno spada nawet do czterdziestu – powiedział Tom – chociaż to zdarza się rzadko.
– Podniósł powieki Skeeta, najpierw jedną, potem drugą, i zbadał jego oczy oftalmoskopem.
– Źrenice są tej samej wielkości, ale to może być apopleksja.
– Wylew?
– Albo zator.
Nawet jeśli to nie apopleksja, może to być inny rodzaj śpiączki.
Diabetyczna.
Uremiczna.
– Nie jest diabetykiem.
– Lepiej sprowadzę lekarza – powiedział Tom i wyszedł z pokoju.
Deszcz przestał padać, lecz owalne liście indyjskich wawrzynów płakały, jakby trawił je głęboki

smutek.

Niosąc pudło z nożami, Martie pospieszyła na wschodnią stronę domu.

Energicznym szarpnięciem otworzyła furtkę śmietnika.

Analityczna część jej umysłu, jego zdrowa część, uwięziona przez strach, była nieprzyjemnie świadoma, że z postawy i ruchów przypomina marionetkę: głowa wysunięta do przodu na sztywnej szyi, wyciągnięte ramiona, łokcie i kolana poruszające się w takt szybkich pociągnięć sznurka.

Jeśli była marionetką, to za sznurki pociągał Jaś Panikarz.

Na uczelni niektórzy z jej kolegów zachwycali się błyskotliwą poezją Sylvii Plath; Martie, chociaż uważała jej wiersze za zbyt nihilistyczne i przygnębiające, aby się nimi zachwycać, zapamiętała jedną bolesną obserwację poetki – przekonujące wyjaśnienie, co skłania ludzi do tego, że są wobec siebie okrutni i dokonują tyłu autodestrukcyjnych wyborów.

Z mojego punktu widzenia – pisała Plath – wyobrażam sobie, że światem rządzi jedna i tylko jedna siła.

Strach o twarzy psa, twarzy diabła, twarzy wiedźmy, twarzy kurwy, strach pisany wielkimi literami bez żadnej w ogóle twarzy – ciągle ten sam Jaś Panikarz, na jawie czy we śnie.

W ciągu dwudziestu ośmiu lat jej życia świat Martie był na ogół wolny od strachu, przepełniony za to pogodnym poczuciem przynależności, spokoju, celu i związku z wszelkim stworzeniem, ponieważ ojciec nauczył ją wierzyć, iż każde życie ma sens.

Uśmiechnięty Bob mawiał, że jeśli człowiek zawsze kieruje się odwagą, honorem, poczuciem własnej godności, ufnością i współczuciem, i jeśli zachowuje umysł i serce otwarte na lekcje, których udziela mu świat, zrozumie w końcu sens istnienia, być może już na tym świecie, a z pewnością na tamtym.

Taka filozofia zapewniała szczęśliwsze życie, mniej obciążone kamieniem strachu niż życie tych, którzy są przekonani o bezsensie istnienia.

A mimo to Jaś Panikarz pojawił się w życiu Martie, w jakiś sposób oмотał ją swoimi sznurkami i kazał jej teraz odgrywać całe to chorobliwe przedstawienie.

W śmietniku na tyłach domu Martie zdjęła spiętą klamrą pokrywę z ostatniego z trzech plastikowych pojemników, jedyne, który był pusty.

Wrzuciła owinięte taśmą pudło z nożami, zamknęła pokrywę i ponownie zacisnęła klamrę ze stalowego drutu.

Powinna poczuć ulgę.

Tymczasem jej strach rósł.

Zasadniczo nic się nie zmieniło.

Wiedziała, gdzie są noże.

Nadal mogła je odzyskać, gdyby coś ją do tego skłoniło.

Nie znajdą się poza jej zasięgiem, dopóki śmieciarze nie wrzucą ich do swojej ciężarówki i nie odjadą z nimi rano.

Co gorsza, noże nie były jedynymi przedmiotami, za pomocą których mogłaby dać wyraz nowym okropnym myślom nawiedzającym jej udręczony umysł.

Jej jasno pomalowany dom z uroczą filigranową werandą mógł wydawać się oazą spokoju ale w rzeczywistości był dobrze wyposażoną rzeźnią, arsenałem wypełnionym bronią; jeśli chciało się zadać gwałt, wiele ze znajdujących się w nich niewinnych na pozór przedmiotów mogło posłużyć jako ostrza lub maczugi.

Zrozpaczona Martie przycisnęła ręce do skroni, jakby chciała zdusić bunt przerażających myśli, które kłębiły się i wrzeszczały w ciemnych uliczkach jej umysłu.

Głowa zaczęła pulsować pod jej palcami, a czaszka stała się nagle elastyczna, im mocniej naciskała, tym bardziej wzmagał się wewnętrzny zamęt.

Uśmiechnięty Bob zawsze mówił, że działanie jest odpowiedzią na większość problemów.

Strach, rozpacz, przygnębienie, a w wielu wypadkach także i gniew rodzą się z poczucia bezsilności, bezradności.

Podejmowanie działań w celu rozwiązania problemów to właściwa metoda, lecz jeśli chce się uczynić ją słuszną i najskuteczniejszą, należy kierować się rozsądkiem i zachować odpowiednią perspektywę moralną.

Martie nie miała pojęcia, czy robi rzecz słuszną i najskuteczniejszą kiedy wyciągnęła ze śmietnika wielki, zaopatrzony w kółka pojemnik i pospiesznie potoczyła go ścieżką, w kierunku drzwi kuchennych.

Odwoływanie się do rozsądku i zdrowych zasad moralnych wymaga spokojnego umysłu, w jej głowie natomiast szalała zawierucha i chwilowo wiatry owej wewnętrznej burzy brały górę.

W tym konkretnym momencie Martie wiedziała tylko, co musi zrobić, a nie co powinna zrobić.

Nie mogła czekać na spokój, który pozwoli jej ocenić logicznie własne działania; musiała działać, zrobić coś, cokolwiek, ponieważ gdy stała beczynną, choćby przez chwilę, nawałnica skłębionych, wirujących, mrocznych myśli uderzała w nią bardziej gwałtownie niż kiedy skupiała się na jakiejś czynności.

Gdyby ośmieliła się usiąść lub nawet przystanąć, by zaczerpnąć oddechu, wewnętrzny wicher porwałby ją i uniósł w mgnieniu oka; jeśli jednak zajmie się czymś, być może podejmie wiele niemądrych działań, być może będzie popełniać jedno głupstwo po drugim, zawsze jednak istniała szansa, nieważne, jak nikła, że pod wpływem zwykłego instynktu zrobi rzecz słuszną i zazna nieco ulgi.

Poza tym, gdzieś w środku, gdzie myśl i refleksja niewiele znaczą, gdzie liczą się tylko uczucia, wiedziała, że musi przezwyciężyć strach i odzyskać panowanie nad sobą, nim zapadnie noc.

Prymitywne instynkty drzemiące w każdym człowieku budzą się do życia nocą, ponieważ wzywa je księżyc, a zimna pustka pomiędzy gwiazdami przemawia ich językiem.

Dla dzikiej strony ludzkiej natury zło może wyglądać kusząco w wątlym świetle.

W ciemnościach atak paniki może się przerodzić w coś znacznie gorszego, nawet w szaleństwo.

Chociaż deszcz przestał padać, w górze, od horyzontu po horyzont, rozpościerał się ocean czarnych chmur, a dzień tonął w przedwczesnym mroku.

Prawdziwy mrok też niebawem zapadnie.

Tłuste nocne gąsiennice już wypęzły z murawy i wiły się na ścieżce.

Nadciągnęły również ślimaki, pozostawiając za sobą wilgotne, srebrzyste ślady.

Powietrze wypełniał żyzny zapach mokrej ziemi, słomy i gnijących liści na grządkach kwiatowych, połyskujących ciemno krzewów i ociekających wodą drzew.

W półmroku Martie czuła niepokojącą obecność bujnego życia, dla którego słońce było zakazane, lecz któremu noc oferowała gościnę.

Czuła też, że jakaś straszna, pierwotna część natury dzieli entuzjazm dla nocy ze wszystkimi wijącymi pełzającymi, skradającymi się oślizgłymi stworzeniami, które wychodziły z ukrycia między zmierzchem a świtem.

Przepęniał ją nie tylko strach, lecz także mroczna żądza, potrzeba, pragnienie, którego nie ośmielała się nazwać.

Musiła działać, działać, działać, stworzyć bezpieczne schronienie, w którym nie pozostanie nic, co mogłoby okazać się niebezpieczne w szalonych rękach.

Choć Klinika Nowego Życia zatrudniała głównie pielęgniarki i terapeutów, lekarz też znajdował się na miejscu od szóstej rano do ósmej wieczorem.

Obecnie dyżur pełnił doktor Donklin, którego Dusty poznał podczas poprzedniej kuracji Skeeta w klinice.

Ze swymi kręconymi siwymi włosami i różową skórą niemowlęcia, niezwykle gładką i miękką jak na jego wiek, doktor Donklin miał dobronuduszy wygląd popularnego telewizyjnego kaznodziei, chociaż brakowało mu nieodłącznej służalczości, która pozwalała przypuszczać, iż wielu spośród tych elektronicznych katechetów zmierza prostą drogą ku potępieniu.

Po zakończeniu prywatnej praktyki doktor Donklin doszedł do wniosku, że emerytura nie jest bardziej pociągająca niż śmierć.

Przyjął posadę w Klinice Nowego Życia, ponieważ praca, choć nie obfitowała w poważne wyzwania, była pożyteczna i, jak sam oświadczył, ocaliła go przed duszącym czyścem niekończącego się golfa i prawdziwym piekłem domina.

Donklin ujął lewą rękę Skeeta, a chłopiec, choć pogrążony w śnie, słabo odwzajemnił uścisk.

Lekarz powtórzył to z jego prawą ręką.

– Żadnych widocznych oznak paraliżu – powiedział Dom klin.

– Oddech nie jest chrapliwy, policzki nie wydymają się przy wydechu.

– Źrenice są równo rozszerzone – wtrącił Tom Wong.

Donklin obejrzał źrenice i kontynuował badanie.

– Skóra nie jest wilgotna, normalna temperatura powierzchniowa.

Zdziwiłbym się, gdyby to była śpiączka apoplektyczna.

Żadnego wylewu, zatoru ani skrzepu.

Ale uwzględnimy taką możliwość i przewieziemy go do szpitala, jeśli szybko nie zidentyfikujemy problemu.

Dusty pozwolił sobie na nieco optymizmu.

Lokaj stał w kącie z podniesioną głową, uważnie obserwując pomieszczenie, wyraźnie zaniepokojony, czy nie powróci to, co przed chwilą zjeżyło mu sierść i wypłoszyło go z pokoju.

Stosując się do instrukcji lekarza, Tom założył Skeetowi cewnik i pobrał próbkę moczu.

pochyliwszy się nad nieprzytomnym pacjentem, Donklin powiedział: – Nie ma słodkiego oddechu, ale musimy zbadać mocz na obecność białka i cukru.

– Nie jest diabetykiem – powiedział Dusty.

– Nie wygląda to również na śpiączkę uremiczną – zauważył lekarz.

– Miałby wtedy mocny, szybki puls.

Podwyższone ciśnienie krwi.

Nie widzę takich objawów.

– A może po prostu śpi?

– spytał Dusty.

– Żeby zasnąć tak głęboko – odparł Henry Donklin – potrzebne by było zaklęcie czarownicy albo kęs jabłka Królowy Śnieżki.

– Chodzi o to...

trochę mnie zirytował swoim zachowaniem, więc kazałem mu iść spać, powiedziałem to dosyć ostro,

i w momencie, kiedy to powiedziałem, zasnął.

Twarz Donklina przybrała tak lodowaty wyraz, że wyglądała jak pokryta szronem.

– Chce mi pan powiedzieć, że jest pan czarownicą?

– Tylko malarzem pokojowym.

Donklin postanowił zastosować sole trzeźwiące, ale i węglan amonu nie zdołał ocucić Skeeta.

– Jeżeli po prostu śpi – powiedział lekarz – to musi być potomkiem Ripa van Winkle.

Ponieważ pojemnik na śmieci zawierał tylko pudło z nożami i miał duże kółka, Martie bez trudu zdołała wciągnąć go po schodach na ganek kuchenny.

Z wnętrza oklejonego taśmą pudła dobiegała przez ściany pojemnika gniewna muzyka podzwaniających ostrzy.

Początkowo chciała wtoczyć pojemnik do kuchni.

Teraz uświadomiła sobie, że za nic nie wniesie noży z powrotem do domu.

Zastygła w niezdecydowaniu, z rękami zaciśniętymi na plastikowym uchwycie.

Najważniejsze było oczyszczenie domu z wszelkiej potencjalnej broni.

Zanim nadejdą ciemności.

Zanim prymitywne instynkty wezmą nad nią górę.

Musiała działać.

Otworzyła kuchenne drzwi i przesunęła pojemnik pod sam próg, tak blisko, jak tylko było to możliwe.

Zdjęła pokrywę i położyła ją na podłodze ganku.

Znalazszy się w kuchni, otworzyła szufladę kredensu i przyjrzała się jej połyskującej zawartości.

Widelce do sałatek.

Widelce stołowe.

Noże stołowe.

Noże do masła.

I dziesięć noży do mięsa z drewnianymi trzonkami.

Nie dotykała niebezpiecznych przedmiotów.

Ostrożnie odsunęła mniej niebezpieczne rzeczy – łyżki, łyżeczki do herbaty, łyżeczki do kawy – i położyła je na blacie.

Potem wyjęła szufladę z kredensu, zaniósła ją pod otwarte drzwi i opróżniła.

Wraz z plastikowymi przegródkami posypała się z brzękiem do pojemnika stalowa kaskada widelców i noży.

Serce jej biło w rytmie tych mrozących krew w żyłach dźwięków.

Postawiła szufladę na kuchennej podłodze, w kącie, aby nie przeszkadzała.

Nie miała czasu wkładać do niej ocalonych łyżeczek i wsuwać z powrotem do kredensu.

Pozorny mrok przemieniał się w mrok prawdziwy, przez otwarte drzwi słyszała ochryple głosy małych zimowych ropuch, które wychodziły z ukrycia tylko nocą.

Następna szuflada.

Różne sprzęty i przybory kuchenne.

Otwieracz do butelek.

Nożyk do ziemniaków.

Obieracz do cytryn.

Termometr do mięsa ze złowieszczo wyglądającym kolcem.

Mały tłuczek do mięsa.

Korkociąg.

Miniaturowe plastikowe kolby kukurydzy z dwiema ostrymi igłami na jednym końcu, które wbija się w kaczan, by podnieść do ust świeżo ugotowaną kukurydżę.

Była zdumiona liczbą i różnorodnością zwykłych sprzętów domowych, które mogły posłużyć jako broń.

Każdy inkwizytor udający się na przesłuchanie byłby usatysfakcjonowany, mogąc dobrać sobie zestaw narzędzi tortur z przedmiotów pochodzących z jej kuchni.

W szufladzie znajdowały się również wielkie plastikowe naczynia na torebki frytek, plastikowe łyżeczki i miarki, łyżka do melona, druciane myjki i inne przedmioty, które wyglądały tak niewinnie, że chyba nie przydałyby się na nic nawet najbardziej pomysłowemu spośród zbrodniczych socjopatów.

Martie z ociąganiem sięgnęła do szuflady, by oddzielić rzeczy niebezpieczne od nieszkodliwych, ale natychmiast cofnęła się.

Nie miała pewności, czy może sobie zaufać, wołała więc nie ryzykować.

– To szaleństwo, kompletne wariactwo – powiedziała, lecz głos był tak przepełniony strachem i rozpaczą, że ledwie go rozpoznała.

Wrzuciła cały zestaw przyborów do pojemnika na śmieci.

Drugą pustą szufladę postawiła na pierwszej, w kącie.

Dusty, gdzie, do diabła, jesteś?

Potrzebuję cię.

Potrzebuję.

Wróć do domu, proszę, wróć do domu.

Ponieważ musiała się czymś zająć, aby nie sparaliżował jej strach, zebrała się na odwagę i otworzyła trzecią szufladę.

Kilka wielkich widelców do nakładania potraw.

Widelce stołowe.

Elektryczny nóż do mięsa.

Na zewnątrz rozbrzmiewał w mokrych ciemnościach przenikliwy skrzek ropuch.

Martie Rhodes, walcząc ze wszystkich sił, by nie ulec totalnej panice, gnana obsesją, popychana wewnętrznym przymusem, miotała się po kuchni, która wydawała się najeżona niebezpieczeństwami jak pole bitwy podczas starcia wrogich armii.

W szufladzie obok kuchenki znalazła wałek do ciasta.

Wałkiem do ciasta można uderzyć kogoś w twarz, złamać mu nos, rozbić wargi, walić, walić i walić, dopóki nie pęknie mu czaszka, dopóki nie padnie na podłogę, patrząc na ciebie niewidzącymi, nabiegłymi krwią oczami...

Chociaż w pobliżu nie było potencjalnej ofiary, chociaż wiedziała, że nie mogłaby nikogo skrzywdzić, musiała się przynaglać, by wyjąć wałek do ciasta z szuflady.

– Weź go, szybciej, na miłość boską, weź go, zabierz go stąd, pozbądź się go.

W połowie drogi do pojemnika upuściła wałek.

Wydał głuchy, przyprawiający o mdłości dźwięk, kiedy upadł na podłogę.

Nie mogła zdobyć się na to, by go podnieść.

Kopnęła go i potoczyła pod próg.

Wraz z deszczem ustał również wiatr, ale z ciemności ciągnęło przez kuchenne drzwi chłodem.

W nadziei, że zimne powietrze oczyści jej umysł, zrobiła kilka głębokich wdechów, drżąc za każdym razem.

Spojrzała na wałek do ciasta, który leżał u jej stóp.

Wszystko, co musiała zrobić, to podnieść tę przeklętą rzecz i wrzucić do pojemnika za progiem.

Nie pozostanie w jej ręku dłużej niż sekundę lub dwie.

Sama nie mogła nikogo skrzywdzić.

A gdyby owładnął ją impuls samobójczy, wałek do ciasta nie wydawał się odpowiednią bronią do popełnienia seppuku, chociaż był lepszy niż gumowa szpatułka.

Tym kiepskim żartem dodała sobie tyle otuchy, że zdołała podnieść z podłogi wałek i wrzucić go do pojemnika.

Kiedy przeszukiwała następną szufladę, znalazła mnóstwo narzędzi i przyborów, z których większość nie budziła w niej lęku.

Sitko do mąki.

Zegar do gotowania jajek.

Wyciskacz czosnku.

Pędzelek do smarowania pieczeni.

Cedzak.

Filtr do soków.

Ociekacz do sałaty.

Moździerz i tłuczek.

Niedobrze.

Moździerz był wielkości piłki baseballowej, wyrzeźbiony z kawałka litego granitu.

Mogła nim komuś rozbić głowę.

Stanąc za nim, uderzyć mocno z góry i zrobić dziurę w czaszce.

Moździerz musiał zniknąć, zaraz, natychmiast, zanim Dusty wróci do domu lub nieostrożny sąsiad zadzwoni do drzwi.

Tłuczek wydawał się nieszkodliwy, lecz te dwa przedmioty tworzyły komplet, więc oba wylądowały w pojemniku.

Nawet kiedy go wyrzuciła, wspomnienie jego chłodu i ciężaru przesiąknęło ją, wiedziała zatem, że postąpiła słusznie, pozbywając się go.

Rozdział 22.

Kiedy otwierała następną szufladę, zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę z nadzieją.

– Dusty?

– To ja – powiedziała Susan Jagger.

– Och.

– Serce Martie zwiędło z rozczarowania.

Próbowała tego nie okazać.

– Hej, co tam?

– Dobrze się czujesz?

– Tak, pewnie.

– Masz dziwny głos.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś zdyszana.

– Właśnie podnosiłam coś ciężkiego.

– Coś ci jest.

– Nic mi nie jest.

Nie dręcz mnie, Sooz.

Od tego mam matkę.

Co się dzieje?

Martie chciała jak najszybciej skończyć rozmowę.

Miała tyle do zrobienia.

Nie przeszukała jeszcze wszystkich kuchennych szafek i szuflad.

A niebezpieczne przedmioty znajdowały się także w innych pomieszczeniach.

Narzędzia śmierci były rozrzucone po całym domu, a ona musiała znaleźć je wszystkie, pozbyć się ich co do jednego.

– To trochę krępujące – powiedziała Susan.

– Nie jestem paranoiczką, Martie.

– Wiem, że nie.

– On przychodzi tu czasem, no wiesz, czasem w nocy, kiedy śpię.

– Eric?

– To musi być on.

Tak, wiem: nie ma klucza, drzwi i okna są zamknięte, nie ma jak wejść, ale to na pewno on.

Martie otworzyła jedną z szuflad w pobliżu telefonu.

Oprócz innych rzeczy znajdowały się tam nożyczki, których bała się dotknąć wcześniej, kiedy chciała przeciąć taśmę samoprzylepną.

– Pytałaś mnie, skąd wiem, kiedy tu wchodzi – ciągnęła Susan – czy rzeczy są poprzestawiane, czy czuję zapach jego wody kolońskiej albo coś w tym rodzaju.

Uchwyty nożyczek były powleczone czarną gumą, aby nie ślizgały się w dłoni.

– Ale to znacznie gorsze niż woda kolońska, Martie, to wstrętne...

i krępujące.

Stalowe ostrza na zewnątrz lśniły jak lustra; na wewnętrznych powierzchniach były matowe.

- Martie?
- Tak, słyszałam.
- Przyciskała słuchawkę tak mocno, że rozboleło ją ucho.
- No to powiedz mi, co jest takie wstrętne.
- Wiem, że tu przychodzi, ponieważ zostawia swoje...
swoje paskudztwo.

Jedno ostrze było proste i gładkie.

Drugie miało zęby.

Oba były złowieszczo spiczaste.

Martie z trudem nadała za wątkiem rozmowy, gdyż jej umysł wypełniły nagle rozmigotane obrazy nożyczek w działaniu: tnących, dźgających, krojących i rozrywających.

- Swoje paskudztwo?
- No wiesz.
- Nie.
- Swoje paskudztwo.
- Jakie paskudztwo?

Na jednym ostrzu, tuż nad główką sworznia, dostrzegła wyryte słowo Klik, będące prawdopodobnie nazwą firmy, chociaż tręcało dziwne struny w jej duszy, jakby było magicznym zaklęciem obdarzonym sekretną mocą, tajemniczym i pełnym groźnego znaczenia.

- Swoje paskudztwo, swoje...
plemniki.

Przez chwilę Martie nie mogła pojąć sensu słowa „plemniki”, nie mogła go z niczym skojarzyć.

Jej umysł był tak zaprzątnięty widokiem leżących w szufladzie nożyczek, że nie przyjmował innych informacji.

- Martie?
- Plemniki...

– powiedziała Martie, zamykając oczy; starając się wyrzucić z głowy wszystkie myśli dotyczące nożyczek.

- Nasienie – wyjaśniła Susan.
- Swoje paskudztwo.
- Tak.
- I stąd wiesz, że tam był?
- To niemożliwe, ale tak się dzieje.
- Nasienie.
- Tak.

Klik.

Odgłos tnących nożyczek: klik-klik.

Ale Martie nie dotykała nożyczek.

Chociaż miała zamknięte oczy, wiedziała, że nadal leżą w szufladzie, bo nie mogły być nigdzie indziej.

Klik-klik.

- Boję się, Martie.

Ja też.

Dobry Boże, ja też.

Lewa ręka Martie ścisnęła słuchawkę telefonu, a prawa zwisała nieruchomo wzdłuż ciała, pusta.

Nożyczki nie mogły poruszać się same, a mimo to znów usłyszała: klik-klik.

– Boję się – powtórzyła Susan.

Gdyby Martie nie trzęsała się ze strachu, gdyby nie czyniła rozpaczliwych wysiłków, by ukryć swój strach przed Susan, gdyby mogła skoncentrować się bardziej, prawdopodobnie uznałaby jej opowieść za niedorzeczną.

W stanie, w jakim się znajdowała, niemal każde użyte w rozmowie słowo wprawiało ją w coraz większe pomieszanie.

– Powiedziałaś, że je...

zostawia?

Gdzie?

– No cóż...

We mnie, wiesz.

Aby przekonać samą siebie, że prawa ręka jest pusta, że nie ma w niej nożyczek, Martie podniosła ją do piersi i przycisnęła do łomoczącego serca.

– W tobie – powiedziała.

Zdawała sobie sprawę, że Susan wygaduje zdumiewające rzeczy o wstrząsających implikacjach, strasznych potencjalnych konsekwencjach, ale nie mogła zmusić swojego umysłu, by skupił się na tym, co mówiła przyjaciółka.

– śpię w majtkach i w podkoszulku – wyjaśniła Susan.

– Ja też – powiedziała Martie bezmyślnie.

– Czasem budzę się i w moich majtkach jest ta...

ta gorąca lepkość, wiesz.

Klik-klik.

Dźwięk musiał być wytworem jej wyobraźni.

Chciała otworzyć oczy, aby się upewnić, że nożyczki naprawdę Są w szufladzie, lecz wiedziała, że gdyby znów na nie spojrzała, byłoby już po niej, trzymała więc oczy zamknięte.

– Ale nie rozumiem, jak.

To obłąd, wiesz?

To znaczy...

jak?

– Budzisz się?

– I muszę zmienić bieliznę.

– Jesteś pewna, że to jest to?

Nasienie?

– To odrażające.

Czuję się brudna, wykorzystana.

Czasem biorę prysznic, po prostu muszę.

Klik-klik.

Serce Martie waliło jak oszalałe, a ona czuła, że widok połyskujących ostrzy przyprawi ją o prawdziwy atak paniki, znacznie gorszy niż wszystko, czego doświadczyła wcześniej.

Klik-klik-klik.

– Ależ, Sooz, dobry Boże, chcesz powiedzieć, że on kocha się z tobą...

– To nie ma nic wspólnego z miłością.

– ...

robi ci...

– Gwałci mnie.

Nadal jest moim mężem, jesteśmy tylko w separacji, wiem, ale to gwałt.

– ...

a ty nie budzisz się w trakcie?

– Musisz mi uwierzyć.

– Tak, oczywiście, kochanie, wierzę ci.

Ale...

– Może jestem oszołomiona narkotykami.

– Kiedy Eric miałby ci podać narkotyki?

– Nie wiem.

Tak, zgoda, to jest szalone.

Zupełnie obłąkane, paranoidalne.

Ale to się dzieje.

Klik-klik.

Nie otwierając oczu, Martie zamknęła szufladę.

– Kiedy się budzisz – powiedziała drżącym głosem – masz na sobie bieliznę.

– Tak.

Otwierając oczy i patrząc na swoją prawą dłoń zaciśniętą na uchwycie szuflady, Martie powiedziała:

– Tak więc wchodzi, rozbiera cię, gwałci.

A zanim wyjdzie znów wkłada ci majtki i podkoszulek.

Po co?

– Pewnie po to, żebym się nie zorientowała, że tu był.

– Ale jest jego nasienie.

– Nic innego nie ma takiego zapachu.

– Sooz...

– Wiem, wiem, ale cierpię na agorafobię, a nie na psychofobię maniacką.

Pamiętasz?

Sama mi to wcześniej mówiłaś.

I słuchaj, jest jeszcze coś.

Z wnętrza szuflady dobiegło stłumione klik-klik.

– Czasem – ciągnęła Susan – jestem obolała.

– Obolała?

– Tam w środku – dodała Susan cicho, ze wstydem, wstyd ujawniał głębię jej lęku i upokorzenia bardziej dotykalnie niż wszystko, co powiedziała wcześniej.

– Nie jest...

delikatny.

W szufladzie ostrze szczekało o ostrze: klik-klik, klik-klik.

Susan mówiła teraz szeptem, a w dodatku ów szept dochodził z oddali, jakby wielka fala porwała jej stojący nad brzegiem oceanu dom i uniosła na pełne morze, gdzie dryfował ku oddalonemu, mrocznemu

horyzontowi.

- Czasem bolą mnie również piersi, a raz były na nich sińce...
sińce wielkości czubków palców, w miejscach, gdzie ścisnął je zbyt mocno.
- A Eric zaprzecza temu wszystkiemu?
- Zaprzecza, że tu przychodzi.

Ja...

nie rozmawiałam z nim o szczegółach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie oskarżyłam go.

Martie nadal trzymała prawą rękę na uchwycie szuflady, przyciskając ją, jakby było coś w środku i mogło wydostać się na zewnątrz.

Wkładała w to tyle siły, że zaczęły jej drętwieć mięśnie przedramienia.

Klik-klik.

– Sooz, na miłość boską, uważasz, że odurza cię narkotykami i posuwa, kiedy śpisz, ale nie rozmawiałas z nim o tym.

– Nie mogę.

Nie powinnam.

To zakazane.

– Zakazane?

– No wiesz, niewłaściwe, coś, czego nie należy robić.

– Nie, nie wiem.

Cóż za dziwaczne słowo: zakazane, przez kogo?

– Nie to miałam na myśli.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

Chciałam powiedzieć...

no cóż, nie jestem pewna, co chciałam powiedzieć.

Mam taki zamęt w głowie.

Martie, choć rozpraszał ją własny lęk, wyczuła, że słowo, którego użyła Susan, nie zostało wybrane przypadkowo, i nie dawała za wygraną.

– Zakazane przez kogo?

– Trzy razy zmieniałam zamki – ciągnęła Susan, nie odpowiadając na pytanie.

Jej głos był teraz wyższy od szeptu, naznaczony łamliwą nutą rodzącej się hysterii, którą ze wszystkich sił starała się zdusić.

– Zawsze w innej firmie.

Eric nie może znać kogoś u każdego ślusarza, prawda?

I nie mówiłam ci tego wcześniej, ponieważ może to zabrzmieć idiotycznie, ale posypywałam parapety talkiem, gdyby więc wchodził w jakiś sposób przez zamknięte okno, musiałyby zostawić ślady, odciski dłoni w talku albo coś w tym rodzaju, ale rano talk zawsze był nienaruszony.

I podstawiałam też krzesło pod drzwi, więc gdyby nawet sukinsyn miał klucz, nie mógłby ich otworzyć, a następnego ranka krzesło zawsze było tam, gdzie je postawiłam, a mimo to miałam w sobie jego nasienie, miałam je w majtkach i byłam obolała, i wiem, że zostałam wykorzystana, brutalnie, wiem to, i myję się, i myję, coraz bardziej gorącą wodą, tak gorącą, że czasem boli, ale nie mogę tego zmyć.

Nigdy nie czuję się naprawdę czysta.

O Boże, czasem myślę, że potrzebuję egzorcysty – masz pojęcie?

– jakiegoś księdza, który przychodziłby tutaj i odprawiał nade mną modły, księdza, który naprawdę wierzy w diabła, jeżeli w dzisiejszych czasach tacy jeszcze istnieją, w moc wody święconej, krucyfików i kadzidła, ponieważ to jest coś, co przeczy wszelkiej logice, coś zupełnie nienaturalnego, o właśnie, nienaturalnego.

A teraz ty myślisz, że jestem kompletnie pomyłona, ale naprawdę nie jestem, Martie, nie jestem.

Jestem roztrzęsiona, zgoda, ale to nie ma nic wspólnego z agorafobią, to się dzieje naprawdę, a ja już tak dłużej nie mogę, budzić się i znajdować...

To wstrętne, odrażające.

To mnie wykańcza, ale nie wiem, co robić.

Czuję się taka bezbronna, Martie, taka zagrożona.

Klik-klik.

Martie napierała na szufladę całym ciężarem ciała, ze wszystkich sił, a prawa ręka bolała ją już od nadgarstka do barku.

Szczęki miała zaciśnięte.

Lśniące igły przewlekały gorące nici bólu przez jej zdrętwiały kark, przeszkadzając zebrać zmaczone myśli.

Tak naprawdę nie wierzyła, by coś mogło wydostać się z szuflady.

Nożyczki nie zostały w magiczny sposób ożywione, jak miotły, które rzuciły się na nieszczęsnego ucznia czarnoksiężnika w filmie sneya.

Suchy, szczękający dźwięk – klik-klik – rozbrzmiewał tylko w jej głowie.

W gruncie rzeczy nie bała się nożyczek, wałka do ciasta, nie bała się noży, widelców, korkociągu, szpikulców do kukurydzy ani termometru do mięsa.

Już poznała prawdziwe źródło swego strachu i nawet kilka razy zastanawiała się nad tym przelotnie w ciągu tego dziwnego dnia, dopiero teraz uświadomiła to sobie jasno i wyraźnie.

Jedynym zagrożeniem, przed którym drżała, była Martine Eugenia Rhides: bała się nie noży, nie młotków, nie nożyczek, lecz siebie.

Musiała napierać na szufladę z niezachwianą determinacją, ponieważ miała pewność, że w przeciwnym razie otworzyłaby ją, chwyciła nożyczki – i, z braku innej ofiary, wbiła we własne łono ich zaostrome końce.

– Jesteś tam, Martie?

Klik-klik.

– Martie, co ja mam robić?

Głos Martie drżał ze współczucia, z troski o przyjaciółkę, lecz także ze strachu o siebie i przed sobą, kiedy mówiła: – Sooz, to jest cholernie dziwne, to jest bardziej niesamowite niż wudu.

– Zimny, słony pot lał się z niej strumieniami, jakby właśnie wyszła z morza.

Klik-klik.

Ramię, bark i szyja bolały tak, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Posłuchaj, muszę się nad tym zastanowić, zanim ci poradzę, co robić, zanim wymyślę, jak mogę ci pomóc.

– To wszystko prawda.

– Wiem, że to prawda, Sooz.

Pragnęła jak najszybciej skończyć rozmowę.

Musiała odejść od szuflady, oddalić się od nożyczek, które czekały w jej wnętrzu, ponieważ nie mogła uciec przed morderczymi skłonnościami, które odkryła w sobie.

– To się dzieje – powiedziała Susan.

– Wiem.

Przekonałaś mnie.

Właśnie dlatego muszę to sobie przemyśleć.

Bo to takie dziwne.

Musimy być bardzo ostrożne, musimy mieć pewność, że postępujemy właściwie.

– Boję się.

Jestem taka samotna.

– Nie jesteś samotna – zapewniła ją Martie.

Głos zaczął jej się łamać; nie drżał już, lecz trząsał się i zamierał.

– Nie zostawił cię samej.

Zadzwonię do ciebie.

– Martie...

– Pomyślę o tym, przemyślę to sobie...

jeśli coś się stanie...

...

zastanowię się, co będzie najlepsze...

...

jeśli coś się stanie ze mną...

...

zadzwonię do ciebie...

| Martie...

– ...

zadzwonię do ciebie wkrótce.

Z trzaskiem przerwała połączenie, ale w pierwszej chwili nie mogła oderwać się od telefonu.

Jej dłoń wciąż zaciskała się na słuchawce.

Kiedy ją wreszcie puściła, palce pozostały zgięte, jakby nadal trzymały widmowy aparat.

Puszczając szufladę, Martie skrzywiła się; bolesny skurcz przeszedł przez jej prawą rękę.

Miękkie poduszcзки u podstawy palców zachowały wyraźne odbicie uchwytu szuflady, a cała dłoń bolała ją, jakby czerwone odciski wyżłobiły się aż w kościach śródreżca.

Krok za krokiem odstępowała od szuflady, póki nie wpadła plecami na lodówkę.

Wewnątrz zagrzechotały cicho butelki.

Jedną z nich była na wpół opróżniona butelka chardonnay, która została z wczorajszej kolacji.

Butelka po winie jest gruba, zwłaszcza u dołu, i ma wklęsłe dno.

Solidna.

Tępa.

Skuteczna.

Mogła ją chwycić jak pałkę i rozbić komuś czaszkę.

Rozbita butelka po winie jest szczególnie niebezpieczną bronią.

Wystarczy złapać ją za szyjkę i mocno pchnąć.

Rozorać twarz lub przebić gardło nieporęcznie ofiary.

Trzaśnięcie drzwiami nie mogłoby być głośniejsze niż bicie serca Martie rozbrzmiewające echem w jej ciele.

Rozdział 23.

Mocz nie kłamie – powiedział doktor Donklin.

Lokaj podniósł głowę i zastrzygł uszami, jakby zgadzał się z tą opinią.

Skeet, podłączony do elektrokardiografu, spał głębokim snem.

Dusty obserwował zieloną świetlistą linię na ekranie monitora.

Puls brata był wolny, lecz regularny.

Klinika Nowego Życia nie była ani szpitalem, ani laboratorium diagnostycznym.

Z uwagi na skłonności samobójcze i przebiegłość swoich pacjentów, dysponowała jednak nowoczesnym sprzętem do wykonania szybkich analiz płynów ustrojowych na obecność narkotyków.

Analiza pierwszej próbki krwi Skeeta, pobranej zaraz po przyjęciu go do kliniki, ujawniła skład chemiczny koktajlu, którym rozpoczął dzień: metamfetamina, kokaina i DMT.

Metamfetamina i koka są stymulatorami, natomiast dimetyltryptamina – syntetycznym halucynogenem, podobnym do psilocybiny, która z kolei jest krystalicznym alkaloidem otrzymywanym z barbituranu *Psilocybe mexicana*.

Te specyfiki składały się na śniadanie znacznie bardziej pożywne niż owsianka i sok pomarańczowy.

Analizy krwi pobranej, kiedy Skeet był pogrążony w przypominającym śpiączkę śnie, jeszcze nie skończono, ale analiza moczu, którego próbkę pobrano przez cewnik, wykazała, że nie wziął żadnych nowych narkotyków, a w dodatku jego organizm zdążył rozłożyć większą część metamfetaminy, kokainy i DMT.

Skeet nie widział już anioła śmierci, który nakłaniał go do skoku z dachu Sorensonów, przynajmniej na razie.

– Taki sam wynik dała analiza drugiej próbki krwi – powiedział doktor Donklin.

– Co oznacza, że mocz nie kłamie.

Lub, ująć rzecz w sposób bardziej obrazowy, prawda jest w nocniku.

Siki nie mogą łągać.

Dusty zastanawiał się, czy lekarz miał tak samo nonszalancki stosunek do pacjentów, kiedy prowadził prywatną praktykę, czy też nabrał go po przejściu na emeryturę, przyjmując posadę w Klinice Nowego Życia.

Tak czy inaczej, jego nonszalancja była krzepiąca.

Próbka moczu została również zbadana na obecność zanieczyszczeń, białka i cukru.

Wyniki nie wskazywały na śpiączkę diabetyczną bądź uremiczną.

– Jeśli nowe badanie krwi nic nam nie powie – oświadczył doktor Donklin – będziemy musieli przewieźć go do szpitala.

Włodówce, o którą opierała się Martie, brzęk szkła o szkło stopniowo cichł.

Ból w zdrętwiałych rękach wyciskał jej łzy z oczu.

Otarła je rękawem bluzki, ale wzrok nadal przesłaniała jej mgła.

Z wyraźnym obrazem rozbitej butelki po winie przed oczami, przerażona swoją zdolnością do zadawania gwałtu, niepewna własnych zamiarów, Martie była jak sparaliżowana.

Działanie.

Rada ojca.

Nadzieja leży w działaniu.

Ale brakowało jej jasności umysłu, aby rozważać, analizować, a wreszcie rozsądnie wybrać właściwe

i najskuteczniejsze działanie.

Mimo to musiała działać, ponieważ gdyby czegoś nie robiła, położyłaby się na podłodze, zwinęła w kłębek jak stonoga i pozostała w tej pozycji do powrotu Dusty'ego.

Zanim by przyjechał mogłaby zwinąć się wokół siebie tak ciasno, że nigdy nie Wolałaby się wyprostować.

Zaraz, natychmiast, musi przewyciężyć ogarniający ją bezwład i odejść od lodówki.

Przejść przez kuchnię.

Do kredensu, od którego przed chwilą uciekła.

Palce zaciskające się na uchwycie.

Klik-klik.

Zgrzyt otwieranej szuflady.

Błysk nożyczek.

Martie omal się nie wycofała.

Omala nie straciła chwiejnego zdecydowania, kiedy zobaczyła połyskujące ostrza.

Działać.

Wysunąć z kredensu tę przeklętą szufladę.

Do końca.

Cieęższa, niż się spodziewała.

A może szuflada wcale nie była taka ciężka, jak się jej wydawało.

Może po prostu nożyczki miały dla niej nie tylko swój ciężar fizyczny, lecz także ciężar psychologiczny, moralny, ciężar złowrogiej intencji zawartej w stali.

Teraz do otwartych drzwi kuchennych.

Do pojemnika na śmieci.

Trzymała szufladę w wyciągniętych rękach, jak najdalej od siebie, mając zamiar wysypać jej zawartość do pojemnika.

Ślizgające się nożyczki uderzyły o inne przedmioty, a ten dźwięk tak przeraził Martie, że wrzuciła do pojemnika całą szufladę z zawartością.

Kiedy Tom Wong przyniósł wyniki ostatniej analizy krwi do pokoju Skeeta, przewidywania doktora Donklina się potwierdziły.

Zagadka dziwnego stanu Skeeta pozostała nierozwiązana.

Dzieciak nie brał żadnych narkotyków w ciągu ostatnich kilku godzin.

Śladowe ilości porannej mieszanki były ledwo wykrywalne.

Miał normalny poziom białych ciałek krwi i nie gorączkował, co wykluczało podejrzenie, że mogło u niego wystąpić ostre zapalenie opon mózgowych.

Lub jakiegokolwiek inne zapalenie.

Gdyby w grę wchodziło zatrucie pokarmowe, śpiączkę poprzedziłyby wymioty i bóle żołądka, a najprawdopodobniej również biegunka.

Skeet nie skarżył się na żadną z tych dolegliwości.

Chociaż nie wystąpiły wyraźne objawy apopleksji, należało wziąć pod uwagę możliwość krwawienia z naczyń mózgowych, embolii i zakrzepicy.

– Tak czy inaczej, nie jest to ciężki przypadek – orzekł doktor Donklin.

– Dokąd chciałby go pan przewieźć?

spytał Dusty.

doktor odparł: – Do szpitala Hoag, jeśli mają wolne łóżko.

– Coś się dzieje – wtrącił Tom Wong, wskazując na elektrokardiograf.

Ponieważ irytujący sygnał dźwiękowy EKG został wyłączony, ani Dusty, ani Donklin nie zauważyli, że puls Skeeta uderza coraz szybciej.

Cyfrowy odczyt na ekranie wskazywał, że liczba uderzeń serca wzrosła z czterdziestu sześciu do pięćdziesięciu czterech na minutę.

Nagle Skeet ziewnął, przeciągnął się i otworzył oczy.

Jego tętno, wynoszące obecnie sześćdziesiąt uderzeń na minutę, nadal rosło.

Skeet popatrzył na Toma Wonga, doktora Donklina i Dusty'ego.

– Hej, co się dzieje, urządzamy przyjęcie czy jak?

Otwarta butelka chardonnay i dwie zakorkowane butelki chablis powędrowały do pojemnika.

W pralni też znajdowały się niebezpieczne przedmioty.

Butelka oślepiającego, duszącego amoniaku.

Wybielacz.

Wywabiacz do płam.

Wszystko do pojemnika.

Przypomniała sobie o zapalkach.

Były w kuchennym kredensie.

W wysokiej metalowej puszcze po biszkoptach.

Kilka okładek z papierowymi zapalkami.

Pudełko krótkich drewnianych zapalek.

Wiązka dwudziestopięciocentymetrowych zapalek używanych do zapalania knotów w szklanych lampach naftowych z długimi kloszami.

Jeśli mogłaby rozorać twarz niewinnej ofiary rozbitą butelką po winie, jeśli bez wahania wbiłaby kluczyk od samochodu w oko ukochanego, to podpalenie go – a nawet całego domu, nie wzbudziłoby w niej żadnych oporów.

Martie wrzuciła zamkniętą puszkę z zapalkami do pojemnika na śmieci.

Szybki wypad do salonu.

I tu było wiele do zrobienia.

W brązowym kominku leżały ceramiczne polana o bardzo realistycznym wyglądzie, obok zapalarka na baterię.

Wrzucając zapalarkę do pojemnika, Martie zastanawiała się, czy nie odkręciła przypadkiem gazu w kominku.

Nie miała rzadnego powodu, aby go odkręcić, i nie pamiętała, żeby to zrobiła, ale nie ufała sobie.

Nie śmiała sobie zaufać.

po otwarciu zaworu śmiertelny strumień uwolnionego gazu wypełniłby pokój w ciągu paru minut.

Byle iskra mogła spowodować eksplozję wystarczająco potężną, by zniszczyć cały dom.

Znów do salonu.

Jak oszalała postać z gry wideo.

Przeskakująca z jednego niebezpieczeństwa w drugie.

Żadnego zapachu zgniłych jaj.

Żadnego syku ulatniającego się gazu.

Zawór sterczał ze ściany obok paleniska.

Nie można go było przekręcić bez klucza, a mosiężny klucz leżał na kominku.

Martie odetchnęła z ulgą i wyszła z pokoju.

Ale zanim wróciła do kuchni, znów ogarnął ją lęk, że w przypiływie amnezji odkręciła gaz już po sprawdzeniu, czy jest zakręcony.

To było niedorzeczne.

Nie mogła spędzić reszty życia, krążąc pomiędzy kuchnią a salonem i nieustannie sprawdzając kominek.

Nie cierpiała na zaniki pamięci, stany okresowej amnezji, i nie dokonywała nieświadomie aktów sabotażu.

Z powodów, których nie potrafiła pojąć, pomyślała o drugiej poczekalni w gabinecie doktora Ahrimana, gdzie podczas sesji terapeutycznej Susan przeczytała fragment powieści.

Dobre miejsce do czytania.

Żadnych okien.

Żadnej irytującej muzyki w tle.

Niczego, co rozpraszałoby uwagę.

Pokój bez okien.

Ale czy nie stała przed ogromnym oknem, patrząc na wybrzeże tonące w strugach szarego deszczu?

Nie, to była scena z powieści.

– Prawdziwy dreszczowiec – powiedziała na głos.

– Styl jest dobry.

Fabuła zajmująca.

Postacie barwne.

Podoba mi się.

Teraz, tutaj, w splądrowanej kuchni, zaczęła ją dręczyć niepokojąca świadomość zgubionego czasu.

Czuła, że w jej dniu ziewie złowieszczą lukę, podczas której wydarzyło się coś strasznego.

Spojrząwszy na zegarek, zdumiała się, że jest już tak późno – piąta dwanaście po południu.

Dzień zniknął i rozplynął się w deszczu.

Nie wiedziała, kiedy po raz pierwszy poszła do salonu, aby sprawdzić kominek.

Może minutę temu.

Może dwie lub cztery, a może dziesięć minut temu.

Wczesna zimowa noc dyszała u otwartych drzwi na ganek kuchenny.

Martie nie mogła sobie przypomnieć, czy za oknami salonu panowała ciemność, kiedy tam weszła.

Jeśli w jej dniu istniała luka, to musiała wystąpić w tym pokoju, przy kominku.

Pobiegła do frontowej części domu; terytorium, które po drodze mijała, wydawało się jej znajome, choć zupełnie inne niż rano.

Żadna przestrzeń nie była już prostokątna, a ściślej mówiąc, czworokątna; każda zmieniała się płynnie – czasem prawie trójkątna, czasem sześciokątna, to znów zakrzywiona lub dziwnie zniekształcona.

Płaskie niegdyś sufity sprawiały wrażenie lekko pochylonych.

Mogłaby przysiąc, że podłoga kołysze się pod nią niczym pokład statku.

Przemoczony lęk, który wypaczył jej procesy myślowe, zdawał się również czasami ugniatać świat fizyczny w dziwne kształty, chociaż wiedziała, że ta niezwykła plastyczność jest tworem jej wyobraźni.

Salon: żadnego syku ulatniającego się gazu.

Żadnego zapachu.

Klucz leżał na kominku.

Nie dotykała go.

Ze wzrokiem utkwionym w lśniący mosiężny przedmiot, cofnęła się ostrożnie między fotelami i kanapą ku drzwiom salonu.

Kiedy dotarła do przedpokoju, spojrzała na zegarek.

Piąta trzynaście.

Minęła jedna minuta.

Żadnej luki w czasie.

Żadnego chwilowego zamroczenia.

W kuchni, trzęsąc się jak w febrze, znów spojrzała na zegarek.

Nadal piąta trzynaście.

Nic się nie stało.

Nie doznała zaćmienia.

Nie mogła w zamroczeniu wrócić do salonu i odkręcić gazu.

Jedna cyfra zmieniła się przed jej oczami – piąta czternaście.

W swojej notatce Dusty obiecał wrócić do domu przed piątą.

Spóźnił się.

Dusty był zazwyczaj słowny.

Dotrzymywał obietnic.

– Boże, proszę – powiedziała, wstrząśnięta żalonym drzeniem, które zniekształcało jej słowa – sprowadź go do domu.

Boże, proszę, proszę, pomóż mi, proszę, sprowadź go do domu zaraz.

Kiedy Dusty wróci, wprowadzi swoją furgonetkę do garażu i zaparkuje ją obok jej saturna.

Niedobrze.

Garaż był niebezpiecznym miejscem.

Przechowywali tam niezliczone ostre narzędzia, śmiertelne mechanizmy, trujące substancje, łatwopalne płyny.

Zostanie w kuchni, zaczeka na niego tutaj.

Nic mu się nie stanie w garażu, jeśli nie będzie jej tam, kiedy wróci.

Ostre narzędzia, trucizny, łatwopalne płyny same nie stanowiły zagrożenia.

Ona była prawdziwym zagrożeniem, jedyną groźbą.

Z garażu Dusty pójdzie prosto do kuchni.

Musiała się upewnić, czy usunęła z niej wszystko, co mogłoby posłużyć jako broń.

dalsze poszukiwania ostrych, tępych i toksycznych rzeczy byłyby czystym szaleństwem.

Nigdy nie skrzywdziłaby Dusty'ego.

Kochała go ponad wszystko na świecie.

Oddałaby za niego życie i wiedziała, że on oddałby życie za nią.

Nie zabija się kogoś, kogo kocha się tak bardzo.

Mimo to irracjonalne lęki nadal ją dręczyły, zatruwały jej krew, mnożyły się jak bakterie w jej mózgu i z każdą chwilą czuła się coraz bardziej chora.

Rozdział 24.

Skeet siedział na łóżku, wsparty na poduszkach, z wyblakłymi i zapadniętymi oczami, sinymi wargami, mając wypisaną na twarzy zbolaną i tragiczną godność, jakby nie był jedną z legionu zagubionych dusz, błakających się wśród ruin ginącej kultury, tylko chorym na gruźlicę poetą, żyjącym w odległej przeszłości, bardziej niewinnej niż nowe stulecie, odbywającym kurację w prywatnym sanatorium, walczącym nie z własnymi słabościami, nie z setkami lat zimnej filozofii, która odebrała życiu wszelki sens i cel, lecz po prostu z upartą bakterią.

Na kolanach trzymał szpitalną tacę zjedzeniem.

Stojący przy oknie Dusty zdawał się wpatrywać w nocne niebo, jakby chciał odczytać swój los z wzorów zasnuwających je burzowych chmur.

Dzioby i kile halsujących z wiatrem na wschód stratusów wyglądały jak powleczone płatkami złota, ponieważ podświetlało je od dołu połyskujące morze, nad którym płynęły.

W rzeczywistości noc przekształciła szkło w czarne lustro, pozwalając Dusty'emu obserwować odbicie Skeeta na szybie.

Oczekiwał, iż brat zrobi coś dziwnego, coś, co pozwoli wyjaśnić jego wcześniejsze zachowanie, a czego nie zrobiłby, gdyby wiedział, że jest obserwowany.

Było to paranoidalne oczekiwanie, ale przyczepiło się jak rzep i Dusty nie mógł się od niego uwolnić.

Ten dziwny dzień zaprowadził go głęboko w las podejrzeń, które, choć niesprecyzowane i bezprzedmiotowe, były niepokojące.

Skeet jadł wczesną kolację: supę pomidorową z bazylią i Parmezanem oraz kurczaka przyprawionego rozmarynem, czosnkiem z pieczonymi ziemniakami i szparagami.

Posiłki w Klinice Nowego Życia przewyższały zwykłe szpitalne jedzenie, chociaż danie główne zostało pokrojone na małe kawałki – Skeet jako niedoszły samobójca nie otrzymał noża.

Lokaj siedział wyprostowany w fotelu i obserwował Skeeta z zainteresowaniem urodzonego smakosza.

Był jednak dok wychowanym psem i chociaż pora jego posiłku dawno minęła, nie żebrał.

Z ustami pełnymi kurczaka Skeet powiedział: – Nie jadłem tak od tygodni.

Wygląda na to, że nic tak nie zaostrza apetytu jak skok z dachu.

Dusty, nadal zdając się szukać wieszczych znaków w chmurach, powiedział: – Wygląda na to, że zasnąłeś, ponieważ kazałem ci to zrobić.

– Tak?

No cóż, zaczynam nowe życie, braciszku.

Od tej pory będę robił wszystko, co każesz.

– Marne szansę.

– Zobacysz.

Dusty wsunął prawą rękę do kieszeni dzinsów i wyczuł złożone kartki z notatnika, które znalazł w kuchni Skeeta.

Zastanawiał się, czy znów nie zapytać o doktora Yena Lo, ale intuicja powiedziała mu, że dźwięk tego nazwiska może wywołać u chłopaka nowy atak katatonii, po którym nastąpi kolejna frustrująca, niedorzeczna rozmowa podobna do tej, jaką prowadzili wcześniej.

Zamiast tego powiedział: – Czyste kaskady.

Jak pokazało jego widmowe odbicie w oknie, Skeet nawet nie podniósł głowy znad kolacji.

– Co?

– Na fale padły.

Teraz Skeet uniósł głowę, ale nic nie powiedział.

– Błękitne igły sosnowe – dokończył Dusty.

– Błękitne?

Odwracając się od okna, Dusty spytał: – Czy dla ciebie to coś znaczy?

– Igły sosnowe są zielone.

– Czasem są błękitnozielone, jak mi się zdaje.

Skończywszy kolację, Skeet odsunął pusty talerz i sięgnął po salaterkę świeżych truskawek ze śmietaną i brązowym cukrem.

– Chyba już to gdzieś słyszałem.

– Na pewno słyszałeś.

Ponieważ ja usłyszałem to od ciebie.

– Ode mnie?

– Skeet wydawał się szczerze zdumiony.

– Wcześniej.

Kiedy byłeś...

nieobecny.

Po zjedzeniu truskawek ze śmietaną Skeet powiedział: – To dziwne.

Wzdragam się na myśl, że mógłbym mieć w genach to literackie gówno.

Czy to jakaś zagadka?

– spytał Dusty.

– Zagadka?

Nie.

To wiersz.

– piszesz wiersze?

– spytał Dusty z niedowierzaniem, zdając sobie sprawę, jak starannie Skeet wystrzegł się wszelkiego kontaktu ze światem, który zamieszkiwał jego ojciec, profesor literatury.

– Nie mój – odparł Skeet, oblizując łyżeczkę z resztek śmietany, zupełnie jak mały chłopiec.

– To dawna poezja japońska.

Haiku.

Nie znam nazwiska poety.

Musiałem to gdzieś przeczytać i Poprostu zapadło mi w pamięć.

– Haiku – powiedział Dusty, próbując bezskutecznie znaleźć w tej nowej informacji jakieś użyteczne znaczenie.

Posługując się łyżeczką jak dyrygenką batutą, Skeet zaznaczał metrum, gdy recytował poemat: Czyste kaskady na fale padły błękitne igły sosnowe.

Zyskawszy strukturę i metrum, osiem słów nie brzmiało już jak nedorzecznym bełkot.

Dusty przypomniał sobie ćwiczenie optyczne, które widział kiedyś w czasopiśmie, dawno temu.

Był to rysunek piórkiem przedstawiający zwarte szeregi drzew, sosen, jodeł, świerków i olch, strzelistych, gęstych i splątanych, i zatytułowany „Las”.

Tekst pod spodem głosił, że wśród drzew ukryta jest bardziej złożona scena, którą można zobaczyć, jeśli zdoła się odrzucić oczekiwania, zapomnieć o słowie „las” i dojrzeć pod zewnętrznym rysunkiem

inny krajobraz, całkowicie odmienny od leśnego pejzażu.

Niektórzy potrzebowali zaledwie kilku minut, by zobaczyć drugi obrazek, natomiast inni męczyli się ponad godzinę, zanim doznali olśnienia.

Po dziesięciu minutach zniechęcony Dusty odłożył czasopismo – i nagle kątem oka dostrzegł ukrytą scenę.

Kiedy znów spojrzął na rysunek, zobaczył wielkie miasto, gdzie granitowe budowle tłoczyły się jedna przy drugiej; cieniste ścieżki pomiędzy pniami drzew przemieniły się w wąskie uliczki wśród zimnych i szarych murów wznoszących się na tle ponurego nieba.

Podobnie te osiem słów nabrało nowego znaczenia, kiedy DUsty usłyszał je wyrecytowane.

Zamysł poety wydawał się oczywisty: „czyste kaskady” były podmuchami wiatru, który strącał igły z drzew i ciskał je do morza.

Była to czysta, przejmująca, chwytająca za serce obserwacja natury, która przy głębszej analizie ujawniłaby z pewnością wiele metaforycznych znaczeń odnoszących się do ludzkiego losu.

Zamysł poety nie wyczerpywał jednak wszystkich znaczeń jakie można było znaleźć w trzech krótkich liniijkach.

Musiała być inna interpretacja, która miała głęboki sens dla Skeeta, kiedy znajdował się w tym osobliwym transie, nawet jeśli teraz zdawał się o nim nie pamiętać.

Poprzednio nazwał każdą liniijkę „regułą”, chociaż nie potrafił logicznie wyjaśnić, jaką czynnością, procedurą, konkurencją sportową lub grą rządziły owe tajemnicze reguły.

Dusty zastanawiał się, czy nie usiąść na krawędzi łóżka brata i nie wypytywać go dalej.

Obawiał się jednak, że pod naciskiem Skeet mógłby na powrót zapaść w tamten stan i po raz drugi już się tak łatwo nie obudzić.

Poza tym obaj mieli za sobą ciężki dzień.

Skeet, pomimo drzemki i posilnej kolacji, musiał być prawie tak zmęczony jak Dusty, który czuł się ledwie żywy.

Łopata.

Kilof.

Siekiera.

Młotki, śrubokręty, piły, świdry, obcęgi, klucze, całe garście długich stalowych gwoździ.

Chociaż kuchnia nie była jeszcze miejscem całkowicie bezpiecznym, a inne pomieszczenia w domu też wymagały szczegółowej lustracji, Martie nie mogła przestać myśleć o garażu, katalogując w pamięci niezliczone narzędzia tortur i śmierci, które w nim przechowywali.

W końcu nie mogła już wytrwać w postanowieniu, by trzymać się z daleka od garażu, dopóki nie przyjedzie Dusty.

Otworzyła drzwi łączące garaż z kuchnią, namacała przełącznik światła i zapaliła fluoryzujące panele na suficie.

Kiedy przekroczyła próg, jej uwagę przyciągnęła najpierw szafka zawierająca zestaw narzędzi ogrodniczych, o których zapomniała.

Rydle.

Motyki.

Łopata.

Sprężynowe nożyce z powleczonymi teflonem ostrzami.

Elektryczna maszyna do przycinania żywopłotów.

Sekator.

Skeet wyskrobał z salaterki resztki śmietany i brunatnego cukru.

Jakby na odgłos łyżeczki postukującej o porcelanę pojawiła się pielęgniarka z nocnej zmiany, Jasmine Hernandez – drobna, ładna, tuż po trzydziestce, z oczami w ciemnofioletowym, śliwkowym kolorze, tajemniczymi i przenikliwymi.

Jej biały uniform był tak samo nieskazitelny i sztywny jak jej profesjonalizm, chociaż czerwone tenisówki z zielonymi sznurowadłami sugerowały – słusznie, jak się okazało – figlarne usposobienie.

– Hej, jesteś taką delikatną kruszyną – przywitał ją Skeet.

Mrugnął do Dusty’ego.

– Gdybym chciał się zabić, Jasmine, nie sądzę, żebyś zdołała mnie powstrzymać.

Zdejmując tacę z łóżka i stawiając ją na komodzie, pielęgniarka powiedziała: – Posłuchaj, mój mały chupaflor, choćbym musiała połamać ci wszystkie kości, a potem zapakować cię w gips od szyi do stóp, żebyś nie zrobił sobie krzywdy, poradziłabym sobie z tym.

– Jasna cholera!

– wykrzyknął Skeet.

– Gdzie chodziłaś do szkoły pielęgniarskiej, w Transylwanii?

– Gorzej.

Uczyły mnie zakonnice, siostry miłosierdzia.

I ostrzegam cię, chupaflor.

żadnych brzydkich słów na mojej zmianie.

– Przepraszam – powiedział Skeet, szczerze skruszony, choć nadal w nastroju do żartów.

– A jeśli będę musiał iść na siusiu?

Drapiąc Lokaja za uszami, Jasmine zapewniła Skeeta: – Nie masz niczego takiego, czego bym już wcześniej nie widziała, choć jestem pewna, że widywałam większe.

Dusty uśmiechnął się.

– Od tej pory radzę ci nie mówić nic oprócz „tak, proszę pani”.

– Co to jest chupaflor – spytał Skeet.

– Chyba nie próbujesz nazywać mnie jakimś brzydkim słowem?

– Chupaflor znaczy „koliber” – wyjaśniła Jasmine, wkładając Skeetowi do ust cyfrowy termometr.

Bełkocząc niewyraźnie, Skeet powiedział: – Nazywasz mnie kolibrem?

– Chupaflor – potwierdziła.

Skeet nie był już podłączony do elektrokardiografu, podniosła więc jego kościsty nadgarstek i zmierzyła mu puls.

Nowy niepokój spłynął na Dusty’ego, zimny jak nóż między żebrami, chociaż nie potrafił określić jego przyczyny.

A ściśle mówiąc, niezupełnie nowy.

Ogarnęło go to samo niejasne podejrzenie, które wcześniej kazało mu obserwować odbicie Skeeta w ciemnej szybie.

Coś tu było nie tak, choć niekoniecznie ze Skeetem.

Jego podejrzenie koncentrowało się teraz na miejscu, na klinice.

– Kolibry są piękne – oznajmił Skeet pielęgniarce.

– Trzymaj termometr pod językiem – upomniała go.

Nie dawał za wygraną i znowu wybełkotał: – Myślisz, że jestem piękny?

– Jesteś ładnym chłopcem – przyznała, jakby mogła widzieć go takim, jakim był dawniej.

– Kolibry są cudowne.

To wolne duchy.

Wciąż trzymając go za nadgarstek i mierząc puls, Jasmine powiedziała: – Tak, to prawda, chupaflor to piękny, cudowny, wolny, nic nieznaczący mały ptaszek.

Skeet spojrział na brata i przewrócił oczami.

Jeśli coś było nie tak z tą chwilą, tym miejscem, tymi ludźmi, Dusty nie potrafił wskazać fałszywej nuty.

Nieślubny syn Sherlocka Holmesa i panny Jane Marple solidnie by się namęczył, żeby znaleźć uzasadniony powód do podejrzeń, które krążyły mu po głowie.

Jego napięcie bierze się prawdopodobnie ze zmęczenia i z troski o Skeeta; dopóki nie odpocznie, nie może ufać swojej intuicji.

W odpowiedzi na udręczone spojrzenie brata Dusty uśmiechnął się.

– Ostrzegałem cię.

Trzy słowa.

„Tak, proszę pani”.

Nie możesz się sparzyć na „tak, proszę pani”.

Kiedy Jasmine puściła nadgarstek Skeeta, cyfrowy termometr zabrzączał, więc wyjęła mu go z ust.

Podchodząc do łóżka, Dusty powiedział: – Muszę uciekać, mały.

Obiecałem Martie, że wyjdziemy gdzieś na kolację, a już jestem spóźniony.

– Zawsze dotrzymuj obietnic, które składasz Martie.

Jest wyjątkowa.

– Czyż nie ożeniłem się z nią?

– Mam nadzieję, że mnie nie nienawidzi – powiedział Skeet.

– Nie mów głupstw.

Oczy Skeeta zaszyły łzami.

– Kocham ją, Dusty, wiesz o tym?

Martie zawsze była dla mnie taka dobra.

– Ona też cię kocha, braciszku.

– To cholernie mały klub: Ludzie, Którzy Kochają Skeeta.

Ale Ludzie, Którzy Kochają Martie, no, ten jest większy niż klub rotariański, kiwaniański i optymistów razem wzięte.

Dusty nie zdołał wymyślić żadnej pocieszającej odpowiedzi, ponieważ spostrzeżenie Skeeta było bez wątplenia prawdziwe.

Ale Skeet wcale nie użalał się nad sobą.

– Jezu, to ciężar, którego nie chciałbym dźwigać.

Wiesz?

Ludzie cię kochają, mają oczekiwania, a na tobie ciąży odpowiedzialność.

Im więcej ludzi cię kocha...

no cóż, i tak w kółko i w kółko, bez końca.

– Miłość jest trudna, co?

Skeet skinął głową.

– Miłość jest trudna.

Idź, zabierz Martie na dobrą kolację, kieliszek wina i powiedz jej, jaka jest piękna.

– Odwiedzę cię jutro – przyrzekł Dusty, biorąc smycz Lokaja i przypinając ją do obroży.

– Znajdziesz mnie tutaj – powiedział Skeet.

– Będę zapakowany w gips od szyi w dół.

Kiedy Dusty wyprowadzał Lokaja z pokoju, Jasmine podeszła do łóżka ze sfigmografem.

– Muszę ci zmierzyć ciśnienie, chupaflor.

– Tak, proszę pani.

Znowu to klujące poczucie, że coś jest nie tak.

Zignorować je.

To zmęczenie.

Wyobraźnia.

Wyleczy je kieliszek wina i widok Martie.

Przez całą drogę do windy pazury Lokaja stuknęły o winylowe płytki podłogi.

Pielęgniarki i salowe uśmiechały się do psa.

– Cześć, malutki.

– Co za przystojny facet.

– Jesteś ładniutki, wiesz?

W windzie towarzyszył im sanitariusz, który wiedział, jak drapać psa za uszami, by jego oczy przybrały rozmarzony wyraz.

– Sam miałem goldena.

Słodką suczkę Sassy.

Miała raka i musiałem ją uśpić miesiąc temu.

– Jego głos załamał się lekko przy słowie „uśpić”.

– Nie mogłem bawić się z nią w rzutki, ale całymi dniami łapała piłki tenisowe.

– On też – powiedział Dusty.

– Nie wypuści pierwszej, kiedy rzuca mu pan drugą, przynosi obie i wygląda jak najcięższy na świecie przypadek świnki.

Sprawi pan sobie nowego psa?

– Na razie nie – odparł sanitariusz, co oznaczało, że ból po stracie Sassy jest jeszcze zbyt świeży.

Na parterze, w pokoju rekreacyjnym przylegającym do korytarza, dwunastu pacjentów, siedząc przy stolikach po czterech, grało w karty.

Ich rozmowy i swobodny śmiech, szelest tasowanych talii i łagodne dźwięki melodii Glenna Millera dobiegające z radia składały się na tak przytulny nastrój, iż można by pomyśleć, że to przyjacielskie spotkanie w wiejskim klubie, na plebanii lub w prywatnym domu, a nie grupa pokręconych i zdesperowanych palaczy trawki, wączaczy koki, amatorów kwasu i ćpunów z żyłami jak ser szwajcarski.

Za biurkiem przy drzwiach wejściowych siedział strażnik, który miał dbać o to, aby o przedterminowym wyjściu upartego pacjenta zostali powiadomieni telefonicznie członkowie rodziny i kuratorzy sądowi zgodnie z obowiązującymi w każdym przypadku zaleceniami.

Podczas obecnej zmiany dyżur pełnił pięćdziesięcioletni mniejwięcej mężczyzna ubrany w spodnie khaki, jasnobłękitną koszulę, czerwony krawat i granatową kurtkę.

Miał identyfikator, z którego wynikało, że nazywa się Wally Clark, i czytał romans w miękkiej okładce.

Niski i gruby, starannie ogolony, pachnący lekko wodą kolońską, z dołeczkami w policzkach, z błękitnymi oczami natchnionego pastora i uśmiechem wystarczająco słodkim – ale nie zbyt słodkim – by przemienić wermut w półwytrawne martini, byłby dla każdego hollywoodzkiego reżysera idealnym kandydatem do roli ulubionego wujka wielkiej gwiazdy, mentora, oddanego swojej pracy nauczyciela, ukochanego ojca lub anioła stróża.

– Byłem tu poprzednim razem, kiedy trafił do nas pański brat – powiedział Wally Clark, pochylając się na krzesło, by pogłaskać Lokaja.

– Nie spodziewałem się, że wróci.

Szkoda.

To dobry chłopak.

– Dziękuję.

– Przychodził na dół, żeby pograć ze mną w triktraka.

Proszę się nie martwić, panie Rhodes.

Pański brat, w środku, jest silny.

Tym razem wyfrunie stąd zdrowy i pozostanie zdrowy.

Na zewnątrz noc była zimna i wilgotna, ale nie odpychająca.

Skłębione chmury rozproszyły się na chwilę, odsłaniając srebrzysty księżyc.

Dusty, idąc do furgonetki, obejrzał się i popatrzył na przypominającą hacjendę klinikę.

Z palmami szepczącymi kotysanki na ospałym wietrze, z bugenwillami oplatającymi kolumny i arkady i układającymi się jak pościel na balustradach balkonów mógłby to być dom Morfeusza.

Mimo to Dusty nie mógł wyzbyć się uporczywego podejrzenia, że za tą malowniczą fasadą kryje się inna, bardziej mroczna rzeczywistość: miejsce nieprzerwanej aktywności, tajemniczej krzątaniny i knoń, gniazdo, mrowisko, w którym upiorna wspólnota pracuje w jakimś złowieszczym celu.

Tom Wong, doktor Donklin, Jasmine Hernandez, Wally Clark i cały personel Kliniki Nowego Życia wydawał się kompetentny, ofiarny i pełen współczucia.

Nic w ich zachowaniu ani postawie nie dawało Dusty’emu najmniejszego powodu, by kwestionować ich pobudki.

Zapewne niepokoiło go to, że są zbyt doskonali, aby być prawdziwi.

Gdyby choć jeden pracownik Nowego Życia był nierozgarnięty bądź niechlujny, niegrzeczny bądź niedbały, może Dusty uwolniłby się od tej osobliwej nieufności wobec kliniki.

Oczywiście, niezwykła kompetencja, zaangażowanie i życzliwość personelu oznaczały jedynie, że klinika jest dobrze zarządzana.

Najwyraźniej szef kadr miał talent do znajdowania pierwszorzędných pracowników.

Ta szczęśliwa okoliczność powinna wzbudzić w Dustym uczucie wdzięczności, a nie paranoiczny lęk przed spiskiem.

A mimo to czuł, iż coś jest nie tak.

Obawiał się, że Skeet nie będzie tu bezpieczny.

Im dłużej patrzył na klinikę, tym bardziej rosła jego podejrzliwość.

Jej powód nadal mu jednak umykał i to go irytowało.

Sprężynowe nożyce z długimi ostrzami i elektryczna maszynka do strzyżenia żywopłatów wyglądały tak złowieszco, że Martie nie zadowolili się tylko ich wyrzuceniem.

Nie będzie mogła czuć się bezpieczna, dopóki nie zamieni się w bezużyteczny złom.

Położyła maszynkę do strzyżenia żywopłatów na betonowej podłodze, gdzie Dusty parkował swoją

furgonetkę, kiedy wracał do domu, i zamachnęła się młotem.

Pod uderzeniem ciężkiego obucha maszynka zajęczała, jakby była żywym stworzeniem, lecz Martie uznała, że to nie wystarczy.

Podniosła młot i znowu się zamachnęła, potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Kawałki plastiku, śruby i inne szczątki zagrzechotały o pobliskie szafki i odbiły się od saturna.

Przy każdym ciosie szyby wibrowały w ramach, a z podłogi strzelały odpryski betonu.

Kilka odłamków trafiło ją w twarz.

Uświadomiła sobie, że jej oczom zagraża niebezpieczeństwo, ale nie ośmieliła się przerwać, by poszukać ochronnych gogli.

Pozostało jeszcze wiele do zrobienia, a w każdej chwili drzwi garażu mogły unieść się z łoskotem do góry, zwiastując przybycie Dusty'ego.

Rzuciła na podłogę sekator.

Waliła zapamiętałe, póki nie wypadła sprężyna i ostrza nie rozwarły się na zawsze.

Teraz grabie.

Tłukła i tłukła, dopóki drewniany trzonek nie rozsypał się w drzazgi, dopóki stalowe zęby nie wygięły się i nie zgmiotły w bezużyteczny spłot.

Młot nie należał do tych najcięższych, ważył około półtora kilograma.

Mimo to potrzebna była spora siła, by użyć go z pożądanym skutkiem.

Ociekając potem, łapiąc gwałtownie powietrze, z wyschniętymi ustami i rozpalonym gardłem, Martie raz po raz unosiła młot wysoko nad głowę i opuszczała go regularnym łukiem w odmierzonej rytmie.

Rano będą ją bolały mięśnie barków i ramion, lecz w tej chwili, z młotem w dłoniach, czuła się tak wspaniale, że nie dbała o przyszły ból.

Spłynął na nią ożywczy strumień energii, uspokajające poczucie, że po raz pierwszy w tym dniu panuje nad wszystkim.

Drżała przy każdym głuchym uderzeniu młota, a potężny rezonans, który przechodził przez długi trzonek, docierał do jej dłoni, ramion, barków i szyi, sprawiał jej głęboką, niemal erotyczną satysfakcję.

Przy każdym zamachu wciągała powietrze, mruzczała, kiedy opuszczała młot, i wydawała krótki, nieartykułowany okrzyk radości, gdy coś jęczało lub pękało pod kolejnym ciosem, dopóki nagle nie usłyszała siebie i nie zdała sobie sprawy, że głos, który się z niej dobywa, jest bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Wciąż ściskając młot w obu dłoniach, Martie odwróciła się od zniszczonych narzędzi i w bocznej szybie saturna ujrzała kątem oka swoje odbicie.

Ramiona miała przygarbione, głowę wysuniętą do przodu i zadartą pod dziwnym kątem, jej czarne włosy były potargane i zjeżone, jakby poraził ją prąd elektryczny.

Oblęd nadał jej twarzy rysy wiedźmy, a w oczach płonęło szaleństwo.

Przypomniała sobie ilustrację w książce z bajkami, którą czytała jako dziecko: zły troll pod starym kamiennym mostem, pochylony nad paleniskiem w kuźni, z młotem i obcęgami w dłoniach, wykuwający łańcuchy i kajdany dla swoich ofiar.

Co by zrobiła, gdyby Dusty zjawił się w momencie, kiedy jej niszczycielska pasja sięgała szczytu lub, dajmy na to, gdyby zjawił się teraz?

Z dreszczem obrzydzenia wypuściła młot.

Rozdział 25.

Spodiewając się, że nie wróci do domu w porze karmienia, Dusty zabrał kolację dla Lokaja w papierowej torbie: dwa kubki chrupek o smaku baraniny z ryżem.

Wsypał je teraz do plastikowej miski i postawił ją na krawężniku obok furgonetki.

– Przepraszam za warunki – usprawiedliwił się.

Gdyby parking przed kliniką był soczystą łąką lub luksusowym mieszkaniem, Lokaj nie przystąpiłby do kolacji z większą przyjemnością niż ta, którą okazywał teraz.

Jak wszyscy przedstawiciele jego gatunku, nie był zmanierowany.

Zaiste, psy przejawiały tyle godnych podziwu cech, że Dusty zastanawiał się czasem, czy Bóg nie stworzył tego świata przede wszystkim dla nich.

Istoty ludzkie mógł tu umieścić później, po namyśle, aby psy miały kogoś, kto będzie przygotowywać im posiłki, dbać o nie, mówić im, że są mądre, i drapać je po brzuchach.

Kiedy Lokaj zabrał się do chrupek, Dusty wyłowił telefon komórkowy spod fotela kierowcy i zadzwonił do domu.

Po trzecim sygnale odezwała się automatyczna sekretarka.

Zakładając, że Martie słucha rozmów, powiedział: – Scarlett, to ja.

Rhett.

Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jednak mi zależy.

Nie podniosła słuchawki.

– Martie, jesteś tam?

– Oczekał.

Potem, rozciągając wiadomość, aby dać jej czas na dojście do pracowni – i automatycznej sekretarki – z każdego miejsca w domu, ciągnął: – Przepraszam za spóźnienie.

Piekielny dzień.

Będę za pół godziny, pójdziemy na kolację.

Gdzieś, gdzie nas nie stać.

Już mi obrzydło, że zawsze jestem taki cholernie odpowiedzialny.

Wyberzemy coś ekstrawaganckiego.

Może nawet miejsce, gdzie jedzenie podają na prawdziwych talerzach, a nie w pojemnikach ze styropianu.

Weźmiemy pożyczkę z banku, jeśli będzie trzeba.

Albo nie słyszała telefonu, albo nie było jej w domu.

Lokaj skończył swoje chrupki i teraz używał języka jak śmigła, zbierając okruchy.

Podróżując z psem, Dusty zawsze zabierał wodę w butelce.

Nalał trochę do niebieskiego naczynia.

Kiedy Lokaj skończył pić, poszli na skąpo oświetlony trawnik, który okalał z trzech stron Klinikę Nowego Życia.

Spacer miał być dla psa okazją do wieczornej toalety, ale pozwolił także Dusty’emu przyjrzeć się bliżej niezwyklej budowli.

Nawet jeśli klinika nie była tak kryształowa, jak się wydawało, Dusty nie miał pojęcia, gdzie szukać klucza do jej prawdziwego charakteru.

Nie znajdzie tu ukrytych drzwi do podziemnej kwatery malowniczego łotra w stylu filmów

z Jamesem Bondem.

Nie spodziewał się też odkryć osobistego służącego hrabiego Draculi, przenoszącego potajemnie trumnę z ciałem swego pana z zaprzęzonego w konie wozu do piwnicy budynku.

To była południowa Kalifornia w nowym oszałamiającym tysiącleciu, pełna znacznie bardziej niezwykłych postaci niż Goldfinger i wampiry, choć w tej chwili żadna z nich nie czaiła się zapewne w najbliższym sąsiedztwie.

Podejrzenia Dusty'ego nie mogły się utrzymać w konfrontacji z nieubłaganą pospolitością terenu kliniki.

Trawa była dobrze utrzymana, krzewy starannie przycięte.

Nocne cienie były tylko cieniami.

Lokaj czuł się tutaj tak swobodnie, że zakończył swą toaletę bez nerwowego niezdecydowania – i zrobił to w bursztynowym świetle ogrodowej lampy, co pozwoliło jego panu bez trudu po nim posprzątać.

Wypełniona, rzucająca się w oczy niebieska torba dała Dusty'emu pretekst do zbadania alejki za kliniką, gdzie przy krawężniku nie rosła żadna trawa.

Kiedy zlokalizował mały pojemnik na śmieci i umieścił w nim torbę, natknął się na bardziej przyziemny aspekt działalności kliniki: wejścia dla dostawców i personelu, pudła na odpadki do utylizacji i pojemnik na śmieci.

Ani on, ani jego czworonożny doktor Watson nie odkryli w wąskiej uliczce niczego godnego uwagi – chociaż obok pojemnika pies znalazł przetłuszczone kartonowe pudło po hamburgerach, które mogłyby obwąchiwać i lizać przez sześć do siedmiu godzin.

Wycofując się z alejki i przechodząc ponownie przez trawnik przy południowym skrzydle kliniki, Dusty spojrział w górę, na pokój Skeeta – i zobaczył stojącego w oknie mężczyznę.

Oświetlony od tyłu pojedynczą, zacienioną lampą, rysował się tylko jako bezkształtna sylwetka.

Mężczyzna wydawał się zbyt wysoki, a także zbyt barczysty jak na Skeeta lub doktora Donklina.

Tom Wong zakończył już swój dyżur, a zresztą on też różnił się budową od tego człowieka.

Dusty nie mógł dojrzeć twarzy obcego czy choćby niewyraźnego blasku jego oczu.

Mimo to był pewien, że mężczyzna patrzy na niego.

Jakby toczył pojedynek na spojrzenia z widmem, Dusty wpatrywał się w okno, dopóki, z ektoplazmatyczną płynnością dematerializującego się ducha, ciemny kształt nie odwrócił się od okna i nie zniknął z pola widzenia.

Dusty zastanawiał się, czy nie pobiec do pokoju brata, by ustalić tożsamość patrzącego.

Na pewno jednak mężczyzna okazałby się członkiem personelu.

Lub innym pacjentem, który odwiedził Skeeta.

Z drugiej strony, jeśli to uparte podejrzenie nie było tylko zwykłą paranoją, lecz miało jakieś podstawy, jeśli widziany w oknie mężczyzna żywił złe zamiary, to z pewnością nie kręciłby się w pobliżu Skeeta teraz, kiedy Dusty go zobaczył.

Niewątpliwie już odszedł.

Zdrowy rozsądek nakazywał wyzyść się podejrzeń.

Skeet nie miał pieniędzy, perspektyw, władzy.

Nie miał nic, co mogłoby skłonić kogokolwiek do zawiązania wyrafinowanego spisku.

Poza tym wróg – biorąc pod uwagę wysoce nieprawdopodobną możliwość, że łagodny Skeet miał wroga – szybko zdałby sobie sprawę z daremności wszelkich wyrafinowanych planów torturowania

i zniszczenia dzieciaka.

Pozostawiony własnej pomysłowości Skeet zadawał sobie bardziej nieznośne tortury, niż mógłby wymyślić najokrutniejszy oprawca.

Może to nawet nie było okno Skeeta.

Kiedy Dusty po raz pierwszy spojrział w górę, był pewien, że tak.

Ale...

może okno Skeeta znajdowało się jednak bardziej na lewo?

Dusty westchnął.

Zawsze pełen zrozumienia Lokaj westchnął również.

– Twój tatuś dostaje bzika – powiedział Dusty.

Chciał jechać do domu, do Martie, skończyć z obłędem tego dnia i wrócić do rzeczywistości.

„Lizzie Borden siekierę bierze w drobne dłonie i czterdziestoma ciosami robi z mężem koniec”.

Ta przeklęta linijka głupawego wierszyka uparcie przelatywała Martie przez głowę, zakłócając tok jej myśli, musiała więc bardzo się starać, aby skupić się na tym, co robiła.

W garażu znajdowało się też imadło.

Martie umieściła w nim siekierę i sięgnęła po piłkę do metalu.

To też było niebezpieczne narzędzie, ale mniej przerażające niż siekiera, która musiała zostać zniszczona.

Później przyjdzie kolej na piłę.

Bez namysłu zaatakowała drewniane stylisko u nasady, po odpiłowaniu stalowe ostrze nadal będzie groźne, ale w całości siekiera jest znacznie bardziej niebezpieczna niż każda jej część z osobna.

„Lizzie Borden siekierę bierze w drobne dłonie i czterdziestoma ciosami robi z mężem koniec”.

Brzeczot piły odskoczył od styliska siekiery, zaciął się, ruszył z miejsca, znowu odskoczył i zrobił nierówne nacięcie w twardym drewnie.

Martie rzuciła piłę na podłogę.

W szafce z narzędziami znajdowały się dwie piły ciesielskie: Jedna do cięcia drewna wzdłuż słoju, druga do cięcia w poprzek, lecz Martie nie wiedziała, która jest która.

Wypróbowała jedną i drugą, lecz rezultaty rozczarowały ją.

„Kiedy już tak zręcznie się z tym uporała, dla pewności cios jeszcze ostatni zadała”.

Wśród narzędzi elektrycznych była piła tłokowa z brzeczotem tak ostrym, że Martie musiała zebrać całą odwagę, aby podłączyć ją do prądu, podnieść i uruchomić.

Początkowo zęby jeździły po dębowym trzonku bez większego efektu, a piła wibrowała gwałtownie, lecz kiedy Martie skierowała ją w dół, brzeczot przeszedł z jazgotem przez drewno i odpiłowane ostrze z kikutem styliska upadło na stół.

Wyłączyła piłę i odstawiła ją na bok.

Otworzyła szczęki imadła.

Wyjęła stylisko siekiery.

Rzuciła je na podłogę.

Potem zdekapitowała młot.

Następnie łopatę.

Dłuższy trzonek.

Nieporęczny.

Wkręcanie go w imadło okazało się znacznie trudniejsze niż w przypadku siekiery i młota.

Piła tłokowa wgrzyła się w drewno i sztych łopaty brzęknął o blat.
Przepiłowała motykę.
Co jeszcze?
Łom.
Płaskie ostrze na jednym końcu i hak na drugim.
Cały ze stali.
Nie da się przepiłować.
Użyje go do zniszczenia piły tłokowej.
Stał zadźwięczała o stal, o beton, garaż rozbrzmiał echem jak wielki dzwon.
Kiedy roztrzaskała piłę, nadal miała w ręku łom.
Był równie niebezpieczny jak młot, który pierwszy natchnął ją myślą, by użyć piły.
Zatoczyła pełny krąg.
Niczego nie osiągnęła.
Jeśli chodzi o ścisłość, łom jest bardziej niebezpieczny niż młot.
Nie ma nadziei.
Nie ma sposobu, aby dom stał się bezpieczny, nawet jeden pokój w domu, nawet jeden maleńki zakątek w jednym pokoju.
Nigdy nie będzie bezpieczny, dopóki ona tu pozostanie.
Ona, a nie żaden martwy przedmiot, jest źródłem wszystkich tych strasznych myśli, jedynym zagrożeniem.
Powinna wkręcić w szczęki imadła piłę tłokową, włączyć ją i odciąć sobie ręce.
Teraz zamiast młota ścisła w garści łom.
Przez jej umysł przelatywały krwawe obrazy, które napełniały ją przerażeniem.
Zaskoczył mechanizm otwierający drzwi garażu.
Drzwi podniosły się, a ona spojrzała w tamtą stronę.
Opony, długie światła, przednia szyba, Dusty w fotelu kierowcy, obok niego Lokaj.
Normalne życie na kołach wtaczało się do osobistej strefy mroku Martie.
Było to zderzenie światów, którego obawiała się od chwili, kiedy zrodzona w jej umyśle prorocza wizja przebitego kluczykiem oka – oka Dusty’ego – sprawiła, że serce zapadło się w niej jak winda ekspresowa, a obiad podjechał do góry jak przeciwwaga.
– Nie zbliżaj się do mnie!
– krzyknęła.
– Na miłość boską, nie zbliżaj się!
Dzieje się ze mną coś złego.
Wyraz twarzy Dusty’ego był niczym lustro, w którym zobaczyła, jak dziwacznie – jak strasznie – wygląda.
– O Boże.
Wypuściła łom, ale ostrze siekiery i głowica młota nadal leżały na stole w zasięgu jej ręki.
Z łatwością mogłaby je chwycić i rzucić w szybę furgonetki.
Kluczyk.
Oko.
Wbić i przekręcić.
Nagle Martie uświadomiła sobie, że nie wyrzuciła kluczyka od samochodu.

Jak mogła nie pozbyć się go natychmiast po powrocie do domu, zanim jeszcze zajęła się nożami, wałkiem do ciasta, narzędziami ogrodniczymi i wszystkim innym?

Jeśli wizja, której doświadczyła, naprawdę miała okazać się prorocza, jeśli ten potworny akt przemocy musiał się zdarzyć, kluczyk od samochodu był pierwszą rzeczą, jaką powinna znieść w imadle, a potem zagrzebać na samym dnie pojemnika na śmieci.

Zjawia się Dusty i oto przeskakują na następny poziom gry, gdzie niepozorny kluczyk z poziomu pierwszego staje się nagle potężnym i magicznym przedmiotem, odpowiednikiem Jedynego Pierścienia, który rządzi wszystkimi Pierścieniami Władzy, który należy zanieść z powrotem do Mordoru i zniszczyć w ogniu, stopić, zanim zostanie użyty do złych celów.

Ale to nie gra.

Te koszmary dzieją się naprawdę.

Krew, kiedy popłynie, będzie gęsta, ciepła i mokra, będzie krwią, a nie dwuwymiarowym układem czerwonych plamek.

Martie odwróciła się od furgonetki i wbiegła do domu.

Kluczyk od samochodu nie wisiał w ściennej szafce, gdzie powinien wisieć.

Na kuchennym stole znajdowała się tylko niedopita szklanka lemoniady imbirowej i korkowa podstawka.

Coś zwisało z oparcia krzesła: jej płaszcz.

Dwie głębokie kieszenie.

W jednej kilka papierowych chusteczek.

W drugiej książka.

Ani śladu kluczyka.

Dusty wołał ją w garażu.

Na pewno wysiadł już z furgonetki i torował sobie drogę przez stertę szczątków, którą zostawiła na podłodze.

Za każdym razem jej imię brzmiało głośniejsz niż poprzednio, bliżej.

Martie wybiegła z kuchni na korytarz, minęła jadalnię, salon, przedpokój, pędząc w stronę drzwi frontowych, aby tylko oddalić się od Dusty'ego.

Nie była w stanie myśleć z wyprzedzeniem, czym zakończy się ta szalona ucieczka, gdzie ostatecznie się znajdzie i co zrobi.

Nie liczyło się nic poza tym, by zwiększyć odległość dzielącą ją od męża, by zyskać pewność, że go nie skrzywdzi.

Mały perski dywan w przedpokoju zaczął się ślizgać na wypastowanym dębowym parkiecie i przez chwilę surfowała po podłodze.

Potem straciła równowagę i upadła ciężko na prawy bok.

i Kiedy uderzyła łokciem o parkiet, mrówki bólu przebiegły nerwami jej przedramienia i zaroily się w dłoni.

Poczuła też ból w żebrach i w stawie biodrowym.

Najbardziej szokujący ból był najmniej intensywny: szybkie ukłucie w prawe udo, ostry, lecz krótkotrwały ucisk.

Ukłuło ją coś w prawej kieszeni dzinsów, a Martie natychmiast domyśliła się, co to jest.

Kluczyk od samochodu.

To był niepodważalny dowód, że nie mogła sobie ufać.

Na jakimś poziomie świadomości musiała wiedzieć, iż kluczyk znajduje się w jej kieszeni, kiedy sprawdzała szafkę, omiatała spojrzeniem stół i gorączkowo przeszukiwała kieszenie płaszcza.

Okłamywała się, a nie miała żadnego powodu, żeby to robić, jeśli nie zamierzała użyć kluczyka, by oślepić, zabić.

W jej wnętrzu żyła inna Martine, obłąkana osoba, której się bała, istota zdolna do wszelkich okrucieństw, gotowa spełnić swą straszliwą przepowiednię: kluczyk, oko, wbić i przekręcić.

Martie podniosła się z podłogi i dopadła oszklonych drzwi frontowych.

W tej samej chwili Lokaj skoczył z zewnątrz na drzwi i naparł na nie łapami przyciśniętymi do podstawy tafli ołowiowego szkła, z postawionymi uszami i wywieszonym językiem.

Kwadraty, prostokąty i okręgi fazowanej szyby, punktowanej przypominającymi diamenty pryzmatami i owalnymi szklanymi łożkami, przekształciły jego kosmatą mordę w kubistyczny portret, który wyglądał zabawnie i demonicznie zarazem.

Martie wycofała się spod drzwi – nie dlatego, że Lokaj ją przestraszył, lecz dlatego, że bała się go skrzywdzić.

Jeśli mogłaby zranić Dusty'ego, to biedny, ufny pies też nie był bezpieczny.

W kuchni Dusty zawołał: – Martie?

Nie odpowiedziała.

– Martie, gdzie jesteś?

Co się dzieje?

Pobiegła schodami na górę.

Szybko, w milczeniu przeskakując po dwa stopnie naraz, na wpół kulejąc, ponieważ dokuczał jej ból w biodrze.

Czepiając się poręczy lewą ręką.

Grzebiąc w kieszeni prawą.

Dopadła szczytu schodów z kluczykiem schowanym w pięści, tylko srebrzysty koniuszek sterczał z jej zaciśniętych kurczowo palców.

Maleńki sztylet.

Powinna wyrzucić go przez okno.

W ciemność.

Cisnąć w gęste krzewy lub za płot, na podwórzu sąsiada, gdzie go tak łatwo nie znajdzie.

Na górze, w ciemnym korytarzu, oświetlonym jedynie lampą przeświecającą z przedpokoju przez poręcz schodów, przystanąła niezdecydowana, ponieważ nie wszystkie okna dawały się otworzyć.

Oko.

Kluczyk.

Wbić i przekręcić.

Czas naglił.

Dusty znajdzie ją lada chwila.

Nie mogła zwlekać, ryzykować szarpania się z oknem, które prawdopodobnie nie podda się od razu, i pozwolić, by Dusty zbliżył się do niej, kiedy wciąż będzie miała kluczyk.

Na jego widok może stracić panowanie nad sobą, może się dopuścić jednej z tych niewyobrażalnych potworności, które przez całe popołudnie podsuwała jej wyobraźnia.

Dobrze, zatem główna łazienka.

Wrzucić ten przeklęty kluczyk do sedesu i spuścić wodę.

Obłąd.

Po prostu zrób to.

Prędkiej, prędzej, zrób to, obłąd czy nie.

Martie pobiegła do sypialni i zapaliła górne światło.

Ruszyła w stronę łazienki, lecz zatrzymała się, kiedy jej wzrok padł na nocną szafkę Dusty'ego.

W swoich szaleńczych staraniach, by uczynić dom bezpiecznym, wyrzuciła tak niewinne przedmioty, jak skrobaczki do ziemniaków i szpikulce do kukurydzy, ale nie pomyślała nawet o najgroźniejszej rzeczy w całym domu, broni, która naprawdę była bronią, a nie wałkiem do ciasta czy tarką do sera: siedmiostrzałowej czterdziestcepiątce, którą Dusty kupił do samoobrony.

W przedpokoju na dole Dusty przemawiał do retriever przez szybę w drzwiach frontowych – „Spokój!

Lokaj, spokój”!!

– i pies przestał szczekać.

Dusty nalegał, aby Martie uczyła się strzelać wraz z nim.

Poszli na strzelnicę z dziesięć razy; może dwanaście.

Nie lubili broni, nie chciała mieć z nią do czynienia, chociaż rozumiała, że mądrze jest posiadać umiejętność obrony w świecie, gdzie postęp i zdziczenie rosną w jednakowym tempie.

Zdumiewająco dobrze radziła sobie z wykonanym na indywidualne zamówienie coltem commanderem.

– Dobry pies – powiedział Dusty na dole, nagradzając Lokaja za posłuszeństwo.

– Bardzo dobry pies.

Martie rozpaczliwie pragnęła pozbyć się colta.

Dusty nie będzie bezpieczny, jeśli broń pozostanie w domu.

Nikt w sąsiedztwie nie będzie bezpieczny, jeśli pistolet dostanie się w jej ręce.

Podeszła do szafki.

Na miłość boską, zostaw go w szufladzie.

Wysunęła szufladę.

– Martie, kochanie, gdzie jesteś, co się dzieje?

– Dusty był na schodach, szedł na górę.

– Odejdź – powiedziała.

Chociaż próbowała krzyżeć, z jej ust dobył się zaledwie słaby szept, ponieważ gardło miała ściśnięte z przerażenia i ponieważ zabrakło jej tchu, a może również dlatego, że morderczyni w niej tak naprawdę nie chciała aby odszedł.

W szufladzie, pomiędzy paczką chusteczek higienicznych a pilotem od telewizora, połyskiwał matowo pistolet, los zamknięty w kawałku pięknie obrobionej stali, jej mroczne przeznaczenie.

Jak kornik drążący swe kręte tunele głęboko w pniu drzewa, inna Martie wiała się w ciele Martie, wwierała się w kości i przeżuwała włókna jej duszy.

Podniosła colta.

W pełni automatyczny, z lekko chodzącym językiem spustu i praktycznie niezacinającym się magazynkiem na siedem naboji był idealnym pistoletem obronnym.

Odwracając się od szafki, nadepnęła na coś: kluczyk od samochodu.

Musiała bezwiednie wypuścić go z ręki, kiedy wyciągała szufladę.

Rozdział 26.

Nawet spadając z dachu Dusty nie był tak przerażony jak teraz; teraz bał się o Martie, a nie o siebie. Jej twarz, zanim wypuściła łom i uciekła, wyglądała jak twarz aktora w teatrze kabuki.

Pokryta białą szminką skóra, blada i gładka, ciemno zarysowane oczy – nie z powodu makijażu, lecz na skutek cierpienia – czerwona szrama ust.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Na miłość boską, nie zbliżaj się!

Dzieje się ze mną coś złego.

Nawet przez hałas silnika usłyszał jej ostrzeżenie, jej przepełniony strachem głos.

Szczątki w garażu.

Bałagan w kuchni.

Pojemnik na śmieci na ganku kuchennym, przy otwartych drzwiach, wypełniony wszystkim, tylko nie śmieciami.

Na dole panował przenikliwy ziąb, ponieważ drzwi kuchenne były otwarte.

Bez trudu mógł sobie wyobrazić, że chłód wywołała też po części obecność lodowego ducha, który wszedł przez inne drzwi, niewidzialne, z miejsca nieskończenie bardziej niezwykłego niż ganek kuchenny.

Srebrne świeczniki na stole w jadalni wydawały się przezroczyste, jakby wyrzeźbiono je z lodu.

Salon wypełniała zimna poświata szklanych bibelotów, mosiężnych przyborów kominkowych, porcelanowych lamp.

Zegar dziadka zamroził czas o jedenastej.

Podczas miodowego miesiąca znaleźli zegar w sklepie z antykami i kupili go za niewygórowaną cenę.

Nie interesowała ich jego wartość jako chronometru i nie zamierzali go naprawiać.

Jego wskazówki zatrzymały się na godzinie ich ślubu, co wydawało się dobrym znakiem.

Dusty, uciszwszy Lokaja, zostawił go na frontowym ganku i szybko wspiął się po schodach.

Chociaż wkraczał w coraz cieplejsze powietrze, niósł ze sobą mróz, który przeszył go na widok udręczonej twarzy Martie.

Znalazł ją w głównej sypialni.

Stała obok łóżka z czterdziestkąpiątką w rękach.

Wyjęła magazynek.

Mamrocząc nerwowo pod nosem, wyluskiwała z niego naboje o płaskich główkach otulonych twardym Płaszczem.

Kiedy wydobyła nabój, rzuciła go przez pokój.

Uderzył w lustro, nie tłukąc go, zagrzechotał w pudełku z przyborami toaletowymi i spoczął wśród ozdobnych grzebyków i szczotek do włosów.

Początkowo Dusty nie rozumiał, co mówi, ale potem usłyszał.

– ...

łaskiś pełna, Pan z tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Ściszonym, piskliwym ze zdenerwowania głosem, który brzmiał jak głos przerażonego dziecka, Martie odmawiała modlitwę.

Stojąc w progu i obserwując Martie, Dusty czuł, jak serce mu puchnie ze strachu o nią, puchnie

i puchnie do niemożliwych rozmiarów, aż ciśnienie zaczęło rozsadzać mu pierś.

Rzuciła następny nabój, który uderzył w bielizniarkę – i wtedy zobaczyła go w drzwiach.

Jej twarz stała się jeszcze bledsza.

– Martie...

– Nie!

– jęknęła, kiedy przekroczył próg.

Cisnęła pistolet na dywan i kopnęła go tak mocno, że przeleciał przez cały pokój i odbił się z hałasem od drzwi szafy.

– Martie, to ja.

– Wyjdź stąd, odejdz, odejdz.

– Dlaczego się mnie boisz?

– Boję się siebie!

– Jej palce grzebały w magazynku, wyjmując kolejny nabój.

– Na miłość boską, uciekaj!

– Martie, co...

– Nie zbliżaj się do mnie, nie, nie ufaj mi – wyszeptała głosem tak słabym, drżącym i natarczywym jak chodzący po linie cyrkowiec, który traci równowagę.

– Jestem obłąkana, kompletnie obłąkana.

– Kochanie, posłuchaj, nigdzie nie pójdę, dopóki się nie dowiem co tu się stało – powiedział Dusty i zrobił następny krok w jej kierunku.

Z rozpaczliwym kwileniem rzuciła kulę i na wpół opróżniony magazynek, a potem pobiegła do łazienki.

Ruszył za nią.

– Proszę – błagała Martie, próbując zamknąć mu drzwi przed nosem.

Jeszcze przed minutą Dusty nie potrafiłby sobie wyobrazić sytuacji, w której mógłby użyć siły wobec Martie; teraz żołądek podchodził mu do gardła, kiedy się z nią mocował.

Wsuwając kolano między drzwi a futrynę, próbował wcisnąć się do środka.

Nagle zaniechała oporu i cofnęła się.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że o mało nie upadł.

Łapiąc drzwi, które odskoczyły od gumowego ogranicznika, Dusty nie spuszczał wzroku z Martie.

Namacał kontakt i zapalił fluoryzujący panel nad umywalkami.

Ostre światło odbiło się od luster, od porcelany, od białych i zielonych płytek ceramicznych.

Od niklowanej armatury, lśniącej jak chirurgiczna stal.

Martie opierała się o szklaną kabinę prysznicową.

Oczy zamknięte.

Twój ściągnięta.

Dłonie zwinięte w pięści i przyciśnięte do skroni.

Jej usta poruszały się szybko, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk, jakby oniemiała z przerażenia.

Dusty pomyślał, że znowu się modli.

Postąpił trzy kroki i dotknął jej ramienia.

Jej oczy, przejrzyście błękitne i niespokojne jak wzburzone morze, otworzyły się raptownie.

– Odejdz!

Wstrząśnięty jej wybuchem, usłuchał.

Uszczelka na drzwiach kabiny rozkleiła się z głośnym cmoknięciem, a Martie przestąpiła tyłem wysoki próg i weszła pod prysznic.

– Nie wiesz, co zrobię, mój Boże, nie możesz sobie wyobrazić, nie możesz nawet pomyśleć, jakie to będzie straszne, jakie potworne.

Zanim zdążyła zamknąć drzwi kabiny, wyciągnął rękę i przytrzymał je.

– Martie, nie boję się ciebie.

– A powinieneś, musisz.

Oszołomiony wybąkał: – Powiedz mi, co się dzieje.

Promieniste prążki w jej błękitnych tęczęwkach przypominały pęknięcia w grubym szkle z czarnymi żrenicami jak dziury po kulach w środku.

Zaczęła wyrzucać z siebie nieskładne zdania: – Jest we mnie dużo więcej, niż ci się zdaje, gdzieś w środku jest inna ja, pełna nienawiści, gotowa ranić, ciąć, rozbijać, a jeśli nie ma żadnej innej, jeśli jestem tylko ja, to nie jestem tą osobą, którą zawsze myślałam, że jestem, jestem czymś pokręconym i strasznym, strasznym.

W najgorszych snach i w najbardziej rozpaczliwych momentach swego życia na jawie Dusty nigdy nie był tak głęboko przerażony, a w swojej prywatnej ocenie siebie jako mężczyzny nigdy nie dopuszczał możliwości, że mógłby być tak upokorzony przez strach jak w tej chwili.

Czuł, że Martie, ta Martie, którą tak dobrze znał, oddała się od niego, w niewytłumaczalny, lecz nieuchronny sposób zapada się w psychiczny wir, dziwniejszy niż jakakolwiek czarna dziura na odległym krańcu wszechświata, a jeśli nawet jakaś część jej pozostanie, kiedy wir się zamknie, będzie tak samo niedostępna jak obca forma życia.

Choć aż do tej chwili Dusty nie zdawał sobie sprawy ze swej podatności na strach, zawsze rozumiał, jak pośpny byłby ten świat, gdyby nie było na nim Martie.

Perspektywa życia bez niej, smutnego i samotnego, budziła przerażenie, które go obezwładniało.

Martie odsunęła się od szklanych drzwi i wcisnęła w kąt kabiny, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i zwiniętymi w pięści dłońmi.

Wszystkie jej kości zdawały się wychodzić na powierzchnie – kolana, biodra, łokcie, obojczyk, czaszka – jakiH szkielet chciał wyzwolić się ze związku z resztą ciała.

Kiedy Dusty wszedł do kabiny, Martie zaprotestowała słabo.

– Nie, och, proszę, proszę, nie.

– Mogę ci pomóc.

Łkając, z wykrzywioną twarzą, obwisłymi i drżącymi wargami, prosiła: – Kochany, nie.

Nie podchodź.

– Cokolwiek to jest, mogę ci pomóc.

Kiedy wyciągnął rękę, Martie osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze.

Dalej nie mogła już od niego uciec.

Ukląkł przy niej.

Gdy położył rękę na jej ramieniu, zadrżała się konwulsyjnie.

– Kluczyk!

– Co?

– Kluczyk!

Kluczyk!

Uwolniła pięści z kleszczy ramion i podniosła je na wysokość twarzy.

Zaciśnięte palce rozwarły się, ukazujące pustą prawą dłoń, potem pustą lewą, a Martie przyglądała się im ze zdumieniem, jakby magik sprawił, że z jej dłoni zniknęła moneta lub jedwabna chustka, a ona niczego nie poczuła.

– Miałam go, nadal mam, kluczyk od samochodu, gdzieś!

Gorączkowo obmacywała kieszenie džinsów.

Dusty przypomniał sobie, że widział kluczyk leżący na podłodze obok szafki nocnej.

– Upuściłaś go w sypialni.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz potem jakby wróciła jej pamięć.

– Przepraszam.

Co ja chciałam zrobić.

Wbić, przekręcić.

O Chryste Panie.

Wzdrygnęła się.

Wstyd pojawił się w jej oczach i spłynął na twarz, zabarwiając lekkim rumieńcem nienaturalnie białą skórę.

Kiedy Dusty próbował otoczyć ją ramionami, Martie opierając się, ostrzegając go zapalczywie, aby jej nie ufał, aby chronił oczy, ponieważ nawet jeśli wyrzuciła kluczyk od samochodu, nadal ma akrylowe paznokcie, wystarczająco ostre, by go oślepić.

I nagle zaczęła zrywać te paznokcie, skrobiąc akrylem o akryl z owadzym chrzęstem.

W końcu Dusty otoczył ją ramionami i przytulił mocno do siebie, jakby jego uścisk mógł przywrócić jej poczucie rzeczywistości.

Zesztywniała, wycofując się w emocjonalny pancerz, i chociaż już wcześniej schowała się w głąb siebie, teraz skuliła się tam jeszcze ciaśniej i wydawało się, iż potężna siła jej strachu wciska ją do wewnątrz, spaja, aż stała się nieprzenikliwa jak gład, twarda jak diament, zapadła się we własną czarną dziurę i zniknęła w równoległym wszechświecie, gdzie na krótko wyobraziła sobie, że kluczyk od samochodu zniknął, skoro nie było go w jej zaciśniętych dłoniach.

Niezrażony Dusty trzymał ją w ramionach, kołysał się powoli wraz z nią na podłodze kabiny, powtarzając, że ją kocha, że jest cudowna, że nie jest złym orkiem, lecz dobrym hobbitem, że wystarczy spojrzeć na dziwne, ale rozkoszne palce u nóg, które odziedziczyła po Uśmiechniętym Bobie, aby dowieść jej hobbicznej natury, mówiąc jej wszystko, co jego zdaniem mogło ją rozśmieszyć.

Nie wiedział, czy się uśmiechnęła, ponieważ jej głowa nadal była pochylona, a twarz ukryta.

Z czasem jednak przestała stawiać opór.

Po dłuższej chwili rozluźniła napięte mięśnie, odwzajemniła jego uścisk, z początku słabo, potem mocniej, aż wreszcie otworzyła się całkowicie i wczepiła się w niego tak jak on wczepiał się w nią, z rozpaczliwą miłością, z przytłaczającą świadomością, że ich życie zmieniło się na zawsze, i z przerażającym poczuciem, iż od tej chwili będą żyć w cieniu wielkiej niewiadomej.

Rozdział 27.

Po obejrzeniu wieczornych wiadomości Susan Jagger obeszła mieszkanie, synchronizując wszystkie zegary ze swoim cyfrowym zegarkiem na rękę.

Robiła to w każdy wtorek wieczorem o tej samej porze.

W kuchni zegary były wbudowane w piecyk i w kuchenkę mikrofalową, a kolejny wisiał na ścianie.

Na kominku w salonie stał zegar na baterię w stylu art deco, a na szafce przy łóżku znajdowało się radio z zegarem.

Żaden z tych zegarów nie późnił się ani nie spieszył więcej niż minutę na tydzień, lecz Susan czerpała przyjemność z ich dokładnego nastawiania.

W ciągu szesnastu miesięcy swojej niemal całkowitej izolacji i chronicznego lęku oddawała się temu rytuałowi, aby zachować równowagę psychiczną.

Dla wszystkich prac domowych opracowała skomplikowane procedury, których trzymała się tak rygorystycznie, jak inżynier przestrzega instrukcji w elektrowni atomowej, gdzie każde zaniedbanie może oznaczać katastrofę.

Woskowanie podłóg i politurowanie mebli stało się długotrwałym przedsięwzięciem wypełniającym puste godziny.

Perfekcyjne wykonywanie każdej czynności i stosowanie się do ustalonych reguł dawało jej krzepiące poczucie panowania nad sytuacją, chociaż zdawała sobie sprawę, że to tylko złudzenie.

Nastawiwszy zegary, Susan poszła do kuchni, by przygotować kolację.

Sałatkę z pomidorów i cykorii i kurczaka w maładze.

Gotowanie należało do jej ulubionych zajęć.

Trzymała się przepisów z naukową dokładnością, odmierzając i mieszając składniki tak starannie jak konstruktor bomb, który ma do czynienia z materiałami wybuchowymi albo niebezpiecznymi chemikaliami.

Rytuały kulinarne i rytuały religijne jak żadne inne wymagają spokojnego serca i spokojnego umysłu, zapewne dlatego, że pierwsze dostarczają pokarmu dla ciała, a drugie dla duszy.

Tego wieczoru jednak nie mogła skupić się na krojeniu, ucieraniu, odmierzaniu i mieszaniu.

Jej uwagę przyciągał co chwila milczący telefon.

Bardzo pragnęła porozmawiać z Martie, teraz, kiedy zdobyła się wreszcie na odwagę, by wspomnieć jej o tajemniczym nocnym gościu.

Przed ostatnimi wypadkami sądziła, iż może wyjawić Martie wszystko zupełnie swobodnie, bez uczucia skrępowania.

Przez sześć miesięcy jednak nie mogła się przemóc, by opowiedzieć jej o gwałtach, których ktoś dopuszczał się na niej, kiedy spała.

Wstyd zmuszał ją do milczenia, ale wstyd nie onieśmiał jej tak jak obawa, że Martie uzna ją za paranoiczkę.

Jej samej trudno było uwierzyć, iż wielokrotnie mogła zostać rozebrana, zgwałcona i ponownie ubrana, ani razu się przy tym nie budząc.

Eric nie był czarnoksiężnikiem, by wejść do mieszkania – a także wejść w nią – całkowicie niepostrzeżenie, a później wymknąć się w taki sam sposób.

Chociaż Eric mógł być tak słaby i moralnie zagubiony, jak sugerowała Martie, Susan wątpiła, by nienawidził ją w wystarczającym stopniu, żeby robić jej takie rzeczy.

Bo u podłoża wszystkich upokorzeń, które ją spotykały, leżała bez wątpienia nienawiść.

Kochali się, a decyzję o separacji podjęli z żalem, nie gniewem.

Jeśli jej pragnął, to gdyby nawet nie chciał pozostać przy niej w tym trudnym okresie, pewnie by go przyjęła.

Nie było zatem żadnego powodu, dla którego miałyby uciekać się do tak wyrafinowanych podstępów, aby osiąść ją wbrew jej woli.

A jednak...

jeżeli nie Eric, to kto?

Dzieląc z nią ten dom i używając górnej kondygnacji jako domowego biura, Eric mógł znaleźć sposób na ominięcie drzwi i okien, choć wydawało się to nieprawdopodobne.

Nikt inny nie znał tego miejsca dostatecznie dobrze, aby wejść i wyjść niepostrzeżenie.

Ręka jej drgnęła i sól wysypała się z łyżeczki.

Odrywając się od przyrządzania kolacji, wytarła zwilgotniałe nagle dłonie w ścierkę do naczyń.

Sprawdziła rygle przy drzwiach.

Oba były zaciągnięte.

Łańcuch znajdował się na swoim miejscu.

Oparła się plecami o drzwi.

Nie jestem paranoiczką.

Martie zdawała się jej wierzyć.

Przekonanie innych może jednak nie być łatwe.

Dowody potwierdzające oskarżenie o gwałt nie były niezbite.

Czasem miała otarte ścianki pochwy, ale nie zawsze.

Sporadycznie na jej piersiach i udach pojawiały się sińce wielkości czubków palców, lecz nie potrafiłaby dowieść, czy pozostawił je gwałciciel, czy też powstały w jakiś inny sposób.

Po przebudzeniu zawsze wiedziała, że odwiedził ją widmowy intruz, nawet jeśli nie była obolała ani posiniaczona, zanim jeszcze odkryła w sobie ślad jego obecności, ponieważ czuła się zgwałcona, zbrukana.

Uczucia to jednak nie dowód.

Nasienie mogło jedynie potwierdzić, że była z mężczyzną, ale nie świadczyło o gwałcie.

Poza tym, gdyby chciała wnieść oskarżenie, musiałaby pokazać policji swoje poplamione majtki lub, co gorsza, poddać się oględzinom pochwy w szpitalnej izbie przyjęć, a to wiązało by się dla niej ze znacznie większym upokorzeniem, niż czuła się na siłach znieść w swoim obecnym stanie.

W istocie choroba, agorafobia, była głównym powodem wahania, czy wyznać wszystko Martie, nie mówiąc już o policji lub innych obcych ludziach.

Chociaż ludzie światli wiedzieli, że ostra fobia nie jest formą obłądzenia, mimo woli traktowali ją jak odchylenie od normy.

A gdyby utrzymywała, że jest wykorzystywana seksualnie podczas snu, że napastuje ją tajemniczy osobnik który potrafi wejść przez zaryglowane drzwi...

Cóż, wówczas nawet jej najlepsza przyjaciółka mogłaby zadać sobie pytanie, czy agorafobia, choć sama w sobie nie jest formą szaleństwa, nie zwiastuje przypadkiem prawdziwej choroby umysłowej.

Dlatego, sprawdziwszy ponownie rygle, Susan sięgnęła niecierpliwie po telefon.

Nie mogła czekać ani minuty dłużej na przemyślaną odpowiedź Martie.

Musiała się upewnić, czy najlepsza przyjaciółka, jeżeli już nikt więcej, uwierzyła w wiidmowego

gwałciciela.

Susan wykręciła pierwsze cztery cyfry numeru Martie – i odwiesiła słuchawkę.

Musi uzbroić się w cierpliwość.

Jeśli będzie roztrzęsiona lub zbyt natarczywa, może wydać się mniej wiarygodna.

Wracając do sosu z malagi, uświadomiła sobie, że jest za bardzo zdenerwowana, by znaleźć ukojenie w kulinarnych rytuałach.

Nie była również głodna.

Otworzyła butelkę merlota, napełniła kieliszek i usiadła przy kuchennym stole.

Ostatnio piła więcej niż zwykle.

Upiwszy łyk wina, podniosła kieliszek do światła.

Ciemno rubinowy płyn był klarowny i najwyraźniej nie zawierał żadnych domieszek.

Przez jakiś czas podejrzewała, że ktoś oszalał ją narkotykami.

Ta możliwość nadal była niepokojąca, chociaż mniej prawdopodobna, niż się jej wcześniej wydawało.

Rohyfnol – o którym tyle się ostatnio mówiło w telewizji w kontekście randek połączonych z gwałtem – mógł tłumaczyć, dlaczego pozostawała nieprzytomna, a przynajmniej nieświadoma, nawet podczas brutalnych stosunków.

Wystarczy wsypać rohyfnol do kieliszka kobiety, a zachowuje się jak w stanie ostrego upojenia alkoholowego: jest rozkojarzona, uległa i bezbronna.

Stadium oszołomienia przechodzi ostatecznie w prawdziwy sen, a po przebudzeniu ofiara nie pamięta nic lub prawie nic z tego, co działo się w nocy.

Rankiem jednak po wizytach tajemniczego gościa Susan nie miewała żadnych objawów kaca po rohyfnolu.

Żadnych mdłości, wyschniętych ust, zaburzeń wzroku, pulsującego bólu głowy lub ogólnego rozkojarzenia.

Zazwyczaj budziła się całkiem trzeźwa, a nawet rześka, choć czuła się zgwałcona.

Mimo to stale zmieniała sklepy.

Czasem prosiła Martie, aby zrobiła jej zakupy, głównie jednak zamawiała artykuły spożywcze i inne rzeczy w małych rodzinnych firmach, które zapewniały dostawę do domu.

Ostatnio niewiele sklepów świadczyło taką usługę.

Chociaż Susan wypróbowała wszystkie, powodowana paranoicznym lękiem, że ktoś dosypuje jej narkotyków do jedzenia, częste zmiany dostawców nie położyły kresu nocnym wizytom.

Zrozpaczona, poszukiwała odpowiedzi w sferze ponadnaturalnej.

Pobliska księgarnia dostarczała jej książki o duchach, wampirach, demonach, egzorcyzmach, czarnej magii i wprowadzeniach przez kosmitów.

Dostawca, by oddać mu sprawiedliwość, nigdy nie skomentował nienasyconego apetytu Susan na tego rodzaju literaturę.

A zresztą było to bez wątpienia zdrowsze niż zainteresowanie współczesną polityką czy plotkami o znanych ludziach.

Susan zafascynowała szczególnie legenda o inkubie.

Ten zły duch odwiedzał kobiety we śnie i uprawiał z nimi seks, kiedy spały.

Fascynacja nie przerodziła się w obsesję.

Susan nigdy nie posunęła się tak daleko, by spać z Biblią w każdym z czterech rogów łóżka lub nosić

naszyjnik z czosnku.

W końcu zaprzestała poszukiwań w świecie ponadnaturalnym, ponieważ zorientowała się, że gdy zapuszcza się w te irracjonalne obszary, jej agorafobia się nasila.

Kieliszek z merlotem był w połowie pusty.

Napełniła go.

Zabierając wino ze sobą, Susan wyruszyła na obchód mieszkania, aby sprawdzić, czy wszystkie możliwe wejścia są zabezpieczone.

Oba okna jadalni wychodziły na rezydencję stojącą blisko domu Susan.

Były zamknięte.

Obchód zakończyła w salonie.

Zgasiła światło i usiadła w fotelu, sącąc merlota i pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności.

Chociaż jej fobia osiągnęła punkt, w którym za dnia trudno jej było patrzeć na świat nawet przez okno, nadal mogła znieść nocny widok, kiedy niebo przesłaniały chmury i nie musiała oglądać morza gwiazd.

W taką pogodę jak dziś nigdy nie przepuszczała okazji, by poddać się próbie, ponieważ obawiała się, że jeśli nie będzie ćwiczyć odwagi, ulegnie ona całkowitej atrofii.

Kiedy jej wzrok przywykł do ciemności, a merlot wlał w serce odrobinę męstwa, podeszła do środkowej szyby wielkiego okna wychodzącego na ocean.

Po chwili wahania, odetchnąwszy głęboko, uniosła zasłonę.

Promenada przed jej domem wyglądała jak oszroniona w świetle rozrzuconych szeroko lamp ulicznych.

Mimo niezbyt późnej pory, w ten styczniowy wieczór była prawie pusta.

Tylko para nastolatków jeździła na deskorolkach.

Kot przemknął z jednej plamy cienia do następnej.

Cienkie wąsy mgły owijały się wokół pni nielicznych palm i lamp ulicznych.

W spokojnym powietrzu liście zwiślały nieruchomo i tylko pełznąca mgła zdawała się żyć, zbliżając się z niemałą groźbą.

Susan widziała jedynie skrawek tonącej w mroku plaży.

W ogóle nie widziała Pacyfiku; ściana gęstej mgły ciągnęła się wzdłuż oceanu, który wyłaniał się z niej tylko chwilami – wysoki, szary, jak potężna fala zastygła na moment przed uderzeniem o brzeg.

Z gęstego nabrzeżnego tumanu mgły wysuwały się leniwe macki, jak zimna para unosząca się nad blokiem suchego lodu.

Kiedy niskie chmury przesłaniały gwiazdy, a ciemność i mgła dzieliły świat na małe kawałki, Susan mogła stać przy oknie godzinami, wolna od strachu.

Nagle serce zabiło jej gwałtownie.

Przyczyną lęku nie była tym razem agorafobia – owładnęło ją poczucie, że jest obserwowana.

Odkąd zaczęły się nocne wizyty, ten nowy strach ogarniał ją coraz częściej.

Z pewnością jednak nie była to kolejna fobia, irracjonalny lęk, lecz lęk całkowicie uzasadniony.

Jeśli jej widmowy gwałciciel był prawdziwy, musiał obserwować jej dom, aby mieć pewność, że zastanie ją samą, składając wizytę.

Promenada była pusta.

Pnie palm nie osiągnęły jeszcze dostatecznej grubości, by ktokolwiek mógł się za nimi schować.

On tam jest.

Przez trzy noce z rzędu nikt jej nie nachodził.

Ten aż nazbyt ludzki inkub był punktualny.

Miał swój rytm potrzeb, bardziej regularny niż wpływ księżyca na pulsowanie krwi w żyłach wilkołaka, lecz równie niezawodny.

Często próbowała nie spać przez całą noc, kiedy się go spodziewała.

Jeśli jej się to udawało, rano słała się na nogach ze zmęczenia, lecz on się nie zjawiał.

Jeśli zawiodła ją siła woli i się zdrzemnęła, składał jej wizytę.

Raz zasnęła kompletnie ubrana, w fotelu, i obudziła się kompletnie ubrana, ale w łóżku, czując w powietrzu słaby zapach jego potu i tę nienawistną lepkość w majtkach.

Zdawał się odgadywać, jakimś szóstym zmysłem, kiedy śpi i jest najbardziej bezbronna.

On tam jest.

Na płaskiej plaży, na samej granicy widzialności, wyrastało kilka niskich wydm, których wygięte łagodnie grzbiety rozplywały się w mroku i mgłę.

Obserwator mógł się czaić za jedną z nich, chociaż musiałby leżeć plackiem na piasku, aby pozostać w ukryciu.

Czuła na sobie jego wzrok.

Albo wydawało się jej, że czuje.

Szybko opuściła plisowaną storę, zasłaniając okno.

Wściekła na siebie za ten uwłaczający lęk, trzęsąc się bardziej ze złości i upokorzenia niż ze strachu, chora na myśl, iż jest bezbronną ofiarą, chociaż przez całe życie była wszystkim, tylko nie ofiarą, żarliwie zapragnęła przezwyciężyć swoją agorafobię i wyjść na zewnątrz, popędzić na plażę, wspiąć się na grzbiet każdej z wydm i albo stanąć twarzą w twarz ze swoim dręczycielem, albo udowodnić sobie, że go tam nie ma.

Ale nie mogła zdobyć się na odwagę, by podejść myśliwego, nie mogła zrobić nic innego, tylko ukrywać się i czekać.

Nie mogła nawet mieć nadziei na wyzwolenie, ponieważ nadzieja, która długo ją wspierała, skurczyła się ostatecznie i gdyby uzyskała fizyczną konsystencję, nie można by jej dostrzec ani przez szkło powiększające, ani przez najpotężniejszy mikroskop.

Szkło powiększające.

Susan zaświtała nowa myśl, którą po zastanowieniu uznała za obiecującą.

Uwięziona w domu przez agorafobię nie mogła podejść myśliwego, ale może mogłaby go obserwować, kiedy on obserwuje ją.

W szafie w sypialni, na górnej półce, znajdował się winylowy futerał, a w nim mocna lornetka.

W lepszych czasach, kiedy nie przerażał jej sam widok zalanego słońcem świata i jego ogrom, lubiła oglądać regaty łodzi żaglowych na przybrzeżnych wodach i większe statki płynące do Ameryki Południowej lub do San Francisco.

Wzięła z kuchni wysoki taboret i pospieszyła do sypialni.

Lornetka była tam, gdzie spodziewała się ją znaleźć.

Na tej samej półce, wśród innych rzeczy, znajdował się również przedmiot, o którym zupełnie zapomniała.

Kamera wideo.

Była jedną z krótkotrwałych pasji Erica.

Na długo przed tym, nim wprowadził się z domu, przestał nagrywać i montować amatorskie filmy.

Jej plan obserwacji wydm w poszukiwaniu ukrytego obserwatora wzbogacił się o nową elektryzującą możliwość.

Zapomniawszy o lornetce, Susan zdjęła z półki plastikowy futerał z kamerą i wyposażeniem.

Otworzyła go na łóżku.

Oprócz kamery futerał mieścił zapasowe baterie, dwie czyste taśmy oraz instrukcję obsługi.

Susan nigdy nie posługiwała się kamerą.

Wszystko filmował Eric.

Teraz czytała instrukcję z prawdziwym zainteresowaniem.

Eric, jak zawsze, gdy pochłaniało go nowe hobby, nie zadowolalał się byle czym.

Musiał mieć najlepszy, najnowocześniejszy sprzęt i najbardziej wymyślne dodatki.

Jego ręczna kamera, choć niewielka, wyposażona była w doskonały obiektyw, umożliwiała nagrywanie obrazu i dźwięku prawie bez zniekształceń i pracowała z cichutkim szmerem, którego nie rejestrował mikrofon.

Była przystosowana nie tylko do dwudziesto lub trzydziestominutowych taśm, lecz także do dwugodzinnych kaset.

Mogła pracować w trybie spowolnionego nagrywania, zużywając mniej centymetrów taśmy na minutę, co zapewniało trzy godziny nagrywania na dwugodzinnej kasecie; instrukcja informowała, że uzyskany w ten sposób obraz jest o dziesięć procent mniej ostry niż przy prędkości standardowej.

Kamera była tak energooszczędna, a wymienne baterie tak silne, iż wystarczały na dwie do trzech godzin nieprzerwanej pracy, w zależności od tego, czy wykorzystywało się podgląd obrazu i inne pochłaniające energię funkcje dodatkowe.

Według wbudowanego w kamerę wskaźnika zainstalowane baterie były zużyte.

Susan sprawdziła zapasowe, które okazały się częściowo naładowane.

Nie mając pewności, czy zużyte baterie dadzą się ponownie naładować, posłużyła się kablem zasilającym, by podłączyć częściowo naładowane baterie do gniazdka w łazience i doprowadzić je do stanu pełnej gotowości.

Kieliszek merlota stał na stoliku w salonie.

Podniosła go i spełniła milczący toast, ale tym razem piła nie po to, by dodać sobie otuchy, lecz aby uczcić doniosłą chwilę.

Po raz pierwszy od miesiący naprawdę czuła, że panuje nad własnym życiem.

Chociaż wiedziała, iż podejmuje ledwie niewielki krok w kierunku rozwiązania licznych poważnych problemów, z którymi się borykała, nie tłumilo to jej podniecenia.

Nareszcie coś robiła, po tak długim okresie całkowitej beczynności, i rozpaczliwie pragnęła podsycić w sobie ten nieoczekiwany optymizm.

W kuchni, gdy sprzątała ze stołu, rezygnując z przyrządzenia kurczaka w maladze, i wyjmowała z zamrażarki pizzę pepperoni, zastanawiała się, dlaczego nie pomyślała o kamerze kilka tygodni albo i miesięcy temu.

Zaczęła zdawać sobie sprawę, że była zdumiewająco bierna, biorąc pod uwagę koszmar i upokorzenie, które musiała znieść.

Och tak, chodziła na terapię.

Dwa razy w tygodniu od szesnastu miesięcy.

Nie było to małe osiągnięcie – męki przeżywane w drodze na każdą sesję i z powrotem, wytrwałość w obliczu nikłych rezultatów – ale poddanie się terapii stanowiło konieczne minimum, które musiała

podjąć, kiedy jej życie waliło się w gruzy.

A kluczowym słowem było w tym przypadku „poddanie się”, ponieważ stosowała się do terapeutycznych metod i porad doktora Ahrimana z nietypową dla siebie uległością, zważywszy, że w przeszłości traktowała lekarzy tak samo sceptycznie jak sprzedawców samochodów, sprawdzając ich bardzo dokładnie i zasięgając opinii innych na ich temat.

Wkładając pizzę do kuchenki mikrofalowej, Susan była szczęśliwa, iż uwolniła się od konieczności gotowania wymyślnej kolacji, i zrozumiała, niemal z mocą objawienia, że utrzymywała równowagę psychiczną dzięki rytuałom wymagającym wielu zbędnych czynności.

Rytuał znieczulał, czynił jej żalną sytuację łatwiejszą do zniesienia, ale nie przybliżał jej do rozwiązania problemów, nie uzdrawiał.

Napełniła kieliszek winem.

Alkohol też nie uzdrawiał; musiała zachować ostrożność, aby nie przesadzić i nie sknocić tego, co zamierzała zrobić, była jednak tak podniecona, tak napompowana adrenaliną, że mogłaby wypić całą butelkę i spalić ją, zanim położy się do łóżka.

Kiedy przemierzała kuchnię, czekając, aż pizza będzie gotowa, jej zakłopotanie długą biernością przerodziło się w zdumienie.

Spoglądając na miniony rok z nowym obiektywizmem, mogłaby niemal uwierzyć, iż dostała się we władanie złych czarów, które zaćmiewały jej umysł, osłabiały siłę woli i pętały duszę magicznym zaklęciem.

No cóż, czar został przełamany.

Powróciła dawna Susan Jagger: trzeźwa, energiczna i gotowa użyć swego gniewu, by odmienić swoje życie.

On tam był.

Może obserwował ją z wydm właśnie w tej chwili.

Może od czasu do czasu jeździł przed jej domem na deskorolce lub rowerze, nie wzbudzając niczyich podejrzeń – po prostu jeszcze jeden kalifornijski dziwak albo fanatyk ruchu na świeżym powietrzu.

Ale był tam, z całą pewnością.

Parszywy drań nie odwiedzał jej przez trzy kolejne noce, ale miał swój rytm potrzeb, który pozwalał przypuszczać, że przyjdzie do niej przed najbliższym świtem.

Nawet jeśli nie uda się jej zapanować nad sennością, nawet jeśli będzie oszołomiona i nieświadoma tego, co się z nią dzieje, rankiem dowie się o nim wszystkiego, ponieważ przy odrobinie szczęścia ukryta kamera przyłapie go na gorącym uczynku.

Jeśli kamera zarejestruje Erica, skopie mu żalną dupę tak, że jej but trzeba będzie usuwać chirurgicznie z jego pośladków!

A potem wyrzuci go raz na zawsze ze swego życia.

Jeśli okaże się, że to ktoś obcy, co wydawało się raczej nieprawdopodobne, zdobędzie dowód dla policji.

A chociaż przekazanie taśmy z nagraniem sceną gwałtu będzie głęboko upokarzające, zrobi to, co musi.

Podchodząc do stołu po kieliszek z winem, zastanawiała się co będzie, jeśli...

co, jeśli...

Co, jeśli po przebudzeniu będzie się czuła wykorzystana i obolała, jeśli będzie czuła w sobie zdradzieckie ciepło nasienia, a mimo to taśma ukaże ją samą w łóżku, miotającą się w ekstazie lub w panicznym strachu, jak obłąkana kobieta w napadzie szaleństwa?

Jakby jej gość był istotą – nazwijmy ją inkubem – która nie rzuca odbicia w lustrze i nie zostawia obrazu na taśmie wideo.

Nonsens.

Prawda była w zasięgu ręki, ale nie była nie z tego świata.

Podniosła kieliszek z winem i wypła połowę jednym haustem.

Rozdział 28.

Jak świątynia ku czci Marty Stewart, bogini współczesnego amerykańskiego domu.

Dwie podłogowe lampy z jedwabnymi abażurami.

Dwa duże fotele z podnóżkami stojące naprzeciwko siebie przy stoliku do herbaty.

Koronkowe poduszki na fotelach.

Z boku kominek.

Ulubione miejsce Martie w całym domu.

W ciągu ostatnich trzech lat ona i Dusty spędzili tu wiele wieczorów z książką, czytając w milczeniu, zatopieni każde w swojej fikcji, a mimo to tak razem, jakby trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy.

Teraz Martie podciągnęła nogi na fotel i siedziała zwrócona lekko w lewo, bez książki.

Siedziała zupełnie nieruchomo, w omdlewającej pozie, w której musiała wyglądać jak uosobienie spokoju, choć w rzeczywistości wcale nie była spokojna.

W swoim fotelu Dusty starał się przybrać postawę pełną chłodnego namysłu i rzeczowości, lecz nieustannie zsuwał się na skraj siedzenia.

Martie opowiadała o swoich przejściach w sposób trochę nieskładny, przerywając niekiedy z zakłopotaniem, częściej milknąc dlatego, że nie mogła przestać się dziwić własnemu szalonemu zachowaniu, a następnie podejmując opowieść, kiedy Dusty zachęcał ją łagodnie pytaniami.

Sam widok Dusty'ego uspokajał ją i napawał otuchą, lecz czasem nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Wpatrywała się w zimny kominek, jakby hipnotyczne płomienie lizały ceramiczne polana.

Komplet mosiężnych przyborów kominkowych już nie budził w niej niepokoju.

Mała szufelka.

Ostro zakończone szczypce.

Pogrzebacz.

Jeszcze nie tak dawno sam widok pogrzebacza wygrywałby arpeggia przerażenia na strunach jej duszy.

Węgle niepokoju nadal się w niej tliły, lecz teraz bardziej się bała następnego paralizującego napadu paniki niż swojej zdolności do zadawania gwałtu.

Chociaż wspominała swój atak ze wszystkimi barwnymi szczegółami, nie potrafiła opisać, jak się czuła.

Trudno jej było przypomnieć sobie całą głębię swego strachu, jakby to, co się wydarzyło, dotyczyło innej Martie Rhodes, obłąkanej osoby, która wynurzyła się na krótko z bagna jej psychiki, a potem znów się w nim zapadła.

Od czasu do czasu Dusty grzechotał kostkami lodu w swojej szklance ze szkocką, aby zwrócić jej uwagę.

Kiedy patrzyła na niego, podnosił szklankę, przypominając jej, aby też się napiła.

Z wahaniem przyjęła szkocką, obawiając się, że znów straci panowanie nad sobą.

Łyk po łyku jednak johnnie walker dowodził, iż jest skutecznym lekarstwem.

Lokaj wyciągnął się obok jej fotela, wstając od czasu do czasu, by położyć pysk na jej zgiętych nogach i poddać się łagodnym pieszczotom spoczywającej na jego łbie ręki z wyrazem współczucia w rozumnych oczach.

Dwa razy dawała mu małe kostki lodu ze swojej szklanki.

Pogryzł je z osobliwą przyjemnością.

Kiedy Martie skończyła opowiadać, Dusty spytał: – Co teraz?

– Doktor Closterman, rano.

Umówiłam się na wizytę, dzisiaj, wracając od Susan, zanim jeszcze zaczęło być ze mną naprawdę źle.

– Pojadę z tobą.

– Chcę zrobić pełny zestaw analiz.

Badanie krwi.

Prześwietlenie mózgu na wypadek, gdyby to był guz.

– To nie guz – powiedział Dusty z przekonaniem, u którego podłóża leżała wyłącznie nadzieja.

– Nie dzieje się z tobą nic naprawdę złego.

– Coś się dzieje.

– Nie.

– Myśl, że mogłaby być chora, może nawet śmiertelnie, przejęła Dusty'ego taką zgrozą, że nie zdołał tego ukryć.

Martie śledziła każdą bruzdę cierpienia na jego twarzy, ponieważ mówiła ona więcej o jego uczuciach dla niej niż wszystkie miłosne zaklęcia świata.

– Zgadzam się na guza mózgu – powiedziała.

– Zgadzasz się?

– Jeśli alternatywą jest choroba umysłowa.

Mogą wyciąć guza i jest szansa, że znowu będę taka jak dawniej.

– To nie jest również to drugie.

– Bruzdy na twarzy Dusty'ego pogłębiły się.

– To nie jest choroba umysłowa.

– Coś musi być.

Susan siedziała na łóżku, jedząc pizzę pepperoni i popijając merlota.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio przyrządziła sobie wspaniałą kolację.

Była wystarczająco spostrzegawcza i szczerą wobec siebie by zdawać sobie sprawę, że składniki tego prostego posiłku mają niewiele lub nic wspólnego z jego szczególnym smakiem i zapachem.

To nie kielbasa, ser i dobrze przyrumienione ciasto zaostrzały jej apetyt, lecz nadzieja.

Uwolniona spod osobliwego czaru zastraszenia i apatii, pragnęła nie tyle sprawiedliwości, ile zemsty.

Nie miała złudzeń co do swojej prymitywnej zdolności do czerpania rozkoszy z odwetu.

Wszak natura wyposażyła ją, jak każdą istotę ludzką, w cztery kły i cztery siekacze, doskonale przystosowane do rozrywania i szarpania.

Przypomniawszy sobie, jak broniła Erica przed Martie, Susan odgryzła kęs pizzy i żuła go z zawziętą przyjemnością.

Jeśli jej choroba jest reakcją na ból spowodowany zdradą Erica, to powinien ponieść za to jakąś karę.

Ale jeśli to on składa jej nocne wizyty, dręcząc bezlitośnie jej umysł i ciało, jest zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego poślubiła.

A ściśle mówiąc, w ogóle nie jest człowiekiem, tylko nędzną kreaturą, podłym gadem.

Wężem.

Mając dowód, użyje prawa, aby go przygwoździć, tak jak drwal może użyć siekiery do obrony przed grzechotnikiem.

Susan jadła, a jednocześnie rozglądała się po sypialni, szukając najlepszego miejsca, w którym

mogłaby ukryć kamerę.

Martie siedziała przy kuchennym stole, patrząc, jak Dusty sprząta bałagan, którego narobiła.

Kiedy wciągał z ganku do kuchni pojemnik na śmieci, jego zawartość grzechotała i dzwoniła jak narzędzia w torbie kata.

Podnosząc do ust drugą szklanę szkockiej, Martie ścisnęła ją obiema rękami.

Zamknawszy drzwi, Dusty wrzucił sztućce i przybory kuchenne do zmywarki.

Widok połyskujących ostrzy i sterzczących zębów, szczęk i stalowy chrobot uderzających o siebie sztuców już nie trwożyły Martie.

Gardło miała jednak ściśnięte – palący alkohol spływał w dół powoli, jakby przedzierał się przez zaporę w jej przetyku.

Dusty włożył chardonnay i chablis z powrotem do lodówki.

Butelki nadal mogły być skutecznymi maczugami rozbijającymi czaszki, lecz Martie nie czuła już pokusy, by się nimi posłużyć.

Wsunawszy puste szuflady do kredensu i odłożywszy na bok rzeczy, które nie wymagały zmywania, Dusty zdecydował: – Bajzel w garażu może poczekać do rana.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała, jakby w obawie, że tutaj, w scenerii jej dziwnego ataku, gdzie wspomnienia szaleństwa wciąż unosiły się w powietrzu jak trujące miazmaty, z jej ust mogą się wyrwać tylko nowe niedorzeczności.

Kiedy Dusty zaproponował kolację, próbowała się wymówić brakiem apetytu, ale uparł się, że powinna coś zjeść.

W lodówce znajdowało się naczynie z resztką lazanii wystarczającą dla dwóch osób.

Dusty wstawił je do kuchenki mikrofalowej.

Potem umył i pokroił pieczarki.

W jego rękach nóż wyglądał zupełnie nieszkodliwie.

Dusty podsmażył na maśle pieczarki z posiekaną cebulą, a następnie przełożył je do rondelka, dodając zielony groszek.

W tym czasie Lokaj siedział z rozmarzonymi oczami przed kuchenką, wdychając głęboko aromat gorącej lazanii.

Kiedy Dusty podawał kolację, Martie zastanawiała się, czy wcześniej mogła zatruć resztkę lazanii.

Nie przypominała sobie, by dopuściła się tak perfidnego czynu.

Wciąż jednak podejrzewała, że cierpi na zaniki świadomości: były chwile, kiedy funkcjonowała na pozór świadomie, chociaż nic nie pozostało jej w pamięci.

Pewna, że Dusty zje lazanię, chcąc dowieść jej swego zaufania, Martie powstrzymała się i nie ostrzegła go.

Aby ustrzec się przed ponurą perspektywą kończenia kolacji w pojedynkę, przezwyciężyła brak apetytu i zjadła większą część tego, co włożył jej na talerz.

Nie przyjęła jednak widelca, wołała jeść łyżką.

W rogu sypialni Susan Jagger znajdował się biedermeierowski stolik nocny.

Na nim stała brązowa waza kryjąca doniczkę z miniaturowym drzewkiem ming, które z powodu wiecznie zasłoniętych okien prawie nie otrzymywało światła słonecznego, lecz mimo to rosło, jakby wystarczał mu mały reflektor.

U korzeni drzewka wił się bujny bluszcz z liśćmi w kształcie gwiazdy, który przykrywał ziemię i zwieszał się z górnej krawędzi wazy.

Wybrawszy najlepszy kąt widzenia, Susan umieściła kamerę w doniczce i starannie przykryła łożkami bluszczu, aby ją ukryć.

Wyłączyła reflektor, pozostawiając nocną lampkę.

W pokoju nie powinno być ciemno, jeśli chce uzyskać na taśmie rozpoznawalny obraz.

Aby uzasadnić zapaloną lampkę, postanowiła upozorować zaśnięcie nad książką.

Wystarczy na wpół opróżniony kieliszek z winem na stoliku i leżąca na pościeli książka.

Okrążyła pokój, przyglądając się wazie.

Kamera była dobrze ukryta.

Tylko z jednego miejsca, gdy patrzyła pod bardzo ostrym kątem, bursztynowy odblask lampy załśnił niczym zwierzęce oko w ciemnym obiektywie, jakby jednooka jaszczurka przyczała się w zwojach bluszczu.

Ten świetlny punkt był jednak tak mały, że nie powinien przyciągnąć uwagi ani inkuba, ani zwykłego śmiertelnika.

Susan podeszła do kamery, wsunęła palce w bluszcz, szukając przez chwilę i wcisnęła guzik.

Cofnęła się dwa kroki.

Stanęła w bezruchu.

Zadarła głowę, wstrzymała oddech.

Nasłuchiwała.

Chociaż klimatyzacja była wyłączona i nie obracał się żaden wentylator, chociaż wiatr nie szeptał pod okapem dachu ani za oknami, chociaż w sypialni panowała cisza tak głęboka, jaką można sobie co najwyżej wymarzyć w tej epoce wszechobecnych mechanizmów, Susan nie słyszała szumu silnika kamery.

Rzeczywiście, sprzęt zgodnie z zapewnieniami producenta pracował prawie bezszelestnie, a cichy dźwięk przesuwającej się taśmy tłumiły całkowicie zwoje bluszczu.

Wiedząc, że zamknięte pomieszczenia mogą mieć niezwykle właściwości akustyczne, mogą na przykład wzmacniać w niektórych miejscach dźwięk – raz jeszcze okrążyła pokój.

Pięć razy zatrzymywała się, by posłuchać, ale nie usłyszała niczego podejrzanego.

Uspokojona wróciła do stolika i wyjęła kamerę z bluszczu.

Obejrzała nagranie na wbudowanym w nią monitorze.

W kadrze zmieściło się całe łóżko.

Z lewej strony ekranu widać było drzwi do sypialni.

Oglądała siebie, jak wchodzi i wychodzi z kadru.

Znów wchodzi i wychodzi.

Zatrzymuje się, słucha.

Zdumiała się, że wygląda tak młodo i atrakcyjnie.

Ostatnio nie widziała siebie tak wyraźnie, kiedy patrzyła w lustro.

W lustrach dostrzegała raczej odbicie psychologiczne niż fizyczne: Susan Jagger postarzała od ciągłego lęku, rysy zwiotczałe i rozmyte na skutek szesnastu miesięcy odosobnienia, twarz szara z powodu nudy i wymizerowana ze strachu.

Kobieta na ekranie była szczupła i ładna.

Co więcej, widać było, że ma przed sobą cel.

Była to kobieta pełna nadziei i z przyszłością.

Zadowolona Susan odtworzyła nagranie ponownie.

I tym razem wynurzyła się z magnetycznej pamięci kamery, krążąc po sypialni z poczuciem celu, wchodząc i wychodząc z kadru, zatrzymując się, by posłuchać; kobieta realizująca opracowany plan.

Nawet łyżka mogła stać się bronią – gdyby tak ująć ją za miseczkę i dźgnąć trzonkiem...

Choć nie tak ostra jak nóż, bez Problemu można by wylupić nią oko, oślepić.

Fale strachu napływały i odpływały, sprawiając, iż łyżka drżała w palcach Martie.

Dwukrotnie zadzwieczęła o talerz jakby Martie prosiła o uwagę przed wygłoszeniem toastu.

Kusiło ją, by schować łyżkę i jeść rękami.

Z obawy jednak, że wyda się Dusty'emu jeszcze bardziej szalona niż w rzeczywistości, nadal męczyła się ze sztucem.

Rozmowa przy kolacji się nie kleiła.

Nawet po szczegółowej relacji, którą złożyła w salonie, Dusty miał wiele pytań dotyczących jej ataku paniki.

Odpowiadała na nie z coraz większą niechęcią.

Po pierwsze, temat ją przygnębiał.

Wspominając swoje dziwaczne zachowanie, czuła się bezradna, jakby znów stała się bezsilnym i zależnym od innych małym dzieckiem.

W dodatku męczyło ją irracjonalne przekonanie, że rozmawiając o poprzednim, wywołuje następny atak paniki.

Czuła się tak, jakby siedziała na klapie zapadni, a im dłużej mówiła, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo, że wypowie magiczne słowo, które zwolni zawiasy, a ona runie w ziejącą pod spodem otchłań.

Zapytała go, jak spędził dzień, a on wymienił całą listę spraw związanych z pracą, które zwykle załatwiał, gdy pogoda uniemożliwiała malowanie.

Chociaż nigdy nie kłamał, Martie czuła, że tym razem nie powiedział jej wszystkiego.

Oczywiście, w stanie, w jakim się obecnie znajdowała, nie mogła ufać swoim przecuciom.

Odsuwając na bok pusty talerz, powiedział: – Nie patrzysz mi w oczy.

– Bo nienawidzę cię za to, że widziałeś mnie taką.

– Jaką?

– Słabą.

– Nie jesteś słaba.

– Ta lazania ma twardszy kręgosłup niż ja.

– Stała w lodówce dwa dni.

Jak na lazanie...

do diabła, to pięćdziesiąt osiem ludzkich lat.

– Czuję się, jakbym miała pięćdziesiąt osiem lat.

– No cóż, wyglądasz trochę lepiej niż ta cholerna lazania.

– Widzę, mój panie, że potrafisz oczarować dziewczynę.

– Wiesz, co mówią o malarzach pokojowych.

– Co mówią?

– Że umiemy wciskać kit.

Spojrzała mu w oczy.

Uśmiechnął się i powiedział: – Wszystko będzie dobrze, Martie.

– Nie, dopóki nie poprawi ci się dowcip.

– Słaba, a niech mnie.

Obchodząc blanki swojej czteropokojowej fortecy, Susan upewniła się, że wszystkie okna są zamknięte.

Jedynie drzwi wychodzące na świat zewnętrzny znajdowały się w kuchni.

Broniły ich dwie zasuwki i łańcuch.

Kończąc sprawdzanie zamków, postawiła kuchenne krzesło na tylnych nogach i wsunęła je pod gałkę na drzwiach.

Nawet jeśli Eric zdobył jakimś sposobem klucz, krzesło nie pozwoli mu sforsować drzwi.

Oczywiście, próbowała tej sztuczki już wcześniej.

Nie powstrzymała intruza.

Kiedy ukryła kamerę i przetestowała kąt widzenia, wyjęła baterię i podłączyła ją do gniazdka w łazience.

Teraz była w pełni naładowana.

Włożyła baterię na miejsce i ukryła kamerę w bluszczu pod drzewkiem.

Włączy ją, zanim położy się do łóżka, a wtedy będzie miała trzy godziny, by przyłapać Erica na gorącym uczynku.

Wszystkie zsynchronizowane zegary wskazywały dziewiątą czterdzieści.

Martie obiecała, że zatelefonuje przed jedenastą.

Susan była bardzo ciekawa przemyśleń i rad przyjaciółki, ale nie zamierzała powiedzieć Martie o kamerze.

Może jej telefon był na podsłuchu.

Może Eric słuchał jej rozmów.

Och, jak cudownie było tańczyć kotyliona paranoi, wirować po parkiecie w złowrogich objęciach groźnego nieznajomego, kiedy orkiestra grała marsz żałobny, a ona nieugięcie zbierała odwagę, by spojrzeć w twarz tancerza, który ją prowadził.

Rozdział 29.

Dwie szklaneczki szkockiej, porcja lazanii i wypadki tego straszego dnia sprawiły, że Martie była na wpół odrętwiała z wyczerpania.

Kiedy Dusty zmywał naczynia po kolacji, siedziała przy stole, obserwując go spod opadających powiek.

Spodziewała się, że nie zmruży oka aż do świtu, dręczona niepokojem, pełna obaw o przyszłość.

Ale teraz jej umysł wyrzucał z siebie wszystkie troski, zamykał się na noc.

Tylko nowy lęk przed lunatyzmem nie pozwolił jej zasnąć tutaj, przy kuchennym stole.

Nigdy wcześniej nie cierpiała na somnambulizm, lecz aż do tego ranka nie doświadczyła też napadu paniki, więc teraz wszystko wydawało się jej możliwe.

Jeśli zacznie chodzić we śnie, to jak nic ta inna Martie przejmie kontrolę nad jej ciałem.

Wymknie się z łóżka, pozwalając Dusty'emu spać dalej, zejdzie boso po schodach, tak pewnie jak ślepiec w ciemnościach, by wyjąć czysty nóż z koszyka na sztućce w zmywarce.

Dusty wziął ją za rękę i poprowadził w stronę schodów, gasząc po drodze światła.

Lokaj podążył za nimi, jego oczy lśniły czerwono w półmroku.

Dusty zabrał z kuchni płaszcz Martie i teraz zatrzymał się aby powiesić go w szafie w przedpokoju.

Wyczuwając ciężar w jednej z kieszeni, sięgnął do niej ręką i wyciągnął książkę.

– Ciągle ją czytasz?

– spytał.

– To prawdziwy dreszczowiec.

– Ale zabierasz ją na sesje Susan od zawsze.

– Wcale nie tak długo.

– Ziewnęła.

– Styl jest dobry.

– Prawdziwy dreszczowiec, ale nie możesz go przeczytać od sześciu miesięcy?

– To chyba nie było sześć miesięcy, prawda?

Nie.

Nie mogło być.

Fabuła jest zajmująca.

Postacie są barwne.

Podoba mi się.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Co się z tobą dzieje?

– Mnóstwo.

Ale w tej chwili jestem przede wszystkim cholernie zmęczona.

Wręczając jej książkę, powiedział: – No cóż, jeśli masz kłopoty z zaśnięciem, kilka stron tego będzie lepsze niż nembutal.

Spać.

I może chodzić, chwycić za nóż, podpalać...

Lokaj poprzedał ich na schodach.

Martie, z jedną ręką na poręczu, wsparta na ramieniu Dusty'ego, który obejmował ją w pasie, czerpała niejaką pociechę z myśli, że pies może ją obudzić, jeśli zacznie chodzić we śnie.

Zacnie lizać ją po bosych stopach, uderzać puszystym ogonem po łydkach i z pewnością zaszczecha na nią, gdy wyciągnie ze zmywarki rzeźnicki nóż i nie ukroi dla niego kawałka łopatki, która leży w lodówce.

Susan ubrała się do snu w zwykłe bawełniane majtki – żadnych haftów ani koronek, żadnych ozdób jakiegokolwiek rodzaju – i biały podkoszulek.

Kiedyś wołała kolorową bieliznę z falbankami.

Lubiła czuć się seksownie.

Teraz już nie.

Rozumiała mechanizm psychologiczny, który krył się za tą zmianą.

Seks od pewnego czasu kojarzył się jej z gwałtem.

Koronki, falbanki, hafty, stębnówki, tasiemki i tym podobne dodatki mogłyby stanowić zachętę dla jej tajemniczego nocnego gościa, który gotów był zinterpretować ozdoby jako zaproszenie do dalszych ekscesów.

Przez jakiś czas kładła się do łóżka w męskich piżamach, luźnych i brzydkich, a potem w workowatych dresach do ćwiczeń gimnastycznych.

Obmierzły łajdak nie dał się jednak zniechęcić.

W istocie, kiedy już ją rozebrał i brutalnie wykorzystał, zawsze znajdował czas, by ponownie ją ubrać z dbałością, która zakrawała na szyderstwo.

Jeśli przed pójściem spać zapięła wszystkie guziki piżamy, on też zapinał wszystkie; lecz jeśli pozostawiła jeden niezapięty, ten sam był niezapięty, kiedy się budziła.

Zawiązywał pasek na taki sam węzeł, jakiego użyła ona.

Ostatnio sypiała w prostych białych majtkach.

Były potwierdzeniem jej niewinności.

Przesłaniem dla gwałciciela, że nie da się poniżyć i zbrukać, niezależnie od tego, co jej zrobi.

Dusty zaniepokoił się nagłym odrętwieniem Martie.

Twierdziła, że jest śmiertelnie zmęczona, lecz sądząc z jej zachowania, ogarnęło ją nie tyle znużenie, ile głębokie przygnębienie.

Poruszała się ospale, lecz nie z powolną niezdarnością płynącą z wyczerpania, tylko z ponurą determinacją osoby, która dźwiga przytłaczający ciężar.

Twarz miała napiętą, ściągniętą w kącikach ust i oczu, nie zaś zwiotczałą ze zmęczenia.

Martie zawsze znajdowała się na granicy fanatyzmu, jeśli chodzi o higienę dentystyczną, ale tego wieczoru nie zadała sobie trudu, aby umyć zęby.

W ciągu trzech lat małżeństwa zdarzyło się to pierwszy raz.

Każdego wieczoru za pamięci Dusty'ego Martie myła twarz i nacierała ją kremem nawilżającym.

Szczotkowała włosy.

Nie tym razem.

Jakby tego było mało, położyła się do łóżka ubrana.

Kiedy Dusty zdał sobie sprawę, że Martie nie zamierza się rozebrać, rozwiązał jej sznurowadła i zdjął buty, skarpety, Ściągnął jej dzinsy.

Nie opierała się, ale też nie pomagała.

Zdjęcie bluzki okazało się trudniejsze, ponieważ Martie Leżała na boku, z podkurczonymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Pozostawiając ją częściowo ubraną, Dusty przykrył ją kołdrą, odgarnął jej włosy z twarzy i pocałował

w czoło.

Rozchyliła powieki, ale w jej oczach czaiło się coś bardziej twardego i ostrego niż zmęczenie.

– Nie zostawiaj mnie – powiedziała ochryple.

– Nie zostawię.

– Nie ufaj mi.

– Ale ja ci ufam.

– Nie śpij.

– Martie...

– Obiecuj mi to.

Nie śpij.

– Dobrze.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

– Ponieważ mogę cię zabić, kiedy będziesz spał – powiedziała i zamknęła oczy, które z błękitnych zrobiły się sine, a potem purpurowo czerwone, zanim powieki opadły.

Stał i patrzył na nią, zdjęty lękiem nie z powodu jej ostrzeżenia, nie o siebie, lecz o nią.

Wymamrotała: – Susan.

– Co z nią?

– Po prostu sobie przypomniałam.

Nie powiedziałam ci o Susan.

Dziwna rzecz.

Powinnam do niej zadzwonić.

– Możesz zadzwonić do niej rano.

– Co ze mnie za przyjaciółka?

– mruknęła.

– Susan zrozumie.

Teraz odpocznij.

Po prostu odpocznij.

W ciągu kilku sekund Martie zapadła w sen.

Ściągnięte bruzdy niepokoju zniknęły z kącików jej oczu.

Dwadzieścia minut później, gdy Dusty siedział na łóżku, zbierając wszystkie kawałki zawikłanej historii, którą opowiedziała mu Martie, i próbując ułożyć je w logiczną całość, zadzwonił telefon.

Aby nikt nie zakłócał im snu, wyłączali aparat w sypialni, to, co słyszał teraz, to był telefon w pokoju Martie w głębi korytarza; po drugim dzwonku odezwała się automatyczna sekretarka.

Zakładał, że dzwoni Susan, choć mógł to być również Skeep lub ktoś z personelu Kliniki Nowego Życia.

W normalnych okolicznościach poszedłby do pokoju Martie, by odsłuchać nagraną wiadomość, ale nie chciał, aby się obudziła i odkryła, iż nie dotrzymał obietnicy i nie został przy niej.

Skeet znajdował się w dobrych rękach, a niezależnie od tego, jaka „dziwna rzecz” przydarzyła się Susan, nie mogła być dziwniejsza ani ważniejsza niż to, co stało się tutaj dzisiaj wieczoru.

Można z tym poczekać do rana.

Dusty znów skoncentrował się na historii, którą opowiedziała mu Martie.

Gdy rozmyślał o wszystkich dziwacznych zdarzeniach i niezwykłych szczegółach, ogarnęło go

osobliwe przekonanie, że to, co przytrafiło się żonie, jest w jakiś sposób związane z tym, co przytrafiło się bratu.

W obu przypadkach wyczuwał niepokojące podobieństwa, chociaż rzeczywisty charakter tych zbieżności jeszcze mu się wymykał.

Niewątpliwie był to najdziwniejszy dzień w jego życiu, a instynkt podpowiadał mu, że Skeet i Martie nie załamali się jednocześnie przez czysty przypadek.

W kącie pokoju Lokaj zwinął się na wielkiej poduszce obszytej baranią skórą, ale nie spał.

Leżał z mordą opartą na jednej łapie, obserwując uważnie swoją panią, śpiącą w złotym świetle lampy.

Ponieważ Martie zawsze dotrzymywała zobowiązań – dlatego też cieszyła się opinią osoby, na której można polegać.

– Susan nie poczuła się dotknięta, do jedenastej nie doczekawszy się obiecanego telefonu, tylko zaniepokojona.

Zadzwoiła sama, usłyszała automatyczną sekretarkę i zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Niewątpliwie Martie była wstrząśnięta i zdumiona opowieścią Susan o widmowym gwałcicielu, dla którego nawet zaryglowane drzwi nie stanowiły przeszkody.

Poprosiła, by dać jej trochę czasu do namysłu, ale nie miała zwyczaju wykręcać się lub bawić w niepotrzebną dyplomację.

Do tej pory powinna już dojść do jakichś wniosków lub zadzwonić i powiedzieć, że potrzebuje więcej dowodów, by uwierzyć w tę niesamowitą historię.

– To ja – powiedziała Susan do automatycznej sekretarki.

– Co się dzieje?

U ciebie wszystko w porządku?

Myślisz, że mi odbiło?

Nie szkodzi, jeśli tak myślisz.

Zadzwoń do mnie.

Odczekała kilka sekund, a potem odłożyła słuchawkę.

Najprawdopodobniej Martie nie zaproponowałaby niczego bardziej sensownego niż ukryta kamera, toteż Susan kontynuowała swoje przygotowania.

Postawiła napełniony do połowy kieliszek z winem na nocnej szafce i usiadła na łóżku z książką, opierając się na stercie poduszek.

Była zbyt zdenerwowana, aby czytać.

Przez jakiś czas oglądała w telewizji stary film, „Mroczne przejście”, ale nie mogła skupić się na fabule.

Jej umysł wędrował bardziej mrocznymi i przerażającymi zaułkami niż te, w które zapuścili się kiedykolwiek Bogart i Bacall.

Pamiętała noce, kiedy pozorna bezsenność poprzedzała nie naturalnie głęboki sen – i zniewolenie.

Jeśli potajemnie podawano jej narkotyki, nie mogła przewidzieć, kiedy środki odurzające zaczną działać, a nie chciała obudzić się i stwierdzić, że została zgwałcona i nie zdążyła uruchomić kamery.

O północy podeszła do stolika, wsunęła palce w bluszcz pod drzewkiem ming, włączyła kamerę i wróciła do łóżka.

Jeśli do pierwszej nie zaśnie, przewinie kasetę i zacznie nagrywać od początku, a potem znów o drugiej i o trzeciej, gdyby więc zasnęła będzie mniejsza szansa, że taśma skończy się, zanim drań

wejdzie do pokoju.

Wyłączyła telewizor, aby wersja zaśnięcia nad książką nabrała większego prawdopodobieństwa, lecz również dlatego, że mógł zagłuszać dźwięki w innych pomieszczeniach.

Po niecałej minucie ciszy, kiedy zamierzała zabrać się za czytanie, zadzwonił telefon.

Mając nadzieję, że to Martie, Susan podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Tu Ben Marco.

Jakby Ben Marco był magicznym budowniczym, którego głos mógł spoić kamień i zaprawę, granitowe ściany otoczyły w jednej chwili serce Susan, zamykając je, napierając na przedsionki i komory.

Kiedy jej serce zabiło gwałtownie, próbując uwolnić się z więzienia, jej umysł otworzył się, jakby był domem, którego dach porwał cyklon; jej myśli, nagle tak wiotkie jak kurz i pajęczyny, rozproszyły się od raptownego podmuchu i z czarnej nieskończoności wdarła się do jej głowy szepcząca ciemność, nieubłagana Obecność, która sączyła się, niewidzialna i zimna jak duch, wypełniając najpierw poddasze jej umysłu, a potem spływając głębiej, wciąż głębiej.

– Słucham...

Już w następnej chwili jej rozdygotane serce uspokoiło się, a tętniące mrowienie strachu w żyłach ustało.

A teraz reguły.

Powiedział: – Zimowy wiatr...

– Ty jesteś wiatrem – odparła.

– ...

skrył się w bambusowym gaju...

– Ja jestem gajem.

– ...

a potem ucichł.

– W ciszy dowiem się, co należy zrobić – powiedziała Susan.

Zimowy wiatr skrył się w bambusowym gaju a potem ucichł.

Piękne, naprawdę.

Po wyrecytowaniu reguł Susan Jagger pogrążyła się w morzu spokoju: wszędzie wokół niej, a także w niej samej zapanowała cisza tak bezdźwięczna, jak martwa pustka na moment przed Stworzeniem, kiedy Bóg nie powiedział jeszcze: „Niech się stanie światłość”.

Gdy zimowy wiatr znowu przemówił, jego łagodny, głęboki głos zdawał się nie dobiegać z telefonu, lecz z wnętrza Susan: – Powiedz mi, gdzie jesteś.

– W łóżku.

– Zakładam, że jesteś sama.

Powiedz mi, czy mam rację.

– Masz.

– Wpuść mnie.

– Tak.

– Szybko.

Susan odłożyła słuchawkę, wstała z łóżka i pospieszyła przez ciemne mieszkanie w stronę drzwi.

Mimo szybkiego kroku jej serce biło coraz wolniej: mocno, równo, spokojnie.

W kuchni jarzyło się tylko blade, zielone światło cyfr elektronicznych zegarów w kuchence

mikrofalowej i piecyku.

Atramentowe cienie nie powstrzymały jej.

Od wielu, zbyt wielu miesięcy to małe mieszkanie było jej światem, znała je tak dobrze, jakby wyrastała tu niewidoma od urodzenia.

Gałkę u drzwi blokowało krzesło.

Chwyciła je i odstawiła na bok, drewniane nogi zaskrzypiały cicho na kafelkach podłogi.

Przesuwany rygiel na końcu mosiężnego łańcucha zgrzytnął w szczelinie zatrzasku.

Kiedy go puściła, ogniwa zagrzechotały o futrynę drzwi.

Odciągnęła pierwszą zasuwę.

Potem drugą.

Otworzyła drzwi.

Czekał na podeście u szczytu schodów, spokojny teraz, ale wypełniony furią huraganów, gniewem, który zazwyczaj dobrze ukrywał przed światem, lecz który zawsze w nim wrzał i ujawniał się w najbardziej intymnych chwilach, a kiedy przekroczył próg i wszedł do kuchni, odpychając ją i zamykając za sobą drzwi, zacisnął jedną silną dłoń na jej cienkiej szyi.

Rozdział 30.

Obie główne tętnice szyjne doprowadzające krew do szyi i głowy wychodzą bezpośrednio z aorty, która z kolei wychodzi z górnego płata lewej komory serca.

Krew przepływająca przez obie tętnice opuściła serce stosunkowo niedawno, dlatego jest szczególnie bogata w tlen i pompowana z wielką siłą.

i Zaciśnąwszy dłoń na gardle Susan, obejmując palcami lewą stronę jej szyi, a wbijając opuszkę kciuka pod jej kość szczękową i w prawą tętnicę, doktor Mark Ahriman trzymał ją tak przez mniej więcej minutę, napawając się silnym, równym rytmem jej pulsu.

Była tak cudownie pełna życia.

Gdyby chciał ją udusić, mógłby to zrobić, nie obawiając się oporu z jej strony.

W tym odmiennym stanie świadomości stałaby bezwolna i uległa, kiedy on wyciskałby z niej życie.

Osunęłaby się na kolana, a potem zwinęła cicho na podłozie, wydając ostatnie tchnienie i przepraszając spojrzeniem za to, że nie potrafiła umrzeć na stojąco i zmusiła go, aby ukląkł wraz z nią, chcąc dokończyć dzieło.

W istocie, umierając, Susan Jagger obdarzyłaby doktora Ahrimana każdym uczuciem, jakiego by zażądał.

Dziecięcym podziwem.

Erotycznym uniesieniem.

Bezsilnym gniewem lub jagnięcą potulnością pomieszaną z zakłopotaniem, gdyby któraś z tych reakcji sprawiła mu przyjemność.

Nie miał zamiaru jej zabijać.

Nie tutaj, nie teraz – choć wkrótce.

Kiedy nadejdzie ten nieuchronny moment, nie zamierzał podejmować żadnych bezpośrednich kroków, aby pozbyć się Susan, ponieważ darzył wielkim szacunkiem wydziały dochodzeniowe praktycznie wszystkich współczesnych amerykańskich agencji policyjnych.

Gdy sytuacja wymagała rozwiązań ostatecznych, zawsze posługiwał się pośrednikami, aby zadać śmiertelny cios.

Poza tym największa rozkosz płynęła ze zręcznej manipulacji, a nie z własnoręcznego okaleczania czy mordowania.

Pociągnięcie za spust, pchnięcie nożem, zaciśnięcie drucianej pętli garoty – żadna z tych rzeczy nie dostarczała mu tak silnych emocji jak wykorzystanie kogoś innego, aby popełniał okrucieństwa w jego imieniu.

Władza jest bardziej emocjonująca niż przemoc.

A mówiąc bardziej ściśle, największą rozkosz sprawiał mu nie skutek posługiwania się władzą, lecz proces jej używania, manipulacja.

Kontrola.

Akt zdobywania pełnej kontroli, pociągania za sznurki i obserwowania, jak ludzie robią to, czego się od nich wymaga, wprawiał doktora w takie uniesienie, że w najpiękniejszych chwilach tych zabiegów grzmiące tony najczystszej ekstazy rozbrzmiewały w nim jak spiżowe dźwięki wibrujące w litym brązie wielkich katedralnych dzwonów.

Gardło Susan pod jego ręką przypominało mu o innym uniesieniu, o innym delikatnym i wdzięcznym gardle rozdartym włócznią, a to wspomnienie przeszło go rozkosznym dreszczem, wprawiając dzwony

w jego ciele w lekki rezonans.

W Scottsdale w Arizonie stoi palladiańska rezydencja, w której smukła, młoda dziedziczka nazwiskiem Minette Luckland roztrzaskała matce czaszkę młotkiem, a zaraz potem strzeliła ojcu w tył głowy, gdy jadł kruche ciasto i oglądał powtórkę „Seinfelda”.

Później skoczyła z balustrady pierwszego piętra, lądując sześć metrów niżej i nabijając się na włócznię trzymaną przez posąg Diany, bogini księżyca i łowów, który stał na żłobkowanym cokole w rotundzie przy wejściu.

List samobójczy, napisany ponad wszelką wątpliwość kształtną ręką Minette, stwierdzał, że od dziecka była wykorzystywana seksualnie przez oboje rodziców – a tę straszliwą potwarz zasugerował jej doktor Ahriman.

U brązowych stóp Diany widniały zakrzepłe krople krwi jak czerwone płatki kwiatu śliwy na białej marmurowej posadzce.

Teraz, stojąc na wpół nago w ciemnej kuchni, z zielonymi oczami odbijającymi słabą poświatę cyfrowego zegara na pobliskim piecyku, Susan Jagger była jeszcze słodsza niż zmarła Minette.

Chociaż jej twarz i figura wydawały się wyjęte ze snów erotomana, doktora podniecał nie tyle jej wygląd, ile świadomość, że w jej kształtnym ciele drzemie zabójcza moc równie wielka jak ta, którą rozpełtał w Scottsdale przed tak wielu laty.

Jej prawa tętnica szyjna pulsowała pod jego kciukiem, tętno było równe i mocne.

Pięćdziesiąt sześć uderzeń na minutę.

Nie bała się.

Czekała spokojnie, aż zostanie wykorzystana, jakby była bezmyślnym narzędziem lub, ściślej mówiąc, zabawką.

Wymieniając nazwisko „Ben Marco”, a następnie recytując warunkujące haiku, Ahriman wprowadził ją w odmienny stan świadomości.

Laik mógłby użyć terminu „trans hipnotyczny”, co w jakimś stopniu odpowiadałoby prawdzie.

Psycholog kliniczny określiłby to jako „fugę”, co byłoby trafniejszą diagnozą.

Żadne z tych określeń nie oddawało jednak precyzyjnie istoty rzeczy.

Kiedy Ahriman wyrecytował haiku, osobowość Susan została stłumiona bardziej i na głębszym poziomie, niż gdyby ją zahipnotyzował.

W tym szczególnym stanie nie była już Susan Jagger w żadnym istotnym sensie, lecz żywą maszyną, której umysł przypominał czysty twardy dysk, oczekujący na dowolne oprogramowanie, jakie doktor Ahriman zechce zainstalować.

Gdyby popadła w stan klasycznej fugi, która jest poważnym zaburzeniem osobowości, funkcjonowałaby na pozór zupełnie normalnie, z lekką tylko skłonnością do ekscentrycznych zachowań, lecz z daleko mniejszym oderwaniem od rzeczywistości, niż okazywała obecnie.

– Susan – powiedział – czy wiesz, kim jestem?

– Wiem?

– spytała słabym głosem.

W tym stanie nie mogła odpowiadać na żadne pytania, ponieważ czekała, żeby jej powiedział, czego od niej chce, jak powinna się zachować, a nawet jak ma się czuć.

– Czy jestem twoim psychiatrą, Susan?

W mroku prawie widział zdziwienie na jej twarzy.

– Jesteś?

Dopóki nie wyzwoli się z tego stanu, będzie reagowała na polecenia.

– Powiedz, jak się nazywasz – zażądał.

Otrzymałszy bezpośrednią instrukcję, mogła się posługiwać posiadaną wiedzą.

– Susan Jagger.

– Powiedz, kim ja jestem.

– Doktorem Ahrimanem.

– Czy jestem twoim psychiatrą?

– Jesteś?

– Powiedz, jaki mam zawód.

– Jesteś psychiatrą.

Ten stan więcej niż transu i nie całkiem fugi nie był łatwy do osiągnięcia.

Przekształcenie jej w uległą zabawkę wymagało znacznego nakładu pracy i umiejętności zawodowych.

Osiemnaście miesięcy temu, zanim jeszcze został jej psychiatrą, przy trzech starannie zaaranżowanych okazjach, bez wiedzy Susan, Ahriman podał jej silną dawkę narkotyków: rohyfnolu, fencyklidyny, valium i pewnej cudownej substancji pobudzającej pracę mózgu, lecz niewymienianej w żadnym oficjalnym spisie leków.

Recepturę opracował sam i osobiście przygotowywał każdą porcję, korzystając z zapasów swojej prywatnej i całkowicie nielegalnej apteki, ponieważ składniki musiały być ściśle odmierzone, jeśli chciał osiągnąć pożądaną efekt.

Narkotyki same w sobie nie doprowadziły Susan do obecnego stanu uległości, ale po każdej dawce stawała się półprzytomna, nieświadoma tego, co się z nią dzieje, i niezwykle podatna na sugestie.

Kiedy popadała w to częściowe uśpienie, Ahriman mógł omijać jej umysł i przemawiać do głębokiej podświadomości, gdzie nie napotykał żadnego oporu.

To, co jej zrobił podczas trzech długich sesji, dziennikarze i autorzy powieści szpiegowskich określiliby terminem „pranie mózgu”, choć jego działania nie były aż tak nowoczesne.

Nie zburzył struktury jej umysłu, aby przebudować go według nowego planu.

Taka metoda była zbyt ambitna i wymagała miesięcy stałego dostępu do obiektu w ponurych warunkach więziennych oraz długotrwałych tortur psychologicznych, nie wspominając już o odporności na denerwujące krzyki i tchórzliwe błagania ofiary.

Doktor Ahriman miał wysoki iloraz inteligencji, lecz dosyć niski próg odporności na nudę.

Poza tym stopień skuteczności przy użyciu tradycyjnych technik prania mózgu nie był szczególnie zachęcający, gdyż rzadko udawało się uzyskać całkowitą kontrolę.

Zamiast tego doktor zapuścił się w głąb podświadomości Susan, do piwnicy, i dodał nowe pomieszczenie – można by je nazwać sekretną kaplicą – o którego istnieniu jej świadomość nie miała pojęcia.

Tam uwarunkował ją tak, aby czciła tylko jednego boga, wyrzekając się wszystkich pozostałych, a tym bogiem był Mark Ahriman.

Był srogim bóstwem, przedchrześcijańskim w swym odrzuceniu wolnej woli, nietolerancyjnym wobec najmniejszych przejawów nieposłuszeństwa, bezlitosnym dla odstępców.

Od tamtej pory nie stosował już więcej narkotyków.

Nie było takiej potrzeby.

Podczas tamtych trzech sesji ustanowił mechanizmy kontrolne – nazwisko Marco, haiku – które

natychmiast tłumili jej osobowość i prowadziły ją do tych samych głębokich obszarów psychiki, co stosowane wcześniej środki chemiczne.

Podczas ostatniej sesji narkotycznej wywołał u niej również agorafobię.

Uważał, że to interesująca przypadłość, która zapewni mu dramatyczne przedstawienie i wiele barwnych efektów, kiedy jej osobowość będzie stopniowo pękać i wreszcie rozpadnie się całkowicie.

Ostatecznie wszystko sprowadzało się przecież do zabawy.

Teraz, wciąż zaciskając palce na gardle Susan, powiedział: – Myślę, że tym razem nie będę sobą.

Dzisiaj mam ochotę na coś bardziej pikantnego.

Wiesz, kim jestem, Susan?

– Kim jesteś?

– Jestem twoim ojcem – wyjaśnił Ahriman.

Milczała.

– Powiedz, kim jestem – zażądał.

– Jesteś moim ojcem.

– Nazywaj mnie tatą – polecił.

Jej głos pozostał odległy, pozbawiony emocji, ponieważ powiedział jej jeszcze, jak powinna się czuć w tym scenariuszu.

– Tak, tato.

Jej tętnica szyjna pulsowała rytmicznie pod jego prawym kciukiem.

– Powiedz, jakiego koloru mam włosy, Susan.

Chociaż w kuchni było zbyt ciemno, by mogła określić kolor jego włosów, powiedziała: – Jasne.

Ahriman był szpakowaty, lecz ojciec Susan naprawdę miał jasne włosy.

– Powiedz, jakiego koloru mam oczy.

– Zielone jak ja.

Oczy Ahrimana były orzechowe.

Wciąż trzymając prawą rękę na gardle Susan, doktor pochylił się i pocałował ją niemal niewinnie.

Nie oddała pocałunku; była tak bierna, jakby popadła w stan katatonii lub śpiączki.

Gryząc delikatnie jej wargi, a potem wpychając pomiędzy nie język, pocałował ją tak, jak żaden ojciec nie powinien całować córki, i chociaż jej usta pozostały miękkie, a puls na szyi nie bił w przyspieszonym rytmie, poczuł, że oddech uwiązł jej w gardle.

– Jak się teraz czujesz, Susan?

– Jak chcesz, żebym się czuła?

Gładząc ją jedną ręką po włosach, powiedział: – Głęboko zawstydzona, upokorzona.

Przepelniona wielkim smutkiem...

i trochę oburzona, że własny ojciec wykorzystuje cię w ten sposób.

Brudna, spodlona.

A mimo to posłuszna, gotowa zrobić to, co ci każe...

ponieważ wbrew sobie jesteś również podniecona.

Odczuwasz chore, pożądliwe pragnienie, którego chcesz się wyprzeć, ale nie możesz.

Znów ją pocałował i tym razem próbowała zacisnąć usta; poddała się jednak, a jej wargi zmiękły, otworzyły się.

Położyła ręce na jego piersi, aby go odepchnąć, lecz jej opór był słaby, dziecięcy.

Pod jego kciukiem puls na jej szyi łomotał jak u zająca, którego osaczył pies.

– Tato, nie.

Odbicie zielonej poświaty w zielonych oczach Susan załśniło z nową wilgotną głębią.

Te połyskujące zwierciadła wydzielały subtelną woń, lekko gorzką i słoną, a znajomy zapach sprawił, że doktor zapalał gwałtowną żądzą.

Opuścił rękę z jej gardła na kibić, przyciągając Susan bliżej.

– Proszę – wyszeptwała, próbując zawrzeć w tym jednym słowie zarówno sprzeciw, jak i trwożne zaproszenie.

Ahriman odetchnął głęboko, a potem dotknął ustami jej twarzy.

Nieomylny węch drapieźcy nie zawiódł go: jej policzki były mokre i słone.

– Cudownie.

Kilkoma szybkimi, delikatnymi pocałunkami zwilżył usta na jej mokrej od łez skórze, a następnie zbadał koniuszkiem języka swoje wilgotne wargi.

Położył obie ręce na jej biodrach, uniósł ją i przyparł do lodówki.

– Proszę – powtórzyła znów, a potem jeszcze raz; biedna dziewczyna, tak rozdarta, iż pożądanie mieszało się w jej głosie ze strachem w równych proporcjach.

– Proszę.

Łzom Susan nie towarzyszyło łkanie ani szloch i doktor delektował się tym cichym płaczem, próbując ugasić pragnienie, którego nigdy nie udało mu się zaspokoić.

Zlizał słoną perłę z kącika jej ust, zlizał następną z wypukłej krawędzi nozdrza, a potem zaczął spijać krople lśniące na jej rzęsach, napawając się ich smakiem, jakby to był jego jedyny posiłek w tym dniu.

Puszczając ją i cofając się o krok, powiedział: – Idź do sypialni, Susan.

Ruszyła jak zwiewny cień, roniąc gorące łzy, czyste i gorzkie.

Doktor szedł za nią, podziwiając jej wdzięczny krok.

Rozdział 31.

Lokaj spał, prychając i sapiąc w towarzystwie widmowych królików, lecz Martie leżała w kamiennej ciszy, jakby była posągiem śmierci na katafalku.

Jej sen wydawał się głębszy, niż można by oczekiwać po tak burzliwych wypadkach i przypominał niezwykłą drzemkę Skeeta w jego pokoju w klinice.

Siedząc na łóżku, boso, w dzinsach i podkoszulku, Dusty raz jeszcze obejrzał czternaście kartek znalezionych w kuchni Skeeta, rozmyślając nad nazwiskiem Yen Lo we wszystkich trzydziestu dziewięciu wersjach.

To nazwisko, wypowiedziane głośno, wprawiło Skeeta w stan częściowego zamroczenia, w którym odpowiadał na każde pytanie własnym pytaniem.

Z otwartymi oczami, poruszającymi się gwałtownie jak w fazie marzeń sennych, odpowiadał wprost – choć często niejasno – tylko na pytania, które zostały sformułowane jako stwierdzenia lub polecenia.

Kiedy w przypiływie irytacji Dusty powiedział: „Nie męcz mnie i idź spać”, Skeet zapadł się w otchłań tak nagle jak narkoleptyk reagujący momentalnie na elektrochemiczny impuls w mózgu.

Spośród wielu dziwacznych aspektów zachowania Skeeta jeden interesował w tym momencie Dusty’ego bardziej niż wszystkie pozostałe: to, że zdawał się on nie pamiętać niczego od chwili, gdy usłyszał nazwisko Yen Lo, do chwili, gdy kilka minut później usłuchał jego niecierpliwego polecenia i zapadł w sen.

Być może wystąpiła tu selektywna amnezja.

Choć wyglądało to raczej tak, jakby Skeet prowadził rozmowę z Dustym w stanie zamroczenia.

Martie wspomniała mu o swoim podejrzeniu, iż „zgubiła czas” w ciągu dnia, chociaż nie potrafiła określić dokładnie, kiedy wystąpiła taka luka bądź luki.

Bojąc się, że odkręciła zawór gazu w kominku bez zapalania ceramicznych polan, nieustannie wracała do salonu powodowana upartym przekonaniem, iż niebawem nastąpi straszliwa eksplozja.

Choć za każdym razem zawór był szczelnie zakręcony, nadal nękało ją poczucie, że jej pamięć jest dziurawa jak stary wełniany szalik nadjedzony przez mole.

Dusty był świadkiem chwilowego zamroczenia swego brata i czuł, że obawa Martie przed popadnięciem w podobny stan jest prawdziwa.

Może nawet istniał tu jakiś związek.

Co za dzień.

Dwie najdroższe jego sercu osoby przeżyły różne, lecz równie dramatyczne epizody.

Prawdopodobieństwo, by tak poważne – choć przejściowe – zaburzenia psychiczne wystąpiły tak blisko siebie, było z pewnością mniejsze niż szansa wygrania na loterii państwowej.

Przypuszczał, że większość ludzi uznałaby to za smutny zbieg okoliczności.

Co najwyżej niektórzy dostrzegliby w tym kolejny przykład dziwacznych wzorów, które maszyna wszechświata wytwarza czasem jako bezużyteczne produkty uboczne swojej bezdusznej działalności.

Dla Dusty’ego jednak, który doszukiwał się prawidłowości we wszystkim, od koloru narcyzów po czystą radość Lokaja w pogoni za piłką, nie istniało coś takiego jak zbieg okoliczności.

Związek był zastanawiający, choć trudny do uchwycenia.

I przerażający.

Odłożył kartki Skeeta na nocną szafkę i sięgnął po swój notatnik.

Na pierwszej stronie wykaligrafował linijki haiku, które jego brat nazwał regułami.

Czyste kaskady na fale padły błękitne igły sosnowe.

Skeet był falami.

Błękitne igły sosnowe, jak twierdził, były zadaniami.

Czyste kaskady były Dustym lub Yenem Lo, a prawdopodobnie każdym, kto wyrecytowałby haiku w obecności Skeeta.

Początkowo wszystko, co powiedział Skeet, wydawało się niedorzeczne, lecz im dłużej Dusty zastanawiał się nad jego słowami, tym wyraźniej wyczuwał strukturę i sens, które czekały na odkrycie.

Z jakiegoś powodu zaczął postrzegać haiku jako swego rodzaju mechanizm, proste urządzenie o potężnym działaniu, werbalny odpowiednik rozpylacza farby pod ciśnieniem lub pistoletu na gwoździe.

Gdyby wręczyć pistolet na gwoździe cieśli z epoki przedindustrialnej, mógłby intuicyjnie wyczuć, że jest to narzędzie, chociaż nie potrafiłby zrozumieć jego przeznaczenia, dopóki przypadkiem nie wstrzeliłby sobie gwoźdź w stopę.

Z obawy, by niechcący nie wyrządzić bratu psychicznej krzywdy, Dusty postanowił, że będzie rozmyślać nad haiku tak długo, aż zrozumie zasadę działania tego narzędzia, i dopiero wtedy zdecyduje, czy dalej wypróbować jego wpływ na Skeeta.

Zadania.

Aby pojąć cel haiku, musiał najpierw zrozumieć, co Skeet nazywał zadaniami.

Był pewien, że dokładnie zapamiętał haiku i dziwaczną interpretację chłopca, ponieważ natura obdarzyła go fotograficzną i audialną pamięcią o tak wielkiej dokładności, iż przeszedł przez szkołę średnią i pierwszy rok studiów z doskonałą średnią cztery zero, zanim zdecydował, że przeżyje życie pełniej jako malarz pokojowy niż jako akademik.

Zadania.

Czyli na przykład praca.

Usługa.

Misja.

Posłannictwo.

Powołanie.

Szkoła.

Kariera.

Kościół.

Lokaj zaskamlał nerwowo ze swojej poduszki w kącie, jakby królikom z jego snu wyrosły nagle kły i teraz on stał się ściganą zwierzyną.

Martie była za bardzo skonana, by zareagować na cichy skowyt psa.

Czasem jednak koszmary Lokaja osiągały taką intensywność, że budził się z przeraźliwym ujadaniem.

– Dobry chłopiec.

Dobry chłopiec – szepnął Dusty.

Nawet we śnie retriever zdawał się słyszeć głos swego pana, bo przestał skamleć.

– Spokój.

Grzeczny chłopiec.

Dobry Lokaj.

Chociaż pies nie obudził się, zamiótł kilka razy puszystym ogonem po baraniej skórze, zanim znów podkulił go pod siebie.

Martie i pies spali dalej spokojnie, lecz Dusty nagle poderwał się ze sterty poduszek, a wszelka myśl o śnie opuściła go w jednej chwili.

Przypomniał sobie inną scenę z psem, wcześniej tego dnia.

Lokaj stoi w kuchni, w drzwiach prowadzących do garażu gotów wyruszyć na przejażdżkę do mieszkania Skeeta, cierpliwie wachlując powietrze puszystym ogonem, kiedy Dusty wkłada ortalionową kurtkę z kapturem.

Dzwoni telefon.

Ktoś proponuje prenumeratę „Los Angeles Times”.

Kiedy po kilku sekundach Dusty odwiesza słuchawkę, odwraca się w stronę drzwi garażu i odkrywa, że Lokaj już nie stoi lecz leży na boku w progu, jakby minęło co najmniej dziesięć minut, a on zdążył uciąć sobie drzemkę.

– Dostałeś sporą dawkę kurzych protein, mój złocisty.

Okaż trochę wigoru.

Lokaj podnosi się na nogi z przeciągłym westchnieniem.

Dusty widział tę scenę oczyma wyobraźni, jakby była trójwymiarowa, i mógł dokładnie przyjrzeć się psu.

Widział ją nawet wyraźniej niż wtedy: z perspektywy wydawało się oczywiste, że Lokaj naprawdę drzemał.

Przy swojej pamięci Dusty nie mógł sobie przypomnieć, czy sprzedawca „Timesa” był mężczyzną, czy kobietą.

Nie pamiętał, co powiedział przez telefon ani co powiedziano jemu, pozostało jedynie mgliste wrażenie, iż stał się obiektem telefonicznej kampanii sprzedaży prenumeraty.

Wówczas przypisał ten nietypowy dla siebie zanik pamięci stresowi.

Skakał z dachu, patrzył, jak jego brat przeżywa załamanie: to mogło zmącić umysł każdemu.

Jeśli jednak spędził przy telefonie pięć lub dziesięć minut, a nie kilka sekund, to chyba nie mógł rozmawiać z nikim z działu sprzedaży „Timesa”.

O czym, do diabła, mieliby dyskutować tak długo?

O cenach papieru gazetowego?

O Gutenbergu – co za łebski facet!

– i wynalezieniu ruchomej czcionki?

O wyjątkowej przydatności „Timesa” w szczenięcych latach Lokaja, o jego niezwyklej chłonności i godnej podziwu skuteczności w charakterze przyjaznego dla środowiska i ulegającego pełnej biodegradacji psiego papieru toaletowego?

W ciągu tych minut, kiedy Lokaj drzemał w drzwiach garażu, Dusty albo rozmawiał przez telefon z kimś innym niż sprzedawca „Timesa”, albo rozmawiał przez telefon tylko kilka sekund, a resztę czasu poświęcił jakiejś innej czynności.

Czynności, której nie mógł sobie przypomnieć.

Zgubiony czas.

Niemożliwe.

Niemożliwe, żebym ja też.

Ruchliwe mrówki, całe zastępy uwijających się w pośpiechu mrówek zaczęły wspinać mu się na nogi, na ręce, biegać po krzyżu, a chociaż wiedział, że w łóżku nie ma żadnych mrówek, że to, co czuje, to tylko reakcja nerwów w jego skórze na ciężki i nagły przypadek gęsiej skórki, otrzepał ramiona i kark,

jakby chciał strząsnąć z siebie armię sześcionożnych żołnierzy.

Nie mogąc usiedzieć spokojnie, poderwał się cicho na nogi, lecz nie mógł również stać, zaczął więc chodzić, ale tu i ówdzie podłoga skrzypiała pod dywanem i nie mógł chodzić cicho, toteż wrócił mimo wszystko do łóżka i usiadł nieruchomo.

Skórę miał zimną, mrówki zniknęły.

Za to pod czaszką kłębiły się różne rzeczy, nad wszystkimi górowało wszakże nowe i nieprzyjemne poczucie zagrożenia, wrażenie jak przy oglądaniu „Archiwum X”, że nieznane siły, obce i wrogie, wkroczyły w jego życie.

Rozdział 32.

Mokra od łez twarz, biała bawełna tak słodko opięta, nagie kolana razem.

Susan siedziała na skraju łóżka, czekając.

Ahriman usiadł naprzeciwko niej w fotelu wyściełanym jedwabiem w kolorze brzoskwińowym.

Nie spieszył się.

Już jako mały chłopiec zrozumiał, że najtańsza zabawka jest w istocie taka sama jak każdy z kosztownych starych samochodów ojca.

Z jej leniwego studiowania – napawania się kształtami i pięknymi szczegółami – można czerpać tyle samo przyjemności, co z jej używania.

Aby naprawdę posiadać zabawkę, stać się jej godnym panem, należało zrozumieć istotę formy, a nie tylko funkcji.

Istota formy Susan Jagger była dwoista: fizyczna, rzecz jasna, i psychologiczna.

Miała wyjątkowo piękną twarz i ciało Ale piękno kryło się również w jej umyśle – w jej osobowości i jej intelekcie.

Jako zabawka też spełniała dwie funkcje.

Po pierwsze, zaspokajała go seksualnie.

Tej nocy i przez kilka następnych Ahriman będzie korzystał z niej brutalnie i do woli.

Po drugie, miała dobrze cierpieć i umrzeć.

Jako zabawka już dostarczyła mu niemałej przyjemności swoją odważną choć beznadziejną walką z agorafobią, swoim cierpieniem i rozpaczą, słodką jak marcepan.

Jej mężna determinacja, by zachować poczucie humoru i odzyskać dawne życie, była patetyczna i dlatego rozkoszna.

Niebawem wzmocni i skomplikuje jej agorafobię, skazując ją na szybki i nieuchronny upadek, a potem będzie się napawał ostatnią – i najsilniejszą – emocją, jakiej mogła mu dostarczyć.

Teraz siedziała zapłakana i wystraszona, wstrząśnięta perspektywą wyimaginowanego kazirodztwa, przepełniona odrazą, a jednocześnie chorą słodką tęsknotą, tak jak ją zaprogramował.

Drżąca.

Od czasu do czasu jej oczy poruszały się gwałtownie, a te nieomyślne odruchy oznaczały najgłębszy stan stłumienia osobowości.

Rozpraszało to doktora i ujmowało jej urody.

Susan знаła już rolę, jaką miała odegrać tej nocy, wiedziała, czego od niej oczekuje w swym erotycznym scenariuszu, toteż postanowił wyprowadzić ją trochę bliżej powierzchni, choć nie tak blisko, by odzyskała pełną świadomość.

Tylko do miejsca, gdzie ustaną gwałtowne odruchy okołożrenicowe.

Susan, chcę, żebyś wyszła teraz z kaplicy – powiedział, mając na myśli to miejsce w jej najgłębszej podświadomości, gdzie zabierał ją po instrukcje.

– Wyjdź stamtąd i idź po schodach, ale nie za daleko, tylko jedną kondygnację, gdzie dociera trochę więcej światła.

Tędy, właśnie tędy.

Jej oczy przypominały teraz czyste stawy zmacone odbiciem szarych chmur na powierzchni, muśnięte nagle kilkoma wątlými promieniami słońca i odsłaniające większą głębię.

– To, co masz na sobie, nadal bardzo mi się podoba – powiedział.

– Biała bawełna.

Prostota.

– Podczas jednej z poprzednich wizyt poinstruował ją, aby ubierała się do łóżka w ten sposób, póki nie zasugeruje czegoś innego; jej wygląd podniecał go.

– Niewinność.

Czystość.

Jak dziecko, choć tak niewiarygodnie dojrzałe.

Rumieńce na jej policzkach zapłonęły jaśniej, spuściła skromnie oczy.

Łzy wstydu załśniły jak krople rosy na płatkach róż.

Siła sugestii była tak potężna, że Susan naprawdę widziała ojca, kiedy ośmielała się spojrzeć na doktora.

Gdy skończą grę tej nocy, poinstruuje ją, aby zapomniała o wszystkim, co działo się od jego telefonu do chwili, kiedy opuścił jej mieszkanie.

Nie będzie pamiętać ani jego wizyty, ani urojonego kazirodztwa.

Gdyby jednak przyszła mu na to ochota, mógłby spreparować dla Susan szczegółową historię seksualnego molestowania przez ojca.

Musiałby poświęcić wiele godzin, by wpleść tę konfabulację w tkaninę jej prawdziwych wspomnień, lecz później mógłby kazać jej uwierzyć, że była molestowana, i stopniowo „odzyskać” te tłumione wspomnienia podczas sesji terapeutycznych.

Gdyby zdecydowała się donieść na ojca policji i gdyby poproszono ją, by poddała się testowi z wykrywaczem kłamstw, odpowiadałaby na każde pytanie z niezachwianym przekonaniem i właściwym zabarwieniem emocjonalnym.

Jej oddech, ciśnienie krwi, puls i reakcja galwaniczna skóry przekonałyby każdego operatora poligrafu, że mówi prawdę, ponieważ ona sama byłaby przekonana, iż jej oszczerstwa są rzeczywiście prawdziwe w najdrobniejszym szczególe.

Ahriman nie zamierzał bawić się nią w ten sposób.

Kiedyś znajdował przyjemność w tego rodzaju grze z innymi obiektami, ale już mu się znudziła.

– Spójrz na mnie, Susan.

Podniosła głowę.

Ich oczy spotkały się, a doktor przypomniał sobie fragment wiersza e.e.cummingsa: „W twoich oczach żyje zielony egipski zgiełk”.

– Następnym razem – powiedział – przyniosę kamerę i nagramy jeszcze jedną kasetę.

Czy pamiętasz pierwszy film, w którym występowałaś?

Susan potrząsnęła głową.

– To dlatego, że zabroniłem ci pamiętać.

Tak się upodobałaś, iż każde wspomnienie tej nocy mogłoby cię popchnąć do samobójstwa.

Na razie nie chcę, żebyś myślała o samobójstwie.

Odwróciła od niego wzrok.

Patrzyła teraz na miniaturowe drzewko ming w doniczce na biedermeierowskim stoliku.

Powiedział: – Kolejna taśma, która cię uwieczni.

Następnym razem.

Trenowałem wyobraźnię.

Następnym razem będziesz bardzo niegrzeczną dziewczynką, Susie.

Przy drugiej taśmie pierwsza będzie wyglądała jak film Disneya.

Przechowywanie kaset z nagraniami najbardziej odrażających manipulacji nie było z jego strony rzeczą mądrą.

Trzymał te kompromitujące materiały dowodowe – ogółem sto dwadzieścia jeden taśm – w zamkniętym i dobrze ukrytym sejfie, lecz gdyby niewłaściwi ludzie dowiedzieli się o ich istnieniu, rozebraliby jego dom deska po desce, kamień po kamieniu, póki nie odnaleźliby jego archiwum.

Podejmował to ryzyko, ponieważ w głębi serca był człowiekiem sentymentalnym, pełnym tęsknoty za dawnymi czasami, starymi przyjaciółmi, wyrzuconymi zabawkami.

Życie jest jak podróż koleją, a na licznych stacjach ważni dla nas ludzie wysiadają, aby już nigdy nie wsiąść ponownie, aż u kresu podróży siedzimy w pasażerskim wagonie, gdzie prawie wszystkie miejsca są puste.

Ta prawda zasmucała doktora nie mniej niż innych ludzi skłonnych do refleksji, chociaż jego smutek z pewnością bardzo się różnił od ich smutku.

– Spójrz na mnie, Susan.

Nadal przyglądała się doniczkowej roślinie na stoliku.

– Nie bądź uparta.

Spójrz na swego ojca natychmiast.

Odwróciła załzawione oczy od drzewka ming i na krótką chwilę w jej wzroku pojawiło się błaganie, aby pozwolono jej zachować odrobinę godności, które doktor Ahriman zauważył, rozpatrzył i odrzucił.

Pewnego wieczoru długo po śmierci Susan nostalgiczny doktor pomyśli o niej z czułością i ulegnie tęsknemu pragnieniu, aby raz jeszcze usłyszeć jej melodyjny głos, ujrzeć jej cudowną twarz, przeżyć na nowo wiele pięknych chwil, które razem spędzili.

W tym tkwiła jego słabość.

Tego wieczoru pozwoli sobie sięgnąć do swojej taśmoteki.

Ożywi się i ucieszy, widząc Susan dopuszczającą się rzeczy tak wstrętnych, tak plugawych, że odmienia ją to niemal całkowicie, tak jak pełnia księżycy odmienia wilkołaka.

W tym bagnie rozpusty jej promienne piękno mętnieje dostatecznie, by doktor zobaczył drzemiące w niej pierwotne zwierzę, przedewolucyjną bestię, upodloną, a mimo to przebiegłą, wystraszoną, a mimo to straszną i mroczną w swoim wnętrzu.

Poza tym, nawet gdyby nie czerpał takiej przyjemności z przeglądania tych amatorskich filmów, zachowałby swoje archiwum, ponieważ miał naturę kolekcjonera.

Kolejne pokoje w swym przestronnym domu przeznaczal na wystawy zabawek, które niestrudzenie gromadził przez lata: armii małych żołnierzy, ręcznie malowanych żelaznych samochodzików, mechanicznych pozytywek, plastikowych zestawów z tysiącami miniaturowych figurek, od rzymskich gladiatorów po astronautów.

– Wstań, dziewczyno.

Podniosła się z łóżka.

– Obróć się.

Obróciła się powoli, aby mógł się jej dobrze przyjrzeć.

– O, tak – powiedział – muszę cię jeszcze uwiecznić dla potomności.

I może trochę krwi następnym razem, jakieś małe samookaleczenie.

A w ogóle tematem przewodnim mogą być płyny ustrojowe.

Dużo brudu, dużo wyuzdania.

To powinno być zabawne.

Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz.

Znów patrzyła na drzewko ming zamiast na niego, lecz było to bierne nieposłuszeństwo, ponieważ spojrzała mu w oczy, gdy tylko wydał jej takie polecenie.

– Jeśli uważasz, że to będzie zabawne, powiedz mi – nalegał.

– Tak, tato.

Zabawne.

Rozkazał jej uklęknąć, więc opadła na kolana.

– Przyczołgaj się do mnie, Susan.

Jakby była nakręcaną figurką w mechanicznej pozytywce, jakby trzymała pieniążek w zębach i podążała wytyczonym szlakiem w kierunku otworu na monety, podpełzła do fotela z twarzą zalaną prawdziwymi łzami, egzemplarz jedyny w swoim rodzaju, nabytek, który wprowadziłby w zachwyt każdego kolekcjonera.

Rozdział 33.

Moment, w którym Dusty Zauważył Śpiącego Psa, został odcięty od wcześniejszego Momentu, Kiedy Telefon w Kuchni Zadzwoił, i niezależnie od tego, ile razy odtwarzał w wyobraźni tę scenę, nie mógł powiązać zerwanych nici rozdartego dnia.

W jednej chwili pies stał, merdając ogonem, w następnej chwili pies budził się z krótkiej drzemki.

Zgubione minuty.

Spędzone na rozmowie z kim?

Robieniu czego?

Raz jeszcze odtwarzał w myślach ten epizod, koncentrując się na czarnej dziurze między podniesieniem słuchawki a jej odłożeniem, starając się wypełnić lukę w pamięci, kiedy śpiąca obok Martie zaczęła jęczeć przez sen.

– Spokojnie.

Już dobrze.

Już wszystko dobrze – szepnął, dotknięciem próbując wydobyć ją łagodnie z koszmaru i przenieść z powrotem w niezmacony sen, tak jak wcześniej zrobił to z Lokajem.

Nie pozwoliła się wydobyć.

Kiedy jęki przeszły w skomlenie, zadrzała, kopiąc bezsilnie krępującą ją pościel, a gdy skomlenie przerodziło się w przesywające krzyki, szarpnęła się, raptownie usiadła, odrzuciła kołdrę i poderwała się na nogi, nie krzycząc już z przerażenia, lecz krztusząc się, dławiąc i przyciskając obie dłonie do ust, jakby we śnie zjadła coś, od czego chwyciły ją mdłości.

Zerwawszy się niemal tak szybko jak Martie, Dusty okrążył łóżko i zobaczył, że obok niej stoi już czujny Lokaj.

Zamachała gwałtownie rękami.

– Nie zbliżaj się do mnie!

W jej głosie zabrzmiał ton tak ostry, że Dusty zatrzymał się mimo woli, a pies zaczął się trząść i sierść zjeżyła mu się na karku.

Wciąż ocierając usta, Martie spojrzała na swoje dłonie, jakby spodziewała się ujrzeć na nich świeżą krew – i zapewne nie własną.

– O Boże, o mój Boże.

Dusty ruszył w jej stronę, lecz znów kazała mu trzymać się z daleka, nie mniej gwałtownie niż przedtem.

– Nie możesz mi ufać, nie możesz się do mnie zbliżać, niech ci się nie zdaje, że możesz.

– To był tylko senny koszmar.

– To jest koszmar.

– Martie...

Mimo ostrzeżeń Dusty podszedł do niej, ale kiedy jej dotknął, cofnęła się raptownie.

– Nie ufaj mi!

Nie ufaj, na miłość boską, nie ufaj.

Zamiast przejść obok niego, wdrapała się jak małpa na rozkopane łóżko, zeskoczyła z drugiej strony i pobiegła do łazienki.

Krótkie, ostre beknięcie wyrwało się psu, poruszając jakąś strunę w Dustym, i przeszył go strach, jakiego nie doświadczył nigdy wcześniej.

Zobaczyć ją w takim stanie po raz drugi było jeszcze straszniej niż za pierwszym razem.

Raz to mogła być aberracja.

Dwa razy to już reguła.

W regułach można dostrzec przyszłość.

Poszedł za Martie i zastał ją nad umywalką.

Zimna woda lała się do porcelanowej miski.

Otwarte z rozmachem drzwi apteczki zamykały się powoli same.

– Tym razem musiał być gorszy niż zwykle – powiedział.

– Co?

– Koszmar.

– To nie ten sam, nie tak przyjemny jak Liściasty Człowiek – odparła, lecz najwyraźniej nie miała zamiaru rozwijać tematu.

Zdjęła przykrywkę z butelki ze skutecznym środkiem nasennym dostępnym bez recepty, którego rzadko używali.

Błękitne kapsułki wysypały się na jej nadstawioną lewą dłoń.

W pierwszej chwili Dusty pomyślał, że chce przedawkować, co by go zdziwiło, ponieważ nawet pełna butelka by jej nie zabiła, a poza tym musiała wiedzieć, iż powstrzymałby ją, zanim zdążyłaby połknąć za dużo.

Potem jednak wsypała większość kapsulek z powrotem do butelki.

Na jej dłoni pozostały trzy.

– Dwie to największa dopuszczalna dawka – powiedział.

– Mam gdzieś dopuszczalną dawkę.

Chcę zasnąć.

Muszę się wyspać, odpocząć, i nie zamierzam przechodzić przez następny taki sen.

Nie taki.

Jej czarne włosy były wilgotne od potu i splątane jak węże na głowie Gorgony, która chyba nawiedziła ją we śnie.

Tabletki miały pokonać potwory.

Nalała wody do szklanki i popiła kapsułki długim łykiem.

Dusty już nie protestował.

Trzy tabletki nie wymagały antidotum ani płukania żołądka, a jeśli rano będzie trochę kołowata, to może będzie też mniej przerażona.

Nie uznał za celowe tłumaczyć jej, że głęboki sen wcale nie musi być tak spokojny, jak oczekiwała.

Nawet jeśli zaśnie w łuskowatych objęciach koszmarów, rano będzie bardziej wypoczęta, niż gdyby nie spała w ogóle.

Kiedy Martie oderwała szklankę od ust, zobaczyła w lustrze swoje odbicie.

Wstrząsnął nią dreszcz, którego nie mogłaby wywołać zimna woda.

Jak mróz zamraza błękit stawu, tak strach zamroził w niej wszystkie kolory.

Twarz biała jak lód.

Wargi purpurowo sine, z suchymi płatkami cynkowszarej skóry, którą złuszczyła, wycierając usta dłońmi.

– O Boże, spójrz tylko na mnie – powiedziała.

– Tylko na mnie spójrz.

Dusty wiedział, iż nie chodzi jej o wilgotne i potargane włosy ani o bladą cerę, lecz o coś nienawistnego, co wyobrażała sobie, że widzi w głębi swych błękitnych oczu.

Zamachnęła się szklanką, wylewając z niej resztę wody, która rozprysnęła się na kafelkach podłogi, lecz Dusty złapał szklankę, zanim zdążyła rzucić ją w lustro, i wyrwał ją z jej zaciśniętych palców.

Kiedy jej dotknął, odskoczyła od niego przerażona i uderzyła o ścianę łazienki z takim impetem, że drzwi prysznicza zadrżały w swojej ramie.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Na miłość boską, czy nie rozumiesz, co mogę zrobić, jakie straszne rzeczy mogę zrobić?

Czując wzbierające ze zdenerwowania mdłości, powiedział: – Martie, nie boję się ciebie.

– Jak daleko jest od pocałunku do ugryzienia?

– spytała ochrypłym i drżącym ze strachu głosem.

– Co?

– Niedaleko, twój język w moich ustach.

– Martie, proszę...

– Od pocałunku do ugryzienia.

Tak łatwo byłoby odgryźć ci wargi.

Skąd wiesz, że nie mogłabym tego zrobić?

Skąd wiesz, że bym tego nie zrobiła?

Jeśli nie dostała jeszcze ataku paniki, to szybko się do niego zbliżała, a Dusty nie wiedział, jak to powstrzymać czy choćby opóźnić.

– Spójrz na moje ręce – zażądała.

– Te paznokcie.

Akrylowe paznokcie.

Myślisz, że nie mogłabym cię nimi oślepić?

Myślisz, że nie mogłabym wyłupić ci oczu?

– Martie.

To nie...

– Jest coś we mnie, czego nigdy wcześniej nie widziałam, coś, co mnie śmiertelnie przeraża i może zrobić straszne rzeczy, naprawdę straszne, może kazać mi cię oślepić.

Dla własnego dobra lepiej też to zobacz i lepiej zacznij się tego bać.

Wezbrane emocje targały Dustym, straszliwe współczucie i żarliwa miłość, krzyżujące się prądy i wiry.

Wyciągnął ręce do Martie, a ona precyzyjnie się obok niego i wybiegła z łazienki.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy podążył za nią do sypialni, zastał ją przy otwartej szafie.

Grzebała wśród koszul, grzechocząc wieszakami na metalowym drążku.

Stelaż na krawaty.

Większość haczyków była pusta.

Dusty miał tylko cztery krawaty.

Wyciągnęła z szafy dwa, jeden czarny i jeden w czerwone i niebieskie paski, i wręczyła je Dusty'emu.

– Zwiąż mnie.

– Co?

Nie.

Dobry Boże, Martie.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Nie.

– Kostki razem, nadgarstki razem – powiedziała nagle.

– Nie.

Lokaj siedział na swoim posłaniu, a w jego oczach malował się niepokój, gdy przenosił wzrok z Martie na Dusty'ego i z powrotem na Martie.

Powiedziała: – Jeśli mi odbije, jeśli dostanę kompletnego świra w nocy...

Dusty starał się być zasadniczy i opanowany, mając nadzieję, że jego przykład ją uspokoi.

– Proszę, przestań.

– ...

kompletnego świra, wtedy będę musiała się uwolnić, zanim kogoś skrzywdzę.

A kiedy będę próbowała się uwolnić, obudzisz się, gdybyś zasnął.

– Nie boję się ciebie.

Jego udawany spokój nie podziałał na nią, a słowa wylewały się z niej coraz bardziej gorączkowym strumieniem: – Dobrze, zgoda, może się nie boisz, chociaż powinieś, może nie, ale ja się boję.

Boję się siebie, Dusty, boję się tego, co, do diabła, mogę zrobić tobie lub komukolwiek innemu, kiedy mi odbije, co mogę zrobić sobie.

Nie wiem, co się tu dzieje ze mną, to jeszcze dziwniejsze niż „Egzorcysta”, chociaż nie lewituję i głowa nie obraca mi się dookoła.

Gdyby w nieodpowiednim momencie wpadł mi w ręce nóż albo twój pistolet, kiedy jestem w tym obłąkanym stanie, wtedy użyłabym go przeciwko sobie, wiem, że tak.

Czuję tutaj to chore pragnienie – uderzyła się pięścią w żołądek – to zło, to obrzydliwe coś, co wije się we mnie, szepcząc mi o nożach, pistoletach i młotkach.

Dusty potrząsnął głową.

Martie usiadła na łóżku i zaczęła wiązać sobie kostki jednym z krawatów, lecz po chwili przestała, zniechęcona.

– Cholera, nie znam się na węzłach tak jak ty.

Musisz mi pomóc.

– Jedna tabletki zazwyczaj wystarcza.

Wzięłaś trzy.

Nie trzeba cię wiązać.

– Nie zamierzam ufać tabletkom, nie samym tabletkom, nie ma mowy.

Albo mi w tym pomożesz, albo zwymiotuję tabletki, włożę sobie palec do gardła i zwymiotuję je, teraz, zaraz.

Nie chciała słuchać głosu rozsądku.

Była nabuzowana strachem jak Skeet prochami i nie bardziej racjonalna niż on na dachu Sorensonów. Siedząc w nieudolnych pętach z krawatów, pocąc się, trzęsąc, zaczęła płakać.

– Proszę, kochany, proszę.

Proszę, pomóż mi.

Muszę zasnąć, jestem taka zmęczona, muszę trochę odpocząć albo oszaleję.

Potrzebuję trochę spokoju, a nie znam spokoju, jeśli mi nie pomożesz.

Pomóż mi.

Proszę.

Łzy poruszyły w nim coś, czego nie zdołała poruszyć furia.

Kiedy podszedł do niej, położyła się na łóżku i ukryła twarz w dłoniach, jakby wstydziła się bezradności, w którą wtrącił ją strach.

Dusty zadrżał, gdy wiązał jej kostki.

– Mocniej – powiedziała przez maskę z dłoni.

Chociaż posłuchał, nie zacisnął węzłów tak mocno, jak by chciała.

Nie mógł znieść myśli, że mógłby sprawić jej ból, nawet niechcący.

Podsunęła mu złączone dłonie.

Dusty skrępował jej nadgarstki czarnym krawatem, mocno, lecz nie tak mocno, by przerwać krążenie krwi.

Kiedy ją wiązał, leżała z zamkniętymi oczami i odwróconą na bok głową, być może dlatego, że przerażała ją obezwładniająca siła własnego strachu, a może dlatego, że czuła się zakłopotana swoim niechlujnym wyglądem.

Być może.

Dusty podejrzewał jednak, iż próbuje ukryć twarz, ponieważ łzy są dla niej oznaką słabości.

Córka Uśmiechniętego Boba Woodhouse'a – który był prawdziwym bohaterem wojennym, jak również bohaterem innego rodzaju w latach powojennych – powinna żyć zgodnie z dziedzictwem honoru i odwagi, które otrzymała w spadku.

Oczywiście, życie młodej mężatki i projektantki gier wideo w spokojnym kalifornijskim mieście na wybrzeżu nie dostarczało wielu okazji do heroizmu.

Z pewnością nie był to powód, by przenosić się do któregoś z ognisk ciągłych niepokojów, takich jak Bałkany lub Ruanda, lub kulisy programu telewizyjnego Jerry'ego Springera.

Ale żyjąc w spokoju i dostatku, mogła czcić pamięć ojca tylko cichym heroizmem dnia codziennego: wykonując dobrze swoją pracę i spłacając światu swój dług, angażując się w swoje małżeństwo w dobrych i złych chwilach, ze wszystkich sił pomagając przyjaciołom, okazując prawdziwe współczucie ludziom okaleczonym przez życie, takim jak Skeet, a jednocześnie zachowując uczciwość, prawdomówność i tyle godności własnej, by nie stać się jednym z nich.

Ten cichy heroizm, nienagradzany orderami i podniosłymi uroczystościami, jest paliwem i smarem, który utrzymuje w ruchu maszynę cywilizacji, a w świecie pełnym pokus, samopobłażania, egocentryzmu i samozadowolenia cisi bohaterowie zdarzają się znacznie rzadziej, niż można by oczekiwać.

Kiedy jednak stoi się w cieniu wielkiego heroizmu, tak jak Martie, wówczas myśli się zapewne, że zwyczajne przyzwoite życie – oddziaływanie na innych własnym przykładem i dobrocią – to za mało, i być może łyzy, nawet w momentach największego wzburzenia, mogą wydawać się zdradą pamięci ojca.

Dusty rozumiał to wszystko, ale nie mógł powiedzieć tego Martie ani teraz, ani nigdy, ponieważ przyznałby w ten sposób, że zna jej największe słabości, a współczując jej, obrabowałby ją z części godności, jak to zawsze bywa w przypadku współczucia.

Ona wiedziała to, co on, i wiedziała, że on to wie, ale miłość staje się głębsza i silniejsza, kiedy dwie osoby wiedzą, co należy powiedzieć, i wiedzą, czego nigdy nie trzeba wyrażać słowami.

Toteż Dusty supłał czarny krawat w całkowitym, uroczystym milczeniu.

Martie, już dobrze związana, odwróciła się na bok i zamknęła oczy, z których nadal płynęły łzy, a wówczas Lokaj podszedł do łóżka, wyciągnął szyję i polizał ją po twarzy.

Szloch, który wstrzymywała, wyrwał się teraz z jej piersi, lecz był to tylko w połowie szloch, gdyż w połowie był to również śmiech.

– Mój kudłaty chłopczyku.

Wiedziałaś, że mama potrzebuje pocałunku, prawda, mój słodki?

– A może to tylko zapach mojej wspaniałej lazanii w twoim oddechu?

– spytał Dusty w nadziei, że ta długo oczekiwana, jasna chwila potrwa trochę dłużej.

– Lazania czy bezinteresowna psia miłość – odparła Martie – wszystko mi jedno.

Wiem, że mój mały chłopiec mnie kocha.

– Twój duży chłopiec też – powiedział Dusty.

Wreszcie odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć.

– Tylko to pozwoliło mi dzisiaj nie oszaleć.

Potrzebuję tego co mamy.

Usiadł na skraju łóżka i ujął jej związane dłonie.

Po chwili jej powieki opadły pod ciężarem zmęczenia i środków nasennych.

Dusty spojrział na zegar stojący na nocnej szafce i przypomniał sobie o zgubionym czasie.

– Doktor Yen Lo.

Nie otwierając oczu, Martie spytała ochryple: – Kto?

– Doktor Yen Lo.

Nigdy o nim nie słyszałaś?

– Nie.

– Czyste kaskady.

– Hę?

– Na fale padły.

Martie otworzyła oczy.

Były rozespane, zasnutte ciemnymi, gęstniejącymi chmurami snu.

– Albo bredzisz, albo mój stan jest zaraźliwy.

– Błękitne igły sosnowe – dokończył, chociaż nie sądził już, że wywoła u niej taką reakcję jak u Skeeta.

– Ładne – mruknęła i znów zamknęła oczy.

Lokaj, zamiast wrócić na swoją poduszkę z baraniej skóry ułożył się na podłodze obok łóżka.

Nie spał.

Od czasu do czasu podnosił głowę, by popatrzeć na swoją śpiącą panią lub zbadać cienie w dalszych kątach pokoju.

Nastawił obwisłe uszy, jakby wsłuchiwał się w słabe, lecz podejrzane dźwięki.

Jego wilgotne, czarne nozdrza rozszerzyły się i zadrżały, gdy próbował zidentyfikować unoszący się w powietrzu zapach, a potem warknął cicho.

Łagodny Lokaj najwyraźniej starał się upodobnić do psa wartowniczego, choć pozostawało zagadką, przed czym konkretnie zamierzał ich strzec.

Obserwując śpiącą Martie, jej szarą jak popiół twarz i usta ciemne jak świeże fioletowe sińce, Dusty nabrał osobliwej pewności, iż największą groźbą, która zawisła nad jego żoną, nie są przewlekłe zaburzenia umysłowe, jak dotychczas sądził.

Instynktownie poczuł, że kroczy za nią śmierć, nie szaleństwo, i że znalazła się już jedną nogą w grobie.

Owładnęło nim niesamowite uczucie, że narzędzie jej śmierci znajduje się w tej sypialni, właśnie w tej chwili.

Zdjęty nagłym lękiem podniósł się powoli z krawędzi łóżka i spojrzał trwożnie w górę, na wprost spodziewając się ujrzeć unoszącą się pod sufitem zjawę: powiewającą połę czarnej szaty, zakapturzoną postać, wyszczerzoną twarz kościotrupa.

Choć nad nim znajdował się tylko gładki sufit, Lokaj wydał z siebie kolejne głucho, przeciągłe warknięcie.

Podniósł się na nogi i stanął obok łóżka.

Dusty przeniósł spojrzenie z sufitu na psa.

Nozdrza Lokaja zadrżały, jakby zwietrzył trop, a złote kudły na karku podniosły się, zjeżyły.

Czarne wargi odjechały do tyłu, odsłaniając groźne zęby.

Retriever zdawał się widzieć nadludzka obecność, którą Dusty jedynie wyczuwał.

Czujny wzrok psa był wbity w Dusty'ego.

– Lokaj?

Nawet mimo grubej, zimowej sierści Dusty widział naprężone mięśnie jego karku i łap.

Lokaj przyjął agresywną postawę, całkowicie obcą jego naturze.

– O co chodzi, stary?

To tylko ja.

Tylko ja.

Głuchy pomruk ucichł.

Pies umilkł, ale pozostał napięty, czujny.

Dusty zrobił krok w jego stronę.

Kolejne warknięcie.

– To tylko ja – powtórzył Dusty.

Pies nie wydawał się przekonany.

Rozdział 34.

– Kiedy doktor wreszcie z nią skończył, Susan Jagger leżała na plecach ze złączonymi ciasno udami, jakby chciała zaprzeczyć, jak szeroko je wcześniej rozkładała.

Ręce skrzyżowała skromnie na piersiach.

Nadal płakała, ale już nie tak cicho jak przedtem.

Dla własnej przyjemności Ahriman pozwolił jej wyrazić cierpienie i wstyd.

Zapinając guziki koszuli, przymknął oczy, by lepiej słyszeć skargi zranionego ptaka.

Jej cichy szloch: samotne gołębie na krokwiach dachu, rozpacz sponiewieranych wiatrem mew.

W łóżku posłużył się terapią hipnotyczno-regresyjną, by cofnąć ją do wieku dwunastu lat, do czasów, gdy była nietkniętą, niewinną różyczką bez cierni.

Jej głos przybrał delikatny, nieco piskliwy ton, a sposób wysławiania się stał się taki jak u dojrzewającego dziecka.

Linia jej brwi wygładziła się, usta złagodniały, jakby czas naprawdę się cofnął.

Jej oczy nie nabrały jaśniejszej zielonej barwy, lecz zrobiły się czystsze, jakby odfiltrowano z nich szesnaście lat ciężkich doświadczeń.

Potem, ukryty pod maską jej ojca, pozbawił ją dziewictwa!

Z początku opierała się słabo, potem bardziej aktywnie, wystraszona i zmieszana swą odkrytą na nowo seksualną niewinnością.

Niebawem rozpaczliwy opór osłodziło drżące pragnienie.

Pod wpływem sugestii doktora owładnęła nią niecierpliwa zwierzęca żądza; zakołysała biodrami i objęła go.

Później Ahriman kształtował jej stan psychiczny wypowiedzanymi półgłosem sugestiami i zawsze, zawsze jej namiętne dziewczęce krzyki rozkoszy tłumił strach, wstyd i smutek.

Dla niego jej łyzy były lepszym płynem lubrykacyjnym niż erotyczne soki, które wydzielalo jej ciało, by ułatwić mu penetrację.

Nawet w ekstazie – łyzy.

Teraz, kończąc się ubierać, Ahriman studiował jej nieskazitelną twarz.

Blask księżycy w wodzie, stawy oczu nabrzmiałe wiosennym deszczem, ciemne ryby umysłu.

Niedobrze.

Nie potrafił ułożyć haiku, by opisać jej smutne piękno, kiedy patrzyła w sufit.

Jego talent do pisania wierszy nie był nawet po części tak wielki jak jego zdolność do ich podziwiania.

Doktor nie miał złudzeń co do swoich zdolności.

Choć wedle wszelkich kryteriów mógł uchodzić za geniusza, był tylko graczem, a nie twórcą.

Przejawiał talent do używania zabawek w nowy i pomysłowy sposób, ale nie był artystą.

Podobnie, choć od dziecka interesował się nauką, nie miał odpowiednich predyspozycji, by zostać naukowcem: cierpliwości, umiejętności godzenia się z ustawicznymi porażkami w dążeniu do ostatecznego zwycięstwa i oddawania pierwszeństwa wiedzy przed sensacją.

Szacunek, jakim darzono większość naukowców, był nagrodą, której młody Ahriman pożądał, autorytet zaś i spokojne poczucie wyższości, jakie często sami przejawiali – arcykapłani kultury nastawionej na zmianę i postęp – były postawą, która przychodziła mu bez trudu.

Smętna atmosfera laboratoriów nie przemawiała do niego jednak, podobnie jak nuda poważnych

badania.

Kiedy miał trzynaście lat – cudowne dziecko na pierwszym roku studiów – uświadomił sobie, że psychologia zapewni idealną karierę.

Tych, którzy rościli sobie pretensje do rozumienia tajemnic umysłu, traktowano z szacunkiem graniczącym ze czcią, podobnie jak księży w ubiegłych stuleciach, kiedy wiara w duszę była tak rozpowszechniona jak dzisiaj wiara w ego.

Kiedy pojawił się psycholog i wystąpił z roszczeniami do miana autorytetu, laicy natychmiast mu je przyznali.

Większość ludzi uważała psychologię za naukę.

Niekiedy nazywano ją nauką subiektywną, lecz tych, którzy czynili takie rozróżnienie, było z każdym rokiem mniej.

W naukach ścisłych – takich jak fizyka czy chemia – stawiano hipotezy, by prowadzić badania nad grupą zjawisk.

Następnie, kiedy materiał badawczy zgromadzony przez wielu niezależnych naukowców potwierdził założenia zawarte w hipotezie, mogła ona awansować do rangi teorii ogólnej.

Z czasem, jeśli teoria okazała się skuteczna w tysiącach eksperymentów, mogła stać się prawem.

Niektórzy psychologowie próbowali utrzymać w swojej dziedzinie takie kryteria naukowego obiektywizmu.

Ahriman litował się nad nimi.

Ulegali złudzeniu, że ich autorytet i powaga są związane z odkrywaniem ponadczasowych prawd, choć w rzeczywistości prawda jest irytującym ograniczeniem narzuconym autorytetowi i powadze.

Z punktu widzenia Ahrimana psychologia była dziedziną pociągającą, ponieważ wystarczyło zestawić serię subiektywnych obserwacji, znaleźć odpowiedni pryzmat, przez który będą wyglądać jak statystyczna prawidłowość, a następnie przeskoczyć ponad hipotezę i teorią, ogłaszając odkrycie prawa rządzącego ludzkim zachowaniem.

Nauka była nudą, pracą.

Dla młodego Ahrimana psychologia była czystą zabawą, a ludzie zabawkami.

Zawsze udawał, że podziela oburzenie swoich kolegów, kiedy deprecjonowano ich pracę jako naukę subiektywną, lecz sam uważał ją za naukę płynną, a nawet lotną, i właśnie tą jej cechą zachwycał się najbardziej.

Autorytet naukowca, który musi zmagać się z nieubłaganymi faktami, jest ograniczony przez te fakty, ale psychologia mogła skorzystać z władzy zabobonu, który kształtuje świat w większym stopniu niż elektryczność, antybiotyki i bomby wodorowe.

Wstąpiwszy na uczelnię jako trzynastolatek, do siedemnastych urodzin uzyskał doktorat z psychologii.

Ponieważ psychiatra jest bardziej podziwiany i cieszy się większym szacunkiem niż psycholog, i ponieważ większa powaga tytułu mogła ułatwić mu gry, w które pragnął się bawić, Ahriman dodał do swego dorobku stopień medyczny i inne niezbędne listy uwierzytelniające.

Ponieważ medycyna ma tak wiele wspólnego z prawdziwą nauką, obawiał się, że studia będą nudne, a tymczasem przeciwnie, okazały się bardzo zabawne.

Bądź co bądź, na zajęciach często oglądało się krew i wnętrzności, miał więc niezliczone okazje, by obserwować cierpienie i ból, a tam, gdzie rozkwita cierpienie i ból, zawsze jest pod dostatkiem łez.

Jako mały chłopiec zachwycał się łzami, jak inne dzieci tęczę, rozgwieżdżonym niebem czy

światlikami.

Po wejściu w wiek dojrzały stwierdził, że sam widok łez rozpala jego libido bardziej niż twarda pornografia.

Sam nigdy nie płakał.

Już w pełni ubrany, doktor stanął w nogach łóżka Susan i obserwował jej zalaną łzami twarz.

Oczy jak smutne kałuże.

duch pływał w nich, prawie tonął.

Celem tej gry było jego utonięcie.

Nie tej nocy, ale wkrótce.

– Powiedz mi, ile masz lat – zażądał.

– Dwanaście – odparła głosem małej dziewczynki.

– Teraz będziesz dorastać, Susan.

Masz trzynaście...

czternaście...

piętnaście...

szesnaście.

Powiedz, ile masz lat.

– Szesnaście.

– Teraz masz siedemnaście...

osiemnaście...

Krok po kroku sprowadził ją do teraźniejszości, do godziny i minuty, którą wskazywał zegar przy łóżku, a potem kazał jej się ubrać.

Jej rzeczy leżały rozrzucone na podłodze.

Podniosła je powolnymi, odmierzonymi ruchami osoby znajdującej się w transie.

Siedząc na skraju łóżka i wciągając białe bawełniane majtki na swoje smukłe nogi, Susan pochyliła się raptownie do przodu, jakby otrzymała cios w splot słoneczny.

Powietrze uszło z niej z przeraźliwym jękiem.

Zaczerpnęła oddechu, wzdrygnęła się i nagle splunęła z obrzydzeniem i przerażeniem.

Znowu splunęła, jakby rozpaczliwie pragnęła pozbyć się z ust nieznośnego smaku.

Plucie przeszło w kaszel, a pomiędzy tymi dwoma wstrętnymi dźwiękami brzmiały dwa słowa, które wyrzucała z siebie z najwyższym trudem: – Tato, dlaczego?

tato, dlaczego?

– bo chociaż nie uważała już, że ma dwanaście lat, nadal była przekonana, iż ukochany ojciec brutalnie ją zgwałcił.

Dla doktora ten ostatni nieoczekiwany spazm bólu i wstyd był premią, deserem, czekoladową truflą po koniaku.

Stanął przed nią, wdychając głęboko słaby, lecz wyraźny słony zapach unoszący się nad kaskadami jej łez.

Kiedy ojcowskim gestem położył rękę na głowie Susan, cofnęła się przed jego dotykiem, a jęk przerodził się w cichy lament bez słów.

To stłumione łkanie przypomniało mu odległe wycie kojotów w gorącą noc na pustyni, dawno temu, zanim jeszcze Minette Luckland nabiła się na włócznie Diany w Scottsdale w Arizonie.

Tuż za gwarnym Santa Fe w Nowym Meksyku leży końskie ranczo, piękny dom z suszonej na słońcu

cegły, stajnie, ujeżdżalnie, ogrodzone łąki porośnięte soczystą trawą, a wszystko to otoczone dębowym lasem, w którym króliki gnieźdzą się tysiącami, a nocą polują stada kojotów.

Pewnego letniego wieczoru dwie dekady wcześniej, nim ktokolwiek zaczął wygłądać nadejścia nowego tysiąclecia, uroczą żonę tamtejszego ranczera, Fiona Pastore, odbiera telefon i słucha trzech linijek haiku, poematu Busona.

Zna doktora na gruncie towarzyskim, a także stąd, że jej dziesięcioletni syn Dion, który okropnie się jąka, jest jego pacjentem.

Fiona wielokrotnie uprawiała seks z doktorem, często tak wynaturzony, że cierpiała później na ataki depresji, chociaż wszelkie wspomnienia o ich miłosnych schadzках zostały usunięte z jej umysłu.

Nie ma powodu, by obawiać się doktora, ale on już się nią znudził i jest gotów otworzyć ostatnią fazę ich znajomości.

Zdalnie zaprogramowana przez haiku Fiona odbiera fatalne instrukcje bez protestu, udaje się prosto do gabinetu męża, gdzie pisze krótki list samobójczy, oskarżając Bogu ducha winnego małżonka o liczne wymyślane okrucieństwa.

Skończywszy list, otwiera szafkę z bronią w tym samym pokoju i wyciąga sześciopalcowy colta, potężną broń jak na kobietę, która ma tylko sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i waży niespełna pięćdziesiąt kilogramów, lecz ona potrafi sobie z nim poradzić.

Jest dziewczyną urodzoną i wychowaną na Południowym Zachodzie, strzelała na polowaniach i do celu przez pół życia.

Ładuje pistolet dwustugramowymi nabojami i idzie do sypialni syna.

Okno Diona jest otwarte i zasłonięte siatką przeciwko owadom, kiedy więc Fiona zapala światło, doktor ma doskonały widok.

Zwykle nie uczestniczy w ostatniej fazie swojej gry, ponieważ nie chce ryzykować – choć ma przyjaciół wystarczająco wysoko postawionych, by oczyścili go z wszelkich podejrzeń.

Tym razem jednak warunki są idealne i nie może oprzeć się pokusie.

Ranczo, chociaż nie samotne, leży na uboczu.

Zarządca i jego żona, pracownicy państwa Pastore, są na wakacjach u rodziny w Pecos w Teksasie, gdzie odbywa się doroczny festyn, a pozostali trzej robotnicy nie mieszkają na ranczu.

Doktor rozmawiał z Fioną przez telefon w samochodzie, zaledwie kilkaset metrów od domu, a później udał się pieszo pod okno Diona gdzie zjawił się minutę wcześniej, niż kobieta weszła do sypialni i zapaliła światło.

Śpiący chłopiec nie budzi się, co rozczarowuje doktora, który chce przemówić przez siatkę, jak ksiądz zadający pokutę w konfesjonale, i poinstruować Fionę, aby obudziła syna.

Waha się jednak.

– Ona zabija śpiące dziecko dwiema kulami.

Nadbiega mąż, Bernardo, krzycząc coś wystraszonym głosem, a jego żona oddaje kolejne dwa strzały.

Jest szczupły i opalony, jeden z tych ogorzałych na słońcu i zahartowanych w upale mieszkańców Zachodu, którzy wydają się niezniszczalni, kule jednak, zamiast odbić się od jego skóry, uderzają go ze straszliwą siłą.

Zatacza się, wpada na wysoką komodę i czepia się jej rozpaczliwie, z roztrzaskaną przez pocisk szczęką.

Wyraz czarnych jak smoła oczu Bernarda świadczy, że zaskoczenie poraziło go mocniej niż strzały

z czterdziestkiątki.

Doznaje jeszcze większego wstrząsu, kiedy przez siatkę w oknie zauważa doktora.

Jego zdumione, czarne oczy zasnuwa mrok nieskończonej pustki.

Z roztrzaskanej szczęki wypada ząb lub odłamek kości, a Bernardo zgina się w pół i osuwa na podłogę.

Ahriman odkrywa, że spektakl jest bardziej zajmujący, niż się spodziewał, a jeśli kiedykolwiek wątpił w słusność swojego wyboru drogi życiowej, nigdy więcej tego nie robi.

Ponieważ nie każdy głód da się łatwo zaspokoić, chciałby wzmocnić te doznania, spotęgować emocje, przynajmniej częściowo wyprowadzając Fionę ze stanu więcej niż transu i nie całkiem fugi na wyższy poziom świadomości.

W tej chwili nie zdaje sobie sprawy, co zrobiła, i dlatego nie okazuje żadnej widocznej reakcji na rzeź.

Gdyby można było uwolnić ją spod kontroli tylko w takim stopniu, by zrozumiała, poczuła – wówczas jej cierpienie wywołałoby istną burzę łez, falę, która uniosłaby doktora do miejsc, gdzie nigdy jeszcze nie był.

Ahriman waha się i ma ku temu powody.

Gdyby kobieta uświadomiła sobie ogrom swojej zbrodni, mogłaby stać się nieprzewidywalna, mogłaby zrzucić kajdany i nie pozwolić spętać się ponownie.

Doktor jest pewien, że w najgorszym razie zdołałby odzyskać nad nią kontrolę w ciągu minuty, używając komend głosowych, lecz ona potrzebowała tylko kilku sekund, by odwrócić się do otwartego okna i strzelić.

W każdej grze czy dyscyplinie sportu zdarzają się obrażenia: otarte kolana, podrapane kostki, kontuzje, czasem drobne skaleczenia, nawet wybite zęby.

W wypadku jednak doktora sama możliwość zarobienia kuli w twarz wystarczy, by ten drobny psikus przestał go cieszyć.

Nie odzywa się zatem, pozwalając kobiecie dokończyć wielkie przedstawienie kukielkowe w stanie głębokiego zamroczenia.

Stojąc nad martwą rodziną, Fiona Pastore spokojnie wkłada soDje lufę colta do ust i, niestety bez żadnych łez, się zabija.

Upada cicho, ale twardy dźwięk stali odzywa się zimnym echem: broń w jej ręku, zaczepiona o zaciśnięty na spuście palec, uderza o sosnową ramę łóżka.

Kiedy zabawka jest zepsuta i nie sprawia już radości, doktor stoi przez chwilę przy oknie, studiując po raz ostatni istotę jej formy.

Nie może cieszyć się nią tak jak kiedyś, skoro zniknął cały tył głowy, ale ziejąca jama rany wylotowej jest zwrócona w inną stronę, a zniekształcenia twarzy są zdumiewająco niewielkie.

Nieziemski krzyk kojotów przeszywał powietrze od dnia, kiedy doktor przybył na rancho po raz pierwszy, ale aż do tej pory polowały w lasach kilka kilometrów dalej na wschód.

Zmiana tonu, nowe podniecenie w ich głosach ostrzega doktora, że są coraz bliżej.

Jeśli w pustynnym powietrzu zapach krwi rozchodzi się tak dobrze i szybko, te priowe wilki mogą niebawem zgromadzić się pod zasłoniętym oknem, by wyć do umarłych.

W indiańskich legendach najbardziej podstępne stworzenie jest zawsze nazywane Kojotem, a doktor nie widzi nic zabawnego w spotkaniu z całym ich stadem.

Odchodzi szybko, ale nie biegnie, w stronę jaguara, którego zaparkował kilkaset metrów dalej na

zachód.

Na nocny bukiet składają się krzemowe wyziewy piasku, piżmowa woń moskitów i ledwie wyczuwalny żelazisty zapach, którego źródła nie potrafi zidentyfikować.

Kiedy dociera do samochodu, kojoty milkną, zwietrzywszy nowy trop, który sprawia, że stają się ostrożne; bez wątplenia przyczyną ich ostrożności jest sam Ahriman.

W nagłej ciszy dźwięk nad głową każe mu spojrzeć w górę.

Rzadkie białe nietoperze krążą po niebie, oświetlone blaskiem księżyca.

Wysoko osadzone białe skrzydła, delikatne brzęczenie przelatujących owadów: zabijanie odbywa się w ciszy.

Doktor przygląda się im jak urzeczony.

Świat to jedno wielkie boisko, sport to zabijanie, a jedynym celem jest utrzymać się w grze.

Unosząc blask księżyca na białych skrzydłach, niezwykle nietoperze odlatują, znikają w ciemnościach nocy, a kiedy Ahriman otwiera drzwi samochodu, kojoty znowu zaczynają wyć.

Są wystarczająco blisko, by mógł dołączyć do ich chóru, gdyby chciał wypróbować swój głos.

Gdy Ahriman zatrzaskuje drzwi i włącza silnik, sześć kojotów, osiem, dziesięć – wyłania się z zarośli i staje na żwirowej drodze przed samochodem; ich oczy płoną odbiciem przednich świateł.

Ahriman rusza, pojedyncze kamienie chrzęszczą pod kołami, a stado dzieli się i zaczyna biec po obu stronach wąskiej drogi, jakby było forpocztą gwardii pretoriańskiej eskortującej jaguara.

Sto metrów dalej, kiedy samochód skręca na zachód, gdzie w oddali wznosi się wysokie miasto, zawracają w stronę rancza, ani na chwilę nie przerywając gry, tak jak doktor.

Tak jak doktor.

Chociaż ciche, śpiewne krzyki bólu i wstydu Susan Jagger pokrzepiły go, a wspomnienia o rodzinie Pastore, które ożywił jej udręczony głos, odświeżyły, doktor Ahriman nie był już młodym człowiekiem, tak jak w czasach Nowego Meksyku, i potrzebował przynajmniej kilku godzin mocnego snu.

Następny dzień będzie wymagał wigoru i szczególnie jasnego umysłu, ponieważ Martine i Dustin Rhodes awansują z pionków na figury w jego skomplikowanej grze.

Dlatego rozkazał Susan zapanować nad emocjami i ubrać się.

Kiedy znów miała na sobie majtki i podkoszulek, powiedział: – Wstań.

Wstała.

– Jesteś objawieniem, córko.

Żałuję, że nie uwieczniłem cię na wideo dzisiaj zamiast następnym razem.

Te słodkie łyzy.

„Dlaczego, tato?”

Dlaczego”?”

To było szczególnie wzruszające.

Nigdy tego nie zapomnę.

Obdarzyłaś mnie kolejną chwilą na miarę białych nietoperzy.

Nie patrzyła na niego.

Podążył za jej wzrokiem do drzewka ming w brązowej wazie na biedermeierowskim stoliku.

– Ogrodnictwo – powiedział z aprobatą – to wskazane zajęcie przy agorafobii.

Rośliny ozdobne pozwalają ci zachować łączność ze światem przyrody poza tymi murami.

Ale kiedy mówię do ciebie, oczekuję, że twoja uwaga będzie skupiona na mnie.

Spojrzała na niego.

Już nie płakała.

Ostatnie łzy wysychały na jej twarzy.

Coś dziwnego w jej zachowaniu, subtelnego i trudnego do zdefiniowania, nie dawało spokoju doktorowi.

Jej spojrzenie.

Sposób, w jaki zaciskała wargi i ściągała kąciki ust.

Wyczuwał w tym napięcie niezwiązane z upokorzeniem i wstydem.

– Roztocza – powiedział.

Wydawało mu się, że dostrzegł błysk niepokoju w jej oczach.

– Roztocza to przekleństwo dla drzewka ming.

Bez wątplenia, jej twarz oplatała pajęczyna niepokoju, ale na pewno nie o rośliny doniczkowe.

Wyczuwając kłopoty, doktor Ahriman zdobył się na wysiłek, by rozproszyć mgiełkę zasnuwającą jego umysł po stosunku i skoncentrować się na Susan.

– Co cię martwi?

– Co mnie martwi?

– spytała.

Przeformułował pytanie, by zabrzmiało jak rozkaz: – Powiedz mi, co cię martwi.

Kiedy się zawahała, powtórzył pytanie, a ona odparła: – Wideo.

Rozdział 35.

Sierść Lokaja wygładziła się.

Przestał warczeć.

Znów stał się przyjaznym, merdającym ogonem wiernym psem, zaczął domagać się pieśczoł, a potem wrócił na swoje posłanie, gdzie zasnął tak mocno, jakby nigdy nic go nie zaniepokoiło.

Związana na własne żądanie i ujarzmiona jeszcze skuteczniej trzema tabletkami nasennymi Martie leżała zatrważająco spokojnie i cicho.

Dusty kilka razy podnosił głowę z poduszki i nachylał się nad nią, przepełniony obawą, póki nie usłyszał jej słabego oddechu.

Chociaż miał zamiar czuwać przez całą noc i dlatego zostawił nocną lampkę zapaloną, w końcu zasnął.

Nawiedził go sen, mieszając strach i absurd w dziwaczną historię, która była niepokojąca, choć bezsensowna.

Leży w łóżku, na pościeli, kompletnie ubrany; nie ma tylko butów.

Lokaja nie ma.

W drugim końcu pokoju Martie siedzi w pozycji lotosu na poduszce psa obciągniętej baranią skórą, całkowicie nieruchoma, z zamkniętymi oczami i palcami splecionymi na podolku, jakby zatopiona w medytacji.

On i Martie są sami w pokoju, a mimo to on rozmawia z kimś innym.

Czuje, jak jego usta i język poruszają się, a chociaż słyszy własny głos – głęboki, głuchy, niewyraźny – odbijający się echem we wnętrzu czaszki, nie potrafi wyłowić ani jednego słowa z tego, co mówi.

Przerwy w jego wypowiedziach wskazują, że prowadzi rozmowę, a nie monolog, lecz nie słyszy żadnego innego głosu, mamrotania, choćby szeptu.

Za oknem noc rozświetla błyskawica, ale nie towarzyszy grzmot, a deszcz nie bębni o dach.

Jedyny dźwięk rozlega się, gdy za szybą przelatuje wielki ptak, tak blisko, że zaczepia jednym skrzydłem o szkło, i wydaje skrzekliwy głos.

Chociaż pojawia się w mgnieniu oka, Dusty wie, że jest to czapla, a krzyk, który podnosi, zdaje się zataczać kręgi w ciemnościach, cichnie, a potem narasta, znów cichnie, a potem znowu się zbliża.

Dusty uświadamia sobie, że w jego lewym ramieniu tkwi strzykawka.

Plastikowa rurka wije się splotami od igły do przezroczystego plastikowego worka, który jest napełniony glukozą i zwisa z podłogowej lampy, służącej jako zaimprovizowany stojak kroplówki!

Znów błyska i wielka czapla przelatuje za oknem w pulsującej poświacie, jej krzyk szybuje w ciemnościach w ślad za błyskawicą.

Prawy rękaw koszuli Dusty'ego jest podwinięty wyżej niż lewy, ponieważ mierzą mu ciśnienie krwi; opaska zaciskowa sfigmografu owija jego ramię.

Czarny gumowy wąż wychodzi z opaski do gruszkowatej pompki, która unosi się w powietrzu jak w stanie nieważkości, Co dziwne, pompka spręża się rytmicznie i rozpręża, jakby w uścisku niewidocznej ręki, a opaska zaciska się na jego ramieniu.

Jeśli w pokoju znajduje się ktoś trzeci, musiał opanować sztukę niewidzialności.

Kolejna błyskawica powstaje i spływa na podłogę w sypialni, a nie w ciemnościach za oknem.

Wielonoga, zwinna, zwalnia z prędkości światła do prędkości kota, piorun zstępuje z sykiem z sufitu, tak jak zwykle zstępuje z nieba, skacze na metalową ramę obrazu, stamtąd na telewizor, a wreszcie na

podłogową lampę, która służy jako kroplówka, plując iskrami, gdy jej świetliste zęby zgrzytają o mosiądz.

W ślad za skaczącą błyskawicą pojawia się wielka czapla, przeniknąwszy do sypialni przez zamknięte okno lub ścianę, jej dziób rozwiera się szeroko, kiedy krzyczy.

Jest wielka, długa przynajmniej na metr, i wygląda jak prehistoryczny pterodaktyl.

Cienie jej skrzydeł omiatają ściany, trzepoczące pierzaste kształty w pulsującym świetle.

Podążając za swoim cieniem, ptak rzuca się w stronę Dusty'ego, który wie, że za chwilę stanie mu na piersiach i wydziobie oko.

Ma wrażenie, że jego ręce są przywiązane do łóżka, chociaż prawą krępuje tylko opaska zaciskowa, a lewą obciąża jedynie sztywna podpórka, która ma powstrzymać go przed zginaniem łokcia, kiedy igła tkwi w żyłę.

Mimo to leży nieruchomy, bezbronny, gdy ptak zbliża się do niego z wrzaskiem.

Kiedy błyskawica przeskakuje z telewizora na lampę, plastikowy worek z glukozą jarzy się jak szklany klosz latarni gazowej, a gorący deszcz mosiężnych iskier – od których pościel powinna się zapalić, lecz się nie zapala – sypie się na Dusty'ego.

Cień nadlatującej czapli rozpada się na tyle czarnych kawałków, ile jest iskier, a kiedy chmury jasnych i ciemnych punkcików zlewają się razem, zdezorientowany i przerażony Dusty zamyka oczy.

Ktoś, może niewidzialny gość, zapewnia go, że nie ma się czego bać, lecz kiedy otwiera oczy, widzi nad sobą straszną rzecz.

Ptak skurczył się niemożliwie, ścisnął, skręcił i zwinął, więc teraz mieści się w baniastym worku z glukozą.

Mimo to nadal jest rozpoznawalny – choć przypomina ptaka namalowanego przez jakiegoś niewydarzonego Picassa z upodobaniem do makabry.

Co gorsza, jakimś cudem nadal żyje i krzyczy, chociaż jego wrzaski tłumią przezroczyste ściany plastikowego więzienia.

Próbuje wydostać się z worka, próbuje uwolnić się dziobem i pazurami, nie może, i łypie jednym smutnym, czarnym okiem, patrząc na Dusty'ego z demoniczną intensywnością.

Dusty też czuje się uwięziony, kiedy leży bezradny pod wiszącym ptakiem: on w słabości ukrzyżowanego, ptak w mrocznej energii ozdoby przystrajającej satanistyczną parodię świątecznej choinki.

Nagle czapla przemienia się w krwawą, brunatną breję, a przejrzysty płyn w rurce kroplówki zaczyna się kłębić, gdy materia ptaka sączy się z worka w dół.

Widząc, jak to brudne plugastwo zanieczyszcza rurkę centymetr po centymetrze, Dusty krzyczy, lecz nie wydaje żadnego dźwięku.

Sparaliżowany, wciągając wielkie hausty powietrza, ale tak cicho, jakby próbował oddychać w próżni, chce unieść prawą rękę i wyrwać kroplówkę, chce podnieść się z łóżka, nie może, i przewraca oczami, napinając się, by zobaczyć ostatni centymetr rurki, kiedy trucizna dociera do igły.

Straszliwy rozbłysk wewnętrznego żaru, jakby piorun wlewał się w jego żyły i tętnice, a potem krzyk, kiedy ptak przenika do jego krwi.

Czuje, jak płynie żyłą odłokciową, przez mięśnie do klatki piersiowej, i niemal natychmiast wzbiera mu w sercu nieznośne trzepotanie, ruchliwa krzątanka czegoś moszczącego sobie gniazdo.

Siedząca wciąż w pozycji lotosu na poduszce Lokaja Martie otwiera oczy.

Nie są już niebieskie, jak kiedyś, lecz czarne jak jej włosy.

W ogóle nie widać białek: każdy z oczodołów wypełnia jednolita, gładka, mokra, wypukła czerń.

Ptasie oczy są zwykle okrągłe, a te mają kształt migdałów, jak oczy istot ludzkich, lecz są to oczy czapli.

– Witaj – mówi.

Dusty obudził się raptownie, tak trzeźwy w momencie, gdy otworzył oczy, że nie krzyknął ani nie usiadł na łóżku, by upewnić się, czy naprawdę już nie śpi.

Leżał bardzo spokojnie, na plecach, patrząc w sufit.

Nocna lampka była zapalona, tak jak ją zostawił.

Lampa podłogowa stała przy fotelu do czytania, tam gdzie powinna; nie użyto jej jako stojaka do kroplówki.

Jego serce nie trzepotało.

Biło.

O ile mógł stwierdzić, wciąż należało tylko do niego, nie mieszkało w nim nic oprócz jego nadziei, obaw, uczuć i uprzedzeń.

Lokaj chrapał cicho.

Obok Dusty'ego Martie spała głębokim snem cnotliwej niewiasty – chociaż cnotę wspierała w tym wypadku potrójna dawka antyhistaminy.

Dopóki sen pozostawał wyrazisty, Dusty obchodził go w myślach dookoła, przyglądając mu się z różnych stron.

Przypomniał sobie widziany dawno temu rysunek dziewiczego lasu, który przekształcał się w obraz gotyckiego miasta, kiedy patrzyło się na niego z odpowiedniej perspektywy, i spróbował zastosować tę samą metodę.

Zazwyczaj nie analizował swoich snów.

Freud był jednak przekonany, że można wyłowić ze snów rybie przejawy podświadomości, zapewniające ucztę psychoanalitikowi.

Doktor Derek Lampton, ojczym Dusty'ego, ostatni z czterech mężów Claudette, również zarzucał wędki do tego samego morza i regularnie wyciągał dziwaczne, galaretowate hipotezy, którymi karmił na siłę swoich pacjentów, nie zważając na to, że mogą być trujące.

Ponieważ Freud i Jaszczur Lampton wierzyli w sny, Dusty nigdy nie traktował ich poważnie.

Teraz też nie chciał przyznać, że ten jeden mógłby mieć jakieś znaczenie, ale wyczuwał w nim ziarno prawdy.

Szukanie go w tej masie odpadków wydawało się jednak herkulesową pracą.

Jeśli jego wyjątkowa ejdetyczna i audialna pamięć zarejestrowała wszystkie szczegóły snu tak dobrze jak przechowywała rzeczywiste doświadczenia, to przynajmniej może być pewien, że gdy wystarczająco starannie przetrząśnie śmietniko tego koszmaru, znajdzie wreszcie jakąś lśniącą prawdę oczekującą na odkrycie niczym srebrny widelec wyrzucony przypadkiem wraz z resztkami obiadu.

Rozdział 36.

– Wideo – powtórzyła Susan w odpowiedzi na pytanie Ahrimana i znowu spojrzała w bok, na drzewko ming.

Zaskoczony doktor uśmiechnął się.

– Wciąż jesteś taką skromną dziewczyną.

Odpręż się, moja droga.

Nagrałem zaledwie jedną taśmę z tobą, dziewięćdziesiąt minut dobrej zabawy, muszę przyznać, i będzie jeszcze tylko jedna, kiedy spotkamy się następnym razem.

Nikt nie ma dostępu do mojej małej domowej filmoteki.

Nigdy nie zostaną wyemitowane w CNN czy NBC, zapewniam cię.

Chociaż pobiłyby rekordy oglądalności, nie sądzisz?

Susan nadal patrzyła na doniczkę z drzewkiem ming, lecz teraz doktor rozumiał, dlaczego mogła odwracać od niego wzrok, nawet gdy kazał jej, aby patrzyła mu w oczy.

Wstyd był potężnym czynnikiem motywującym i to właśnie z niego czerpała siłę do swego małego buntu.

Każdy popełnia czyny, których się wstydzi, lecz prędzej czy później zawiera kompromis z samym sobą, formując perły winy wokół każdego dokuczliwego ziarnka moralnego piasku.

Wina, w przeciwieństwie do wstydu, może być niemal tak kojąca jak cnota, ponieważ nie czuje się już ostrych krawędzi rzeczy, którą otacza, a przedmiotem zainteresowania staje się sama wina.

Susan mogłaby zrobić naszyjnik ze wszystkich chwil wstydu, których dostarczył jej Ahriman, ale ponieważ była świadoma istnienia taśmy wideo, nie potrafiła uformować maleńkich perełek winy, a tym samym uśmierzyć wstydu.

Doktor polecił jej, aby na niego spojrzała, i ona po krótkim wahaniu oderwała wzrok od drzewka ming i popatrzyła mu w oczy.

Rozkazał jej zejść po stopniach podświadomości z powrotem do kaplicy umysłu, którą poprzednio pozwolił jej opuścić, aby ożywić grę.

Kiedy znów znalazła się w tym głębokim lochu, powiedział: – Zapomnisz, że twój ojciec był tu dziś w nocy.

Wspomnienia jego twarzy, gdzie powinnaś widzieć moją, wspomnienia jego głosu, gdy powinnaś słyszeć mój, są teraz prochem, a nawet mniej niż prochem, ulatują.

Jestem twoim lekarzem, nie ojcem.

Powiedz mi, kim jestem, Susan.

Jej cichy głos zdawał się dochodzić z głębokich podziemi: – Doktorem Ahrimanem.

– Jak zawsze, rzecz jasna, nie zachowasz absolutnie żadnych dostępnych wspomnień o tym, co zaszło między nami, absolutnie żadnych dostępnych wspomnień o mojej wizycie tej nocy.

Mimo wszystkich jego wysiłków ta pamięć gdzieś trwała, zaPewne w nieodgadnionej sferze poza podświadomością.

W przeciwnym razie w ogóle nie odczuwałaby wstydu, ponieważ nie pozostałyby jej żadne wspomnienia o perwersjach tej i innych nocy.

Jej uporczywy wstyd był zdaniem doktora dowodem istnienia podświadomości – obszaru poniżej id – gdzie wszelkie doświadczenia pozostawiały niezatarty ślad.

Ta najgłębsza warstwa pamięci była, jak uważał Ahriman, całkowicie niedostępna i nie stanowiła dla

niego zagrożenia; aby czuć się bezpiecznym, musiał tylko wytrzeć do czysta tablice jej świadomości i podświadomości.

Niektórzy zastanawialiby się pewnie, czy owa podświadomość może być duszą.

Doktor do nich nie należał.

– Jeśli mimo to będziesz miała powód, by uważać, że zostałam wykorzystana seksualnie, jakieś otarcia lub inne ślady, wszystkie podejrzenia skierujesz na swego nieobecnego męża Erica.

Powiedz mi, czy zrozumiałaś dokładnie, co powiedziałem?

Jej odpowiedzi towarzyszył gwałtowny odruch okołozrenicowy, jakby przez płaszące oczy wyrzucała z siebie owe szczególnie wspomnienia: – Zrozumiałam.

– Ale pod żadnym pozorem nie wolno ci rozmawiać z Erikiem o swoich podejrzeniach.

To zakazane.

– Zakazane.

Rozumiem.

– Dobrze.

Ahriman ziewnął.

Niezależnie od tego, ile przyjemności dostarczała mu gra, i tak zawsze mąciła ją świadomość, że musi pozbierać zabawki i posprzątać pokój.

Chociaż wiedział, dla czego ład i porządek są absolutnie konieczne, czas spędzony na odkładaniu wszystkiego na miejsce dłużył mu się tak samo jak w dzieciństwie.

– Zaprowadź mnie do kuchni – zażądał, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

Wciąż pełna wdzięku mimo jego brutalnych poczynań, Susan ruszyła przez ciemny pokój z gracją bladej ślizgi pływającej w mrocznym stawie.

W kuchni, spragniony jak każdy gracz po długiej i wyczerpującej grze, Ahriman rzekł: – Powiedz mi, jakie masz piwo.

– Tsingtao.

– Otwórz jedno dla mnie.

Wyjęła butelkę z lodówki, przez chwilę grzebała w szufladzie, szukając otwieracza, znalazła go i zdjęła kapsel z piwa.

Przebywając w jej mieszkaniu, bardzo uważał, aby w miarę możliwości nie dotykać przedmiotów, na których mogły zostać odciski palców.

Nie zdecydował jeszcze, czy Susan zabije się, kiedy z nią skończy.

Gdyby uznał, że samobójstwo będzie dostatecznie zabawne, jej długa i rozpaczliwa walka z agorafobią dostarczy przekonującego motywu, a jej odręczny list pożegnalny zamknie sprawę bez skrupulatnego dochodzenia.

Najprawdopodobniej jednak posłuży się nią w większej grze z udziałem Martie i Dusty'ego, której kulminacją będzie masowe morderstwo w Malibu.

Inne opcje przewidywały zaaranżowanie zabójstwa Susan przez męża lub nawet przez jej najlepszą przyjaciółkę.

Gdyby uśmiercił ją Eric, niechybnie przeprowadzono by dochodzenie w sprawie morderstwa – nawet jeśli sprawca zatelefonowałby na policję z miejsca zbrodni, przyznał się, przyłożył sobie lufę do skroni i padł martwy u boku żony, pośród morza dowodów na to, że przyczyną tragedii była sprzeczka rodzinna.

Z pewnością wkroczyłyby do akcji wydział dochodzeniowy i zaczął szukać odcisków palców za pomocą proszku, jodiny, roztworu azotanu srebra, ninhydryny, oparów cyjanoakrylu, a nawet

metylowego roztworu rodaminu G6 i jonów argonu.

Gdyby Ahriman zostawił nieopatrznie choć jeden odcisk w miejscu, gdzie tym nudnym, lecz skrupulatnym osobnikom przyszłoby do głowy go poszukać, jego życie odmieniłoby się zdecydowanie i to wcale nie na lepsze.

Jego wysoko postawieni przyjaciele postaraliby się oczywiście, aby nie stanął przed sądem.

Dowody zniknęłyby lub zostały zamienione.

Detektywi i ludzie z biura prokuratora okręgowego kierowaliby śledztwo na fałszywe tory, a ci formalisci, którzy próbowaliby prowadzić rzetelne dochodzenie, odkryliby, że ich życie komplikuje się, a nawet wali w gruzy z powodu niespodziewanych kłopotów i tragedii niemających na pozór nic wspólnego z doktorem Ahrimanem.

Przyjaciele nie mogliby jednak ochronić go przed dziennikarzami.

Stałby się sławną na swój sposób osobistością.

To było nie do pomyślenia.

Rozgłos krępowałby mu swobodę ruchów.

Kiedy brał od Susan tsingtao, podziękował jej, a ona powiedziała: – Bardzo proszę.

Uważał, iż niezależnie od okoliczności należy przestrzegać dobrych manier.

Cywilizacja była największą ze wszystkich gier, cudownie wyrafinowaną społeczną rywalizacją, w której każdy musiał grać czysto, aby móc folgować sekretnym przyjemnościom; opanowanie jej reguł – manier, etykiety – stanowiło zbędny warunek sukcesu.

Susan uprzejmie odprowadziła go do drzwi, gdzie zatrzymał się, aby przekazać jej ostatnie instrukcje na tę noc.

– Powiedz mi, czy słuchasz, Susan.

– Słucham.

– Bądź spokojna.

– Jestem spokojna.

– Bądź posłuszna.

– Tak.

– Zimowy wiatr...

– Wiatr to ty.

– ...

skrył się w bambusowym gaju...

– Gaj to ja.

– ...

a potem ucichł.

– W ciszy dowiem się, co należy zrobić – powiedziała Susan.

– Po moim wyjściu zamkniesz kuchenne drzwi, zasuniesz wszystkie rygle i podstawisz krzesło pod gałkę, tak jak stało.

Wrócisz do łóżka, położysz się, zgasisz lampę i zamkniesz oczy.

Potem opuścisz kaplicę, w której teraz jesteś.

Kiedy zamkniesz za sobą drzwi kaplicy, wszystkie wspomnienia o tym, co zdarzyło się od chwili, gdy odebrałaś telefon i usłyszałaś mój głos, do chwili, gdy się obudziłaś, zostaną zatarte – każdy dźwięk, każdy obraz, każdy szczegół, każdy detal zniknie z twojej pamięci na zawsze.

Potem, licząc do dziesięciu, wejdiesz na schody.

a kiedy doliczysz do dziesięciu, odzyskasz pełną świadomość.

Kiedy otworzysz oczy, będziesz przekonana, że obudziłaś się z pokrzepiającego snu.

Jeśli zrozumiałaś wszystko, co powiedziałem, potwierdź to.

– Zrozumiałam.

– Dobranoc, Susan.

– Dobranoc – odparła, otwierając przed nim drzwi.

Wyszedł na podest i szepnął: – Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Z metalicznym szczękiem zamknęła się pierwsza zasuwa, a w chwilę potem druga.

Uśmiechając się i kiwając z zadowoleniem głową, doktor upił łyk piwa i spojrzał na schody u swoich stóp.

Połyskujące krople rosy na wytłumiających paskach szarej gumy: łyzy na martwej twarzy.

Oparcie krzesła stuknęło o drzwi, kiedy Susan podstawiła je pod gałkę.

Teraz wróci bosą do łóżka.

Nie wspierając się na poręczy, zwinny jak chłopiec, doktor Ahriman zszedł po schodach, stawiając po drodze kołnierz płaszcza.

Cegły na frontowym ganku były mokre i ciemne jak krew.

O ile mógł się zorientować we mgle, chodnik za gankiem wydawał się pusty.

Skrzypnęła furtka w białym drewnianym parkanie.

W snującym się tuż nad ziemią gęstym oparze dźwięk był stłumiony, zbyt słaby, by zwrócić uwagę kota wypatrującego myszy.

Odchodząc, doktor odwracał twarz od domu.

Kiedy tu przychodził, był tak samo dyskretny.

Wtedy w żadnym oknie nie zapaliło się światło.

Teraz też nie.

Emeryci, którzy wynajmowali parter i pierwsze piętro, bez wątplenia spali, opatuleni szczelnie kocami, tak samo nieświadomi jak ich papugi drzemiące w przykrytych klatkach.

Mimo to doktor Ahriman zachowywał zrozumiałą ostrożność.

Był władcą pamięci, lecz nie każdy podlegał jego władzy.

W gęstej mgle odgłos fal bijących leniwie o brzeg był nie tyle dźwiękiem, ile wibracją, mniej słyszalną niż wyczuwalną w zimnym powietrzu.

Czubki palm zwieszały się ku ziemi.

Krople rosy spływały z ostrych końców liści jak czyste krople jadu z języków węży.

Ahriman zatrzymał się, by popatrzeć na zasnutą welonem mgły pióropusze palm, ogarnięty nagłym niepokojem, którego powodów nie potrafił zidentyfikować.

Po chwili, zamyślony, upił kolejny łyk piwa i ruszył dalej bulwarem.

Jego mercedes stał dwie przecznice dalej.

Po drodze nie spotkał nikogo.

Zaparkowany pod wielkim, ociekającym wodą indyjskim wawrzynem czarny sedan pobrzękiwał i podzwaniał jak rozstrojony ksylofon.

Już w samochodzie, tuż przed uruchomieniem silnika, Ahriman znowu się zawahał, gdyż pozbawiona rytmu muzyka kropli uderzających o metal zbliżyła go do źródła osobliwego niepokoję.

Kończąc piwo, spojrzał na masywny baldachim wawrzynu, jakby w płataninie jego gałęzi czekało

nań objawienie.

Ponieważ objawienie nie nadeszło, uruchomił samochód i pojechał bulwarem Balboa na zachód, w stronę cypla półwyspu.

O trzeciej nad ranem ruch był niewielki.

Przez pierwsze kilometry zobaczył tylko trzy pojazdy, których przednie światła otaczały rozmazane aureole mgły.

Jednym z nich był samochód policyjny jadący bez pośpiechu w dół półwyspu.

Na moście prowadzącym do Autostrady Nadbrzeżnej, patrząc na zachodni kanał ogromnego portu po prawej, gdzie przycumowane na przystaniach jachty majaczyły we mgle jak widmowe okręty, i później, gdy jechał na południe wzdłuż wybrzeża w kierunku Corona Del Mar, zastanawiał się nad przyczyną swego niepokoju, póki nie stanął na czerwonych światłach, gdzie jego uwagę przyciągnął wielki kalifornijski mastykowiec, koronkowy i elegancki, wyrastający z kaskad czerwonych bugenwilli.

Pomyślał o doniczkowym drzewku ming z gałązkami bluszczu u podstawy.

Drzewko ming.

Bluszcz.

Światło zmieniło się na zielone.

Zielone jak jej oczy wpatrzone w drzewko ming.

Umysł doktora pracował gorączkowo, lecz nogę trzymał na pedale hamulca.

Dopiero gdy światło zmieniło się na żółte, skręcił wreszcie w pustą przecznicę.

Podjechał do krawężnika przy skrzyżowaniu, zatrzymał się, ale nie wyłączył silnika.

Jako ekspert od pamięci, odwołał się teraz do swojej wiedzy, by starannie zbadać wspomnienia z wypadków w sypialni Susan Jagger.

Rozdział 37.

Dziewięć.

Budząc się w ciemnościach, Susan Jagger pomyślała, że słyszy kogoś innego wypowiadającego tę cyfrę.

Potem zdziwiła się, gdy powiedziała „dziesięć”.

Nasłuchiwała w napięciu, zastanawiając się, czy wymówiła obie cyfry, czy też jej „dziesięć” było odpowiedzią.

Minęła minuta, potem druga, lecz nie słyszała żadnego dźwięku poza własnym oddechem, a potem, kiedy wstrzymała oddech, nie słyszała nic.

Była sama.

Według świecących na elektronicznym zegarze cyfr właśnie minęła trzecia nad ranem.

Wynikało z tego, że spała ponad dwie godziny.

Usiadła na łóżku i zapaliła lampę.

Na pół opróżniony kieliszek z winem.

Książka walająca się na zmiętej pościeli.

Zasłonięte okna, meble – wszystko wyglądało tak jak powinno.

Drzewko ming.

Podniosła rękę do twarzy i powąchała je.

Obwąchała również prawe przedramię, a potem lewe.

Jego zapach.

Bez wątpienia.

Po części pot, po części delikatna woń mydła.

Być może używał też kremu do rąk.

Jeśli mogła zaufać swojej pamięci, Eric pachniał inaczej.

Mimo to była przekonana, że to on, nikt inny, jest jej aż nazbyt prawdziwym inkubem.

Nawet bez tej szczątkowej woni wiedziałyby, że złożył jej wizytę, kiedy spała.

Otarcie tu, podrażnienie tam.

Mdły zapach jego spermy.

Ledwie odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka, poczuła, że jego lepkie nasienie nadal się z niej sączy, i wzdrygnęła się.

Przy biedermeierowskim stoliku odgarnęła wąsy bluszczu i odsłoniła kamerę ukrytą pod drzewkiem ming.

Na kasecie pozostało najwyżej kilka metrów niewykorzystanej taśmy, ale kamera nadal nagrywała.

Wyłączyła ją i wyjęła z doniczki.

Jej ciekawość i pragnienie sprawiedliwości ustąpiły nagle przed odrazą.

Położyła kamerę na nocnej szafce i pospieszyła do łazienki.

Często, kiedy po przebudzeniu stwierdzała, że została wykorzystana, jej odraza znajdowała ujście w napadzie mdłości, jakby przez wypróżnienie żołądka mogła cofnąć zegar do chwili tuż przed kolacją, a więc do czasu, zanim została zgwałcona.

Teraz jednak mdłości ustąpiły, kiedy weszła do łazienki.

Chciała wziąć długi i bardzo gorący prysznic z mnóstwem pachnącego mydła i szamponu i szorować się zawzięcie gąbką z luffy.

Kusiło ją, aby najpierw wejść pod prysznic, a dopiero potem obejrzeć kasety, ponieważ czuła się brudniejsza niż kiedykolwiek przedtem, nieznośnie zbrukana, jakby wysmarowana wstrętnym plugastwem, którego nie mogła zobaczyć i w którym roiło się od mikroskopijnych pasożytów.

Najpierw taśma.

Prawda.

Potem mycie.

Chociaż zdołała odłożyć prysznic na później, wstręt zmusił ją do zdjęcia bielizny i umycia części intymnych.

Obmyła również twarz, potem ręce, a w końcu przepłukała usta miętowym Płynem.

Wrzuciła podkoszulek do kosza na brudne rzeczy.

Majtki przesiąknięte ohydłą wilgocią położyła na zamkniętej pokrywie kosza, ponieważ nie zamierzała ich prać.

Jeśli nagrała intruza na taśmie, prawdopodobnie miała wszelkie niezbędne dowody, by wnieść oskarżenie o gwałt.

Zachowanie próbki nasienia do testu DNA wydawało się jej jednak rzeczą rozsądną.

Jej stan i zachowanie na taśmie bez wątplenia przekona władze, że została odurzona narkotykami – nie była dobrowolną uczestniczką, lecz ofiarą.

Kiedy jednak wezwie policję, poprosi, aby jak najszybciej pobrano od niej próbkę krwi, dopóki w jej organizmie pozostały jeszcze ślady narkotyku.

Gdy już przekona się, że kamera działała, obraz jest dobry i ma niepodważalny dowód przeciwko Ericowi, będzie ją kusiło, aby do niego zatelefonować, zanim wezwie gliny.

Nie po to, żeby go oskarżyć.

Żeby zapytać, dlaczego.

Skąd ta złość?

Po co to potajemne knucie?

Dlaczego narażał jej życie i zdrowie jakąś diabelską mieszanką narkotyków?

Skąd taka nienawiść?

Nie zatelefonuje jednak do Erica, ponieważ ostrzegając go mogłaby narazić się na niebezpieczeństwo.

Było to zakazane,!

Zakazane.

Cóż za dziwaczna myśl.

Uświadomiła sobie, że tego samego słowa użyła w rozmowie z Martie.

Być może było to właściwe słowo, ponieważ krzywda, którą wyrządził jej Eric, wykraczała poza zwykłe niedozwolone zachowanie, wydawała się niemal świętokradztwem.

Przysięgi małżeńskie są święte, a przynajmniej powinny takie być, i dlatego to, czego się dopuścił, było bluźniercze, zakazane.

W sypialni włożyła czysty podkoszulek i świeże majtki.

Myśl, że miałyby oglądać nienawistną taśmę nago, napawała ją odrazą.

Usiadła na skraju łóżka i sięgnęła po leżącą na nocnej szafce kamerę.

Małeńki ekran kontrolny kamery dawał obraz o powierzchni piętnastu centymetrów kwadratowych.

Zobaczyła siebie, jak wraca do łóżka po cofnięciu taśmy, co zrobiła kilka minut po północy.

Pojedyncza nocna lampka zapewniała odpowiednie – choć nie idealne – światło do nagrywania.

W efekcie obraz na małym ekranie nie był bardzo wyraźny.

Wyjęła kasetę z kamery, włożyła ją do odtwarzacza i włączyła telewizor.

Trzymając pilota w obu dłoniach, usiadła w nogach łóżka i wpatrywała się w ekran z napięciem i obawą.

Zobaczyła siebie o północy, jak wraca do łóżka po przewinięciu taśmy w kamerze, kładzie się i wyłącza telewizor.

Przez chwilę siedzi na łóżku, wsłuchując się z uwagą w panującą w mieszkaniu ciszę.

Potem, w momencie gdy sięga po książkę, dzwoni telefon.

Susan zamarła.

Nie przypominała sobie żadnego telefonu.

Podnosi słuchawkę.

– Halo?

Taśma wideo pozwoliła jej usłyszeć tylko część rozmowy.

Odległość od kamery sprawiała, że niektóre słowa były niewyraźne, ale to, co usłyszała, miało jeszcze mniej sensu, niż oczekiwała.

W pośpiechu odkłada słuchawkę, wstaje z łóżka i opuszcza sypialnię.

Od chwili, gdy odebrała telefon, w wyrazie jej twarzy i sposobie poruszania się zaszły subtelne zmiany, które dostrzegła, lecz nie potrafiła ich zdefiniować.

Jeszcze dziwniejsze było jednak to, że kiedy wychodziła z sypialni, zdawała się oczekiwać nieznanego.

Odczekała pół minuty, a potem przewinęła taśmę do przodu, póki nie zobaczyła ruchu.

Ciemne sylwetki w korytarzu za otwartymi drzwiami sypialni.

Potem ona wraca.

Za nią wychodzi z mroku i przekracza próg mężczyzna.

Doktor Ahriman.

Zdumienie zapało Susan dech w piersiach.

Nieruchoma jak głaz i chyba jeszcze zimniejsza, przestała nagle słyszeć dźwiękową warstwę kasyty, a nawet bicie własnego serca.

Siedziała jak marmurowa figura zabrana z otoczonego bukszpanowym żywoplotem klombu w eleganckim ogrodzie i pozostawiona przez pomyłkę w mieszkaniu.

Po chwili zdumienie ustąpiło miejsca niedowierzaniu i Susan zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

Przycisnęła guzik pauzy.

Na znieruchomiałym obrazie siedziała na krawędzi łóżka, zupełnie jak teraz.

Ahriman stał nad nią.

Cofnęła taśmę, wyprowadzając siebie i doktora z pokoju.

Potem włączyła odtwarzanie i patrzyła, jak cienie w korytarzu ponownie przekształcają się w ludzi, na wpół przekonana, że tym razem Eric przekroczy za nią próg.

Doktor Ahriman?

Jego obecność tutaj wydawała się niepodobieństwem.

Był etyczny.

Powszechnie podziwiany.

Taki kompetentny.

Pełen współczucia.

Troskliwy.

Po prostu niemożliwe.

Nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby zobaczyła na taśmie własnego ojca, i bardziej wstrząśnięta, gdyby do sypialni wkroczył za nią jakiś demoniczny inkub z rogami sterczącymi z czoła, z żółtymi i świecącymi oczami kota.

Tymczasem na taśmie znów pojawił się doktor Ahriman, wysoki, pewny siebie i bez rogów.

Na przystojnej twarzy doktora malował się wyraz, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała.

Nie zwyczajna, brutalna żądza, chociaż żądza była jednym z jego składników.

Nie maska szaleństwa, choć jego rzeźbione rysy były lekko ściągnięte, jakby zniekształcone przez wewnętrzne ciśnienie, które właśnie zaczęło narastać.

Wpatrując się w jego twarz, Susan wreszcie rozpoznała ten wyraz: samozadowolenie.

Nie było to obłudne, wyniosłe, karcące samozadowolenie kaznodziei lub opętanego obsesją wstrzemięźliwości świętoszka, głoszącego swoją pogardę dla tych, którzy piją, palą i jedzą za dużo cholesterolu, lecz afektowane poczucie wyższości nastolatka.

Przekraczając drzwi jej sypialni, doktor Ahriman demonstrował znudzoną pozę, niedbałe ruchy i zadziorność chłopca, który uważa, że wszyscy dorośli to kretyni; do tego miał lśniące oczy, rozpalone niecierpliwym młodzieńczym pożądaniem.

Ten kryminalista i psychiatra, którego gabinet odwiedzała dwa razy w tygodniu, był więc jedną i tą samą osobą.

Jej niedowierzanie przerodziło się w gniew i poczucie zdrady tak bolesne, że wydała serię nieartykułowanych okrzyków ostrym, nieswoim głosem.

Na taśmie doktor wyszedł z kadru, by usiąść w fotelu.

Każe jej się czołgać, a ona się czołga.

Utrwalony na kasecie zapis jej upokorzenia to było więcej, niż mogła znieść, ale nie zatrzymała nagrania, ponieważ patrząc, podsycala swój gniew, a tego właśnie potrzebowała.

Gniew dawał jej siłę, umacniał ją po szesnastu miesiącach poczucia bezsilności.

Przewinęła taśmę do momentu, aż oboje z doktorem znów znaleźli się w kadrze.

Teraz byli nadzy.

Kilkakrotnie przewijając kasetę do przodu, oglądała kolejne perwersje, przeplatane scenami zwykłego seksu.

Jak uzyskał nad nią taką kontrolę, w jaki sposób wymazał tak szokujące zdarzenia z jej umysłu – te zagadki wydawały się równie niezgłębione jak pochodzenie wszechświata i sens życia.

Ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości, jakby nic na świecie nie było tym, za co chciało uchodzić, jakby ludzie byli tylko graczami poruszającymi się wśród wymyślnych dekoracji.

Te brudy na ekranie były jednak rzeczywiste, tak samo rzeczywiste jak plamy na majtkach, które zostawiła na pokrywie kosza w łazience.

Nie zatrzymując kasety, odwróciła się od telewizora i podeszła do telefonu.

Wcisnęła dwie cyfry – dziewięć i jeden – ale przy drugiej jedyńce zawahała się.

Jeśli wezwie policję, będzie musiała otworzyć drzwi i wpuścić nieznanym ludzi do mieszkania.

Mogą sobie życzyć, aby poszła z nimi dokądś, na komisariat, złożyć pełne zeznanie, lub do szpitala, gdzie zostanie poddana badaniu, którego wyniki posłużą później jako dowód dla sądu.

Choć gniew nadal w niej kipiał, nie czuła się już wystarczająco silna, by przewyciężyć agorafobię.

Na samą myśl o wyjściu na zewnątrz ogarniała ją panika.

Zrobi to, co konieczne, pójdzie, dokąd sobie zażyczą i kiedy sobie zażyczą.

Zrobi wszystko, co jej każą, aby posłać tego odrażającego skurwysyna Ahrimana za kratki na długie, długie lata.

Perspektywa wyjścia z nieznanymi budziła w niej jednak zbyt wielkie przerażenie, by mogła brać ją poważnie pod uwagę, nawet jeśli ci nieznanymi będą policjantami.

Potrzebowała wsparcia kogoś, komu powierzyłaby życie – wyjście na zewnątrz wydawało się jej koszmarem tak bliskim śmierci, że gorsza od niego mogła być tylko śmierć.

Wybrała numer Martie i usłyszała automatyczną sekretarkę.

Wiedziała, że na noc wyłączają telefon w sypialni, ale któreś z nich mogło się obudzić, słysząc dzwonek w głębi korytarza i z samej ciekawości pójść do pokoju Martie, aby się przekonać, kto telefonuje o tak nieludzkiej porze.

Po sygnale powiedziała: – Martie, to ja.

Martie, jesteś tam?

Nikt nie podniósł słuchawki.

– Posłuchaj, jeśli tam jesteś, odbierz, na miłość boską.

Nic.

– To nie Eric, Martie.

To Ahriman.

Ahriman.

Mam skurwiela na kasecie wideo.

Skurwiel, po tym, jak zrobił taki dobry interes z kupnem domu.

Martie, proszę, proszę, zadzwoń do mnie.

Potrzebuję pomocy.

Znów poczuła wzbierające mdłości i odłożyła słuchawkę.

Siedząc na skraju łóżka, zacisnęła zęby i położyła sobie jedną zimną dłoń na karku, a drugą na brzuchu.

Atak mdłości minął.

Spojrzała na ekran telewizora i natychmiast odwróciła wzrok.

Wpatrując się w telefon i modląc się, aby zadzwonił, powiedziała: – Martie, proszę.

Zadzwoń do mnie.

Teraz, zaraz.

Napełniony do połowy kieliszek z winem stał nietknięty od kilku godzin.

Opróżniła go.

Otworzyła górną szufladę szafki nocnej i wyjęła pistolet, który trzymała do obrony własnej.

Czy jednak mogła być tego pewna?

Ahriman nigdy nie odwiedzał jej dwa razy jednej nocy.

Tak się jej wydawało.

Nagle zdała sobie sprawę z niedorzeczności czegoś, co powiedziała do automatycznej sekretarki Martie: „Skurwiel, po tym, jak zrobił taki dobry interes z kupnem domu”.

Sprzedła Markowi Ahrimanowi jego obecną rezydencję półtora roku temu, dwa miesiące przed nagłym zapadnięciem na agorafobię.

Reprezentowała właściciela, a doktor wszedł do wystawionego na sprzedaż domu i poprosił, by reprezentowała również jego.

Odwała cholernie dobrą robotę, dbając o interesy zarówno właściciela, jak i nabywcy, ale byłoby naiwnością oczekiwać, skoro jej klient jest poważnie chorym psychopatycznym gwałcicielem, że będzie miał dla niej jakieś względy tylko dlatego, iż okazała się uczciwym pośrednikiem.

Wybuchnęła śmiechem, zakrztusiła się, sięgnęła po wino; widząc, że już nic nie zostało, odstawiła pusty kieliszek i ujęła pistolet.

– Martie, proszę.

Zadzwoń, zadzwoń.

Telefon zadzwonił.

Odłożyła broń i chwyciła słuchawkę.

– Tak?

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, odezwał się męski głos: – Ben Marco.

Rozdział 38.

Odtworzywszy w pamięci swój sen, Dusty przemierzał go, jakby chodził po muzeum, kontemplując w głowie każdy obraz.

Czapla w oknie, czapla w pokoju.

Ciche wyładowania błyskawicy w bezgłośniejszej, bezdeszczowej burzy.

Brązowe drzewo z glukozowym owocem.

Zatopiona w medytacji Martie.

Dusty z każdą chwilą nabierał coraz mocniejszego przekonania, że kryje się w tym koszmarze jakaś przerażająca prawda, niczym skorpion zaczajony w najmniejszym z zestawu chińskich pudełek.

Ten konkretny zestaw składał się jednak z bardzo wielu pudełek, wiele z nich trzeba było otwierać w przemyślny sposób, a prawda pozostawała ukryta, czekając z nastawionym żądłem.

Wreszcie, zniechęcony, wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

Martie spała tak głęboko i była tak dobrze skrępowana krawatami, że z pewnością nie obudzi się ani nie wyjdzie z sypialni, kiedy on oddali się na chwilę.

Kilka minut później, myjąc ręce w łazienkowej umywalce, Dusty doznał objawienia.

Nie było to nagłe zrozumienie znaczenia snu, lecz odpowiedź na pytanie, nad którym głowił się wcześniej, zanim Martie obudziła się i zażądała, aby związał jej ręce i nogi.

„Zadania”.

Haiku Skeeta.

„Czyste kaskady.

Na fale padły.

Błękitne igły sosnowe”.

„Igły sosnowe są zadaniami”, powiedział Skeet.

Próbując nadać temu jakiś sens, Dusty zestawiał w pamięci listę wyrazów bliskoznacznych słowu „zadanie”, ale nic, co wymyślił, nie zbliżyło go do rozwiązania zagadki.

Praca.

Usługa.

Misja.

Posłannictwo.

Powołanie.

Szkoła.

Kariera.

Kościół.

Teraz, kiedy trzymał ręce pod strumieniem gorącej wody, splukując z nich mydło, przyszedł mu na myśl inny ciąg synonimów.

Zlecenie.

Polecenie.

Rozkaz.

Instrukcja.

Dusty stał nad umywalką prawie tak jak Skeet z rękoma pod niemal wrzącą wodą w Klinice Nowego Życia, rozmyślając nad słowem „instrukcje”.

Włosy na jego karku zrobiły się nagle tak sztywne jak napięte struny fortepianowe, a zimny dreszcz

przeszedł mu po klawiaturze kręgosłupa niczym bezgłośnie glissando.

Słowa „doktor Yen Lo” wypowiedziane w obecności Skeeta wywołały służbistą odpowiedź: „Słucham”.

Potem odpowiadał na pytania tylko pytaniami.

„– Skeet, czy wiesz, gdzie jesteś?

– Gdzie jestem?

– A więc nie wiesz?

– Wiem?

– Możesz się rozejrzeć?

– Mogę?

– Czy to jest skecz Abbotta i Costella?

– Jest”?

Skeet odpowiadał na pytania tylko pytaniami, jakby czekał aż ktoś mu powie, co powinien myśleć bądź robić.

Na stwierdzenia z kolei reagował tak, jakby były rozkazami, a na prawdziwe rozkazy, jakby pochodziły bezpośrednio z ust Boga.

Kiedy zniecierpliwiony Dusty powiedział: „Och, nie męcz mnie i idź spać”, natychmiast zapadł w głęboki sen.

Skeet określił haiku jako reguły, a później Dusty uznał poemat za swego rodzaju mechanizm, proste urządzenie o potężnym działaniu, werbalny odpowiednik pistoletu na gwoździe, choć nie był do końca pewien, co przez to rozumie.

Teraz, kiedy zastanawiał się nad konotacjami słowa „instrukcje”, uświadomił sobie, iż lepiej zdefiniować haiku nie jako mechanizm, nie jako urządzenie, lecz jako komputerowy system operacyjny, oprogramowanie, które sprawia, że instrukcje są odbierane, rozumiane i wykonywane.

A jaki logiczny wniosek wypływa z hipotezy haiku jako systemu operacyjnego?

Że Skeet jest zaprogramowany?

Kiedy Dusty zakręcał wodę, wydawało mu się, że słyszy słaby dzwonek telefonu.

Trzymając ociekające wodą ręce w górze, jakby był chirurgiem przystępującym do zabiegu, wyszedł z łazienki do sypialni i zaczął nasłuchiwać.

W domu panowała cisza.

Gdyby telefon naprawdę zadzwonił, automatyczna sekretarka w pokoju Martie odebrałaby go po drugim sygnale.

Najprawdopodobniej tylko mu się zdawało.

Nikt nigdy nie dzwonił do nich o tej porze.

Na wszelki wypadek sprawdzi to, zanim wróci do łóżka.

W łazience, wycierając ręce ręcznikiem, przetrawiał w myślach słowo „zaprogramowany”, rozważając wszystkie jego możliwe implikacje.

Spojrząwszy w lustro, Dusty zobaczył nie swoje odbicie, lecz powtórkę dziwacznych wydarzeń w pokoju Skeeta w Klinice Nowego Życia.

Potem jego pamięć cofnęła czas do poprzedniego ranka, do dachu Sorensonów.

Skeet utrzymywał, że widział Drugą Stronę.

Anioł śmierci pokazał mu, co jest na tamtym świecie, a chłopcu spodobało się to, co zobaczył.

Potem anioł kazał mu skoczyć.

Skeet użył tego właśnie słowa: kazał.

Po kręgosłupie Dusty'ego znów przebiegło lodowate glissando.

Otworzyło się następne z chińskich pudełek – wewnątrz znajdowało się kolejne.

Każde pudełko było mniejsze od poprzedniego.

Zapewne zbliżał się już do rozwiązania zagadki, prawie słyszał chrobot odnóży skorpiona; odgłos niebezpiecznej prawdy, która użądli go, gdy podniesie ostatnie wieczko.

Rozdział 39.

Cichy szum fal i gęsta mgła osłaniały jego powrót.

Krople na szarych schodach.

Na drugim stopniu ślimak.

Chrupnął twardo pod butem.

Wchodząc, doktor szeptał do telefonu komórkowego: – Zimowy wiatr...

– Wiatr to ty – odparła Susan Jagger.

– ...

skrył się w bambusowym gaju...

– Gaj to ja.

– ...

a potem ucichł.

– W ciszy dowiem się, co należy zrobić.

Stanąwszy na podeście przed drzwiami, powiedział: – Wpuść mnie.

– Tak.

– Szybko – ponaglił, chowając telefon do kieszeni.

Obrzucił niespokojnym spojrzeniem pusty bulwar.

Skrzyp i szuranie krzesła wyciąganego spod gałki przy drzwiach kuchennych.

Pierwsza zasuwa.

Druga.

Szczęk zdejmowanego łańcucha.

Susan przywitała go pokornie, bez słowa, ale z pełnym szacunku ukłonem, jakby była gejszą.

Ahriman wszedł do środka.

Począł, aż znów zamknie drzwi i zaciągnie jedną zasuwę, a potem polecił jej, aby zaprowadziła go do sypialni.

Idąc za nią przez kuchnię, jadalnię, salon i krótki korytarz, powiedział: – Byłaś niegrzeczną dziewczynką, Susan.

Nie wiem, jak mogłaś knuć przeciwko mnie, jak w ogóle mogło ci przyjść coś takiego do głowy, ale jestem pewien, że to właśnie zrobiłaś.

Wcześniej, ilekroć odwracała od niego wzrok, patrzyła na drzewko ming.

za każdym razem, zanim kierowała spojrzenie na tę miniaturową roślinę, Ahriman wspominał albo o taśmie wideo, na której ją uwiecznił, albo o kasecie, którą zamierzał nagrać podczas swojej następnej wizyty.

Kiedy wydała mu się spięta i zaniepokojona, a on polecił jej ujawnić źródło niepokoju, i kiedy powiedziała po prostu: „Wideo”, wyciągnął oczywisty wniosek.

Oczywisty i zapewne błędny.

Jego podejrzenia wzbudził, niemal za późno, fakt, że zawsze patrzyła na drzewko ming: nie w podłogę, jak należałoby oczekiwać w przypadku osoby, którą dręczy wstyd, i nie na łóżko, gdzie doznała tylu upokorzeń, ale zawsze na drzewko ming.

Teraz, podążając za nią do sypialni, powiedział: – Chcę zobaczyć, co jest w tej doniczce, pod bluszczem.

Posłusznie zaprowadziła go do biedermeierowskiego stolika, ale doktor zatrzymał się jak wryty,

kiedy ujrzał, co dzieje się na ekranie telewizora.

– A niech mnie – powiedział.

Naprawdę byłoby z nim źle, gdyby nie rozpoznał w porę przyczyny swoich podejrzeń, gdyby pojechał do domu i położył się spać, nie wróciwszy tutaj.

– Podejź do mnie – zażądał.

Kiedy Susan zbliżyła się, zacisnął dłonie w pięści.

Miał ochotę okładać ją po tej ślicznej buźce.

Dziewczęta.

Wszystkie takie same.

Jako chłopiec czuł do nich antypatię i nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Dziewczęta przyprawiały go o mdłości swoimi głupimi gierkami.

Najlepsze było w nich to, że bez większego wysiłku potrafił skłonić je do płaczu, ale potem zawsze biegly do matek i ojców, aby się poskarżyć.

Potrafił bronić się przed ich histerycznymi oskarżeniami, ponieważ dorośli uważali, że jest czarujący i przekonujący.

Szybko uświadomił sobie jednak, że musi nauczyć się dyskrecji i bardzo się pilnować, aby jego słabość do łez nie zapanowała nad nim, tak jak słabość do kokainy zapanowała nad całkiem sporym kręgiem osób z tej hollywoodzkiej zgrai, z którą pracował jego ojciec.

Wreszcie, zniewolony przez hormony, odkrył, że potrzebuje od dziewcząt czegoś więcej aniżeli tylko ich łez.

Przekonał się również, z jaką łatwością tak przystojny młodzieniec jak on może grać w gry, które czynią go zdobywcą dziewczęcych serc, pozwalając mu wyciskać z nich więcej łez przez wyrachowany romans i zdradę, niż kiedykolwiek udało mu się wycisnąć, gdy jako mały chłopiec poszturchiwał je, szczypał, ciągnął za uszy i wypychał do błotnistych kałuż.

Długie lata emocjonalnego znęcania się nad nimi nie sprawiły jednak, że stały się dla niego bardziej atrakcyjne niż w czasach przedszkolnych, kiedy wrzucał im gąsienice za bluzki.

Dziewczęta nadal bardziej go irytowały niż pociągały, czuł się nieswojo, ilekroć się z nimi zadawał, a fakt, że był nimi również zafascynowany, pogłębiał tylko jego odrazę.

Co gorsza, seks nigdy im nie wystarczał, zawsze chciały, aby mężczyzna był ojcem ich dzieci.

Mróz przenikał go do szpiku kości na samą myśl, że mógłby być czyimkolwiek ojcem.

Raz omal nie wpadł w tę pułapkę, ale szczęśliwy przypadek pozwolił mu się z niej wymknąć.

Nie można ufać dzieciom.

Przenikają twoje linie obronne i kiedy najmniej się tego spodziewasz, mogą cię zabić i ukraść twoje pieniądze.

Doktor wiedział coś na ten temat.

A jeśli ma się córkę, matka i dziecko spiskują przeciwko ojcu przy każdej sposobności.

W opinii doktora wszyscy pozostali ludzie należeli do innej – i znacznie podlejszej – rasy niż on, ale dziewczęta nie stanowiły nawet innej rasy, lecz całkowicie odmienny gatunek; były obce i absolutnie nieodgadnione.

Kiedy Susan stanęła przed nim, doktor uniósł pięść.

Wydawała się wolna od strachu.

Jej osobowość została tak głęboko stłumiona, że nie okazywała żadnych emocji, dopóki jej tego nie nakazał.

– Powinienem dać ci po buzi.

Chociaż słyszał w swoim głosie chłapiące rozdrażnienie, nie czuł się tym zakłopotany.

Znał siebie wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę, że podczas tych seansów kontroli, jego osobowość ulega regresji, schodząc po drabinie lat.

Ta regresja nie była przerażająca ani niepokojąca; była wręcz konieczna, jeśli miał się cieszyć chwilą w całej jej pełni.

Jako dorosły o sporym doświadczeniu był już znużony, ale jako chłopiec nadal zachował cudownie świeże poczucie zachwytu, nadal upajał się nadużywaniem władzy.

– Powinienem zbić cię po głupiej buzi tak mocno, żebyś była oszpecona na zawsze.

Nie ośmielił się jednak uderzyć krnąbrnej dziewczyny.

Jej śmierć, odpowiednio zaaranżowana, nie powinna spowodować dochodzenia w sprawie zabójstwa.

Pobita i posiniaczona nie byłaby wiarygodną samobójczynią.

– Nie lubię cię już, Suzie.

Wcale cię nie lubię.

Milczała, ponieważ nie poinstruował jej, jak ma zareagować.

– Zakładam, że nie zawiadomiłaś jeszcze policji.

Powiedz mi, czy to prawda.

– To prawda.

– Czy rozmawiałaś z kimś o tej taśmie w odtwarzaczu?

– Rozmawiałam?

Tłumacząc sobie, że jej odpowiedź nie jest przejawem nieposłuszeństwa, że po prostu została tak zaprogramowana, by odpowiadać w ten sposób na pytania, kiedy znajduje się na dnie kaplicy umysłu, doktor opuścił wzniesioną do ciosu pięść i powoli rozwarł palce.

– Odpowiedz mi tak lub nie: czy rozmawiałaś z kimś o tej taśmie w odtwarzaczu?

– Nie.

Odetchnąwszy z ulgą, wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka.

– Siadaj, dziewczyno.

Usiadła na skraju łóżka ze ściśniętymi ciasno kolanami i splecionymi rękami.

Przez kilka minut doktor przesłuchiwał ją, formułując swoje pytania jako stwierdzenia lub polecenia, dopóki nie zrozumiał, dlaczego zastawiła pułapkę z kamerą.

Chciała zdobyć dowody przeciwko Ericowi, a nie przeciwko swemu psychiatrze, Chociaż po ich każdym spotkaniu wycierał jej pamięć do czysta, Susan musiała podejrzewać, że jest wykorzystywana seksualnie, a ponieważ on nie używał gąbki, aby zmyć każdą kroplę potu i namiętności, którą wydzielił podczas stosunku, Susan była pewna, że znajdzie dowody na poparcie swoich podejrzeń.

Ahriman nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do zacierania za sobą śladów, ponieważ umniejszyłoby to jego poczucie władzy i zepsuło przyjemną iluzję, że sprawuje nad ludźmi absolutną kontrolę.

Nie ma nic zabawnego w najbardziej zaciętej walce czy nawet krwawym morderstwie, jeśli potem trzeba zmywać ściany i szorować podłogę.

Ostatecznie był poszukiwaczem przygód, a nie gospodynią domową.

Znał wiele sposobów, by rozwiać bądź skierować w niewłaściwą stronę podejrzenia Susan.

Po pierwsze, mógł jej zasugerować, aby po przebudzeniu po prostu ignorowała wszystkie ślady fizycznego wykorzystania, nie dostrzegała nawet najbardziej oczywistych dowodów gwałtu.

W bardziej żartobliwym nastroju doktor mógłby wpoić jej przekonanie, że odwiedził ją żółtooki

demon z ognistej czeluści, aby spłodzić z nią potomstwo i wydać na świat Antychrysta, Zasiewając w umyśle Susan senne wspomnienia nocnego kochanka o pokrytym twardą łuską ciele, siarczanym oddechu i rozwidlonym czarnym języku, zamieniłby jej życie w prawdziwe piekło.

Ahriman grał już tę pieśń innym, brzdąkając na harfie przesądów i wywołując kilka ciężkich przypadków demonofobii, która zrujnowała życie jego pacjentom.

Ten sport wydawał mu się bardzo zajmujący, lecz tylko przez krótki czas.

Tego rodzaju fobia może być bardziej niszczycielska niż inne, prowadząc często do całkowitego pomieszczenia zmysłów.

Dlatego na dłuższą metę Ahriman nie uważał jej za w pełni satysfakcjonującą, ponieważ łyższaleńców, którzy zobojętnieli już na swoje cierpienia, nie są tak inspirujące jak łyższ ludzie świadomych własnego stanu, którzy ciągle wierzą, że mają szansę na wyzdrowienie.

Rozważywszy wiele różnych opcji, doktor postanowił skierować podejrzenia Susan w stronę jej nieobecnego męża.

Ta gra, do której napisał w myślach szczególnie krwawy i zakłany scenariusz, miała się zakończyć dziką orgią przemocy i trafić na pierwsze strony gazet w całym kraju.

Doktor nie ustalił jeszcze wszystkich szczegółów finałowej sceny, ponieważ Eric mógł być albo jednym ze sprawców zbrodni, albo ofiarą.

Zachęcając Susan, by kierowała swoje podejrzenia na Erica, a następnie zakazując jej rozmawiać z mężem, Ahriman nakręcał sprężynę psychologicznego napięcia.

Tydzień po tygodniu sprężyna zwijała się coraz ciasniej, aż wreszcie Susan po prostu nie mogła znieść skumulowanej w skręconych splotach straszliwej energii emocjonalnej.

W efekcie, pragnąc rozładować to napięcie, zaczęła szukać dowodów winy męża, dowodów wystarczająco mocnych, by móc pójść z nimi bezpośrednio na policję i uniknąć zakazanej konfrontacji z samym Erikiem.

Na ogół nie dochodziło do tego rodzaju sytuacji, ponieważ doktor nigdy jeszcze nie bawił się nikim tak długo jak Susan Jagger.

Przecież, na miłość boską, zaczął podawać jej narkotyki półtora roku temu, a od szesnastu miesięcy była jego pacjentką.

Zazwyczaj nudził się po pół roku, czasem już po dwóch, trzech miesiącach.

Wówczas albo leczył pacjenta, usuwając fobię bądź obsesję, którą wcześniej sam zaszczeplił, i umacniając w ten sposób swoją reputację jako terapeuty, albo obmyślał śmierć dostatecznie malowniczą, by zadowoliła gracza o jego doświadczeniu.

Oczarowany wyjątkową urodą Susan, zwlekał o wiele za długo, pozwalając, aby jej stres narastał, aż postanowiła zastawić na niego pułapkę.

Dziewczęta.

Zawsze są z nimi kłopoty, prędzej czy później.

Wstając z łóżka, Ahriman polecił wstać również Susan, a ona posłuchała.

– Naprawdę zepsułaś mi grę – powiedział z irytacją.

– Będę musiał wymyślić zupełnie nowe zakończenie.

Mógł wypytywać ją dalej, aby ustalić, kiedy po raz pierwszy przyszedł jej do głowy pomysł z kamerą, a potem podążać od tego momentu aż do chwili obecnej, wymazując wszystkie związane z tym wspomnienia, istniało jednak niebezpieczeństwo, iż w końcu się zorientuje, że w jej dniu występują osobliwe luki.

Mógł też względnie łatwo usunąć z pamięci pacjenta cały przedział czasu, a następnie wypełnić puste miejsce fałszywymi wspomnieniami, które, choć malowane grubym pędzlem, byłyby przekonujące mimo braku szczegółów.

Znacznie większą trudność sprawiłoby mu wyodrębnienie pojedynczej nici z szerszego wątku pamięci.

Mógłby też usunąć z umysłu Susan wszelką wiedzę o sobie jako jej dręczycielu, ale nie miał na to ani czasu, ani energii, ani cierpliwości.

– Susan, powiedz mi, gdzie trzymasz długopis i notatnik?

– Przy łóżku.

– Przynieś je, proszę.

Kiedy okrążył łóżko w ślad za nią, zobaczył na nocnej szafce pistolet.

Nie wykazała żadnego zainteresowania bronią.

Otworzyła szufladę i wyciągnęła długopis oraz poliniowany notatnik sporego formatu.

Na górze każdej strony znajdowała się jej fotografia, a także logo i numery telefonów firmy zajmującej się sprzedażą nieruchomości, dla której pracowała, zanim agorafobia położyła kres jej karierze.

– Odłóż pistolet, proszę – polecił bez cienia lęku, że mogłaby użyć broni przeciwko niemu.

Włożyła pistolet do nocnej szafki i zamknęła szufladę.

Odwracając się w stronę Ahrimana, podała mu długopis i notatnik.

Powiedział: – Weź je ze sobą.

– Dokąd?

– Chodź za mną.

Doktor zaprowadził ją do jadalni.

Tam kazał jej zapalić światło i usiąść przy stole.

Rozdział 40.

Wciąż wpatrując się w lustro w łazience i próbując uporządkować szczegóły, które przydałyby wiarygodności absolutnie niewiarygodnej teorii, iż jego brat został zaprogramowany, Dusty zdał sobie sprawę, że tej nocy z pewnością już nie zaśnie.

Pytania przelatywały mu przez głowę niczym brzęczące roje moskitów, a ich ukąszenia były bardziej zabójcze dla snu niż dzbanek czarnej kawy zagotowanej do gęstości melasy.

Kto miałby zaprogramować Skeeta?

Kiedy?

Jak?

Gdzie?

Wjakim celu?

I dlaczego właśnie Skeeta, ćpuna i nieudacznika?

Cała sprawa pachniała paranoją.

Może ta zwariowana teoria miałaby jakiś sens w świecie paranormalnych audycji radiowych, w którym żył Figa Newton, kiedy malował domy – a faktycznie przez większość czasu – w tej nierealnej, choć powszechnie uwielbianej Ameryce, gdzie podstępni kosmici pracownicy płodzili potomstwo z nieszczęsnymi ziemskimi kobietami, gdzie istoty z innego wymiaru odpowiadały zarówno za globalne ocieplenie, jak i za niesłychane stopy procentowe kart kredytowych, gdzie prezydent został potajemnie zastąpiony człekokształtnym androidem skonstruowanym w piwnicy Billa Gatesa, gdzie Elvis żył i mieszkał na stacji kosmicznej zbudowanej i obsługiwanej przez Walta Disneya, którego mózg przeszczepiono do innego ciała, znanego obecnie jako gwiazda rapu i tytan kina Will Smith.

Ale idea zaprogramowanego Skeeta nie miała żadnego sensu tutaj, w całkowicie realnym świecie, gdzie Elvis naprawdę umarł, gdzie Disney również umarł i gdzie najbliższa jurnym kosmitom była starzejąca się i łykająca viagrę obsada filmowej epopei „Star Trek”.

Dusty uśmiełby się z tej niedorzecznej teorii, gdyby Skeet nie powiedział, że kazano mu skoczyć z dachu Sorensonów, gdyby nie wpadł w ten dziwaczny trans w Klinice Nowego Życia, gdyby żadne z nich – Skeet, Martie i sam Dusty – nie zgubiło kawałków swojego dnia i gdyby ich życie nie rozpadło się nagle z niezwykłą równoczesnością i katastroficzną niesamowitością dwuodcinkowego epizodu „Archiwum X”.

Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, nie było mu wcale do śmiechu.

Czy czujesz się dzisiaj samotny, Elvis, tam na orbicie?

Pewien, że bezsenność nie opuści go aż do świtu, postanowił ogolić się i wziąć prysznic, dopóki Martie głęboko śpi po trzech tabletkach środka nasennego.

Jeśli po przebudzeniu znów ogarnie ją ten groteskowy strach przed samą sobą, nie pozwoli, aby spuścił ją z oczu ze strachu, że zdoła w jakiś sposób uwolnić się z więzów i podkraść się do niego w morderczych zamiarach.

Kilka minut później gładko ogolony Dusty wyłączył elektryczną maszynkę i usłyszał stłumione krzyki rozpaczliwych dochodzących z sypialni.

Kiedy przypadł do łóżka, Martie znowu jęczała przez sen, dręczona kolejnym koszmarem.

Napinała swoje pęta i mamrotała: – Nie, nie, nie, nie.

Wyrwany z psich marzeń wypełnionych z pewnością piłkami tenisowymi i miskami chrupek Lokaj podniósł łeb i rozwarł zębatą paszczę w potężnym ziewnięciu godnym krokodyla, ale nie warknął.

Martie tłuła głową o poduszkę, krzywiąc się i pojękując cicho, jak trawiony malaryczną gorączką pacjent.

Dusty otarł chusteczką jej spocone czoło, odgarnął jej włosy z twarzy i trzymał ją za skrepowane dłonie, dopóki się nie uspokoiła.

Jaki koszmar jej się przyśnił?

Ten, który nawiedzał ją kilkakrotnie w ciągu minionego pół roku i w którym występowała postać z martwych liści?

Czy nowy upiorny spektakl, z którego przebudziła się wcześniej, krztusząc się, plując i ocierając usta obiema rękami?

Kiedy Martie się uspokoiła, Dusty zaczął się zastanawiać czy jej powtarzająca się wizja liściastego człowieka może być tak samo znacząca, jak jemu wydawało się spotkanie ze ścigającą błyskawicę czapłą.

Opisała mu swój koszmar kilka miesięcy temu, kiedy przyśnił jej się po raz drugi czy trzeci.

Teraz, patrząc na nią, wydobył go ze swej pamięci, aby mu się przyjrzeć.

Chociaż na pozór ich sny wydawały się całkowicie odmienne, dokładniejsza analiza wykazała niepokojące zbieżności.

Czując raczej rosnącą dezorientację niż olśnienie, Dusty zadumał się nad tymi podobieństwami.

Ciekawe, czy Skeet miał ostatnio sny.

Wciąż leżąc na swojej poduszce z baraniej skóry, Lokaj wypuścił powietrze przez nozdrza w jednym z tych potężnych kichnięć, za pomocą których przeczyszczał nos, przygotowując się do tropienia królików na porannym spacerze.

Tym razem, ponieważ w domu nie było żadnych królików, wyglądało to raczej na sceptyczny osąd nowej obsesji jego pana.

– Coś w tym jest – mruknął Dusty.

Lokaj znowu kichnął.

Rozdział 41.

Krążąc niestrudzenie po pokoju, Ahriman układał chwytające za serce pożegnanie z życiem, a Susan nanosiła jego słowa na papier swoim kształtnym pismem.

Wiedział doskonale, co uwzględnić i co pominąć, aby przekonać nawet najbardziej podejrzliwego detektywa policyjnego, że list jest autentyczny.

Analiza grafologiczna nie pozostawi rzecz jasna wiele wątpliwości, lecz doktor był skrupulatny.

Układanie listu w tych okolicznościach nie przychodziło mu łatwo.

W ustach czuł kwaśny posmak tsingtao.

Śmiertelnie zmęczony, z czerwonymi, piekącymi oczami i mgiełką niewyspania zasnuwającą umysł, wygładzał w myślach każde zdanie, zanim je podyktował.

Rozpraszała go również Susan.

Zapewne dlatego, że nigdy więcej nie miał jej posiąść, wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek.

Blask złotych włosów.

Egipska zieleń oczu.

Zepsuta lalka.

Nie.

To było okropne haiku.

Żenujące.

Miało siedemnaście sylab, zgoda, a także idealną strukturę pięć-siedem-pięć, ale nic więcej.

Czasem układał całkiem niezłe wiersze, jak ten o ślimaku na stopniu schodów, zmiażdżonym butem, ale kiedy przychodziło do pisania linijek, które miały oddać wygląd, nastrój, istotę dziewczyny, jakiegokolwiek dziewczyny, zawsze się plątał.

Jego kiepskie haiku zawierało ziarno prawdy: była zepsuta, ta piękna niegdyś zabawka.

Choć nadal wyglądała olśniewająco, została fatalnie uszkodzona, a on nie mógł po prostu naprawić jej odrobiną kleju, tak jak naprawiał plastikowe figurki z klasycznych zestawów zabawkowych w rodzaju Rodeo Roya Rogersa czy Akademii Kosmicznej Toma Corbetta.

Dziewczęta.

Zawsze sprawiają zawód, kiedy za bardzo się na nich polega.

Przepęlniony dziwnym uczuciem sentymentalnej tęsknoty pomieszanej z posępną urazą, Ahriman skończył układać list samobójczy.

Stanął nad Susan, by popatrzeć, jak pisze pod spodem swoje nazwisko.

Jej dłonie o długich palcach.

Pięknie zaokrąglone litery.

Ostatnie słowa bez łez.

Cholera.

Pozostawiając notatnik na stole, doktor zaprowadził Susan do kuchni.

Na jego żądanie wyjęła zapasowe klucze z sekretarzyka, przy którym siadywała, by układać listy zakupów i jadłospisy.

Miał własny klucz od jej mieszkania, ale nie wziął go ze sobą.

Schował ten do kieszeni i razem wrócili do sypialni.

Telewizor nadal był włączony, a kaseta wideo jeszcze się nie skończyła.

Na jego polecenie zatrzymała ją pilotem, wyjęła z odtwarzacza i położyła na nocnym stoliku obok pustego kieliszka po winie.

– Powiedz mi, gdzie zwykle trzymasz kamerę.

Przez kilka sekund jej oczy poruszały się gwałtownie, poczym znieruchomiały.

– W futerale na górnej półce w tej szafie – odparła, wskazując ręką.

– Zapakuj ją, proszę, i odłóż na miejsce.

Musiała przynieść wysoki stołek z kuchni, by wykonać to polecenie.

Potem rozkazał jej wziąć z łazienki ręcznik i wytrzeć nocną szafkę, wezglowie łóżka i wszystkie miejsca, których mógł dotykać, kiedy przebywał w sypialni.

Obserwował ją, aby się upewnić, czy robi to dokładnie.

Ponieważ Ahriman bardzo uważał, czego dotyka, nie obawiał się, że jego odciski palców mogą się znajdować gdzieś poza dwoma najbardziej prywatnymi pomieszczeniami w mieszkaniu Susan.

Kiedy skończyła z sypialnią, przez mniej więcej dziesięć minut stał w drzwiach łazienki, patrząc, jak przeciera kafelki, szkło, mosiądz i porcelanę.

Spełniwszy jego żądanie, złożyła ręcznik na trzy idealnie równe części i powiesiła go na powleczonym mosiądzem drążku obok innego ręcznika, który został złożony i wisiał dokładnie w taki sam sposób.

Doktor cenił schludność.

Kiedy zobaczył zmięte majtki na pokrywie kosza, już chciał wydać jej polecenie, aby umieściła je wraz z resztą brudnej bielizny, lecz intuicja kazała mu zapytać o tę część garderoby.

Dowiedziawszy się, że położyła majtki osobno, by dostarczyć policji próbkę DNA, był wstrząśnięty.

Dziewczęta.

Podstępne.

Przebiegłe.

Kiedy doktor był chłopcem, dziewczęta często prowokowały go, aby zepchnął je ze schodów lub przewrócił w cierniste krzaki róż, po czym natychmiast biegły na skargę do rodziców, twierdząc, że zrobił to bez powodu, z czystej złośliwości.

Mógł jej polecić, aby uprała majtki w umywalce, uznał jednak, że roztropniej będzie, jeśli wychodząc zabierze je ze sobą, w ogóle usunie z mieszkania.

Nie był ekspertem od nowoczesnych metod prowadzenia śledztwa, ale żywił uzasadnione przekonanie, że odciski palców utrzymują się na ludzkiej skórze zaledwie kilka godzin lub krócej.

Można by je pewnie zdjąć przy użyciu lasera lub innego specjalistycznego sprzętu, ale znał prostsze sposoby.

Światłoczuły papier, przyłożony bezpośrednio do skóry, ukazałby obciążające odciski; gdyby następnie pokryć taki papier czarnym proszkiem, pojawiłoby się lustrzane odbicie odcisku, które trzeba by następnie odwrócić za pomocą fotografii.

Proszek magnetyczny naniesiony bezpośrednio na skórę też się do tego nadaje.

I jodek srebra, jeśli ma się pod ręką srebrną folię i rozpylacz.

Nie przypuszczał, by ciało Susan zostało znalezione przed upływem pięciu, sześciu godzin, a prawdopodobnie nastąpi to jeszcze później.

Do tego czasu znikną wszystkie odciski palców na jej skórze.

Tak czy inaczej, dotykał niemal każdej płaszczyzny i zagłębienia na jej ciele – i to często.

Aby zwyciężać w tej grze, należy grać z energicznym entuzjazmem, lecz również wykazywać

dokładną znajomość reguł i zmysł strategii.

Polecił Susan przygotować gorącą kąpiel.

Potem krok po kroku prowadził ją przez ostatnie minuty jej życia.

Kiedy wanna napełniała się wodą, wyjęła maszynkę do golenia z jednej z szuflad toaletki.

Do tej pory goliła nią nogi; teraz maszynka miała posłużyć do poważniejszego celu.

Rozkręciła ją i wyciągnęła nożyk.

Położyła go na płaskim obramowaniu wanny.

Rozebrała się do kąpieli.

Naga nie wyglądała na zepsutą i Ahriman poczuł żal, że nie może jej sobie zatrzymać.

Czekając na instrukcje, stała obok wanny i patrzyła na ciekącą z kranu wodę.

Studiując jej odbicie w lustrze, Ahriman czerpał dumę z jej niezmaconego spokoju.

Rozumowo zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie martwa, ale ponieważ wykonał na niej doskonałą robotę, nie była zdolna do żadnej szczerzej i spontanicznej reakcji emocjonalnej.

Doktor żałował, że nadeszła ta nieuchronna chwila, że kolejna z jego zabawek musi zostać wyrzucona i obrócić się w proch.

Żałował, że nie może zachować ich wszystkich w doskonałym stanie i przeznaczyć kilku pokoiów w swoim przestronnym domu, aby je tam ustawić, tak jak poustawiał ostatnio modele samochodów, plansze do gry w kości, miniaturowych żołnierzy i inne eksponaty.

Jak cudownie byłoby przechadzać się, ilekroć przyszlaby mu na to ochota, wśród tych kobiet i mężczyzn, którzy byli zarówno jego ofiarami, jak i towarzyszami zabaw przez wiele lat.

Z przyjemnością własnoręcznie sporządziłby mosiężne tabliczki z ich nazwiskami, najważniejszymi danymi i datami uzyskania – tak jak robił to w przypadku przedmiotów z innych swoich kolekcji.

Taśmy wideo były wspaniałymi pamiątkami, ale uwieczniały jedynie ruch w dwóch wymiarach, nie oddając tej głębi i poruszającej namacalności, jaką może zapewnić fizycznie zachowana zabawka.

Na przeszkodzie stał rozkład.

Doktor był perfekcjonistą i za nic nie włączyłby do swojej kolekcji przedmiotu, który nie zachował się w idealnym lub prawie idealnym stanie.

Nie zadowalał go stan doskonały czy bardzo dobry.

Ponieważ żadna ze znanych form konserwacji zwłok, od mumifikacji po nowoczesne balsamowanie, nie spełniała jego wysokich kryteriów, z konieczności pozostał przy swoich taśmach.

Posłał Susan do jadalni po notatnik, w którym napisała swoje pożegnanie z życiem.

Przyniosła go i położyła na świeżo przetartym blacie toaletki, tuż obok umywalki, gdzie zostanie znaleziony równocześnie z jej ciałem.

Kąpiel była gotowa.

Susan zakręciła oba kurki.

Dodała do wody pachnących soli.

Doktor zdziwił się, ponieważ nie kazał jej wzbogacać kąpieli.

Najwidoczniej robiła to zawsze przed wejściem do wanny i czynność ta stała się po prostu odruchem warunkowym, który nie wymagał myślenia wolicjonalnego.

Interesujące.

Poskręcane łądygi pary unoszące się nad wodą rozkwitły słabym zapachem róż.

Ahriman usiadł na zamkniętej pokrywie sedesu, uważając, by nie dotykać niczego rękami, a następnie polecił Susan wejść do wanny, usiąść i umyć się bardzo dokładnie.

Nie zachodziła już obawa, że laser, papier światłoczuły, proszek magnetyczny lub jodek srebra ujawni na jej skórze obciążające odciski palców.

Kazał jej również wypłukać wszelkie pozostałości jego nasienia.

W sypialni i w całym mieszkaniu pozostawił z pewnością włosy i nitki z ubrania, które trafią do policyjnego laboratorium.

Bez dobrych odcisków palców lub innych bezpośrednich dowodów policja nie zdoła jednak powiązać z nim tych strzępków materiału dowodowego i wciągnąć go na listę podejrzanych.

Poza tym zadał sobie tyle trudu, by podsunąć policji przekonujący scenariusz i solidny motyw samobójstwa, że wydawało się mało prawdopodobne, by ktokolwiek zechciał wszczynać dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Chętnie popatrzyłby na Susan w kąpielni trochę dłużej, był jednak zmęczony i śpiący.

Poza tym chciał opuścić mieszkanie przed świtem.

– Susan, weź nożyk, proszę.

Stalowe ostrze przylgnęło na moment do wilgotnej krawędzi wanny.

Potem Susan ujęła je kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni.

Doktor lubił efektowne zakończenia.

Łatwo się nudził; nie widział już niczego specjalnie emocjonującego w zatrutej filiżance kawy, w zwykłej wisielczej pętli czy, jak w tym przypadku, w jednej czy dwóch podciętych żyłach.

Prawdziwej zabawy dostarczały dubeltówki, broń ręczna dużego kalibru, siekiery, piły łańcuchowe i materiały wybuchowe.

Zainteresował go jej pistolet, ale tylko na chwilę: strzał obudziłby śpiących na dole emerytów, nawet jeśli położyli się spać po kilku kieliszkach martini, jak zwykle.

Rozczarowany, lecz zdecydowany nie poddawać się zamiłowaniu do teatralnych efektów, Ahriman poinstruował Susan, jak ma ująć nożyk, gdzie dokładnie przeciąć lewy nadgarstek i jak mocno nacisnąć.

Nim zadała sobie śmiertelną ranę, nacięła lekko przegub, raz, a potem jeszcze raz, pozostawiając płytkie ślady niezdecydowania, które policjanci musieli widywać przynajmniej w połowie takich przypadków.

Potem, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu i z czystym zielonym pięknem w oczach, wykonała trzecie cięcie, znacznie głębsze niż dwa poprzednie.

Ponieważ przecięciu arterii towarzyszyły nieuchronne uszkodzenia ścięgien, nie mogła ująć nożyka lewą ręką tak mocno jak prawą.

W efekcie rana na prawym nadgarstku była stosunkowo płytka i krwawiła mniej obficie niż rana na lewym, ale do tego policja też musiała być przyzwyczajona.

Susan puściła nożyk i zanurzyła ręce w wodzie.

– Dziękuję – powiedział.

– Bardzo proszę.

Doktor został z nią do końca.

Śmiało mógłby wyjść, pewien, że w tym stanie, nawet bez nadzoru, będzie siedziała spokojnie w wannie, aż umrze.

W tej grze los zgotował mu już jednak kilka niespodzianek, a on wolał nie przeżywać kolejnej.

Z wody unosiło się teraz znacznie mniej pary, a woń róż nie była już jej jedynym zapachem.

Ahriman, głodny przeżyć, zastanawiał się, czy nie wyprowadzić Susan z kaplicy umysłu i nie pozwolić jej wspiąć się na jedną lub dwie kondygnacje schodów, prawie do pełnej świadomości, gdzie

mogłaby lepiej ocenić swoje położenie.

Jednak, choć na wyższych poziomach nadal nad nią panował, istniała niewielka, lecz realna szansa, że mimo woli wymknie się jej okrzyk przerażenia lub rozpaczony wyświadek, by obudzić śpiących na dole emerytów i papugi.

Czekał więc.

Susan umierała w milczeniu, nie bardziej poruszona niż wanna, w której siedziała, i dlatego doktor doznał wstrząsu, gdy zobaczył pojedynczą łzę spływającą jej po twarzy.

Pochylił się do przodu z niedowierzaniem, pewien, że musi to być zwykła kropla potu.

Kiedy kropla spłynęła po policzku, następna – znacznie większa niż pierwsza, ogromna – wezbrała w tym samym oku i nie mogło już być wątpliwości, że to prawdziwy płacz.

Było to bardziej emocjonujące, niż przypuszczał.

Zafascynowany śledził drogę łzy przez elegancki łuk wysokiej kości policzkowej i zagłębienie policzka do kącika dojrzałych ust, a potem do krawędzi szczęki, gdzie dotarła pomniejszona, ale wystarczająco wielka, by zalsnić jak klejnot.

Za drugą łzą nie popłynęła trzecia.

Suche usta śmierci spiły całą wilgoć z oczu Susan.

Kiedy jej wargi obwisły, jakby ze zdumienia, druga – i ostatnia – łza zakotłowała się i spadła z delikatnej szczęki ze słabym, ledwie uchwytnym plum, jak nuta z najwyższej oktawy klawiatury fortepianu w odległym pokoju.

Zielone oczy szarzeją.

Różowa skóra zapożycza barwę od ostrza nożyka.

Ten wiersz dosyć mu się spodobał.

Pozostawiając, rzecz jasna, zapalone światło, Ahriman podniósł poplamione majtki z pokrywy kosza i wyszedł z łazienki do sypialni, skąd zabrał taśmę wideo.

W salonie przystanął, by nacieszyć się subtelnym zapachem cytrusowej mieszanki sączącym się z ceramicznych słoików.

Zawsze chciał zapytać Susan, gdzie ją kupuje.

Za późno.

Przy drzwiach kuchennych, owinąwszy palce chusteczką higieniczną, przekręcił rygiel jedyne go zamka, który zaciągnęła po jego przyjściu.

Zamknąwszy po cichu drzwi za sobą, użył zapasowych kluczy z sekretarzyka, by zaciągnąć obie zasuwę.

Niestety, nie mógł nic zrobić z łańcuchem.

Ten jeden szczegół nie powinien wzbudzić szczególnych podejrzeń.

Noc i mgła, jego współnicy, nadal na niego czekały, a szum fal przybrał na sile od czasu, gdy słyszał go po raz ostatni, tłumiąc odgłos jego kroków na wykładanych gumą schodach.

Dotarł do mercedesa, nie spotkawszy po drodze nikogo, a w trakcie przyjemnej przejażdżki do domu zauważył, że na ulicach panuje tylko trochę większy ruch niż trzy kwadransy wcześniej.

Jego położony na wzgórzu dom stał na dwóch aknach ogrodzonego terenu: futurystyczne, pomysłowe skupisko kwadratowych i prostokątnych form, po części odlanych z betonu, po części wykładanych czarnym marmurem, z wiszącymi tarasami, wspartymi na dźwigarach dachami, brązowymi drzwiami i wysokimi oknami, tak wielkimi, że wpadały na nie ptaki, i to nie pojedynczo, lecz całymi stadami.

Wzniósł go młody przedsiębiorca, który zbił ogromny majątek na udziałach w spółce internetowej,

a później zakochał się w architekturze Południowego Wschodu i zaczął budować ogromną rezydencję gdzieś w Arizonie.

Wystawił dom na sprzedaż, nawet się do niego nie wprowadziwszy.

Doktor zaparkował mercedesa w podziemnym garażu na osiemnaście samochodów i wjechał windą na parter.

Ogromne pokoje i rozległe korytarze miały podłogi z polerowanego czarnego marmuru.

Stare perskie kobierce – w kolorze błękitnym, brzoskwińowym, zielonym i rubinowym – mocno wyblakłe przez lata używania, zdawały się unosić nad czarnym kamieniem, jakby były magicznymi latającymi dywanami, a czerń pod nimi nie była skałą, lecz głęboką otchłanią nocy.

W korytarzach i większych pokojach światła zapalały się, kiedy wchodził, sprzężone z czujnikami ruchu sterowanymi przez elektroniczny zegar.

W mniejszych lampy reagowały na komendy głosowe.

Z wykładanego drewnem sykomorowym gabinetu doktor zatelefonował do biura i zostawił wiadomość sekretarce, prosząc ją, aby odwołała lub przesunęła jego spotkania o dziesiątej i jedenastej na następny tydzień, ponieważ przyjdzie dopiero po lunchu.

W środę po południu nie miał żadnych spotkań.

Zarezerwował ten czas dla Dustina i Martine Rhodes, którzy zadzwonią rano, prosząc o pomoc.

Półtora roku temu doktor zdał sobie sprawę, że Martie może stać się jedną z najważniejszych figur w pięknej grze, bardziej wyrafinowanej niż wszystkie, które do tej pory prowadził.

Osiem miesięcy temu podał jej swoją narkotyczną miksturę w kawie, z dodatkiem czekoladowego biskopta, i zaprogramował podczas trzech kolejnych wizyt Susan, kiedy Susan już od dawna znajdowała się pod jego kontrolą.

Od tamtej pory Martie czekała na swoją kolej, nieświadoma, że już jest częścią kolekcji Ahrimana.

We wtorek rano, osiemnaście godzin temu, kiedy przyszła wraz z Susan do jego gabinetu, doktor wreszcie włączył ją do gry, towarzysząc jej do kaplicy umysłu, gdzie zaszczerpił jej przekonanie, że nie może sobie ufać, że jest śmiertelnym zagrożeniem dla siebie i innych, potworem zdolnym do aktów skrajnej przemocy i niesłychanych okrucieństw.

Kiedy ją nakręcił i odesłał wraz z Susan Jagger, musiała przeżyć interesujący dzień.

Nie mógł się doczekać, by usłyszeć barwne szczegóły.

Na razie nie wykorzystał Martie seksualnie.

Choć nie tak piękna jak Susan, była dosyć atrakcyjna, i doktor próbował sobie wyobrazić, jaka może być cudownie wyuzdana, kiedy się naprawdę postara.

Nie cierpiała jeszcze w wystarczającym stopniu, by pociągać go erotycznie.

Wkrótce.

Teraz był w niebezpiecznym nastroju i wiedział o tym.

Regresja osobowości, którą przechodził podczas intensywnych zabaw, nie cofała się natychmiast po zakończeniu gry.

Jak nurek, który musi się wynurzać w odmierzonej tempie, aby uniknąć kurczów, Ahriman osiągał pełną dorosłość po kolejnych etapach dekompresji.

W tym momencie nie był w pełni ani mężczyzną, ani chłopcem, lecz podlegał emocjonalnej metamorfozie.

Podszedł do barku w rogu gabinetu, wlał butelkę coli – klasyczna recepta – do wysokiej szklanki z rżniętego kryształu, dodał gęstego syropu wiśniowego i lodu, mieszając napój długą srebrną łyżeczką.

Skosztował i uśmiechnął się.

Lepsze niż tsingtao.

Zmęczony, lecz nieustrudzony, krążył przez jakiś czas po domu, poinstruowawszy przedtem komputer, aby nie zapalał dla niego światła, lecz pozostawił tylko jedną przyćmioną lampę w salonie.

W pomieszczeniach, które zapewniały najlepszy widok, wołał mieć całkowitą ciemność, by móc napawać się nocną panoramą hrabstwa Orange.

Na rozległych równinach u stóp wzgórza nawet o tej godzinie błyszczały miliony światła.

Ahriman, stojąc w mroku przed ogromną szklaną taflą, patrząc na miejski krajobraz, który roztaczał się przed nim niczym największa na świecie plansza do gry, wiedział, jak mógłby czuć się Bóg spoglądający na swoje dzieło, gdyby istniał.

Doktor był graczem, a nie wyznawcą.

Sącząc wiśniową colę, chodził od pokoju do pokoju, mijał korytarze i galerie.

Wielki dom pod niejednym względem przypominał labirynt, w końcu jednak doktor wrócił do salonu.

To właśnie tu ponad osiemnaście miesięcy temu podporządkował sobie Susan.

W dniu zakończenia transakcji spotkał się z nią aby odebrać klucze od domu i grubą instrukcję obsługi systemów komputerowych.

Była zaskoczona, widząc dwa smukłe kieliszki i zamrożoną butelkę dom perignon.

Od dnia, kiedy się poznali, doktor bardzo uważał, aby się nie zdradzić, iż jego zainteresowanie jej osobą wykracza poza kwestię zakupu nieruchomości; nawet z kieliszkiem szampana w ręku przybrał ton tak erotycznie obojętny, że Susan, kobieta zamężna, nie wyczuła jego rzeczywistych intencji.

Co więcej, od momentu, kiedy ją poznał i postanowił włączyć do swojej kolekcji, dawał jej delikatnie do zrozumienia, że jest homoseksualistą.

Ponieważ był tak zachwycony swoim nowym domem i ponieważ ona też nie była rozczarowana wysokością prowizji, którą otrzymała, nie widziała nic złego w uczczeniu zawartej transakcji kieliszkiem szampana; w jej kieliszku znajdował się, rzecz jasna, narkotyk.

Teraz, po jej śmierci, targały Ahrimaniem sprzeczne emocje.

Sklonny do sentymentalnych uniesień, żałował Susan, ale czuł się również skrzywdzony, zdradzony.

Mimo wszystkich wspaniałych chwil, które razem przeżyli, zniszczyłaby go, gdyby tylko miała okazję.

Wreszcie rozwiązał konflikt, mówiąc sobie, że była tylko dziewczyną jak inne, że nie zasługiwała na cały ten czas i uwagę, które jej poświęcił.

Rozmyślać o niej teraz oznaczałoby przyznać, że zdobyła nad nim władzę, jakiej nie miał nigdy nikt.

To on był kolekcjonerem, nie ona.

On miał rzeczy, lecz one nie miały jego.

– Cieszę się, że nie żyjesz – powiedział na głos w ciemnym pokoju.

– Cieszę się, że nie żyjesz, głupia dziewczyno.

Mam nadzieję, że cię bolało.

Kiedy zwerbalizował swój gniew, poczuł się o wiele lepiej.

Znacznie lepiej, bez porównania.

Chociaż Cedric i Nella Hawthorne'owie, zarządzający majątkiem, mieszkali w domu, Ahriman nie obawiał się, że zostanie podsłuchany.

Hawthorne'owie z pewnością spali w swym trzypokojowym mieszkaniu w skrzydle dla służby.

I niezależnie od tego, co mogli zobaczyć bądź usłyszeć, nie musiał się przejmować, że zapamiętają

coś, co mogłoby mu zagrozić.

– Mam nadzieję, że cię bolało – powtórzył.

Potem wjechał windą na pierwsze piętro i poszedł korytarzem do głównej sypialni.

Umył zęby, oczyścił je starannie nitką dentystyczną i przebrał się w czarną jedwabną piżamę.

Nella posłała łóżko.

Biała pościel z czarną lamówką.

Mnóstwo miękkich poduszek.

Na nocnej szafce stał szklany puchar pełen czekoladowych baloników, po dwa z sześciu jego ulubionych rodzajów.

Doktor pożałował, że umył zęby.

Przed pójściem spać użył reagującego na dotyk ekranu, by uruchomić program sterujący zautomatyzowanym domem.

Za pomocą tego panelu kontrolnego mógł zapalać światła w całej rezydencji, wietrzyć i ogrzewać poszczególne pomieszczenia, podgrzewać wodę w basenie, włączać system bezpieczeństwa, kamery na zewnątrz oraz niezliczone inne systemy i urządzenia.

Wprowadził kod, by uzyskać dostęp do strony „skarbiec”, która obejmowała sześć sejfów ściennych różnych rozmiarów, rozmieszczonych na terenie rezydencji.

Dotknął symbolu „główna sypialnia” na ekranie i listę miejsc zastąpił obraz klawiatury.

Kiedy wystukał siedmiocyfrowy numer, przesuwana pneumatycznie granitowa płyta na frontonie kominka odjechała na bok, odsłaniając niewielki, wbudowany w ścianę stalowy sejf.

Ahriman wprowadził odpowiednią kombinację i po drugiej stronie pokoju mechanizm zamka odblokował się z cichym szczękiem.

Doktor podszedł do kominka, otworzył stalowe drzwi i wyjął z wyściełanego schowka litrowy słoje.

Postawił go na biurku z polerowanej stali i prążkowanego drewna i usiadł, by przyrzeć się jego zawartości.

Kilka minut później uległ jednak syreniemu śpiewowi pucharu ze słodyczami.

Zadumał się nad szklanym naczyniem i wreszcie wybrał migdałowy balonik Hersheya.

Nie umyje zębów po raz drugi.

Pójście spać ze smakiem czekolady w ustach miało w sobie urok zakazanej przyjemności.

Czasami był niegrzecznym chłopcem.

Usiadłszy przy biurku, Ahriman delektował się balonikiem i jednocześnie z uwagą studiował słoje.

Chociaż jadł bez pośpiechu, do chwili, gdy przełykał ostatni kęs czekolady, nie zdołał wyczytać nic z oczu swego ojca.

Były orzechowe, z mleczną mgiełką zasnuwającą tęczę.

Białka nie były już białe, lecz bladożółte, marmurkowane lekko pastelową zielenią.

Pływały w formalinie w zamkniętym hermetycznie słoju, spoglądając czasem przez wygięte szkło z chytrym wyrazem, a czasem z nieznośnym smutkiem.

Ahriman studiował te oczy przez całe życie, zarówno wtedy, kiedy były jeszcze osadzone w czaszce ojca, jak i później, gdy trafiły do słoja.

Strzegły tajemnic, które bardzo chciał poznać, lecz i tym razem pozostały nieprzeniknione.

Rozdział 42.

Na skutek działania tabletek nasennych Martie wydawała się niezdolna do tego, by wprowadzić się w stan paniki, nawet gdy została uwolniona z więzów i wstała z łóżka.

Ręce jednak trzęsły się jej niemal bez przerwy i cała sztywniała, kiedy Dusty podchodził zbyt blisko.

Nadal obawiała się, że mogłaby wyłupić mu paznokciami oczy, odgryźć nos, wbić zęby w jego wargi lub zrobić coś równie krwawego.

Rozbierając się pod prysznic, była sympatycznie nadaśana, przez co Dusty'emu wydała się jeszcze bardziej pociągająca, kiedy obserwował ją z odległości uznanej przez nią za względnie bezpieczną.

– Wyglądasz bardzo seksy, taka zagniewana.

– Nie czuję się seksy – powiedziała ochryplym głosem.

Wydęła wargi, odruchowo, ale niezwykle przekonująco.

– Czuję się jak ptasie gównno.

– Ciekawe.

– Nie dla mnie.

Ściągając majtki, powiedziała: – Nie widzę w tym nic ciekawego.

– Nie – odparł.

– Mam na myśli twój dobór słów.

Czujesz się jak ptasie gównno; dlaczego właśnie ptasie?

Ziewnęła.

– Czy tak się wyraziłam?

– Uhm.

– Nie wiem.

Może dlatego, że czuję się tak, jakbym długo spadała i rozbryznięła się po wszystkim.

Nie chciała być sama pod prysznicem.

Dusty stał w drzwiach łazienki i patrzył, jak Martie rozkłada matę, otwiera drzwi kabiny prysznicowej i odkręca wodę.

Kiedy weszła do kabiny, wśliznął się do środka i usiadł na zamkniętej pokrywie sedesu.

Gdy Martie zaczęła się namydlać, powiedział: – Jesteśmy małżeństwem od trzech lat, ale czuję się jak w nocnym klubie.

Kostka mydła, plastikowa butelka szamponu i tubka kremu nawilżającego wyglądały na tyle niewinnie, że zdołała się umyć, nie wpadając w panikę.

Dusty wyjął z szuflady toaletki suszarkę do włosów, włączył ją do gniazdka, podał jej i znów wycofał się pod drzwi.

Martie wzdragała się przed użyciem suszarki.

– Okręcę włosy ręcznikiem i niech po prostu wyschną.

– Potem będą ci sterczeć, nie będziesz mogła na nie patrzeć i będziesz psioczyć przez cały dzień.

– Nie psioczę.

– No cóż, z pewnością też nie jęczysz...

– A żebyś wiedział, że nie.

– Narzekasz?

– Niech będzie.

Na to mogę się zgodzić.

– Będziesz narzekać przez cały dzień.
Dlaczego nie chcesz użyć suszarki?
Nie jest niebezpieczna.
– Nie wiem.
Wygląda trochę jak pistolet.
– To nie jest pistolet.
– Nie twierdzę, że zachowuję się racjonalnie.
– Obiecuję, że jeśli nastawisz ją na pełną moc i spróbujesz wysuszyć mnie na śmierć, nie poddam się temu spokojnie.
– Drań.
– Wiedziałaś o tym, kiedy zgodziłaś się za mnie wyjść.
– Przepraszam.
– Za co?
– Że nazwałam cię draniem.
Wzruszył ramionami.
– Och, nazywaj mnie jak chcesz, tylko mnie nie zabijaj.
Płomyki gazu nie były tak błękitne jak jej oczy, kiedy zalsnił w nich gniew.
– To nie jest śmieszne.
– Nie boję się ciebie.
– Powinieneś – powiedziała żałośnie.
– Nie.
– Ty głupi, głupi...
człowieku.
– Człowiek.
No.
To ostateczna zniewaga.
Posłuchaj, jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie człowiekiem...
nie wiem, to może oznaczać, że z nami koniec.
Spojrzała na niego, sięgnęła wreszcie po suszarkę, ale zaraz opuściła rękę.
Spróbowała jeszcze raz, znów się cofnęła i zaczęła się trząść, nie ze strachu, lecz z bezsilności i cichej rozpacz.

Dusty przestraszył się, że może się rozplakać.
W nocy na widok jej łez skręcały mu się wnętrzności.
Podchodząc do niej, powiedział: – Pozwól mi to zrobić.
Odsunęła się od niego.
– Nie zbliżaj się.
Zdjął ręcznik z wieszaka i podał go jej.
– Zgodzisz się, że nie jest to ulubiona broń maniakalnych zabójców?
Zmierzyła wzrokiem długość ręcznika, jakby naprawdę oceniała jego morderczy potencjał.
– Złap go obiema rękami – poradził.
– Napręż go mocno, ściśnij, skoncentruj się i trzymaj.
Dopóki masz zajęte ręce, nie możesz mnie zranić.
Przyjęła ręcznik, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Mówię poważnie – powiedział.

– Myślisz, że zdołasz zrobić tym coś gorszego niż trzepnąć mnie po tyłku?

– To by mi nawet sprawiło przyjemność.

– Ale jest przynajmniej pięćdziesiąt procent szans, że przeżyję.

– Ponieważ nadal się wahała, dodał: – Poza tym mam suszarkę do włosów.

Spróbuj jakichś sztuczek, a zrobię ci taką fryzurę, że popamiętasz.

– Czuję się jak ostatnia kretynka.

– Nie jesteś nią.

Lokaj prychnął spod drzwi.

– Dwa do jednego przeciwko kretynizmowi – rzekł Dusty.

– Miejmy to już za sobą – powiedziała ponuro.

– Odwróć się i stań twarzą do umywalki, jeśli uważasz, że tak będzie bezpieczniej.

Stała twarzą do umywalki, ale zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na siebie w lustrze.

Chociaż w łazience nie było zimno, jej nagi kark pokrył się gęsią skórą.

Dusty wziął szczotkę i starannie rozczesywał jej wspaniałe czarne włosy pod strumieniem gorącego powietrza z suszarki, układając je tak jak ona je wcześniej układała, czemu wielokrotnie się przypatrywał.

Od kiedy byli razem, uwielbiał patrzeć, jak Martie dba o siebie.

Niezależnie od tego, czy myła włosy, malowała paznokcie, nakładała makijaż czy wcierała w skórę krem kosmetyczny, robiła to z niedbałą, niemal leniwą dokładnością, kocią i pełną cudownego wdzięku.

Jak lwica, świadoma własnej urody, ale nie próżna.

Martie zawsze sprawiała wrażenie silnej i Dusty nigdy nie martwił się co się z nią stanie, jeśli los zgotuje mu przedwczesną śmierć, kiedy będzie się wspinał po jakimś stromym dachu.

Teraz martwił się i czuł, że jego troska jest dla niej zniewagą, jakby litował się nad nią, a przecież wcale się nie litował, nie mógł.

Nadal była za bardzo sobą, by wzbudzać litość.

Mimo to wydawała się teraz niepokojąco podatna na ciosy – szyja tak wiotka, ramiona tak kruche, kręgi łączące się tak delikatnie w pacierzowym zagłębieniu jej szyi – i Dusty bał się o tę ukochaną kobietę jak nigdy dotąd, ale nie wolno mu było pokazać po sobie, do jakiego stopnia się boi.

Jak ujął to wielki filozof Skeet, miłość jest trudna.

W kuchni wydarzyło się coś dziwnego.

W istocie niemal wszystko, co wydarzyło się w kuchni, było dziwne, ale ostatnia rzecz, tuż przed tym, nim wyszli z domu, była z pewnością najdziwniejsza.

Najpierw Martie siedziała sztywno na jednym z kuchennych krzeseł z dłońmi wciśniętymi pod uda, a właściwie siedziała na dłoniach, jakby mogły chwycić wszystko, co znajdowało się w ich zasięgu, i cisnąć tym w Dusty'ego, gdyby nie były unieruchomione.

Ponieważ miała oddać krew do analizy, musiała pościć od dziewiątej poprzedniego wieczoru aż do chwili, gdy doktor skończy badania.

Siedząc w kuchni i patrząc, jak Lokaj z wilczym apetytem pożera swoje poranne chrupki, a Dusty pije mleko i zajada pączka, była wyraźnie zdenerwowana, choć nie dlatego, że odmawiała im prawa do pofolgowania sobie, kiedy jej nie wolno wziąć niczego do ust.

– Wiem, co jest w tych szufladach – powiedziała z lękiem w głosie, myśląc o nożach i innych ostrych narzędziach.

Dusty mrugnął.

– A ja wiem, co jest w twoich szufladach.

– Do diabła, lepiej zacznij traktować to bardziej poważnie – Jeśli to zrobię, równie dobrze możemy zabić się oboje już teraz.

Choć mars na jej czole się pogłębił, Dusty wiedział, że musiała uznać trafność jego spostrzeżenia.

– Właśnie do tego zmierzasz, pijąc tyle mleka i jedząc lukrowanego pączka z kremem.

Jesteś już w połowie drogi do samobójstwa.

Dopijając mleko, powiedział: – Myślę, że najlepszym sposobem, aby żyć normalnie – i pewnie długo – jest słuchać wszystkiego, co mówią ci faszyci Od zdrowego żywienia, a potem robić coś wręcz przeciwnego.

– A jeśli jutro powiedzą, że najzdrowsze na świecie są cheeseburgery i frytki?

– To dla mnie tofu i kiełki lucerny.

Myjąc szklanę, odwrócił się do niej plecami.

– Hej – powiedziała ostrym tonem, a on spojrzał na nią, wycierając szklanę, toteż nie zdążyła podkraść się do niego i zadać mu śmiertelnego ciosu puszką wieprzowiny z groszkiem.

Nie mogli zabrać Lokaja na poranny spacer.

Martie nie chciała zostać sama, gdy Dusty będzie wyprowadzał psa.

A gdyby poszła z nimi, bałaby się, że wepchnie Dusty’ego pod nadjeżdżającą ciężarówkę i pokaleczy Lokaja motyką pozostawioną w ogródku przez któregoś z sąsiadów.

– To wszystko ma całkiem zabawne strony – powiedział Dusty.

– Nie ma w tym nic zabawnego – zaprzeczyła ponuro.

– Prawdopodobnie oboje mamy rację.

Otworzył kuchenne drzwi i wypuścił Lokaja na ogrodzone podwórze.

Było chłodno, ale nie bardzo zimno i nie zanosilo się na deszcz.

Postawił na ganku miskę z wodą i zwrócił się do psa: – Załatw się, gdzie chcesz, a ja to później pozbiрам, ale nie wyobrażaj sobie, że tak już będzie.

Zamknął drzwi, zaryglował je i spojrzał na telefon.

I właśnie wtedy wydarzyła się ta dziwna rzecz.

On i Martie zaczęli mówić jednocześnie, wchodząc sobie nawzajem w słowo.

– Martie, nie chcę, żebyś zrozumiała mnie źle...

– Bezgranicznie ufam doktorowi Clostermanowi...

– ...

ale sądzę, że powinniśmy się zastanowić...

– ...

ale przeprowadzenie analiz może zająć kilka dni...

– ...

czy nie zasięgnąć innej opinii...

– ...

i chociaż bardzo mi się to nie podoba...

– ...

nie innego lekarza...

– ...

myślę, że powinien mnie zbadać...

– ...

ale terapeutę...

– ...

psychiatrę...

– ...

który leczy stany lękowe...

– ...

z odpowiednim doświadczeniem...

– ...

kogoś takiego jak...

– ...

i myślę, że najlepszy byłby...

– ...

doktor Ahriman.

Wymówili to nazwisko chórem – i dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Potem Martie powiedziała: – Chyba już za długo jesteśmy małżeństwem.

– Jeszcze trochę i zaczniemy upodabniać się do siebie.

– Nie jestem wariatką, Dusty.

– Wiem, że nie.

– Ale zadzwoń do niego.

Podszedł do telefonu i uzyskał z informacji numer do gabinetu Ahrimana.

Zostawił prośbę o spotkanie w poczcie głosowej doktora, a potem wybrał numer jego telefonu komórkowego.

Rozdział 43.

Sypialnia w mieszkaniu Skeeta była pozbawiona jakichkolwiek ozdób i umeblowana ascetycznie jak cela mnicha.

Wcisnąwszy się w kąt, aby ograniczyć sobie swobodę ruchów, gdyby owładnął nią morderczy impuls, Martie stanęła z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zaciskając dłonie na bicepsach.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wczoraj?

Biedny Skeet jest znowu na odwyku, a ty mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Miałaś dosyć zmartwień – odparł Dusty, przerzucając rzeczy ułożone starannie w dolnej szufladzie bieliźniarki tak prostej, jakby wykonał ją członek nowej sekty religijnej, która uważa meble kwaków za nieprzyzwoicie ozdobne.

– Czego szukasz?

Jego prochów?

– Nie.

Jeśli tu są, trzeba by kilku godzin, żeby je znaleźć.

Szukam...

no cóż, nie wiem, czego szukam.

– Za czterdzieści minut musimy być w gabinecie doktora Clostermana.

– Mnóstwo czasu – odrzekł Dusty, rozpoczynając poszukiwania w następnej szufladzie.

– Przyszedł do pracy naćpany?

– Tak.

Skoczył z dachu Sorensonów.

– Mój Boże!

Ciężko się zranił?

– Wcale.

– Wcale?!

– To długa historia – powiedział Dusty, otwierając górną szufladę bieliźniarki.

Nie zamierzał jej mówić, że skoczył z dachu razem ze Skeetem, nie teraz, kiedy była w takim stanie.

– Co przede mną ukrywasz?

– spytała.

– Niczego nie ukrywam.

– Co przede mną zatajasz?

– Martie, nie bawmy się w semantykę, dobrze?

– W takich chwilach jak ta nie może być żadnych wątpliwości, że jesteś synem Trevora Penna Rhodesa.

Zamykając ostatnią szufladę, powiedział: – Było nisko.

Niczego przed tobą nie zatajam.

– Przed czym mnie chronisz?

– Chyba szukam dowodu – wyjaśnił, zamiast odpowiedzieć na jej pytanie – że Skeet związał się z jakąś sektą.

Ponieważ przeszukał już nocną szafkę przy łóżku, wszedł do sąsiadującej z sypialnią łazienki – małej, czystej i zupełnie białej.

Otworzył apteczkę i szybko przejrzał jej zawartość.

W sypialni Martie powiedziała gniewnym i oskarżycielskim tonem: – Nie wiesz, co teraz robię.

– Szukasz siekiery?

– Drań.

– Już to słyszałem.

– I jeszcze usłyszysz.

Kiedy wyszedł z łazienki, zobaczył, że jest roztrzęsiona i blada niczym jakieś stworzenie, które żyje pod kamieniem, chociaż o wiele ładniejsza.

– Dobrze się czujesz?

– Co to znaczy: z sektą?

Chociaż skuliła się, kiedy do niej podszedł, wziął ją za rękę, wyciągnął z kąta i zaprowadził do salonu.

– Skeet powiedział, że skoczył z dachu, ponieważ anioł śmierci kazał mu to zrobić.

– To tylko gadanie naćpanego.

– Może.

Ale wiesz, jak działają takie sekty; pranie mózgu i tak dalej.

– O czym ty mówisz?

– Pranie mózgu.

W salonie wycofała się do kąta i znów wsunęła ręce pod pachy.

– Pranie mózgu?

– Fikumiku, mózg w cebrzyku.

Całe umeblowanie salonu stanowiła kanapa, fotel, stolik do kawy, przenośny stoliczek i regał, na którym stały książki i leżały czasopisma.

Dusty zadarł głowę, by przeczytać tytuły na grzbietach.

– Co przede mną ukrywasz?

– spytała Martie ze swego kąta.

– Niczego nie ukrywam.

– Nie pomyślałbyś, że związał się z sektą – pranie mózgu, na miłość boską – tylko dlatego, że bredził coś o aniele śmierci.

– Był jeszcze incydent w klinice.

– Nowego Życia?

– Tak.

– Jaki incydent?

Na półkach stały same powieści fantasy.

Historie o smokach czarownikach, magach i nieustraszonych bohaterach z nieistniejących krain.

Dusty po raz kolejny zadumał się nad osobliwym gustem Skeeta; bądź co bądź dzieciak i tak żył głównie w świecie fantazji i nie musiał przenosić się tam dla rozrywki.

– Jaki incydent?

– nalegała Martie.

– Wpadł w trans.

– Co to znaczy w trans?

– No wiesz, jak wtedy, kiedy magik, jeden z tych cenionych hipnotyzerów, wprowadza się w trans i sprawia, że gdaczesz jak kura.

– Skeet gdakał jak kura?

– Nie, to było bardziej skomplikowane.

W miarę jak Dusty przeglądał półki, tytuły napawały go coraz większym smutkiem.

Uświadomił sobie, że być może jego brat szukał ucieczki w tych wymyślonych królestwach, ponieważ były czystszy, lepszy, bardziej uporządkowanymi fantazjami niż ta, w której żył.

W tych książkach zaklęcia działały, przyjaciele byli prawdziwi i odważni, zło i dobro wyraźnie zdefiniowane, dobro zawsze zwyciężało i nikt nie wpadał w uzależnienie od narkotyków i nie marnował sobie życia.

– Kwakał jak kaczka, gulgotał jak indyk?

– dopytywała Martie ze swego kąta.

– Co?

– Jak bardzo to było skomplikowane, to, co Skeet robił w klinice?

Przerzucając szybko stertę czasopism i nie znajdując nic, co opublikowałyby sekta bardziej złowieszcza niż koncern wydawniczy Time Warner, odparł: – Powiem ci później.

Teraz nie mamy na to czasu.

– Działasz mi na nerwy.

– Mam do tego talent – powiedział, porzucając czasopisma i książki dla małej kuchni.

– Nie zostawiaj mnie tu samej – poprosiła.

– Więc chodź ze mną.

– Za nic – odparła, myśląc najwidoczniej o nożach, widelcach i tłuczkach do ziemniaków.

– Za nic.

To kuchnia.

– Nie zamierzam cię prosić, żebyś gotowała.

Kuchnia i jadalnia były otwarte na salon, toteż Martie mogła go widzieć, gdy otwierał szuflady i drzwiczki szafek.

Milczała przez pół minuty, lecz kiedy się odezwała, głos jej drżał: – Dusty, ze mną jest coraz gorzej.

– A mnie się zdaje, kochanie, że z każdym dniem wyglądasz coraz lepiej.

– Przestań.

Mówię poważnie.

Jestem na krawędzi i szybko się staczam.

Wśród rondli i garnków Dusty nie znalazł żadnych przedmiotów kultu.

Żadnych tajemniczych pierścieni.

Żadnych broszur o zbliżającym się końcu świata.

Żadnych rozpraw o tym, jak rozpoznać Antychrysta, jeśli spotka się go na ulicy.

– Co ty tam robisz?

– spytała Martie.

– Wbijam sobie nóż w serce, żebyś nie musiała się trudzić.

– Ty draniu.

– Powtarzasz się – powiedział, wracając do salonu.

– Jesteś taki zimny – poskarżyła się.

Jej blada twarz pociemniała z gniewu.

– Jak lód – zgodził się.

– Jesteś.

Naprawdę.

- Arktyczny.
- Nienawidzę cię.
- Uwielbiam cię – odparł.

Nagle coś sobie uświadomiła i jej oczy rozszerzyły się, kiedy powiedziała: – Jesteś moją Martie.

- To nie brzmi jak kolejna zniewaga.
- A ja jestem twoją Susan.
- Och, to niedobrze.

Będziemy musieli zmienić wszystkie nasze ręczniki z monogramami.

- Przez rok traktowałam ją tak, jak ty traktujesz mnie.

Żartowałam z niej, nie pozwalałam jej uważać się nad sobą, próbowałam podtrzymywać ją na duchu.

- Byłaś prawdziwą suką, co?

Martie roześmiała się.

Niepewnie, o włos od płaczu, jak w operze, kiedy heroina zanosi się sopranowym śmiechem, a potem wpada w kontraltowy tryl rozpaczy.

- Tak, byłam wredną i przemądrzałą suką, ponieważ bardzo ją kocham.

Dusty uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Musimy iść.

Wyszła ze swego kąta, postąpiła jeden krok i zatrzymała się, niezdolna iść dalej.

- Dusty, nie chcę być Susan.

- Wiem.

- Nie chcę...

tak się pograżać.

- Nie pograżysz się.

- Boję się.

Martie, która zazwyczaj wołała jasne kolory, tym razem ubrała się na ciemno.

Czarne buty, czarne dżinsy, czarny sweter i czarna skórzana kurtka.

Wyglądała jak żałobnik na pogrzebie motocyklisty.

W tym stroju powinna wydawać się twarda, nieustępliwa i groźna jak sama noc.

Tymczasem przypominała raczej ulotny cień, kurczący się i zanikający w bezlitosnym słońcu.

- Boję się – powtórzyła.

To był czas na prawdę, a nie na dowcipy, i Dusty powiedział: – Tak.

Ja też.

Przez zwyciężając swój strach przed domniemanymi skłonnościami morderczymi, ujęła go za rękę.

Jej była zimna, ale dotknięcie stanowiło postęp.

- Muszę zadzwonić do Susan – powiedziała.

- Czekala na mój telefon wczoraj wieczorem.

- Zadzwoimy do niej z samochodu.

Gdy wychodzili z mieszkania, szli korytarzem, po schodach, przez małą sień, gdzie Skeet dopisał ołówkiem FARNER pod nazwiskiem CAULFIELD na skrzynce pocztowej.

Gdy wychodzili z budynku, Dusty czuł, jak dłoń Martie robi się coraz cieplejsza, i ośmielił się pomyśleć, że zdoła ją uratować.

Ogrodnik, przystojny młody Latynos z oczami czarnymi jak smoła, zbierał ścinki żywopłotu do jutowego worka.

Uśmiechnął się do nich i skinął głową.

Na trawniku obok niego leżały małe nożyce i wielki oburęczny sekator.

Na widok stalowych ostrzy Martie wydała zduszony okrzyk.

Wyrwała rękę z dłoni Dusty'ego i pobiegła, nie w kierunku groźnych narzędzi, ale w drugą stronę, do czerwonego saturna zaparkowanego przy krawężniku.

– Disputa?

– spytał ogrodnik Dusty'ego współczującym tonem, jakby sam miał wiele doświadczenia w kłótniach z kobietami.

– Infinidad – odparł Dusty, mijając go szybkim krokiem, i dopiero przy samochodzie uświadomił sobie, że chciał powiedzieć enfermedad, co znaczy „choroba”, a zamiast tego powiedział „nieskończoność”.

Ogrodnik patrzył za nim bez zdziwienia, kiwając posepnie, jakby w przejęczeniu Dusty'ego kryła się niezaprzeczalna głębia.

Takie są skutki wiedzy opartej na podstawach bardziej kruchych niż fundamenty zamków budowanych na piasku.

Nim Dusty zajął miejsce za kierownicą samochodu, Martie siedziała w fotelu pasażera, zgięta nad tablicą rozdzielczą, trzęsąc się i jęcząc.

Zwarła uda i ścisnęła nimi dłonie, jakby opanowała ją nieposkromiona żądza zniszczenia.

Kiedy Dusty zatrzasnął drzwi, spytała: – Czy w schowku na rękawiczki jest coś ostrego?

– Nie wiem.

– Czy jest zamknięty?

– Nie wiem.

– Zamknij go, na miłość boską.

Zamknął schowek i zapuścił silnik.

– Pospiesz się – błagała.

– Dobrze.

– I nie jedź za szybko.

– Dobrze.

– Ale pospiesz się.

– To w końcu jak mam jechać?

– spytał, odbijając od krawężnika.

– Jeśli będziesz jechał za szybko, mogę spróbować wyrwać ci kierownicę i wpakować nas na drzewo albo pod nadjeżdżającą ciężarówkę.

– Na pewno tego nie zrobisz.

– Mogłabym – upierała się.

– Zrobię.

Wolałbyś nie wiedzieć, co dzieje się w mojej głowie.

Efekt uboczny trzech tabletek nasennych ustępował z każdą sekundą.

– O Boże – jęknęła.

– Boże, proszę, proszę, nie pozwól mi oglądać tych rzeczy, nie każ mi ich oglądać.

Kuląc się żałośnie, przerażona okrutnymi scenami, które przelatywały nieproszone przez jej umysł, Martie zakaszłała a niebawem kaszel przeszedł w tak gwałtowne spazmy mdłości że z pewnością zwróciłaby śniadanie, gdyby je zjadła.

Mimo wczesnej pory ruch na ulicach był dosyć duży i Dusty wciąż zmieniał pasy, ignorując wściekłe spojrzenia innych kierowców i ostre dźwięki klaksonów.

Martie znalazła się na emocjonalnym torze saneczkowym, pędząc z zawrotną prędkością po śliskim lodzie – na końcu rynny czekał ją atak paniki.

Dusty pragnął znaleźć się jak najbliżej gabinetu doktora Clostermana, kiedy Martie uderzy w bandę i roztrzaska się, co miał okazję oglądać poprzedniej nocy.

Jechał coraz szybciej i agresywniej, wciskając się między inne samochody przy akompaniamencie wycia klaksonów i pisku hamulców.

Prawie miał nadzieję, że zatrzyma go policjant.

Biorąc pod uwagę stan Martie, każdy gliniarz powinien zrezygnować z wypisywania mandatu i zapewnić mu eskortę na sygnale.

Pogarszający się stan.

Co prawda mdłości ustąpiły, ale Martie zaczęła dla odmiany kołysać się na fotelu w przód i w tył, jęcząc, uderzając czołem o wyściełaną tablicę rozdzielczą, początkowo cicho i powoli, jakby chciała oderwać się od demonów, które kotłowały się w jej umyśle, a potem coraz mocniej, wciąż szybciej i szybciej, nie jęcząc już, lecz stękając jak rugbysta napierający na przeciwnika, szybciej, mocniej.

„Uh, uh, uh, uuuh”.

Dusty przemawiał do niej, prosił, aby się uspokoiła, wzięła się w garść, pamiętała, że jest tu z nią, że jej ufa i że wszystko będzie dobrze.

Nie wiedział, czy go słyszy.

Nic z tego, co mówił, nie przynosiło jej żadnej pociechy.

Rozpaczliwie pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć jej łagodnie, podejrzewał jednak, że podczas takiego ataku każdy dotyk może spowodować skutek przeciwny do zamierzonego.

Jego ręka na jej ramieniu mogła wywołać jeszcze większe paroksyzmy strachu i obrzydzenia.

Gabinet doktora Clostermana mieścił się w wieżowcu przylegającym do szpitala.

Oba budynki wznosiły się w następnym kwartale i górowały nad wszystkimi innymi w okolicy.

Mimo wyściółki Martie była pewna, że zrani się, jeśli nadal będzie uderzać głową o tablicę, ale nie mogła się opanować.

Nie krzyczała z bólu, lecz stękała przy każdym uderzeniu, przeklinała, spierała się ze sobą; wyglądała jak kobieta opętana przez złe duchy.

Parking otaczający kompleks medyczny tonął w cieniu wielkich drzew.

Dusty znalazł wolne miejsce blisko wieżowca, pod baldachimem z gałęzi.

Nawet kiedy zatrzymał i zaparkował samochód, miał wrażenie, że nadal się porusza.

Poranny wiatr potrząsał cieniami za przednią szybą, a słoneczne plamy drżały na zakrzywionym szkle i zdawały się uciekać w obie strony niczym jasne strzępy listowia unoszone pędem powietrza.

Kiedy Dusty wyłączył silnik, Martie przestała uderzać czołem o tablicę.

Jej ręce, do tej pory uwięzione pomiędzy ściśniętymi kolanami, wyrwały się na wolność.

Objęła nimi głowę, jakby próbowała powstrzymać fale bólu przy ataku migreny, ugniatając czaszkę tak mocno, że skóra na jej kłykciach napięła się i zrobiła gładka i biała jak przeświecająca przez nią kość.

Nie jęczała już, nie przeklinała ani nie spierała się ze sobą.

Pochyliwszy się jeszcze raz do przodu, zaczęła krzyczeć.

W przerwach pomiędzy kolejnymi przenikliwymi wrzaskami chwytiała łapczywie powietrze, jak tonący pływak.

W jej krzykach brzmiał strach, ale także gniew, wstręt i szok.

I obrzydzenie, jak u pływaka, który poczuł, że w wodzie obok niego porusza się coś dziwnego, coś zimnego, śliskiego i przerażającego.

– Martie, co się dzieje?

Mów do mnie.

Martie, chcę ci pomóc.

Może z powodu krzyków, bicia własnego serca i szumu krwi w uszach nie usłyszała go, a może po prostu nic nie mógł zrobić i dlatego nie było sensu odpowiadać.

Walczyła z falami potężnych emocji, które zdawały się wciągać ją znów na głęboką wodę, ku ciemnej otchłani szaleństwa.

Wbrew rozsądkowi Dusty dotknął jej.

Zareagowała tak, jak się spodziewał, cofając się przed nim, strącając jego rękę ze swego ramienia i przyciskając się do drzwi pasażera, nadal przekonana, że mogłaby go oślepić lub zrobić coś jeszcze gorszego.

Młoda kobieta, która przechodziła przez parking z dwójką małych dzieci, usłyszała krzyki Martie, podeszła do saturna i spojrzała na Dusty'ego.

Jej oczy pociemniały, jakby zobaczyła snajpera strzelającego z dachu do przechodniów, zabójcę dzieci, seryjnego dusiciela, obłąkanego konstruktora bomb albo kolekcjonera głów, o których wyczynach czytała bez przerwy na pierwszych stronach gazet.

Przyciągnęła do siebie dzieci i szybkim krokiem ruszyła z nimi w stronę szpitala, zapewne szukając ochrony u strażnika.

Atak Martie minął jeszcze szybciej, niż się zaczął, nie stopniowo, lecz niemal natychmiast.

Ostatni krzyk, odbijający się echem od szyb w ciasnym wnętrzu samochodu, ustąpił miejsca jęklwym westchnieniom, a po chwili westchnienia były tylko głębokimi oddechami, w które wplatało się ściskające serce kwilenie rannego zwierzęcia, na przemian głośniejsze i cichsze, tak cienkie jak jedwabna nitka zszywająca jeden urywany oddech z drugim.

Chociaż Dusty nie widział ani jednej sceny z przerażającego spektaklu, który rozgrywał się w zakamarkach umysłu Martie, sam widok jej cierpienia wstrząsnął nim do głębi.

Usta miał wyschnięte, a jego serce waliło jak młotem.

Uniósł ręce, aby popatrzeć, jak drżą, a potem wytarł wilgotne dłonie o dzinsy.

Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce.

Wyciągnął je, stłumił ich brzęk w zaciśniętej dłoni i wsunął ją do kieszeni, zanim Martie zdążyła podnieść głowę i zobaczyć, co trzyma.

Nie obawiał się, że powodowana zawziętą determinacją wyrwie mu kluczyki i dźgnie go w twarz, aby go oślepić, jak to podobno zrobiła w swojej wizji.

W tej chwili nie bał się jej bardziej niż przed tym ostatnim atakiem.

Ale tuż po ataku wystarczyłby zapewne sam widok kluczyków, aby znów zaczęła spadać po schodach paniki.

Opuściła ręce i siedziała wyprostowana, w całkowitej ciszy, przerywanej jedynie własnym ciężkim oddechem.

– Dłużej tego nie wytrzymam – szepnęła.

– Już po wszystkim.

– Obawiam się, że nie.

– Przynajmniej na razie.

Nakrapiana słonecznym blaskiem i cieniami liści twarz Martie, nie bardziej rzeczywista niż twarz ze snu, wydawała się migotać złotem i czernią, jakby za chwilę miała stracić wszelki kształt i odejść w niebyt fontanną świetlistych iskier, niczym raca na bezdennym nocnym niebie.

Chociaż rozumowo odrzucał możliwość, że ją traci, w głębi duszy czuł, iż oddala się od niego, porwana przez siłę, której nie rozumiał i przed którą nie potrafił zapewnić jej obrony.

Nie.

Doktor Ahriman jej pomoże.

Musi.

Niewykluczone, że doktor Closterman, dysponujący wszystkimi osiągnięciami nowoczesnej techniki medycznej, zdoła rozpoznać jej chorobę, wykryć przyczynę i znaleźć lekarstwo.

A jeśli nie Closterman, to na pewno Ahriman.

Z gąszczu poruszanych wiatrem cieni wyłoniły się oczy Martie, niebieskie jak dwa szafiry na kamiennej twarzy zarosłego dżunglą posągu bogini.

W jej wzroku nie było żadnych złudzeń.

Żadnej przesądnej pewności, że wszystko będzie dobrze na tym najlepszym z możliwych światów.

Tylko posępne zrozumienie.

W jakiś sposób udało się jej przezwyciężyć lęk przed własnymi morderczymi skłonnościami.

Wyciągnęła do niego rękę.

Przyjął ją z wdzięcznością.

– Biedny Dusty – powiedziała.

– Naćpany brat i obłąkana żona.

– Nie jesteś obłąkana.

– Pracuję nad tym.

– Cokolwiek ci się stanie – powiedział – nie stanie się tylko tobie.

Stanie się nam obojgu.

Tkwimy w tym razem.

– Wiem.

– Dwaj muszkietierowie.

– Butch i Sundance.

– Mickey i Minnie.

Nie uśmiechnął się.

Ona też nie.

Ale z typowym dla siebie hartem ducha Martie powiedziała: – Przekonajmy się, czy doktor Closterman nauczył się czegoś na tej cholernej akademii medycznej.

Rozdział 44.

Doktor Closterman zmierzył Martie temperaturę, ciśnienie krwi, puls, starannie zbadał oftalmoskopem lewe oko, potem prawe, zajrzał otoskopem w głębiny uszu, bardzo uroczyście osłuchał, przykładając stetoskop do piersi i pleców – „Nabrać powietrza i nie oddychać, wypuścić, nabrać i nie oddychać” – obmacał brzuch, szybko sprawdził odruch słuchowo-wzrokowy, uderzył delikatnie małym młoteczką w śliczną rzepkę, by zbadać odruch kolanowy, i stwierdził, że Martie jest wyjątkowo zdrową młodą kobietą, która fizjologicznie nie ma nawet swoich dwudziestu ośmiu lat.

Z krzesła w rogu gabinetu Dusty powiedział: – Młodnieje z tygodnia na tydzień.

Closterman zwrócił się do Martie: – Sypie takimi komplementami przez cały czas?

– Każdego ranka muszę zamiatać dom.

– Uśmiechnęła się do Dusty’ego.

– Uwielbiam to.

Closterman zbliżał się do pięćdziesiątki, ale, w przeciwieństwie do Martie, wyglądał – a wyniki badań z pewnością to potwierdzały – znacznie starszej, i to nie tylko z powodu przedwcześnie posiwiiałych włosów.

Podwójny podbródek, pełne policzki, oczy zaczerwienione w kącikach i nieustannie nabiegłe krwią od nadmiaru słonego powietrza, wiatru i słońca, opalenizna, która przeraziłaby każdego dermatologa – wszystko to zdradzało wielkiego smakosza, wędkarza, żeglarza i prawdopodobnie konesera piwa.

Od wydatnego czoła do wydatnego brzucha był żywym przykładem konsekwencji ignorowania dobrych rad, których bezwstydnie udzielał swoim pacjentom.

Doktor miał umysł ostry jak skalpel, w podejściu do chorych przypominał ukochanego dziadka, siadającego przy nich z książką w rękę, i traktował swoje powołanie w sposób, który zawstydziłby Hipokratesa, lecz Dusty wolał go od wszystkich innych internistów nie tyle z powodu tych wspaniałych zalet, ile ze względu na jego bardzo ludzkie, choć z medycznego punktu widzenia niezdrowe słabości.

Doktor był rzadkim przykładem specjalisty pozbawionego arogancji, zdolnego do rozpatrywania problemu ze świeżej perspektywy, a nie przez końskie okulary rutyny, jakże często zaślepiającej tych, którzy uważają się za wybitnych ekspertów, świadomego własnych słabości i ograniczeń.

– Imponująco zdrowa – orzekł Closterman, robiąc notatki w karcie Martie.

– Silny organizm.

Jak twój ojciec.

Siedząc na krawędzi stołu do badań w papierowej tunice i zrolowanych czerwonych podkolanówkach, Martie rzeczywiście wydawała się zdrowa jak instruktorka aerobiku w telewizji kablowej, prowadząca intensywne ćwiczenia z gromadą zapaleńców, którzy uważają, że śmierć jest raczej kwestią osobistego wyboru niż nieuchronnej konieczności.

Dusty widział jednak u Martie zmiany, których Closterman, mimo swojej troski o pacjentów, nie potrafił dostrzec.

Czarny cień w oczach, który zasnuwał jej jasne zazwyczaj spojrzenie.

Ponury grymas ust i pełne rezygnacji pochylenie ramion.

Chociaż Closterman zgodził się skierować Martie do pobliskiego szpitala na serię analiz, najwyraźniej uważał to po prostu za nieco dokładniejszą niż zwykle doroczną kontrolę, a nie za podstawowy krok w określeniu przyczyny zagrażającej życiu choroby.

Doktor wysłuchał znacznie skróconej opowieści o jej dziwnym zachowaniu w ciągu ostatnich

dwudziestu czterech godzin, a chociaż nie opisała szczegółowo swoich przerażających wizji, opowiedziała dosyć, by Dusty pożałował, że zjadł na śniadanie tłusty pączek.

Mimo to, gdy doktor skończył robić notatki w karcie pacjenta, wdał się w wyjaśnienia na temat różnych źródeł stresu, psychicznych i fizjologicznych problemów związanych ze stresem i najlepszych metod zwalczania stresu – jakby problem Martie wynikał z przepracowania, braku wolnego czasu, skłonności do przejmowania się drobnostkami i zbyt twardej materacy.

Przerwała Clostermanowi, prosząc, by zechciał łaskawie odłożyć młoteczek do badania odruchów.

Zamrugnął, wykolejony z szyn swojego kazania o stresie, które tak ładnie nabierało rozpędu, i spytał:
– Mam go odłożyć?

– Denerwuje mnie.

Wciąż na niego patrzę.

Boję się tego, co mogłabym nim zrobić.

Instrument z polerowanej stali był maleńki jak zabawka i wydawał się bezużyteczny jako broń.

– Gdybym go rzuciła panu w twarz – powiedziała Martie cichym i spokojnym głosem, który nadawał jej słowom jeszcze groźniejszy wydźwięk – oszołomiłabym pana albo nawet gorzej, a wtedy miałabym czas, żeby złapać coś bardziej niebezpiecznego.

Na przykład długopis.

Czy mógłby pan schować długopis?

Proszę.

Dusty przesunął się na skraj krzesła.

Zaraz się zacznie.

Doktor Closterman spojrział na długopis leżący na zamkniętej teczce z kartą pacjenta.

– To tylko zwykły długopis.

– Powiem panu, co mogłabym nim zrobić, doktorze.

Mała próbka tego, co przychodzi mi do głowy, a ja nie wiem, skąd się to bierze, wszystkie te straszne rzeczy, i jak to powstrzymać.

– Niebieska papierowa tunika wydała trzeszczący i złowieszczo szeleszczący dźwięk, jak suchy kokon, z którego próbuje wykluć się coś przerażającego.

Jej głos nadal był cichy, choć teraz pojawiła się w nim ostra nuta.

– Naprawdę nie obchodzi mnie, czy to mont-blanc, czy bić, ponieważ jest to również sztylet, szpikulec, a ja mogłabym porwać go z tej teczki i rzucić się na pana, zanim zdążyłby się pan zorientować, co się dzieje, wbić go panu w oko, wepchnąć do połowy w głąb czaszki, przekręcić go, przekręcić, przekręcić, wwiercić się panu do mózgu, i albo padłby pan trupem na miejscu, albo spędził resztę życia na poziomie umysłowym pieprzonego ziemniaka.

– Trzęsła się.

Zęby jej szczykały.

Przycisnęła obie ręce do głowy, tak jak w samochodzie, jakby próbowała zdusić straszliwe obrazy, które rozkwitały nieproszone w ciemnym ogrodzie jej umysłu.

– I niezależnie od tego, czy byłby pan martwy czy żywy, mogłabym zrobić z panem bardzo wiele rzeczy.

W jednej z tych szuflad trzyma pan strzykawki, igły, a na tamtej półce stoi szklany słoik pełen drewnianych szpatulek.

Odłamki szkła to doskonałe noże.

Mogłabym pociąć panu twarz albo odkroić ją po kawałku i przyszpilić te kawałki do ściany igłami, zrobić kolaż z pańskiej twarzy.

Mogłabym to zrobić.

Widzę...

widzę to wszystko teraz w swojej głowie.

Ukryła twarz w dłoniach.

Przy słowie „ziemniak” Closterman poderwał się na nogi jak tancerz pomimo swojej tuszy.

Teraz wstał również Dusty.

– Pierwsza rzecz – powiedział wstrząśnięty lekarz – to recepta na valium.

Ile było takich ataków?

– Kilka – odparł Dusty.

– Ale ten nie był jeszcze taki straszny.

Do okrągłej twarzy Clostermana lepiej pasował uśmiech; mars na jego czole nie wywierał odpowiednio surowego wrażenia z powodu piłeczki nosa, różowych policzków i wesołych oczu.

– Nie taki straszny?

Były gorsze?

W takim razie nie radziłbym przeprowadzać tych analiz bez valium.

Niektóre badania, na przykład mierzenie rezonansu magnetycznego, mogą denerwować pacjentów.

– Już jestem zdenerwowana – powiedziała Martie.

– Damy ci środki uspokajające, więc nie będzie to takie przykre.

– Closterman ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się z ręką na gałce drzwi.

Spojrzał na Dusty’ego.

– Jest pan tu bezpieczny?

Dusty skinął głową.

– To tylko rzeczy, które boi się zrobić, a nie coś, co mogłaby zrobić.

Nie ona, nie Martie.

– Nie mogłabym, akurat – powiedziała zza welonu palców.

Kiedy Closterman wyszedł, Dusty zabrał młoteczek i długopis z zasięgu wzroku Martie.

– Lepiej się czujesz?

Widziała przez palce, co przed chwilą zrobił.

– To upokarzające.

– Mogę potrzymać cię za rękę?

Wahanie.

Potem: – Dobrze.

Closterman wrócił z dwoma opakowaniami valium.

Otworzył jedno i podał Martie tabletkę wraz z papierowym kubkiem napełnionym wodą.

– Martie – powiedział Closterman – jestem przekonany, że badania wykluczą jakiegokolwiek zmiany w mózgu.

Większość z nas cierpi na niezwykle bóle głowy, które nie ustępują od razu, i natychmiast myśli, choćby przelotnie, że to musi być guz.

Ale guzy mózgu nie zdarzają się często.

– To nie jest ból głowy – przypomniała mu.

– Właśnie.

A bóle głowy są pierwszym objawem guza mózgu.

Podobnie jak odruch siatkówkowy, którego nie stwierdziłem, kiedy badałem twoje oczy.

Wspominałaś o wymiotach i mdłościach.

Gdybyś wymiotowała bez mdłości, mielibyśmy następny klasyczny objaw.

Z tego, co mi mówiłaś, nie masz halucynacji...

– Nie.

– ...

tylko te nieprzyjemne myśli, groteskowe obrazy w twojej głowie, ale nie mylisz ich z rzeczami, które dzieją się naprawdę.

Widzę tu ostry stan lękowy.

Kiedy więc zrobimy już wszystkie badania, chociaż najpierw będziemy musieli wykluczyć wiele dolegliwości fizjologicznych...

Cóż, przypuszczam, że będę musiał polecić jakiegoś terapeutę.

– Znamy jednego – powiedziała Martie.

– Ach tak?

Kogo?

– Jest uważany za jednego z najlepszych – odparł Dusty.

– Może pan o nim słyszał.

Psychiatra.

Doktor Mark Ahriman.

Chociaż okrągła twarz Roya Clostermana nie mogła ułożyć się w dostatecznie przekonujący grymas dezaprobaty, przybrała natychmiast całkowicie nieprzenikniony wyraz, równie trudny do odczytania jak obce hieroglify z innej galaktyki.

– Tak, Ahriman ma znakomitą reputację.

No i jego książki, rzecz jasna.

Jak udało wam się do niego dotrzeć?

Wyobrażam sobie, że nie uskarża się na brak pacjentów.

– Moja przyjaciółka leczy się u niego – powiedziała Martie.

– Mogę spytać, na co?

– Na agorafobię.

– Straszna rzecz.

– Odmieniła jej życie.

– Jak się czuje?

– Doktor Ahriman uważa, że wkrótce osiągnie przełom – odparła Martie.

– Dobra wiadomość – powiedział Closterman.

Spalona słońcem skóra w kącikach jego oczu zmarszczyła się, a wargi skrzywiły się pod dokładnie takim samym kątem po obu stronach ust, ale nie był to szeroki i ujmujący uśmiech, z którego sływał.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie był to uśmiech, lecz odmiana nieprzeniknionego wyrazu twarzy, przypominająca uśmiech Buddy, dobrotliwy, ale bardziej tajemniczy niż wesoły.

Wciąż marszcząc się i krzywiąc, powiedział: – Gdyby jednak okazało się, że doktor Ahriman nie przyjmuje nowych pacjentów, znam wspaniałą terapeutkę, pełną współczucia i mądrą kobietę, która z pewnością chętnie z tobą porozmawia.

– Zabrał teczkę Martie i długopis, którym mogła wykluć mu oko.

– Zanim jednak zaczniemy mówić o terapii, zróbmy te badania.

Oczekują cię w szpitalu, a wszystkie oddziały obiecały wcisnąć cię w swoje grafiki, jakbyś była nagłym przypadkiem, bez skierowań.

Będę miał wyniki do piątku i wtedy zdecydujemy, co dalej.

Badania trochę potrują i do tego czasu valium przestanie działać.

Jeśli chcesz zażyć następne, zanim zrealizujesz zamówienie w aptece, mam tu jeszcze jedną tabletkę.

Jakieś pytania?

Dlaczego nie lubisz Marka Ahrimana?

– zastanawiał się Dusty.

Nie zadał tego pytania.

Biorąc pod uwagę nieufność, z jaką traktował większość akademików i ekspertów – oba te tytuły Ahriman obnosił z dumą – i szacunek, jakim darzył doktora Clostermana, Dusty uznał swoją powściągliwość za trudną do wytłumaczenia.

A mimo to pytanie uwięzło mu między językiem a podniebieniem.

Kilka minut później, kiedy szedł z Martie przez dziedziniec do szpitala, uświadomił sobie, iż jego niechęć do zadania pytania, choć dziwna, była mniej zastanawiająca niż fakt, że nie poinformował doktora Clostermana, iż zatelefonował już do gabinetu Ahrimana, by umówić się na spotkanie tego samego dnia, i czekał na odpowiedź.

Głośne krakanie nad głową przyciągnęło jego uwagę.

Szare chmury płynęły po lazurowym niebie jak płachty brudnego płótna, a w powietrzu krążyły trzy czarne wrony, zataczając ciasne kręgi, jakby wyrwały włókna z tej wystrzępionej, zgniłej mgły, aby uwić sobie gniazda na cmentarzu.

Z jakiegoś powodu Dusty pomyślał o Poem, o pukającym do drzwi kruka, zwiastunie złych wieści.

A chociaż Martie, spokojna po valium, trzymała go za rękę bez wcześniejszej niechęci, Dusty pomyślał również o utraconej dziewicy Poego, Lenorze, i zastanawiał się, czy krakanie wron przetłumaczone na język kruków może oznaczać „nigdy więcej”.

W laboratorium hematologicznym Martie, patrząc, jak jej krew wypełnia po kolei kilka probówek, wdała się w pogawędkę z technikiem, młodym Amerykaninem wietnamskiego pochodzenia, Kennym Phanem, który wbił jej igłę w żyłę szybko i bezboleśnie.

– Sprawiam mniej przykrości niż wampir – powiedział Kenny z zaraźliwym uśmiechem – i zwykle mam przyjemniejszy oddech.

Dusty przyglądałby się ze zwykłym zainteresowaniem, gdyby to jemu pobierano krew, ale na widok krwi Martie zrobiło mu się nieswojo.

Widząc jego niewyraźną minę, poprosiła go, aby skorzystał z wolnej chwili i zadzwonił z telefonu komórkowego do Susan Jagger.

Zrobił to i czekał przez dwanaście sygnałów.

Kiedy Susan nie odebrała, wcisnął „koniec” i spytał Martie o numer.

– Znasz numer.

– Może wprowadziłem zły.

Znów wybrał numer, powtarzając go głośno, a kiedy wcisnął ostatnią cyfrę, Martie powiedziała: – To ten.

Tym razem doczekał do szesnastego sygnału, nim przerwał połączenie.

– Niema jej.

– Musi tam być.

Nigdy nie wychodzi.

Chyba że ze mną.

– Może jest pod prysznicem.

– Nie zgłasza się automatyczna sekretarka?

– Nie.

Spróbuję później.

Wyciszona po valium Martie wyglądała na zdziwioną, może nawet zatroskaną, ale nie na przestraszoną.

Zastępując pełną probówkę pustą, Kenny Phan powiedział: – Jeszcze jedna do mojej prywatnej kolekcji.

Martie roześmiała się, tym razem bez ukrytego drżenia mrocznych emocji.

Na przekór okolicznościom Dusty czuł, że normalne życie znów znajduje się w ich zasięgu, łatwiejsze do odzyskania, niż sobie wyobrażał w najczarniejszych chwilach ostatnich czternastu godzin.

Kiedy Kenny Phan przyklejał mały purpurowy płatek gazy na nakłucie po igle, rozległ się sygnał telefonu komórkowego Dusty’ego.

Dzwoniła sekretarka doktora Ahrimana, Jennifer, by potwierdzić, że psychiatra zmienił swój popołudniowy grafik i przyjmie ich o pierwszej trzydzieści.

– Mamy szczęście – powiedziała Martie z wyraźną ulgą, gdy Dusty przekazał jej wiadomość.

– Tak.

Dusty również poczuł ulgę, co wydawało się dziwne, zważywszy, że jeśli problem Martie miał charakter psychologiczny rokowania na szybkie i pełne wyzdrowienie były mniej pocieszające, niż gdyby u podłoża jej choroby leżały przyczyny czysto fizjologiczne.

Nigdy dotąd nie spotkał doktora Marka Ahrimana, a mimo to po rozmowie z sekretarką psychiatri spłynęło na niego ciepłe poczucie bezpieczeństwa, krzepiący płomień otuchy, co również było dziwną i zastanawiającą reakcją.

Jeśli problem nie miał podłoża medycznego, Ahriman będzie wiedział, co robić.

Z pewnością odkryje źródło lęków Martie.

Nieufność Dusty’ego wobec wszelkiego rodzaju ekspertów przybierała formy niemal patologiczne i on pierwszy był gotów przyznać, do jakiego stopnia.

Trochę przerażał go fakt, że tak kurczowo uczeplił się nadziei, iż doktor Ahriman ze swymi tytułami naukowymi, poczytnymi książkami, znakomitą reputacją, posiada magiczną zdolność doprowadzania rzeczy do ładu.

Najwidoczniej bardziej przypominał przeciętnego ssaka, niż chciałby w to wierzyć.

Kiedy wszystko, na czym zależało mu najbardziej – Martie i ich wspólne życie – znalazło się w niebezpieczeństwie i kiedy jego wiedza i zdrowy rozsądek nie wystarczały, aby rozwiązać problem, zwracał się do ekspertów nie tylko z pragmatyczną dozą nadziei, lecz także z czymś nieprzyjemnie zbliżonym do wiary.

No i co z tego?

Gdyby tylko mógł sprawić, że Martie odzyska panowanie nad sobą i stanie się taka jak dawniej, zdrowa i szczęśliwa, upokorzyłyby się przed każdym, zawsze i wszędzie.

Wciąż ubrana na czarno, teraz z purpurową różą gazy na ramieniu, Martie opuściła laboratorium hematologiczne, trzymając Dusty’ego za rękę.

Teraz czekał ich pomiar rezonansu magnetycznego.

Na korytarzu unosił się zapach wosku do podłogi, środków dezynfekcyjnych i słaba, ledwie uchwytna woń choroby.

Pojawiła się pielęgniarka i sanitariusz, tocząc wózek, na którym leżała młoda kobieta, nie starsza od Martie.

Była podłączona do kroplówki.

Jej twarz przykrywały kompresy poplamione świeżą krwią.

Wyglądało spod nich jedno oko; otwarte, szarozielone i szkliste na skutek szoku.

Dusty odwrócił się, czując, że naruszył prywatność nieznajomej, i ścisnął mocniej rękę Martie, przepełniony zabobonną pewnością, że w szklanym wzroku tej rannej kobiety czai się pech, gotów przeskoczyć, szybko jak mrugnięcie, z niej na niego.

Wykrzywiony i pomarszczony, nieprzenikniony uśmiech doktora Clostermana pojawił się w pamięci Dusty'ego jak uśmiech kota z Cheshire.

Rozdział 45.

Doktor Ahriman obudził się późno z niezakłóconego snu, wypoczęty i złakniony nowego dnia.

W doskonale wyposażonej sali gimnastycznej, która stanowiła część głównego apartamentu, zaliczył dwie pełne rundy na przyrządach wyrabiających mięśnie, a potem pedałowal pół godziny na stacjonarnym rowerze.

Do tego ograniczała się jego gimnastyka, trzy razy w tygodniu, lecz mimo to był tak samo sprawny jak dwadzieścia lat temu, miał osiemdziesiąt centymetrów w pasie i sylwetkę, która robiła wrażenie na kobietach.

Przypisywał to genom i umiejętności rozładowywania stresów.

Przed przysnkiem zadzwonił z wewnętrznego telefonu do kuchni i poprosił Nellę Hawthorne, aby przygotowała śniadanie.

Pół godziny później, z wilgotnymi włosami, w czerwonym jedwabnym szlafroku, roztaczając wokół siebie delikatną woń kremu, wrócił do sypialni i odebrał śniadanie z elektrycznej windy.

Na srebrnej tacy stała w srebrnym kubku z lodem karafka świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, salaterka truskawek z brązowym cukrem i gęstą śmietaną, pomarańczowomigdałowy rogalik i pół miseczki śmietankowego masła, kawałek ciasta kokosowego z marmoladą cytrynową i szczodra porcja prażonych orzeszków posypanych cukrem i cynamonem do pogryzania w trakcie posiłku.

Jadł na biurku z polerowanej stali i prążkowanego drewna, gdzie kilka godzin wcześniej studiował uwolnione od cielesnej powłoki oczy swego ojca.

Słój z formaliną nadal tam był.

Nie schował go do sejfu przed pójściem spać.

Czasem włączał rano telewizor, by obejrzeć dziennik przy śniadaniu, ale żaden ze sprawozdawców, niezależnie od kanału, nie miał oczu tak intrygujących jak oczy nieżyjącego od dwudziestu lat Josha Ahrimana.

Doktor dawno nie jadł tak dojrzałych i pachnących truskawek.

Rogalik był pyszny.

Oczy tatusia spoglądały tęsknie na poranną ucztę.

Jako wybitnie uzdolniony młody człowiek, doktor zakończył edukację i rozpoczął praktykę psychiatryczną dobrze przed trzydziestką.

Chociaż z nauką poszło mu łatwo, z bogatymi pacjentami już nie, mimo hollywoodzkich koneksji jego ojca.

Choć elita przemysłu filmowego głośno chwaliła się swoim brakami uprzedzeń, wielu jej przedstawicieli zwyczajnie nie miało ochoty kłaść się na kozetce u dwudziestokilkuletniego terapeuty.

Prawdę powiedziawszy, doktor nie wyglądał na swój wiek – teraz zresztą też – i mógł uchodzić za osiemnastolatka, kiedy wywieszał na drzwiach gabinetu tabliczkę.

Mimo to Ahriman był naprawdę rozgoryczony i uznał, że padł ofiarą hipokryzji.

Ojciec nadal służył mu hojnym wsparciem, lecz Mark z coraz większą niechęcią korzystał z jego szczodrobliwości.

Krępowano go, że mając dwadzieścia osiem lat, wciąż nie jest samodzielny.

Poza tym, choć portfel Josha Ahrimana był otwarty, płynące stamtąd środki nie wystarczały, aby doktor mógł wieść życie, jakiego pragnął, i finansować badania, które chciał prowadzić.

Jako jedyne dziecko i jedyny spadkobierca zabił swego ojca potężną dawką mieszanki szybko działającego tiobarbitanu z paraldehydem, wstrzyknąwszy ją do dwóch przepysznych marcepanowych baloników w czekoladzie, do których starszy pan miał słabość.

Zanim podpalił dom, by zniszczyć okaleczone ciało, dokonał częściowej sekcji twarzy ojca, poszukując źródła jego łez.

Josh Ahriman był znanym scenarzystą, reżyserem i producentem – prawdziwie groźne połączenie – którego dorobek obejmował dzieła od prostych historii miłosnych do patriotycznych opowieści o bohaterstwie.

Te bardzo zróżnicowane filmy miały jedną cechę wspólną: publiczność na całym świecie płakała na nich rzewnymi łzami.

Niektórzy krytycy – chociaż z pewnością nie wszyscy – nazywali je sentymentalnymi bzdurami, ale widzowie wypełniali sale kinowe, a tatuś zdobył dwa Oscary za reżyserię i scenariusz – przed swoją przedwczesną śmiercią w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

Jego filmy przynosiły zyski, ponieważ wyrażane w nich uczucia były szczerze.

Chociaż tatuś przejawiał wystarczającą bezwzględność i dwulicowość, by odnieść sukces w Hollywood, miał również wrażliwą duszę i tak czułe serce, że swego czasu był jednym z mistrzów świata w płakaniu.

Płakał rzewnie na pogrzebach osób, o których śmierć często i żarliwie się modlił.

Płakał bez żenady na weselach, na rocznicach ślubów, na rozprawach rozwodowych, na barmicwach, na przyjęciach urodzinowych, na wiecach politycznych, na walkach kogutów, w Święto Dziękczynienia, w Boże Narodzenie, w Nowy Rok, Czwartego Lipca i w Święto Pracy, a najbardziej rzęsiście i gorzko w rocznicę śmierci swojej matki.

Jeśli sobie o niej przypomniał.

Był człowiekiem, który poznał wszystkie tajemnice łez.

Wiedział, jak wyciskać je z miłych staruszek i twardych związkowców.

Jak wzruszać nimi piękne kobiety.

Jak za ich pomocą oczyszczać się ze smutku, bólu, rozczarowania i stresu.

Nawet chwile radości były bardziej podniosłe i subtelne z przyprawą w postaci łez.

Dzięki znakomitemu wykształceniu medycznemu doktor wiedział, w jaki sposób ludzkie ciało wytwarza, magazynuje i wydziela łzy.

Mimo to oczekiwał, że odkryje coś istotnego, dokonując sekcji narządu płaczu swego ojca.

Spotkało go rozczarowanie.

Kiedy odciął tatusiowi powieki i delikatnie wyjął jego oczy, przekonał się, że każdy gruczoł łzowy znajduje się tam, gdzie powinien: w oczodole, powyżej i z boku gałki ocznej.

Gruczoły miały normalny rozmiar, kształt i budowę.

Mniejsze i większe kanaliki łzowe też nie odznaczały się niczym szczególnym.

Każda torebka łzowa – osadzona w rowku kostnym za więzadłem tarczowym, skąd trudno ją było wydobyć w stanie nienaruszonym – miała trzynaście milimetrów, tyle co u przeciętnego człowieka.

Ponieważ narząd płaczu był maleńki, składał się z bardzo delikatnej tkanki i uległ uszkodzeniu podczas pospiesznej autopsji, doktor nie zdołał zachować żadnej z jego części.

Ocalił tylko gałki oczne, a w dodatku, mimo starannego zabezpieczenia – formalina, hermetyczne zamknięcie, regularna konserwacja – nie mógł zapobiec ich postępującemu rozkładowi.

Niedługo po śmierci ojca Ahriman zabrał ze sobą jego oczy do Santa Fe w Nowym Meksyku, gdzie,

jak uważał, będzie mógł stanąć na własnych nogach i przestać być synem wielkiego reżysera, którego cień padałby na niego zawsze, gdyby pozostał w Los Angeles.

Tam, na pustyni, osiągnął pierwsze sukcesy i odkrył swoją wielką pasję do gier.

Z Santa Fe oczy pojechały z nim do Scottsdale w Arizonie, a później do New-port Beach.

Tutaj, nieco ponad godzinę drogi na południe od miejsca ostatniego spoczynku tatusia, upływ czasu i liczne własne osiągnięcia na zawsze wydobyły doktora z patriarchalnego cienia; wreszcie poczuł się tak, jakby wrócił do domu.

Kiedy Ahriman trącił kolaniem nogę biurka, oczy obróciły się powoli w formalinie – zdawały się śledzić drogę ostatniego prażonego orzeszka, który zniknął właśnie w jego ustach.

Doktor pozostawił brudne naczynia na biurku, ale słój schował z powrotem do sejfu.

Włożył nienagannie skrojony niebieski wełniany garnitur z kamizelką, uszytą na zamówienie białą koszulę z szerokim kołnierzykiem i sztywnymi mankietami oraz wzorzysty jedwabny krawat z prostą, lecz gustowną spinką.

Dzięki zamięłowaniu ojca do dramatycznych przedstawień nauczył się doceniać znaczenie stroju.

Poranek miał się ku końcowi.

Doktor chciał zjawić się w gabinecie przynajmniej dwie godziny przed Dustinem i Martie, aby prześledzić wszystkie wykonane do tej pory posunięcia strategiczne i zdecydować, w jaki sposób najlepiej przejść do następnego etapu gry.

W windzie, gdy zjeżdżał do garażu, pomyślał przelotnie o Susan Jagger, ale Susan była już przeszłością, a twarz, której obraz podsuwała mu teraz wyobraźnia, należała do Martie.

Nigdy nie potrafił wyciskać łez z tłumów, co bez przerwy robił jego ojciec.

Ale w płaczu jednej osoby też można znaleźć przyjemność.

Potrzeba do tego znacznej inteligencji, sprytu i zręczności.

I wizji.

Żadna forma zabawy nie jest lepsza od innych.

Kiedy drzwi windy otworzyły się w garażu, doktor zastanawiał się, czy gruczoły i torebki łzowe Martie są większe niż tatusia.

Rozdział 46.

Po wszystkich badaniach i pobraniach, Martie musiała jeszcze tylko nasikać do małego plastikowego kubeczka i mogła opuścić szpital.

Dzięki valium była dostatecznie spokojna, by pójść do łazienki sama, bez krępującej obecności Dusty'ego, choć zaofiarował się jej towarzyszyć.

Nadal nie była sobą.

Lek nie ugasił jej irracjonalnego strachu, lecz jedynie go stłumił; gorące węgle nadal tliły się w ciemnych zakamarkach jej umysłu, gotowe wybuchnąć ponownie pożerającym wszystko płomieniem.

Kiedy myła ręce nad umywalką, odważyła się spojrzeć w lustro.

Błąd.

W odbiciu swoich oczu dostrzegła inną Martie, ujarzmioną i pełną gniewu, rozwścieczoną tym chemicznym kaftanem bezpieczeństwa.

Dokończyła myć ręce, patrząc w dół.

Kiedy opuszczali szpital, węgle strachu płonęły już jasno.

Minęły zaledwie trzy godziny od chwili, gdy zażyła pierwsze valium, i powinna jeszcze zaczekać, nim weźmie następne.

Mimo to Dusty rozdarł opakowanie i dał jej drugą tabletkę.

Po dziedzińcu chodziło teraz znacznie więcej ludzi.

Cichy głos w głowie Martie, tak cichy jak głos ducha na seansie spirytystycznym, szeptał jej spostrzeżenia dotyczące innych przechodniów.

Oto mężczyzna z nogą w gipsie, poruszający się o kulach.

Jak łatwo byłoby go przewrócić, a potem zmiażdżyć mu gardło obcasem.

A tam uśmiechnięta kobieta na elektrycznym wózku inwalidzkim, lewa ręka uschnięta i spoczywająca na podołku, prawa kieruje wózkiem.

Idealny cel.

Martie wbiła wzrok w chodnik przed sobą i starała się nie zwracać uwagi na przechodzących ludzi, aby uciszyć w ten sposób nienawistny głos, który tak ją przerażał.

Uczepiła się ramienia Dusty'ego w nadziei, że valium i mąż doprowadzą ją bezpiecznie do samochodu.

Kiedy dotarli na parking, styczniowy wiatr przybrał na sile i przyniósł ze sobą lekki chłód z północnego zachodu.

Wielkie drzewa szeptały tajemniczo.

Szybkie rozbłyski i trzepoczące plamy światła i cienia na przednich szybach samochodów były niczym semafony przekazujące zakodowane ostrzeżenie, którego nie potrafiła odczytać.

Mieli czas na lunch przed spotkaniem z doktorem Ahrimanem.

Nawet po drugiej tabletkie valium Martie nie ufała sobie w wystarczającym stopniu, by spędzić czterdzieści pięć minut w najprzytulniejszej choćby kawiarni bez urządzania scen, toteż Dusty szukał restauracji dla zmotoryzowanych z szybką obsługą.

Ujechali niecałe dwa kilometry, kiedy Martie poprosiła go, aby się zatrzymał przed rozległym, dwupiętrowym kompleksem mieszkaniowym.

Osiedle stało na trawniku zielonym jak pole golfowe, ocienionym pełnymi wdzięku kalifornijskimi mastykowcami, koronkowymi mirtowcami i kilkoma wysokimi jacarandami z pąkami wczesnych,

fioletowych kwiatów.

Jasnożółte ściany.

Dachy kryte czerwoną dachówką.

Miejsce wyglądało na czyste, bezpieczne i wygodne.

– Musieli je odbudować po pożarze – powiedziała Martie.

– Spłonęło sześćdziesiąt mieszkań.

– Kiedy?

– Piętnaście lat temu.

I wymienili dachy także budynków, które nie uległy zniszczeniu, ponieważ to z powodu starych cedrowych gontów ogień rozprzestrzenił się tak szybko.

– Nie wygląda na nawiedzone, prawda?

– Powinno.

Zginęło dziewięć osób, w tym troje małych dzieci.

To zabawne...

jak ładnie teraz wygląda.

Jakby tamta noc była tylko snem.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie twój ojciec.

Chociaż Dusty znał wszystkie szczegóły, Martie chciała opowiadać o pożarze.

Po ojcu pozostały jej tylko wspomnienia, a mówiąc o nim, odświeżała je.

– Kiedy przyjechali strażacy, ogień szalał już w najlepsze.

Nie było szans, że szybko go opanują.

Uśmiechnięty Bob wchodził tam cztery razy, w samo serce ognistej czeluści, i za każdym razem wychodził.

I zawsze wychodził z ludźmi, którzy inaczej by nie przeżyli, niosąc jednych, prowadząc innych.

W środku została cała jedna rodzina, pięć osób, oślepionych przez dym, uwięzionych, odciętych przez ogień, ale wszyscy wyszli z nim, bezpiecznie.

Byli tam inni bohaterowie, wszystkie załogi wszystkich wozów spieszyły na ratunek, lecz nikt nie mógł dorównać jemu, kiedy wchodził w ogień, łykając dym, jakby mu smakował, delektując się żarem, jakby znalazł się w swoim żywiole, wchodził raz za razem...

Zawsze taki był.

Zawsze.

Uratował szesnaście osób, zanim wreszcie padł i odwieźli go stamtąd karetką.

Tej nocy, pędząc z matką do szpitala, a potem siedząc przy łóżku Uśmiechniętego Boba, Martie bała się jak jeszcze nigdy w życiu.

Jego czerwona twarz z poparzeniami trzeciego stopnia.

I ze smugami czerni: drobiny sadzy wżarły się tak głęboko w jego skórę, że nie dawały się zmyć.

Oczy przekrwione, jedno do połowy zasłonięte opuchlizną.

Brwi i prawie wszystkie włosy spalone, na karku paskudne oparzenie drugiego stopnia.

Lewa dłoń i przedramię pokaleczone szkłem, zszyte i zabandażowane.

I ten głos: chrapliwy, skrzypiący, zdławiony, ledwie słyszalny.

Wyciskał z siebie słowa, a wraz z nimi kwaśny odór dymu, jego oddech wciąż był przesiąknięty dymem, którego zapach wydobywał się z jego płuc.

Jeszcze tego ranka trzynastoletnia Martie czuła się dorosła i nie mogła się doczekać, kiedy świat uzna

jej dorosłość.

Ale tam, w szpitalu, przy Uśmiechniętym Bobie, poczuła się nagle mała i słaba, bezbronna jak czteroletnie dziecko.

– Ujął moją rękę swoją zdrową, prawą, ale był tak wyczerpany, że ledwo mógł ją utrzymać.

I tym strasznym, zadymionym głosem powiedział: „Hej, panno M.”, a ja odpowiedziałam: „Hej”.

Próbował się uśmiechnąć, ale bardzo bolała go twarz, więc był to dziwny uśmiech, który w ogóle mnie nie rozśmieszył.

Powiedział: „Musisz mi coś obiecać”, a ja skinęłam głową, ponieważ, o Boże, obiecałabym odciąć sobie rękę, wszystko, a on musiał o tym wiedzieć.

Zakrztusił się i długo kaszłał, a potem powiedział: „Kiedy pójdziesz jutro do szkoły, nie przechwalaj się na prawo i lewo, że twój tata zrobił to, twój tata zrobił tamto.

Będą cię wypytywać i będą powtarzać rzeczy, które usłyszeli o mnie w dzienniku, ale ty nie napawaj się tym.

Nie napawaj się.

Powiedz im, że jestem tutaj...

jem lody, męczę pielęgniarki, dobrze się bawię i zgarniam tyle forsy z funduszu chorobowego, ile zdołam, zanim się połapią, że symuluję”.

Dusty nie słyszał wcześniej tej części historii.

– Dlaczego kazał ci to obiecać?

– Też o to zapytałam.

Powiedział, że wszystkie inne dzieci w szkole mają ojców i wszystkie myślą, że ich ojcowie są bohaterami, a przynajmniej bardzo chciałyby tak myśleć.

I według taty większość z nich została bohaterami, gdyby dano im szansę.

Ale byli księgowymi lub sprzedawcami, mechanikami lub informatykami i po prostu nie mieli dosyć szczęścia, żeby znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie, tak jak on z racji swego zawodu.

Powiedział: „Gdyby jakieś dziecko wróciło do domu i popatrzyło na ojca z rozczarowaniem, ponieważ przechwalałaś się mną, toby oznaczało, że postąpiłaś podle, panno M.

A wiem, że nie jesteś podła.

Nie ty, nigdy.

Jesteś wspaniała, panno M.

Naprawdę wspaniała”.

– Szczęściara – powiedział Dusty ze zdumieniem i potrząsnął głową.

– To był ktoś, prawda?

– Ktoś.

Pochwała, którą otrzymał jej ojciec z departamentu straży pożarnej za okazane tej nocy męstwo, nie była ani pierwszą, ani ostatnią w jego karierze.

Zanim zabił go rak, zdobył więcej odznaczeń niż jakikolwiek inny strażak w historii stanu.

Upierał się, aby każde odznaczenie przyznawano mu prywatnie, bez ceremonii i bez wzmianki w prasie.

Uważał, że robi tylko to, za co mu płacono.

A w dodatku ryzyko, które podejmował, i rany, które odnosił, najwyraźniej niewiele znaczyły w porównaniu z tym, co przeszedł na wojnie.

– Nie wiem, co mu się stało w Wietnamie – opowiadała Martie.

– Nigdy o tym nie mówił.

Kiedy miałam jedenaście lat, znalazłam jego medale w pudełku na strychu.

Powiedział mi, że zdobył je, ponieważ spośród wszystkich kancelistów w sztabie dywizji najszybciej pisał na maszynie, a kiedy nie chciałam w to uwierzyć, powiedział, że był kucharzem i piekł doskonałe ciasto ryżowe.

Nawet mając jedenaście lat, wiedziałam, że nie przyznaje się tylu Brązowych Gwiazd za ciastka ryżowe.

Nie wiem czy kiedy wyjeżdżał do Wietnamu, był tak samo dobrym człowiekiem jak po powrocie, ale myślę, że mógł stać się lepszy z powodu tego, co tam przeszedł, a co sprawiło, że stał się bardzo pokorny, łagodny i taki wielkoduszny, pełen miłości do życia, do ludzi.

Wierzbowe mastykowce i mirtowce kołysały się na wietrze, a jacarandy migotały purpurowo na tle szarego nieba.

– Tak bardzo mi go brakuje – powiedziała.

– Wiem.

– A to, czego się boję...

w tym szaleństwie, które mnie spotyka...

– Pokonasz to, Martie.

– Nie, poczekaj, boję się, że przez to...

zrobię coś, co przyniesie mu ujmę.

– Niemożliwe.

– Co ty możesz wiedzieć.

– Wiem.

To niemożliwe.

Jesteś córką swego ojca.

Martie była zaskoczona, że mogła zdobyć się na przelotny uśmiech.

Oczy zaszczyły jej łzami, a chociaż mocno zacisnęła drżące wargi, poczuła w kąciu ust smak soli.

Zjedli lunch w samochodzie, na parkingu przed restauracją dla zmotoryzowanych.

– Ani obrusa, ani świec, ani kwiatów – powiedział Dusty, jedząc kanapkę z tuńczykiem – ale musisz przyznać, że mamy wspaniały widok na ten śmietnik.

Martie, choć była bez śniadania, zamówiła tylko mleczny napój waniliowy i teraz sączyła go powoli.

Nie uśmiechała jej się perspektywa, że będzie miała żołądek pełen tłustego jedzenia, kiedy znów nawiedzą ją te potworne obrazy, które przelatywały jej przez głowę w samochodzie między mieszkaniem Skeeta a gabinetem doktora Clostermana.

Zadzwoiła do Susan z telefonu komórkowego.

Odczekała dwadzieścia sygnałów, zanim przerwała połączenie.

– Coś się stało – powiedziała.

– Nie wyskakuj z pochopnymi wnioskami.

– Nie mogę skakać.

Nogi mam jak z waty – odparła zgodnie z prawdą, odczuwając skutki podwójnej dawki valium.

Rzeczywiście, jej niepokój był łagodny i zamazany na krawędziach, ale i tak był to niepokój.

– Jeśli nie dodzwonimy się po wizycie u doktora Ahrimana, wrócimy okreśną drogą i zajrzemy do niej – obiecał Dusty.

Udręczona własną dziwną przypadłością Martie nie znalazła dotąd okazji, by opowiedzieć

Dusty'emu o niewiarygodnym wyznaniu Susan, że prześladowuje ją nocny gość, który przychodzi i wychodzi kiedy chce, nie pozostawiając jej żadnych wspomnień po swoich wizytach.

Nie był to zresztą dobry moment.

Osiągnęła upragnioną równowagę i czuła, że relacjonując swoją dramatyczną rozmowę z Susan, znów wpadnie w panikę.

Poza tym za dwadzieścia minut powinni być w gabinecie doktora Ahrimana i nie miała czasu, by opowiedzieć o tej rozmowie Dusty'emu ze wszystkimi szczegółami.

– Coś się stało – powtórzyła, ale nie powiedziała nic więcej.

Jakie to dziwne, znaleźć się w tej stylowej, miodowoczarnej poczekalni bez Susan.

Przekraczając próg, stąpając po czarnej podłodze, Martie poczuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z barków brzemień lęku.

Nowa lekkość w ciele i na duszy.

Nowa nadzieja w sercu.

To również wydało jej się dziwne, zupełnie inne niż skutki działania valium.

Lek ukrywał jej strach, tłumił go, lecz nadal była go świadoma pod chemicznym kocem.

W tym miejscu jednak poczuła, że strach ulatuje z niej, nie chowa się głębiej, lecz znika.

Przez ostatni rok, regularnie dwa razy w tygodniu, Susan również wyraźnie się ożywiła, wkraczając do tego gabinetu.

Poza ścianami własnego mieszkania agorafobia nigdy nie przestawała jej dusić, nawet w innych zamkniętych przestrzeniach, ale za tym progiem doznawała ulgi.

Gdy tylko Jennifer, sekretarka doktora, podniosła głowę i zobaczyła ich wchodzących z korytarza, drzwi gabinetu Ahrimana otworzyły się i psychiatra wyszedł do poczekalni, aby ich powitać.

Był wysoki i przystojny.

Z postawy, ruchów i nienagannego sposobu ubierania się przypominał Martie wielkich gwiazdorów kina minionej epoki: Williama Powella, Cary'ego Granta.

Martie nie miała pojęcia, jak to się dzieje, że doktor roztacza wokół siebie tak kojącą atmosferę, ale nie próbowała tego analizować, ponieważ sam jego widok, w jeszcze większym stopniu niż przestąpienie progu jego gabinetu, napawał ją otuchą i była po prostu wdzięczna za ten przypływ nadziei.

Rozdział 47.

Jakże złowieszcza była ciemność, która spowiła morze kilka godzin przed zmierzchem, jakby jakieś pierwotne zło podnosiło się z oceanicznych głębin i wypełzało na brzeg.

Niebo zasnuły całkowicie chmury, nie pozostawiając ani skrawka błękitu, by nadał wodzie kolor swoim odbiciem, ani promyka słońca, by prześliznął się czasem po grzywach fal.

Dusty'emu ołowiano szary Pacyfik wydawał się jeszcze bardziej mroczny, niż powinien być o tej godzinie.

Posępna była też długa linia brzegowa – zacienione plaże, pasmo wzgórz na południu i ludne równiny na zachodzie i północy – widziana z czternastego piętra.

Zieleń z natury wyglądała jak naniesiona cienką warstwą na jednolicie szare tło, a wszystkie dzieła człowieka wydawały się kruche i nierzeczywiste, jakby czekały na trzęsienie ziemi lub wojnę termonuklearną.

Kiedy Dusty odwrócił oczy od widoku za wielką szklaną taflą, osobliwy niepokój opuścił go tak nagle i całkowicie jak za naciśnięciem przycisku.

Wykładany mahoniem gabinet, półki na książki ze starannie ułożonymi tomami, kolekcja dyplomów z najbardziej prestiżowych uniwersytetów w kraju, ciepłe wielokolorowe światło z trzech lamp a la Tiffany – a może to prawdziwy Tiffany?

– I gustowne meble wywierały kojący wpływ.

Był zaskoczony, że poczuł ulgę, kiedy wszedł wraz z Martie do poczekalni Ahrimana, ale tutaj jego ulga przerodziła się w niemal błogi spokój.

Jego krzesło stało w pobliżu wielkiego okna, Martie zaś i doktor Ahriman siedzieli daleko od niego, w dwóch fotelach na obu końcach niskiego stołu.

Z opanowaniem, jakiego Dusty nie widział u niej od chwili, gdy spotkał ją w garażu poprzedniego wieczoru, Martie opowiadała o swoich atakach paniki.

Psychiatra słuchał jej uważnie i z widocznym współczuciem, które podnosiło na duchu.

Podnosiło na duchu do tego stopnia, iż Dusty się uśmiechnął.

To bezpieczne miejsce.

Doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą.

Teraz, kiedy Martie znalazła się pod opieką doktora Ahrimana, wszystko będzie dobrze.

Doktor Ahriman przejawia szczerą troskę o swoich pacjentów.

Doktor Ahriman z pewnością rozwiąże ten problem.

Potem Dusty znów popatrzył w okno, a ocean wydał mu się rozległym trzęsawiskiem, jakby jego wody były tak gęste od mułu i wodorostów, że mogły się na nich tworzyć tylko niskie, lepkie fale.

A w tym szczególnym świetle spienione białe grzywy wcale nie były białe, lecz szare i brudnożółte.

W pochmurne zimowe dni morze często wyglądało tak jak teraz, ale nigdy przedtem nie napawało go takim niepokojem.

W przeszłości dostrzegał nawet w takich scenach niezwykle, surowe piękno.

Cichy głos rozsądku podpowiadał mu, że przenosi na ten widok uczucia, które nie są z nim związane, uczucia, które mają inne źródło.

Morze jest tylko morzem, a prawdziwa przyczyna jego niepokojów leży gdzie indziej.

Ta myśl wydawała mu się dziwna, ponieważ w tym pokoju nie było nic, co mogłoby wywołać niepokój.

To bezpieczne miejsce.

Doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą.

Teraz, kiedy Martie znalazła się pod opieką doktora Ahrimana, wszystko będzie dobrze.

Doktor Ahriman przejawia szczerą troskę...

– Musimy umówić się na następne spotkanie – powiedział doktor Ahriman – i jeszcze o tym porozmawiać, zanim będę mógł postawić diagnozę z pełnym przekonaniem.

Ale chyba już teraz mogę nazwać przypadłość, na którą cierpisz, Martie.

Martie pochyliła się lekko w fotelu, a Dusty spostrzegł, iż czeka na wstępną diagnozę psychiatry z uśmiechem, bez widocznego strachu na twarzy.

– To ciekawa i rzadka przypadłość – kontynuował psychiatra.

– Autofobia, strach przed samym sobą.

Jeszcze nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem, ale znam go z literatury.

Objawia się w zdumiewający sposób, jak niestety zdażyłaś się już przekonać.

– Autofobia – powtórzyła Martie, raczej z ciekawością niż z lękiem, który w tej sytuacji wydawał się bardziej stosowny, jakby psychiatra wyleczył ją, wymieniając po prostu nazwę choroby.

Może był to wpływ valium.

Kiedy Dusty zastanawiał się nad osobliwą reakcją Martie, uświadomił sobie, że on też się uśmiecha i kiwa głową.

Doktor Ahriman z pewnością rozwiąże ten problem.

– Ujmując rzecz statystycznie – powiedział Ahriman – wydaje się niewiarygodne, że twoja najlepsza przyjaciółka i ty zapadłyście na ostre stany lękowe.

Fobie tak natrętne jak twoja i Susan nie występują często, podejrzewam więc, że istnieje między nimi jakiś związek.

– Związek?

Jak to?

– spytał Dusty, a cichy głos rozsądku nie omieszkał zwrócić mu uwagi, iż przemawia tonem dwunastoletniego chłopca zadającego pytanie Panu Czarodziejowi z nieemitowanego już programu telewizji dziecięcej, w którym próbowano niegdyś łączyć naukę z zabawą.

Ahriman splótł palce pod brodą, zastanowił się przez chwilę i powiedział: – Martie, przychodziłaś tu z Susan przez cały rok...

– Od czasu, gdy ona i Eric żyją w separacji.

– Tak.

I byłaś dla Susan liną ratowniczą, robiąc jej zakupy i wykonując inne zlecenia.

Ponieważ nie okazywała widocznych postępów, byłaś coraz bardziej zaniepokojona.

W miarę jak twój niepokój rósł, zaczęłaś winić się za to, że nie reaguje szybko na terapię.

Zaskoczona Martie spytała: – Naprawdę?

Winić się?

– Z tego, co wiem o tobie, w twojej naturze zdaje się leżeć silne poczucie odpowiedzialności za innych.

Być może nawet nadmierne poczucie odpowiedzialności.

Dusty powiedział: – Ma to po Uśmiechniętym Bobie.

– To mój ojciec – wyjaśniła Martie.

– Robert Woodhouse.

– Ach tak.

Cóż, moim zdaniem rzecz wygląda tak, że zaczęłaś mieć poczucie, jakobyś zawiodła w jakiś sposób Susan, i to poczucie przerodziło się w winę.

Z winy wzięła się autofobia.

Skoro zawiodłaś przyjaciółkę, którą tak bardzo kochasz, to...

No cóż, zaczęłaś wmawiać sobie, że widocznie nie jesteś aż tak dobrą osobą, jak myślałaś, być może nawet złą osobą, a na pewno złą przyjaciółką i nie zasługujesz na zaufanie.

Dusty pomyślał, że wyjaśnienie wydaje się zbyt proste, aby być prawdziwe, a mimo to brzmiało przekonująco.

Kiedy napotkał wzrok Martie, wiedział od razu, że zareagowała tak samo jak on.

Czy tak niezwykle, złożona choroba może w ciągu jednej nocy dotknąć kogoś, kto poprzednio był zrównoważony jak Góry Skaliste?

– Nie dalej jak wczoraj – przypomniał doktor Martie – gdy przyprowadziłaś Susan na spotkanie, wzięłaś mnie na stronę żeby mi powiedzieć, jak bardzo się o nią martwisz.

– Tak, to prawda.

– Pamiętasz, co jeszcze powiedziałaś?

– Martie zawahała się, więc Ahriman przypomniał jej: – Powiedziałaś, że czujesz się tak, jakbyś ją zawiodła.

– Ale nie miałam na myśli...

– Powiedziałaś to z przekonaniem.

Z udreką.

Że ją zawiodłaś.

– Tak powiedziałam.

Rozplatając palce i odwracając dłońmi do góry, jakby mówił: „No i proszę”, Ahriman się uśmiechnął.

– Jeśli następne spotkania potwierdzą tę diagnozę, będę miał dla ciebie dobre wieści.

– Potrzebuję dobrych wieści – powiedziała Martie, chociaż od momentu, gdy weszła do gabinetu, ani przez chwilę nie wyglądała na wystraszoną.

– Odnalezienie źródła fobii, ukrytej przyczyny, to często najtrudniejsza część terapii.

Jeśli twoja autofobia bierze się z poczucia winy wobec Susan, oszczędzi nam to wielomiesięcznych analiz.

A co więcej, w twoim przypadku to nie jest prawdziwy stan lękowy, ale raczej...

no cóż, nazwijmy to fobią współczulną.

– Tak jak niektórzy mężowie mają skurcze i poranne mdłości, kiedy ich żony są w ciąży?

– spytała Martie.

– Właśnie – potwierdził Ahriman.

– A fobia współczulna, jeśli naprawdę na nią cierpisz, jest bez porównania łatwiejsza do wyleczenia niż głęboko zakorzeniony stan lękowy Susan.

Mogę cię zapewnić, że twój przypadek nie zajmie mi dużo czasu i szybko się z nim uporamy.

– Jak szybko?

– Miesiąc.

Może trzy.

Naprawdę trudno jest określić dokładną datę.

Wiele zależy...

od ciebie i ode mnie.

Dusty oparł się na krześle, czując coraz większą ulgę.

Miesiąc, a nawet trzy, to nie tak długo.

Zwłaszcza jeśli Martie będzie czynić stałe postępy.

Wytrzymają.

Doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą.

Doktor Ahriman z pewnością rozwiąże ten problem.

– Mogę zacząć od zaraz – oznajmiła Martie.

– Dziś rano odwiedziłam swojego internistę...

– I co powiedział?

– spytał Ahriman.

– Uważa, że powinniśmy podjąć niezbędne kroki, aby wykluczyć guz mózgu i temu podobne rzeczy, ale najprawdopodobniej jest to kwestia terapii, a nie medycyny.

– To brzmi jak opinia doświadczonego lekarza.

– W szpitalu zrobiłam kilka badań, wszystko, co mi kazał.

Ale teraz...

no cóż, jeszcze nic nie wiadomo na pewno, ale sądzę że właśnie tu uzyskam pomoc.

– No to bierzmy się do roboty!

– oświadczył doktor Ahriman pogodnie, z niemal chłopięcym entuzjazmem, który dodał Dusty'emu otuchy, ponieważ wydawał się wyrazem oddania swojej pracy i wiary we własne zdolności.

Doktor Ahriman z pewnością rozwiąże ten problem.

– Panie Rhodes – powiedział psychiatra – tradycyjna terapia jest, rzecz jasna, procesem wymagającym całkowitej prywatności, jeśli pacjent – a w tym przypadku pacjentka – ma się otworzyć.

Poproszę więc pana, aby na resztę sesji udał się pan do naszej drugiej poczekalni.

Dusty spojrzał pytająco na Martie.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

To bezpieczne miejsce.

Nic jej tu nie grozi.

– Tak, naturalnie.

– Dusty podniósł się z krzesła.

Martie podała mu skórzaną kurtkę, którą zdjęła po wejściu do gabinetu, a on przewiesił ją przez ramię wraz ze swoją kurtką.

– Tędy, panie Rhodes – powiedział doktor Ahriman, idąc przez obszerny gabinet w stronę drzwi do poczekalni dla wychodzących.

Łuskowate chmury, tłuste i kwaśno-szare jak gnijące ryby, przypominały cuchnące odchody wydalone przez wzburzony Pacyfik i zakrzepłe na niebie.

Ciemne bruzdy na wodzie były bardziej żyłaste i liczniejsze niż przedtem, a morze wydało się Dusty'emu zatrważająco czarne.

Cień niepokoju rozwił się natychmiast, kiedy odwrócił się od wielkiego okna i podążył za doktorem Ahrimanem.

Drzwi między gabinetem a poczekalnią dla wychodzących były zdumiewająco grube.

Dopasowane ściśle niczym pokrywka słoika, strzeliły cicho i westchnęły przy otwieraniu, jakby złamana została hermetyczna pieczęć.

Dusty przypuszczał, że tak solidne drzwi mają chronić pacjentów doktora przed podsłuchiwaniami.

Niewątpliwie składały się z kilku warstw płyt dźwiękochłonnych.

Miodowe ściany, czarne granitowe podłogi i meble w drugiej poczekalni przypominały te w pierwszej, dla wchodzących, przy głównym wejściu do gabinetu.

– Życzy pan sobie kawę, colę, wodę z lodem?

– spytał doktor Ahriman.

– Nie, dziękuję.

Niczego mi nie trzeba.

– Tutaj – powiedział Ahriman, wskazując czasopisma rozłożone wachlarzem na stole – ma pan najświeższe numery.

– Uśmiechnął się.

– To jedyna poczekalnia, która nie jest cmentarzem magazynów z minionych dekad.

– Bardzo miło.

Ahriman uspokajającym gestem położył rękę na ramieniu Dusty'ego.

– Wszystko będzie dobrze, panie Rhodes.

– Jest silna.

– Proszę nie tracić wiary.

– Nie tracę.

Psychiatra wrócił do Martie.

Drzwi zamknęły się z przytłumionym, lecz donośnym odgłosem i zatrzasnęły się automatycznie.

Po tej stronie nie miały klamki.

Można je było otworzyć tylko z gabinetu.

Rozdział 48.

Czarne włosy, czarny strój.

Błękitne oczy błyszczą jak Tiffany.

Jej światło też, jak lampa.

Doktor wygładzał w myślach to haiku, dosyć z niego zadowolony, kiedy wracał na swój fotel i siadał naprzeciwko Martie Rhodes przy niskim stole.

Bez słowa studiował jej twarz, rys po rysie, a potem w całości, nie spiesząc się, ponieważ chciał się przekonać, czy przedłużające się milczenie ją speszzy.

Czekała spokojnie, najwyraźniej przekonana, że badawcze spojrzenie doktora ma cel kliniczny, który pozna we właściwym czasie.

Tak jak w przypadku Susan Jagger, doktor Ahriman zaszczerpił Martie i Dustinowi sugestię, aby w jego gabinecie czuli się zupełnie swobodnie.

Sam jego widok miał działać na nich kojąco.

Do ich podświadomości wprowadził pięć myśli niczym krótkie modlitwy, które mogli powtarzać po jednym zdaniu lub w całości, jak uspokajającą mantrę, gdyby w jego obecności ogarnęła ich niepewność bądź niepokój.

„To bezpieczne miejsce.

Doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą.

Teraz, kiedy znalazłam się – lub, w przypadku Dustina, Martie znalazła się – pod opieką doktora Ahrimana, wszystko będzie dobrze.

Doktor Ahriman przejawia szczerą troskę o swoich pacjentów.

Doktor Ahriman z pewnością rozwiąże ten problem”.

Nawet kiedy byli w pełni świadomi, te minimedytacje umacniały ich w przekonaniu, że doktor Ahriman jest ich jedynym ratunkiem.

Doktor świetnie się bawił, patrząc, jak się uśmiechają i przytakują, chociaż nagłe ustąpienie lęku musiało ich zdziwić.

Bawiło go również to, że mąż z taką ufnością powierzał swoją żonę człowiekowi, którego jedynym celem było upodlić ją, poniżyć, upokorzyć, a w końcu zniszczyć.

Po niezamierzonej przerwie spowodowanej samobójstwem Susan na nowo podejmował grę.

– Martie?

– powiedział.

– Tak, doktorze?

– Raymond Shaw.

Jej zachowanie zmieniło się natychmiast.

Zesztywniała i wyprostowała się w fotelu.

Uroczy uśmiech zamarł jej na ustach, zniknął, i odparła: – Słucham.

Uaktywnwszy ją tym nazwiskiem, doktor załadował zwięzły program, który tak przemyślnie zakodował w jej osobistym haiku.

– Wieje z zachodu...

– Ty jesteś zachodem i zachodnim wiatrem – odparła posłusznie.

– ...

opadłe liście gromadzą się...

– Liście to twoje instrukcje.

– ...

na wschodzie.

– Ja jestem wschodem – powiedziała Martie, a wszystkie instrukcje, których zamierzał udzielić jej doktor, miały się zgromadzić jak jesienne liście i zamienić się w kompost w mrocznych, ciepłych głębinach jej podświadomości.

Kiedy Dusty wieszał czarną skórzaną kurtkę Martie na wieszaku, wyczuł w prawej kieszeni książkę.

Była to powieść, którą zabierała ze sobą, przychodząc tu z Susan, nie przez cały ostatni rok wprawdzie, ale co najmniej od czterech lub pięciu miesięcy.

Chociaż Martie twierdziła, że to zajmująca lektura, książka wyglądała tak, jakby właśnie została zdjęta z półki w księgarni.

Grzbiet był gładki, bez zagieć.

Kiedy Dusty przerzucał strony, wydawały suchy, szeleszczący dźwięk, jakby nigdy ich nie rozdzielano od chwili, gdy brały ślub w introligatorni.

Pamiętał, jak Martie mówiła o fabule ogólnikowym językiem ucznia streszczającego książkę, której nie miał czasu wziąć do ręki.

Nagle nabrał pewności, że Martie nie przeczytała ani jednego zdania z książki, chociaż nie potrafił dociec, dlaczego miałyby kłamać w tak błahej sprawie.

Dusty w ogóle z trudem dopuszczał do siebie myśl, że Martie mogłaby skłamać w jakiegokolwiek sprawie, wielkiej czy drobnej.

Niezwykły szacunek dla prawdy był jednym z kamieni probierczych, za pomocą których sprawdzała nieustannie, czy ma prawo nazywać się córką Uśmiechniętego Boba.

Powiesiwszy własną kurtkę, wciąż z książką w ręku, spojrzął na czasopisma rozłożone wachlarzem na stole.

Wszystkie były w tym samym gatunku, poświęcone albo bezwstydnemu schlebaniu znakomitościom, albo dowcipnemu na pozór komentowaniu i uważnej analizie zachowań i wypowiedzi znakomitości, co w efekcie sprowadzało się do bezwstydnego schlebiana.

Pozostawiając czasopisma nietknięte, usiadł i zabrał się do książki.

Tytuł był mu mgliście znajomy.

W swoim czasie powieść odniosła wielki sukces.

Nakręcono na jej podstawie głośny film.

Dusty nie czytał książki ani nie widział filmu.

„Mandżurski kandydat” Richarda Condon.

Zgodnie z notką redakcyjną pierwsze wydanie ukazało się w 1959 roku.

W innej epoce.

W innym tysiącleciu.

A mimo to nadal ją wznawiają.

Dobry znak.

Rozdział pierwszy.

Choć był to dreszczowiec, zaczynał się nie w ciemną, burzliwą noc, lecz w San Francisco, w słońcu.

Dusty zaczął czytać.

Doktor poprosił Martie, by usiadła na kozetce, gdzie mógłby usiąść obok niej.

Posłusznie wstała z fotela.

Cała w czerni.

Dziwny kolor na opakowanie zabawki, zwłaszcza takiej, która nie jest jeszcze zepsuta.

Haiku oddziaływało również na niego i powtórzył je w myślach kilka razy z rosnącą przyjemnością.

Nie było tak dobre, jak to z Tiffanym, ale znacznie lepsze niż jego ostatnie próby uchwycenia Susan Jagger w wierszu.

Siadając na kozetce blisko Martie, chociaż nie udo w udo, doktor powiedział: – Dzisiaj, razem, wkroczymy w nowy etap.

W uroczystym i cichym wnętrzu kaplicy swego umysłu, gdzie płonęły jedynie wotywnie świece zapalone bogu Ahrimanowi, Martie przyjmowała każde jego słowo z cichą pokorą i płonącym wzrokiem Joanny d'Arc słuchającej swoich Głosów.

– Od dzisiaj zaczniesz odkrywać, że zniszczenie i samozniszczenie są bardzo pociągające.

Przerażające, zgoda.

Ale nawet przerażenie ma swój powab.

Powiedz mi, czy jechałaś kiedyś kolejką górską, jedną z tych, które zataczają beczki i pętle z wielką prędkością?

– Tak.

– Powiedz mi, jak się czułaś w takiej kolejce górskiej.

– Bałam się.

– Ale czułaś coś jeszcze.

– Uniesienie.

Radość.

– Właśnie.

Strach i przyjemność łączą się ze sobą.

Jesteśmy bardzo źle skonstruowanymi istotami, Martie.

Strach sprawia nam radość, zarówno wtedy, gdy doświadczamy go sami, jak i wtedy, gdy odczuwają go inni.

Bylibyśmy zdrowsi, gdybyśmy przyznali się do tego i nie próbowali być lepsi, niż pozwala na to nasza natura.

Rozumiesz, co mówię.

Jej oczy poruszyły się gwałtownie.

Odruch okołozrenicowy.

i Odparła: – Tak.

– Niezależnie od zamysłów naszego Stwórcy jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Współczucie, miłość, pokora, uczciwość, lojalność, prawdomówność – są jak te wielkie przeszkłone okna, o które nieustannie rozbijają się głupie małe ptaszki.

Rozbijamy się na kawałki o szkło miłości, szkło prawdy, walcząc rozpaczliwie, aby dotrzeć tam, dokąd nigdy nie dotrzemy, stać się takimi, jakimi nigdy nie będziemy.

– Tak.

– Władza i jej podstawowe konsekwencje, śmierć i seks, oto co nami kieruje.

Władza nad innymi dostarcza nam największej rozkoszy.

Czcimy polityków, ponieważ mają ogromną władzę, czcimy znane osobistości, ponieważ ich życie

wydaje się bardziej nasycone władzą niż nasze.

Silni spośród nas zdobywają władzę, a słabi odczuwają dreszcz rozkoszy, poddając się władzy silnych.

Władza.

Władza, aby zabijać, okaleczać, zadawać ból, mówić ludziom, co mają robić, jak myśleć, w co wierzyć, a w co nie wierzyć.

Władza, aby terroryzować.

Zniszczenie jest naszą największą umiejętnością, naszym przeznaczeniem.

A ja zamierzam przygotować cię na to, abyś pławiła się w zniszczeniu, Martie, i w końcu zniszczyła siebie, abyś dowiedziała się, jaką rozkoszą jest miażdżyć i być zmiażdżonym.

Błękitny skurcz.

Błękitny bezruch.

Jej ręce na podołku, obie dłonie otwarte, jakby miała coś otrzymać.

Usta rozchylone, jakby czekała, aż je wypełni.

Głowa przechylona lekko na bok, jak u pilnego studenta.

Doktor położył rękę na jej twarzy i pogłaskał ją po policzku.

– Pocałuj mnie w rękę, Martie.

Przycisnęła wargi do jego palców.

Opuszczając rękę, powiedział: – Zamierzam pokazać ci więcej fotografii, Martie.

Obrazów, które będziemy studiować razem.

Podobnych do tych, które oglądaliśmy wczoraj, kiedy byłaś tu z Susan.

Wszystkie te fotografie są wstrętne, odrażające, przerażające.

Mimo to obejrzysz je spokojnie, zwracając uwagę na szczegóły.

Zmagazynujesz je w pamięci, gdzie na pozór będą zapomniane, ale za każdym razem, kiedy twój strach przerodzi się w prawdziwy atak paniki, te obrazy powrócą do twojego umysłu.

A wówczas nie będą wyglądać jak fotografie w książce, starannie ułożone, z białymi obwódkami i podpisami pod spodem.

Wypełnią cały twój umysł, bardziej żywe i rzeczywiste niż wszystko, czego doświadczasz naprawdę.

Powiedz mi, proszę, czy mnie zrozumiałaś, Martie.

– Zrozumiałam.

Jestem z ciebie dumny.

– Dziękuję.

Jej błękitne oczy szukają.

Jego mądrość daje jej wizję.

Nauczyciel i uczeń.

Technicznie niezłe, ale fałszywe.

Przede wszystkim on nie jest jej nauczycielem, a ona nie jest jego uczniem w żadnym znaczącym sensie.

Gracz i zabawka.

Pan i jego własność.

Martie, kiedy te obrazy powrócą do ciebie podczas ataków paniki, wywołają twoją odrazę i wstręt, napełnią cię obrzydzeniem, a nawet rozpaczą...

ale wzbudzą też fascynację.

Chociaż możesz żałować ofiar na tych fotografiach, w najgłębszych zakamarkach umysłu będziesz podziwiał zabójców, którzy się nad nimi pastwili.

Jakaś część ciebie będzie zazdrościć zabójcom ich władzy, a ty uznasz ten morderczy aspekt swojej osobowości.

Będziesz się bać tej okrutnej innej Martie, a mimo to zapragniesz podporządkować się jej.

Zobaczysz te obrazy jako pragnienia, akty przemocy, których sama byś się dopuściła, gdybyś tylko mogła być szczerą przed tą inną Martie, zimną, okrutną istotą, będącą w rzeczywistości twoją prawdziwą naturą.

Ta inna Martie to prawdziwa ty.

Łagodna kobieta, którą się wydajesz, jest tylko przebraniem, cieniem, który rzucasz w świetle cywilizacji, abyś mogła uchodzić za jedną ze słabych, nie budząc w nich strachu.

Podczas kilku następnych spotkań pokażę ci, jak stać się tą Martie, którą masz być, jak odrzucić egzystencję cienia i zacząć naprawdę żyć, jak zrealizować swoje możliwości, zdobyć władzę i chwałę, które są twoim przeznaczeniem.

Doktor zabrał ze sobą na kozetkę dwa opasłe i pięknie ilustrowane podręczniki.

Tych kosztownych tomów używano podczas wykładów z kryminologii na wielu uniwersytetach.

Znało je wielu policyjnych detektywów i lekarzy sądowych w wielkich miastach, lecz poza nimi tylko nieliczni wiedzieli o ich istnieniu.

Pierwszy był obszernym studium z zakresu medycyny sądowej, która zajmuje się rozpoznawaniem i interpretowaniem obrażeń, okaleczeń i ran na ludzkim ciele.

Medycyna sądowa interesowała doktora Ahrimana, ponieważ z wykształcenia był lekarzem i ponieważ postanowił nie pozostawiać żadnych śladów – w organicznych szczątkach będących rezultatem jego gier, – które mogłyby oznaczać dla niego przeniesienie z luksusowej rezydencji do celi, wyściełanej czy nie, wszystko jedno.

IDZIESZ DO WIĘZIENIA, to karta, której nie zamierzał wyciągnąć.

Bądź co bądź, w przeciwieństwie do monopolu, ta gra nie zawierała karty: WYCHODZISZ Z WIĘZIENIA.

Drugi tom był wyczerpującą rozprawą na temat metod, procedur i technik prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa.

Doktor nabył go, ponieważ wyznawał zasadę, że dobry gracz, powinien dokładnie zrozumieć strategię strony przeciwnej.

Oba tomy były zarazem przewodnikami po galeriach mrocznej sztuki śmierci.

Podręcznik medycyny sądowej zawierał więcej przykładów i większą różnorodność mrozących krew w żyłach okrucieństw, ale rozprawa na temat metod dochodzeniowych oferowała więcej zdjęć ofiar na miejscu zbrodni, które posiadały czar nie zawsze obecny w fotografiach wykonanych w kostnicy, tak jak rzeźnia jest wizualnie bardziej frapująca niż wystawa sklepu mięsnego.

Pinakoteki krwi, luvry przemocy, muzea ludzkiego bestialstwa i cierpienia opatrzone spisami treści i ułatwiającymi poszukiwania indeksami.

Martie posłusznie czekała.

Usta otwarte.

Oczy rozszerzone.

Naczynie gotowe do napełnienia.

– Jesteś naprawdę urocza – powiedział doktor.

– Martie, muszę przyznać, że oślepiony blaskiem Susan nie doceniałem twojej urody.

Aż do tej pory.

Doprawiona cierpieniem będzie niezwykle pociągająca.

Trzymając przed oczami Martie otwarty tom, Ahriman zwrócił jej uwagę na fotografię martwego mężczyzny leżącego na wznak na drewnianej podłodze.

Nagie ciało ze śladami trzydziestu sześciu ran kłutych.

Doktor zadbał zwłaszcza o to, aby Martie zauważyła, jak pomysłowy użytek zrobił morderca z genitaliów ofiary.

– A tutaj hak szynowy w czole – powiedział Ahriman.

– Stal, dwadzieścia pięć centymetrów długości z główką o średnicy dwóch i pół centymetra, ale na zdjęciu nie widać, jaki jest długi.

Przygważdża go do podłogi.

To nawiązanie do ukrzyżowania, z całą pewnością; gwóźdź i korona cierniowa połączone w jednym wymownym symbolu.

Zapamiętaj to, Martie.

Wszystkie wspaniałe szczegóły.

Wpatrywała się uważnie w fotografię, tak jak jej polecił, wędrując wzrokiem od rany do rany.

– Ofiara była księdzem – poinformował ją doktor.

– Morderca z pewnością uważał, że dębowa podłoga to pożałowania godna namiastka, ale trudno domowym sposobem wykonać dereniowy krzyż.

Błękitny skurcz.

Błękitny bezruch.

Mrugnięcie.

Obraz zapamiętany i zmagazynowany.

Ahriman przewrócił stronę.

Ponieważ Dusty bardzo niepokoił się o Martie, nie przypuszczał, że uda mu się skoncentrować na powieści.

Spokój ducha, jaki spłynął na niego, gdy wszedł do gabinetu doktora Ahrimana, wcale jednak nie przeminął i niebawem książka wciągnęła go bardziej, niż się spodziewał.

„Mandżurski kandydat” miał ciekawą fabułę zaludnioną barwnymi postaciami, tak jak zapewniała go Martie dziwnie drewnianym tonem i sztucznym językiem.

Zważywszy na wysokie walory powieści, fakt, że jej nie skończyła – ani nawet nie przeczytała większej części – w ciągu tych miesięcy, kiedy zabierała ją na sesje terapeutyczne Susan, wydawał się jeszcze bardziej niewytłumaczalny.

W rozdziale drugim Dusty trafił na akapit, który zaczynał się od słów: „Doktor Yen Lo”.

Książka prawie wyleciała mu z rąk.

Nie wypuścił jej, ale zgubił miejsce, w którym czytał.

Przerzucając powieść w poszukiwaniu właściwej strony, był pewien, że wzrok płąta mu figle.

Jakiś zwrot zawierający cztery sylaby podobne do tych w azjatyckim nazwisku musiał nasunąć mu skojarzenie i dlatego błędnie go odczytał.

Dusty znalazł rozdział drugi, stronę, akapit, a tam bez wątplenia znajdowało się to właśnie nazwisko, zapisane tak, jak Skeet zapisywał je raz po raz na kartkach z notatnika: „Doktor Yen Lo”.

Litery zaczęły skakać mu przed oczami, gdy próbował utrzymać książkę w drżących dłoniach.

To nazwisko sprawiło, że dzieciak zapadł nagle w dziwny stan, jakby został zahipnotyzowany, a teraz przeszło Dusty'ego takim dreszczem, że skóra ścierpła mu na karku i zmarszczyła się jak sztruks.

Nawet uspokajający wystrój poczekalni nie zdołał tchnąć ani odrobiny ciepła w jego kręgosłup, który był zimny jak termometr w zamrożonym mięsie.

Używając palca jako zakładki, wstał i zaczął spacerować po małym pokoju, próbując znaleźć w sobie dość energii psychicznej, by móc utrzymać książkę.

Dlaczego Skeet reagował w ten sposób na nazwisko fikcyjnej postaci?

Biorąc pod uwagę literacki gust dzieciaka, zawalone powieściami fantastycznymi półki w jego mieszkaniu, prawdopodobnie nie czytał tej książki.

Nie było w niej nic o smokach, elfach ani czarownikach.

Okrążywszy kilka razy pokój, Dusty, który zaczął już rozumieć frustrację trzymanej w klatce pantery, wrócił na krzesło, chociaż nadal czuł się tak, jakby cały płyn rdzeniowy stęzał mu w kręgosłupie jak zamrożona rtęć.

Ponownie zabrał się do czytania.

„Doktor Yen Lo..”.

Rozdział 49.

Toporna robota, ta dekapitacja, najwyraźniej dokonana nieodpowiednim narzędziem.

– Najbardziej interesujące są tutaj oczy ofiary, Martie.

Spójrz, jakie wydają się wielkie.

Górne powieki tak się skurczyły pod wpływem szoku, że wyglądają, jakby zostały odcięte.

Jakaż tajemnica jest w tym wzroku, jakby w chwili śmierci zobaczył, co go czeka na tamtym świecie.

Spojrzała w nieszczęsne oczy na fotografii.

Zamrugła.

Potem znów zamrugła.

Przechodząc do strony zaznaczonej następną różową zakładką, doktor powiedział: – To zdjęcie ma szczególne znaczenie, Martie.

Przypatrz mu się dobrze.

Pochyliła lekko głowę nad książką.

– Ty i Dusty będziecie musieli okaleczyć kobietę w podobny sposób, a potem ułożycie różne części ciała tak jak tutaj.

Ofiarą jest dziewczyna, zaledwie czternastoletnia, ale wy dwoje będziecie mieli do czynienia z trochę starszą osobą.

Doktor był tak zainteresowany fotografią, że początkowo nie zauważył pierwszych dwóch łez, które spłynęły po twarzy Martie.

Kiedy podniósł głowę i ujrzał te bliźniacze perełki, zdumiał się.

– Martie, powinnaś być w najgłębszym z najgłębszych miejsc twego umysłu, w kaplicy.

Powiedz mi, czy tam właśnie jesteś.

– Tak.

Tam.

W kaplicy.

Przy tak głęboko stłumionej osobowości nie powinna być zdolna do żadnej emocjonalnej reakcji, cokolwiek by zobaczyła i cokolwiek by się z nią działo.

W przypadku Susan doktor musiał wyprowadzać ją z kaplicy na wyższy poziom świadomości, jeśli chciał ujrzeć tak smakowitą reakcję jak ta.

– Powiedz mi, o co chodzi, Martie.

Jej głos był niewiele głośniejszy niż oddech: – Tyle bólu.

Ty odczuwasz ból?

– Ona.

– Powiedz mi, kto.

Następne łzy wezbrały i zalśniły w jej oczach, kiedy wskazała zmasakrowaną dziewczynę na fotografii.

Zdziwiony Ahriman powiedział: – To tylko fotografia.

– Prawdziwej osoby – wymamrotała.

– Już od dawna nie żyje.

– Kiedyś żyła.

Gruczoły łzowe Martie musiały być rzeczywiście niezwykle.

Z jej torebek łzowych wypływały istne jeziora, które prawie zamieniły się w potop, lecz kolejne

krople wypłykały nieco cierpienia z jej oczu.

Ahriman przypomniał sobie pożegnalną łzę Susan, uronioną w ostatniej minucie życia.

Śmierć, rzecz jasna, musi być przykrym doświadczeniem, nawet jeśli ktoś umiera spokojnie, w stanie całkowitego stłumienia osobowości.

Martie nie umierała.

A mimo to, tyle łez.

– Nie znałaś tej dziewczyny – naciskał doktor.

Zaledwie szept: – Nie.

– Może na to zasłużyła.

– Nie.

– Może była młodocianą prostytutką.

Cicho, smutno: – To nieważne.

– Może sama była morderczynią.

– To ja.

– Co to znaczy?

– spytał.

– Co to znaczy?

– powtórzyła.

– Powiedziałaś, że ona to ty.

Wyjaśnij.

– Tego nie da się wyjaśnić.

– A zatem to nie ma znaczenia.

– To po prostu wiadomo.

– To po prostu wiadomo – powtórzył szyderczo.

– Tak.

– To jakaś zagadka, paradoks zen czy co?

– To zagadka?

– spytała.

– Dziewczęta – prychnął zniecierpliwiony.

Martie milczała.

Doktor zamknął książkę, przez chwilę studiował jej profil, a potem rozkazał: – Spójrz na mnie.

Zwróciła ku niemu twarz.

– Nie ruszaj się – polecił.

– Chcę skosztować.

Ahriman dotknął ustami jej wilgotnych oczu.

Trochę pomógł sobie językiem.

– Słone – powiedział – ale nie tylko.

Subtelna domieszka czegoś intrygującego.

Musiał spróbować jeszcze raz.

Skurcz odruchu okołożrenicowego sprawił, że jej oczy zatrzepotały erotycznie pod jego językiem.

Siadając obok niej, Ahriman powiedział: – Cierpkie, ale nie gorzkie.

Twarz dziewczyny lśniła wilgocią.

Cały smutek świata.

A takie promienne piękno.

Ośmielając się wierzyć, że te trzy linijki są zaczątkiem następnego haiku wartego przelania na papier, doktor zachował wersy w pamięci, aby wygładzić je później.

Jakby ciepło warg Ahrimana wysuszyło narząd płaczu Martie, jej oczy znów zrobiły się suche.

– Dostarczysz mi lepszej zabawy, niż sądziłem – powiedział Ahriman.

– To będzie wymagało sporej finezji, ale wysiłek się opłaci.

Jak w najlepszych zabawkach, istota twojej formy – twój umysł i serce – co najmniej dorównuje przyjemności twojej funkcji.

Teraz chcę, abys była spokojna, absolutnie spokojna, opanowana, uważna i posłuszna.

– Rozumiem.

Znów otworzył podręcznik.

Zgodnie ze wskazówkami doktora, Martie tym razem bez łez, przestudiowała zrobioną na miejscu zbrodni fotografię poćwiartowanej dziewczyny, której członki zostały w twórczy sposób poprzestawiane.

Kazał jej wyobrazić sobie, jak by to było samemu popełnić taką zbrodnię, napawać się cuchnącą, mokrą rzeczywistością tego, co zobaczyła na lśniącej fotografii.

Aby mieć pewność, że Martie zaangażuje się w to zadanie wszystkimi pięcioma zmysłami, Ahriman wykorzystał całą swoją medyczną wiedzę, osobiste doświadczenie i dobrze uwarunkowaną wyobraźnię, wprowadzając ją w wiele szczegółów dotyczących koloru, struktury i zapachu.

Następne strony.

Inne fotografie.

Świeże zwłoki, lecz również ciała w różnych stadiach rozkładu.

Mrugnięcie.

Mrugnięcie.

Wreszcie odłożył dwa ciężkie tomy na półkę.

Spędził z Martie o piętnaście minut za długo, ale czerpał wielką satysfakcję z faktu, że pomaga wysubtelnić jej zrozumienie dla śmierci.

Czasami łapał się na myśli, iż mógłby być znakomitym nauczycielem, wystrojonym w tweedowe garnitury, szelki i motylki; i wiedział, że podobałaby mu się praca z dziećmi.

Poinstruował Martie, aby położyła się na plecach na kozetce i zamknęła oczy.

– Teraz zamierzam przyprowadzić tu Dusty’ego, ale ty nie usłyszysz ani słowa z naszej rozmowy.

Nie otworzysz oczu, dopóki ci nie powiem.

Odejdiesz w ciche, puste miejsce, zapadniesz w głęboki sen, z którego obudzisz się w kaplicy umysłu, dopiero kiedy ucałuję twoje oczy i nazwę cię księżniczką.

Odczekawszy minutę, doktor zmierzył puls na lewym nadgarstku Martie.

Wolny, mocny, równy.

Pięćdziesiąt dwa uderzenia na minutę.

A teraz pan Rhodes, malarz pokojowy, wyrzucony z uczelni klozetowy intelektualista, który niebawem okryje się niesławą od wybrzeża do wybrzeża jako nieświadome narzędzie zemsty.

Powieść była o praniu mózgu, co Dusty uświadomił sobie parę stron po wprowadzeniu postaci doktora Yena Lo.

Odkrycie wstrząsnęło nim niemal równie głęboko jak pojawienie się nazwiska z notatnika Skeeta.

Tym razem też nie wypuścił książki, utrzymał ją w drżących dłoniach, ale mruknął: – Sukinsyn.

W mieszkaniu brata Dusty szukał bez powodzenia śladów przynależności do sekty.

Nie znalazł żadnych rozpraw ani broszur.

Żadnych szat ani przedmiotów kultowych.

Żadnych kurcząt w klatkach gdaczących trwożnie w oczekiwaniu, aż zostaną złożone w ofierze.

Teraz, kiedy nie myślał nawet o problemach Skeeta, tajemniczy chiński lekarz wyskoczył nagle z powieści Condon, a w dodatku okazał się ekspertem w nauce i sztuce prania mózgu.

Dusty nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Życie było tkaniną z wzorami, które dawały się rozpoznać, jeśli się na nie patrzyło.

Książka nie przypadkiem okazała się właśnie tą, którą Martie nosiła ze sobą od miesiący.

Trafiła im w ręce, ponieważ zawierała klucz do prawdy o tej obłądnej sytuacji.

Oddałby swoje lewe jądro – jeszcze chętniej wszystkie pieniądze z ich wspólnego konta – aby się dowiedzieć, kto sprawił, że książka znalazła się tu i teraz, jak na zawołanie.

Chociaż Dusty wierzył w inteligentnie zaprojektowany wszechświat, znacznie trudniej było mu uwierzyć w boską interwencję za pośrednictwem powieści w miękkiej oprawie, a nie gorejącego krzewu czy bardziej tradycyjnych i spektakularnych znaków na niebie.

No dobrze, skoro jednak nie Bóg i nie przypadek, musiał to być ktoś z krwi i kości.

Dusty uświadomił sobie, że mówi na głos, i zamilkł, ponieważ doszedł do wniosku, iż wie zbyt mało, aby odpowiedzieć na to pytanie.

W powieści Condon, rozgrywającej się podczas i po zakończeniu wojny koreańskiej, doktor Yen Lo poddał praniu mózgu kilku amerykańskich żołnierzy, przemieniając jednego z nich w zaprogramowanego zabójcę, który pozostawał nieświadomy tego, co mu zrobiono.

Po powrocie do kraju uznany za bohatera żołnierz prowadził normalne życie, dopóki, uaktywniony przez prosty pasjans i odpowiednio poinstruowany, nie stał się posłusznym zabójcą.

Ale wojna koreańska skończyła się w 1953 roku, a powieść została opublikowana w 1959, na długo przed narodzinami Dusty'ego.

Ani młody żołnierz, ani doktor Yen Lo nie istnieli naprawdę.

Nie było żadnego widocznego powodu, dla którego miałyby zachodzić związki między tą książką a Dustym, Martie i Skeetem z jego regułami w formie haiku.

Mógł tylko czytać dalej w poszukiwaniu objawienia.

Gdy przebrnął przez kilka następnych stron, usłyszał ciche skrzypienie klamki po drugiej stronie drzwi do gabinetu Ahrimana, szcęk zamka i nagle poczuł, że nikt nie powinien zobaczyć w jego rękach tej książki.

Opanował go raptowny lęk i kiedy drzwi otworzyły się z głuchym odgłosem i westchnieniem naruszonej próżni, cisnął książkę na bok, jakby miał zostać przyłapany na czytaniu obłej pornografii lub, co gorsza, jednego z licznych, opasłych tomów pióra jego ojca bądź któregoś z ojcymów.

Książka przeleciała przez mały stolik obok krzesła, ześliznęła się z krawędzi i upadła z plaśnięciem na podłogę w tej właśnie chwili, kiedy ciężkie drzwi otworzyły się i pojawił się doktor Ahriman.

Oblany rumieńcem Dusty poderwał się na nogi, gdy książka jeszcze spadała, i zakaszał, aby zagłuszyć plaśnięcie.

Wzburzony, usłyszał własny głos: – Doktorze, czy Martie...

czy wszystko...

czy ona...

– Yiola Nandily – powiedział doktor.

– Słucham.

Rozdział 50.

Po wyrecytowaniu warunkującej litanii osobistego haiku Dusty'ego doktor poprosił go do gabinetu i poprowadził prosto do fotela, w którym siedziała poprzednio Martie.

Teraz spała na kozetce, a Dusty nawet na nią nie spojrział.

Ahriman usiadł w fotelu naprzeciwko i przez minutę studiował swój obiekt.

Młody człowiek wydawał się nieco rozkojarzony, ale reagował na głos doktora.

Obojętny wyraz jego twarzy przypominał trochę znudzone miny kierowców stojących w korkach ulicznych w godzinach szczytu.

Dustin Rhodes był względnie nowym nabytkiem w kolekcji Ahrimana.

Doktor uzyskał nad nim kontrolę niespełna dwa miesiące temu.

Sama Martie, działając według wskazówek doktora, trzykrotnie podała mężowi starannie przygotowaną mieszankę narkotyków, po których zapadł w częściową narkozę i mógł zostać skutecznie zaprogramowany: rohyfnolu, fencyklidyny, valium i substancji znanej – choć zaledwie kilku wtajemniczonym – jako Santa Fe 46.

Ponieważ Dusty zawsze jadł po obiedzie deser, pierwszą dawkę otrzymał w kawałku ciasta z masłem orzechowym; druga, podana dwa dni później, nie zmieniła ani smaku, ani zapachu porcji creme brulee z wiórkami kokosowymi; trzecia, trzy dni po drugiej, znalazła się w lodach z owocami i bitą śmietaną polanych karmelem i przybranych wiśniami, migdałami i suszonymi figami.

Ten człowiek wiedział, co dobre.

Przynajmniej jeśli chodzi o preferencje kulinarne, doktor wyczuwał w nim pokrewną duszę.

Programowanie odbyło się w sypialni państwa Rhodes: Dusty leżał na łóżku, Martie siedziała ze skrzyżowanymi nogami na wielkiej poduszce w kącie, stojąca lampa służyła jako kroplówka.

Wszystko poszło dobrze.

Pies chciał sprawiać kłopoty, ale był zbyt słodki i posłuszny, więc jedynie warczał i dąsał się.

Zamknęli go w pokoju Martie z miską wody, żółtą pluszową kaczką z piszczącym brzuchem i gumową kością.

Teraz, kiedy skurcz odruchów okołożrenicowych ustąpił z oczu Dusty'ego, doktor powiedział: – To nie potrwa długo, ale moje dzisiejsze instrukcje są bardzo ważne.

– Tak jest.

– Martie wróci tu na spotkanie w piątek, pojutrze, a ty tak zaplanujesz sobie zajęcia, żebyś mógł ją przyprowadzić.

Powiedz mi, czy to jasne.

– Tak.

Jasne.

– Dalej.

Zaskoczyłeś mnie wczoraj tymi heroicznymi wyczynami na dachu Sorensonów.

Mój plan tego nie przewidywał.

W przyszłości, jeśli będziesz obecny przy próbach samobójczych twojego brata Skeeta, nie będziesz interweniował.

Możesz próbować mu to wyperswadować, ale nic więcej, i ostatecznie pozwolisz, aby Skeet się zabił.

Powiedz mi, czy zrozumiałeś.

– Zrozumiałem.

– Kiedy się zabije, będziesz głęboko zrozpaczony.

I zły.

Wściekły.

Poddasz się całkowicie swoim emocjom.

Będiesz wiedział, przeciw komu skierować swój gniew, ponieważ znajdziesz nazwisko w liście samobójczym.

Pomówimy o tym szerzej w piątek.

– Tak jest.

Doktor, który zawsze potrafił znaleźć czas na zabawę, nawet jeśli miał bardzo napięty terminarz, spojrzał na śpiącą na kozetce Martie, a potem zwrócił się do Dusty'ego.

– Twoja żona jest bardzo soczysta, nie sądzisz?

– Jest?

– Nie wiem jak ty, ale ja sądzę, że to soczysty kąsek.

Oczy Dusty'ego były szare, lecz z niebieskimi prążkami, i dlatego wyjątkowe.

Jako chłopiec Ahriman kolekcjonował kulki do gry.

Zebrał wiele toreb pięknych szklanych kulek, a wśród nich znajdowały się trzy bardzo podobne, ale nie tak przejrzyste, do oczu Dusty'ego.

Martie uważała, że jej mąż ma wyjątkowo piękne oczy, i dlatego właśnie doktor zaszczerpił jej sugestię, iż jej autofobia zaczęła się tak naprawdę w momencie, kiedy zobaczyła w swojej wizji, jak wbija kluczyk w te ukochane oczy.

– Na ten temat – powiedział Ahriman – nie życzę sobie żadnych zwięzłych odpowiedzi.

Porozmawiajmy szczerze o twojej soczystej żonie.

Dusty nie patrzył na Ahrimana, lecz w jakiś punkt w powietrzu pomiędzy nimi, i mówił tonem pozbawionym wszelkiej modulacji, beznamiętnym jak maszyna.

– Soczysta to chyba znaczy ociekająca sokiem.

– Właśnie – potwierdził doktor.

– Winogrona są soczyste.

Truskawki.

Pomarańcze.

Dobre wieprzowe kotlety są soczyste – powiedział Dusty.

– Ale to słowo...

nie jest bardzo precyzyjne przy opisie osób.

Uśmiechając się radośnie, Ahriman odparł: – Doprawdy?

Nie bardzo precyzyjne?

Bądź ostrożny, malarzu.

Ujawniają się twoje geny.

A jeśli jestem kanibalem?

Ponieważ w tym stanie Dusty nie mógł odpowiedzieć na pytanie, dopóki nie uzyskał dalszych informacji, spytał: – Czy jesteś kanibalem?

– Gdybym był kanibalem, mógłbym być bardzo precyzyjny, nazywając twoją apetyczną żonę soczystą.

Oświeć mnie swoją opinią na ten temat, panie Dustinie Pennie Rhodes.

Beznamiętny ton głosu Dusty'ego nie uległ zmianie, ale wydawał się teraz oschle pedantyczny, ku

szczeremu rozbawieniu doktora.

– Z punktu widzenia kanibala to słowo ma zastosowanie.

– Obawiam się, że pod twoim przyziernym robotniczym przebraniem czai się akademicki truteń.

Dusty nie odpowiedział, ale jego oczy poruszyły się gwałtownie.

– No cóż, choć nie jestem kanibalem – rzekł Ahriman – myślę, że twoja żona jest soczysta.

Od tej chwili będę miał nawet dla niej nowe przezwisko.

Będzie moim małym wieprzowym kotlecikiem.

Doktor zakończył sesję w zwykły sposób.

– Wrócisz teraz do poczekalni dla wychodzących, Dusty.

Podniesiesz książkę, którą czytałeś, i usiądziesz tam, gdzie siedziałeś wcześniej.

Znajdziesz w tekście miejsce, w którym przerwałeś czytanie.

Potem opuścisz kaplicę, w której teraz jesteś.

Kiedy zamkniesz drzwi kaplicy, wszystkie wspomnienia tego, co wydarzyło się od momentu, gdy wyszedłem z gabinetu, tuż po tym, jak usłyszałeś szczęk zatrasku, do momentu, gdy obudzisz się z obecnego stanu, znikną.

Potem, licząc wolno do dziesięciu, wyjdiesz po schodach z kaplicy.

Kiedy doliczysz do dziesięciu, odzyskasz pełną świadomość i zaczniesz czytać.

– Rozumiem.

– Dobrego dnia, Dusty.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Dusty wstał z fotela i przeszedł przez gabinet, nie spojrzawszy ani razu na żonę na kozetce.

Kiedy mąż się oddalił, doktor stanął nad żoną i zaczął się jej przyglądać.

Rzeczywiście, soczysta.

Przyklął na jedno kolano, ucałował jej zamknięte oczy i powiedział: – Mój wieprzowy kotlecik.

To, rzecz jasna, nie odniosło żadnego skutku, ale rozśmieszyło doktora.

Następny pocałunek.

– Księżniczko.

Obudziła się, ale nadal była w kaplicy umysłu, ponieważ nie pozwolił jej odzyskać pełnej świadomości.

Zgodnie z instrukcją Ahrimana wróciła na fotel, w którym siedziała wcześniej.

Siadając w swoim fotelu, powiedział: – Martie, przez resztę popołudnia i część wieczoru będziesz czuć się trochę spokojniejsza niż w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Twoja autofobia nie zniknęła, ale odrobinę osłabła.

Przez jakiś czas będzie cię dręczył tylko lekki niepokój, poczucie bezradności i krótkie napady ostrego lęku mniej więcej Co godzinę, trwające minutę lub dwie.

Ale później, około, powiedzmy, dziewiątej, przeżyjesz najgorszy atak paniki ze wszystkich dotychczasowych.

Zacnie się w zwykły sposób i będzie narastał tak jak przedtem, ale nagle twój umysł wypełnią obrazy martwych i torturowanych ludzi, które oglądaliśmy razem, wszystkie porąbane i okaleczone ciała, rozkładające się zwłoki, i będziesz przekonana, wbrew rozsądkowi, że ty osobiście jesteś odpowiedzialna za to, co ich spotkało, że to twoje ręce torturowały i zabijały.

Twoje ręce.

Twoje ręce.

Powiedz, czy mnie rozumiałaś.

– Moje ręce.

– Szczegóły twojej wielkiej chwili pozostawiam tobie.

Z pewnością masz dosyć materiałów.

– Rozumiem.

Skwierzące namiętnością oczy.

Gotujące się w rosole Erosa.

Mój soczysty wieprzowy kotlecik.

Haiku z kulinarną metaforą.

Nie były to wersy, pod którymi podpisałiby się japońscy mistrzowie, ale chociaż doktor szanował formalne struktury haiku, miał dosyć poczucia niezależności, by od czasu do czasu stosować własne reguły.

Dusty czytał o doktorze Yenie Lo i zespole komunistycznych specjalistów od kontroli umysłu, którzy grzebali w mózgach nieszczęsnych amerykańskich żołnierzy, gdy nagle wykrzyknął, mając na myśli książkę, którą trzymał w ręku: – Co to jest, do diabła!

Prawie rzucił „Mandżurskiego kandydata” w drugi koniec poczekalni, ale opanował się.

Zamiast tego cisnął powieść na mały stolik obok krzesła, potrząsając prawą dłonią, jakby książka oparzyła go.

Poderwał się na nogi i stanął, wpatrując się w tę przeklętą książkę.

Był nie mniej wstrząśnięty i przerażony, niż gdyby zakłęcie złego czarnoksiężnika przemieniło powieść w jadowitego węża.

Kiedy ośmielił się oderwać wzrok od książki, spojrzął na drzwi gabinetu doktora Ahrimana.

Zamknięte.

Wyglądały, jakby były zamknięte od niepamiętnych czasów.

Niewzruszone jak kamienny monolit.

Skrzypienie klamki, szcęk zatrzasku: słyszał wyraźnie oba te dźwięki.

Zakłopotanie, lęk, wstyd, poczucie niebezpieczeństwa.

Z niewyjaśnionych powodów wszystkie te uczucia przemknęły przez niego jak wyładowanie elektryczne strzelające przez niewielką przerwę w obwodzie: „Nie daj się przyłapać na czytaniu tego”!

Natychmiast rzucił książkę na stół, a ponieważ lśniąca okładka była śliska, nie zatrzymała się na marmurowym blacie.

Drzwi wydały to głuche westchnienie, a on zaczął podrywać się na nogi, książka spadła na podłogę z plaśnięciem, a potem...

...

potem powieść znów znalazła się w jego rękach, a on dalej ją czytał, siedząc na krześle, jakby ten skrzypiącoshczękająco-wzdychającoplaskający moment paniki nigdy nie nastąpił.

Może całe jego życie, od narodzin do śmierci, zostało uwiecznione na taśmie wideo na tamtym świecie, gdzie jeden z niebiańskich montażystów cofnął ją o kilka sekund, do momentu poprzedzającego odgłos otwieranych drzwi, który go zaalarmował, usuwając wszystkie te wydarzenia z jego przeszłości, ale zapominając usunąć wspomnienie o nich.

Początkujący montażysta, który musi się jeszcze dużo nauczyć.

Czary.

Dusty przypomniał sobie powieści fantastyczne w mieszkaniu Skeeta.

Czarnoksiężnicy, magowie, nekromanci, cudotwórcy.

W takich chwilach jak ta zaczyna się wierzyć w czary lub wątpić we własny zdrowy rozsądek.

Sięgnął po książkę leżącą na stole, tam gdzie ją rzucił – po raz drugi?

– i zawahał się.

Trącił książkę jednym palcem, ale nie zasyczała ani nie otworzyła oka i nie mrugnęła do niego.

Podniósł ją, obrócił z zadumą w dłoniach, a potem przerzucił strony kciukiem.

Ten dźwięk skojarzył mu się z talią tasowanych kart, co z kolei przypomniało mu, że poddany praniu mózgu amerykański żołnierz, zaprogramowany jako zabójca, został uaktywniony, kiedy kontroler wręczył mu talię kart i spytał: „Może byś uprzyjemnił sobie czas, stawiając pasjansa”?

Aby odnieść pożądany skutek, pytanie musiało być zadane właśnie w taki sposób.

Bohater stawiał pasjansa, dopóki nie wyciągnął damy karo, a wówczas kontroler uzyskał dostęp do jego podświadomości i mógł wydać mu instrukcje.

Patrząc z zadumą na książkę, Dusty znów przeciągnął kciukiem po stronach.

Usiadł, wciąż zamyślony.

Nadal przerzucał stronicę.

To, z czym miał do czynienia, to nie były czary.

To była następna luka w czasie, zaledwie kilka sekund, krótsza nawet niż chwile spędzone przy telefonie w kuchni poprzedniego dnia.

Krótsza?

Na pewno?

Spojrzał na zegarek.

Może wcale nie krótsza.

Nie mógł mieć pewności, ponieważ nie sprawdził, która jest godzina, kiedy zabrał się do czytania książki.

Może był wyłączony przez kilka sekund, a może przez dziesięć minut lub nawet dłużej.

Zgubiony czas.

Jaki to miało sens?

Żadnego.

Jego umysł, pod wpływem płynącego z głębi trzewi impulsu, błędził po bezdrożach logiki bardziej pokrętej niż sploty ludzkich jelit, i Dusty nie mógł skoncentrować się na powieści Condon.

Podszedł do wieszaka i schował książkę do kieszeni własnej kurtki zamiast do kurtki Martie.

Z drugiej kieszeni wyciągnął telefon komórkowy.

Jeśli można uaktywnić poddaną praniu mózgu osobę pytaniem „Może byś uprzyjemnił sobie czas, stawiając pasjansa”?

, to dlaczego nie uaktywnić jej nazwiskiem?

Doktor Yen Lo.

Jeśli głęboka podświadomość takiej osoby staje się dostępna dla kontrolera w chwili pojawienia się damy karo, to dlaczego nie po wyrecytowaniu kilku linijek wiersza?

Haiku.

Wciąż spacerując, Dusty wybrał numer Neda Motherwella.

Ned odpowiedział po piątym sygnale.

Nadal był w domu Sorensonów.

– Nie mogliśmy dzisiaj malować, ciągle pada, ale wykonaliśmy masę prac przygotowawczych.

Do diabła, Figa i ja zrobiliśmy dzisiaj więcej tylko we dwóch, niż przez dwa dni z tym beznadziejnym, upierdliwym gnojkiem.

– Skeet czuje się dobrze – powiedział Dusty.

– Dzięki, że pytasz.

– Mam nadzieję, że tam, dokąd go zabrałeś, nakopią mu nieźle do kościstej dupy.

– Na pewno.

Umieściłem go w Szpitalu Matki Boskiej od Kopów w Dupę.

– Powinno być takie miejsce.

– Jestem pewien, że jeśli Naprawiacze założą kościół, będzie taki w każdym mieście.

Posłuchaj, Ned, czy mógłbyś zostawić Figę samego i zrobić coś dla mnie?

– Jasne.

Figa nie jest zaćpanym, nieodpowiedzialnym fiutem.

Można na nim polegać.

– Widział ostatnio Wielką Stopę?

– Jeśli kiedyś powie, że widział, uwierzę mu.

– Ja też – przyznał Dusty.

Wyjaśnił Nedowi Motherwellowi, co ma zrobić, a potem umówili się, gdzie i kiedy się spotkają.

Skończywszy rozmowę, Dusty przypiął telefon do paska od spodni.

Spojrzał na zegarek.

Prawie trzecia.

Znowu usiadł.

Dwie minuty później, skulony na krześle, z przedramionami na udach i dłońmi ściśniętymi pomiędzy kolanami, wpatrując się w czarną podłogę, Dusty myślał tak intensywnie, że wosk powinien strzelać mu z uszu z prędkością pocisków karabinowych.

Kiedy usłyszał zgrzyt klamki i szcęk zatrasku, drgnął, ale nie poderwał się na nogi.

Martie wyszła z gabinetu pierwsza, uśmiechając się uroczo, Dusty wstał na jej widok, uśmiechając się mniej uroczo, a doktor Ahriman wkroczył do poczekalni za nią, uśmiechając się po ojcowsku, i być może Dusty uśmiechnął się trochę bardziej uroczo, kiedy zobaczył psychiatrę, ponieważ ten człowiek roztaczał wokół siebie aurę profesjonalizmu, współczucia, zaufania i wszystkiego, co najlepsze.

– Bardzo udana sesja – oświadczył doktor Dusty’emu.

– Już poczyniliśmy postępy.

Uważam, że Martie reaguje doskonale na terapię, naprawdę doskonale.

– Bogu dzięki – powiedział Dusty, zdejmując kurtkę Martie z wieszaka.

– To nie znaczy oczywiście, że nie będzie już ciężkich chwil – zastrzegł się doktor.

– Mogą wystąpić ataki paniki jeszcze gorsze niż przedtem.

Jest to, bądź co bądź, rzadka i niebezpieczna fobia.

Niezależnie jednak od krótkotrwałych nawrotów jestem pewien, że ostatecznym rezultatem będzie całkowite wyleczenie.

– Jak długo to potrwa?

– spytał Dusty, lecz bez niepokoju, ponieważ nikt nie mógłby się niepokoić w obecności uśmiechniętego promiennie doktora.

– Nie dłużej niż kilka miesięcy – odparł doktor Ahriman – a może nawet krócej.

Te rzeczy mają własne zegary, a my nie potrafimy ich regulować.

Jednakowoż są powody do optymizmu.

Tym razem nie zapiszę nawet żadnych leków, przez tydzień lub dwa ograniczymy się do samej terapii, a potem zobaczymy, co osiągnęliśmy.

Dusty już chciał wspomnieć o recepcie na valium, którą wypisał doktor Closterman, ale Martie odezwała się pierwsza.

Wkładając ręce w rękawy kurtki, którą podał jej Dusty, powiedziała: – Kochanie, czuję się całkiem dobrze.

Naprawdę znacznie, znacznie lepiej.

Naprawdę.

– Piątek rano.

O dziesiątej – przypomniał im doktor Ahriman.

– Przyjdziemy – zapewnił go Dusty.

– Jestem pewien, że przyjdziecie.

Kiedy doktor wycofał się do gabinetu i zamknął za sobą ciężkie drzwi, większość ciepła uleciała z poczekalni.

Nie wiadomo skąd napłynął lekki chłód.

– To naprawdę znakomity psychiatra – powiedziała Martie.

– Przejawia szczerą troskę o swoich pacjentów – dodał Dusty, zapinając kurtkę, a chociaż wciąż się uśmiechał i nadal czuł się dobrze, jakaś przewrotna część jego umysłu zadawała sobie pytanie, skąd wie, że Ahriman troszczy się o cokolwiek poza inkasowaniem swoich honorariów.

Otwierając drzwi na korytarz czternastego piętra, Martie powiedziała: – Doktor Ahriman rozwiąże ten problem.

Ufam mu.

W długim korytarzu, kiedy szli w kierunku windy, Dusty spytał: – Kto używa słowa Jednakowoż”?”

– Co masz na myśli?

– On go użył.

Doktor Ahriman.

Jednakowoż.

– Naprawdę?

No cóż, to tylko słowo, prawda?

– Ale jak często zdarza ci sieje słyszeć?

To znaczy, poza biurem prawnika i salą sądową.

– Do czego zmierzasz?

Marszcząc brwi, Dusty odparł: – Nie wiem.

W niszy windy, naciskając guzik, Martie powiedziała: – Na ogół masz rację, jednakowoż teraz nie.

– To napuszone słowo.

– Wcale nie.

– W każdym razie w potocznej rozmowie – upierał się.

– Tak mógłby się wyrazić mój ojciec.

Trevor Penn Rhodes.

Albo ojciec Skeeta.

Albo któryś z dwóch pozostałych mężów naszej matki.

– Jednakowoż czepiasz się, co ci się rzadko zdarza.

O co ci chodzi?

Westchnął.

– Chyba o nic.

W drodze na parter Dusty'emu wywracał się żołądek, jak w ekspresowej windzie do piekła.

Idąc przez westybul, czuł się tak, jakby przechodził dekompresję po nurkowaniu w głębokim oceanicznym rowie lub przyzwyczajał się do grawitacji po wyjściu ze stanu nieważkości.

Budził się ze snu.

Kiedy zbliżali się do drzwi, Martie ujęła go za rękę, a on powiedział: – Przepraszam, Martie.

Po prostu czuję się...

niesamowicie.

– Nie szkodzi.

Byłeś niesamowity, kiedy za ciebie wychodziłam.

Rozdział 51.

Z parkingu nie było widać pobliskiego Pacyfiku, toteż Dusty nie mógł się przekonać, czy ocean jest tak samo złowieszczo ciemny, jak wydawał się z gabinetu doktora Ahrimana na czternastym piętrze.

Niebo było zachmurzone, ale nie przytłaczało już swoim ołowianym ciężarem, a znalazłszy się wśród wytworów człowieka, Dusty nie potrafił dostrzec przyszłych zniszczeń wyrządzonych przez nadchodzące kataklizmy.

Bryza zamieniła się w wiatr, który zamiatał pracowicie opadłe liście i drobne śmieci z chodnika.

W samochodzie Martie poczuła przypływ niepokoju, choć nie mógł się on równać z tym, co przeżywała rano.

Wciąż rozpromieniona po spotkaniu z psychiatrą, otworzyła schowek na rękawiczki, znalazła paczkę czekoladowych cukierków i wkładała je do ust po jednym, żując każdy z wyraźną przyjemnością.

Najwidoczniej nie obawiała się, że zwróci je później, w ataku paniki, kiedy znów zacznie tłuc głową o deskę rozdzielczą.

Poczęstowała cukierkiem Dusty'ego, który odmówił, wyciągnął z kieszeni książkę i spytał: – Skąd to masz?

Spojrzała na książkę i wzruszyła ramionami.

– Gdzieś ją znalazłam.

– Kupiłaś ją?

– Wiesz, w księgarniach nie rozdają niczego za darmo.

– W której księgarni?

Marszcząc brwi, spytała: – O co znowu chodzi?

– Wyjaśnię.

Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć.

W której?

Barnes i Noble?

Borders?

Book Carnival, gdzie kupujesz kryminały?

Przez moment oglądała książkę, żując cukierka.

– Nie wiem.

– Przecież nie kupujesz setki książek tygodniowo w dwudziestu różnych księgarniach – powiedział niecierpliwie.

– Dobrze, w porządku, ale nigdy nie twierdziłam, że mam twoją pamięć.

A ty nie pamiętasz, gdzie ją kupiłam?

– Nie musiałem przy tym być.

Martie odłożyła torebkę z cukierkami i wzięła książkę.

Nie otworzyła jej ani nawet nie przeciągnęła kciukiem po stronach, jak mógł się spodziewać, ale trzymała ją w obu dłoniach, patrząc na tytuł, trzymała bardzo mocno, jakby próbowała wycisnąć z niej pochodzenie, tak jak wyciska się sok z pomarańczy.

– Chyba lepiej wróć do szpitala i zrobię test na wczesnego Alzheimera – powiedziała wreszcie, zwracając mu książkę i sięgając po cukierki.

– Może to był prezent – zasugerował.

– Od kogo?

– To właśnie chciałbym wiedzieć.

– Nie.

Gdyby to był prezent, pamiętałabym.

– Kiedy oglądałaś teraz książkę, dlaczego jej nie otworzyłaś?

– Otwierać ją?

W środku nie ma nic, co powiedziałoby mi, gdzie ją kupiłam.

– Podsunęła mu opróżnioną do połowy torebkę z cukierkami.

– Proszę.

Jesteś zirytowany.

Może masz hipoglikemię.

Trochę cukru dobrze ci zrobi.

– Przestań.

Martie, czy wiesz, o czym jest ta książka?

– Jasne.

To dreszczowiec.

– Ale dreszczowiec o czym?

– Zajmująca fabuła, barwne postacie.

Podoba mi się.

– Ale o czym?

Spojrzała na powieść, żując cukierka trochę wolniej.

– No cóż, znasz ten typ literatury.

Pościgi, ucieczki, strzelaniny, znowu pościgi.

Dusty poczuł, jak książka w jego rękach robi się coraz zimniejsza.

Cieęższa.

Jej struktura też zaczęła się zmieniać: kolorowa okładka wydawała się bardziej śliska niż przedtem.

Jakby nie była książką.

Czymś więcej niż książką.

Talizmanem, który w każdej chwili mógł ujawnić swą czarodziejską moc i posłać go przez magiczne drzwi w zaludnioną przez smoki alternatywną rzeczywistość w rodzaju tych, o których lubił czytać Skeet.

A może talizman już dokonał tej sztuki, a on nie zorientował się, że przeszedł z jednego świata do innego.

Smoki były tutaj.

– Martie, nie sądzę, byś przeczytała chociaż jedno zdanie z tej książki.

Czy nawet ją otworzyła.

Trzymając cukierka pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i wkładając go sobie do ust, powiedziała: – Mówiłam ci, to prawdziwy dreszczowiec.

Styl jest dobry, fabuła jest zajmująca, a postacie barwne.

Podoba...

mi...

się.

Dusty spostrzegł, że zauważyła w swoich słowach monotony refren zacinającej się płyty.

Siedziała z otwartymi ustami, ale cukierek pozostał w jej palcach.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Podnosząc książkę i pokazując jej tylną stronę okładki, powiedział: – To o praniu mózgu, Martie.

Nawet notka na okładce mówi o tym wyraźnie.

Wyraz jej twarzy, lepiej niż jakiegokolwiek słowa, zdradzał, że temat powieści jest dla niej zaskoczeniem.

– Akcja rozgrywa się podczas wojny koreańskiej i kilka lat później – wyjaśnił.

Czekoladowy krążek zaczął rozpuszczać się pomiędzy jej palcami, więc wsunęła go do ust.

– Występuje tam taki facet – ciągnął Dusty – żołnierz, Raymond Shaw, który...

– Słucham.

Dusty skupiał swoją uwagę na książce, kiedy Martie przerwała mu, a gdy podniósł głowę, zobaczył na jej twarzy ten spokojny, nieobecny wyraz.

Jej usta były rozchylone.

Na języku dojrzał czekoladowego cukierka.

– Martie?

– Tak – powiedziała ochryple, nie zamykając ust, z cukierkiem na języku.

To, co przydarzyło się Skeetowi w Klinice Nowego Życia, powtórzyło się teraz z Martie.

– O kurwa – wykrztusił Dusty.

Zamrugła, zamknęła usta, przesunęła językiem cukierek do lewego policzka i spytała: – Co się dzieje?

– Dokąd odeszłaś?

– Ja?

Kiedy?

– Teraz.

Przed chwilą.

Potrząsnęła głową.

– Naprawdę myślę, że potrzebujesz trochę cukru.

– Dlaczego powiedziałaś: „Słucham”?

– Nie powiedziałam.

Dusty spojrział przez przednią szybę, ale nie zobaczył obsydianowego zamku z czerwonoookimi demonami na zębatych blankach ani rycerzy pożeranych przez smoki.

Tylko zamiatany wiatrem parking, świat, który znał, chociaż mniej znajomy, niż mu się kiedyś wydawało.

– Opowiadałem ci o książce – przypomniał jej.

– Czy pamiętasz ostatnią rzecz, jaką powiedziałem?

– Dusty, co, na miłość...

– Zrób mi przyjemność.

Westchnęła.

– No dobrze, opowiadałeś o tym facecie, tym żołnierzu...

– A potem?

– A potem powiedziałaś: „O kurwa”.

To wszystko.

Skóra mu cierpła od samego trzymania książki.

Odłożył ją na deskę rozdzielczą.

– Nie pamiętasz nazwiska tego żołnierza?

– Nie powiedziałaś mi.

– Owszem, powiedziałam.

I wtedy...

odeszłaś.

Zeszłej nocy mówiłaś, że czujesz, jakbyś zgubiła fragmenty dnia.

No cóż, mamy tu kilka zgubionych sekund.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie czuję tego.

– Raymond Shaw.

– Słucham.

Znowu to samo.

Nieobecne oczy.

Ale nie tak głęboki trans jak w przypadku Skeeta.

Zapewne nazwisko uaktywniało obiekt.

Haiku natomiast otwierało podświadomość na przyjęcie instrukcji.

– Czyste kaskady – powiedział Dusty, ponieważ było to jedyne haiku, jakie znał.

Jej oczy zrobiły się szkliste, ale nie poruszały się jak u Skeeta.

Nie zareagowała na te wersy ostatniej nocy, kiedy zasypiała; i nie reagowała na nie teraz.

Jej hasłem był „Raymond Shaw”, a nie „doktor Yen Lo”, a jej haiku było inne niż Skeeta.

– Na fale padły.

Zamrugła.

– Co padło?

– Znowu odeszłaś.

Patrząc na niego z powątpiewaniem, spytała: – To dlaczego moje miejsce jest ciepłe?

– Mówię poważnie.

Odeszłaś.

Jak Skeet, ale inaczej.

Wystarczyło powiedzieć „doktor Yen Lo”, a on już głupiał, bełkotał coś o regułach i niecierpliwił się, ponieważ nie umiałem pokierować nim właściwie.

Ale ty jesteś mniej podatna, po prostu czekasz na właściwe słowa, a kiedy nie wypowiadam wersu, który otwiera cię na instrukcje, wychodzisz z tego.

Spojrzała na niego, jakby oszalał.

– Nie oszalałem – zapewnił ją.

– Jesteś znacznie bardziej niesamowity, niż kiedy za ciebie wychodziłam.

Co to za historia ze Skeetem?

– Coś dziwnego wydarzyło się wczoraj w Klinice Nowego Życia.

Nie miałem dotąd okazji, żeby ci o tym opowiedzieć.

– Teraz masz okazję.

Potrząsnął głową.

– Później.

Najpierw uporajmy się z tym.

Udowodnię ci, że to się dzieje naprawdę.

Masz cukierka w ustach?

– W ustach?

– Tak.

Zjadłaś już tego ostatniego, czy nadal masz go w ustach?

Namaciała na wpół roztopiony cukierek w zagłębieniu policzka, pokazała mu go na koniuszku języka, a potem schowała.

Podsuwając mu torebkę, spytała: – Nie wolałbyś świeżego?

Odebrał jej torebkę i powiedział: – Połknij go.

– Czasami wolę poczekać, aż się rozpuści.

– Zrobisz to z następnym.

No dalej, połknij go.

– Zdecydowanie hipoglikemia.

– Nie, jestem nerwowy z natury – odparł, wyjmując cukierka z torebki.

– Połknęłaś?

Przełknęła teatralnie.

– Nie masz cukierka w ustach?

– naciskał.

– Na pewno?

– Na pewno, na pewno.

Ale co to ma wspólnego z...

– Raymond Shaw – powiedział Dusty.

Jej oczy zrobiły się szkliste, a mięśnie twarzy rozluźniły się.

Z rozchyłonymi ustami czekała na haiku, którego nie znał.

Zamiast wiersza Dusty dał jej cukierka, wsunął czekoladowy krążek w otwarte usta, precyzyjnie przez zęby i położył na języku, który nawet nie drgnął, kiedy go dotykał.

Ledwie Dusty odsunął się od niej, Martie zamrugła, zaczęła kończyć zdanie, które Dusty przerwał nazwiskiem „Raymond Shaw” – i uświadomiła sobie, że ma w ustach cukierka.

Musiała poczuć się tak samo jak Dusty, kiedy odkrył, że znów, jak za sprawą czarów, trzyma w ręku książkę, chociaż przed chwilą rzucił ją na podłogę poczekalni.

Wstrząśnięty, omal nie cisnął książki w drugi koniec pokoju, ale opanował się.

Martie nie zdołała się opanować: wciągnęła gwałtownie powietrze, zakrztusiła się, zakaszła i wypluła cukierek, trafiając Dusty’ego w czoło.

– Myślałem, że wolisz poczekać, aż się rozpuści.

– Już się rozpuszczał.

Wycierając chusteczką czekoladę z czoła, powiedział: – Odeszłaś na kilka sekund.

– Odeszłam – przyznała drżącym głosem.

Jej dobry nastrój zniknął.

Otarła nerwowo usta wierzchem dłoni, opuściła osłonę przeciwsłoneczną, aby przyjrzeć się swojej twarzy w małym lusterku, natychmiast cofnęła się przed własnym odbiciem i znów podniosła osłonę.

Skuliła się na fotelu.

– Skeet – przypomniała mu.

Tak zwięźle jak to możliwe Dusty opowiedział jej o upadku z dachu Sorensonów, kartkach z notatnika w kuchni Skeeta, epizodzie w klinice i swoim niedawnym wrażeniu, że sam doświadczył przynajmniej krótkich przerw w czasie.

– Czarne dziury, fugi, jakkolwiek zechcesz to nazwać.

– Ty, ja i Skeet – powiedziała.

Spojrzała na książkę na tablicy rozdzielczej.

– Ale...

pranie mózgu?

Był boleśnie świadom, jak nieprawdopodobna wydaje się ta teoria, lecz wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin przydawały jej wiarygodności, choć nie eliminowały czynnika absurdu.

– Być może, tak.

Coś się z nami stało.

Coś...

nam zrobiono.

– Dlaczego nam?

Spojrzał na zegarek.

– Lepiej już jedźmy.

Musimy się spotkać z Nedem.

– Co ma do tego Ned?

Uruchamiając silnik, Dusty odparł: – Nic.

Prosiłem go, żeby załatwił dla mnie parę spraw.

Kiedy Dusty wyprowadzał samochód z parkingu, Martie powiedziała: – Wracając do rzeczy najważniejszej.

Dlaczego my?

Dlaczego to się przydarza nam?

– Dobrze, wiem, co myślisz.

Malarz pokojowy, projektantka gier wideo i biedny nieudacznik Skeet.

Kto mógłby coś zyskać, grzebiąc nam w umysłach, kontrolując nas?

Podnosząc książkę z deski rozdzielczej, spytała: – Dlaczego poddali praniu mózgu tego faceta w powieści?

– Zrobili z niego zabójcę, którego w żaden sposób nie można było powiązać z ludźmi sprawującymi nad nim kontrolę.

– Ty, ja i Skeet zabójcami?

– Lee Harvey Oswald też był nikim, dopóki nie zastrzelił Johna Kennedy’ego.

– Świetnie, dzięki.

– To prawda.

I Sirhan Sirhan.

I John Hinckley.

Niezależnie od tego, czy morze okazałoby się tak mocno powleczone czernią, gdyby je w końcu zobaczył, czy też nie, Dusty zdawał sobie sprawę, że teraz, kiedy kojąca atmosfera gabinetu psychiatry pozostała daleko, jego nastrój zmienił się na gorsze.

Przy wyjeździe z parkingu, kiedy podszedł do kiosku kasjera i blokującego drogę pasiastego szlabanu, maleńki budynek wydał mu się siedliskiem zagrożenia, niczym posterunek straży na jakimś odległym, zapomnianym przez Boga przejściu granicznym na Bałkanach, gdzie umundurowane zbiry z karabinami maszynowymi rutynowo okradają, a czasem mordowały podróżnych.

Kasjer był sympatyczną kobietą – trzydziestoletnią, ładną, lekko puciołową, ze spinką w kształcie

motyla we włosach – lecz Dusty miał paranoidalne uczucie, iż jest ona kimś innym, niż się wydaje.

Kiedy szlaban podniósł się i wyjechali z parkingu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w połowie mijanych na ulicy samochodów siedzą obserwatorzy wyznaczeni do ich śledzenia.

Rozdział 52.

Na głównej alei w New-port rozkołysane na wietrze wierzchołki strzelistych palm potrząsały liśćmi, jakby ostrzegały Dusty'ego przed drogą, którą jechał.

Martie powiedziała: – No dobrze, jeśli naprawdę ktoś nam coś zrobił, to kto?

– W „Mandżurskim kandydacie” to byli komuniści.

Rosjanie, Chińczycy i północni Koreańczycy.

– Związek Radziecki już nie istnieje – zauważyła.

– A jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby nasza trójka miała być narzędziem perfidnego spisku azjatyckich reżimów totalitarnych.

– W filmie byliby to prawdopodobnie kosmici.

– Świetnie – powiedziała z sarkazmem.

– Zadzwońmy do Figi Newtona i skorzystajmy z jego rozległej wiedzy na ten temat.

– Lub jakaś ogromna korporacja, która chce nas przekształcić w bezmyślnych mechanicznych konsumentów.

– Sama do tego zmierzam bez ich pomocy.

– Tajna agencja rządowa, spiskujący politycy, Wielki Brat.

– To zbyt realne, by czerpać z tego pociechę.

Ale wciąż pozostaje pytanie, dlaczego my.

– Gdyby nie my, byłby to ktoś inny.

– Słaby argument.

– Wiem – powiedział z rezygnacją.

W mrocznych zakamarkach jego umysłu majaczyła inna odpowiedź, jarząc się niewyraźnie, ale nie dość jasno, by mógł się jej dobrze przyjrzeć.

Za każdym razem, gdy podążał za nią w mrok, myśl uciekała.

Przypomniał sobie rysunek lasu, który stawał się miastem, jeśli spojrzano się nań bez uprzedzeń.

Teraz miał do czynienia z podobną sytuacją.

Przypomniał sobie swój sen o błyskawicy i czapli.

Gruszkowata pompka sfigmomanometru unosiła się w powietrzu, ściskana niewidzialną ręką.

W tym śnie oprócz niego i Martie występowała też trzecia osoba, przezroczysta jak duch.

Tą osobą był ich prześladowca, nieważne – kosmita, agent Wielkiego Brata czy jeszcze ktoś inny.

Dusty podejrzewał, iż jeśli naprawdę działa zgodnie z jakimś narzuconym hipnotycznie programem, to nieznani programiści musieli wszczepić mu sugestię, że gdyby kiedykolwiek nabrał podejrzeń, jego podejrzenia nie padną na nich, lecz na całą masę innych domniemyanych sprawców, prawdopodobnych i nieprawdopodobnych, takich jak przybysze z kosmosu i agenci rządowi.

Tajemniczy nieprzyjaciół mógł stanąć na jego drodze w dowolnym momencie, lecz w prawdziwym życiu pozostawał tak samo niewidzialny jak we śnie o wrzeszczącej czapli.

Kiedy Dusty skręcił w prawo, w Autostradę Nadbrzeżną, Martie otworzyła „Mandżurskiego kandydata” i odszukała pierwsze zdanie zawierające nazwisko, które wywoływało u niej zaniki świadomości.

Dusty zobaczył, że wstrząsnął nią zimny dreszcz, kiedy je przeczytała, ale nie zapadła w ten oderwany stan oczekiwania.

Potem wypowiedziała je na głos: „Raymond Shaw”, bez poważniejszych efektów niż kolejny nagły

dreszcz.

– Może nie działa na ciebie, kiedy czytasz lub wypowiadasz je sama – zasugerował – tylko kiedy ktoś inny wypowiada je w twojej obecności.

– A może po prostu poznając to nazwisko, wyrwałam się spod jego wpływu.

– Raymond Shaw.

– Słucham.

Kiedy po mniej więcej dziesięciu sekundach Martie odzyskała pełną świadomość, Dusty mruknął: – Witaj z powrotem.

To tyle, jeśli chodzi o twoją teorię.

Patrząc gniewnie na książkę, powiedziała: – Powinniśmy zabrać ją do domu i spalić.

– To nie miałyby sensu.

Są w niej wskazówki.

Tajemnice.

Ten, kto wcisnął ci tę książkę do rąk – a skłaniam się ku myśli, że nie weszłaś po prostu do księgarni i nie kupiłaś jej – ktokolwiek to był, musi działać po przeciwnej stronie niż ludzie, którzy nas zaprogramowali.

Chce, żebyśmy wiedzieli, co się z nami dzieje.

A książka jest kluczem.

Dał ci klucz do rozwiązania tego wszystkiego.

– Tak?

To dlaczego nie podszedł do mnie i nie powiedział: „Droga pani, ludzie, których znam, grzebią w pani mózgu, wszczepiają pani do głowy autofobię i wiele innych rzeczy, o których jeszcze pani nie wie, z powodów, których nie potrafi pani sobie wyobrazić, a mnie się to za bardzo nie podoba”.

– No cóż, powiedzmy, że istnieje jakaś tajna agencja rządowa, a wewnątrz tej agencji jest niewielka frakcja, która z pobudek moralnych sprzeciwia się projektowi...

– Sprzeciwia się operacji Pranie Mózgu Dusty’ego, Skeeta i Martie.

– Tak.

Ale ci ludzie nie mogą przyjść do nas otwarcie.

– Dlaczego?

– naciskała.

– Ponieważ zostaliby zabici.

Albo po prostu obawiają się stracić posady i pensje.

– Sprzeciwiają się z pobudek moralnych, ale nie do tego stopnia, żeby zaryzykować swoje pensje?

To mało prawdopodobne.

Co do reszty...

Podrzucili mi tę książkę, a potem z jakiegoś powodu zaprogramowali mnie, żebym jej nie przeczytała.

Dusty zahamował na czerwonym świetle.

– Trochę to naciągane, co?

Bardzo naciągane.

Znajdowali się na moście przerzuconym nad kanałem łączącym New-port Harbor z jego boczną odnogą.

Pod zachmurzonym niebem szeroki pas wody był szarozielony, ale nie czarny, pofałdowany przez

wiatr i podmorskie prądy, toteż wydawał się pokryty łuską, niczym skóra groźnego gada z epoki jurajskiej.

– Ale jest coś, co nie jest naciągane – powiedziała Martie.

– Ani trochę naciągane.

Coś, co przytrafia się Susan.

Zawziętość w jej głosie odciągnęła uwagę Dusty'ego od zatoki.

– Co z Susan?

– Ona też gubi czas.

I to nie małe fragmenty.

Wielkie kawały czasu.

Całe noce.

Zasłona valium stopniowo opadała jej z oczu, upragniony, lecz sztuczny spokój znów ustępował miejsca strachowi.

W gabinecie doktora Ahrimana jej nienaturalna bladość zniknęła, a cera nabrała brzoskwiniowej barwy, lecz teraz cienie zbierały się na skórze pod oczami, jakby jej twarz ciemniała równocześnie z odchodzącym powoli zimowym popołudniem.

Na odległym krańcu mostu czerwone światło zmieniło się na zielone.

Sznur samochodów znowu ruszył.

Martie opowiedziała Dusty'emu o widmowym gwałcicielu Susan.

Wcześniej Dusty był zaniepokojony.

Był wystraszony.

Teraz w jego sercu wezbrało uczucie gorsze niż niepokój i strach.

Czasami, kiedy budził się w środku nocy i leżał, słuchając cichego oddechu Martie, zstępowała na niego śmiertelna trwoga, bardziej przerażająca niż zwykły strach.

Po o jednym za dużo kieliszku wina do kolacji, nadmiarze majonezu i może gorzkim ząbku czosnku umysł miał tak samo zakwaszony jak żołądek i kontemplował ciszę przedświt, nie napawając się jak zwykle jej pięknem, nie słysząc w niej spokoju, lecz jedynie groźbę pustki.

Na przekór wierze, która przez większą część życia była jego opoką, w te ciche noce drażył jego serce robak zwątpienia, a Dusty zastanawiał się, czy on i Martie mają przed sobą tylko to jedno życie, a potem już tylko ciemność, w której nie ma żadnych wspomnień, pozbawioną nawet samotności.

Nie chciał żadnego „dopóki śmierć was nie rozłączy”, nie chciał niczego krótszego niż wieczność, a kiedy wewnętrzny głos rozpaczy podpowiadał mu, że wieczność jest oszustwem, zawsze wyciągał w ciemnościach rękę, by dotknąć śpiącej Martie.

Nie zamierzał jej budzić, lecz jedynie poczuć to, co zawsze w sobie miała, a co potrafił rozpoznać nawet najłżejszym dotykiem: daną jej łaskę, jej nieśmiertelność i obietnicę dla siebie.

Teraz, słuchając, jak Martie opowiada mu historię Susan, Dusty znów stał się jabłkiem drążonym przez robaka zwątpienia.

Wszystko, co przydarzyło się każdemu z nich, wydawało się nierzeczywiste, pozbawione znaczenia, niczym przelotne wejrzenie w chaos ukrytego życia.

Owładnęło nim przekonanie, iż koniec, kiedy nadejdzie, nie będzie tylko końcem, lecz także początkiem, i poczuł też, że ten moment zbliża się szybko, podobnie jak okrutna i straszna śmierć, ku której pędzą na oślep.

Gdy Martie skończyła, Dusty wręczył jej telefon komórkowy.

– Spróbuj jeszcze raz.

Wykręciła numer Susan.

Telefon dzwonił i dzwonił.

– Zobaczmy, czy jej lokatorzy na dole wiedzą, dokąd wyszła – zaproponowała Martie.

– To niedaleko.

– Ned na nas czeka.

Jak tylko odbiorę to, co miał dla mnie zdobyć, pojedziemy do Susan.

Ale jestem pewien, że to nie Eric zakrada się tam nocami.

– Ponieważ ten, kto jej to robi, stoi również za tym, co dzieje się ze mną, z tobą i ze Skeetem.

– Właśnie.

A Eric, do cholery, jest doradcą finansowym, liczykrupą, a nie czarodziejem od kontroli umysłów.

Martie jeszcze raz wybrała numer Susan.

Mocno przycisnęła telefon do ucha.

Na jej twarzy malowało się napięcie i żarliwe pragnienie, aby ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

Rozdział 53.

Dumą Neda Motherwella był chevrolet camaro rocznik 1982: nie lakierowany, lecz pomalowany regularnie szarą farbą antykorozyjną, podrasowany, wyposażony w reflektory i pozbawiony błyszczących części z wyjątkiem pary grubych chromowanych rur wydechowych.

Zaparkowany w południowowschodnim narożniku parkingu przy centrum handlowym, nasuwał skojarzenia z filmem gangsterskim pełnym pościgów i ucieczek.

Kiedy Dusty zaparkował dwa miejsca dalej, Ned wysiadł z chevroleta, który wyglądał przy nim jak małowitrazówka.

Wydawało się, że gdyby camaro się zepsuł, Ned mógłby zanieść go do garażu na własnych plecach.

Chociaż dzień był chłodny i zbliżał się już wieczór, miał na sobie tylko białe szorty i biały podkoszulek, jak zwykle.

Drzewa okalające parking kołysały się na wietrze, a małe tumany kurzu i śmieci wirowały na chodniku, ale Ned zdawał się nie przejmować chłodem.

Kiedy Dusty opuścił szybę, Ned uśmiechnął się i powiedział: – Cześć, Martie.

– Cześć, Ned.

– Przykro mi słyszeć, że źle się czujesz.

– Mówią, że będę żyła.

Dzwoniąc do Neda z poczekalni doktora Ahrimana, Dusty wyjaśnił mu, że Martie jest chora i nie czuje się na siłach wejść do apteki ani do księgarni, a on nie chce zostawiać jej samej w samochodzie.

– Ciężko jest już pracować dla tego faceta – powiedział Ned – więc wyobrażam sobie, jak musisz cierpieć, żyjąc z nim.

Bez obrazy, szefie.

– Nie ma sprawy.

Ned podał mu przez okno małą torbę z apteki.

Zawierała kilka opakowań valium, które doktor Closterman zamówił wcześniej przez telefon.

Miał też większą torbę z księgarni.

– Gdybyś zapytał mnie rano, co to jest haiku – ciągnął Ned – powiedziałbym, że to jakiś rodzaj sztuki walki, jak taekwon-do.

A to tylko te podrasowane wiersze.

– Podrasowane?

– spytał Dusty, zaglądając do torby.

– Jak mój samochód – odparł Ned.

– Opływowe, aerodynamiczne.

Całkiem niezłe.

Kupiłem jeden tomik dla siebie.

Dusty dostrzegł w torbie siedem zbiorów haiku.

– Sporo.

– Mają całą długą półkę tego towaru – powiedział Ned.

– Jak na tak małą rzecz, haiku jest wielkie.

– Jutro wypiszę ci na to wszystko czek.

– Nie ma pośpiechu.

Zapłaciłem kartą kredytową.

Na razie jeszcze jest ważna.

Dusty podał mu przez okno klucz od domu.

– Jesteś pewien, że będziesz miał czas zająć się Lokajem?

– Jasne.

Tylko że nie znam się na psach.

– Nie trzeba się znać.

– Dusty wyjaśnił mu, gdzie znaleźć chrupki.

– Daj mu dwie miski.

Potem zechce na spacer, ale po Prostu wypuść go na podwórze na dziesięć minut, a zrobi, co trzeba.

– Wytrzyma potem sam w domu?

– Jeśli tylko zostawisz mu pełną miskę wody i pilota od telewizora, będzie szczęśliwy.

– Moja mama uwielbiała koty – powiedział Ned.

– Nie była Kobieta-Kotką, ale opiekowała się kotami i zawsze miała koteczka.

Usłyszeć słowo „koteczek” z ust ogromnego Neda to było prawie tak, jak zobaczyć obrońcę piłkarskiego, który przechodzi nagle na krok baletowy i wykonuje bezbłędne entrechat.

– Kiedyś sąsiad otruł rudą kotkę, którą mama naprawdę kochała.

– Kto mógłby otruć kota?

– oburzył się Dusty.

– Wynajmował mieszkanie obok nas i miał tam laboratorium, w którym wytwarzał syntetyczną metamfetaminę.

Sąsiad, nie kot – powiedział Ned.

– Ludzki śmieć.

Połamane mu nogi, zadzwoniłem pod 911, podałem się za niego, powiedziałem, że spadłem ze schodów i potrzebuję pomocy.

Przysłali karetkę, zobaczyli laboratorium i zwinęli go.

– Połamaneś nogi handlarzowi narkotyków?

– spytała Martie.

– To chyba niebezpieczne.

– Nie bardzo.

Kilka dni później jeden z jego kumpli strzelił do mnie, ale był tak nagrzany, że chybił.

Połamane mu ręce, wsadziłem do samochodu i zepchnąłem z nasypu.

Zadzwoniłem pod 911, podałem się za niego i wezwałem pomoc.

W bagażniku samochodu znaleźli brudne pieniądze i prochy, opatrzyli mu ręce i wsadzili na dziesięć lat.

– Wszystko to za kota?

– zdumiał się Dusty.

– To był miły kot.

A poza tym był mamy.

Martie powiedziała: – Myślę, że Lokaj jest w dobrych rękach.

Ned uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Nie pozwolę, żeby coś złego stało się waszemu pieskowi.

Na bulwarze Balboa, kilka przecznic od mieszkania Susan, Martie, która przeglądała zbiorek haiku, nagle jęknęła, wypuściła książkę i skuliła się na przednim siedzeniu, wijąc się jak w bólu.

– Zatrzymaj się.

Zatrzymaj się, szybko, zatrzymaj się.

Nie ból.

Strach.

Że wyrwie mu kierownicę.

Skreśli prosto pod nadjeżdżający z przeciwka samochód.

Znajoma już śpiewka: potwór czai się we mnie.

Latem, przy zatłoczonych plażach, Dusty prawdopodobnie musiałby jechać godzinę, zanim znalazłby miejsce do zaparkowania.

W styczniu mógł szybko zjechać do krawężnika.

Na chodniku kilkoro dzieci przemknęło na wrotkach, wypatrując staruszków, których mogłyby przewrócić i posłać do szpitala.

Z lewej przejechali rowerzyści, szukając śmierci w ruchu ulicznym.

Nikt nie zwracał uwagi na Dusty'ego i Martie.

To mogło się zmienić, gdyby znowu zaczęła krzyczeć.

Zastanawiał się, jak najlepiej ją powstrzymać, jeśli zacznie tłuc głową o tablicę rozdzielczą.

Nie było bezpiecznego sposobu.

W panice będzie stawiała zaciekły opór, będzie próbowała się wyrwać, a on może ją niechcący zranić.

– Kocham cię – powiedział bezradnie.

Potem zaczął do niej mówić, po prostu cicho mówić, gdy kołysała się na fotelu, łapała oddech i jęczała jak kobieta, którą chwyciły bóle porodowe.

Nie próbował przemawiać jej do rozsądku ani uspokajać, ponieważ wiedział już, jak irracjonalny jest jej strach.

Zamiast tego mówił o ich pierwszej randce.

To była piękna katastrofa.

Zachwalał jej restaurację, ale w ciągu sześciu tygodni, od kiedy jadł tam po raz ostatni, zmienił się właściciel.

Nowy kucharz najwyraźniej kształcił się w Instytucie Kulinarnym Islandii, ponieważ jedzenie było zimne, a każda potrawa miała posmak popiołu wulkanicznego.

Pomocnik kelnera wylał szklanekę wody na Dusty'ego, Dusty wylał szklanekę wody na Martie, a ich kelner wylał zawartość sosjerki na siebie.

Podczas deseru w kuchni wybuchł pożar, na tyle mały, że dało się go ugasić bez straży pożarnej, lecz na tyle duży, że jeden pomocnik kelnera, jeden kelner, maitre d' i szef kuchni walczyli z nim za pomocą czterech gaśnic – choć zapewne potrzebowali takich ilości piany tylko dlatego, że wytryskiwali ją głównie na siebie, a nie w płomienie.

Po wyjściu z restauracji, przy zaimprovizowanym obiedzie w kawiarni, Dusty i Martie śmiali się tak, że związało ich to na zawsze.

Teraz żadne z nich się nie śmiało, ale więź była silniejsza niż kiedykolwiek.

Czy sprawił to cichy monolog Dusty'ego, opóźnione działanie valium, czy wpływ doktora Ahrimana, Martie nie wpadła w panikę.

Po kilku minutach strach minął i znów usiadła na fotelu wyprostowana.

– Lepiej – powiedziała.

- Ale wciąż czuję się jak gównno.
- Ptasie gównno – przypomniał jej.
- Tak.

Choć do zmroku pozostała niespełna godzina, ponad połowa mijających ich samochodów jechała bez długich Świąteł.

Budny szlam przesuwany się powoli po niebie z zachodu na wschód przeradzał się we wczesny zmierzch.

Dusty włączył światła i wjechał w lukę między samochodami.

- Dziękuję – powiedziała Martie.
- Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Następnym razem po prostu mów.

Twój głos.

Pomaga mi.

Zastanawiał się, kiedy będzie mógł ją objąć, tak żeby nie zeszywniała ze strachu, a w jej oczach nie pojawił się błysk rodzącej się paniki.

Kiedy, jeśli w ogóle?

Zagniewane morze próbowało wyrwać się z głębin i utorować sobie drogę na kontynent, a pieszczona wiatrem plaża wysuwała piaszczyste palce na promenadę, upominając się o chodnik.

Trzy mewy przysiadły na poręczy schodów, niczym strażnicy na morskiej wachcie, jakby nie mogły się zdecydować, czy porzucić burzliwe wybrzeże dla zacisznych poddaszy w głębi lądu.

Kiedy Martie i Dusty wspinali się po stromych schodach na podest drugiego piętra, ptaki poderwały się kolejno i poszybowały na wschód, unoszone prądem powietrza.

Chociaż mewy nigdy nie są małowówne, żadna z nich nie wydała ani jednego krzyku, gdy odlatywały.

Martie zapukała do drzwi, odczekała, i znowu zapukała, lecz w mieszkaniu panowała cisza.

Użyła własnego klucza, by otworzyć dwie zasuwki.

Uchyliła drzwi i zawołała Susan po imieniu, dwa razy, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Wytrzebuty o szorstką matę i weszli do środka, zamykając za sobą drzwi i znów wołając ją po imieniu, głośniejszym głosem.

Kuchnię wypełniał mrok, lecz w jadalni paliło się światło.

– Susan?

– powtórzyła Martie, ale i tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

W mieszkaniu rozbrzmiewały liczne głosy, lecz to tylko wiatr mówił do siebie.

Szczebiotał w cedrowych gontach dachu.

Pohukiwał i śmiał się w krokwiach.

Gwizdał we wszystkich szczelinach i szeptał w każdym oknie.

Ciemność w salonie, rolety opuszczone, zasłony zaciągnięte.

W korytarzu też było ciemno, lecz światło wylewało się z sypialni, której drzwi stały otworem.

Mocne światło w łazience, drzwi lekko uchylone.

Z wahaniem, wciąż wołając Susan, Martie weszła do sypialni.

Z ręką na drzwiach łazienki, zanim jeszcze je pchnął, Dusty już wiedział.

Różany aromat olejku do kąpieli nie tłumiał zapachu, którego nie zabiłyby całe kosze róż.

To już nie była Susan.

Twarz obrzmiała, zielonkawa skóra, oczy wytrzeszczone na skutek ciśnienia w czaszce, płyn surowiczy wyciekający z nozdrzy i ust, groteskowo wywieszony język, który w chwili śmierci upodabnia każdego do psa; pod wpływem gorącej wody, w której umarła, proces rozkładu postępował bardzo szybko.

Na toalecie obok zlewu spostrzegł notatnik, linijki skreślone zgrabnym charakterem pisma, i nagle ogarnął go strach, nie strach przed biedną zmarłą kobietą w wannie, nie tani strach z filmów grozy, lecz lodowaty strach zrodzony przez świadomość, co to oznacza dla niego, Martie i Skeeta.

Zobaczył to w tej scenie, intuicyjnie wyczuł, że to prawda, i pojął, iż są bardziej zagrożeni, niż to sobie wyobrażał, groźni dla siebie nawzajem, groźni dla siebie samych, w sposób i w stopniu, który prawie tłumaczył autofobię Martie.

Ledwie zdążył odczytać kilka słów z notatki, usłyszał, jak Martie woła go i wychodzi z sypialni na korytarz.

Odwrócił się natychmiast i wypadł z łazienki, zastępując jej drogę.

– Nie.

Jakby zobaczyła w jego oczach wszystko, co on zobaczył w łazience, szepnęła: – O Boże.

Och, powiedz, że nie, powiedz, że nie ona.

Próbowała go wyminąć, ale przytrzymał ją i pociągnął w stronę salonu.

– Nie chciałybyś takiego pożegnania.

Coś w niej pękło.

Wcześniej Dusty widział ją w takim stanie tylko raz, przy łożu śmierci w szpitalu, tej nocy, kiedy jej ojciec przegrał walkę z rakiem, a ona załamała się zupełnie, chodziła tak jak mogłaby chodzić szmaciana lalka i stała nie bardziej prosto niż wypchany słomą strach na wróble bez swojej tyczki.

Prawie zaniósł ją na kanapę w salonie, a Martie padła na nią we łzach.

Ze stosu poduszek wyciągnęła jedną i przycisnęła do piersi, przycisnęła tak kurczowo, jakby poduszką próbowała zatamować krew płynącą z rozdartego serca.

Przy wtórze wiatru, który udawał, że płacze, Dusty wykręcił 911, chociaż już od dawna nie był to nagły przypadek.

Rozdział 54.

Pierwsi zjawili się dwaj umundurowani funkcjonariusze, poprzedzani miętowymi oparami pastylek odświeżających, które miały zabić zapach obficie przyprawionego czosnkiem lunchu.

Za ich plecami srożyło się dogasające popołudnie.

Dusty, na przekór temu, co widział, odczuwał szalone, rozpaczliwe, tłące się ledwie, a jednak uparte, żałosne pragnienie, by uwierzyć, że zaszła tu jakaś straszliwa pomyłka, że Susan wcale nie umarła, lecz jest po prostu nieprzytomna lub śpi, że obudzi się, wejdzie do pokoju i spyta, co znaczą ich ponure twarze.

Widział jej zielonkawą bladość, ciemniejącą skórę na szyi, obrzmiałą twarz, płyn surowiczny, a mimo to cichy, irracjonalny głos wewnętrzny mówił mu, że być może widział tylko cienie, grę światła, którą źle zinterpretował.

Martie, która nie widziała ciała, musiała czepiać się nadziei jeszcze bardziej kurczowo niż on.

Policjanci położyli kres wszelkiej nadziei samą swoją obecnością.

Byli uprzejmi, małowówni, rzeczowi, ale byli też rośli, wysocy i barczyści, toteż swoim wyglądem narzucali twardą rzeczywistość, która wypierała fałszywą nadzieję.

Żargon, którym się posługiwali – „CD” zamiast „ciało denatki”, „10-56” zamiast „domniemany przypadek samobójstwa” podkreślał oczywistość śmierci słowami, a trzeszczenie dobiegające z zawieszonych na pasach krótkofalówek było upiornym głosem przeznaczenia, niezrozumiałym, lecz nieodwołalnym.

Niebawem zjawili się kolejni dwaj umundurowani policjanci, a w ślad za nimi dwaj detektywi w cywilnych ubraniach oraz mężczyzna i kobieta z biura lekarza sądowego.

Jeśli pierwsza para ukradła resztki nadziei, to druga, większa grupa, niechcący obrabowała śmierć z jej tajemnicy i szczególnej godności, podchodząc do niej tak, jak księgowy do sprawozdań finansowych, z poszanowaniem dla codziennej rutyny i znużoną obojętnością.

Policjanci mieli mnóstwo pytań, lecz mniej, niż Dusty oczekiwał, przede wszystkim dlatego, że okoliczności zajścia i stan zwłok potwierdzały w sposób prawie niepodważalny domniemanie samobójstwa.

Pożegnalny list zmarłej na czterech kartkach z notatnika jasno określał motyw, a w dodatku był utrzymany w tonie dostatecznie emocjonalnym i zawierał dosyć przykładów podyktowanej rozpaczą niekonsekwencji, by sprawiać wrażenie autentycznego.

Martie zidentyfikowała charakter pisma Susan.

Porównanie z niewysłanym listem Susan do matki i próbkami pisma w notesie z adresami wykluczyło wszelką możliwość fałszerstwa.

Gdyby w śledztwie pojawiło się podejrzenie zabójstwa, policyjny grafolog przeprowadziłby niezbędne analizy.

Martie mogła również potwierdzić, że Susan Jagger od szesnastu miesięcy cierpiała na ostrą agorafobię, że jej kariera zawodowa została zrujnowana, że jej małżeństwo rozpadło się i że przeżywała napady depresji.

Gdy upierała się, iż mimo to Susan nigdy nie myślała o samobójstwie, nawet dla Dusty'ego brzmiało to jak smutna próba uratowania dobrego imienia przyjaciółki i ocalenia pamięci.

Poza tym żarliwe samooskarżenia Martie, wyrażone nie tyle przed policją, ile przed Dustym i przed sobą, nie pozostawiały wątpliwości, iż w jej przekonaniu było to samobójstwo.

Zarzucała sobie, że zawiodła Susan w potrzebie, że nie zadzwoniła do niej poprzedniego wieczoru i nie przeszkodziła jej w chwili, gdy, być może, Susan brała właśnie do ręki nożyk.

Zanim zjawiała się policja, Dusty i Martie uzgodnili, iż nie wspomną o widmowym nocnym gościu Susan, który zostawiał bardzo materialne ślady swojej obecności.

Martie uważała, że ta opowieść umocniłaby tylko gliniarzy w przekonaniu, iż Susan była niezrównoważona, a nawet obłąkana, jeszcze bardziej szkodząc jej reputacji.

Obawiała się też, że podnosząc ten drażliwy temat, doprowadzi do pytań, które zmuszą ją, by przyznała się do swojej autofobii.

Nie chciała narażać się na drobiazgowe przesłuchanie.

Nie skrzywdziła Susan, ale gdyby zaczęła się upierać, że ma szczególną skłonność do zadawania gwałtu, detektywi mogliby zwątpić w samobójstwo i męczyliby ją, dopóki nie nabraliby pewności, iż jej strach przed sobą nie opiera się na żadnych racjonalnych podstawach.

A gdyby pod wpływem wywołanego tym wszystkim napięcia przeżyła w ich obecności kolejny atak paniki, gliniarze mogliby nawet uznać, że stanowi zagrożenie dla siebie i innych, i przetrzymać ją siedemdziesiąt dwie godziny na oddziale psychiatrycznym, do czego mieli prawo.

– Nie wytrzymałabym ani minuty w takim miejscu – powiedziała Martie Dusty’emu, zanim zjawił się pierwszy policjant.

– Zamknięta.

Obserwowana.

Nie zniosłabym tego.

Nie dojdzie do tego – zapewnił ją.

Wolał zachować milczenie na temat widmowego gwałciiciela Susan z tych samych powodów co ona, ale także z jeszcze jednego powodu, którego na razie jej nie wyjawiał.

Miał pewność, że Susan nie zabiła się, a przynajmniej nie z własnej woli, nie ze świadomością tego, co robi.

Gdyby jednak powiedział o tym policjantom i podjął beznadziejną próbę przekonania ich, że natknęli się na niezwykłą aferę z udziałem anonimowych spiskowców posługujących się wyrafinowanymi technikami kontroli umysłu, wówczas on i Martie zginęliby, w taki lub inny sposób, przed końcem tygodnia.

A była już środa.

Od chwili, gdy znalazł doktora Yena Lo, a zwłaszcza od chwili, gdy książka w magiczny sposób wróciła do jego drżących rąk po upadku na podłogę poczekalni, owładnęło nim narastające gwałtownie poczucie niebezpieczeństwa.

Zegar tykał.

Dusty nie widział zegara ani go nie słyszał, ale czuł w trzewiach wibrujące echo każdego tyknięcia.

Czas, który pozostał jemu i Martie, kończył się, uciekał.

Teraz, gdy ciężar strachu stał się tak wielki, Dusty obawiał się, że gliniarze odkryją jego niepokój, niewłaściwie go zinterpretują i nabiorą podejrzeń.

Matka Susan, mieszkająca w Arizonie z nowym mężem, została powiadomiona telefonicznie, podobnie jej ojciec, który mieszkał w Santa Barbara z nową żoną.

Oboje byli w drodze.

Kiedy prowadzący sprawę detektyw, porucznik Bizmet, wypytał Martie, jak układały się stosunki pomiędzy Susan a jej mężem, zadzwonił również do Erica, nagrał się na automatyczną sekretarkę, podał

swoje nazwisko, stopień i numer telefonu, ale nie zostawił żadnej wiadomości, tylko prośbę o oddzwonienie.

Bizmet, groźny dryblas z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami i świdrującym, przenikliwym spojrzeniem, mówił właśnie Dusty'emu, że nie będą już dłużej potrzebni, kiedy Martie dostała ataku autofobii.

Dusty rozpoznał objawy natychmiast.

Nagły lęk w oczach.

Ściągnięte rysy.

Trupia bladość na twarzy.

Opadła na kanapę, z której przed chwilą wstała, pochyliła się do przodu, obejmując się rękami i kołysząc, tak jak wcześniej w samochodzie, drżąc i łapiąc kurczowo powietrze.

Tym razem, w obecności policjantów, nie mógł uspokajać jej wspomnieniami z pierwszych dni ich znajomości.

Mógł tylko stać bezradnie z boku, modląc się, aby jej stan nie przerodził się w atak paniki.

Ku zaskoczeniu Dusty'ego porucznik Bizmet wziął zachowanie Martie za kolejny przyptyw żalu.

Stał, patrząc na nią z widoczną konsternacją, wypowiedział niezręcznie kilka słów pociechy i rzucił Dusty'emu współczujące spojrzenie.

Inni gliniarze zerknęli przelotnie na Martie i wrócili do swoich zajęć; nieomylny zazwyczaj instynkt psów gończych najwyraźniej ich zawiódł.

– Czy ona pije?

– spytał Bizmet Dusty'ego.

– Czy ona co?

– odparł Dusty, tak spięty, że w pierwszej chwili nie pojął znaczenia słowa „pije”, jakby porucznik wypowiedział je w suahili.

– Och, pije, tak, trochę.

Czemu pan pyta?

– Proszę ją zabrać do baru i wlać w nią kilka głębszych, to ukoji jej nerwy.

– Dobra rada – zgodził się Dusty.

– Ale pana to nie dotyczy – dodał Bizmet ponuro.

– Co?

– spytał Dusty, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Kilka drinków dla niej, dla pana tylko jeden, jeśli pan prowadzi.

– Jasne, oczywiście.

Nigdy nie dostałem mandatu.

I nie chciałbym dostać.

Martie kołysała się, trzęsła, jęczała, ale wystarczyło jej przytomności umysłu, by dołączyć do tego kilka stłumionych szlochów żalu.

Doszła do siebie po paru minutach, tak jak wcześniej w samochodzie.

Po wysłuchaniu podziękowań i wyrazów współczucia Bizmeta, spędziwszy w mieszkaniu zaledwie godzinę, znów wyszli w gęstniejący mrok.

Gniew popołudnia nie minął wraz z nadejściem wczesnego zimowego zmierzchu.

Jego zimny oddech pachniał morską solą i jodem z wodorostów, które usychały na pobliskim brzegu, wiatr nękał Dusty'ego i Martie, wyjąc i gwizdząc, jakby ich oskarżał.

W beładnym klekocie uderzających o siebie liści palmowych Dusty słyszał na wpół stłumione, rytmiczne tykanie zegara.

Słyszał je również w ich krokach na promenadzie, w pracy metrowej wysokości ozdobnego wiatraka, stojącego na ganku jednego ze zwróconych frontem do oceanu domów, które mijali, i pomiędzy każdą połówką dwutaktowego bicia swego serca.

Czas uciekał.

Rozdział 55.

Davy Crockett mężnie bronił Alamo, lecz nie tylko przy wsparciu swych towarzyszy.

Tym razem Davy miał do pomocy Eliota Nessa i liczny oddział agentów rządowych.

Można oczekiwać, że ręczne karabiny maszynowe, gdyby znajdowały się w posiadaniu dzielnych ludzi pod Alamo, zmieniłyby wynik bitwy z 1836 roku.

Ostatecznie karabin Gatlinga, pierwszy, prymitywny karabin maszynowy, miał zostać wynaleziony dopiero dwadzieścia sześć lat później.

W tym czasie nie znano nawet karabinów automatycznych, a najnowocześniejszą bronią w rękach walczących były strzelby ładowane od lufy.

Na nieszczęście dla obrońców Alamo tym razem oblegali ich zarówno żołnierze meksykańscy, jak i zgraja bezwzględnych gangsterów z epoki prohibicji z własnymi karabinami maszynowymi.

Występna przebiegłość Ala Capone i talenty wojskowe generała Santa Any to było połączenie, któremu Crockett i Ness mogli nie sprostać.

Doktor zastanawiał się przez chwilę, czy nie skomplikować owej epickiej bitwy przez wprowadzenie kosmonautów i futurystycznej broni.

Oparł się tej dziecięcej pokusie, ponieważ doświadczenie nauczyło go, że im więcej łączy na planszy elementów anachronicznych, tym mniej satysfakcjonująca staje się gra.

Jeśli zabawa ma dostarczać mu przyjemności, musi powściągać swoją bujną wyobraźnię i trzymać się ściśle scenariusza z jedną pomyslową, lecz wiarygodną koncepcją.

Ludzie pogranicza, żołnierze meksykańscy, agenci rządowi, gangsterzy i kosmonauci – to byłoby po prostu głupie.

Doktor, ubrany w wygodną czarną piżamę ze szkarłatnym jedwabnym paskiem, okrążał boso planszę, analizując uważnie pozycje wrogich armii.

Dokonawszy rozpoznania, zagrzechotał parą kostek w kubku.

Jego wielka plansza do gry była w rzeczywistości kwadratowym stołem o boku długości dwóch i pół metra, stojącym na środku pokoju.

Tych sześć metrów kwadratowych powierzchni mogło zostać przystosowanych do każdej innej gry przy użyciu ogromnej kolekcji wykonanych na zamówienie elementów topograficznych.

Poza tym w tym sporym pokoju – dwadzieścia siedem metrów kwadratowych – znajdował się tylko fotel i mały stolik na telefon i przekąski.

Jedynе oświetlenie pochodziło z reflektorów na suficie, umieszczonych bezpośrednio nad stołem do gry.

Reszta pokoju tonęła w cieniu.

Wszystkie ściany były zastawione sięgającymi sufitu przeszklonymi półkami, na których stały setki plastikowych zestawów zabawkowych w oryginalnych pudełkach.

Większość z nich wyglądała tak, jakby pochodziły prosto ze sklepu, a reszta zachowała się w prawie idealnym lub co najmniej doskonałym stanie.

Każdy zestaw zawierał komplet figurek, budynków i innych akcesoriów.

Ahriman kupował tylko zestawy zabawkowe produkowane przez Louisa Marksa w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Miniaturowe figurki w tych zestawach były pięknie wykonane, starannie wykończone i kosztowały setki, a nawet tysiące dolarów na rynku rzadkich zabawek.

Poza Alamo i Nietykalnymi jego kolekcja obejmowała Przygody Robin Hooda, Amerykański Patrol, Atak Pancerny, Bena Hura, Pole Bitwy, Kapitana Gallanda z Legii Cudzoziemskiej, Fort Apache, Rodeo Roya Rogersa, Akademię Kosmiczną Toma Corbetta i dziesiątki innych, w tym wiele w dwóch i trzech egzemplarzach, co pozwalało mu wprowadzać do gry większą liczbę postaci.

Tego wieczoru doktor był w wyjątkowo dobrym nastroju.

Gra na planszy zapowiadała się niezwykle emocjonująco.

Co ważniejsze, jego znacznie większa gra, rozgrywana poza tym pokojem, stawała się coraz bardziej interesująca.

Pan Rhodes czytał „Mandżurskiego kandydata”.

Najprawdopodobniej Dusty’emu zabraknie wyobraźni i intelektu, by wychwycić wszystkie zawarte w powieści wskazówki, i nie zdoła zrozumieć sieci, w której się znalazł.

Jego szansę na uratowanie siebie i żony nadal były nikłe, chociaż większe, niż zanim otworzył książkę.

Tylko beznadziejny narcyz i megaloman angażowałby się rok po roku w grę, gdyby wiedział z góry, że za każdym razem wygra.

Prawdziwy – i zrównoważony umysłowo – gracz potrzebował elementu niepewności, przynajmniej szczypty ryzyka, jeśli chciał znaleźć przyjemność w grze.

Musiał sprawdzać swoje umiejętności i wyzywać los, nie po to, by postępować uczciwie wobec innych graczy – uczciwość jest dla głupców – lecz by uniknąć nudy i zapewnić sobie dobrą zabawę.

Doktor zawsze ubarwiał scenariusze pułapkami na samego siebie.

Zazwyczaj nie dochodziło do uruchomienia pułapki, ale sama możliwość katastrofy była inspirująca i utrzymywała go w stanie napięcia.

Uwielbiał ten psotny aspekt swojej osobowości i folgował mu.

Pozwolił na przykład, by Susan zorientowała się, że pozostawił w niej swoje nasienie.

Mógłby kazać jej zignorować tę oczywistą poszlakę, a ona zablokowałaby przed nią swój umysł.

Pozwalając jej zachować świadomość i sugerując, by skierowała swe podejrzania w stronę nieobecnego męża, wprowadzał w relacjach między postaciami psychologiczne napięcie, którego konsekwencji nie mógł przewidzieć.

I rzeczywiście, doprowadziło to do niebezpiecznej sytuacji z taśmą wideo, a takiego obrotu wydarzeń bynajmniej nie oczekiwał.

Wśród innych pułapek w tej grze znalazł się „Mandżurski kandydat”.

Wręczył powieść Martie, kazając jej zapomnieć, od kogo ją otrzymała.

Zaszczepił jej też wrażenie, że podczas każdej sesji terapeutycznej Susan czytała fragment powieści, choć w rzeczywistości nie przeczytała ani słowa, i odpowiednio poparł tę sugestię, wpajając jej kilka zdań bardzo ogólnej natury, których mogłaby użyć, by opisać fabułę Susan lub komukolwiek, kto by ją o to zapytał.

Gdyby zdawkowy, mętny opis zastanowił Susan, może zajrzałaby do książki, odkrywając w niej związki z własnym życiem.

Co się tyczy samej Martie, to Ahriman nie zabronił jej kategorycznie czytać książki, lecz jedynie zniechęcał ją do tego, tak więc w końcu mogłaby przezwyciężyć swoją niechęć w najmniej oczekiwanym momencie.

Zamiast tego, z jakiegoś powodu, powieścią zainteresował się pan Rhodes.

Gdzie kończy się fikcja, a zaczyna rzeczywistość?

To właśnie jest istotą gry.

Gdy doktor krążył wokół wielkiego stołu, zastanawiając się, kto zwycięży, Crockett czy Capone, jego czarna piżama wydawała cichy szelest, a kości grzechotały w kubku.

Projektanci wnętrz, gdyby ich o to spytano, mogliby powiedzieć, że bistro jest utrzymane we współczesnym stylu włoskim.

Nie skłamałoby, ale ich odpowiedź nie oddawałaby istoty rzeczy.

Lśniące ciemne drewno i czarny marmur, błyszczące polerowane powierzchnie, waginalne bursztynowoonyksowe kinkiety, długie malowidło ścienne za barem, przedstawiające dżunglę jak z obrazów Rousseau, z roślinnością bardziej bujną niż w rzeczywistości i z tajemniczymi, zwierzęcymi oczami, które przeglądały spomiędzy ociekających deszczem liści – wszystko to nawiązywało do jednego i tylko jednego: seksu.

W połowie była to restauracja, a w połowie bar, połączone masywną arkadą z mahoniowymi kolumnami na marmurowych cokołach.

Tak wczesnym wieczorem, gdy urzędnicy dopiero wyszli z biur, w barze siedzieli tylko zamożni samotni młodzieńcy, wypatrując zdobyczy z większą zachłannością niż dzikie koty w dżungli, ale w sali jadalnej było prawie pusto.

Kelnerka posadziła Dusty'ego i Martie przy stoliku w rogu, na obitych skórą ławach z tak wysokimi oparciami, że tworzyły niemal wydzieloną przestrzeń, otwartą na salę tylko z jednej strony.

Martie czuła się niepewnie w miejscu publicznym, obawiając się krańcowego upokorzenia, gdyby wpadła w niekontrolowaną panikę.

Siłę czerpała z faktu, że jej ostatnie ataki, od chwili opuszczenia gabinetu doktora Ahrimana, były względnie łagodne i trwały krótko.

Mimo ryzyka upokorzenia wołała zjeść tutaj niż w zaciszu własnej kuchni.

Nie chciała wracać do domu, gdzie nieposprzątaný garaż przypominałby jej o szalonej, maniackalnej determinacji, z jaką próbowała oczyścić dom z wszelkiej potencjalnej broni.

Bardziej niż garaż i inne ślady obłąkańczej furii przerażała ją czekająca w jej pokoju automatyczna sekretarka i, jak dwa i dwa cztery, nagrana na niej wiadomość od Susan z poprzedniego wieczoru.

Poczucie obowiązku i honoru nie pozwoliłoby jej skasować taśmy bez odsłuchania, a nie mogła obarczyć tym przykrym zadaniem Dusty'ego.

Była to winna Susan.

Zanim jednak wysłucha głosu ukochanej przyjaciółki i będzie gotowa wziąć na barki jeszcze większy ciężar winy, musi nabrać odwagi.

Wlać w siebie trochę męstwa.

Jako szanujący prawo obywatele poszli za radą porucznika Bizmeta: butelka heinekena dla Dusty'ego, sierra nevada dla Martie.

Pierwszym łykiem piwa popiła valium, mimo ostrzeżenia na buteleczce, by nie mieszać benzodiazepiny z alkoholem.

Żyć intensywnie, umrzeć młodo.

A w każdym razie umrzeć młodo.

Chyba nic innego im nie pozostało.

– Gdybym zadzwoniła do niej wczoraj wieczorem...

– powiedziała Martie.

– Nie mogłaś do niej zadzwonić.

Zresztą i tak byś jej nie pomogła.

– Może, gdybym usłyszała to w jej głosie, mogłabym coś dla niej zrobić.

– Nie usłyszałaabyś tego w jej głosie.

Niczego, o czym myślisz, żadnej nuty przygnębienia, żadnej samobójczej rozpacz.

– Nigdy się tego nie dowiemy – powiedziała ponuro.

– Ja wiem – upierał się Dusty.

– Nie usłyszałaabyś w jej głosie samobójczej rozpacz, ponieważ Susan nie popełniła samobójstwa.

Ness zabity jako jeden z pierwszych, cóż za cios dla obrońców Alamo!

Szacowny prawnik zginął, trafiony spinaczem do papieru.

Doktor usunął plastikowe zwłoki z planszy.

Aby ustalić, który uczestnik gry otworzy ogień następny, a także określić, jakiej broni użyje, Ahriman posługiwał się złożoną formułą, dokonując obliczeń na podstawie rzutu kostkami i wyciągając na ślepo jedną kartę z talii.

Do wyboru był spinacz do papieru wystrzeliwany gumką lub szklana kulka wypstrykiwana kciukiem.

Oczywiście, te dwa proste pociski mogły symbolizować wiele rodzajów śmierci: od strzały, od kuli karabinowej, od ognia artyleryjskiego, od noża myśliwskiego, od uderzenia toporkiem w twarz...

Niestety, samobójstwo nie leżało w naturze plastikowych figurek, a sama sugestia, że tacy ludzie jak Davy Crockett czy Eliot Ness mogliby choć pomyśleć o samobójstwie, byłaby dla Ameryki niewyobrażalną zniewagą.

Dlatego w grach planszowych zabrakło tego intrygującego aspektu.

W większej grze, gdzie plastik zastępowały ciało i krew, trzeba będzie zaaranżować niebawem kolejne samobójstwo.

Skeet musiał odejść.

Początkowo, gdy doktor planował swoją grę, sądził, że Holden Skeet Caulfield będzie jednym z głównych graczy, unurzany po szyję we krwi, kiedy dojdzie do finałowej rzezi.

Jego twarz we wszystkich programach informacyjnych.

Jego dziwaczne nazwisko uwiecznione w kryminalnej legendzie, otoczone taką samą niesławą jak nazwisko Charlesa Mansona.

Być może dlatego, że od dziecka faszzerowano go lekami, Skeet okazał się złym obiektem do programowania.

Jego zdolność koncentracji – nawet w stanie hipnozy – była bardzo słaba i z trudem zachowywał w podświadomości proste linijki kodu warunkowania psychologicznego.

Zamiast zwykłych trzech sesji programujących doktor musiał poświęcić Skeetowi sześć, a później pojawiła się jeszcze potrzeba zorganizowania kilku krótszych – lecz kłopotliwych – sesji naprawczych, podczas których instalował ponownie psujące się elementy jego programu.

Czasem Skeet poddawał się jego kontroli od razu po usłyszeniu nazwiska doktora Yena Lo i Ahriman nie musiał przeprowadzać go przez haiku.

Tak łatwy dostęp stwarzał jednak ryzyko, którego nie wolno było tolerować.

Prędzej czy później Skeet musiał dostać spinaczem do papieru.

Miał umrzeć we wtorek rano.

Dziś wieczorem umrze na pewno.

Doktor potrząsnął kostkami i wyrzucił dziewięć.

Z talii kart wyciągnął damę karo.

Dokonawszy szybkich obliczeń, ustalił, że następny strzał powinna oddać figurka stojąca w południowozachodnim narożniku dachu Alamo: jeden z lojalnych podwładnych Eliota Nessa.

Pogrążeni w smutku agenci rządowi z pewnością pragnęli zemsty.

Jego bronią była szklana kulka, mająca znacznie większą siłę rażenia niż spinacz do papieru, a strzał oddany z takiej wysokości mógł wyrządzić duże szkody oblegającym, którzy wkrótce przeklą dzień, kiedy zgodzili się pracować dla Ala Capone.

– Nie popełniła samobójstwa – powtórzył Dusty cicho, pochylając się konspiracyjnie, chociaż gwar głosów przy barze stanowił dostateczną gwarancję, że nikt ich nie podsłucha.

Pewność, z jaką to powiedział, zdumiała Martie.

Podcięte nadgarstki.

Żadnych śladów walki.

List napisany ręką Susan.

Wszystko wskazywało na samobójstwo.

Dusty uniósł prawą dłoń i zaczął wyliczać, przy każdym punkcie prostując jeden palec z zaciśniętej pięści: – Po pierwsze, wczoraj, w Klinice Nowego Życia, Skeet został uaktywniony słowami „doktor Yen Lo”, a potem razem dotarliśmy do haiku, które zapewniło mi dostęp do jego podświadomości, bym mógł go zaprogramować.

– Zaprogramować – powiedziała z powątpiewaniem.

– Trudno w to uwierzyć.

– Dla mnie to wyglądało jak programowanie.

Czekał na instrukcje. Zadania, jak je nazwał. Po drugie, kiedy straciłem do niego cierpliwość i powiedziałem mu, żeby dał mi spokój i poszedł spać, zasnął natychmiast.

Posłuchał czegoś, co wydawało się niewykonalnym rozkazem.

No bo jak można zapaść w sen w jednej chwili, na życzenie?

Po trzecie, wcześniej, kiedy zamierzał skoczyć z dachu, powiedział, że ktoś kazał mu skoczyć.

– Tak, anioł śmierci.

– Dobrze, był czymś naszprycowany.

Ale to nie znaczy, że w tym, co mówił, nie było ziarna prawdy.

Po czwarte, w „Mandżurskim kandydacie” poddany praniu mózgu żołnierz może popełnić morderstwo na rozkaz swego kontrolera, a potem zapomnieć, co zrobił, ale, uwaga, może też zabić się, jeśli zajdzie taka konieczność.

– To tylko dreszczowiec.

– Tak, wiem.

Styl jest dobry.

Fabula jest zajmująca, a postacie barwne.

Podoba ci się.

Ponieważ nie znalazła na to odpowiedzi, upiła kolejny łyk piwa.

Generał Santa Ana nie żył, więc historia przybrała inny obrót.

Teraz Al Capone musiał objąć dowództwo nad połączonymi siłami Meksyku i chicagowskiego podziemia.

Ale waleczni obrońcy Alamo nie powinni jeszcze świętować.

Santa Ana był znakomitym strategiem, lecz Capone przewyższał go bezwzględnością.

Pewnego razu prawdziwy Capone, nie plastikowa figurka, torturował kapusia ręczną wiertarką.

Wkręcił jego głowę w imadło, a kiedy jego podwładni chwycili donosiciela za ręce i nogi, stary Al osobiście ujął ręczną wiertarkę i przewiercił czoło nieszczęśnika diamentowym wiertłem.

Pewnego razu doktor Ahriman zabił kobietę wiertarką, ale to był elektryczny model Black & Decker.

* * *

Dusty powiedział: – Książka Condon'a to fikcja, zgoda, ale zdajesz sobie sprawę, że opisane w niej techniki kontroli psychologicznej są oparte na prawdziwych badaniach naukowych, a to, co on przedstawił jako fikcję, było całkowicie możliwe już w tamtych czasach.

I pamiętaj, Martie, że książka ukazała się prawie pięćdziesiąt lat temu.

Nie mieliśmy wtedy jeszcze odrzutowców pasażerskich.

– Nie wylądowaliśmy na Księżycu.

– Właśnie.

Nie mieliśmy telefonów komórkowych, kuchenek mikrofalowych i beztłuszczowych frytek ziemniaczanych z ostrzeżeniem o biegunce na opakowaniu.

Wyobraź sobie tylko, co specjaliści od kontroli umysłu mogliby zrobić teraz, mając do dyspozycji nieograniczone środki i nie mając sumienia.

– Napił się piwa.

– Po piąte, doktor Ahriman powiedział, że to nieprawdopodobne, abyście obie z Susan zapadły na tak ostre stany lękowe.

On...

– Wiesz, on prawdopodobnie ma rację, że moja fobia jest związana z fobią Susan, że wzięła się z mojego poczucia winy, z mojego...

Dusty potrząsnął głową i znów zacisnął dłoń w pięść.

– Lub twoja i jej fobia zostały wywołane sztucznie, zaprogramowane jako część eksperymentu bądź z jakichś innych powodów, których nie rozumiem.

– Ale doktor Ahriman nigdy nie sugerował...

Dusty przerwał jej niecierpliwie: – To znakomity psychiatra, zgoda, i przejawia szczerą troskę o swoich pacjentów.

Jednak z racji swego wykształcenia i doświadczeń zawodowych myśli w kategoriach psychologicznego związku przyczynowo-skutkowego, szuka w twojej przeszłości jakiegoś traumatycznego przeżycia, które wywołało chorobę.

Może właśnie dlatego Susan nie robiła wielkich postępów, że przyczyną jej agorafobii nie było żadne traumatyczne przeżycie.

A poza tym, Martie, jeśli mogą cię zaprogramować, żebyś bała się samej siebie, miała te wszystkie straszne wizje, robiła rzeczy, które robiłaś wczoraj w domu...

to do czego jeszcze mogą cię skłonić?

Może sprawiło to piwo.

Może valium.

Może logika Dusty'ego.

Niezależnie od powodu, Martie uznała jego rozumowanie za niezwykle przekonujące.

* * *

Nazywała się Viveca Scofield.

Była podrzędną aktoreczką, młodszą o dwadzieścia pięć lat od ojca doktora i o trzy lata od samego doktora, który miał ich wówczas dwadzieścia osiem.

Grając drugoplanową rolę w najnowszym filmie tatusia, uciekała się do wszelkich podstępów, by skłonić go do małżeństwa.

Nawet gdyby doktor nie pragnął wyjść z cienia swego ojca i wyrobić sobie nazwiska, musiałby uporać się z Vivecą, zanim stanie się panią Ahriman i albo przejmie kontrolę nad rodzinnym majątkiem, albo go roztrwoni.

Tatuś, choć doskonale znał się na układach panujących w Hollywood, potrafił bez skrupułów okpić współników i zastraszyć nawet najbardziej złośliwych i psychotycznych szefów wytwórni, był również wdowcem od piętnastu lat i mistrzem w płakaniu, tak samo bezbronnym pod pewnymi względami, jak absolutnie niewzruszonym pod innymi.

Viveca poślubiłaby go i znalazła sposób, by doprowadzić go do przedwczesnej śmierci, w przeddzień pogrzebu zjadłaby jego wątrobę z duszoną cebulą, a potem wyrzuciła z domu jego syna, pozostawiając mu tylko używanego mercedesa i symboliczne miesięczne stypendium.

W imię sprawiedliwości doktor postanowił zatem usunąć Vivecę tej samej nocy, gdy zabił swego ojca.

Przygotował drugą porcję błyskawicznie działającej mieszanki tiobarbitalu i paraldehydu, którą zamierzał wstrzyknąć w coś, co aktoreczka mogłaby zjeść, lub bezpośrednio w nią samą.

Kiedy wielki reżyser leżał martwy w bibliotece, powalony zatrutymi łakociami, ale jeszcze przed sekcją dokonaną na jego narzędzie płaczu, doktor udał się na poszukiwanie Viveki i znalazł ją w łóżku nieboszczyka.

Na nocnej szafce poniewierała się drewniana cygarniczka i inne akcesoria do palenia trawki, a na skotłowanej pościeli leżał otwarty tomik poezji.

Aktoreczka chrapała jak niedźwiedź, który nażarł się na wpół sfermentowanych jagód, banieczki śliny nabrzmiwały i pękały na jej wargach.

Leżała naga, jak ją natura stworzyła, a ponieważ natura najwyraźniej była wówczas w lubieżnym nastroju, młodemu doktorowi przyszło do głowy wiele kuszących pomysłów.

W grę wchodziły jednak duże pieniądze, pieniądze dawały władzę, a władza była lepsza niż seks.

Wcześniej tego dnia on i Viveca wdali się w przykrą małą sprzeczkę, która skończyła się, gdy aktoreczka zauważyła cicho, że nigdy nie widziała, jak doktor płacze, co jego ojcu zdarzało się bez przerwy.

– Jesteśmy do siebie podobni, ty i ja – powiedziała.

– Twój ojciec ma zapas łez, który wystarcza na was dwóch, natomiast ja wyczerpałam swój, nim skończyłam osiem lat.

Oboje jesteśmy wyschnięci na wiór.

Twój problem polega na tym, doktorku, że nadal masz jakiś mały, zasuszony strzępek serca, a ja w ogóle nie mam serca.

Jeśli więc spróbujesz nastawić staruszka przeciwko mnie, wykastрую cię i każę śpiewać kabaretowe piosenki sopranem, każdego wieczoru przy kolacji.

Wspomnienie tej groźby nasunęło doktorowi pomysł lepszy niż seks.

Udał się w odległy kraniec trzyakrowej posiadłości, do bogato wyposażonego warsztatu w tym

samym budynku, w którym mieściły się również, na piętrze, pokoje małżeństwa zarządzającego majątkiem, państwa Haulfbrocków, i pomocnika do wszystkiego, Earla Yentnora.

Haulfbrockowie wyjechali na tygodniowe wakacje, a Earl bez wątpienia wypełniał swój wieczorny patriotyczny obowiązek, dbając o to, aby amerykański przemysł browarniczy nie zbankrutował z powodu konkurencji z zagranicznym piwem.

Doktor nie musiał się zatem ukrywać i spokojnie wybrał z zestawu narzędzi elektryczną wiertarkę Black & Decker.

Nie zapomniał też o siedmiometrowym pomarańczowym przewodzie zasilającym.

Znalazłszy się ponownie w sypialni ojca, wetknął przewód do gniazdka w ścianie, podłączył wiertarkę do przewodu i tak wyposażony wspiał się na łóżko, w którym leżała Viveca, i usiadł na niej okrakiem.

Była tak nagrzana, że chrapała podczas wszystkich tych przygotowań, i musiał kilkakrotnie wykrzyknąć jej imię, aby ją obudzić.

Kiedy się wreszcie ocknęła, mrugając idiotycznie, uśmiechnęła się do niego, jakby wzięła go za kogoś innego i jakby pomyślała, że elektryczna wiertarka jest nowym szwedzkim wibratorem.

Dzięki znakomitemu wykształceniu, jakie odebrał na wydziale medycznym uniwersytetu Harvarda, doktor umiał wycelować stalowe wiertło centymetrowej średnicy z bezbłędną dokładnością.

Zmieszanej i uśmiechniętej Vivece wyjaśnił: – Skoro nie masz serca, musisz tam mieć coś innego, a najlepszym sposobem, aby się przekonać co, jest pobrać próbkę.

Jazgot silnika wiertarki wyrwał ją z narkotykowego odrętwienia.

Wówczas jednak operacja już trwała, a faktycznie prawie się skończyła.

Napawając się pięknnością martwej Viveki, doktor zauważył tomik poezji, który leżał na pościeli.

Krew pobrudziła obie otwarte strony, ale w dziewiczym kręgu białego papieru w środku szkarłatnej plamy widniały trzy linijki wiersza.

Złudzenie opadających płatków niknie w księżycu i kwiatach...

Nie wiedział, że ten poemat to haiku, że napisał go Okyo w 1890 roku, że mówi o zbliżającej się śmierci poety, i że, jak wiele innych haiku, nie został przetłumaczony na angielski z zachowaniem idealnego układu sylab pięć-siedem-pięć, jaki miał w japońskim oryginale.

Wiedział natomiast, że ten maleńki poemat poruszył go do głębi, jak nic go jeszcze dotąd nie poruszyło.

Wiersz wyrażał, jak sam Ahriman nigdy nie zdołał wyrazić, jego na wpół stłumione i bezkształtne poczucie własnej śmiertelności.

Trzy linijki Okyo uświadomiły mu nagle i dobitnie straszną i smutną prawdę, że on też kiedyś umrze.

On też był złudzeniem, ulotnym jak kwiat, i pewnego dnia opadnie na podobieństwo zwiędłych płatków.

Kiedy klęczał na łóżku i trzymał książkę w obu dłoniach, czytając wciąż od nowa te trzy linijki, zapomniawszy o aktoreczce, którą przed chwilą zabił, czuł, jak serce zamiera mu w piersiach, a gardło ściska się z żalu na myśl o własnym nieuchronnym końcu.

Jakże krótkie jest życie!

Jak niesprawiedliwa śmierć!

Jak pozbawiona znaczenia ludzka egzystencja!

Jak okrutny wszechświat.

Te myśli rozbrzmiewały mu w głowie tak potężnym echem, iż doktor był przekonany, że płacze.

Trzymając książkę w lewej ręce, podniósł prawą do swoich suchych policzków, a potem do oczu, ale nie wyczuł łez.

Miał jednak niezbitą pewność, iż był bliski łez, i teraz już wiedział, że jest zdolny do płaczu, jeśli tylko doświadczy czegoś dostatecznie smutnego, by słone źródło wezbrało.

Ta świadomość ucieszyła go, ponieważ okazało się, że ma więcej wspólnego z ojcem, niż przypuszczał, i że wbrew temu, co twierdziła Viveca Scofield, wcale nie jest taki jak ona.

Być może ona nie miała już łez, ale jego łzy były na swoim miejscu i czekały.

Myliła się również, twierdząc, iż nie ma serca.

Miała je, z całą pewnością.

Oczywiście, już nie biło.

Doktor zszedł z Viveki, porzucając ją z wiertarką wbitą w pierś, i przez dłuższą chwilę siedział na krawędzi łóżka, wertując tomik haiku.

Tam, w tym nieprawdopodobnym miejscu i czasie, odkrył swą artystyczną naturę.

Kiedy wreszcie zdołał oderwać się od książki, wniósł ciało tatusia na górę, ułożył je na łóżku, otarł plamy ciemnej czekolady z jego ust, dokonał sekcji narządu płaczu wielkiego reżysera i wyjął słynne oczy.

Następnie wytoczył z Viveki kilka uncji krwi, zabrał sześć par koronkowych majtek z szuflady jej bieliźniarki – była narzeczoną mieszkającą w domu przyszłego męża – i złamał jeden z jej akrylowych paznokci.

Kiedy otworzył zapasowym kluczem drzwi mieszkania Earla Yentorna, na stoliku do kawy w salonie ujrzał nieudolną replikę krzywej wieży w Pizie, wzniesioną z pustych puszek po budweiserze.

Pomocnik leżał nieprzytomny na kanapie, chrapiąc niemal tak głośno jak wcześniej Viveca, a tymczasem Rock Hudson romansował z Doris Day w starym filmie na ekranie włączonego telewizora.

Gdzie kończy się fikcja, a zaczyna rzeczywistość?

To właśnie jest istotą gry.

Hudson romansuje z Day, Earl owładnięty pijacką żądzą gwałci nieszczęsną aktoreczkę i popełnia brutalne podwójne morderstwo – ludzie wierzą w to, w co chcą uwierzyć, niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy fikcja.

Młody doktor wylał trochę krwi Viveki na spodnie i koszulę pomocnika.

Wykorzystał resztę, by poplamzić jedną parę koronkowych majtek.

Ostrożnie zawiął ułamany paznokieć w zbroczone krwią majtki, a potem włożył wszystkie sześć par do dolnej szuflady bieliźniarki Earla.

Kiedy Ahriman opuszczał mieszkanie, Earl nadal spał głębokim snem.

Obudzą go syreny.

W pobliskiej szopie ogrodowej, gdzie przechowywano kosiarki do trawy, doktor znalazł pięciolitrową bańkę benzyny.

Zaniósł ją do domu, a potem na górę, do sypialni ojca.

Spakował swoje poplamione krwią rzeczy, umył się szybko, włożył świeże ubranie, a potem oblał ciało benzyną, rzucił pustą bańkę na łóżko i podpalił stos.

Doktor spędzał tydzień w letnim domku swego ojca w Palm Springs i przyjechał do Bel Air tylko na to jedno popołudnie, by załatwić niecierpiące zwłoki sprawy rodzinne.

Kiedy się z nimi uporał, wrócił na pustynię.

Choć w domu znajdowało się wiele pięknych i cennych antyków, które mogły spłonąć, gdyby straż

pożarna nie zareagowała dostatecznie szybko, Ahriman zabrał ze sobą tylko torbę z zakrwawionymi rzeczami, tomik haiku i oczy tatusia w słoju napełnionym płynem konserwującym.

Póltorej godziny później, w Palm Springs, spalił zaplamione krwią ubranie w kominku wraz z kilkoma aromatycznymi cedrowymi polanami, a potem wysypał popioły do małego różanego ogródka za basenem kąpielowym.

Mimo że sporo ryzykował, zatrzymując oczy i cienki zbiorek haiku, był zbyt sentymentalny aby się ich pozbyć.

Nie spał przez całą noc, oglądając od zmierzchu do świtu stare filmy Beli Lugosiego, zjadł prawie kilogram lodów czekoladowych i wielką torbę chrupek ziemniaczanych, popił to wszystko korzennym piwem i wodą sodową, a potem złapał pustynnego chrząszcza do wielkiego szklanego słoja i torturował go zapałką.

Jego filozofia wzbogaciła się o trzy linijki haiku Okyo, a on wziął sobie do serca przesłanie poety: życie jest krótkie, wszyscy umrzemy, należy więc korzystać z przyjemności, póki się da.

* * *

Obiad podano wraz z drugą kolejką piwa.

Martie nie jadła śniadania, a później wypila tylko mleczny napój waniliowy, była więc bardzo głodna.

Mimo to czuła się tak, jakby okazując apetyt niemal natychmiast po znalezieniu ciała Susan, zdradzała przyjaciółkę.

Życie toczyło się jednak dalej i nawet w smutku można było cieszyć się przyjemnościami, nawet jeśli wydawało się to niewłaściwe.

Przyjemność można było odczuwać nawet pomimo strachu, ponieważ napawała się każdym kęsem ogromnych krewetek, słuchając jednocześnie, jak jej mąż próbuje zrozumieć istotę wiszącej nad nimi groźby.

Dusty prostował kolejno palce.

– Po szóste, jeśli Susan mogła zostać zaprogramowana tak, że zgadzała się, by wielokrotnie wykorzystywano ją seksualnie, i nie zachowała żadnych wspomnień o tych zdarzeniach, jeśli kazano jej zgadzać się na gwałt, to do czego jeszcze można ją było skłonić?

Po siódme, zaczęła podejrzewać, co się dzieje, nawet jeśli nie miała dowodu, i może to niejasne podejrzenie wystarczyło, by zaniepokoić jej kontrolerów.

Po ósme, podzieliła się swymi podejrzeniami z tobą, a oni się o tym dowiedzieli i przestraszyli się, że podzieli się nimi z kimś innym, nad kim nie sprawują kontroli, toteż musiała zostać usunięta.

– Jak się dowiedzieli?

– Może jej telefon był na podsłuchu.

Może w inny sposób.

Ale jeśli postanowili ją usunąć i kazali jej popełnić samobójstwo, a ona posłuchała, ponieważ została zaprogramowana, to nie było prawdziwe samobójstwo.

Nie pod względem moralnym, a może nawet nie pod względem prawnym.

To morderstwo.

– Ale co możemy z tym zrobić?

Rozważał przez chwilę jej pytanie, jedząc stek.

Potem powiedział: – Niech mnie diabli, jeżeli wiem, przynajmniej w tej chwili.

Ponieważ nie możemy niczego udowodnić.

– Jeśli mogli po prostu zadzwonić do niej i kazać jej popełnić samobójstwo, w zamkniętym mieszkaniu...

co zrobimy, kiedy nasz telefon zadzwoni?

– zastanawiała się Martie.

Popatrzyli sobie w oczy, przeżuając to pytanie, zapomniawszy o jedzeniu.

Wreszcie Dusty powiedział: – Nie odbierzemy.

– To nie jest praktyczne rozwiązanie na dłuższy czas.

– Szczerze mówiąc, Martie, jeśli nie rozwikłamy tego szybko, nie sędzę, żebyśmy długo pozostali wśród żywych.

Pomyślała o Susan w wannie, chociaż nie widziała jej ciała, i dwie dłonie trąciły struny jej serca: gorące palce żalu i zimne palce strachu.

– Masz rację – zgodziła się.

– Ale jak to rozwikłać?

Od czego zaczniemy?

– Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy: haiku.

– Haiku?

– Wszystkiego najlepszego – powiedział i otworzył torbę, którą przyniósł do restauracji.

Przerzucił siedem tomików, które kupił Ned, położył jeden na stole przed Martie i wybrał drugi dla siebie.

– Sądząc z opisu na okładce, to są klasyczne poematy tego gatunku.

Od nich zaczniemy, i oby nam się poszczęściło.

Prawdopodobnie jest mnóstwo bardziej współczesnych i możemy szukać całe tygodnie, jeśli nie znajdziemy tego w klasyce.

– Czego szukamy?

– Poematu, który przejmie cię dreszczem.

– Jak piosenki Roda Stewarta, kiedy miałam trzynaście lat?

– Dobry Boże, nie.

Chciałbym zapomnieć, że je kiedykolwiek słyszałem.

Mam na myśli taki dreszcz, który przeszywa cię, kiedy czytasz to nazwisko w „Mandżurskim kandydacie”.

Mogła wymówić to nazwisko, nie reagując na nie w taki sposób, w jaki zareagowałyby, gdyby wymówił je ktoś inny.

– Raymond Shaw.

Tak, zadrżałam, kiedy to powiedziałam.

– Szukaj haiku, które wywoła u ciebie taki sam dreszcz.

– A co potem?

Zamiast odpowiedzieć, podzielił uwagę pomiędzy obiad a książkę.

Po kilku minutach zawołał: – Mam!

Ciarki nie chodzą mi po krzyżu, ale jestem pewien, że to znam.

„Czyste kaskady...

na fale padły...

błękitne igły sosnowe”.

Haiku Skeeta.

Zgodnie z notką biograficzną w książce ten wiersz napisał Matsuo Bashó, który żył w latach 1644-1694.

Ponieważ haiku były krótkie, w ciągu dziesięciu minut zdążyli przeczytać bardzo dużo, i zanim Martie skończyła krewetki, dokonała następnego wielkiego odkrycia.

– Mam.

Napisał je Yosa Buson, sto lat po twoim Bashó.

„Wieje z zachodu...

opadłe liście gromadzą się...

na wschodzie”.

– To twoje?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Nadal drzę.

Dusty wziął od niej książkę i sam przeczytał wiersz.

Związek nie umknął mu.

– Opadłe liście.

– Mój powtarzający się sen – powiedziała.

Włosy zjeżyły się jej na głowie, jakby nawet w tej chwili słyszała, jak Liściasty Człowiek skrada się do niej przez tropikalny las.

* * *

Tylu zabitych: w 1836 roku zginęło tysiąc sześciuset ludzi, a tego styczniowego wieczoru padły kolejne setki, z wyroku kości i kart.

I nadal toczyła się zażarta bitwa.

Rozgrywając Nietykalnych w Alamo, doktor opracowywał szczegóły usunięcia Holdena Skeeta Caulfielda.

Skeet musiał odejść przed świtem, ale jedna śmierć więcej wśród takiej rzezi nie miała większego znaczenia.

Doktor wyrzucił dwie jedyne i wyciągnął z talii asa pik, co w myśl jego skomplikowanych reguł oznaczało, że naczelny dowódca każdej armii musi okazać się zdrajcą i przejść na drugą stronę.

Pułkownik James Bowie, ciężko chory na tyfus brzuszny i zapalenie płuc, dowodził teraz armią meksykańską, natomiast pan Al Capone walczył o niepodległość Terytorium Teksasu.

Skeet nie powinien popełnić samobójstwa w Klinice Nowego Życia.

Ahriman był cichym udziałowcem w klinice, ze znacznym wkładem, którego należało strzec.

Chociaż nie musiał się martwić, że Dustin lub Martie wystąpią z roszczeniami finansowymi, inni krewni, nad którymi nie sprawował kontroli, na przykład daleki kuzyn, który spędził ostatnie trzydzieści lat w Tybecie i nigdy nawet nie spotkał Skeeta, mógł zjawić się w towarzystwie chytrego prawnika i wytoczyć sprawę o niewłaściwe leczenie pięć minut po tym, jak mały ćpun spocznie w ziemi.

A potem idioci z ławy przysięgłych – ostatnimi czasy powoływano przecież samych idiotów – przyznają tybetańskiemu kuzynowi miliard dolarów.

Nie, Skeet musiał opuścić Klinikę Nowego Życia na własne życzenie, lekkomyślnie, wbrew radom lekarzy, i skończyć ze sobą gdzie indziej.

Szklana kulka wystrzelona przez jednego z bohaterskich obrońców Alamo potoczyła się po planszy, zabijając dziewięciu meksykańskich żołnierzy i dwóch gangsterów Capone'a, którzy nie przeszli wraz z nim na stronę Teksaszczyków.

San Antonio de Yalero, którego imieniem franciszkańscy zakonnicy nazwali misję położoną w obrębie wzniesionego później fortu Alamo, zapłakałby nad tą niekończącą się rzezią w cieniu swego kościoła, gdyby nie umarł i nie przestał płakać na długo przed rokiem 1836.

Prawdopodobnie z przerażeniem przyjąłby również wieść, że Al Capone okazał się lepszym obrońcą tego świętego miejsca niż Davy Crockett.

Pielęgniarką czuwającą nad Skeetem podczas wieczornej zmiany była Jasmine Hernandez, ta od czerwonych tenisówek i zielonych sznurowadeł, która na nieszczęście traktowała swoje obowiązki bardzo poważnie i wyglądała na nieprzekupną.

Doktor nie miał czasu ani ochoty poddawać siostry Hernandez pełnej procedurze programowania tylko po to, by uczynić ją ślepą i głuchą na instrukcje, które zamierzał wydać Skeetowi.

Dlatego musiał poczekać, aż jej dyżur dobiegnie końca.

O północy zmieniała ją leniwa trzpiotka, która z radością posadzi swój tyłek w świetlicy dla pracowników i spędzi tam jakiś czas, oglądając nocny program rozrywkowy i popijając colę, a wtedy Ahriman utnie sobie pogawędkę z rozczulającym przyrodnym bratem Dustina.

Nie chciał ryzykować i udzielać Skeetowi instrukcji przez telefon.

Żałosny Caulfield junior był tak nieprzewidywalnym obiektem programowania, że doktor wolał porozmawiać z nim twarzą w twarz.

Spinacz do papieru.

Brzdęk.

Katastrofa.

Pułkownik Bowie nie żyje.

Pułkownik Bowie nie żyje!

Armia meksykańska została pozbawiona dowódcy.

Capone triumfuje.

* * *

Cudownie; las, gęsty i chłodny.

Ogromne drzewa są tak stłoczone, że ich gładkie, czerwono-brunatne lśniące pnie tworzą zwarty mur.

Martie wie, że to mahoniowce, chociaż wcześniej ich nie widziała.

Musi znajdować się w Ameryce Południowej, gdzie rosną mahoniowce, ale nie pamięta, by przygotowywała się do podróży lub pakowała bagaże.

Ma nadzieję, że zabrała dość ubrań na zmianę, pamiętała o żelazku i nie zapomniała o antytoksynach, zwłaszcza o antytoksynach, ponieważ nawet w tej chwili wąż zatapia zęby jadowe w jej lewym ramieniu.

A właściwie żąb, pojedynczy.

Wygląda na to, że wąż ma tylko jeden żąb, i to dosyć szczególny: błyszczący i cienki jak igła.

Ciało węża również jest cienkie, przezroczyste i zwiesza się ze srebrnego drzewa bez liści i z jedną gałęzią, ale w Amazonii należy spodziewać się egzotycznych gadów i flory.

Najwyraźniej wąż nie jest jadowity, ponieważ Martie nie obawia się go, podobnie jak Susan, która również bierze udział w tej południowo-amerykańskiej wyprawie.

W tym momencie siedzi w fotelu po drugiej stronie polany, widoczna jedynie z profilu, tak nieruchoma i milcząca, że musi być pogrążona w medytacji lub zatopiona w myślach.

Martie leży na pryczy, a może nawet na czymś bardziej solidnym, jak kanapa, która jest ozdobiona guzikami i ma ciepłe skórzane obicie.

Musi to być pierwszorzędna wycieczka, jeśli zadano sobie trud, by zabrać fotele i kanapy.

Od czasu do czasu dzieją się magiczne i zdumiewające rzeczy.

Kanapka szybuje w powietrzu – banan i masło orzechowe na cienkiej kromce białego chleba, sądząc z wyglądu – porusza się w przód i w tył, w górę i w dół, i znikają z niej kolejne kęsy, tak jakby był tu z nią w lesie duch, głodny duch spożywający śniadanie.

W powietrzu szybuje również butelka korzennego piwa, przechylając się do niewidzialnych ust, by zaspokoić pragnienie tego samego ducha, a później butelka wody sodowej.

Martie uważa, iż należało czegoś takiego oczekiwać, ponieważ nie kto inny jak południowo-amerykańscy pisarze stworzyli styl literacki znany jako realizm magiczny.

Innym magicznym zjawiskiem jest okno wśród drzew, z tyłu i ponad nią, wpuszczające światło do lasu, który inaczej byłby ciemny i pęsepny.

Zważywszy wszystko, jest to doskonałe miejsce na obóz.

Z wyjątkiem liści.

Opadłe liście, zapewne liście mahoniowców, a może innych drzew, zaścielają całą polanę, a chociaż są to tylko martwe liście, napawają Martie niepokojem.

Od czasu do czasu chrzęszczą i szeleszczą, chociaż nikt po nich nie chodzi.

W lesie nie wieje nawet najłżejszy wiatr, ale niesforne liście drżą, szemrzą i pełzną ze złowieszczym syczącym dźwiękiem, jakby zwykłe liście mogły knuć i spiskować.

Bez ostrzeżenia zrywa się silny wiatr z zachodu.

Okno wychodzi na zachód i musi być otwarte, ponieważ wiatr wieje przez nie na polanę, groźna wyjąca obecność, z którą unosi się jeszcze więcej liści, wielkie kotłujące się masy, syczące i trzepoczące jak chmary nietoperzy, niektóre są wilgotne i miękkie, a inne suche i martwe.

Skłębione szczątki wirują wokół polany – czerwone jesienne liście, wilgotne zielone liście, płatki, łodyżki, całe przylistki – wirują jak karuzela bez koni, lecz z dziwnymi stworzeniami uformowanymi z liści.

Potem, jakby prowadziła je fletnia Pana, wszystkie lecą na środek polany i układają się w kształt człowieka, formują się wokół niewidzialnej obecności, która zawsze tu była, jedzącego kanapki i pijącego wodę sodową ducha, nadają mu formę i treść.

Wyłania się Liściasty Człowiek, ogromny i straszny: ma szczeciniastą twarz, czarne dziury tam, gdzie powinny być oczy, wystrzępione usta.

Martie próbuje wstać z kanapy, zanim będzie za późno, ale jest zbyt słaba, by się podnieść, jakby trawiona tropikalną gorączką, malarią.

Lub może wąż był mimo wszystko jadowity, a trucizna wreszcie zaczęła działać.

Wiatr przywiał liście z zachodu, a Martie jest wschodem, więc liście muszą w nią wejść, ponieważ jest wschodem, i Liściasty Człowiek kładzie jedną ogromną, strzępiastą rękę na jej twarzy.

Jego treścią są liście, skłębione masy liści, niektóre kruche i pomarszczone, inne świeże i mokre, jeszcze inne lepkie od pleśni, a on wpycha jej swoją liściastą treść w usta.

Martie gryzie kawałki bestii, próbuje je wypluć, lecz jej usta wypełnia coraz więcej liści, musi je więc połknąć, połknąć lub się udusić, ponieważ jeszcze więcej pokruszonych i sproszkowanych liści wciska się jej do nosa, a teraz zapleśniała masa liści wchodzi także do uszu.

Próbuje wołać na pomoc Susan, ale nie może wydobyć z siebie głosu, może się tylko krztusić, próbuje wołać Dusty'ego, lecz Dusty'ego nie ma tu w Ameryce Południowej, czy gdziekolwiek to jest, nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc, jest wypełniona liśćmi, liście rozpychają jej żołądek, zatykają płuca, dławią w gardle, a teraz wirują w jej głowie, wewnątrz czaszki, drapią powierzchnię jej mózgu tak długo, aż nie może już myśleć jasno, aż jej cała uwaga skupia się na dźwięku liści, uporczywym drapiąco-grzechocząco-tykająco-trzeszcząco-chrupiąco-skrzypiąco-syczącym DŹWIĘKU...

– I wtedy zawsze się budzę – powiedziała Martie.

Spojrzała na ostatnią krewetkę leżącą w resztkach ciasta, podobną nie tyle do owocu morza, ile do kokonu, jednego z tych, które widywała od czasu do czasu, kiedy była dzieckiem i wspinała się na drzewa.

Wśród górnych gałęzi rozłożystego olbrzyma, w czymś, co wyglądało jak jasne altany słonecznego światła, szmaragdowego listowia i świeżego powietrza, natknęła się raz na dziesiątki tłustych kokonów przyklejonych mocno do liści, które wygięły się, aby zapewnić im osłonę, jakby drzewo chciało strzec żerujących na nim pasożytów.

Z lekkim tylko obrzydzeniem, powtarzając sobie, że gąsienice przemieniają się w końcu w motyle, studiowała te uprzedzone z jedwabiu torebki i spostrzegła, że niektóre z nich wypełnia wijące się życie.

Chcąc uwolnić, wypuścić na świat zamknięty wewnątrz złoty bądź szkarłatny skrzydlaty cud, który kilka minut lub godzin później i tak uwolniłby się sam, Martie rozdarła delikatnie powłokę kokonu – i znalazła nie motyla, ani nawet nie ćmę, lecz dziesiątki małych pajaków wykluwających się z jaja.

Dokonawszy tego odkrycia, nigdy już nie czuła uniesienia, gdy znalazła się na wierzchołku drzewa czy w jakimkolwiek innym wysoko położonym miejscu; w tamtym momencie zrozumiała, że na każde stworzenie żyjące pod kamieniem lub pełzające w błocie przypada jedna równie szpetna istota, która zamieszkuje najwyższe rejony, bo choć jest to cudowny świat, jest on także napiętnowany.

Straciwszy apetyt, zostawiła ostatnią krewetkę na talerzu i sięgnęła po piwo.

Odsuwając niedojedzone resztki swojego obiadu, Dusty mruknął: – Szkoda, że nie opowiedziałas mi swojego koszmaru ze wszystkimi szczegółami trochę wcześniej.

– To był tylko sen.

A zresztą, co byś z tym zrobił?

– Nic – przyznał.

– Aż do zeszłej nocy, kiedy ja też miałem sen.

Teraz widzę zbieżności bardzo wyraźnie.

Chociaż nie jestem pewien, co one znaczą dla mnie.

– Jakie zbieżności?

– W twoim i w moim śnie występuje...

niewidzialna obecność.

I wątek opętania, mroczna, niechciana obecność wdzierająca się do serca, do umysłu.

I kroplówka, rzecz jasna, o której nie wspomniałaś wcześniej.

– Kroplówka?

– W moim śnie jest to wyraźnie kroplówka, zwisająca z lampy w naszej sypialni.

W twoim śnie jest to wąż.

– Ale to jest waż.

Potrząsnął głową.

– Niewiele w tych snach jest tym, czym się wydaje.

To symbol, metafora.

Ponieważ to nie są zwykłe sny.

– To wspomnienia – domyśliła się i w tej samej chwili zrozumiała, że to prawda.

– Zakazane wspomnienia z naszych sesji programujących – przytaknął Dusty.

– Nasi...

nasi kontrolerzy, bo chyba można ich tak nazwać, kimkolwiek są, wymazali te wspomnienia, musieli, ponieważ nie chcieli, żebyśmy cokolwiek z tego pamiętali.

– Ale to doświadczenie ciągle było w nas, gdzieś, bardzo głęboko.

– A kiedy powróciło, musiało wrócić zniekształcone, w postaci symbolu, ponieważ w żaden inny sposób nie mamy do tego dostępu.

– To tak, jakbyś usuwał dokument z komputera, a on znika z katalogu i więcej nie masz do niego dostępu, ale on pozostaje na twardym dysku praktycznie na zawsze.

Dusty opowiedział jej swój sen o czapli i błyskawicy.

Kiedy skończył, Martie poczuła, że znów ogarnia ją znajomy, szalony strach, jakby tysiące małych pajaków wykluwały się z jaj i biegały po jej kręgosłupie.

Opuściła głowę i utkwiała wzrok w kuflu piwa, który trzymała w obu dłoniach.

Gdyby nim rzuciła, mogłaby pozbawić Dusty'ego przytomności.

Rozbiwszy kufel o blat stołu, mogłaby pokaleczyć mu twarz.

Drżąc, modliła się, aby kelnerka nie wybrała właśnie tej chwili na zabranie ich talerzy.

Atak minął po minucie.

Martie podniosła głowę i spojrzała na wycinek restauracji widoczny spoza wysokiego oparcia ławy.

Przy stolikach siedziało więcej gości, niż kiedy tu przyszli, a po sali uwijało się więcej kelnerów, ale nikt nie patrzył na nią dziwnie czy w jakikolwiek inny sposób.

– W porządku?

– spytał Dusty.

– Nie było tak źle.

– Valium, piwo.

– Coś – zgodziła się.

Pukając w swój zegarek, powiedział: – Przychodzą niemal dokładnie co godzinę, ale jak dotąd były dosyć łagodne...

Kłujące przecucie tknęło Martie: te niewielkie ataki to tylko zapowiedź nadchodzących atrakcji, krótkie wstawki przed wielkim przedstawieniem.

Czekając, aż kelnerka przyniesie rachunek, a potem resztę, znów zaczęli wertować tomiki haiku.

Martie znalazła również następne autorstwa Matsuo Bashó, który ułożył haiku Skeeta o błękitnych liściach sosnowych.

Światło błyskawicy i krzyk nocnej czapli błądzi w ciemnościach.

Zamiast przeczytać wiersz, wręczyła książkę Dusty'emu.

– To musi być ten.

Wszystkie trzy z klasycznych źródeł.

Zobaczyła, jak wstrząsnął nim zimny dreszcz, kiedy czytał poemat.

Reszta przyszła wraz z pożegnalnym „dziękuję” kelnerki i tradycyjnym „miłego dnia”, chociaż noc zapadła dwie godziny temu.

Odliczając napiwek i zostawiając go na stole, Dusty powiedział: – Wiemy, że aktywujące nazwiska pochodzą z powieści Condon, więc chyba bez trudu znajdziemy moje.

Teraz mamy nasze haiku.

Chciałbym wiedzieć, co się stanie, kiedy...

wypróbujemy je na sobie.

Ale to z pewnością nie jest odpowiednie miejsce.

– Gdzie?

– Jedźmy do domu.

– Czy w domu jest bezpiecznie?

– Czy gdziekolwiek jest bezpiecznie?

Rozdział 56.

Pozostawiony samemu sobie na cały dzień, wypuszczony tylko na podwórze, co miało mu zastąpić porządny spacer, jaki należy się każdemu dobremu psu, nakarmiony przez groźnego olbrzymia, którego widział wcześniej zaledwie dwa razy, Lokaj miał wszelkie prawo, by się dąsać, zachowywać rezerwę, a nawet powitać ich niezadowolonym pomrukiem.

Tymczasem cały promieniał, uśmiechał się od ucha do ucha, merdał ogonem na znak przebaczenia, łąsił się, a potem zaczął skakać z radości, że państwo wrócili do domu, łapać zębami żółtą pluszową kaczkę i gryźć ją, wypełniając przedpokój kakofonią kwaknięć.

Zapomnieli powiedzieć Nedowi Motherwellowi, żeby zapalił światło dla Lokaja, ale Ned sam o tym pomyślał i zostawił kuchnię jasno oświetloną.

Na stole Ned pozostawił również notatkę przypiętą do dużej wyscietanej koperty: Dusty, znalazłem to pod waszymi drzwiami frontowymi.

Martie rozdarła kopertę, a ten dźwięk żywo zainteresował Lokaja, prawdopodobnie dlatego, że brzmiał jak odgłos otwieranej torby z jedzeniem.

Wyciągnęła ze środka książkę w twardej oprawie z żółtą obwolutą.

– To jedna z książek doktora Ahrimana.

Zaskoczony Dusty wziął od niej książkę, a Lokaj zadarł głowę i wydał nozdrza, węsząc.

Był to najnowszy bestseller Ahrimana, rozprawa psychologiczna o tym, jak nauczyć się kochać siebie.

Ani Dusty, ani Martie nie czytali jej, ponieważ oboje woleli beletrystykę.

Dla Dusty'ego fikcja była nie tylko kwestią upodobań, lecz również zasad.

W epoce, kiedy fałszerstwa, oszustwa i najzwyklejsze łgarstwa stanowiły podstawową walutę w społeczeństwie, często znajdował więcej prawdy w fikcji niż w kubłach pomyj pełnych naukowych analiz.

Ale to, rzecz jasna, była książka doktora Ahrimana, który bez wątplenia napisał ją z takim samym głębokim zaangażowaniem, z jakim prowadził swoją prywatną praktykę.

Przyglądając się fotografii na obwolucie, Dusty powiedział: – Ciekawe, dlaczego nie wspomniał, że ją wysłał.

– Nie została wysłana – odparła Martie, zwracając mu uwagę na brak znaczka pocztowego na kopercie.

– Doręczona osobiście.

I nie przez doktora Ahrimana.

Nalepka zawierała nazwisko i adres zwrotny doktora Roya Clostermana.

W książkę został zatknięty związły list od internisty: Moja recepcjonistka przechodzi tędy w drodze do domu, więc poprosiłem ją, żeby to podrzuciła.

Sądzę, że ostatnia książka doktora Ahrimana może się wam wydać interesująca.

Zapewne nie mieliście okazji jej przeczytać.

– Dziwne – powiedziała Martie.

– Taaak.

Nie lubi doktora Ahrimana.

– Kto?

– Closterman.

– Oczywiście, że go lubi – zaprotestowała Martie.

– Nie.

Wyczułem to.

Wyraz jego twarzy, ton jego głosu.

– Ale dlaczego miałby go nie lubić?

Doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą.

Przejawia szczerą troskę o swoich pacjentów.

Kwa, kwa, kwa – zakwakała pluszowa kaczka.

– Tak, wiem, i wystarczyła jedna wizyta, żebyś poczuła się o wiele lepiej.

Pomógł ci.

Skacząc po kuchni z powiewającymi uszami, plaskając łapami o kafelki, z kaczką w pysku, Lokaj robił więcej hałasu niż stado wodnego ptactwa.

– Lokaj, spokój – zakomenderowała Martie.

Potem powiedziała: – Może doktor Closterman...

Może to zawodowa zazdrość.

Otwierając książkę i wertując ją od pierwszej strony, Dusty spytał: – Zazdrość?

Closterman nie jest psychiatrą.

On i doktor Ahriman mają różne specjalizacje.

Posłuszny jak zawsze Lokaj przestał skakać po kuchni, ale nadal znęcał się nad kaczką i niebawem Dusty poczuł się tak, jakby występował w kreskówce z dwoma sławnymi kaczorami, Daffym i Donaldem.

Był trochę zły na Clostermana za ten nieoczekiwany prezent.

Biorąc pod uwagę dyskretną, lecz wyraźną niechęć, jaką internista okazywał doktorowi Ahrimanowi, w tym wypadku też nie działał zapewne ze szlachetnych pobudek.

Jego postępek wydawał się irytująco małostkowy.

Na stronie siódmej, przed początkiem rozdziału pierwszego, Dusty natknął się na krótkie motto.

Było to haiku.

Złudzenie opadających płatków niknie w księżycu i kwiatach...

Okyo, 1890 – Co się stało?

– spytała Martie.

Coś jakby podkład muzyczny ze starego filmu z Borisem Karloffem zawodził i szczebiotał w jego mózgu.

– Dusty?

– Dziwny zbieg okoliczności – powiedział, pokazując jej haiku.

Czytając trzy linijki wiersza, Martie zadarła głowę, jakby ona też usłyszała muzykę, do której napisano poemat.

– Dziwne – zgodziła się.

Kaczka znów zaczęła kwakać.

Martie coraz bardziej zwalniała kroku, wchodząc po schodach.

Dusty wiedział, iż boi się usłyszeć głos Susan na automatycznej sekretarce.

Zaofiarował się, że odsłucha taśmę sam i powtórzy jej treść nagrań, lecz dla niej byłoby to moralne tchórzostwo.

W pokoju Martie na górze wielkie biurko w kształcie litery U zapewniało jej przestrzeń, której

potrzebowała, by wyprowadzić Froda i jego towarzyszy z Eriadoru i przeprowadzić ich przez Gondor i Rohan aż do mrocznego Mordoru – zakładając, że jeszcze będzie miała okazję wrócić do normalnego świata Tolkiena.

Ponad jedną trzecią tej przestrzeni zajmowały dwa kompletne zestawy komputerowe połączone ze wspólną drukarką.

Do telefonu była podłączona automatyczna sekretarka, z której Martie korzystała od czasu ukończenia studiów.

W epoce zaawansowanej elektroniki urządzenie nie było stare, ale wręcz antyczne.

Zgodnie ze wskaźnikiem taśma zawierała pięć wiadomości.

Martie stanęła daleko od biurka, w pobliżu drzwi, jakby odległość mogła odizolować ją w jakiś sposób od emocjonalnego wstrząsu wywołanego głosem Susan.

Tutaj też znajdowała się poduszka z baraniej skóry dla Lokaja, ale pies trzymał się blisko swojej pani, jakby wiedział, że będzie potrzebowała pociechy.

Dusty wcisnęła klawisz „wiadomości”.

Taśma cofnęła się, a potem ruszyła do przodu.

Pierwszą wiadomość pozostawił on sam, kiedy dzwonił poprzedniego wieczoru z Kliniki Nowego Życia.

„Scarlett, to ja, Rhett.

Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jednak mi zależy”.

Druga pochodziła od Susan i musiała zostać nagrana, kiedy Martie zasnęła po raz pierwszy, na skutek zwykłego zmęczenia i po odrobinie szkockiej, zanim jeszcze przebudziła się z koszmaru i zaczęła plądrować apteczkę w poszukiwaniu środka nasennego.

„To ja.

Co się dzieje?

U ciebie wszystko w porządku?

Myślisz, że mi odbiło?

Nie szkodzi, jeśli tak myślisz.

Zadzwoń do mnie”.

Martie cofnęła się dwa kroki i stanęła w progu, jakby odrzucona dźwiękiem głosu nieżyjącej przyjaciółki.

Twarz miała bladą, ale dłonie, w których ją ukryła, wydawały się jeszcze bielsze.

Lokaj usiadł przed nią z postawionymi uszami i zadartą głową, mając nadzieję, że psia wierność zdoła ukoić smutek.

Trzecia wiadomość też pochodziła od Susan i została nagrana o trzeciej dwadzieścia rano; musiała nadejść, kiedy Dusty mył ręce w łazience i kiedy Martie spała „zdrowym snem sprawiedliwego”, jak głosiła telewizyjna reklama atestowanych tabletek nasennych.

„Martie, to ja.

Martie, jesteś tam”?

Susan zamilkła na taśmie, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, a Martie jęknęła w drzwiach.

Ze skrucą, z goryczą powiedziała: – Tak – i w tym jednym słowie zawierało się wszystko: tak, byłam tu; tak, mogłam ci pomóc; tak, zawiodłam cię.

„Posłuchaj, jeśli tam jesteś, odbierz, na miłość boską”.

Znowu na chwilę zapadła cisza, a Martie oderwała ręce od twarzy i spojrzała z przerażeniem na

automatyczną sekretarkę.

Dusty wiedział, co spodziewała się teraz usłyszeć, ponieważ on spodziewał się tego samego.

Samobójczych wyznań.

Błagania o pomoc, o radę przyjaciółki, o wsparcie.

„To nie Eric, Martie.

To Ahriman.

To Ahriman.

Mam skurwiela na kasecie wideo.

Skurwiel – po tym, jak zrobił taki dobry interes z kupnem domu.

Martie, proszę, proszę, zadzwoń do mnie.

Potrzebuję pomocy”.

Dusty zatrzymał taśmę, zanim sekretarka zaczęła odtwarzać czwartą wiadomość.

Dom zdawał się drzeć w posadach, jakby płyty kontynentalne zderzały się głęboko pod wybrzeżem Kalifornii, ale ten kataklizm odbywał się w ich umysłach.

Dusty spojrzął na Martie.

Takie oczy, jej oczy.

Fale uderzeniowe strzaskały nawet głęboki smutek, pod wpływem którego ich błękit stał się jeszcze bardziej intensywny niż zwykle.

Teraz w jej oczach było coś, czego nigdy wcześniej nie widział w niczyich oczach i czemu nie potrafił nadać odpowiedniej nazwy.

Usłyszał swój głos: – Pod koniec musiała bredzić.

Jaki to ma sens?

Jaka taśma?

Doktor Ahriman jest...

– ...

znakomitym psychiatrą.

Przejawia...

– ...

szczerą troskę o...

– ...

swoich pacjentów.

Ta ledwie słyszalna muzyka, niesamowita i pozbawiona melodii, rozbrzmiewała w sali koncertowej wewnątrz czaszki Dusty’ego, a właściwie nie muzyka, lecz psychiczny odpowiednik przenikliwego dzwonięcia w uszach, brzęczenie w mózgu.

Wywołało je coś, co psychologowie zarabiający sto dolarów na godzinę nazywają dysonansem poznawczym: jednoczesnym wyznawaniem dwóch diametralnie przeciwstawnych przekonań na ten sam temat.

W tym wypadku tematem był Mark Ahriman.

Dusty przeżywał dysonans poznawczy, ponieważ uważał, że doktor Ahriman jest znakomitym psychiatrą, a jednocześnie gwałcicielem, lekarzem przejawiającym szczerą troskę o swoich pacjentów, a jednocześnie mordercą, pełnym współczucia terapeutą i okrutnym manipulantem.

– To nie może być prawda – powiedział.

– Nie może – zgodziła się Martie.

- Ale haiku.
- Mahoniowy las w moim śnie.
- Jego gabinet jest wykładany mahoniem.
- I ma okno wychodzące na zachód.
- To szaleństwo.
- Nawet jeśli to on, dlaczego my?
- Wiem, dlaczego ty – powiedział Dusty ponuro.
- Z tego samego powodu co Susan.

Ale dlaczego ja?

- Dlaczego Skeet?

Z ostatnich dwóch wiadomości pierwsza nadeszła o dziewiątej tego ranka, a druga o czwartej tego popołudnia i obie pochodziły od matki Martie.

Pierwsza była krótka, Sabrina chciała po prostu porozmawiać.

Druga wiadomość była dłuższa, pełna niepokoju, ponieważ Martie pracowała w domu i zwykle odpowiadała na telefony matki w ciągu godziny lub dwóch; brak szybkiej odpowiedzi dał Sabrinie powód do apokaliptycznych domysłów.

W nagranej wiadomości kryła się także niewypowiedziana – lecz czytelna dla każdego, kto znał pokrętny sposób wyrażania się Sabriny – nadzieja, że: 1) Martie ma spotkanie z prawnikiem od spraw rozwodowych; 2) Dusty okazał się pijakiem i przebywa teraz w klinice na odwyku; 3) Dusty okazał się kobieciarzem i przebywa w szpitalu z powodu pobicia – ciężkiego pobicia – przez męża innej kobiety; 4) Dusty, pijak, przebywa w klinice na odwyku po pobiciu – ciężkim – przez męża innej kobiety, a Martie jest w biurze prawnika od spraw rozwodowych.

Normalnie Dusty wbrew sobie wpadłby w złość, ale tym razem okazywany przez Sabrinę brak wiary w niego wydawał się bez znaczenia.

Cofnął taśmę do najważniejszej wiadomości od Susan.

Słuchać jej słów po raz drugi było pod każdym względem jeszcze trudniej niż za pierwszym razem.

Susan nie żyje, a teraz jej głos.

Ahriman uzdrowiciel, Ahriman morderca.

Dysonans poznawczy.

Nie mogli posłużyć się taśmą automatycznej sekretarki jako rozstrzygającym dowodem, ponieważ wiadomość Susan nie była wystarczająco konkretna.

Nie oskarżyła psychiatry o gwałt ani o nic innego – nazwała go tylko skurwielem.

Mimo to taśma stanowiła jakiś dowód i musieli ją zatrzymać.

Dusty wyjął mikrokasetę, wziął z biurka czerwony flamaster i napisał na naklejce SUSAN, a w tym czasie Martie włożyła do automatycznej sekretarki czystą taśmę.

Włożył podpisaną kasetę do środkowej szuflady biurka.

Martie wyglądała na załamana.

Susan nie żyła.

A teraz doktor Ahriman, który wydawał się tak pewnym oparciem w tym niepewnym świecie, okazał się zapadnią pułapki.

Rozdział 57.

Z kuchni Dusty zatelefonował do gabinetu Roya Clostermana, ale zastał tylko sekretarkę doktora, która odbierała telefony po godzinach przyjęć.

Wyjaśnił, że u Martie wystąpiła reakcja alergiczna na leki przepisane przez doktora.

– Mamy tu nagły wypadek.

Kiedy jego pan i pani siedzieli przy kuchennym stole, czekając na telefon, Lokaj wyciągnął się pod stołem, wzdychając ciężko, aby dać im wyraźnie do zrozumienia, że tracą cenny czas, który można by spędzić na bieganiu lub zabawie z piłką.

Dusty wertował „Mandzurskiego kandydata”, szukając nazwiska, które przeszyłoby go takim samym dreszczem jak wiersz Bashó o czapli.

W poczekalni doktora Ahrimana przeczytał wystarczająco obszerny fragment powieści, by poznać większość, jeśli nie wszystkich, głównych bohaterów, ale od żadnego nazwiska nie cierpła mu skóra.

Teraz, przerzucając w pośpiechu resztę książki, znalazł postać, która wywołała taką reakcję: drugorzędna śpiewaczka operowa, Yiola Narvilly, choć jej nazwisko wydawało się zbyt głupie, by Ahriman – lub ktokolwiek inny – wybrał je do tak złowrogiego celu.

Teraz musieli przeczytać nawzajem swoje haiku.

Dusty pierwszy wymówił aktywujące nazwisko: – Raymond Shaw.

– Słucham – powiedziała, zapadając w ten dziwny, nieobecny stan, lecz jej szkliste oczy pozostały czujne.

– Wieje z zachodu...

– Ty jesteś zachodem i zachodnim wiatrem.

Nagle Dusty’ego ogarnęły wątpliwości, czy powinien recytować wszystkie trzy linijki wiersza, ponieważ nie wiedział, jak nią pokierować, jeśli uda mu się uzyskać dostęp do jej podświadomości.

Otwarta na instrukcje będzie z pewnością bardzo zagrożona, a sugestie, które wypowie, lub pytania, które jej zada, mogą spowodować poważne, niezamierzone skutki, wyrządzić trudne do przewidzenia szkody psychiczne.

Poza tym nie wiedział, jak wyprowadzić ją z transu, przywrócić do pełnej świadomości, chyba że kazałby jej zasnąć, tak jak Skeetowi.

A Skeet w klinice spał tak głęboko, że wołanie go po imieniu, potrząsanie nim, a nawet podawanie soli trzeźwiących nie wywoływało żadnej reakcji; wyszedł z tego we własnym tempie.

Jeśli jego poczucie uciekającego czasu miało charakter spostrzeżeniowy, a nie paranoidalny, nie mogli ryzykować, że Martie zapadnie w narkoleptyczną quasiśpiączkę, z której on nie zdoła jej wyrwać.

Kiedy Dusty nie wyrecytował drugiej linijki haiku, Martie mrugnęła, ekstatyczny wyraz zniknął z jej twarzy i wróciła do pełnej świadomości.

– I co?

Powiedział jej.

– Ale podziałało.

To jasne.

Teraz ty spróbuj ze mną; tylko z pierwszą linijką mojego wiersza.

Otworzyła usta, aby przemówić...

...

a potem pies opierał swój kudłaty łeb na kolanach Dusty’ego, chcąc go pocieszyć lub szukając

pocieszenia.

Ułamek sekundy wcześniej leżał zwinięty w kudłaty kłębek u jego nóg.

Nie, nie ułamek sekundy.

Minęło dziesięć lub piętnaście sekund, może więcej.

Kolejny zgubiony kawałek czasu.

Najwidoczniej kiedy Martie wypowiedziała aktywujące nazwisko, Yiola Narvilly, Dusty zareagował, a pies, czując, że coś złego dzieje się z jego panem, wstał, aby to sprawdzić.

– Niesamowite – powiedziała Martie, zamykając tomik poezji i krzywiąc się, kiedy odkładała go na bok, jakby to była satanistyczna biblia.

– To, jak wyglądałeś...

zupełnie wyłączony.

– Nie pamiętam nawet, żebyś wymówiła to nazwisko.

– Wymówiłam je, zapewniam cię.

I pierwszą linijkę poematu, „Światło błyskawicy”.

A ty powiedziałeś: „Ty jesteś błyskawicą”.

Zadzwoił telefon.

Wstając od stołu, Dusty prawie przewrócił krzesło, a gdy podnosił słuchawkę ściennego telefonu, zastanawiał się, czy po drugiej stronie odezwie się doktor Closterman, czy ktoś inny, kto powie: „Yiola Narvilly”.

Groźba wisiała nad nimi przez cały czas.

To był Closterman.

Dusty przeprosił, że skłamał, aby mieć pewność, iż doktor szybko oddzwoni.

– Nie ma żadnej reakcji alergicznej, ale to jest nagły wypadek, doktorze.

Ta książka, którą pan przysłał...

– „Naucz się kochać siebie” – powiedział Closterman.

– Tak.

Doktorze, dlaczego ją pan nam przysłał?

– Uznałem, że powinniście ją przeczytać – odparł Closterman bez żadnej intonacji, którą można by zinterpretować jako pozytywny bądź negatywny sąd o książce lub jej autorze.

– Doktorze...

– Dusty zawahał się, a potem podjął decyzję.

– Och, do diabła, prędzej czy później będziemy musieli komuś o tym powiedzieć.

Przypuszczam, że mamy problem z doktorem Ahrimanem.

Poważny problem.

Nawet w chwili, gdy to mówił, wewnętrzny głos spierał się z nim.

Psychiatra, znakomity i oddany swoim pacjentom, nie zrobił nic, by zasłużyć sobie na tę kalumnię, tę zniewagę.

Dusty czuł się winny, czuł, że postępuje niewdzięcznie, wiarołomnie, irracjonalnie.

Wszystkie te uczucia przerażały go, ponieważ, zważywszy na okoliczności, miał wszelkie powody, by podejrzewać psychiatrę.

Wewnętrzny głos, niezwykle przekonujący, nie był jego głosem, lecz głosem niewidzialnej obecności, tej samej, która naciskała gruszkę sfigmomanometru w jego śnie, tej samej, wokół której formowała się kurzawa liści w koszarze Martie, a teraz ta obecność spacerowała po korytarzach jego

umysłu, niewidzialna, ale nie milcząca, nakłaniając go, aby ufał doktorowi Ahrimanowi, dał spokój absurdalnym podejrzeniom, ufał i miał wiarę.

W przedłużającej się ciszy Closterman zadał pytanie: – Martie już się z nim widziała, prawda?

– Dziś po południu.

Ale uważamy, że to trwa od dłuższego czasu.

Od wielu miesięcy, od kiedy zaczęła przyprowadzać do niego swoją przyjaciółkę.

Doktorze, pomyśli pan pewnie, że oszalałem...

– Niekoniecznie.

Ale nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon.

Czy moglibyście do mnie przyjechać?

– Dokąd?

– Mieszkam na wyspie Balboa.

Closterman podał im adres.

– Wkrótce przyjedziemy.

Czy możemy zabrać psa?

– Będzie mógł pobawić się z moim.

Kiedy Dusty odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Martie, powiedziała: – Może to nie jest najlepszy pomysł.

Słuchała własnego wewnętrznego głosu.

– Może – mówiła – jeśli po prostu zadzwonimy do doktora Ahrimana i przedstawimy mu sytuację... może będzie mógł to wszystko wyjaśnić.

Niewidzialny wędrowiec spacerujący po umyśle Dusty'ego podsuwał mu takie samo rozwiązanie, jakie zaproponowała Martie.

Nagle poderwała się na równe nogi.

– O Boże, co ja mówię.

Twarz Dusty'ego płonęła i wiedział, że gdyby spojrzął w lustro, ujrzałby swoje zaczerwienione policzki.

Palił go wstyd, wstyd z powodu własnych podejrzeń, z powodu tego, że nie potrafił okazać doktorowi Ahrimanowi zaufania i szacunku, na które psychiatra zasługiwał.

– Wygląda to tak – powiedział Dusty drżącym głosem – jakbyśmy znaleźli się w samym środku nowej wersji „Inwazji porywaczy ciał”.

Lokaj wyszedł spod stołu.

Stanął z opuszczonym ogonem i zwieszoną głową, dostrajając się do ich nastroju.

– Dlaczego zabieramy ze sobą psa?

– spytała Martie.

– Ponieważ nie sędzę, żebyśmy tu szybko wrócili.

Chyba nie możemy ryzykować.

Chodź – powiedział, idąc przez kuchnię w stronę przedpokoju.

– Zabierzmy trochę rzeczy do walizek, ubrania na kilka dni.

I zrobmy to szybko.

Kilka minut później, przed zamknięciem walizki, Dusty wziął wykonanego na zamówienie colta 45 z szafki nocnej.

Zawahał się, uznał, że lepiej nie umieszczać go w trudno dostępnym miejscu, zamknął walizkę, nie

wkładając do niej pistoletu, i wyjął z szafy skórzaną kurtkę z głębokimi kieszeniami.

Zastanawiał się, czy broń naprawdę zapewni im ochronę.

Gdyby Mark Ahriman wkroczył w tym momencie do sypialni, zdradziecki głos wewnętrzny Dusty'ego mógłby przetrzymać go w niezdecydowaniu wystarczająco długo, by psychiatra uśmiechnął się i powiedział: „Yiola Narvilly”, zanim on zdążyłby nacisnąć spust.

Czy wtedy przyssałbym się do pistoletu, jakby to był lizak, i wpakowałbym sobie kulę w łeb tak samo posłusznie jak Susan podcięła sobie nadgarstki?

Wyszli z sypialni – najpierw pies, potem Martie dźwigająca walizkę i na końcu Dusty niosący następną – zeszli po schodach, zatrzymali się na chwilę w kuchni, by zabrać książki, a potem ruszyli w stronę saturna na podjeździe.

Spieszyli się, nagleni trwożnym poczuciem, że muszą wyprzedzić gęstniejący cień nadciągającej zguby.

Rozdział 58.

Długi most o jednym prześle łączył wyspę Balboa w zatoce New-port z lądem stałym.

Aleja Nadmorska z licznymi restauracjami i sklepami była wyludniona.

Liście eukaliptusów i palm tworzyły wzdłuż ulicy trąby powietrzne wysokości człowieka, jakby sen Martie o mahoniowym lesie miał się tutaj ziścić.

Doktor Closterman mieszkał nad samą wodą.

Zaparkowali w pobliżu końca alei i wraz z Lokajem ruszyli brukowaną promenadą, która otaczała wyspę i była oddzielona od zatoki niskim falochronem.

Zanim znaleźli dom Clostermana, Martie, dokładnie godzinę po ostatnim ataku, przeżyła następny.

Był to kolejny znośny atak, równie krótki jak trzy poprzednie, ale dopóki trwał, nie mogła iść ani nawet stać.

Usiedli na falochronie, czekając, aż minie.

Lokaj zachowywał się spokojnie, nie kulił się ze strachu ani nie ciągnął za smycz, by obwąchać potencjalnego przyjaciela, kiedy obok przechodził mężczyzna z dalmatyńczykiem.

Nadciągał przypyływ.

Wiatr chłostał spokojną zazwyczaj zatokę, wzbijając niewielkie fale, które uderzały o betonowy falochron, a na pomarszczonej wodzie ślizgały się odbite światła pobliskich domów.

Żaglowe jachty i łodzie motorowe, przycumowane do prywatnych przystani, kołysały się na swoich stoiskach, jęcząc i skrzypiąc.

Fały i metalowe części takielunku podzwaniały o stalowe maszty.

Kiedy atak minął, Martie powiedziała: – Widziałam martwego księdza z hakiem szynowym w czole.

Krótko, Bogu dzięki, nie tak jak dzisiaj rano, kiedy nie mogłam wyrzucić z głowy tych okropności.

Skąd się biorą te obrazy?

– Ktoś je tam umieścił – oznajmił Dusty zdecydowanie wbrew radom upartego głosu wewnętrznego, dodał: – Ahriman je tam umieścił.

– Ale jak?

Z tym pytaniem uniesionym przez wiatr w stronę zatoki ruszyli na poszukiwanie Clostermana.

Żaden z domów na wyspie nie miał więcej niż dwa piętra, a w cieniu większych budynków kuliły się urocze pawilony.

Closterman mieszkał w przytulnym jednopiętrowym domu ze szczytami, ozdobnymi okiennicami i przyokiennymi skrzynkami, w których rosły angielskie pierwiosnki.

Kiedy doktor otworzył im drzwi, był boso, miał na sobie brązowe bawełniane szorty, opięte ciasno na wydatnym brzuchu, i podkoszulek reklamujący deski do surfowania Hobbie.

Obok niego stał czarny labrador o wielkich, przenikliwych oczach.

Charlotte – powiedział doktor Closterman tytułem prezentacji.

Lokaj był zwykle nieśmiały w obecności innych psów, ale tym razem, spuszczonej ze smyczy, stanął natychmiast nos w nos z labradorem, merdając ogonem.

Przez chwilę okrążały się nawzajem, węsząc, po czym Charlotte pomknęła w głąb przedpokoju i po schodach na górę, a Lokaj rzucił się za nią.

– W porządku – oznajmił Roy Closterman.

– Nie mogą przewrócić niczego, co już dawno nie zostało przewrócone.

Zaoferował się, że weźmie ich kurtki, ale odmówili, ponieważ Dusty miał w kieszeni colta.

W kuchni unosił się smakowity zapach gotowanych klopsików i kiełbasek.

Closterman zaproponował drinka Dusty'emu i kawę Martie; ostatecznie nalał obojgu kawy.

Usiedli przy wysokim stole z gładko heblowanych sosnowych desek, a doktor zaczął czyścić z nasion i kroić kilka dorodnych żółtych papryk.

– Zamierzałem trochę was wy badać – powiedział – zanim zdecyduję, do jakiego stopnia mogę być z wami szczerzy.

Ale uznałem, że, do diabła, nie ma powodu się bać.

Bardzo podziwiałem twojego ojca, Martie, i jeśli jesteś do niego choć trochę podobna, w co głęboko wierzę, wiem, że mogę polegać na twojej dyskrecji.

– Dziękuję.

– Ahriman – ciągnął Closterman – to narcystyczny dupek.

To nie opinia.

To tak niepodważalny fakt, że powinni zamieszczać go w notce biograficznej na obwolutach jego książek.

Spojrzał na nich znad papryk, żeby się przekonać, czy nimi wstrząsnął – i uśmiechnął się, gdy zobaczył, że się nie wzdrygnęli.

Z siwymi włosami, pyzatymi policzkami, podwójnym podbródkiem i ojcowskim uśmiechem wyglądał jak Święty Mikołaj bez brody.

– Przeczytaliście którąś z jego książek?

– spytał.

– Nie – odparł Dusty.

– Tylko przejrzyliśmy tę, którą nam pan przysłał.

– Gorsza niż większość tego rodzaju popularno-psychologicznego gówna.

„Naucz się kochać siebie”.

Mark Ahriman nigdy nie musiał się uczyć kochać Marka Ahrimana.

Jest zakochany w sobie od urodzenia.

Przeczytajcie jego książkę, a sami się przekonacie.

– Sądzi pan, że byłby w stanie wywoływać zaburzenia osobowości u swoich pacjentów?

– spytała Martie.

– Czy byłby w stanie?

Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby połowa pacjentów, których leczy, cierpiała na choroby, które sam wcześniej wywołał.

Implikacje wynikające z tej odpowiedzi zaparły Dusty'emu dech w piersiach.

– Uważamy, że przyjaciółka Martie, ta, o której wspominaliśmy dziś rano...

– Ta z agorafobią?

– Nazywała się Susan Jagger – powiedziała Martie.

– Znałyśmy się od dziecka.

Zabiła się zeszłej nocy.

Martie zaszokowała doktora tak, jak jemu nie udało się zaszokować ich.

Odłożył nóż i odwrócił się od żółtych papryk, wycierając dłonie w mały ręcznik.

– Twoja przyjaciółka.

– Znaleźliśmy jej ciało dziś po południu – wykrztusił Dusty.

Closterman usiadł przy stole i ujął rękę Martie w swoje dłonie.

– A ty myślałaś, że jej stan się poprawia.

– Tak powiedział mi wczoraj doktor Ahriman.

Dusty wtrącił: – Mamy powody przypuszczać, że autofobia Martie – bo już wiemy, że tak się to nazywa – nie rozwinęła się w sposób naturalny.

Podrażnione słońcem i wiatrem, permanentnie zaczerwienione w kącikach oczy doktora zachowały mimo to łagodny wyraz.

Closterman odwrócił rękę Martie i zaczął studiować jej dłoń.

– Tu jest wszystko, co mogę ci powiedzieć o tym przebiegłym skurwysynu.

Przerwał, kiedy Charlotte wpadła do kuchni z piłką w pysku i Lokajem depczącym jej po piętach.

Psy okrążyły stół, ślizgając się na kafelkach, i pobiegły dalej.

– Pomijając kwestię toalety – powiedział Closterman – możemy nauczyć się od psów więcej niż one od nas.

Ale do rzeczy.

Niewiele pracuję społecznie.

Nie jestem świętym.

Inni lekarze robią więcej.

Moja praca społeczna ma związek z molestowanymi dziećmi.

Byłem bity jako dziecko.

Nie zostawiło to w mojej psychice głębszych śladów.

Mógłbym tracić czas, nienawidząc winnych...

lub pozostawić ich prawu i Bogu, a samemu zając się niesieniem pomocy niewinnym.

W każdym razie...

Pamiętacie sprawę Ornwahlów?

Pamiętali.

Przez ponad dwadzieścia lat rodzina Ornwahlów prowadziła znane przedszkole w Laguna Beach.

Liczba miejsc była ograniczona, a rodzice zaciekle rywalizowali o to, by umieścić tam swoje dzieci.

Dwa lata temu matka pięcioletniej dziewczynki zgłosiła się na policję, oskarżając rodzinę Ornwahlów o seksualne molestowanie jej córki i twierdząc, że inne dzieci były zmuszane do udziału w grupowym seksie i rytuałach satanistycznych.

Pod wpływem hysterii, jak się rozpętała, rodzice innych wychowanków Ornwahlów interpretowali każdą osobliwość w zachowaniu dzieci jako niepokojącą reakcję emocjonalną na molestowanie.

– Nie znałem Ornwahlów ani rodzin, których dzieci chodziły do tego przedszkola – ciągnął Roy Closterman – więc poproszono mnie, abym przeprowadził badania dzieci dla Urzędu Ochrony Praw Dziecka i biura prokuratora okręgowego.

Zatrudnili również społecznie psychiatrę.

Miał porozmawiać z dziećmi i stwierdzić, czy mogą złożyć przekonujące zeznania w sprawie o molestowanie.

– Doktora Ahrimana – domyśliła się Martie.

Roy Closterman wstał od stołu, wziął dzbanek i ponownie napełnił ich filizanki.

– Spotkaliśmy się, by omówić różne medyczne aspekty dochodzenia w sprawie Ornwahlów.

Z miejsca poczułem do niego antypatię.

Ogarnięty nagłym poczuciem winy Dusty poruszył się niespokojnie na krześle.

Natrętny głos wewnętrzny wyrzucał mu nielojalność wobec psychiatry, a nawet to, że słucha

niepochlebnych rzeczy na jego temat.

– A kiedy wspomniał od niechcienia, że posłużył się terapią hipnotyczno-regresyjną, by pomóc dzieciom odtworzyć prawdopodobne przypadki molestowania – powiedział Closterman – włączyły się wszystkie moje dzwonki alarmowe.

– Czy hipnoza nie jest dopuszczalną techniką terapeutyczną?

– spytała Martie, powtarzając zapewne słowa wewnętrznego doradcy.

– W coraz mniejszym stopniu.

Niezręczny terapeuta może z łatwością zaszcześcić niechący fałszywe wspomnienia.

Każdy hipnotyzowany obiekt jest podatny na sugestię.

A jeśli terapeuta nie jest bezstronny i nie postępuje etycznie...

– Myśli pan, że Ahriman nie był bezstronny w sprawie Ornwahlów?

Nie odpowiadając wprost na pytanie, Closterman ciągnął: – Dzieci są szczególnie podatne na sugestię, nawet bez hipnozy.

Bardzo często pamiętają to, co sądzą, że terapeuta chciałby, żeby pamiętały.

Wypytując je, należy bardzo uważać, by nie podsuwać im odpowiedzi.

A wszelkie tak zwane wspomnienia regresyjne uzyskane od dziecka pod hipnozą są całkowicie bezwartościowe.

– Podniósł pan tę kwestię w rozmowie z Ahrimaniem?

– spytała Martie.

– Podniosłem – odparł Closterman, wracając do krojenia papryk.

– Ahriman to protekcyjny, arogancki kutas.

Ale ugrzeczniony.

Jest dobrym politykiem.

Odpowiadał na każde zastrzeżenie, które podniosłem, a nikt inny nie podzielał moich zastrzeżeń.

Biednym Ornwahlom to się nie podobało, ale był to jeden z tych przypadków, kiedy masowa histeria wpływa na sposób prowadzenia śledztwa.

– Czy badając dzieci, znalazł pan jakieś fizyczne ślady molestowania?

– spytał Dusty.

– Nie.

U starszych dzieci nie zawsze można znaleźć fizjologiczne ślady gwałtu.

Ale to były przedszkolaki, małe dzieci.

Gdyby naprawdę robiono z nimi to, co podobno robiono, niemal na pewno znalazłbym uszkodzenia tkanki, blizny i chroniczne infekcje.

Ahriman przynosił te wszystkie historie o satanicznym seksie i torturach, a ja nie mogłem znaleźć nawet śladu medycznego potwierdzenia.

W stan oskarżenia postawiono pięcioro Ornwahlów, a przedszkole zostało rozebrane niemal do fundamentów w poszukiwaniu dowodów.

– Potem – ciągnął Closterman – skontaktował się ze mną ktoś, kto znał moją opinię o Ahrimanie...

i powiedział mi, że zanim zaczęło się to wszystko, Ahriman leczył siostrę kobiety, która oskarżyła Ornwahlów.

– Czy Ahriman nie powinien tego ujawnić?

– spytał Dusty.

– Bez względu.

Poszedłem więc do prokuratora okręgowego.

Tamta kobieta, jak się okazało, naprawdę była siostrą oskarżycielki, ale Ahriman twierdził, że nie zdawał sobie sprawy z ich pokrewieństwa.

– Nie uwierzył mu pan?

– Nie.

Ale prokurator uwierzył i zatrzymał go w zespole.

Ponieważ gdyby przyznano, że Ahriman postąpił niezgodnie z prawem, nie można by wykorzystać jego wywiadów z dziećmi.

Wszystko, co opowiedziały mu dzieci, trzeba by było potraktować jako wymuszone lub wręcz wszczępione wspomnienia.

Nie miałyby żadnej wartości w sądzie.

Akt oskarżenia opierał się na niezachwianej wierze w uczciwość Ahrimana.

– Nie pamiętam, żebym czytała o tym w gazetach – powiedziała Martie.

– Dojdę do tego – obiecał Closterman.

Operował teraz nożem mniej precyzyjnie, bardziej agresywnie, jakby nie kroił tylko żółtej papryki.

– Dowiedziałem się, że pacjentkę Ahrimana często przyprowadzała do jego gabinetu siostra, kobieta, która oskarżyła Ornwahlów.

– Tak jak ja przyprowadzałam Susan – wtrąciła Martie.

– Jeśli naprawdę tak było, to musiał ją spotkać przynajmniej raz.

Ale nie miałem dowodu, tylko pogłoski.

Jeżeli nie chcesz, by pozwano cię do sądu za naruszenie dóbr osobistych, nie oskarżysz publicznie kogoś takiego jak Ahriman, dopóki nie uzyskasz niezbitych dowodów.

Wcześniej, w gabinecie, Closterman próbował zmarszczyć brwi, co mu się nie udało z powodu okrągłych rysów.

Teraz gniew przewyciężył geometrię twarzy, która przybrała nachmurzony wyraz.

– Nie wiedziałem, jak zdobyć taki dowód.

Nie jestem lekarzem-detektywem, jak ten w telewizji.

Pomyślałem sobie jednak...

No cóż, zobaczymy, czy znajdzie się coś w przeszłości tego sukinsyna.

Wydało mi się dziwne, że dwukrotnie w swojej karierze zmieniał miejsce pobytu.

Po dziesięciu z górą latami w Santa Fe przeniósł się do Scottsdale w Arizonie.

A po siedmiu latach spędzonych tam przeprowadził się do New-port.

Wzięty lekarz nie porzuca swojej praktyki i nie wyjeżdża do innego miasta po prostu dla kaprysu.

Closterman skończył kroić paprykę na paski.

Oplukał nóż, wytarł go i odłożył na miejsce.

– Pytałem wśród lekarzy, czy ktoś nie zna kogoś, kto praktykuje w Santa Fe.

Mój znajomy kardiolog miał przyjaciela z akademii medycznej, który osiedlił się w Santa Fe, i skontaktował nas ze sobą.

Okazało się, że ten lekarz z Santa Fe poznał Ahrimana, zanim tamten się wyprowadził...

i nie lubił go tak samo jak ja.

A potem trach...

Była wielka sprawa o molestowanie seksualne w tamtejszym przedszkolu i Ahriman prowadził wywiady z dziećmi, tak jak tu.

Też pojawiły się zastrzeżenia co do jego metod.

Dusty poczuł pieczenie w żołądku i choć nie sądził, by kawa miała z tym cokolwiek wspólnego, odstawił filiżankę.

– Jedno z dzieci popełniło samobójstwo, kiedy zaczął się proces – powiedział Roy Closterman.

– Pięcioletnia dziewczynka.

Pozostawiła wstrząsający rysunek, na którym mała dziewczynka, taka jak ona...

klęczy przed nagim mężczyzną.

Mężczyzna był przedstawiony anatomicznie poprawnie.

– Dobry Boże – powiedziała Martie, odsuwając krzesło od stołu.

Zacząła wstawać, zorientowała się, że nie ma dokąd pójść, i znowu usiadła.

Dusty zastanawiał się, czy podczas następnego ataku paniki w umyśle Martie pojawi się ciało pięcioletniej dziewczynki.

– Sprawa i tak trafiłaby do sądu, a oskarżeni byliby ugotowani.

Prokurator z Santa Fe był znany z tego, że nigdy nie przegrywał.

Doktor wyjął z lodówki butelkę piwa i zerwał z niej kapsel.

– Złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom, kiedy spotkają na swojej drodze doktora Marka Ahrimana, ale on zawsze wychodzi na zbawcę.

Tak było aż do morderstwa w domu państwa Pastore.

Pani Pastore, bardzo piękna kobieta, która nigdy nie powiedziała nikomu złego słowa, nagle wystrzelała swoją rodzinę.

Zacząła od dziesięcioletniego syna.

Ta historia podsyciła strach Martie przed własnymi morderczymi skłonnościami.

Teraz miała już dokąd pójść.

Wstała, podeszła do umywalki, odkręciła wodę, wycisnęła z butelki trochę mydła w płynie i energicznie umyła ręce.

Chociaż nie powiedziała słowa Clostermanowi, nie wyglądało na to, że doktor uważa jej zachowanie za niegrzeczne lub dziwaczne.

– Chłopiec był pacjentem Ahrimana.

Okropnie się jąkał.

Pojawiły się pogłoski, że Ahriman i matka chłopca mieli romans.

I był świadek, który widział Ahrimana w pobliżu domu państwa Pastore w noc morderstwa.

Ahriman stał przed domem i oglądał rzeź przez otwarte okno.

– Oglądał?

– spytała Martie, odrywając papierowy ręcznik z wiszącej na ścianie rolki.

– Po prostu...

ogłądał?

– Jakby to było wydarzenie sportowe – potwierdził Closterman.

– Jakby...

poszedł tam, ponieważ wiedział, co się stanie.

Dusty też nie mógł usiedzieć spokojnie.

Podrywając się na nogi, powiedział: – Wypiłem już dzisiaj dwa piwa, ale jeśli podtrzymuje pan swoją ofertę...

– Proszę się nie krępować – odparł Roy Closterman.

– Rozmowa o doktorze Marku Ahrimanie nie sprzyja zachowaniu trzeźwości.
, Wrzucając papierowy ręcznik do kosza na śmieci, Martie spytała: – A zatem widział go tam świadek – i co z tego wynikło?

– Nic.

Świadkowi nie uwierzono.

A pogłosek o romansie nie dało się udowodnić.

Poza tym nie było absolutnie żadnych wątpliwości, że to pani Pastore pociągnęła za spust.

Lekarz sądowy ustalił to ponad wszelką wątpliwość.

Jednak państwo Pastore byli powszechnie lubiani i wielu ludzi uważało, że Ahriman przyczynił się w jakiś sposób do tej tragedii.

Wracając do stołu z piwem, Dusty powiedział: – Tak więc atmosfera w Santa Fe przestała mu odpowiadać i przeniósł się do Scottsdale.

– Gdzie znów dobrym ludziom przytrafiły się złe rzeczy – westchnął Closterman, mieszając klopsiki i kielbaski w rondlu z sosem.

– Mam na ten temat teczkę.

Dam ją wam, zanim wyjdziecie.

– Z taką amunicją – rzekł Dusty – mógł pan odsunąć go od sprawy Ornwahlów.

Roy Closterman wrócił do stołu i usiadł na swoim miejscu, podobnie jak Martie.

– Nie – powiedział.

Zaskoczony Dusty wyjąkał: – Ale z pewnością wystarczyłaby sama sprawa tamtego przedszkola, by...

– Nigdy jej nie wykorzystałem.

– Opalona twarz doktora pociemniała z gniewu jeszcze bardziej.

Closterman odchrząknął i mówił dalej: – Ktoś dowiedział się, że wydzwaniam do Santa Fe i Scottsdale, pytając o Ahrimana.

Pewnego wieczoru, kiedy wróciłem ze szpitala do domu, dwaj ludzie czekali na mnie w kuchni, siedzieli tu, gdzie wy teraz siedzicie.

Ciemne garnitury, krawaty, dobrze ubrani.

Ale to byli obcy, a kiedy odwróciłem się, żeby wyjść z domu, przede mną wyrósł trzeci.

Spośród wszystkich miejsc, w które Dusty był gotów pójść za doktorem Clostermanem, tego nie uwzględniał w swoim planie podróży.

Nie chciał tam iść, ponieważ wydawało się ono drogą do beznadziei dla niego i dla Martie.

Jeśli doktor Ahriman był ich wrogiem, był bardzo potężnym wrogiem.

Tylko w Biblii Dawid mógł zwyciężyć Goliata.

Tylko w filmach mały człowieczek miał szansę przeciwko olbrzymowi.

– Ahriman wynajął tanich zbirów?

– spytała Martie.

– Nie było w nich nic taniego.

Mieli wysokie ubezpieczenia emerytalne, doskonałą opiekę medyczną i dentystyczną, a w godzinach pracy jeździli czarną limuzyną.

Tak czy inaczej, przywieźli taśmę wideo i puścili mi ją na odtwarzaczu.

Na taśmie był mały chłopiec, który jest moim pacjentem.

Jego rodzice też są moimi pacjentami i dobrymi przyjaciółmi.

Bliskimi przyjaciółmi.

Doktor musiał przerwać.

Krztusił się z gniewu i oburzenia.

Tak mocno ścisnął swoje piwo, jakby chciał zmiażdżyć butelkę w dłoni.

– Ten chłopiec ma dziewięć lat, naprawdę miły dzieciak.

Na taśmie łzy spływały mu po twarzy.

Opowiadał komuś za kamerą, że od czasu, gdy skończył sześć lat, był molestowany seksualnie przez swojego lekarza.

Przeze mnie.

Nigdy nie dotknąłem tego chłopca w taki sposób i nigdy bym tego nie zrobił, nie mógłbym.

Ale mówił bardzo przekonująco, uczuciowo i plastycznie.

Każdy, kto go zna, wie, że nie potrafiłby grać, nie potrafiłby sprzedawać takiego kłamstwa.

Jest zbyt naiwny, żeby być tak dwulicowy.

Wierzy w to wszystko, w każde słowo.

W jego głowie to się zdarzyło, te wszystkie obrzydliwe rzeczy, które podobno z nim robiłem.

– Chłopiec był pacjentem doktora Ahrimana – domyślił się Dusty.

– Nie.

Ci trzej faceci, którzy nie mieli żadnego prawa wtargnąć do mojego domu, ci elegancko ubrani skurwiele powiedzieli mi, że matka chłopca była pacjentką Ahrimana.

Nie wiedziałem o tym.

Nie miałem pojęcia, że się z nim widuje.

– Przez matkę – powiedziała Martie – Ahriman dotarł do chłopca.

– I urobił go w jakiś sposób, za pomocą sugestii hipnotycznej lub czegoś podobnego, wszczepiając te fałszywe wspomnienia.

– To coś więcej niż sugestia hipnotyczna – wtrącił Dusty.

– Nie wiem, co to jest, ale to sięga znacznie głębiej.

Upiwszy łyk piwa, Roy Closterman podjął: – Ci dranie powiedzieli mi, że...

na taśmie chłopiec był w transie.

Kiedy odzyska pełną świadomość, nie będzie miał dostępu do tych fałszywych wspomnień.

Nie będą nawiedzać go we śnie ani dręczyć na poziomie podświadomości.

Nie wywrą żadnego wpływu na jego psychikę, jego życie.

Ale fałszywe wspomnienia pozostaną ukryte w czymś, co nazwali jego podświadomością.

Stłumione, gotowe wypłynąć na powierzchnię, jeśli zostanie poinstruowany, aby sobie o nich przypomniał.

Ostrzegli mnie, że wydadzą mu taką instrukcję, jeśli będę próbował narobić kłopotów Markowi Ahrimanowi w związku ze sprawą przedszkola Ornwahlów lub w w jakiegokolwiek innej sprawie.

Potem wyszli z taśmą.

Adwokat Ahrimana w korytarzach umysłu Dusty'ego zawędrował w odległe rejony, jego głos brzmiał teraz słabiej niż przedtem.

– Nie domyśla się pan, kim byli ci trzej mężczyźni?

– spytała Martie.

– Nie obchodzi mnie, która konkretnie instytucja wypłaca im pobory – odparł Roy Closterman.

– Wiem, czym zalatywali.

– Władzę – powiedział Dusty.

– Cuchnęli nią.

Najwyraźniej w tej chwili Martie nie obawiała się własnych złych skłonności tak bardzo jak złych skłonności innych, ponieważ objęła ramieniem Dusty’ego i mocno go przytuliła.

Z przedpokoju dobiegło sapanie i odgłos psich łap.

Lokaj i Charlotte wróciły do kuchni, zmęczone i zadowolone.

Zaraz potem rozległy się kroki i do kuchni wszedł krępy mężczyzna o sympatycznym wyglądem ubrany w hawajską koszulę i szorty do kolan.

W lewej ręce trzymał kartonową teczkę.

– To Brian – powiedział Roy Closterman i dokonał prezentacji.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Brian wręczył teczkę Dusty’emu.

– Tu jest wszystko, co Roy zebrał na temat Ahrimana.

– Ale nie dostaliście tych papierów od nas – ostrzegł doktor.

– I nie musicie nam ich zwracać.

– Prawdę mówiąc – dodał Brian – nawet ich nie chcemy.

– Brian – powiedział Roy Closterman – pokaż im swoje ucho.

Odgarniając na bok długie jasne włosy, Brian przekreślił, szarpnął i oderwał sobie lewe ucho.

Martie zasłoniła usta dłonią.

– Proteza – wyjaśnił Roy Closterman.

– Kiedy ci trzech skurwiele odjechali, poszedłem na górę i znalazłem Briana nieprzytomnego.

Ucięli mu ucho i bardzo fachowo zaszylili ranę.

Musieli je wyrzucić do śmietnika, więc nie można go było przyszyć.

– Prawdziwi figlarze – powiedział Brian, udając, że wachluje sobie twarz uchem, a jego makabryczne je ne sais quoi sprawiło, iż Dusty uśmiechnął się na przekór okolicznościom.

– Brian i ja jesteśmy razem od ponad dwudziestu czterech lat – wyjaśnił doktor.

– Od ponad dwudziestu pięciu lat – sprostował Brian.

– Roy, masz fatalną pamięć do rocznic.

– Nie musieli robić mu krzywdy – ciągnął doktor.

– Taśma z chłopcem w zupełności by wystarczyła, bardziej niż w zupełności.

Zrobili to, żeby wzmocnić efekt swoich słów.

– Skutecznie, jeśli chodzi o mnie – powiedział Brian, przyczepiając na powrót swoje sztuczne ucho.

– I – dodał Roy Closterman – może teraz rozumiecie, że groźba z taśmą miała dodatkowy aspekt.

Z powodu mnie i Briana, naszego wspólnego życia, ludzie łatwiej daliby wiarę oskarżeniom o molestowanie dzieci.

Ale przysięgam na Boga, że gdybym odczuwał jakiegokolwiek pokusy tego rodzaju, jakiegokolwiek pociąg do dzieci, sam poderzwałbym sobie gardło.

– Chyba że ja zrobiłbym to wcześniej – uzupełnił Brian.

Od kiedy zjawił się Brian, tłumiony gniew Clostermana powoli opadał, a mroczny cień pod opalenizną zniknął.

Teraz jego twarz znowu pociemniała.

– Niezbyt lubię siebie za to, że się wycofałem.

Rodzina Ornwahlów została zrujnowana, a z całą pewnością była niewinna.

Gdybym miał się zmierzyć tylko z Markiem Ahrimanem, walczyłbym niezależnie od tego, ile by

mnie to kosztowało.

Ale ci wszyscy ludzie, którzy wpełzali ze swoich nor, żeby go ochraniać...

Po prostu tego nie rozumiem.

A nie mogę walczyć z czymś, czego nie rozumiem.

– Może my też nie możemy z tym walczyć – powiedział Dusty.

– Może i nie – zgodził się Closterman.

– I niewątpliwie zauważyliście, że nie pytałem, co stało się waszej przyjaciółce Susan ani jaki jest wasz problem z Ahrimanem.

Ponieważ, szczerze mówiąc, nie chcę tego wiedzieć.

To tchórzliwie z mojej strony, jak sądzę.

Nigdy nie uważałem się za tchórze, przynajmniej do tej pory, do tej historii z Ahrimanem, ale teraz wiem, że mam swój punkt załamania.

Obejmując go, Martie powiedziała: – Wszyscy mamy.

A pan nie jest tchórzem, doktorze.

Jest pan dobrym, dzielnym człowiekiem.

– Ciągle mu to powtarzam – wtrącił Brian – ale on nigdy mnie nie słucha.

Doktor przytulił mocno Martie.

– Będziesz potrzebowała całej odwagi i zimnej krwi swego ojca.

– Ma je oświadczył Dusty.

Był to najdziwniejszy moment koleżeństwa, jaki Dusty kiedykolwiek przeżył: ich czworo, tak do siebie niepodobnych pod tak wieloma względami, a mimo to związanych ze sobą, jakby byli ostatnimi istotami ludzkimi na planecie skolonizowanej przez obcych przybyszów.

– Czy ustawiamy dwa dodatkowe nakrycia?

– spytał Brian.

– Dziękuję – odparł Dusty – ale już jedliśmy.

I mamy sporo do zrobienia, zanim noc się skończy.

Martie przypięła Lokajowi smycz i oba psy obwąchały sobie krocza na pożegnanie.

Przy drzwiach frontowych Dusty zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Doktorze Closterman...

– Roy, bardzo proszę.

– Dziękuję.

Roy, trudno mi ocenić, czy Martie i ja wiedzielibyśmy, co robić, gdybym zaufał swoim instynktom i przestał nazywać się paranoikiem, ale może bylibyśmy o pół kroku dalej niż teraz.

– Paranoja – oświadczył Brian – to najpewniejsza oznaka zdrowia psychicznego w nowym tysiącleciu.

– A zatem...

– podjął Dusty – choć może zabrzmie to paranoicznie...

mam brata, który jest na odwyku narkotykowym.

Już trzeci raz.

Poprzednio był w tym samym zakładzie.

A wczoraj wieczorem, kiedy go tam odwozłem, dziwnie reagowałem na to miejsce, miałem takie paranoiczne uczucie...

– Jaki to zakład?

– spytał Roy.

– Klinika Nowego Życia.

Znasz ją?

23.

– W Irvine.

Tak.

Ahriman jest jednym z udziałowców.

Przypomniawszy sobie wysoką i władcą postać w oknie Skeeta, Dusty powiedział: – No cóż, wczoraj by mnie to zdziwiło, ale nie dzisiaj.

Po przytulnym ciepłe domu Clostermana styczniowa noc wydawała się jeszcze zimniejsza, bardziej nieprzyjazna.

Wyjący wiatr zgarniał brudną pianę z powierzchni zatoki i ciskał ją na promenadę.

Lokaj rozciągnął smycz do granic możliwości, a jego państwo pospieszyli za nim.

Żadnego księżycyca.

Żadnych gwiazd.

Żadnej pewności, że nadejdzie świt, i żadnej chęci, by zobaczyć, co może przynieść.

Rozdział 59.

Bez wygaszenia świateł czy podniesienia kurtyny, by ostrzec Martie, że rozpoczyna się przedstawienie, i przygotować ją na nadchodzące atrakcje, martwi księża z przebitymi głowami i inne, jeszcze gorsze obrazy zaczęły przesuwać się na panoramicznym ekranie w sali projekcyjnej w najbardziej mrocznym zakątku jej umysłu.

Krzyknęła i szarpnęła się na siedzeniu samochodu, jakby tłusty kinowy szczur, upasiony na prażonej kukurydzy i mlecznych napojach, przebiegł po jej stopach.

Tym razem nie zapadała się stopniowo w panikę, nie zsuwała się powoli po zjeżdżalni strachu: rozmawiali o Skeecie i nagle, w połowie zdania, Martie runęła w głęboką otchłań rojącą się od koszmarów.

Stłumiony jęk, dwa ciężkie westchnienia, a potem krzyk.

Próbowała pochylić się do przodu, ale przeszkadzały jej pasy bezpieczeństwa.

Elastyczne więzy przerażały ją tak samo jak wizje, zapewne dlatego, że na wielu obrazach, które przelatywały jej przez głowę, ofiary były skrupowane łańcuchami, linami, kajdanami, przyszpilone hakami tkwiącymi w czaszkach i gwoździami w dłoniach.

Wczepiła się obiema rękami w nylonowe pasy, ale bez zrozumienia natury tego, co jej przeszkadza, zbyt przerażona, by pamiętać o rozpięciu sprzączki.

Jechali szeroką, prawie pustą aleją i Dusty szybko zjechał do krawężnika.

Zatrzymał się z piskiem hamulców na dywanie opadłych igieł, pod olbrzymią pinią walczącą z wiatrem.

Kiedy spróbował pomóc Martie uwolnić się z pasów, wzdrygnęła się, szarpiąc się coraz zacieklej, odpychając go rękami i krzycząc, aby trzymał się od niej z daleka.

Mimo to zdołał znaleźć sprzączkę i rozpiąć ją.

Przez chwilę zmagiła się z poluzowanymi pasami, lecz potem wyśliznęła się z nich i pozwoliła im odjechać do tyłu.

Ta odrobina swobody nie przyniosła jej żadnej ulgi, z każdą chwilą ogarniała ją coraz większa panika, aż zaniepokojony Lokaj zaczął skamleć ze współczuciem na tylnym siedzeniu, a niebawem jej krzyki przerodziły się w konwulsyjne nudności.

Tym razem miała pełny żołądek i kiedy pochyliła się do przodu, suche mdłości omal nie stały się mokre.

Przełykając ślinę z dreszczem obrzydzenia, uczepiła się klamki u drzwi, próbując wydostać się z samochodu.

Może chciała wyjść z samochodu, żeby go nie pobrudzić, a może, znalazłszy się na zewnątrz, spróbowałaby uciec, nie od przerażającego spektaklu w jej głowie, przed którym nie było ucieczki, ale od Dusty'ego i od możliwości, że skrzywdzi go w przyływie furii.

Nie mógł na to pozwolić, ponieważ obawiał się, by w panice nie wybiegła na jezdnię i nie wpadła pod inny samochód.

Martie otworzyła drzwi, a wojowniczy wiatr natychmiast zaatakował.

Podmuchy zimnego powietrza wdarły się przez szczelinę, a jej włosy załopotwały jak chorągiew.

– Raymond Shaw – powiedział Dusty.

Ponieważ artyleria wiatru waliła niestrudzenie, uderzając w krawędzie drzwi ze świstem nadlatujących pocisków mózdzierzowych, i ponieważ Martie krzyczała bardzo głośno, nie usłyszała

nazwiska.

Otworzyła drzwi jeszcze szerzej.

Raymond Shaw!

– wrzasnął Dusty.

Była odwrócona od niego, nie mógł więc słyszeć, jak mówi „słucham”, ale wiedział, że musiała wypowiedzieć to słowo, ponieważ zamarła i umilkła, czekając na haiku.

Szybko wyciągnął rękę i zamknął drzwi.

We względnej ciszy, zanim Martie zdążyła mrugnąć, ocknąć się z zadumy i znów pograć się w ataku paniki, Dusty ujął dłonią jej podbródek, odwrócił jej twarz ku sobie i powiedział: – Wieje z zachodu...

– Ty jesteś zachodem i zachodnim wiatrem.

– ...

opadłe liście gromadzą się...

– Liście to twoje instrukcje.

– ...

na wschodzie.

– Ja jestem wschodem.

W pełni dostępna, czekająca na polecenia Martie patrzyła przez Dusty’ego, jakby to on, a nie Ahriman, był teraz niewidzialną obecnością.

Wstrząśnięty spokojnym, przytępionym wyrazem oczu Martie, który oznaczał absolutne posłuszeństwo, Dusty odwrócił się od niej.

Serce waliło mu jak mechaniczny młot, umysł obracał się jak koło zamachowe.

Była teraz niewyobrażalnie bezbronna.

Gdyby wydał jej niewłaściwą instrukcję, wyraził ją słowami, w których kryłoby się niezamierzone, drugie znaczenie, mogła zareagować w sposób całkowicie nieprzewidywalny.

Możliwość wyrządzenia jej nieodwracalnej krzywdy psychicznej wydawała się przerażająco realna.

Kiedy kazał Skeetowi zasnąć, nie określił, jak długo ma trwać drzemka.

Skeeta nie dało się obudzić przez ponad godzinę, równie dobrze mógłby spać przez całe dni, tygodnie, miesiące, a nawet przez resztę życia, podłączony do aparatury medycznej, w oczekiwaniu na przebudzenie, które nigdy nie nastąpi.

Zanim wyda najprostszą instrukcję Martie, powinien ją starannie przemyśleć.

Słowa muszą być tak jednoznaczne, jak to tylko możliwe.

Poza tym, że obawiał się wyrządzić jej niechcący krzywdę, był również zakłopotany stopniem kontroli, jaki nad nią uzyskał, kiedy siedziała cierpliwie, czekając na jego polecenia.

Kochał tę kobietę nad życie, ale nikt nie powinien mieć możliwości sprawowania absolutnej władzy nad inną istotą ludzką, niezależnie od tego, jak czyste byłyby jego intencje.

Gniew jest mniej trujący dla duszy niż chciwość, chciwość mniej jadowita niż zawiść, a zawiść nie jest nawet w połowie tak deprawująca jak władza.

Martwe igły pinii, rozsypane na przedniej szybie niczym patyczki Icing, tworzyły zmieniające się nieustannie wzory, gdyby jednak miały przepowiadać przyszłość, Dusty nie potrafiłby odczytać ich wróżb.

Spojrzał w oczy żony, które poruszyły się gwałtownie, jak wcześniej oczy Skeeta.

– Martie, chciałbym, żebyś posłuchała mnie bardzo uważnie.

– Słucham.

– Powiedz mi, gdzie teraz jesteś.

– W naszym samochodzie.

– Fizycznie, tak.

Tam właśnie jesteś.

Ale wydaje mi się, że psychicznie jesteś zupełnie gdzie indziej.

Chciałbym wiedzieć, gdzie znajduje się to inne miejsce.

– Jestem w kaplicy umysłu – powiedziała.

Dusty nie miał pojęcia, co przez to rozumiała, ale czas naglił, a on nie potrafiłby się dostatecznie skupić, by w tej chwili dociekać znaczenia jej słów.

Musiał zaryzykować, posługując się jedynie tym terminem, „kaplica umysłu”.

– Kiedy podniosę palce na wysokość twojej twarzy i pstryknę nimi, zapadniesz w głęboki i spokojny sen.

Kiedy pstryknę nimi po raz drugi, obudzisz się z tego snu i powrócisz również z kaplicy umysłu, w której się teraz znajdujesz.

Znów będziesz w pełni przytomna, a twój atak paniki minie.

Rozumiesz?

– Rozumiem?

Lepki pot wystąpił mu na czoło.

Otarł go dłonią.

– Powiedz mi, czy rozumiesz.

– Rozumiem.

Unióś prawą dłoń, przycisnął środkowy palec do kciuka, lecz potem zawahał się, ogarnięty wątpliwościami.

– Powtórz moje instrukcje.

Powtórzyła je słowo w słowo.

Wątpliwości nadal go dręczyły, ale nie mógł siedzieć tu przez całą noc, zaciskając palce i czekając na objawienie.

Przeszukał najgłębsze zakamarki swojej pamięci, próbując przypomnieć sobie wszystko, czego dowiedział się o technikach kontroli na podstawie obserwacji Skeeta i słusznych zapewne domysłów, jakie wysnuł z tych nielicznych wskazówek, które posiadał.

Nie zdołał znaleźć żadnej wady w swoim planie, poza tym, że opierał się bardziej na intuicji niż na zrozumieniu.

Na wypadek, gdyby się nie udało i gdyby na zawsze wtrącił Martie w śpiączkę, zostawił ją z dwoma słowami, aby zabrała je w ciemność i zatrzymała przy sobie – „kocham cię” – i pstryknął palcami.

Martie osunęła się na fotel, jej głowa chwiała się przez chwilę, zanim opadła na piersi, a krucze skrzydła włosów rozpostarły się, by ukryć przed nim jej twarz.

Płuca zacisnęły mu się jak związane rzemieniem sakiewki, musiał więc wyteńczyć wszystkie siły, żeby zaczerpnąć powietrza, a kiedy je wypuścił, pstryknął palcami po raz drugi.

Wyprostowała się na fotelu, rozbudzona, czujna, nieobecny wyraz zniknął z jej oczu, i rozejrzała się ze zdumieniem.

– Co, do diabła?

W jednej chwili miotła się w dzikiej panice, szarpiąc za klamkę i próbując wydostać się z Saturna,

w następnej siedziała spokojnie, a drzwi samochodu były zamknięte.

Cyrk śmierci, który rozbijał swoje namioty w jej głowie, ze wszystkimi ukrzyżowanymi księżmi i rozkładającymi się zwłokami, nagle zniknął, jakby zdmuchnięty nocnym wiatrem.

Spojrzała na niego, a on zobaczył, że rozumiała.

– Ty.

– Myślę, że nie miałem wyboru.

Zapowiadało się na wyjątkowo paskudny atak.

– Czuję się...

czysta.

Lokaj wsunął łeb między przednie fotele, przewracając trwożnie oczami i domagając się potwierdzenia, że wszystko wróciło do normy.

Głaszcząc psa, Martie powiedziała: – Czysta.

Czyżby to był koniec?

– Nie sędzę – odparł Dusty.

– Może, jeśli odpowiednio się do tego zabierzemy...

może zdołamy odwrócić to, co z nami zrobiono.

Ale najpierw...

– Najpierw – wpadła mu w słowo Martie, zapinając pas bezpieczeństwa – wydostańmy stamtąd Skeeta.

Rozdział 60.

Polujący na szczura kot, czarny jak sadza i poruszający się bezszelestnie jak dym, spojrzął w przednie światła saturna błyszczącymi pomarańczowymi oczami, a potem zniknął w ciemnościach nocy.

Dusty zaparkował obok śmietnika, blisko budynku, pozostawiając wolny przejazd.

Pies patrzył za nimi z nosem przyciśniętym do szyby samochodu, która zaparowała od jego oddechu, kiedy szli szybko do służbowego wejścia Kliniki Nowego Życia.

Chociaż godziny wizyt skończyły się dwadzieścia minut wcześniej, z pewnością wpuszczono by ich na górę do Skeeta frontowymi drzwiami, zwłaszcza gdyby oznajmili, że przyjechali zabrać go z kliniki.

Wówczas jednak nie obyłyby się bez dłuższej wymiany zdań z przełożoną pielęgniarek i z lekarzem dyżurnym, a także bez zmuszonego wypisywania papierów.

Co gorsza, Ahriman mógł wpisać do karty Skeeta zalecenie, że pacjent może opuścić klinikę na własne żądanie lub na żądanie rodziny tylko w porozumieniu z nim.

Dusty nie chciał ryzykować spotkania twarzą w twarz z psychiatrą, przynajmniej nie teraz.

Na szczęście drzwi służbowe były otwarte.

Za nimi znajdował się skąpo oświetlony pusty pokój dostawczy ze studzienką odpływową pośrodku betonowej podłogi.

Sosnowy zapach środka dezynfekującego tłumił, lecz nie zabijał całkowicie kwaśnego zapachu, zapewne mleka, które wyciekło z przedziurawionego kartonu podczas transportu i wsiąkło w betonową podłogę, a które dla Dusty'ego pachniało jak zakrzepła krew lub stare rzygowiny, świadectwo okrucieństwa bądź zbrodni.

W nowym tysiącleciu, gdy rzeczywistość była tak plastyczna, wystarczyło spojrzeć na to całkowicie niewinne wnętrze, żeby wyobrazić sobie sekretną rzeźnię, gdzie w każdą pierwszą noc pełni księżycy składane są rytualne ofiary.

Jego paranoja nie posunęła się jeszcze aż tak daleko, by wierzył, że każdy pracownik kliniki jest marionetką kontrolowaną przez doktora Ahrimana, mimo to on i Martie poruszali się ostrożnie, jak na terytorium wroga.

Za pierwszym pokojem ciągnął się długi korytarz, łączący się z innym korytarzem i prowadzący do dwuskrzydłowych drzwi, które prawdopodobnie otwierały się na sięń.

Po obu stronach korytarza znajdowały się biura, magazyny i zapewne kuchnia.

W zasięgu wzroku nie było nikogo, tylko gdzieś w oddali dwoje ludzi, chyba Azjatów, rozmawiało w języku innym niż angielski.

Ich głosy brzmiały nieziemsko, jakby nie dochodziły z jednego z pokoiów w głębi korytarza, lecz przebijały się przez zasłonę oddzielającą ten świat od zaświatów.

Po prawej stronie, zaraz za pokojem dostawczym, Martie zobaczyła drzwi z tabliczką SCHODY i, zgodnie z najlepszą tradycją rzeczywistości nowego tysiąclecia, za drzwiami rzeczywiście znajdowały się schody.

* * *

W prostym ciemnoszarym garniturze, białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i krawacie w błękitne i żółte paski wiszącym luźno pod szyją, bez chusteczki w kieszeni marynarki, doktor Mark Ahriman czuł się ubrany i ukształtowany do roli oddanego swojej pracy lekarza, który nie wie, co to wolny

wieczór, kiedy pacjenci go potrzebują.

Za biurkiem przy drzwiach wiodących do sieni Kliniki Nowego Życia siedział Wally Clark, niski, otyły, puciołowaty i uśmiechnięty.

Sprawił wrażenie, jakby czekał, aż zostanie zakopany w piaszczystym dole wyłożonym rozżarzonymi węglami i podany na stół jako luau.

– Doktor Ahriman – zdziwił się Wally, kiedy doktor wkroczył do sieni z czarną lekarską torbą w ręku.

– Nie ma odpoczynku dla zmęczonych?

– To powinno brzmieć: „Nie ma odpoczynku dla niegodziwych” – poprawił doktor.

Wally zachichotał usłużnie.

Wyobrażając sobie, jak szybko Wally zadławiłby się tym chichotem, gdyby zobaczył wiadomy stój z parą słynnych oczu, doktor powiedział: – Ale wdzięczność pacjentów znaczy więcej niż stracona kolacja.

– Byłoby nieźle, gdyby wszyscy lekarze myśleli tak jak pan.

– Jestem pewien, że większość tak myśli – rzekł Ahriman wspaniałomyślnie, naciskając guzik windy.

– Ale zgadzam się, nie ma nic gorszego niż lekarz, któremu nie zależy, który tylko zachowuje pozory.

Jeśli moja praca przestanie sprawiać mi zadowolenie, Wally, mam nadzieję, że wystarczy mi zdrowego rozsądku, by poszukać sobie innej.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, Wally powiedział: – Oby ten dzień nigdy nie nastąpił.

Pańscy pacjenci strasznie by za panem tęsknili, doktorze.

– No cóż, skoro tak, to zanim przejdę na emeryturę, będę musiał ich pozabijać.

– Żartuje pan sobie ze mnie, doktorze Ahriman.

– Strzeż bramy przed barbarzyńcami, Wally – odparł doktor, wchodząc do windy.

– Może pan na mnie liczyć.

Wjeżdżając na pierwsze piętro, doktor żałował, że noc jest taka chłodna.

Gdyby było cieplej, wszedłby do kliniki z marynarką przewieszoną przez ramię i podwiniętymi rękawami koszuli; taki wizerunek wywarłby znacznie lepsze wrażenie, a on nie musiałby wspierać go rozmową.

Był przekonany, że gdyby wybrał karierę aktora, zdobyłby nie zwykłą sławę, lecz międzynarodowy rozgłos.

Obsypywano by go nagrodami.

Z początku byłoby trochę gadania o nepotyzmie, ale w końcu jego talent zamknąłby usta malkontentom.

Ponieważ wychowywał się w najwyższych kręgach hollywoodzkiej elity, nie potrafił już dostrzec żadnej romantyki w przemyśle filmowym, tak jak syn dyktatora któregoś z państw Trzeciego Świata mógłby się znudzić nawet przedstawieniami w doskonale wyposażonych salach tortur i pompą masowych egzekucji.

Poza tym sława gwiazdora kina – i związana z nią utrata anonimowości – pozwalałaby mu znęcać się tylko nad członkami ekip filmowych, drogimi dziwkami, które obsługiwały zdeprawowanych przedstawicieli świata filmu, i młodymi aktorkami, wystarczająco głupimi, by pozwolić się tyranizować.

Nigdy nie zadowoliliby się tak nędznymi resztkami.

Dzyń.

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze.

* * *

Na pierwszym piętrze, kiedy Dusty i Martie wynurzyli się ostrożnie z bocznej klatki schodowej, szczęście nadal im towarzyszyło.

Trzydzieści metrów dalej, u zbiegu jasno oświetlonych głównych korytarzy, dwie kobiety siedziały w dyżurce pielęgniarek, ale żadna z nich nie spojrzała w stronę schodów.

Dusty ostrożnie zaprowadził Martie do pokoju Skeeta.

Wnętrze oświetlał tylko ekran włączonego telewizora, a rzucone przezeń plamy bladego światła wiły się na ścianach jak duchy.

Skeet siedział na łóżku, wsparty jak pasza na stercie poduszek, sącząc przez słomkę napój waniliowy jumjum.

Kiedy zobaczył gości, dmuchnął w słomkę, jakby dął w róg, aż płyn zabulgotał w butelce, i uśmiechnął się radośnie na powitanie.

Martie podeszła do łóżka, by uścisnąć i ucałować Skeeta, a Dusty przywitał się z Jasiiną Hernandez i otworzył małą szafę.

Kiedy odwrócił się od szafy z walizką Skeeta w ręku, siostra Hernandez wstała z fotela i spojrzała na podświetloną tarczę swego zegarka.

– Pora odwiedzin minęła.

– To prawda, ale my nie przyszliśmy w odwiedziny – odparł Dusty.

– To nagły wypadek – powiedziała Martie, gdy już zmusiła Skeeta, by odstawił swój napój i usiadł na krawędzi łóżka.

– Choroba w rodzinie – dodał Dusty.

– Kto zachorował?

– spytał Skeet.

– Mama – wyjaśnił mu Dusty.

– Czyja mama?

– spytał Skeet, najwyraźniej nie wierząc własnym uszom.

Claudette chora?

Claudette, która dała mu Holdena Caulfielda za ojca, a potem doktora Dereka Jaszczura Lamptona za ojczyzna?

Ta kobieta o urodzie i zimnej obojętności bogini?

Ta wielbicielka trzeciorzędnych akademików?

Ta muza pisarzy, którzy nie mieli za grosz szacunku dla słowa pisanego, i marnych psychologów, którzy pogardzali rasą ludzką?

Claudette, ta pozbawiona skrupułów egzystencjalistka z jej miażdżącą pogardą dla wszystkich reguł i praw, dla wszystkich definicji rzeczywistości, które nie zaczynały się od niej?

Jak ta niewzruszona i całkowicie niemoralna kreatura mogła paść ofiarą czegokolwiek na świecie?

– Nasza mama – potwierdził Dusty.

Skeet włożył już skarpetki, a Martie klęczała obok łóżka, wciskając mu na nogi tenisówki.

– Martie – powiedział Skeet – ciągle jestem w piżamie.

– Nie ma czasu, żebyś się teraz przebierał, skarbie.

Twoja mama jest naprawdę chora.

Z nutą szczerego zachwytu w głosie Skeet spytał: – Naprawdę?

Claudette jest naprawdę chora?

Wrzucając rzeczy Skeeta do walizki tak szybko, jak szybko mógł je wyciągać z szuflad komody, Dusty powiedział: – To stało się nagle.

– Co, wpadła pod ciężarówkę czy jak?

Jasmine Hernandez usłyszała ten niemal radosny ton w głosie Skeeta i zmarszczyła brwi.

– Chupaflor, czy to znaczy, że wypisujesz się na własną prośbę?

Skeet odparł z całkowitą szczerością: – Nie, po prostu czuję się świetnie.

* * *

Doktor zgłosił się do dyżurki pielęgniarek na pierwszym piętrze, aby poinformować siostry, że nikt nie powinien niepokoić jego ani jego pacjenta z pokoju 246 podczas konsultacji.

– Zadzwoił do mnie, mówiąc, że zamierza wypisać się rano, a to prawdopodobnie będzie jego koniec.

Przyszedłem, żeby mu to wyperswadować.

Nadal jest głęboko uzależniony.

Kiedy znajdzie się na ulicy, weźmie heroinę w ciągu godziny, a jeśli znam się choć trochę na psychologii, on po prostu chce przedawkować i skończyć z tym.

– I to on – powiedziała siostra Ganguss – choć ma wszystko, dla czego warto żyć.

Miała trzydzieści kilka lat, była atrakcyjna i na ogół niezwykle profesjonalna.

Przy tym pacjencie jednak zachowywała się bardziej jak napalona uczennica niż dyplomowana pielęgniarka zawsze na granicy omdlenia na skutek anemii mózgowej, niedokrwienia mózgu, ponieważ prawie cała krew spływała jej do łędźwi.

– I jest taki słodki – dodała.

Młodsza pielęgniarka, Kyla Woosten, nie wydawała się szczególnie oczarowana pacjentem z pokoju 246, ale najwyraźniej była zainteresowana samym doktorem Ahrimaniem.

Ilekoć miała okazję z nim rozmawiać, prezentowała ten sam repertuar sztuczek z językiem.

Udając, że nie jest świadoma tego, co robi – choć w rzeczywistości dokonywała większej liczby kalkulacji niż superkomputer Cray w ciągu całego dnia pracy – nieustannie oblizywała wargi, aby je zwilżyć: długo, powoli, zmysłowo.

Kiedy zastanawiała się nad jakąś kwestią postawioną przez Ahrimana, wysuwała czasem język, przygryzając jego koniuszek, jakby w głębokiej zadumie.

O proszę, oto i język, poruszający się w prawym kąciku jej ust, zapewne w poszukiwaniu słodkiego okruszka, który utkwiał w tym delikatnym i wrażliwym miejscu.

Teraz jej usta rozchyliły się w zdumieniu, a język zatrzepotał pomiędzy zębami.

Znów zwilżyła wargi.

Siostra Woosten była ładna, ale doktor nie był nią zainteresowany.

Przede wszystkim z zasady nie poddawał praniu mózgu swoich pracowników.

Chociaż poddana pełnej kontroli siła robocza nie domagałaby się podwyżek płac ani świadczeń pracowniczych, możliwe komplikacje nie były warte ryzyka.

Mógłby uczynić wyjątek dla siostry Woosten, ponieważ jej język fascynował go.

Był taki żwawy, różowy i uroczy.

Chętnie zrobiłby z nim coś pomysłowego.

Niestety, w czasach, kiedy kaleczenie ciała w celach kosmetycznych nikogo już nie szokowało, kiedy uszy, powieki, nozdrza, wargi, pępki, a nawet języki były regularnie dziurawione i ozdabiane świecidełkami, doktor nie mógłby zrobić z językiem siostry Woosten niczego takiego, co po przebudzeniu uznalaby za przerażające czy choćby niewłaściwe.

Czasem łapał się na myśli, że ciężko być sadystą w epoce, kiedy samookaleczenie jest ostatnim krzykiem mody.

A teraz do pokoju 246 i do najważniejszego pacjenta.

Doktor był głównym udziałowcem w Klinice Nowego Życia, ale w zasadzie nie leczył tutejszych pacjentów.

Mówiąc najogólniej, ludzie z problemem narkotykowym nie interesowali go; sami tak pracownicy rujnowali sobie życie, że wszelkie dodatkowe cierpienia, które mogłyby im zadać, byłyby tylko ziarnkiem w korcu maku.

Obecnie zajmował się jedynie pacjentem z pokoju 246.

Oczywiście poświęcał też sporo uwagi bratu Dustina Rhodesa z pokoju 250 w głębi korytarza, ale oficjalnie nie był lekarzem Skeeta i w tym przypadku jego konsultacje nie znajdowały odzwierciedlenia w karcie choroby.

Kiedy wszedł do pokoju 246, który właściwie był dwupokojowym apartamentem z dużą łazienką, zastał słynnego aktora w salonie, stojącego na głowie, z dłońmi ułożonymi płasko na podłodze, z piętami i pośladkami przy ścianie, oglądającego telewizję do góry nogami.

– Mark?

Co tu robisz o tej porze?

– spytał aktor, utrzymując pozycję jogi, czy cokolwiek to było.

– Przyszedłem do innego pacjenta.

Pomyślałem, że wstąpię i zobaczę, jak się miewasz.

Doktor okłamał siostry Ganguss i Woosten, kiedy powiedział, iż aktor telefonował do niego i groził, że rano zamierza wypisać się z kliniki.

W rzeczywistości chciał znaleźć się tutaj i poczekać na nocną zmianę, aby zaprogramować Skeeta, kiedy już nadgorliwa siostra Hernandez pójdzie do domu.

Aktor miał dostarczyć mu alibi.

Po paru godzinach w pokoju 246 kilka minut spędzonych ze Skeetem będzie wyglądało na przypadkowy epizod, a każdy pracownik, który zauważy wizytę, uzna ją za pozbawioną znaczenia.

– Spędzam w tej pozycji około godziny dziennie – powiedział aktor.

– To dobre na krążenie mózgowe.

Byłoby miło mieć drugi, mniejszy telewizor, który mógłbym stawiać do góry nogami w razie potrzeby.

Spojrząwszy na operę mydlaną na ekranie, Ahriman odparł: – Jeśli oglądasz tylko takie rzeczy, to lepiej rób to do góry nogami.

– Nikt nie lubi krytyki, Mark.

– Don Adriano de Armado.

– Słucham – powiedział aktor, który wzdrygnął się, ale zdołał ustać na głowie.

Nazwisko aktywujące ten obiekt doktor zapożyczył od jednego z bohaterów „Straconych zachodów

miłości” Szekspira.

Stojący na głowie aktor, który otrzymywał ponad dwadzieścia milionów dolarów za rolę w filmie, w ciągu trzydziestu kilku lat swego życia nie zdobył żadnego poważniejszego wykształcenia i nie miał formalnego przygotowania do zawodu.

Kiedy przeglądał scenariusz, często nie czytał niczego poza własnymi kwestiami i prędej żaby nauczyłyby się latać, niż on przeczytałby cokolwiek Szekspira.

Dopóki prawdziwy teatr nie przejdzie pod zarząd szympansów i pawianów, nie było żadnej szansy, że zagra w jakiegokolwiek sztuce barda z Avonu, a więc i żadnego niebezpieczeństwa, że usłyszy nazwisko „Don Adriano de Armado” w innych okolicznościach niż z ust samego doktora.

Ahriman przeprowadził aktora przez jego osobiste haiku.

* * *

Gdy Martie skończyła zawiązywać sznurowadła sportowych butów Skeeta, Jasmine Hernandez powiedziała: – Jeśli chcecie go stąd zabrać, musicie podpisać zwolnienie od odpowiedzialności.

– Jutro przywieziemy go z powrotem – odparła Martie, podnosząc się na nogi i przynaglając Skeeta, aby wstał z łóżka.

– Tak – potwierdził Dusty, nadal pakując ubrania do walizki.

– Chcemy tylko, żeby zobaczył się z mamą, a potem wróci.

– Mimo to musicie podpisać zwolnienie – upierała się siostra Hernandez.

– Dusty – ostrzegł Skeet – lepiej, żeby Claudette nie słyszała, jak nazywasz ją mamą zamiast Claudette.

Skopie ci za to tyłek.

– Wczoraj próbował popełnić samobójstwo – przypomniała siostra Hernandez.

– W tych okolicznościach klinika nie może brać na siebie żadnej odpowiedzialności po jego wypisaniu.

– Nie wymagamy tego od kliniki.

Bierzemy pełną odpowiedzialność na siebie – zapewniła ją Martie.

– W takim razie przyniosę formularz zwolnienia.

Martie stanęła przed pielęgniarką, pozostawiając Skeeta, który zachwiał się na niepewnym oparciu własnych dwóch nóg.

– Dlaczego nie pomoże nam pani go ubrać?

Potem pójdziemy razem do dyżurki pielęgniarek i podpiszemy zwolnienie.

Mrużąc oczy, Jasmine Hernandez spytała: – Co tu się dzieje?

– Spiesz się, to wszystko.

– Tak?

Wobec tego przyniosę formularz naprawdę szybko – odparła siostra Hernandez, przechodząc obok Martie.

Przy drzwiach odwróciła się i pokazała palcem na Skeeta.

– Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę, chupaflor.

– Jasne, nie ma sprawy – obiecał Skeet.

– Ale czy mogłaby się pani pospieszyć?

Claudette jest naprawdę chora, a ja nie chciałbym niczego stracić.

* * *

Doktor polecił aktorowi stanąć na nogach i usiąść na kanapie.

Cierpiący na manię wielkości ekshibicjonista miał na sobie tylko czarne slipy.

Był sprawny jak szesnastolatek, szczupły i dobrze umięśniony, mimo długiej listy niszczycielskich nałogów.

Przeszedł przez pokój ze zwiewnym wdziękiem baletnicy.

Rzeczywiście, chociaż jego osobowość była głęboko stłumiona i chociaż w tym stanie nie miał więcej poczucia samego siebie niż rzepa, poruszał się, jakby grał.

Najwidoczniej świadomość, że w każdym momencie jest oglądany i podziwiany przez wielbicieli, nie była pozą, której nabrał, kiedy zepsuła go sława, lecz przekonaniem zakorzenionym w samych genach.

Kiedy aktor czekał, doktor Ahriman zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze nad kredensem.

Doskonale.

Miał silne, owłosione przedramiona, męskie, lecz bez cech neandertalskich.

Kiedy opuści ten pokój o północy i pomaszeruje korytarzem.

do pokoju Caulfielda, przewiesi marynarkę przez ramię, żywy obraz zmęczonego, ciężko pracującego, oddanego swemu powołaniu, seksownego lekarza.

Ahriman ustawił krzesło przed kanapą i usiadł naprzeciwko aktora.

– Bądź spokojny.

– Jestem spokojny.

Ten książę kas kinowych przyszedł do Ahrimana młodszego, a nie do żadnego innego terapeuty, z powodu hollywoodzkiego rodowodu doktora.

Ahriman starszy, Josh, umarł po zjedzeniu zatrutych czekoladek, kiedy ten chłopak oblewał jeszcze matematykę, historię i wszystkie inne przedmioty w szkole średniej, toteż ci dwaj nigdy nie pracowali razem.

Aktor uznał jednak, że skoro wielki reżyser zdobył dwa Oscary, to syn wielkiego reżysera musi być najlepszym psychiatrą na świecie.

– Z wyjątkiem, być może, Freuda – oświadczył doktorowi.

– Ale tamten mieszka gdzieś w Europie, a ja nie będę latał tam i z powrotem na każdą wizytę.

Kiedy Robert Downey junior trafił wreszcie na długo do więzienia, ten dochodowy ochłap ludzkiego mięsa zaniepokoił się, że on też może wpaść w ręce „faszystowskim agentom od narkotyków”.

Nie miał najmniejszej ochoty zmieniać swojego stylu życia, by zadowolić aparat ucisku, ale jeszcze mniej podobała mu się perspektywa, iż wtrąca go do jednej celi z maniakalnym zabójcą o szerokich barach i bez wyraźnych preferencji seksualnych.

Chociaż Ahriman zawsze odprawiał pacjentów z poważnymi problemami narkotykowymi, tego jednego przyjął.

Aktor obracał się w kręgach elity społecznej, gdzie mógł splatać rzadkiego figla ku szczególnie wielkiej uciechu doktora.

Niezwykła gra z udziałem aktora była już przygotowana i miała się niebawem rozpocząć, pociągając za sobą doniosłe konsekwencje.

– Mam dla ciebie bardzo ważne instrukcje – powiedział Ahriman.

Ktoś zapukał energicznie do drzwi apartamentu.

* * *

Skeet opierał się, kiedy Martie próbowała ubrać go w szlafrok.

– Skarbie – powiedziała – noc jest chłodna.

Nie możesz wyjść tylko w tej cienkiej piżamie.

– Ten szlafrok jest straszny – zaprotestował Skeet.

– Dali mi go tutaj.

To nie mój, Martie.

Jest cały w kłakach, a ja nienawidzę pasków.

Kiedyś, zanim wykończyły go narkotyki, przyciągał kobiety, tak jak zapach surowego befsztyka przyciągał Lokaja.

Doskonale się wtedy ubierał i dbał o swój wygląd.

Nawet teraz, w dniach upadku, dobry gust Skeeta czasem się odzywał, chociaż Martie nie rozumiała, dlaczego musiał odezwać się właśnie w tej chwili.

Zatrzasnąc wypchaną walizkę, Dusty powiedział: – Chodźmy.

Martie zerwała koc z łóżka Skeeta i zarzuciła mu na ramiona.

– Co sądzisz o tym?

– Wyglądam jak Indianin – powiedział, owijając się kocem.

– Podoba mi się.

Martie ujęła go pod ramię i pociągnęła w stronę drzwi, gdzie czekał Dusty.

– Stójcie!

– Skeet zatrzymał się i zawrócił.

– Losy na loterię.

– Jakie losy na loterię?

– W nocnej szafce – powiedział Dusty.

– Schowane w Biblii.

– Nie możemy wyjść bez nich – upierał się Skeet.

* * *

W odpowiedzi na pukanie do drzwi doktor zawołał niecierpliwie: – Proszę mi teraz nie przeszkadzać.

Po krótkiej chwili pukanie rozległo się znowu.

– Idź do sypialni – powiedział cicho Ahriman do aktora – połóż się na łóżku i czekaj na mnie.

Jakby polecenie pochodziło od kochanki, która obiecała mu wszystkie rozkosze ciała, aktor wstał z kanapy i wysliznął się z pokoju.

Każdy płynny krok, każdy ruch bioder był dostatecznie uwodzicielski, by zapęlić sale kinowe na całym świecie.

Pukanie zabrzmiało po raz trzeci.

– Doktorze Ahriman?

Doktorze Ahriman?

Idąc w kierunku drzwi, doktor poprzysiągł sobie, że jeśli to siostra Woosten mu przeszkodziła, zajmie się bardziej poważnie problemem, co zrobić z jej językiem.

* * *

Martie wyjęła z Biblii dwa losy na loterię i podała je Skeetowi.

Ściskając koc lewą ręką, zamachał gwałtownie prawą.

– Nie, nie!

Jeśli ich dotknę, nic nie będą warte, opuści je całe szczęście.

Wsuwając losy do jednej z własnych kieszeni, usłyszała, jak ktoś w głębi korytarza woła doktora Ahrimana.

Kiedy Ahriman otworzył drzwi i zobaczył Jasmine Hernandez, zmieszał się bardziej, niż gdyby ujrzał siostrę Woosten z niepokromionym różowym językiem.

Jasmine była znakomitą pielęgniarką, ale trochę za bardzo przypominała kilka szczególnie irytujących dziewcząt, z którymi doktor zetknął się w dzieciństwie i we wczesnej młodości, rasę kobiet, które na własny użytek nazywał wszystkowiedzącymi.

To one spoglądały na niego szyderczo, z chytrym uśmieszkiem, co dostrzegał kątem oka, kiedy odwracał się od nich.

Wszystkowiedzące zdawały się prześwietlać go wzrokiem, rozumieć go w sposób, w jaki nie chciał być rozumiany.

Co gorsza, miał dziwne uczucie, że wiedzą o nim coś zabawnego, coś, czego sam nie wiedział, że jest dla nich przedmiotem żartów z powodu jakichś cech, które posiadał i których nie potrafił rozpoznać.

Odkąd skończył szesnaście czy siedemnaście lat, a jego niezgrabny dotąd wdzięk zaczął się przeradzać w prawdziwie zabójczy wygląd, rzadko przejmował się wszystkowiedzącymi, które jakby straciły zdolność do prześwietlania go.

Jasmine Hernandez należała jednak do tej samej rasy i chociaż na razie nie zdołała go przejrzeć, bywały chwile, kiedy czuł, że zaraz mrugnie ze zdumieniem i spojrzy na niego uważniej, w jej oczach pojawi się to szczególne szyderstwo, a kąciki ust podniosą się leciutko w kpiącym uśmieszku.

– Doktorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale kiedy poinformowałam siostrę Ganguss, co się dzieje, a ona powiedziała, że jest pan na terenie kliniki, uznałam, że powinien pan wiedzieć.

Biła od niej taka stanowczość, iż doktor cofnął się kilka kroków, a ona wzięła to za zaproszenie, co wcale nie było jego intencją.

– Pacjent wypisuje się z kliniki – powiedziała siostra Hernandez – i moim zdaniem w dość niezwykłych okolicznościach.

* * *

– Czy mogę zabrać swój jumjum?

– spytał Skeet.

Martie spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

Oczywiście, jeśli się nad tym zastanowić, wiele przemawiało za tym, że oboje nie byli w pełni władz umysłowych, spróbowała więc rozstrzygnąć wątpliwości na jego korzyść.

– Twoje co?

– Jego oranżadę – wyjaśnił Dusty od drzwi.
– Weź ją i wynośmy się stąd!
– Ktoś wołał Ahrimana – powiedziała Martie.
– On tu jest.
– Też to słyszałem – zapewnił ją Dusty.
– Lepiej weź tę cholerną oranżadę szybko.
– Waniliowy jumjum albo, dajmy na to, czekoladowy – sprostował Skeet, kiedy Martie okrążyła łóżko i porwała butelkę z nocnej szafki – to nie oranżada.

Nie jest gazowany.

To raczej napój deserowy.

– Masz swój napój deserowy, skarbie – powiedziała Martie, wciskając butelkę do ręki Skeeta.

– A teraz rusz tyłek albo ci go skopię.

* * *

Początkowo, pod wpływem zmieszania, doktor uznał, że siostra Ganguss wspomniała siostrze Hernandez, iż aktor zamierza wypisać się z kliniki, i że to jest ów pacjent, który tak ją niepokoi.

Ponieważ cała historia o aktorze była kłamstwem mającym ukryć prawdziwy cel jego wizyty w klinice tego wieczoru, powiedział: – Proszę się nie martwić, siostrze Hernandez, on w końcu zdecydował się zostać.

– Co?

O czym pan mówi?

Próbują go stąd zabrać właśnie w tej chwili.

Ahriman odwrócił się, by spojrzeć na salon i otwarte drzwi do sypialni.

Prawie spodziewał się zobaczyć kilka młodych kobiet z klubu wielbicielek, wynoszących nagiego i pogrążonego w katatonii aktora przez okno z zamiarem uwięzienia go i uczynienia zeń swego niewolnika.

Nie zobaczył ani porywaczek, ani aktora.

– O kim pani mówi?

Kto chce opuścić klinikę?

– spytał, odwracając się do pielęgniarki.

– Chupaflor – odparła.

– Mały koliberek.

Holden Caulfield.

Martie schodziła po schodach, podtrzymując Skeeta.

Dzieciak był tak blady i kruchy, że w swojej piżamie i z białym kocem na ramionach mógłby uchodzić za ducha nawiedzającego boczne korytarze kliniki.

Słabowitego ducha.

Włókł się po schodach, z trudem utrzymując równowagę i ciągnąc za sobą koc, o który się potykał przy każdym kroku.

Dusty podążał za Martie i Skeetem, dźwigając walizkę i zerkając co chwila w górę, czy na klatce schodowej nad nimi nie pojawi się Ahriman.

Z kieszeni kurtki wyciągnął colta.

Zastrzelenie znanego psychiatry nie zapewniłoby mu miejsca w panteonie bohaterów obok Uśmiechniętego Boba.

Zamiast przyjmować zaproszenia na uroczyste kolacje, stałby w kolejce po więzienne żarcie.

Niezależnie od wszystkiego, czego dowiedzieli się lub domyślili na temat doktora Ahrimana, bolesna prawda przedstawiała się tak, iż nie mieli nawet cienia dowodu, że dopuścił się jakichkolwiek nielegalnych czy choćby nieetycznych czynów.

Tasma z automatycznej sekretarki z wiadomością Susan była jedyną rzeczą zbliżoną do dowodu, jaką dysponowali, ale Susan o nic nie oskarżyła psychiatry, nazwała go tylko skurwielem.

Jeśli w jakiś sposób udało się jej nagrać Ahrimana na kasetę wideo, kaseeta na pewno przepadła.

Skeet pokonywał schody tak, jak mogłoby się z nimi zmagać małe dziecko.

Najpierw opuszczał prawą nogę na kolejny stopień, potem dostawiał do niej lewą, wahał się przez moment, obmyślając następne posunięcie, i powtarzał całą procedurę.

Dotarli do podestu i nadal nikt ich nie ścigał.

Dusty zatrzymał się tam, obserwując górną kondygnację schodów, a Martie i dzieciak schodzili dalej w kierunku drzwi.

Gdyby Ahriman wyszedł na klatkę schodową na pierwszym piętrze i zobaczył ich na podeście, wiedziałby, że uciekają przed nim, są dla niego groźni, i Dusty musiałby zastrzelić go na miejscu.

Ponieważ gdyby Ahriman zdążył wymówić nazwisko „Viola Narvilly”, a potem wyrecytować haiku o czapli, uzyskałby kontrolę nad pistoletem, choćby broń nadal znajdowała się w ręku Dusty’ego.

A wówczas wszystko mogło się zdarzyć.

* * *

Doktor zaniepokoił się, był jednak zbyt doświadczonym graczem, aby to po sobie pokazać.

Wyprowadził siostrę Hernandez z pokoju 246 na korytarz i zapewnił ją, że Dustin i Martine Rhodes nie podejmą żadnych pochopnych decyzji zagrażających pomyślnej rehabilitacji Skeeta.

– W dodatku pani Rhodes jest od niedawna moją pacjentką i wiem, że chce, aby jej szwagier przebywał pod naszą opieką.

– Mówili, że jego matka jest chora...

– No cóż, to przykre.

– ...

ale to jedna wielka bujda, gdyby mnie ktoś pytał.

A biorąc pod uwagę możliwe konsekwencje prawne dla kliniki...

– Tak, tak, oczywiście, jestem pewien, że uda mi się to wyjaśnić.

Zamknąwszy starannie drzwi apartamentu 246, doktor Ahriman ruszył korytarzem do pokoju 250, a za nim podążyła Jasmine Hernandez.

Nie spieszył się, ponieważ pośpiech oznaczałby, że w rzeczywistości uważa tę sprawę za ważniejszą, niż chciałby przyznać.

Był zadowolony, że znalazł czas, by zdjąć marynarkę i podwinąć rękawy koszuli.

Zpracowany wygląd i męskie przedramiona umacniały aurę pewności siebie i kompetencji, jaką pragnął roztaczać.

Jedyną oznaką życia w pokoju 250 był włączony telewizor.

Łóżko było rozgrzebane, szuflady komody otwarte i puste, należący do kliniki szlafrok poniewierał

się na podłodze, a pacjent zniknął.

– Proszę iść do siostry Ganguss i spytać, czy widziała, jak schodzili głównymi schodami lub zjeżdżali windą – poinstruował doktor siostrę Hernandez.

Ponieważ siostra Hernandez nie była zaprogramowana, ponieważ miała wolną wolę, i miała jej aż nazbyt wiele, próbowała się sprzeciwić.

– Przecież nie zdążyliby...

– W zupełności wystarczy jedno z nas, by sprawdzić boczne schody – przerwał jej doktor.

– Proszę iść do siostry Ganguss.

Marszcząc brwi tak groźnie, iż nikt nie odważyłby się z nią spierać, gdyby oświadczyła, że jest nowym wcieleniem Pancho Villi, Jasmine Hernandez odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do dyżurki pielęgniarek.

Ahriman otworzył drzwi prowadzące na boczną klatkę schodową, wyszedł na górny podest, zaczął nasłuchiwać.

Niczego nie usłyszał, więc zbiegł ze schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Odgłos jego ciężkich stóp odbijał się od betonowych ścian zwielokrotnionym echem i kiedy doktor dotarł do końca drugiej kondygnacji, miał wrażenie, jakby pozostawił za sobą huczącą od gromkich braw widownię.

Korytarz na parterze był pusty.

Pchnął drzwi do pomieszczenia dostawczego na tyłach budynku.

Nikogo.

Następne drzwi, wychodzące na podjazd.

Kiedy Ahriman wybiegł na zewnątrz, wiatr łomotał pokrywą jednego z pojemników na śmieci i zdawał się unosić czerwonego saturna, który przemknął tuż obok.

Za kierownicą siedział Dustin Rhodes.

Na tylnym siedzeniu rozwalił się jego wypalony narkotykami, zasmarkany, beużyteczny braciszek.

Pomachał doktorowi ręką na pożegnanie.

Mrugając tylnymi światłami jak statek kosmiczny lecący z prędkością fazową, saturn pomknął szaleńczo w noc.

Doktor miał nadzieję, że samochód uderzy w jeden z pojemników na śmieci stojących wzdłuż alei, przestanie słuchać kierownicy, przewróci się na dach i stanie w płomieniach.

Miał nadzieję, że Dusty, Martie i Skeet spłoną żywcem, ich ciała zamienią się w poczerwiałe szkielety i zwęglone ochłapy dymiącego mięsa, a potem z nieba sfrunie ogromne stado wielkich zmutowanych wron, które obsiadą wypalone szczątki saturna i rozszarpia upieczone zwłoki, będą szarpać i szarpać, rozrywać i drzeć, aż nie pozostanie z nich nawet strzęp.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Samochód minął dwa bloki i skręcił w lewo, w główną ulicę.

Doktor stał na środku alei, patrząc w ślad za nim.

Smagał go wiatr.

Ahriman z wdzięcznością przyjmował jego zimne podmuchy, jakby mogły wywiać z niego zmieszanie i oczyścić umysł.

Wcześniej, w poczekalni, Dusty czytał „Mandzurskiego kandydata”.

Doktor podsunął Martie tę książkę jako nieoznaczoną kartę, która, gdyby kiedykolwiek została rozegrana, mogła wnieść do gry dopuszczalną dozę emocji.

Czytając ją, Rhodes miał doświadczyć lekkich dreszczy strachu, zbyt przesywających, aby dały się wyjaśnić samą fabułą, zwłaszcza gdyby natknął się na nazwisko Yiola Narvilly, i zauważyć dziwne zbieżności z wydarzeniami z własnego życia.

Książka miała sprawić, by zaczął myśleć, zastanawiać się.

Mimo to możliwość, że sama powieść Condon w wystarczającym stopniu pobudzi szare komórki Dusty'ego i pozwoli mu zrozumieć prawdziwą naturę doktora i jego rzeczywiste cele, wydawała się tak nieprawdopodobna, iż łatwiej było sobie wyobrazić astronautów odkrywających na Marsie restaurację Kentucky Fried Chicken z Elvisem zjadającym pieczone skrzydełka przy stoliku w rogu.

Doktor nie widział zwłaszcza żadnej szansy, że malarz pokojowy zdoła wydedukować to wszystko w ciągu jednego popołudnia.

A zatem musiały być jeszcze inne nieoznaczone karty, które nie doktor umieścił w talii, lecz podłożył los.

Jedną z nich mógł być Skeet.

Skeet z mózgiem tak przeżartym narkotykami, że nie dawał się całkowicie zaprogramować.

Zaniepokojony nieoczekiwanym porannym wyczynem czeladnika malarskiego Ahriman przyszedł tu dziś wieczorem właśnie po to, by zapisać samobójczy scenariusz w podświadomości Skeeta i pozbyć się tej beużytecznej blotki jeszcze przed świtem.

Czy były jeszcze jakieś nieoznaczone karty oprócz Skeeta?

Bez wątpienia, i zostały rozegrane.

Niezależnie od tego, ile wiedzieli Dusty i Martie – a ich wiedza nie musiała być wcale tak pełna, jak się wydawało – nie rozwiązałyby zagadki, mając do dyspozycji jedynie książkę i Skeeta.

Ten nieoczekiwany rozwój wydarzeń nie przemawiał do sportowego ducha Ahrimana.

Lubił ryzyko w swoich grach, ale tylko kontrolowane.

Był graczem, a nie hazardzistą.

Wolał architekturę reguł od dżungli ślepego trafu.

Rozdział 61.

Osiedle przyczep kempingowych kuliło się trwożnie na silnym wietrze, jakby w oczekiwaniu na jeden z huraganów, które zawsze odnajdują takie miejsca i rozrzucają przyczepy po całej okolicy ku dzikiej ucieście kamer telewizyjnych.

Na szczęście w Kalifornii huragany są rzadkie, słabe i krótkotrwałe.

Mieszkańcy osiedla nie znieśliby udawanego współczucia reporterów rozdartych pomiędzy zawodowym podnieceniem a przyznaniem, jak niewiele ludzkiej przyzwoitości przetrwało lata pracy dla wieczornego serwisu informacyjnego.

Przecinające się pod kątem prostym ulice wyglądały tak samo.

Setki ruchomych domów na fundamentach z betonowych podkładów też niełatwo było od siebie odróżnić.

Mimo to Dusty bez najmniejszego trudu rozpoznał mieszkanie Fostera Figi Newtona, kiedy je zobaczył.

Do osiedla doprowadzono telewizję kablową i tylko przyczepa Figi miała na dachu mały talerz anteny satelitarnej.

Prawdę mówiąc, na dachu Figi znajdowały się trzy anteny, odcinające się na tle niskiego nocnego nieba, które podmiejskie światła zabarwiały od spodu brudnożółtą luną.

Jeden talerz celował na wschód, drugi na północ; oba były stacjonarne.

Trzeci, zamontowany na krzyżakowym przegubie, nieustannie obracał się i zmieniał kąt nachylenia, jakby wyskubywał z eteru smakowite kęsy danych, tak jak kozodój chwyta w powietrzu przelatujące owady.

Poza antenami satelitarnymi z dachu sterczała jeszcze nader osobliwa konstrukcja: metrowe i półtorametrowe kolce, każdy z różną liczbą krótkich poprzeczek; podwójna spirala z miedzianych wstęg; przedmiot przypominający ogołoczone z igieł, metalowe drzewko świąteczne stojące na wierzchołku z gałęziami wycelowanymi w niebo; a także coś, co wyglądało jak rogaty hełm wikinga osadzony na dwumetrowej tyczce.

Najeżona tymi urządzeniami przyczepa mogła być pozaziemskim statkiem kosmicznym zamaskowanym jako ruchomy dom, rzeczą, o której zawsze opowiadają goście ulubionych programów radiowych Figi.

Dusty, Martie, Skeet i Lokaj stanęli na niewielkim ganku nakrytym aluminiową markizą, która po starcie mogłaby służyć jako żagiel słoneczny.

Dusty nie znalazł przycisku dzwonka, więc zastukał do drzwi.

Skeet opatulony kocem, który trzepotał i wydymał się na wietrze, wyglądał jak postać z powieści fantastycznej, podążająca śladem zbiegłego czarnoksiężnika, wyczerpana przygodami, ścigana od dawna przez gobliny.

Podnosząc głos, by przekrzywić wicher, spytał: – Czy wiecie na pewno, że Claudette nie jest chora?

– Wiemy na pewno.

Nie jest – odparła Martie.

Skeet, zwracając się do Dusty'ego, powiedział: – Ale mówiłeś mi, że jest chora.

– To było kłamstwo, żeby wyciągnąć cię z kliniki.

Rozczarowany Skeet mruknął: – Myślałem, że naprawę jest chora.

– Nie chciałbyś, żeby była chora – powiedziała Martie.

– Niekoniecznie umierająca.

Kurcze żołądka i wymioty w zupełności by wystarczyły.

Na ganku zapaliło się światło.

– I paskudna biegunka – uzupełnił Skeet.

Po chwili drzwi otworzyły się.

Stojąc na ganku, Figa mrugał spoza grubych okularów.

W jego szarych oczach, powiększonych przez silne soczewki, malował się smutek, który nie opuszczał ich nigdy, nawet kiedy Figa się śmiał.

– Cześć.

– Figa – powiedział Dusty – przepraszam, że niepokoiimy cię w domu, a w dodatku tak późno, ale nie wiedziałem, dokąd jeszcze moglibyśmy pójść.

– Jasne – odparł Figa, cofając się, aby ich wpuścić.

– Masz coś przeciwko psu?

– spytał Dusty.

– Nie.

Martie wprowadziła Skeeta po stopniach.

Za nimi weszli Lokaj i Dusty.

Gdy Figa zamknął drzwi, Dusty powiedział: – Mamy poważny problem.

Mógłbym pójść do Neda, ale prawdopodobnie udusiłby Skeeta prędzej czy później, więc...

– Usiądziecie?

– spytał Figa, prowadząc ich do stołu.

Kiedy wszyscy troje przyjęli zaproszenie, przysuwając krzesła do stołu, i kiedy pies wczuł się pod stół, Martie powiedziała: – Moglibyśmy też pójść do mojej matki, ale ona...

– Soku?

– spytał Figa.

– Soku?

– powtórzył jak echo Dusty.

– Pomarańczowy, śliwkowy albo grapefruitowy – powiedział Figa, zdobywając się na ogromny wysiłek, by wygłosić tak długą przemowę.

– Masz kawę?

– spytał Dusty.

– Nie.

– Pomarańczowy – zdecydował Dusty.

– Dzięki.

– Z przyjemnością napiję się grapefruitowego – powiedziała Martie.

– A masz waniliowy jumjum?

– spytał Skeet.

– Nie.

– Grapefruitowy.

Figa poszedł do lodówki w przyległej kuchni.

Kiedy nalewał sok, w radiu ludzie mówili o „aktywnym i nieaktywnym obcym DNA wszczepianym w ludzką strukturę genetyczną” i martwili się, czy „celem obecnej kolonizacji Ziemi przez kosmitów jest

zniewolenie rasy ludzkiej, podniesienie jej na wyższy poziom, czy też po prostu hodowla ludzkich organów w charakterze przysmaków na pozaziemskie stoły”.

Martie uniosła brwi, jakby chciała zapytać Dusty’ego: „Myślisz, że się uda”?

Rozglądając się po przyczepie, kiwając głową i uśmiechając się, Skeet powiedział: – Podoba mi się to miejsce.

Wydaje przyjemny szum.

* * *

Kiedy siostra Hernandez została wysłana do domu z obietnicą, że otrzyma pełną nocną stawkę, choć pracowała dwie godziny krócej, niż przewidywał kontrakt, kiedy siostra Ganguss po wielokrotnych zapewnieniach dała się wreszcie przekonać, że ich sławny pacjent niczego w tej chwili nie potrzebuje, i kiedy siostra Woosten znalazła nowy pretekst, by zaprezentować gimnastyczne możliwości swego ruchliwego różowego języka, doktor Ahriman wrócił do niezakończonyj sprawy w pokoju 246.

Aktor był w łóżku, gdzie doktor kazał mu czekać, leżąc na pościeli w czarnych slipach.

Wpatrywał się w sufit z mniej więcej taką samą ekspresją, jaką wnosił do swoich ról w licznych kasowych filmach.

Siadając na krawędzi łóżka, doktor polecił: – Powiedz mi, gdzie teraz jesteś, nie fizycznie, ale psychicznie.

– Jestem w kaplicy.

– Dobrze.

Podczas poprzedniej wizyty Ahriman poinstruował aktora, aby nigdy więcej nie zażywał heroiny, kokainy, marihuany ani innych nielegalnych substancji.

Wbrew temu, co doktor powiedział siostrom Ganguss i Woosten, ten człowiek był skutecznie wyleczony ze wszystkich nałogów.

Uwalniając pacjenta od tych destrukcyjnych nawyków, doktor Ahriman nie kierował się ani współczuciem, ani poczuciem zawodowej odpowiedzialności.

Ten człowiek był po prostu bardziej użyteczny trzeźwy niż otumaniony.

Aktor miał zostać niebawem wykorzystany w niebezpiecznej grze o doniosłych konsekwencjach historycznych, dlatego należało wykluczyć możliwość, że kiedy nadejdzie czas, aby włączył się do gry, będzie przebywał w celi więziennej, oczekując na proces.

Musiał pozostać czysty i gotowy na spotkanie z przeznaczeniem.

– Obracasz się w najwyższych kręgach – powiedział doktor.

– Mam tu przede wszystkim na myśli wydarzenie, w którym weźmiesz udział za dziesięć dni, w przyszłą sobotę wieczorem.

Opisz mi, proszę, wydarzenie, o którym mówię.

– To przyjęcie na cześć prezydenta – odparł aktor.

– Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Tak.

Przyjęcie, będące w rzeczywistości zbiórką funduszy na partię prezydenta, miało odbyć się w Bel Air, w posiadłości reżysera, który zarabiał więcej pieniędzy, zdobył więcej Oscarów i ryzykował zarażenie się chorobą przenoszoną drogą płciową z większą liczbą przyszłych aktorek niż nawet świętej

pamięci Josh Ahriman, Król Łez.

Dwustu hollywoodzkich snobów zapłaci po dwadzieścia tysięcy dolarów za przywilej płaszczenia się przed tym skończonym politykiem, tak jak przed nimi płaszczyli się codziennie niemal wszyscy, od sławnych gości telewizyjnych paneli po motłoch na ulicach.

Za swoje pieniądze dostaną, na zmianę przez cały wieczór, zarówno stymulator ego tak potężny, że wywoła spontaniczny orgazm, jak i rozkosznie perwersyjne poczucie, iż są tylko służalczą szumowiną popkultury w cieniu prawdziwej wielkości.

– Nic nie powstrzyma cię przed wzięciem udziału w tym przyjęciu na cześć prezydenta – powiedział doktor.

– Nic.

– Choroba, wypadek, trzęsienie ziemi, ponętni nastoletni wielbiciele obojga płci; ani te okoliczności, ani żadne inne nie przeszkodzą ci w punktualnym przyjściu na przyjęcie.

– Rozumiem.

– Myślę, że prezydent jest jednym z twoich największych wielbicieli.

– Tak.

– Tego wieczoru, kiedy znajdziesz się twarzą w twarz z prezydentem, użyjesz całego swojego wdzięku i umiejętności postępowania z ludźmi, by natychmiast poczuł się swobodnie.

Potem zachęcisz go, aby nachylił się bardzo blisko, jakbyś chciał podzielić się z nim szczególnie pikantną plotką na temat jednej z najpiękniejszych aktorek obecnych na przyjęciu.

Kiedy znajdzie się naprawdę blisko, złapiesz go obiema rękami za głowę i odgryziesz mu nos.

– Rozumiem.

* * *

Przyczepa rzeczywiście szumiała, jak zauważył Skeet, ale zdaniem Martie szum ten był raczej irytujący niż przyjemny.

W powietrzu krzyżowały się elektroniczne szmery, pomruki, westchnienia i cichutkie piski, niektóre ciągle, inne przerywane, a jeszcze inne pulsujące.

Wszystkie te dźwięki były bardzo delikatne, szepczące, a ich połączony efekt mógł nasuwać skojarzenie z łąką w letnią noc, gdy cykady, świerszcze i inni skrzydlaci trubadurzy śpiewają owadzią pieśń miłosną.

Być może dlatego właśnie szum niepokoił Martie i napełniał ją poczuciem, że po jej nogach pełza robactwo.

Dwie ściany salonu, którego otwarte przedłużenie stanowiła przestrzeń jadalna, wypełniały sięgające od podłogi do sufitu półki zastawione monitorami komputerowymi i zwykłymi telewizorami.

Na większości ekranów jarzyły się i przesuwwały obrazy, dane cyfrowe, płynne wykresy i abstrakcyjne wzory o zmieniających się kształtach i barwach, które dla Martie nie miały żadnego sensu.

Na półkach stało też mnóstwo innej tajemniczej aparatury, od oscyloskopów, wyświetlaczy radarowych i przyrządów pomiarowych po czytniki cyfrowe w sześciu różnych kolorach.

Kiedy wszyscy dostali sok, Figa Newton też usiadł przy stole.

Na ścianie za nim wisiały mapy nieba, gwiazdozbiory półkuli północnej i południowej.

Wyglądał jak daleki kuzyn kapitana Jamesa Kirka dowodzący kupioną na wyprzedzący wersją gwiazdznego krążownika Enterprise.

Maskotka kosmicznej wyprawy, Lokaj, chętnie wzięła wodę z miski, którą postawił przed nim kapitan.

Sądząc z zadowolonej miny, szum przyczepy nie przeszkadzał mu w najmniejszym stopniu.

Martie zastanawiała się, czy stale zaczerwieniona twarz i szkarłatny nos Figa nie są raczej efektem radiacji emitowanej przez zestaw sprzętu elektronicznego niż przebywania na słońcu podczas pracy.

– No?

– spytał Figa.

Dusty powiedział: – Martie i ja jedziemy do Santa Fe i musimy...

– Żeby nabrać energii?

– Co?

– To skupisko energii – oświadczył Figa uroczyście.

– O czym ty mówisz?

Santa Fe?

Skupisko jakiej energii?

– Mistycznej.

– Naprawdę?

No cóż, nie, po prostu jedziemy porozmawiać z pewnymi ludźmi, którzy mogą być świadkami w... sprawie kryminalnej.

Musimy zostawić gdzieś Skeeta na kilka dni, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać.

Gdybyś mógł...

– Będziesz skakać?

– spytał Figa Skeeta.

– Skakać skąd?

– Z mojego dachu.

– Bez obrazy – odparł Skeet – ale nie jest wystarczająco wysoki.

– Zastrzelisz się?

– Nie, nic z tych rzeczy – obiecał Skeet.

– Dobra – powiedział Figa, sącząc swój sok śliwkowy.

Poszło łatwiej, niż Martie przypuszczała.

– Wiemy, że to straszny kłopot, Figa, ale czy znalazłbyś miejsce również dla Lokaja?

– spytała.

– Psa?

– Tak.

Jest naprawdę kochany, nie szczeka, nie gryzie i można się z nim świetnie bawić, jeśli...

– Brudzi?

– Co?

– W domu?

– spytał Figa.

– Och, nie, nigdy.

– Dobra.

Martie spojrzała Dusty'emu w oczy.

Najwyraźniej sumienie gryzło go tak samo jak ją, ponieważ powiedział: – Figa, muszę być z tobą naprawdę szczery.

Myślę, że ktoś będzie szukał Skeeta, może nawet więcej niż jeden ktoś.

Nie sądzę, żeby trafili tutaj, ale gdyby jednak...

są niebezpieczni.

– Prochy?

– spytał Figa.

– Nie.

To nie ma z tym nic wspólnego.

To...

Kiedy Dusty urwał, zastanawiając się, jak opisać ich sytuację słowami, które nie wystawiłyby łatwości Figi na zbyt ciężką próbę, Martie wyręczyła go: – Choć może to zabrzmieć niedorzecznie, natknęliśmy się na jakiś eksperyment z kontrolą umysłu, praniem mózgu, jakiś spisek...

– Obcy?

– spytał Figa.

– Nie, nie.

My...

– Istoty z innego wymiaru?

– Nie.

To jest...

– Rząd?

– Być może – powiedziała Martie.

– Amerykańskie Stowarzyszenie Psychologów?

Martie zaniemówiła, a Dusty spytał: – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tylko pięciu podejrzanych – odparł Figa.

– Kto jest piątym?

Pochylając się nad stołem z uroczystym wyrazem twarzy i przejrzystymi szarymi oczami przepełnionymi smutkiem nad dołą człowieczą, Figa szepnął: – Bili Gates.

– Dobry sok – powiedział Skeet.

* * *

Nagi aktor.

Próżny człowiek filmu.

Sława i niesława.

Okropne.

Jeśli piękne kobiety nie potrafiły zainspirować doktora, by wspiał się na szczyty poetyckiej formy, trudno było oczekiwać, że ten aktorzyzna z poprawionym chirurgicznie nosem i uwydatnionymi za pomocą kolagenu wargami stanie się inspiracją nieśmiertelnego haiku.

Wstając z krawędzi łóżka, wpatrując się w spokojną twarz i poruszające się w skurczu oczy, Ahriman powiedział: – Nie będziesz przeżuwał nosa, kiedy już go odgryziesz.

Wypłujesz go natychmiast w takim stanie, żeby mógł zostać przyszyty przez zespół pierwszorzędných chirurgów.

Celem nie jest zabójstwo ani trwałe oszpeccenie.

Są ludzie, którzy chcą przesłać prezydentowi wiadomość – ostrzeżenie, jeśli wolisz – której nie będzie mógł zignorować.

Jesteś po prostu posłańcem.

Powiedz mi, czy to jest dla ciebie jasne.

– Jasne.

– Powtórz moje instrukcje.

Aktor powtórzył instrukcje słowo w słowo, znacznie dokładniej, niż kiedykolwiek wygłaszał kwestie ze swoich scenariuszy.

– Chociaż nie wyrządzisz prezydentowi żadnej innej krzywdy, wszyscy pozostali uczestnicy przyjęcia będą twoją zwierzyną podczas próby ucieczki.

– Rozumiem.

– W zamieszaniu spowodowanym twoim czynem będziesz miał szansę wymknąć się agentom, zanim zdążą zareagować.

– Tak.

– Ale ruszą za tobą natychmiast.

Potem rób, co musisz...

choć nie mogą schwytać cię żywego.

Jeśli chcesz, możesz myśleć, że jesteś Indianą Jonesem otoczonym przez nazistowskich zbirów i ich pachołków.

Bądź pomysłowy, używaj zwykłych przedmiotów jako broni, przedzieraj się przez tłum, dopóki cię nie zastrzelą.

Jego praca z aktorem była zleceniem kontraktowym, które doktor musiał od czasu do czasu przyjmować.

To była cena, jaką płacił za posługiwanie się technikami kontroli umysłu dla własnej przyjemności bez obawy, że trafi do więzienia, jeśli jedna z jego gier potoczy się niezgodnie z przewidywaniami.

Gdyby prowadził tę grę tylko dla rozrywki, scenariusz nie byłby taki prosty.

Ale pomimo narzuconej prostoty ta mała gra też miała swój zabawny aspekt.

Pierwotnie doktor zamierzał spędzić co najmniej godzinę, dyktując nieskładne, psychotyczne tyrady, które aktor zapisywał w swoim osobistym dzienniku jako własne mroczne fantazje.

Robił to podczas kilku poprzednich sesji i prawie dwieście stron dziennika zostało wypełnionych dzikim paranoicznym strachem, zacieklą nienawiścią i ponurymi przepowiedniami dotyczącymi prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Aktor nie pamiętał nic z tego, co napisał, i otwierał dziennik tylko na polecenie doktora, ale po zamachu na prezydencki nos, kiedy sprawca zostanie zastrzelony, władze odkryją ten ohydny dokument zakopany pod stosami majtek, które gwiazdor zdjął legionom uwiedzionych przez siebie kobiet i zachował na pamiątkę.

Teraz, zaniepokojony uprowadzeniem Skeeta z kliniki w wyniku brawurowej akcji państwa Rhodes, Ahriman postanowił zrezygnować z dyktowania.

Zapisane wcześniej dwieście stron powinno stanowić przekonujący dowód zarówno dla agentów FBI, jak i dla czytelników gazet w całym kraju.

Odebrawszy instrukcje, aktor znów stanął na głowie przy ścianie salonu naprzeciwko telewizora, zwinny jak gimnastyk młodszy od niego o dwadzieścia lat.

– Zaczynaj liczyć – powiedział Ahriman.

Kiedy aktor doszedł do dziesięciu, wrócił z kaplicy umysłu do pełnej świadomości.

W jego przekonaniu psychiatra dopiero wszedł do pokoju.

– Mark?

Co tu robisz o tej porze?

– Przyszedłem do innego pacjenta.

Jak się miewasz?

– Spędzam w tej pozycji około godziny dziennie.

To dobre na krążenie mózgowe.

– Widać rezultaty.

– Widać, co?

– rozpromienił się stojący na głowie gwiazdor.

Zalecając sobie cierpliwość, doktor wdał się w dziesięciominutową, nieznośnie nudną rozmowę dotyczącą ogromnych wpływów kasowych za ostatni megahit z udziałem aktora, aby dać obiektowi coś, co mógłby zapamiętać z tej wizyty.

Kiedy wreszcie opuścił pokój 246, wiedział znacznie więcej o typowych upodobaniach publiczności małych kin w rejonie wielkiego Chicago, aniżeliby chciał.

Sławny aktor.

Odgryza nos demokracji.

A miliony klaszczą.

Dalekie od doskonałości, ale można nad tym popracować.

* * *

Przy wtórze styczniowego wiatru szalejącego na zewnątrz i elektronicznego szumu wewnątrz Dusty uaktywnił Skeeta, mówiąc: – Doktor Yen Lo.

Dzieciak usiadł przy stole trochę bardziej prosto, a jego blada twarz stała się tak pozbawiona wyrazu, że Dusty dopiero teraz uświadomił sobie, jak subtelne cierpienie malowało się na niej wcześniej.

Ta obserwacja pogłębiła towarzyszący mu nieustannie smutek wywołany świadomością, że jego brat w tak młodym wieku został obrabowany z wszelkiej radości i poczucia celu w życiu.

Kiedy przeszli przez haiku i trzy odpowiedzi Skeeta, Figa Newton powiedział: – Właśnie – zupełnie jakby znał się na mechanizmach kontroli psychicznej.

Kilka minut wcześniej, w trakcie pospiesznej konsultacji w bibliotece Figi – małej sypialni wypełnionej książkami o niezidentyfikowanych obiektach latających, uprowadzeniach przez obcych, samozapaleniach się ludzi, istotach z innych wymiarów i Trójkącie Bermudzkim – Dusty przedstawił Martie rezultaty, jakie spodziewał się osiągnąć ze Skeetem.

To, co proponował, wydawało się niezwykle ryzykowne dla wystarczająco już kruchej konstytucji psychicznej Skeeta, obawiał się zatem, że przyniesie więcej szkody niż pożytku.

Ku jego zaskoczeniu, Martie natychmiast zaakceptowała ten plan.

Wierzył w jej zdrowy rozsądek bardziej niż w to, że słońce wstaje na wschodzie, toteż z jej aprobatą był gotów wziąć na siebie straszliwą odpowiedzialność za skutki swojego planu.

Teraz, kiedy Skeet stał się w pełni dostępny, a jego oczy poruszały się tak samo jak wcześniej w Klinice Nowego Życia, Dusty polecił: – Powiedz mi, czy słyszysz mój głos, Skeet.

– Słyszę twój głos.

– Skeet...

kiedy wydam ci instrukcje, czy zastosujesz się do nich?

– Zastosuję się do nich?

Przypomniawszy sobie wszystko, czego dowiedział się podczas poprzedniego incydentu w klinice, Dusty przeformułował pytanie, by brzmiało jak twierdzenie.

– Skeet, zastosujesz się do instrukcji, które ci wydam.

Potwierdź lub zaprzecz, że tak będzie.

– Potwierdzam.

– Jestem doktorem Yenem Lo, Skeet.

– Tak.

– I jestem czystymi kaskadami.

– Tak.

– W przeszłości wydawałem ci różne instrukcje.

– Błękitne igły sosnowe – powiedział Skeet.

– Zgadza się.

Teraz, Skeet, pstryknę palcami.

Kiedy to zrobię, zapadniesz w spokojny sen.

Potwierdź lub zaprzecz, czy mnie rozumiesz.

– Potwierdzam.

– A potem pstryknę palcami po raz drugi.

Wtedy obudzisz się, będziesz w pełni świadomy, ale również zapomnisz na zawsze wszystkie poprzednie instrukcje, które ci wydałem.

Moja kontrola nad tobą skończy się.

Ja – doktor Yen Lo, czyste kaskady – nigdy więcej nie będę miał do ciebie dostępu.

Skeet, potwierdź, czy rozumiesz, co powiedziałem.

– Rozumiem.

Dusty spojrział na Martie, szukając u niej wsparcia.

Skinęła głową.

Niewtajemniczony w ich plan Figa pochylił się zafascynowany nad stołem, zapominając o soku śliwkowym.

– Chociaż zapomnisz wszystkie moje poprzednie instrukcje, Skeet, zapamiętasz każde słowo z tego, co ci teraz powiem, będziesz w to wierzył i postępował zgodnie z tym do końca swojego życia.

Potwierdź, czy rozumiesz, co powiedziałem.

– Rozumiem.

– Skeet, nigdy więcej nie sięgniesz po narkotyki.

Nie będziesz czuł takiej potrzeby.

Będziesz brał tylko leki, które przepiszą ci lekarze w czasie choroby.

– Rozumiem.

– Skeet, poczynając od tego momentu, zrozumiesz, że jesteś zasadniczo dobrym człowiekiem, ani lepszym, ani gorszym niż inni ludzie.

Wszelkie negatywne rzeczy, które mówił o tobie twój ojciec przez te wszystkie lata, opinie naszej matki na twój temat i słowa krytyki, które wypowiadał Derek Lampion, nigdy więcej nie będą cię dotykać, ranić ani w żaden sposób ograniczać.

– Rozumiem.

Po drugiej stronie stołu łzy zalśniły w oczach Martie.

Dusty musiał przerwać, aby nabrać oddechu, zanim znów zaczął mówić.

– Skeet, spojrzysz w swoje dzieciństwo i odnajdziesz czasy, kiedy wierzyłeś w przyszłość, kiedy byłeś pełen marzeń i nadziei.

Znów uwierzysz w przyszłość.

Uwierzysz w siebie.

Będziesz miał nadzieję, Skeet, i już nigdy, nigdy więcej jej nie stracisz.

– Rozumiem.

Skeet wpatrywał się w nieskończoność.

Figa nie odrywał od niego wzroku.

Dobry Lokaj spoglądał ponuro.

Martie otarła oczy rękawem bluzki.

– Dusty przycisnął kciuk do środkowego palca.

Zawahał się.

Myślał o wszystkich rzeczach, które mogły pójść źle, i o niezamierzonych skutkach dobrych intencji.

Pstryk.

Skeet zamknął oczy i osunął się na krzesło, pogrążony w głębokim śnie.

Głowa opadła mu na piersi.

Przytłoczony ciężarem odpowiedzialności, którą właśnie na siebie przyjął, Dusty podniósł się na nogi, stał przez chwilę niezdecydowany, a potem poszedł do kuchni.

Przy zlewie odkręcił kurek z zimną wodą, podstawił dłonie pod strumień i kilkakrotnie opryskał sobie twarz.

Martie podeszła do niego.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Potrząsnął głową.

– Tego nie możesz wiedzieć.

Umysł jest taki delikatny.

Ten świat jest taki nieszczęśliwy między innymi dlatego, że...

tylu ludzi chce grzebać w umysłach innych ludzi i wyrządza tyle zła.

Tyle zła.

Nie możesz tego wiedzieć, żadne z nas nie może.

– Ja mogę – powiedziała łagodnie, dotykając dłonią jego wilgotnej twarzy.

– Ponieważ to, co zrobiłeś, zrobiłeś z czystej miłości, z prawdziwej, czystej miłości do brata, i nie może z tego wyniknąć nic złego.

– Tak.

A droga do piekła jest wybrukowana dobrymi chęciami.

– Podobnie jak droga do nieba, nie sądzisz?

Wzdrygnął się, przełknął twardą bryłę, która urosła mu w gardle, i powiedział z jeszcze większym lękiem: – Boję się tego, co może się stać, jeśli się uda...

ale jeszcze bardziej boję się, że się nie uda.

To czyste szaleństwo.

A co, jeśli pstryknę palcami i obudzi się dawny Skeet, nadal pełen nienawiści do siebie, nadal zagubiony, biedny nieudacznik?

To jego ostatnia szansa, a ja bardzo chcę wierzyć, że się uda, ale jeśli pstryknę palcami i okaże się, że

jego ostatnia szansa nie była w ogóle szansą?

Co wtedy, Martie?

Siła w jej głosie podniosła go na duchu, jak zawsze.

– Wtedy będziesz wiedział, że przynajmniej próbowałeś.

Dusty spojrział w kierunku stołu, na tył głowy Skeeta, na jego rozczochrane, potargane włosy, chudą szyję, delikatne ramiona.

– Chodź – powiedziała Martie cicho.

– Daj mu nowe życie.

Dusty zakręcił kurek.

Oderwał kilka papierowych ręczników z rolki i osuszył sobie twarz.

Zmiał ręczniki i wrzucił je do kosza na śmieci.

Zatarł ręce, jakby chciał w ten sposób stłumić ich drżenie.

Klikklik, pazury na linoleum: dociekliwy Lokaj przyczłapał do kuchni.

Dusty pogłaskał złotą głowę psa.

Wreszcie ruszył za Martie w stronę stołu i oboje ponownie usiedli z Figą i Skeetem.

Znów kciuk do środkowego palca.

Niech zadziała czar, dobry albo zły, nadzieja albo rozpacz, radość albo smutek, sens albo pustka, życie albo śmierć: pstryk.

Skeet otworzył oczy, uniósł głowę, wyprostował się na krześle, popatrzył na siedzących przy stole i spytał: – No dobra, kiedy zaczynamy?

Nie zachował żadnych wspomnień z sesji.

– Typowe – oświadczył Figa, kiwając z zapalem głową.

– Skeet?

– powiedział Dusty.

Dzieciak popatrzył na niego.

Biorąc głęboki wdech, Dusty powiedział: Doktor Yen Lo.

Skeet zadarł głowę.

– He?

– Doktor Yen Lo.

Potem spróbowała Martie: – Doktor Yen Lo.

A potem Figa: – Doktor Yen Lo.

Skeet popatrzył na wyczekujące twarze wokół siebie, a potem na psa, który stał z przednimi łapami na stole.

– Co to ma być, zagadka, test, czy co?

Czy ten Lo to jakaś postać historyczna?

Nigdy nie byłem dobry z historii.

– Czyste kaskady – powiedział Dusty.

Zmieszany Skeet mruknął: – Brzmi jak nazwa płynu do mycia naczyń.

Przynajmniej pierwsza część planu powiodła się.

Skeet nie był zaprogramowany, nie podlegał kontroli.

Tylko czas mógł jednak pokazać, czy Dusty osiągnął również swój drugi cel: uwolnienie Skeeta od dręczącej przeszłości.

Dusty odsunął krzesło, podniósł się na nogi i powiedział do Skeeta: – Wstań.

– He?

– Dalej, braciszku, wstawaj.

Pozwalając, by szpitalny koc zsunął mu się z ramion, dzieciak podniósł się z krzesła.

Wyglądał jak strach na wróble z patyków i słomy ubrany w zbyt obszerną piżamę.

Dusty otoczył brata ramionami i objął go mocno, bardzo mocno, a kiedy wreszcie był w stanie przemówić, powiedział: – Zanim wyjedziemy, dam ci trochę forsy na waniliowy jumjum, dobrze?

Rozdział 62.

Koło fortuny obracało się dalej.

Były jeszcze dwa miejsca na poranny rejs samolotu United Air Lines z Międzynarodowego Lotniska Johna Wayne'a do Santa Fe z międzylądowaniem w Denver.

Używając karty kredytowej, Dusty zamówił bilety przez telefon w kuchni Figa.

– Broń?

– spytał Figa kilka minut później, kiedy Dusty i Martie stali przy drzwiach frontowych, szykując się do wyjścia.

– Co z bronią?

– nie zrozumiał Dusty.

– Przyda się wam?

– Nie.

– Myślę, że tak – zaproponował Figa.

– Powiedz, że nie masz tu arsenału dostatecznie potężnego, by rozpocząć wojnę – zmarszczyła brwi Martie, zastanawiając się, czy Figa Newton nie jest przypadkiem trochę bardziej kłopotliwy niż zwyczajny dziwak.

– Nie mam – zapewnił ją Figa.

– Ja w każdym razie mam to – powiedział Dusty, wyciągając z kieszeni kurtki colta commandera.

– Lecicie, prawda?

– spytał Figa.

– Nie zamierzam wnosić go na pokład.

Zapakuję go do jednej z walizek.

– Mogą wybiórczo prześwietlać – ostrzegł Figa.

– Nawet jeśli to nie jest bagaż podręczny?

– Ostatnio tak.

– Nawet na krótkich trasach?

– Nawet – upierał się Figa.

– To z powodu ostatnich historii z terrorystami.

Wszyscy są trochę nerwowi i Federalny Zarząd Lotniczy wydał nowe przepisy – wyjaśnił Skeet.

Dusty i Martie popatrzyli na niego z nie mniejszym zdziwieniem, niż gdyby nagle otworzył trzecie oko pośrodku czoła.

Wyznając filozoficzny pogląd, iż rzeczywistość cuchnie, Skeet nigdy nie przeczytał gazety, nigdy nie wysłuchał dziennika telewizyjnego ani radiowego.

Domyśliwszy się przyczyny ich zdumienia, Skeet wzruszył ramionami i powiedział: – No cóż, przypadkiem słyszałem, jak jeden pośrednik mówił o tym drugiemu.

– Pośrednik?

– spytała Martie.

– Od narkotyków?

– Nie od zakładów przecież.

– Handlarze narkotyków omawiają ostatnie wydarzenia?

– Myślę, że to utrudnia pracę ich kurierom.

Byli bardzo wkurzeni.

Dusty odwrócił się do Figi.

– Jak wybiórcze są te wybiórcze kontrole?

– spytał.

– Jedna walizka na dziesięć?

Jedna na pięć?

– Na niektórych trasach może pięć procent.

– No cóż, zatem...

– Na innych sto procent.

Patrząc na pistolet w swojej dłoni, Dusty powiedział: – To legalna broń, ale nie mam pozwolenia na jej noszenie.

– I przekraczanie granicy stanu.

– To jeszcze gorzej, co?

– Nie lepiej – przyznał Figa, mrużąc jedno swoje oko, i dodał: – Ale mam coś.

Zniknął w tylnej części przyczepy, lecz kilka minut później wrócił, niosąc niewielkie pudełko.

Wyciągnął z niego błyszczący samochód strażacki i energicznym pociągnięciem ręki zakręcił kołami.

– Wruuum!

Transport.

* * *

Czarny wiatr z czarnego nieba.

Czarne okna w domu.

Czy mieszka tam wiatr?

Na ciemnym ganku wiktoriańskiego domku państwa Rhodes, który był zbyt wymyślny jak na jego gust, Ahriman zawahał się przy drzwiach, wsłuchując się w rytm rozkołysanych wiatrem drzew w ciemnościach i w ułożone przed chwilą czarne haiku, zadowolony z siebie.

Kiedy przyszedł tu po raz pierwszy kilka miesięcy temu, aby przeprowadzić sesję programującą z Dustym, zaopatrzył się w jeden z kompletów zapasowych kluczy państwa Rhodes, tak jak wcześniej w klucz do mieszkania Susan.

Teraz wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi.

Jeśli mieszkał tu wiatr, nie było go w domu.

Ciemność tchnęła ciepłem i ciszą.

W domu nie było nikogo, nawet psa.

Przyzwyczajony do królewskich praw w domach tych, nad którymi sprawował kontrolę, śmiało zapalił światło w kuchni.

Nie wiedział, czego szuka, ale był pewien, że rozpozna to, gdy tylko zobaczy.

Niemal natychmiast dokonał odkrycia.

Na kuchennym stole leżała rozdarta koperta.

Jego uwagę zwróciła nalepka z adresem zwrotnym: Doktor Roy Closterman.

Ponieważ Ahriman odnosił spektakularne sukcesy i w swojej praktyce lekarskiej, i jako autor książek, ponieważ odziedziczył znaczny majątek i był obiektem zawiści, ponieważ nie cierpiał głupców, ponieważ innych członków społeczności lekarskiej, których samoafirmujący kodeks etyczny i dogmatyczne poglądy uważał za duszące, darzył raczej pogardą niż podziwem, a także z wielu innych powodów nie

zdobył przyjaciół, lecz za to przysporzył sobie wrogów wśród kolegów lekarzy każdej specjalności.

Zdziwiłby się, gdyby internista państwa Rhodes nie był jednym z tych, którzy mieli o nim negatywne zdanie.

Dlatego fakt, że leczyli się u beatyfikowanego z własnego tytułu świętego Clostermana, napawał go tylko trochę większym niepokojem, niż gdyby skonsultowali się z jednym z lekarzy, których określał lekceważąco jako opukiwaczy i osłuchiwaczy.

Zaniepokoił go natomiast odręczny list, który leżał obok koperty.

Był napisany na papeterii Clostermana i nosił jego podpis.

Moja recepcjonistka przechodzi tędy w drodze do domu, więc poprosiłem ją, żeby to podrzuciła.

Sądzę, że ostatnia książka doktora Ahrimana może się wam wydać interesująca.

Zapewne nie mieliście okazji jej przeczytać.

Oto kolejna nieoznaczona karta.

Doktor Ahriman złożył list i schował do kieszeni.

Książki, o której wspominał Closterman, nie było.

Jeśli naprawdę miał na myśli ostatnią, musiało to być „Naucz się kochać siebie” w twardej oprawie.

Doktor ucieszył się, że nawet jego wrogowie wnoszą swój wkład w jego honoraria autorskie.

Mimo to, kiedy obecny kryzys zostanie rozwiązany, trzeba będzie zainteresować się bliżej świętym Clostermanem.

Można by przywrócić równowagę głowie jego przyjaciela, pozbawiając go drugiego ucha.

Co do samego Clostermana, to można by obciąć mu środkowy palec prawej ręki, ograniczając jego zdolność do czynienia wulgarnych gestów; święty nie powinien mieć nic przeciwko temu, że uwolni się go od części ciała, w której drzemie tak obsceniczny potencjał.

* * *

Wóz strażacki – dwanaście centymetrów szerokości, tyleż wysokości i trzydzieści centymetrów długości – był wykonany z prasowanego metalu.

Pięknie wykończony, ręcznie pomalowany, wyprodukowany w Holandii przez dumnych i pomysłowych rzemieślników, zachwyciłby każde dziecko.

Siadając przy stole, gdy jego goście skupili się wokół, by popatrzeć, Figa chwycił maleńki śrubokręt z ćwierćcalowym trzpieniem, odkręcił osiem śrubek i oddzielił korpus ciężarówki od podwozia z kołami.

Wewnątrz znajdowała się mała filcowa torba, w jaką pakuje się buty przed włożeniem do walizki, aby się nie porysowały.

– Broń – powiedział Figa.

Dusty wręczył mu colta.

Figa owinął niewielki pistolet w filcową torbę, żeby nie grzechotał, i umieścił pakunek w pustym wnętrzu ciężarówki.

– Zapasowy magazynek?

– spytał Figa.

– Nie mam – odparł Dusty.

– Powinieneś.

– Nie.

Figa na powrót przykręcił korpus ciężarówki do podwozia, przykleił pod spodem taśmą maleńki

śrubokręt i wręczył zabawkę Dusty'emu.

– Teraz mogą przeświecić.

– Połóż ją w walizce na boku, a na ekranie pojawi się rozpoznawalny kształt ciężarówki – powiedziała Martie z podziwem.

– Otóż to – potwierdził Figa.

– Nie każą nikomu otwierać walizki, żeby sprawdzić coś takiego.

– Nie.

– Prawdopodobnie moglibyśmy ją schować nawet w bagażu podręcznym – powiedział Dusty.

– Lepiej.

– Lepiej?

– zdziwiła się Martie.

– No tak, czasami linie lotnicze gubią bagaże, których nie masz przy sobie.

Figa skinął głową.

– Właśnie.

– Używałaś jej kiedyś?

– spytał Skeet.

– Nigdy.

– No to po co ci ona?

– Na wszelki wypadek.

Obracając ciężarówkę w dłoniach, Dusty powiedział: – Jesteś dziwnym człowiekiem, Fosterze Newton.

– Dzięki.

Kevlar?

– He?

– Kevlar.

Kamizelki.

– Kamizelki kuloodporne?

– spytał Dusty.

– Macie je?

– Nie.

– Chcecie?

– Masz kamizelki kuloodporne?

– zdumiała się Martie.

– Jasne.

– Były ci kiedyś potrzebne?

– spytał Skeet.

– Jeszcze nie.

Martie potrząsnęła głową.

– Zaraz zaproponujesz nam pozaziemski miotacz promieni śmierci.

– Nie mam – odparł Figa wyraźnie zawstydzony.

– Chyba zrezygnujemy z kamizelek – powiedział Dusty.

– Podczas odprawy na lotnisku mogliby zauważyć, jacy jesteśmy otyli.

– Może i tak – zgodził się Figa, biorąc jego słowa poważnie.

* * *

Na parterze doktor nie znalazł już nic ciekawego.

Chociaż interesował się sztuką i wystrojem wnętrza, nie zatrzymał się, by obejrzeć choćby jeden obraz, mebel, dzieło sztuki.

Zewnętrzny wygląd domu zmroził go.

W sypialni trafił na ślady pospiesznego wyjazdu.

Dwie szuflady bielizniarki były niedomknięte.

Drzwi szafy stały otworem.

Na podłodze poniewierał się sweter.

Przy bliższej inspekcji szafy dostrzegł dwie bliźniacze walizki na górnej półce.

Za nimi była pusta przestrzeń, gdzie zmieściłyby się dwie mniejsze torby.

W drugiej sypialni i łazience nie znalazł żadnych wskazówek, udał się więc do pokoju Martie.

Błękitnooka dziewczyna.

Bawi się w gry hobbitów.

Śmierć czeka w Mordorze.

Na wielkim biurku w kształcie litery U piętrzyły się książki, mapy wyimaginowanych krain, charakterystyki postaci i inne materiały związane z jej pracą nad „Władcą pierścieni”.

Ahriman poświęcił im więcej czasu niż potrzeba, ulegając fascynacji wszystkim, co dotyczyło gier.

Kiedy ślezczał nad komputerowymi projektami hobbitów, orków i innych stworzeń, przyszedł mu do głowy jeden powód, dla którego zdołał ułożyć lepsze haiku o Martie niż o Susan czy jakiegokolwiek innej kobiecie.

On i Martie dzielili entuzjazm dla gier.

Podobała jej się władza pana gry, podobnie jak jemu.

Przynajmniej ten jeden aspekt jej umysłu był mu bliski.

Zastanawiał się, czy z czasem mógłby odkryć inne cechy i pasje, które dzielili.

Kiedy wyjaśni się obecny pożałowania godny zamęt w ich wzajemnych stosunkach, jakże zabawnie będzie się przekonać, iż jest im pisana bardziej złożona wspólna przyszłość, niż kiedykolwiek przypuszczał, pozwalając, by rozpraszała go wyjątkowa uroda Susan i związki rodzinne Martie.

Słodki sentymentalista w Ahrimanie rozkoszował się myślą, że mógłby się zakochać lub przynajmniej coś w tym rodzaju.

Chociaż jego życie było pełne, a upodobania od dawna ustalone, nie miałby nic przeciwko romantycznym powikłaniom.

Przechodząc od blatu biurka do szuflad, czuł się mniej jak detektyw, a bardziej jak niegrzeczny kochanek wertujący pamiętnik swojej wybranki w poszukiwaniu najpilniej strzeżonych tajemnic jej serca.

W trzech bocznych szufladach nie znalazł nic, co mogłoby zainteresować detektywa bądź kochanka.

Za to w szerokiej, lecz płytkiej szufladzie środkowej, wśród linijek, ołówków, gumek do wycierania i tym podobnych przedmiotów natknął się na mikrokasetę, na której czerwonymi literami wypisane było imię SUSAN.

Poczuł się tak, jak mogłaby się czuć obdarzona wieszczymi zdolnościami Cyganka, wpatrując się w gąszcz herbacianych fusów na talerzu i odczytując szczególnie złowieszczy los z ich mokrych wzorów: nagły mróz przemienił oponę miękką jego kręgosłupa w membranę z lodu.

Przejrzał pozostałe szuflady biurka w poszukiwaniu magnetofonu przystosowanego do mikrokaset. Martie nie miała takiego.

Kiedy na skraju biurka zobaczył automatyczną sekretarkę, uświadomił sobie, co trzyma w ręku.

* * *

Wibrująca na wietrze aluminiowa markiza wydawała gardłowy warkot żywego stworzenia, jakby w ciemnościach nocy coś wygłodniałego czekało, aż Dusty otworzy drzwi przyczepy.

– Jeśli można wierzyć prognozom pogody, reszta tygodnia będzie paskudna – powiedział Fidge.

– Nawet nie próbuj zaczynać pracy u Sorensonów.

Po prostu opiekuj się Skeetem i Lokajem.

– Do kiedy?

– spytał Figa.

– Nie wiem.

To zależy, co tam znajdziemy.

Prawdopodobnie wrócimy pojutrze, w piątek.

A może w sobotę.

– Będziemy się dobrze bawić – obiecał Figa.

– Pogramy w karty – powiedział Skeet.

– I będziemy śledzić krótkie częstotliwości w poszukiwaniu kodów obcych – dodał Figa, co dla niego równało się długiej przemowie.

– Założę się, że posłuchamy radia – zawyrokował Skeet.

– Hej – Figa odwrócił się do Skeeta – chcesz wysadzić w powietrze gmach sądu?

Martie skrzywiła się.

– Żart – powiedział Figa, mrużąc sobie oczy.

– Kiepski – oświadczyła.

Kiedy Dusty i Martie schodzili po stopniach i przecinali mały ganek, chłostał ich wiatr, a w drodze do samochodu wielkie, uschnięte liście magnolii uciekały jak szczury spod ich stóp.

Z tyłu, z otwartych drzwi przyczepy, dobiegło ich przeszywające i poruszające skomlenie Lokaja, jakby psie przeczucie podpowiadało mu, że już nigdy ich nie zobaczy.

* * *

Wskaźnik automatycznej sekretarki pokazywał dwie nagrane wiadomości.

Doktor Ahriman postanowił najpierw wysłuchać ich, a dopiero potem przewinąć kasetę podpisaną SUSAN.

Pierwszy telefon był od matki Martie.

Bardzo chciała się dowiedzieć, co się dzieje i dlaczego jej poprzednie telefony pozostały bez odpowiedzi.

Drugi głos na taśmie należał do kobiety, która przedstawiła się jako kierowniczką działu rezerwacji linii lotniczych.

„Panie Rhodes, zapomniałam zapytać o datę ważności pańskiej karty kredytowej.

Jeśli odbierze pan tę wiadomość, czy zechciałby pan oddzwonić z tą informacją?”

Podawała numer.

„Jeśli pan nie zadzwoni, dwa bilety do Santa Fe będą czekały na pana rano”.

Doktor Ahriman zdumiał się, że tak szybko wpadli na ślad jego poczynań w Nowym Meksyku.

Martie i Dusty wydali mu się niesamowitymi przeciwnikami, dopóki nie uświadomił sobie, iż o Santa Fe musiał im powiedzieć Closterman.

Mimo to wolne i miarowe tętno doktora, które nawet w chwili, gdy zlecał morderstwo, rzadko podnosiło się bardziej niż o dziesięć uderzeń na minutę, przyspieszyło gwałtownie po odebraniu wiadomości o planach podróży państwa Rhodes.

Ahriman, świadomy własnego ciała i zawsze wyczulony na punkcie dobrego stanu zdrowia, znowu usiadł, wziął kilka głębokich wdechów, a potem spojrzął na zegarek, by zmierzyć sobie puls.

Zwykle, kiedy siedział, puls wahał się od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu dwóch uderzeń na minutę, ponieważ doktor utrzymywał znakomitą kondycję.

Teraz naliczył siedemdziesiąt, wzrost o całe osiem, i to bez martwej kobiety pod ręką, której można by to przypisać.

* * *

Kiedy Dusty wypatrywał hotelu w pobliżu lotniska, Martie zatelefonowała wreszcie do matki.

Sabrina odchodziła od zmysłów ze zdenerwowania.

Przez dobrych kilka minut nie chciała uwierzyć, że Martie nie jest ranna ani okaleczona, że nie padła ofiarą wypadku samochodowego, przypadkowego postrzału, pożaru, pioruna, niezadowolonego listonosza czy tej straszliwej, pożerającej tkanki bakterii, o której znów mówiło się w wiadomościach.

Martie słuchała tej tyrady przepelniona szczególną czułością, którą tylko jej matka potrafiła wzbudzić.

Sabrina kochała swoje jedyne dziecko bezgraniczną, szaloną miłością, która przemieniłaby Martie w nieuleczalną neurotyczkę w wieku jedenastu lat, gdyby nie była tak uparcie niezależna niemal od dnia, gdy postawiła pierwszy krok.

Ale na tym świecie istniały gorsze rzeczy niż szalona miłość.

Szalona nienawiść, mnóstwo szalonej nienawiści.

I pod dostatkiem zwykłego, czystego szaleństwa.

Sabrina kochała Uśmiechniętego Boba nie mniej niż córkę.

Jego śmierć w wieku zaledwie pięćdziesięciu trzech lat sprawiła, że stała się dla Martie jeszcze bardziej opiekuńcza niż dotąd.

Prawdopodobieństwo, iż zarówno jej mąż, jak i córka umrą młodo, z różnych przyczyn, mogło być tak niskie jak szansa, że przed świtem zniszczy Ziemię ogromna asteroida, ale zimna statystyka i tabele towarzystw ubezpieczeniowych nie przynosiły żadnej pociechy jej zranionemu i wylęknionemu sercu.

Dlatego Martie nie zamierzała powiedzieć matce o kontroli umysłu, o haiku, o Liściastym Człowieku, o księdzu z hakiem w głowie, obciętych uszach i podróży do Santa Fe.

Pod ciężarem tych niezwykłych wieści zdenerwowanie Sabriny przerodziłoby się w historię.

Nie zamierzała też mówić matce o Susan Jagger, po części dlatego, że nie była pewna, czy zdoła opowiedzieć o stracie przyjaciółki i nie załamać się, a po części również dlatego, że i Sabrina kochała Susan prawie jak córkę.

Te wieści musiała przekazać matce osobiście, trzymając ją za rękę, zarówno po to, by zapewnić jej emocjonalne wsparcie, jak i po to, by je uzyskać.

Aby wyjaśnić, dlaczego nie oddzwoniła do matki w zwykłym terminie, Martie opowiedziała jej o próbie samobójczej Skeeta i o dobrowolnym podjęciu przez niego kuracji w Klinice Nowego Życia.

Oczywiście, wszystko to wydarzyło się poprzedniego ranka, we wtorek, i nie tłumaczyło zachowania Martie w środę, ale przedstawiła tę historię tak, jakby Skeet skoczył z dachu Sorensonów jednego dnia, a dopiero następnego zgłosił się do kliniki, co sugerowało dwa dni zamieszania.

Reakcja Sabriny była tylko po części taka, jak oczekiwała Martie, i zaskakująco emocjonalna.

Nie знаła dobrze Skeeta i nigdy nie wyrażała ochoty, aby poznać go lepiej.

Zdaniem matki Martie biedny Skeet był nie mniej niebezpieczny niż uzbrojony w karabin maszynowy członek kolumbijskiego kartelu narkotykowego, zwyrodniały i pozbawiony sumienia osobnik, który czyha na dzieci na boisku szkolnym i siłą wstrzykuje im heroinę w żyły.

A teraz, nagle, szloch i łzy, trwożne pytania o jego stan, jego szansę, i znowu łzy.

– To jest właśnie to, czego się bałam, co dręczyło mnie przez cały czas – powiedziała Sabrina.

– Wiedziałam, że to nastąpi, musi nastąpić, a teraz stało się i następnym razem może nie skończyć się tak dobrze.

Następnym razem Dusty może spaść z dachu, skrócić sobie kark i zostać kaleką na całe życie albo umrzeć.

I co wtedy?

Zaklinałam cię, żebyś nie wychodziła za malarza pokojowego, żebyś znalazła sobie mężczyznę z większymi ambicjami, kogoś, kto będzie miał ładny gabinet, siedział przy biurku, kto nie będzie spadał z dachu przez cały czas, kto nawet nie będzie miał okazji, żeby spaść z dachu.

– Mamo...

– Żyłam z tym strachem przez całe życie z twoim ojcem.

Twój ojciec i ogień.

Zawsze ogień i płonące budynki, rzeczy, które wylatywały w powietrze i które mogły go przygnieść.

Przez wszystkie lata małżeństwa umierałam ze strachu, kiedy szedł do pracy, wpadałam w panikę, kiedy słyszałam syreny strażackie, nie mogłam oglądać dzienników w telewizji, bo ilekroć pokazywali jakiś wielki pożar, zawsze myślałam, że on tam jest.

I był ranny, wiele razy.

I może jego rak miał coś wspólnego z tym, że nałykał się tyle dymu przy pożarach.

Te wszystkie toksyny w powietrzu podczas wielkich pożarów.

A teraz ty masz męża z dachami, tak jak ja miałam męża z pożarami.

Dachy i drabiny, zawsze ktoś spada, a ty nigdy nie zaznasz spokoju.

Martie była wstrząśnięta tą rozdzierającą, płynącą z głębi serca przemową.

Na drugim końcu linii Sabrina płakała.

Wyczuwając najwidoczniej, że w stosunkach pomiędzy matką a córką nadeszła chwila o niezwykle znaczeniu, i podejrzewając, iż może mieć negatywne konsekwencje dla niego, Dusty odwrócił wzrok od ulicy przed sobą i szepnął: – Co teraz?

Wreszcie Martie powiedziała: – Mamo, nigdy wcześniej o tym nie mówiłaś.

Ty...

– Żona strażaka nie mówi o tym, nie narzeka i nie martwi się głośno – odparła Sabrina.

– Nigdy, nigdy, mój Boże, bo kiedy zaczynasz o tym mówić, to właśnie się dzieje.

Żona strażaka musi być silna, pogodna, musi go wspierać, dławić swój strach i uśmiechać się.

Ale to zawsze jest w jej sercu, ten strach, a potem ty poślubiasz człowieka, który przez cały czas wchodzi na drabiny, biega po dachach i spada, kiedy mogłaś znaleźć sobie kogoś, kto pracuje przy biurku i może spać najwyżej z krzesła.

– Tak się składa, że ja go kocham, mamo.

– Wiem, kochanie – zaszlochała Sabrina.

– To po prostu straszne.

– Czy właśnie dlatego zawsze byłaś przeciwko mnie, kiedy chodziło o Dusty’ego?

– Nie byłam przeciwko tobie, kochanie.

Byłam po twojej stronie.

– Czułam się tak, jakbyś była przeciwko mnie.

Mamo...

czy mam przez to rozumieć, że mogłabyś chociaż trochę, troszeczkę, chociaż odrobinę polubić Dusty’ego?

Dusty tak się zdumiał, słysząc to pytanie, że ręce ześliznęły mu się z kierownicy i saturn prawie zjechał ze swojego pasa.

– To miły chłopiec – przyznała wreszcie Sabrina, ale tak, jakby Martie nadal była w szkole średniej i umawiała się na randki z nastolatkami.

– Bardzo miły, mądry i dobry, i wiem, dlaczego go kochasz.

Ale któregoś dnia spadnie z dachu i zabije się, a to zrujnuje całe twoje życie.

Nigdy się z tym nie pogodzisz.

Twoje serce umrze wraz z nim.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego dawno temu, zamiast szydzić ze wszystkiego, co robi?

– Nie szydziłam, kochanie.

Próbowałam wyrazić swoją troskę.

Nie mogłam powiedzieć, że spadnie z dachu, nie wprost.

Nigdy, mój Boże, bo kiedy o tym mówisz, to właśnie się dzieje.

I proszę, mówimy o tym!

Teraz on spadnie z dachu i to będzie moja wina.

– Mamo, to niedorzeczne.

To się nie stanie.

– To już się stało.

A teraz stanie się znowu.

Strażacy i pożary.

Malarze i drabiny.

Trzymając telefon pomiędzy sobą a Dustym, tak aby matka mogła słyszeć ich oboje, Martie spytała:

– Ilu malarzy pokojowych znasz, ludzi, z którymi pracowałeś, i innych z branży, z którymi nie pracowałeś?

– Pięćdziesięciu?

Sześćdziesięciu?

Nie wiem.

Coś koło tego.

– A ilu z nich spadło z dachu?

– Poza mną i Skeetem?

– Poza tobą i Skeetem.

– Jeden, o którym wiem.

Złamał nogę.

Przykładając telefon do ucha, Martie powiedziała: – Słyszałaś, mammo?

Jeden.

Złamał nogę.

– Jeden, o którym wie – odparła Sabrina.

– A teraz on będzie następny.

– On już spadł z dachu.

Szansa, że jakiś malarz spadnie z dachu dwa razy w ciągu swojego życia, jest pewnie jedna na wiele milionów.

– Ten pierwszy raz się nie liczy – zaproponowała Sabrina.

– Próbował ocalić brata.

To nie był wypadek.

Wypadek dopiero się zdarzy.

– Mammo, bardzo cię kocham, ale chyba masz lekkiego bzika.

– Wiem, kochanie.

Te wszystkie lata strachu.

W końcu ty też dostaniesz lekkiego bzika.

– Przez kilka dni będziemy zajęci, mammo.

Nie nabaw się kamicy nerkowej, jeśli nie odpowiemy na któryś z twoich telefonów natychmiast, dobrze?

Nie zamierzamy spadać z żadnych dachów.

– Pozwól mi porozmawiać z Dustym.

Martie podała mu telefon.

Wyglądał na przestraszonego, ale przyjął go.

– Cześć, Sabrino...

Tak...

No cóż, sama wiesz...

Uhm.

Jasne...

Nie, nie będę...

Nie, nie będę.

Obiecuję, że nie będę.

Naprawdę...

Hę?...

Och, nie, nigdy nie traktowałem tego poważnie.

Nie zdręczaj się...

No cóż, ja też cię kocham, Sabrino...

Co?...

Jasne.

Mamo...

Ja też cię kocham, mamo.

Oddał telefon Martie, a ona nacisnęła „koniec”.

Przez chwilę oboje milczeli, a potem Martie powiedziała: – Kto by pomyślał, porozumienie matki i dziecka w samym środku tego całego gówna.

To zabawne, jak nadzieja podnosi swoją cudowną głowę w najmniej spodziewanym momencie, niczym kwiat na pustkowiu.

– Okłamałaś ją, kochanie – powiedział Dusty.

Wiedziała, że nie miał na myśli jej rekonstrukcji ram czasowych skoku i hospitalizacji Skeeta, ani tego, że nie wspomniała o Susan ani o wielu innych rzeczach.

Kiwając głową, odparła: – Tak, powiedziałam jej, że nie zamierzamy spadać z dachów, a każde z nas spadnie z dachu prędzej czy później.

– Chyba że zostaniemy pierwszymi, którzy będą żyć wiecznie.

– Jeśli tak, to powinniśmy pomyśleć trochę bardziej poważnie o naszym funduszu emerytalnym.

Martie bała się go stracić.

Podobnie jak matka, nie potrafiła się zmusić, by wyrazić swój lęk słowami, ażeby to, czego się boi, nie stało się rzeczywistością.

Nowy Meksyk był stanem, gdzie rozległe wyżyny spotykają się z Górami Skalistymi, dachem amerykańskiego Południowego Zachodu, a Santa Fe było miastem położonym na dużej wysokości, prawie dwa i pół kilometra nad poziomem morza: będzie z czego spadać.

* * *

Na mikrokasecie podpisanej SUSAN tylko jedna z pięciu wiadomości była ważna, ale słuchając jej, doktor poczuł, że jego serce znów zabiło szybciej.

Kolejna nieoznaczona karta.

Kiedy przewinął dwie wiadomości od matki Martie, które następowały po bombie Susan, skasował taśmę.

Potem wyjął kasetę z automatycznej sekretarki, cisnął ją na podłogę i przygniótł butem, aż pękła plastikowa obudowa.

Wydobył ze szczątków cienką taśmę magnetyczną i dwie maleńkie piasty, na których się obracała.

Bez trudu mieściły się w dłoni: tak ogromne niebezpieczeństwo skondensowane w tak mikroskopijnym przedmiocie.

Na dole, w salonie, otworzył szyber w przewodzie kominka.

Położył taśmę i dwie plastikowe piasty na ceramicznych polanach.

Z kieszeni marynarki wyjął płaską zapalniczkę firmy Cartier, elegancką i pięknie wykonaną.

Nosił zapalniczkę od czasu, gdy skończył jedenaście lat.

Pierwszą ukradł ojcu, a później nabył ten znacznie lepszy model.

Nie palił, ale zawsze istniała możliwość, że zechce coś podpalić.

Kiedy był w pierwszej klasie szkoły średniej, spalił swoją matkę.

Gdyby nie miał wówczas w kieszeni zapalniczki, jego życie mogłoby się zmienić nieodwracalnie na gorsze tamtego ponurego dnia trzydzieści pięć lat temu.

Chociaż jego matka powinna być na nartach – działo się to w ich zimowym domku w Vail podczas Bożego Narodzenia – nakryła go, gdy przygotowywał kota do wiwisekcji.

Właśnie uspił go, używając chloroformu wyprodukowanego z domowych środków czyszczących, za pomocą taśmy samoprzylepnej przytwierdził jego łapy do plastikowej tacy pełniącej funkcję stołu sekcyjnego, zakleił mu pysk taśmą, by stłumić jego wrzaski, kiedy się obudzi, i rozłożył zestaw narzędzi chirurgicznych kupionych od firmy, która udzielała rabatu przyszłym studentom medycyny.

I w tym momencie...

cześć, mamó.

Często nie widywał jej całymi miesiącami, kiedy była na planie filmowym lub wyjeżdżała na jedno z tych bezkrwawych safari, które tak uwielbiała, i nagle poczuła się winna, że zostawia go samego, aby pójść na narty z koleżankami, i postanowiła spędzić z nim popołudnie.

Co za fatalny brak wyczucia czasu.

Nie wątpił, że matka natychmiast zrozumiała, co stało się ze szczeniakiem jej kuzynki Heather w Dniu Dziękczynienia, i zapewne domyśliła się prawdy o zniknięciu czteroletniego syna zarządcy ich majątku w ubiegłym roku.

Jego matka była pochłoniętą sobą, typową trzydziestokilkuletnią aktorką, która oprawiała w ramki swoje zdjęcia wycięte z okładek magazynów i ozdabiała nimi sypialnię, ale z pewnością nie była głupia.

Młody Ahriman, który nawet w dzieciństwie potrafił szybko myśleć i działać, wyciągnął korek z butelki z chloroformem i chlusnął zawartością na jej fotogeniczną twarz.

To dało mu czas, by uwolnić kota, sprzątnąć tacę i narzędzia chirurgiczne, odkręcić gaz w kuchni, podpalić matkę, dopóki wciąż leżała nieprzytomna, chwycić kota i uciec.

Eksplozja wstrząsnęła Vail i odbiła się gromkim echem w ośnieżonych górach, powodując kilka lawin, zbyt małych, by przedstawiały jakąś wartość rozrywkową.

Dziesięciopokojowa chata z sekwojowego drewna rozsypała się w drzazgi i spłonęła na popiół.

Kiedy strażacy znaleźli młodego Ahrimana, który siedział na śniegu trzydzieści metrów od pogorzelska i tulił uratowanego z pożaru kota, chłopiec był w stanie takiego szoku, że z początku nie mógł mówić ani nawet płakać.

– Uratowałem kota – powiedział wreszcie zdławionym głosem, który prześladował ich jeszcze przez lata – ale nie zdołałem uratować mamy.

Nie zdołałem uratować mamy.

Później zidentyfikowano jego matkę po uzębieniu.

To, co z niej zostało, po kremacji nie wypełniło nawet połowy pamiątkowej urny.

(Wiedział; zajrzał do środka).

W jej pogrzebie wzięła udział cała hollywoodzka śmietanka, a w górze krążyła warta honorowa śmigłowców prasowych.

Żałował, że nie zobaczy już żadnych nowych filmów ze swoją matką, ponieważ była bardzo wybredna, jeśli chodzi o scenariusze, i zazwyczaj grała w dobrych filmach, ale nie – żałował samej matki, tak jak ona nie żałowała by jego, gdyby znalazł się na jej miejscu.

Kochała zwierzęta i gorliwie wspierała wszystkie inicjatywy na rzecz ich ochrony; dzieci nie budziły w niej tak głębokich uczuć jak czworonogi.

Na ekranie mogła poruszyć serce, pogrążyć je w rozpacz lub napełnić radością, ale ta umiejętność nie rozciągała się na prawdziwe życie.

Dwa straszliwe pożary w odstępnie piętnastu lat uczyniły z doktora sierotę (jeśli ktoś nie wiedział o zatrutych czekoladkach): pierwszy był nieszczęśliwym wypadkiem, za który producent kuchenek gazowych drogo zapłacił; drugi rozniecił pijany, oszalały z żądzy morderca Earl Yentnor, który dwa lata później zmarł w więzieniu, pchnięty nożem przez współwięźnia podczas bójki.

Teraz, gdy Ahriman obrócił kciukiem kółko staromodnej zapalniczki na kamienie i przytknął płomyk do taśmy w kominku, zadumał się nad faktem, iż ogień odegrał tak ogromną rolę zarówno w jego życiu, jak i w życiu Martie, skoro jej ojciec był najbardziej zasłużonym strażakiem w historii stanu.

Oto kolejna rzecz, która ich łączy.

, Smutne.

Po tych ostatnich wydarzeniach prawdopodobnie nie będzie mógł pozwolić, aby ich związek się rozwijał.

A tak cieszyła go możliwość, że pewnego dnia on i ta cudowna, kochająca gry kobieta staną się dla siebie kimś szczególnym.

Gdyby zdołał odnaleźć ją i jej męża, mógłby ich uaktywnić, zaprowadzić do kaplicy umysłu i ustalić, czego jeszcze zdołali się o nim dowiedzieć i komu zdążyli to powtórzyć.

Zapewne dałoby się naprawić szkodę, wznowić grę i rozegrać ją do końca.

Znał numer ich telefonu komórkowego, ale oni wiedzieli, że go zna, i w swoim obecnym, paranoicznym stanie prawdopodobnie by nie odebrali.

A poza tym przez telefon mógł uaktywnić tylko jedno z nich, ostrzegając w ten sposób drugie.

Zbyt ryzykowne.

Gdyby chciał ich odszukać, musiałby się zdać na czysty przypadek.

Uciekali, przerażeni i czujni, i na pewno pozostaną w ukryciu, dopóki rano nie wejdą na pokład samolotu do Nowego Meksyku.

Przechwycenie ich na lotnisku, przed odlotem, nie wchodziło w rachubę.

Nawet gdyby nie uciekli, nie mógłby ich uaktywnić i udzielić im instrukcji publicznie.

Kiedy znajdą się w Nowym Meksyku, to tak, jakby byli już martwi.

Gdy taśma zaczęła płonąć, wydzielając nieprzyjemny zapach, doktor odkręcił gaz w kominku.

Puff, i w ciągu dwóch minut z taśmy pozostał tylko lepki osad na powierzchni ceramicznego polana.

Doktor popadł w nastrój, którego najważniejszym składnikiem nie był smutek.

Cała zabawa ulotniła się z jego gry.

Włożył w nią tyle wysiłku, tyle strategii, lecz teraz wyglądało na to, że prawdopodobnie nie rozegra się na plażach Malibu, tak jak zaplanował.

Zapragnął spalić ten dom.

Nie powodowała nim jedynie złość czy niesmak z powodu wystroju wnętrza.

Musiałby spędzić większą część dnia, przeszukując to miejsce cal po calu, aby zyskać pewność, że mikrokaseta z oskarżeniami Susan była jedynym dowodem przeciwko niemu, jaki zdobyli Martie i Dusty.

Nie miał dnia do stracenia, a spalenie domu do fundamentów wydawało się najlepszym rozwiązaniem.

Oczywiście, nagrana na taśmie wiadomość nie wystarczyłaby, żeby go skazać czy nawet postawić w stan oskarżenia.

Ale doktor nigdy nie igrał z losem.

Nie mógł spalić domu sam, gdyż wiązało się to ze zbyt wielkim ryzykiem.

Ktoś mógł go zobaczyć i pewnego dnia zidentyfikować w sądzie.

Zakręcił gaz w kominku.

Gdy opuszczał dom, pogasił za sobą wszystkie światła.

Na kuchennym ganku wsunął zapasowy klucz pod wycieraczkę, aby następny gość mógł go tam znaleźć zgodnie z instrukcją.

Zanim wstanie dzień, spali dom, choć nie własnymi rękami.

Miał odpowiedniego, zaprogramowanego i łatwo osiągalnego przez telefon kandydata, który wykona dla niego to zlecenie i nawet nie będzie pamiętał, jak zapalał zapałkę.

Na dworze nadal wiał porywisty wiatr.

W drodze do samochodu, który zaparkował trzy przecznice dalej, doktor próbował ułożyć haiku o wietrze, ale bez powodzenia.

Przejeżdżając obok wiktoriańskiego dziwołagu państwa Rhodes, wyobrażał go sobie w płomieniach i szukał w głowie siedemnastosylabowego wiersza o ogniu, lecz słowa umykały mu.

Przypomniał sobie natomiast linijki, które skomponował na poczekaniu i tak zręcznie, gdy po wejściu do pokoju Martie zobaczył, czym się zajmowała.

Błękitnooka dziewczyna.

Bawi się w gry hobbitów.

Śmierć czeka w Mordorze.

Przerezagował wiersz w taki sposób, by odzwierciedlał ostatnie wydarzenia.

Błękitnooka dziewczyna.

Bawi się w detektywa.

Śmierć w Santa Fe.

Rozdział 63.

Większy niż pomieszczenia w San Quentin, różniący się od nich wystrojem, kolorowy i nadmiernie wzorzysty pokój hotelowy nasuwał mimo to skojarzenia z celą więzienną.

W łazience wanna przypominała Martie o Susan leżącej nieruchomo w karmazynowej wodzie, choć Dusty oszczędził jej widoku zmarłej przyjaciółki.

Wszystkie okna były zamknięte na stałe, a włączane do środka ciepłe powietrze, nawet gdy ustawili termostat w najniższym możliwym położeniu, dusiło.

Martie czuła się osaczona, przyparta do muru.

Autofobia, która od dziewiątej dusiła się na bardzo wolnym ogniu, zdawała się odradzać pod postacią ostrej klaustrofobii.

Działanie.

Działanie kształtowane przez zdrowy rozsądek i perspektywę moralną jest odpowiedzią na większość problemów.

To podstawowa zasada filozofii Uśmiechniętego Boba.

Oni też podejmowali działania, chociaż dopiero czas miał pokazać, czy kształtował je rozsądek.

Najpierw przejrzeni papiery Roya Clostermana na temat Marka Ahrimana, zwracając szczególną uwagę na informacje dotyczące tragedii w domu państwa Pastore i przedszkola w Nowym Meksyku.

Z kserokopii artykułów prasowych wybrali nazwiska i sporządzili listę osób, które ucierpiały i które mogły dostarczyć zarówno wskazówek, jak i obciążających zeznań.

Kiedy skończyli z teczką Clostermana, Dusty posłużył się nazwiskiem „Raymond Shaw” i haiku o liściach, by uzyskać dostęp do podświadomości Martie i zaprowadzić ją do kaplicy umysłu – chociaż najpierw złożył uroczyste przyrzeczenie, że nie zmieni niczego w jej psychice, pozostawi wszystkie jej wady nietknięte, co wydało jej się zabawne i wzruszające zarazem.

Podobnie jak w przypadku Skeeta, poinstruował ją dokładnie, aby zapomniała o wszystkim, co kiedykolwiek powiedział jej Raymond Shaw, wyrzuciła z umysłu wszystkie obrazy, które umieścił tam Shaw, uwolniła się od programu kontrolnego, który zainstalował w niej Shaw, i raz na zawsze uwolniła się od autofobii.

Na poziomie świadomości nie słyszała nic z tego, co powiedział, a później nie pamiętała niczego, co wydarzyło się od chwili, gdy wymówił aktywujące nazwisko, dopóki nie pstryknął palcami...

...

i w tym momencie obudziła się i poczuła się tak wolna i czysta, jak nie czuła się od prawie dwóch dni.

Jej stara przyjaciółka, nadzieja, znów do niej powróciła.

Kiedy przeprowadzili próbę, nie zareagowała na nazwisko Raymond Shaw.

Następnie Martie uwolniła Dusty’ego, uaktywniając go nazwiskiem Yiola Narvilly i haiku o czapli.

Pstryknęła palcami i wrócił do niej.

Spojrzała w jego piękne oczy, z których zniknął już nieobecny wyraz, i zrozumiała, jak straszny ciężar odpowiedzialności przytłaczał go, kiedy uaktywniał, a potem instruował Skeeta.

To było przerażające, widzieć, jak mąż stoi przed nią całkowicie bezbronny, i móc kształtować najgłębsze zakamarki jego umysłu zgodnie ze swoją wolą; przerażające i upokarzające, odsłonić przed nim samą swoją istotę, być tak obnażoną i bezradną, bez żadnej obrony poza absolutnym zaufaniem.

Kiedy przeprowadzili próbę, nie był już podatny na kontrolę.

– Jesteśmy wolni – powiedział.
– Nawet lepiej – odparła.
– Od tej pory, kiedy każę ci wynieść śmieci, posłuchasz natychmiast.
Jego śmiech był niewspółmierny do dowcipu.
Potem Martie uroczyście wrzuciła valium do sedesu i spuściła wodę.

* * *

Kiedy wczesnym wieczorem doktor wyjeżdżał z domu w doskonałym humorze, wziął wiśniowoczerwone ferrari testarossa, lecz ten szybki i zwinny jak jaszczurka samochód nie pasował do jego obecnego nastroju.

Mercedes też nie byłby dobrym pojazdem: zbyt okazały i majestatyczny dla człowieka w jego stanie ducha.

W kolekcji wozów doktora znajdował się jeden, który odpowiadałby mu znacznie bardziej, a mianowicie czarny buick riviera rocznik 1963 ze składanym dachem, chromowaną kratą chłodnicy, eliptycznymi wgłębieniami na masce, profilowanym tylnym zderzakiem i innymi dodatkami, który wyglądał jak demoniczny samochód z filmów grozy.

Ahriman zatrzymał się przy sklepie całodobowym, aby zadzwonić, ponieważ nie chciał korzystać z telefonu komórkowego ani telefonować z domu.

Ten świat w nowym wspaniałym tysiącleciu był jednym wielkim konfesjonałem, a ukryci za elektronicznymi zasłonami księża świeckiego kościoła monitorowali każdą rozmowę.

Doktor raz w miesiącu sprawdzał swój dom, gabinety i samochody, szukając urządzeń podsłuchowych.

Wykonywał tę pracę sam, za pomocą sprzętu kupionego za gotówkę, ponieważ nie ufał żadnej z prywatnych firm, które oferowały tego rodzaju usługi.

Telefon jednak mógł być monitorowany na odległość i dlatego obciążające rozmowy musiał przeprowadzać z telefonów niezarejestrowanych na jego nazwisko.

Automat telefoniczny wisiał na ścianie przed sklepem.

Wiatr zagłuszyłby każdy mikrofon kierunkowy, gdyby jakiś obserwator jeździł za doktorem, chociaż był przekonany, że nikt go nie śledzi.

Jeśli z telefonu korzystali handlarze narkotyków, istniała możliwość, iż bierne urządzenie podsłuchowe rejestruje wszystkie rozmowy, a w takim wypadku analiza głosu mogłaby obciążyć doktora przed sądem; było to jednak mniejsze i nieuniknione ryzyko.

Chociaż mógł liczyć na to, że przyjaciele na wysokich stanowiskach zapewnią mu ochronę przed dochodzeniem praktycznie w każdej sprawie, starał się zachowywać ostrożność.

Nie miał pewności, czy nie śledzą go właśnie owi przyjaciele, i dlatego raz w miesiącu przeszukiwał dom i bardziej dbał o to, aby nie dowiedzieli się o jego prywatnych grach, niż wystrzegał się policji.

Sam bez wahania sprzedałby przyjaciela, gdyby taka sprzedaż mu się opłacała, i zakładał, że każdy przyjaciel zrobiłby to samo jemu.

Wybrał numer, wrzucił do automatu kilka monet, osłonił mikrofon dłonią, aby zagłuszyć wycie wiatru, a kiedy po trzecim sygnale uzyskał połączenie, powiedział: – Ed Mavole.

– Słucham.

Razem odmówili litanię warunkującego haiku, a potem doktor polecił: – Powiedz mi, czy jesteś sam.

– Jestem sam.

– Chcę, żebyś udał się do domu Dusty’ego i Martie Rhodesów w Corona Del Mar.

– Spojrzał na zegarek.

Prawie północ.

– Chcę, żebyś poszedł do ich domu o trzeciej nad ranem, za trochę więcej niż trzy godziny.

Powiedz mi, czy rozumiesz.

– Rozumiem.

– Wezmiesz ze sobą pięć litrów benzyny i pudełko zapalek.

– Tak.

– Bądź ostrożny, proszę.

Postaraj się, żeby cię nie widziano.

– Tak.

– Wejdiesz kuchennymi drzwiami.

Pod wycieraczką zostawiłem dla ciebie klucz.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Przekonany, iż jego obiekt nie dysponuje odpowiednią wiedzą techniczną, by dokonać skutecznego podpalenia, i chcąc mieć pewność, że dom zostanie całkowicie zniszczony, doktor osłonił się przed wiatrem i poświęcił całe pięć minut na wyjaśnienia, jak najlepiej wykorzystać benzynę oraz inne znajdujące się w domu łatwopalne płyny i materiały, a następnie oświetlił słuchacza, w których miejscach podłożyć ogień.

* * *

Mimo niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli, a może właśnie dlatego, mimo przepelniającego ich smutku, a może właśnie dlatego, Martie i Dusty kochali się.

Ich powolny, spokojny akt był w takim samym stopniu afirmacją, jak seksem: afirmacją życia, ich wzajemnej miłości oraz ich wiary w przyszłość.

Przez te słodkie minuty nie dręczył ich żaden strach, żadne demony umysłu ani demony świata, a pokój hotelowy nie wydawał się już mały i przytłaczający.

Nie istniała żadna granica pomiędzy faktem a fikcją, pomiędzy rzeczywistością a fantazją, ponieważ rzeczywistość została zredukowana do ich ciała i czułości, którą się dzielili.

W domu, w gabinecie wykładanym sykomorowym drewnem, doktor Ahriman usiadł na ergonomicznym krześle, dotknął jednego z przycisków umieszczonych na wysuwanej blacie do pisania i patrzył, jak z wnętrza biurka wyłania się komputer.

Mechanizm podnośnika pomrukiwał cicho.

Ułożył wiadomość, uprzedzając o planach podróży Martine i Dustina Rhodesów, załączył szczegółowe informacje i poprosił, aby wyświadczono mu uprzejmość i roztoczono nad nimi nadzór, gdy tylko wylądują w Nowym Meksyku.

Jeśli ich dochodzenie okaże się bezowocne, należy pozwolić im wrócić do Kalifornii.

Jeśli uzyskają jakieś informacje niebezpieczne dla doktora, wolałby, żeby zostali zabici w Zaczarowanym Kraju, jak nazywali go mieszkańcy, co oszczędziłoby mu kłopotu z pozbyciem się ich, kiedy wrócą do Złotego Stanu.

Gdyby zaszła konieczność dokonania zabójstwa w Nowym Meksyku, należy ich najpierw skłonić, by ujawnili miejsce pobytu brata pana Rhodesa, Holdena Caulfielda.

Gdy Ahriman czytał wiadomość, sprawdzając, czy jest wystarczająco jasna, nie spodziewał się, by miał jeszcze zobaczyć Dusty'ego lub Martie żywych, a mimo to nie tracił całkowicie nadziei.

Jak na razie okazali się zdumiewająco zaradni, był jednak przekonany, że pomysłowość zwykłego malarza pokojowego i projektantki gier wideo musi mieć swoje granice.

Jeśli ich mała zabawa w detektywów nie powiedzie się, prawdopodobnie wrócą do Kalifornii, a wówczas bez problemu zaaranżuje spotkanie z nimi.

Uaktywni ich, przesłucha, aby ustalić, czego się o nim dowiedzieli, i uzdrowi, usuwając wszystkie wspomnienia, które mogłyby wpłynąć negatywnie na ich posłuszeństwo lub umniejszyć zaprogramowany podziw dla niego.

Gdyby udało mu się to zrobić, gra zostałaby uratowana.

Mógłby poprosić przyjaciół w Nowym Meksyku, aby ich porwali i zmusili, każde z osobna, do rozmowy z nim przez telefon, co pozwoliłoby mu uaktywnić ich, przesłuchać i uzdrowić na odległość.

Niestety, w takim wypadku jego przyjaciele zostaliby wtajemniczeni w jego prywatną grę, a on nie chciał, aby dowiedzieli się czegokolwiek o jego strategiach, motywach i osobistych przyjemnościach.

Jak dotąd jego stosunki z bractwem władców marionetek w Nowym Meksyku układały się znakomicie, ku obopólnej korzyści.

Dwadzieścia lat temu doktor Ahriman opracował formułę skutecznej mieszanki środków farmakologicznych, pod wpływem których umysł stawał się podatny na programowanie, i od tamtej pory nieustannie ją udoskonalał.

Napisał również podręcznik o technikach programowania, z którego inni korzystali po dziś dzień.

Kilku mężczyzn – i dwie kobiety – potrafiło dokonywać tych cudów, ale nikt nie mógł równać się z doktorem.

Był mistrzem nad mistrzami i kiedy inni mieli do wykonania jakieś szczególne trudne lub delikatne zadanie, zwracali się do niego.

Nigdy im nie odmawiał i nie kazał sobie płacić; otrzymywał jednak pełny zwrot kosztów podróży, hojne diety i niewielki, lecz starannie wybrany upominek (samochodowe rękawiczki z jagnięcej skóry, spinki do mankietów z lapislazuli, krawat malowany ręcznie przez niezwykle utalentowane dzieci z tybetańskiego sierocińca dla głuchoniemych) na każde Boże Narodzenie.

Trzy, cztery razy w roku, na ich prośbę, leciał pod fałszywym nazwiskiem, zawsze innym, do Albany lub do Little Rock, do Hialeah, Des Moines lub Falls Church, miejsc, których inaczej prawdopodobnie nigdy by nie zobaczył, ubrany tak, by nie zwracać na siebie uwagi tamtejszych mieszkańców.

Tam, z zespołem współpracowników, przeprowadzał sesje programujące – zwykle na jednym lub dwóch obiektach – przez trzy do pięciu dni, po czym wracał do domu, na ciepłe wybrzeże Pacyfiku.

To dzięki temu Ahriman był jedynym członkiem bractwa, któremu nadzorcy pozwalali wykorzystywać swoje zdolności do prywatnych celów.

Jeden z biorących udział w projekcie psychologów – młody Amerykanin niemieckiego pochodzenia, który nosił kozią bródkę i nazwisko Fugger – próbował zawłaszczyć ten przywilej dla siebie, ale nadużycie wyszło na jaw.

W obecności innych programistów Fugger został poćwiartowany i wrzucony po kawałku do stawu pełnego krokodyli.

Ponieważ zakaz prywatnej działalności nie obejmował Ahrimana, nie otrzymał zaproszenia

i dowiedział się o tej akcji dyscyplinarnej dopiero po fakcie.

Niewiele było w jego życiu rzeczy, na które mógłby się skarżyć, ale gorzko żałował, że nie uczestniczył w pożegnalnym przyjęciu Fuggera.

Teraz w wykładanym drewnem sykomorowym gabinecie doktor dodał dwie linijki do swojej wiadomości, by poinformować, że aktor został zaprogramowany zgodnie z poleceniem i że niebawem prezydencki nos stanie się przedmiotem żywego zainteresowania środków masowego przekazu, uczonych ekspertów, jak również kilku wybitnych chirurgów plastycznych.

Zespół dociekliwych śledczych, spuszczonej ze smyczy przez Biały Dom i badających obecnie pewne aspekty działalności niektórych urzędników Departamentu Handlu, zostanie niewątpliwie wzięty w cugle w ciągu dwudziestu czterech godzin po zamachu na prezydencki organ powonienia i rząd na powrót będzie mógł zająć się sprawami kraju.

Doktor, który sam był zręcznym politykiem, dodał kilka wiadomości osobistych: życzenia urodzinowe dla jednego z programistów; pytanie o zdrowie najstarszego dziecka dyrektora projektu; serdeczne gratulacje dla członka personelu pomocniczego, którego dziewczyna przyjęła oświadczyzny.

Wysłał dokument do instytutu w Santa Fe przez email, używając programu kodującego niedostępnego dla zwykłych użytkowników, który został opracowany do wyłącznego użytku bractwa i personelu pomocniczego.

Co za dzień.

Takie wzloty, takie upadki.

Aby poprawić sobie nastrój i wynagrodzić się za spokój i skupienie okazane w obliczu przeciwności, doktor udał się do kuchni i przyrządził wielką porcję wody sodowej z lodami.

Wziął również pełną tacę mediolańskich ciasteczek, za którymi przepadała także jego matka.

* * *

Duchy wiatru spadały z wyciem z nieba, jęki syren przeszywały powietrze, drzewa miotły się w udreće, wystrzępione wstęgi pomarańczowych iskier wplatały się w warkocze palm i indyjskich wawrzynów: Święto Zmarłych lub dzień powszedni w piekle.

Kiedy wyleciały szyby na pierwszym piętrze, kawałki szkła zamigotały odblaskiem płomieni i zadzwoniły na dachu frontowego ganku niczym niemelodyjny fortepianowy pasaż w symfonii zniszczenia.

Wozy strażackie i karetki pogotowia zablokowały wąską uliczkę, lampy sygnałowe i reflektory obracały się i rzucały snopy światła, krótkofalówki rozbrzmiewały głosami dyspozytorów, które trzeszczały jak płomienie.

Całe kolonie węży wiły się serpentynami na chodniku w rytm pulsowania pomp.

Do czasu, kiedy przybyła pierwsza ekipa strażaków, dom państwa Rhodes płonął już jak pochodnia, a ponieważ domy w tej dzielnicy stały bardzo blisko siebie, strażacy zaczęli najpierw polewać wodą sąsiednie dachy i okoliczne drzewa, aby ogień nie przerzucił się z budynku na budynek.

Kiedy udało się zapobiec tej katastrofie, działko wodne największej cysterny skierowało się na wiktoriańską rezydencję.

Dom z filigranową werandą połyskiwał w girlandach ognia, ale pod zasłoną płomieni frontowa ściana przechyliła się, dach osiadł.

Wszystkie węże były już na miejscu, ale nienasycony ogień zdawał się rozkoszować wodą, wsysać ją.

Kiedy większy fragment głównego dachu zapadł się w ognistą czeluść, z ust grupki zebranych po drugiej stronie ulicy sąsiadów wyrwał się okrzyk przerażenia.

Wielkie kłęby czarnego dymu wzbity się w górę i, spłoszone przez wiatr, pogalopowały na zachód jak stado upiornych koni.

Ktoś niósł Martie przez szalejący ogień; silne ramiona, które ją otaczały, należały do jej ojca, Uśmiechniętego Boba Woodhouse'a.

Miał na sobie kombinezon roboczy: hełm z odznaką i numerem jednostki, impregnowaną kurtkę z odblaskowymi paskami, ognioodporne rękawice.

Jego strażackie buty chrzęściły na dymiących szczątkach.

– Ale, tato, ty nie żyjesz – powiedziała Martie, a Uśmiechnięty Bob odparł: – No cóż, jestem i nie jestem, panno M., ale nawet gdybym był martwy, to myślisz, że nie przyszedłbym po ciebie?

Otaczały ich płomienie, czasem migotliwe i przejrzyste, a czasem nieprzeniknione jak kamień, jakby nie było to po prostu miejsce pożerane przez ogień, lecz miejsce zbudowane z ognia, Partenon boga ognia – masywne kolumny i nadproża z ognia, mozaikowe posadzki o skomplikowanych płomienistych wzorach, sklepienia, komnaty wypełnione wieczną pożogą, przez które przechodzili w poszukiwaniu wyjścia, lecz to wyjście zdawało się nie istnieć.

Mimo to Martie czuła się bezpieczna w ramionach ojca, przywarła do niego, objąwszy go lewą ręką za szyję, pewna, że wyniesie ją stąd prędzej czy później – dopóki, oglądając się za siebie, nie zobaczyła ich prześladowcy.

Za nimi szedł Liściasty Człowiek, a chociaż jego ciało płonęło, ogień karmił się nim, lecz go nie pożerał.

Jeżeli już, to zdawał się rosnąć i urastać w siłę, ponieważ ogień nie był jego wrogiem, był źródłem jego siły.

Kiedy się zbliżył, strząsając z siebie płonące liście i welony popiołu, wyciągnął ręce po Uśmiechniętego Boba i po jego córkę, zaciskając szponiaste palce na wysokości jej twarzy.

Zaczęła drzeć i szlochać ze strachu.

Był coraz bliżej i bliżej, ciemne oczodoły i głodna czarna paszcza, wystrzępione wargi i zęby z ognia, bliżej, bliżej, aż usłyszała jesienny głos Liściastego Człowieka, zimny i kłujący jak pole ostu w październikową noc pełni księżyca: – Chcę skosztować.

Chcę skosztować twoich łez...

Obudziła się raptownie, przytomna i czujna; jej twarz była tak gorąca, jakby nadal otaczał ją ogień, i poczuła słaby zapach dymu.

Zostawili światło w łazience i uchylone drzwi, aby przyprawiający o klaustrofobię pokój hotelowy nie był pogrążony w całkowitych ciemnościach.

Martie widziała dostatecznie wyraźnie, by wiedzieć, że powietrze jest czyste, bez mgielki dymu.

Słaby zapach nadal ją jednak otaczał i zaczęła się bać, że hotel płonie, a zapach – jeśli nie sam dym – sączy się przez drzwi z korytarza.

Dusty spał i już miała go obudzić, gdy zdała sobie sprawę, że w mroku, na samym skraju bladej smugi światła padającej z łazienki, ktoś stoi.

Martie nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale natychmiast rozpoznała charakterystyczny kształt strażackiego hełmu.

I odblaskowe paski na impregnowanej kurtce.

Gra cieni.

Na pewno.

Ale...

nie.

To nie było tylko złudzenie.

Była pewna, że nie śpi, jeśli w ogóle mogła być czegokolwiek pewna w swoim życiu.

A jednak stał tam, zaledwie kilka metrów od niej, jakby przed chwilą wyniósł ją z koszmaru kipiącego ognia.

Świat marzeń sennych i świat, w którym istniał ten pokój hotelowy, wydały się jej nagle równie realne, jakby stanowiły dwie części tej samej rzeczywistości oddzielone od siebie welonem cieńszym niż zasłona snu.

Oto była prawda, czysta i przesywająca, jaką rzadko ma się okazję oglądać, i Martie wpatrywała się w mrok z zapartym tchem, sparaliżowana tą świadomością.

Chciała do niego podejść, ale powstrzymało ją osobliwe poczucie przyzwoitości, wrodzone zrozumienie, że tamten świat należy do niego, a ten do niej, że to czasowe przeniknięcie się dwóch światów jest stanem nietrwałym, łaską, której nie wolno jej nadużyć.

Stojący w cieniu strażak – a także strażnik – skinął głową, aprobując jej decyzję.

Wydawało się jej, że zobaczyła błysk zębów w półksiężycu znajomego i kochanego uśmiechu.

Wróciła do łóżka, oparła głowę na dwóch poduszkach i naciągnęła kołdrę pod brodę.

Jej twarz nie była już gorąca, a zapach dymu zniknął.

Zegar na nocnej szafce wskazywał trzecią 35.

Wątpiła, by udało się jej jeszcze zasnąć.

Spojrzała z niedowierzaniem w stronę tamtego szczególnego cienia, a on nadal tam stał.

Uśmiechnęła się, skinęła głową i zamknęła oczy, a gdy w chwilę później usłyszała charakterystyczne skrzypienie gumowych butów strażackich i chrzęst impregnowanej kurtki, nie otworzyła ich.

Nie otworzyła ich także, kiedy poczuła na czole dotyk azbestowej rękawicy ani kiedy pogłaskał jej włosy na poduszce.

Choć Martie spodziewała się, że przez resztę nocy nie zmruży oka, zapadła w niezwykle spokojny sen i ocknęła się dopiero godzinę później, w ciszy przedświt, zaledwie kilka minut przed tym, nim zadzwoniła hotelowa telefonistka, u której zamówili budzenie.

Nie czuła już nawet najslabszego zapachu dymu, a w atlasowym cieniu nikt nie stał.

Znów żyła w jednym świecie, własnym świecie, tak dobrze znanym, groźnym, a mimo to pełnym nadziei.

Nie potrafiłaby udowodnić nikomu, co tej nocy wydarzyło się naprawdę, a co nie, ale dla niej prawda była oczywista.

Kiedy telefon przy łóżku zadzwonił, wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy Uśmiechniętego Boba w swoim świecie, ale zastanawiała się, jak szybko zobaczy go w jego świecie – za pięćdziesiąt lat czy może już jutro.

Rozdział 64.

Zimą na pustyni rzadko jest ciepło; tego czwartkowego poranka na lotnisku miejskim w Santa Fe Martie i Dusty wysiedli z samolotu w chłodnym, suchym powietrzu, na jałowej ziemi bezwietrznej jak powierzchnia Księżyca.

Obie sztuki bagażu wnieśli na pokład, kiedy torba z wozem strażackim przeszła przez kontrolę przy bramce w hrabstwie Orange, teraz więc mogli udać się prosto do agencji wynajmu samochodów.

Wsiadając do dwudrzwiowego forda, Martie włączyła odświeżacz powietrza, lecz cytrynowa woń nie zabiła całkowicie gryzącego zapachu dymu papierosowego.

Na drodze, gdy Dusty jechał w kierunku miasta, Martie odkręciła mosiężne śrubki mocujące karoserię ciężarówki do podwozia.

Wyciągnęła filcową torbę i wyjęła z niej colta.

– Chcesz go mieć przy sobie?

– spytała Dusty'ego.

– Nie, ty go weź.

Dusty zamówił udoskonaloną wersję colta commandera, produkowaną przez firmę Springfield, z licznymi dodatkowymi częściami.

Wyposażony w ukośny magazynek, gwintowaną lufę, nisko umieszczony i rozszerzony wylot niezawodnego wyrzutnika łusek, obniżony celownik i ustępujący pod lekkim naciskiem spust typu A1, pistolet był lekki, zgrabny i łatwy w obsłudze.

Schowała broń do torebki.

Nie było to idealne miejsce, ponieważ w razie potrzeby nie mogłaby jej szybko wyciągnąć.

Dusty myślał o kaburach, wyłącznie do użytku na strzelnicy, ale nie zdążył ich jeszcze kupić.

Martie miała na sobie dżinsy, granatowy sweter i błękitny tweedowy żakiet, mogła więc wsunąć pistolet za pasek, na brzuchu lub na plecach, i ukryć go pod swetrem.

W obu wypadkach znajdowałby się jednak za wysoko, w grę wchodziła więc tylko torebka.

– W świetle prawa jesteśmy teraz przestępcami – powiedziała, pozostawiając środkową kieszeń torebki otwartą, by zapewnić sobie lepszy dostęp do pistoletu.

– Byliśmy przestępcami już w momencie, gdy weszliśmy na pokład samolotu.

– Tak, ale teraz jesteśmy przestępcami również w Nowym Meksyku.

– Jakie to uczucie?

– Czy William Bonney nie pochodził przypadkiem z Santa Fe?

– spytała.

– Billy Kid?

Nie wiem.

– W każdym razie z Nowego Meksyku.

Jeśli o mnie chodzi, wcale nie czuję się jak Billy Kid.

Chyba że on też bał się przez cały czas, czy ze strachu nie zsika się w spodnie.

Zatrzymali się w centrum handlowym i kupili magnetofon z zapasem kaset i baterii.

Skorzystali z książki telefonicznej w pobliskiej budce, by sprawdzić krótką listę nazwisk wypisanych z artykułów z teczki Roya Clostermana.

Niektórych nie było wśród abonentów; albo umarli, albo wyprowadzili się z miasta, a dorosłe teraz dziewczęta zapewne wyszły za mąż i zmieniły nazwiska.

Mimo to znaleźli adresy kilku osób z listy.

W samochodzie, jedząc tortillę kupioną w barze z przekąskami, Dusty studiował mapę otrzymaną w agencji wynajmu, a Martie włożyła baterie do magnetofonu i zagłębiła się w instrukcję obsługi.

Magnetofon okazał się kwintesencją prostoty i funkcjonalności.

Nie byli pewni, jakie dowody uda im się zebrać i czy znajdą cokolwiek na poparcie historii, którą zamierzali przedstawić kalifornijskiej policji, ale nie mieli nic do stracenia.

Bez zeznań innych, którzy ucierpieli z rąk Ahrimana, policja uzna zarzuty wysunięte przez Martie i Dusty'ego za bełkot paranoików i nie potraktuje ich poważnie, nawet jeśli dołączą taśmę z nagraniem wiadomością Susan.

Dwie okoliczności dodawały im otuchy.

Po pierwsze, dzięki temu, co odkrył Roy Closterman, wiedzieli, iż w Santa Fe są ludzie, którzy nienawidzą Ahrimana, podejrzewają go o poważne naruszenie etyki zawodowej i nie pogodzili się z faktem, że uniknął kary i wyjechał ze stanu z nieposzlakowaną reputacją i prawem do uprawiania zawodu.

Ci ludzie byli niewątpliwie ich potencjalnymi sojusznikami.

Po drugie, ponieważ Ahriman nie zdawał sobie sprawy, czego dowiedzieli się o jego przeszłości, i ponieważ z pewnością nie przypuszczał, że starczy im wytrwałości oraz inteligencji, by dotrzeć do korzeni jego wcześniejszych prób w dziedzinie prania mózgu, nie przyjdzie mu do głowy szukać ich w Santa Fe.

Co oznaczało, że przynajmniej przez dzień lub dwa, a może nawet dłużej, będą mogli działać bez zwracania na siebie uwagi tajemniczych ludzi, którzy obcięli ucho Brianowi.

Tutaj, w krainie przeszłości Ahrimana, mogą zebrać dość informacji, by przydać wiarygodności swojej historii, kiedy wreszcie zgłoszą się na policję w Kalifornii.

Nie.

„Mogą” to niedopuszczalne słowo.

„Mogą” to słowo przegranego.

„Muszą” to było słowo, którego chciała użyć, słowo ze słownika zwycięzców.

Muszą zebrać dość informacji, a ponieważ muszą, zrobią to.

Kiedy wyjeżdżali z centrum handlowego, Martie prowadziła, a Dusty spoglądał na mapę i udzielał jej wskazówek.

W tym wysoko położonym kraju niebo rozpościerało się nisko, a ziemia miała barwę gipsu.

Przeptywające leniwie chmury były też lodowate i zgodnie z radiową prognozą pogody przed końcem dnia należało spodziewać się opadów śniegu.

Zaledwie kilka przecznic za katedrą świętego Franciszka z Asyżu znajdowała się rezydencja otoczona ceglanym murem z podwyższonym łukiem, w którym była osadzona strzelista drewniana brama.

Martie zaparkowała przy krawężniku.

Udawali się z wizytą wyposażeni w magnetofon i ukryty pistolet, wnosząc do mistycznego Santa Fe trochę kalifornijskiego stylu.

Za bramą ristra czerwonego pieprzu spadały kaskadami z muru pod miedzianą latarnią z szybkami z czerwonej miki.

Ta barwna, jesienna dekoracja była częściowo zamarznięta, lecz kolorowa i połyskująca w miejscach, gdzie lód otulił strąki pieprzu.

Wokół rosy agawy i kantale, wysokie pinie rzucałyby głębokie cienie, gdyby świeciło słońce.

Jednopiętrowy dom uzasadniał roszczenia stanu do miana Zaczarowanej Krainy.

Solidny i zaokrąglony na krawędziach, same łagodne linie i ziemiste tony.

Głębokie wnęki drzwi i okien, prosty układ otworów.

Ganek, wspierany przez nadgryzione zębem czasu kolumny z pni jodłowych i rzeźbione kroksztyny pomalowane w błękitne, gwiazdziste wzory, podkreślał horyzontalność konstrukcji.

Osikowe latillas na suficie łączyły przestrzenie pomiędzy jodłowymi vigas, które wspierały dach.

Na zwieńczonych łukiem drzwiach frontowych były wyrzeźbione rozety, konchy i splecione girlandy.

Pośrodku wisiał za tylne łapy ręcznie kuty żelazny kojot kołatka.

Jego przednie łapy dotykały wielkiego, żelaznego clavo na drzwiach i kiedy Dusty zastukał, dźwięk rozszedł się po dziedzińcu w zimnym, nieruchomym powietrzu.

Trzydziestokilkuletnia kobieta, która odpowiedziała na pukanie, musiała mieć włoskich przodków, lecz inna gałąź jej rodziny bez wątpienia wyrosła ze szczepu Nawaho.

Piękna, z wysokimi kośćmi policzkowymi, oczami czarnymi jak pióra kruka i włosami jeszcze czarniejszymi niż włosy Martie, była najprawdziwszą księżniczką w białej bluzce z haftowanym kołnierzem, spłowiejącej drelichowej spódnicy, zrolowanych skarpetkach i białych mokasynach.

Dusty przedstawił siebie i Martie.

– Szukamy Chase’a Glysona.

– Jestem Zina Glyson – powiedziała kobieta – jego żona.

Mogę w czymś pomóc?

Dusty zawahał się, a Martie wyjaśniła: – Bardzo chcielibyśmy z nim porozmawiać o doktorze Ahrimanie.

Marku Ahrimanie.

Na spokojnej twarzy pani Glyson nie pojawił się najmniejszy wyraz napięcia, a jej głos pozostał uprzejmy, kiedy powiedziała: – Przychodźcie do mojego domu, wymawiając imię diabła.

Dlaczego miałabym z wami rozmawiać?

– Nie jest diabłem – odparła Martie.

– Raczej wampirem, a my chcemy wbić kołek w serce tego sukinsyna.

Bezpośrednie i badawcze spojrzenie pani Glyson było przeszywające jak u starca zasiadającego w radzie plemiennej.

Bez słowa cofnęła się i gestem zaprosiła ich z zimnego ganku do ciepłych pokoiów za grubymi ścianami z palonej cegły.

* * *

Zazwyczaj doktor nie nosił przy sobie broni, ale wobec tak wielu niewiadomych w sprawie Rhodesów uznał, iż przezorność wymaga, aby był uzbrojony.

Martie i Dusty nie stwarzali bezpośredniego zagrożenia, dopóki przebywali w Nowym Meksyku.

Nie będą też niebezpieczni, kiedy wrócą, chyba że nie zdoła podejść do nich dostatecznie blisko, by wypowiedzieć nazwiska, które aktywowały ich programy.

Skeet stanowił odrębny problem.

Jego dziurawy, przeżarty narkotykami umysł wydawał się niezdolny do przechowania istotnych

szczegółów programu kontrolnego bez okresowej aktualizacji.

Jeśli z jakichś powodów temu małemu ćpunowi przyjdzie do głupiej głowy pomysł, by śledzić Ahrimana, może nie zareagować natychmiast na hasło i zdążyć użyć noża, pistoletu lub innej broni, którą akurat będzie miał przy sobie.

Dwurzędowy, szary garnitur od Ermenegildo Zegna, który doktor postanowił włożyć, był nienagannie uszyty; niezależnie od surowych wymogów mody powinno istnieć prawo federalne zakazujące szpecenia kroju ubioru przez noszenie pod nim kabury.

Na szczęście przewidujący jak zawsze doktor zamówił kaburę z miękkiej skóry, która znajdowała się tak głęboko pod ramieniem i tak ściśle przylegała do ciała, że nawet mistrzowie krawieccy z Włoch nie zdołaliby wypatrzeć broni.

Brzydka wypukłość nie rzucała się w oczy również i dlatego, że bronią był zgrabny, w pełni automatyczny taurus millenium, wyposażony w przedłużoną kolbę.

Niewielki, lecz potężny.

Po pracowitej nocy doktor spał do późna, ale mógł sobie na to pozwolić, ponieważ nie spieszył się już na czwartkowe spotkanie z Susan Jagger.

Przed południem nie miał żadnych zobowiązań, odwiedził więc ulubiony antykwariat z zabawkami, gdzie kupił wyprodukowany przez Marksa zestaw Strzały w Dodge City w idealnym stanie za jedyne 3250 dolarów oraz ferrari Johnny'ego Błyskawicy za jedyne 115 dolarów.

Po sklepie krążyła para innych klientów, rozmawiając z właścicielem, i doktor Ahriman doskonale się bawił, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby nagle wyciągnął pistolet i bez powodu wpakował im po kuli w brzuchy.

Nie zrobił tego, rzecz jasna, ponieważ był zadowolony z zakupów i chciał, aby właściciel czuł się przy nim swobodnie, kiedy w przyszłości wróci do sklepu po inne skarby.

* * *

Kuchnię wypełniał zapach świeżo upieczonego kukurydzianego chleba, a z wielkiego rondla na piecu dolatywała silna woń duszonej wołowiny z chili.

Zina zatelefonowała do męża do pracy.

Prowadzili galerię przy Canyon Road.

Kiedy usłyszał, czego chcą od niego Martie i Dusty, przyjechał do domu w ciągu niecałych dziesięciu minut.

Czekając na niego, Zina postawiła przed gośćmi czerwone ceramiczne kubki napełnione mocną kawą mieloną z cynamonem i ciasteczka posypane na wierzchu prażonymi nasionami pinii.

Chase, wysoki i kościsty, ze zmierzwionymi włosami koloru słomy i przystojną twarzą ogorzałą od wiatru i słońca, nie wyglądał, jakby zarabiał na życie w galerii sztuki, lecz jako kowboj na pastwisku.

Był jednym z tych mężczyzn, którym konie ufają instynktownie, rzą cicho na ich widok i wyciągają szyje przez drzwi stajni, aby powąchać ich dłonie.

Kiedy usiadł z nimi przy kuchennym stole, zapytał głosem cichym, lecz napiętym: – Co Ahriman zrobił wam i waszym bliskim?

Martie opowiedziała o Susan.

O postępującej agorafobii, domniemanych gwałtach i nagłym samobójstwie.

– W jakiś sposób zmusił ją do tego – orzekł Chase Glyson.

– Jestem o tym przekonany.

Absolutnie przekonany.

Odbyliście taką drogę z powodu przyjaciółki?

– Tak.

Mojej najlepszej przyjaciółki.

– Martie nie widziała powodu, aby mówić coś więcej.

– Minęło ponad dziewiętnaście lat – powiedział Chase – od czasu, gdy zniszczył moją rodzinę, i ponad dziesięć, jak zabrał swoją parszywą dupę z Santa Fe.

Zacząłem już mieć nadzieję, że nie żyje.

A potem zdobył sławę dzięki swoim książkom.

– Ma pan coś przeciwko temu, że będziemy nagrywać to, co pan powie?

– spytał Dusty.

– Nie, absolutnie nic.

Ale to, co mam do powiedzenia...

Do diabła, opowiadałem to już chyba ze sto razy glinom, różnym prokuratorom okręgowym, aż zrobiłem się bardziej błękitny na twarzy niż błękitny kojot.

Nikt mnie nie słuchał.

No cóż, raz, kiedy po wysłuchaniu mnie jeden uznał, że mogę mówić prawdę, złożyli mu wizytę jacyś wysoko postawieni przyjaciele Ahrimana i wy tłumaczyli bardzo dokładnie, co powinien myśleć o mojej mamie i tacie.

Kiedy Martie i Dusty nagrywali opowieść Chase'a Glysona, Zina usadowiła się na taborecie przed sztalugą w pobliżu ceglanego kominka, by dokończyć ołówkowy szkic martwej natury ustawionej w rogu zniszczonego sosnowego stołu, przy którym siedzieli.

Pięć ceramicznych indiańskich naczyń o niezwykłych kształtach, w tym ślubny dzban z dwoma dziobkami.

Historia Chase'a była z grubsza taka sama jak w wycinkach z teczki Roya Clostermana.

Teresa i Carl Glysonowie przez wiele lat prowadzili znane przedszkole, Szkołę Małego Króliczka, dopóki oni oraz trzech pracownicy nie zostali oskarżeni o molestowanie dzieci obojga płci.

Jak w sprawie Ornwahlów w Laguna Beach wiele lat później, Ahriman przeprowadził dokładne wywiady z dziećmi, posługując się niekiedy regresją hipnotyczną, i odnalazł wzór wspomnień potwierdzających wysunięte oskarżenia.

– Cała ta historia była jednym wielkim łgarstwem, panie Rhodes – powiedział Chase Glyson.

– Moi rodzice byli najprzystwoitszymi ludźmi, jakich można spotkać.

Zina dodała: – Terri, matka Chase'a, prędzej obciąłaby sobie rękę, niż skrzywdziła dziecko.

– Ojciec też – powiedział Chase.

– Poza tym rzadko bywał w przedszkolu.

Tylko po to, żeby czasem coś naprawić, bo znał się na tym.

Przedszkole prowadziła matka.

Tata był współwłaścicielem firmy samochodowej i miał mnóstwo innych obowiązków.

Większość ludzi w mieście nie uwierzyła w ani jedno słowo z tej historii.

– Ale znaleźli się tacy, którzy uwierzyli – dodała Zina ponuro.

– Och – powiedział Chase – zawsze znajdą się tacy, którzy uwierzą we wszystko o wszystkich.

Szepniesz im na ucho, że skoro podczas Ostatniej Wieczerzy na stole stało wino, to Jezus musiał być

pijakiem, a skazą swoje dusze na wieczne potępienie, przekazując to dalej.

Większość ludzi uważała, że to nie może być prawda i bez konkretnych dowodów pewnie nawet nie doszłoby do procesu...

gdyby Valerie-Marie Padilla się nie zabiła.

– Jedna z wychowanek?

– upewniła się Martie.

– Pięcioletnia dziewczynka?

– Tak, proszę pani.

– Twarz Chase'a wydawała się tak ciemna, jakby lampę na suficie przesłoniły chmury.

– Zostawiła coś w rodzaju listu pożegnalnego, kolorowy rysunek, ten straszny rysunek, który zmienił wszystko.

Ona i mężczyzna.

– Anatomicznie poprawny.

– Gorzej, mężczyzna miał wąsy, jak mój tata.

Na rysunku nosił kowbojski kapelusz, biały z czerwoną wstążką i zatkniętym za nią czarnym piórem.

Taki kapelusz nosił zawsze mój tata.

Zina Glyson z furią wydarła kartkę ze szkicownika, zmięła ją w kulkę i wrzuciła do kominka.

– Ojciec Chase'a był moim ojcem chrzestnym i najlepszym przyjacielem mojego ojca.

Znałam Carla od dziecka.

Ten człowiek...

szanował ludzi, niezależnie od tego, kim byli, co robili i jakie mieli wady.

Szanował również dzieci, słuchał ich i troszczył się o nie.

Nigdy nie dotknął mnie w ten sposób i wiem, że nie dotknął Valerie-Marie.

Jeśli się zabiła, to z powodu tych wstrętnych, złych rzeczy, które Ahriman włożył jej do głowy, tych historii o wynaturzonym seksie, o składaniu ofiar ze zwierząt w przedszkolu i picciu ich krwi.

To dziecko miało pięć lat.

Jakie bagno robi się z umysłu małego dziecka, jak straszliwie kaleczy się jego psychikę, kiedy pyta siebie pod hipnozą o takie rzeczy, kiedy pomaga mu się przypomnieć sobie coś, co nigdy się nie zdarzyło?

– Spokojnie, Zee – powiedział jej mąż cicho.

– To było tak dawno.

– Nie dla mnie.

– Podeszła do pieca.

– Dla mnie to się nie skończy, dopóki on żyje.

– Wsunęła prawą rękę w rękawicę.

– I nie uwierzę w jego nekrolog.

– Wyciągnęła z pieca formę z upieczonym chlebem kukurydzianym.

– Będę musiała zobaczyć jego ciało i wsadzić mu palec w oko, żeby sprawdzić, czy reaguje.

Jeśli miała włoskich przodków, to na pewno Sycylijczyków, a jeśli w jej żyłach płynęła indiańska krew, to nie spokojnych Nawahów, ale Apaczów.

Była w niej niezwykła siła, zaciętość, i gdyby nadarzyła się jej sposobność, by zabić Ahrimana i nie zostać schwytaną, zapewne by z niej skorzystała.

Martie z miejsca ją polubiła.

– Miałem wtedy siedemnaście lat – podjął opowieść Chase.

– Bóg jeden wie, dlaczego mnie nie oskarżyli.

Jak się uratowałem?

Skoro pali się czarownice, dlaczego nie całą rodzinę?

Nawiązując do tego, o czym mówiła Zina, Dusty zadał najważniejsze pytanie: – Jeśli popełniła samobójstwo?

Co pani przez to rozumie?

– Powiedz mu, Chase – odparła Zina, odkładając kukurydziany chleb i podchodząc do rondla z chili.

– Zobaczymy, czy ich zdaniem małe dziecko zrobiłoby sobie coś takiego.

– Jej matka była w sąsiednim pokoju – powiedział Chase.

– Usłyszała wystrzał, pobiegła, znalazła Valerie-Marie kilka sekund po fakcie.

Nikogo więcej tam nie było.

Dziewczynka z całą pewnością zabiła się z pistoletu ojca.

– Musiała wyciągnąć pistolet z pudełka w szafie – wyjaśniła Zina.

– I drugie pudełko z nabojami.

Załadować pistolet.

Dziecko, które nigdy w życiu nie miało w ręku broni.

– Ale to jeszcze nie jest najgorsze – kontynuował Chase.

– Najgorsze...

– Zawahał się.

– To naprawdę straszne, pani Rhodes.

– Zaczynam się przyzwyczajać – zapewniła go Martie ponuro.

– Sposób, w jaki zabiła się Valerie-Marie...

– powiedział Chase.

– Gazety zacytowały Ahrimana, który nazwał to aktem nienawiści do siebie, wyparciem się własnej płciowości, próbą zniszczenia seksualnego aspektu własnej osoby, który doprowadził do tego, że była molestowana.

Widzi pani, ta mała dziewczynka, zanim pociągnęła za spust, rozebrała się, a potem włożyła lufę... tam...

Martie była na nogach, zanim uświadomiła sobie, że zamierza wstać z krzesła.

– Dobry Boże.

Musiała się ruszać, iść dokądś, zrobić coś, ale nie miała dokąd pójść, jak tylko – co odkryła, kiedy już się tam znalazła – do Ziny Glyson, którą objęła ramionami, tak jak objęłaby w takiej chwili Susan.

– Czy pani spotykała się wtedy z Chase'em?

– Tak – odparła Zina.

– I została pani z nim.

I wyszła za niego.

– Dzięki Bogu – mruknął Chase.

– Wyobrażam sobie, jak to musiało być – powiedziała Martie – po samobójstwie, bronić Carla przed innymi kobietami i spotykać się z jego synem.

Zina przyjęła uścisk Martie bardzo naturalnie.

– Nikt nie oskarżył Chase'a – powiedziała – ale oczywiście był podejrzany.

A ja...

ludzie uśmiechali się, ale trzymali swoje dzieci z daleka ode mnie.

Przez lata.

Martie zaprowadziła Zinę do stołu.

– Nie wiercie w cały ten psychologiczny bełkot o wyparciu się płciowości i zniszczeniu aspektu seksualnego – kontynuowała Zina.

– To, co zrobiła Valerie-Marie, nie przyszłoby do głowy żadnemu dziecku.

Żadnemu.

Ta dziewczynka zrobiła to, co zrobiła, ponieważ ktoś ją do tego zmusił.

Choć wydaje się to niemożliwe, choć brzmi to nedorzecznie, Ahriman pokazał jej, jak załadować broń, i Ahriman powiedział jej, co ma zrobić, a ona poszła do domu i zrobiła to, ponieważ była...

była, nie wiem, zahipnotyzowana czy coś w tym rodzaju.

– Nam się to nie wydaje niemożliwe ani nedorzecznie – zapewnił ją Dusty.

Miasto było wstrząśnięte śmiercią Valerie-Marie Padillo, a możliwość, że inne przedszkolaki mogą cierpieć na depresję samobójczą, wywołała masową histerię, którą Zina nazwała Rokiem Zarazy.

I właśnie podczas tej zarazy ława przysięgłych złożona z siedmiu kobiet i pięciu mężczyzn wydała jednogłośnie werdykt skazujący wszystkich pięcioro oskarżonych.

– Zapewne wiecie – powiedział Chase – że inni więźniowie uważają tych, którzy molestują dzieci, za najgorsze ścierwo.

Mój tata odsiedział zaledwie dziewiętnaście miesięcy, zanim został zabity w więziennej kuchni.

Cztery pchnięcia nożem, dwa w nerki od tyłu, dwa w wątrobę od przodu.

Prawdopodobnie dopadło go dwóch.

Nikt nic nie widział, więc sprawców nigdy nie wykryto.

– Czy pańska matka żyje?

– spytał Dusty.

Chase potrząsnął głową.

– Trzy inne panie z przedszkola, wszystkie bardzo miłe, skazano na cztery lata.

Moja mama została zwolniona po pięciu, ale kiedy ją wypuścili, miała raka.

– Oficjalnie zmarła na raka, ale naprawdę zabił ją wstyd – powiedziała Zina.

– Terri była dobrą kobietą, łagodną i dumną.

Nie zrobiła nic, zupełnie nic, ale zżerał ją wstyd, ponieważ wiedziała, co ludzie o niej myślą.

Zamieszkała z nami, lecz to nie trwało długo.

Przedszkole zostało zamknięte, Carl stracił swoje udziały w firmie samochodowej.

Wszystko pochłonęły wydatki związane z procesem.

Było nam ciężko i ledwie starczyło pieniędzy, żeby ją pochować.

Zmarła trzynaście lat temu.

Mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

– Jak wam się tu żyje dzisiaj?

– spytał Dusty.

Zina i Chase popatrzyli na siebie, a w tym jednym spojrzeniu zapisane były całe tomy.

– Znacznie lepiej niż kiedyś – odparł Chase.

– Niektórzy ludzie nadal wierzą w to wszystko, ale po tragedii w domu państwa Pastore nie jest ich tak wielu.

A część dzieci z Małego Króliczka odwołała w końcu swoje zeznania.

– Po dziesięciu latach.

– Przez moment oczy Ziny były czarniejsze niż antracyt i twardsze niż żelazo.

Chase westchnął.

– Może trzeba było dziesięciu lat, żeby te fałszywe wspomnienia zaczęły zanikać.

Nie wiem.

– Czy przez cały ten czas – spytała Martie – nigdy nie mieliście ochoty po prostu spakować się i wyjechać z Santa Fe?

– Kochamy Santa Fe – powiedział Chase z uczuciem.

– To najlepsze miejsce pod słońcem – przytaknęła Zina.

– A poza tym, gdybyśmy wyjechali, jest tu kilka osób, które powiedziałyby, że nasz wyjazd to przyznanie się do winy, że uciekamy ze wstydu.

Chase skinął głową.

– Ale tylko kilka.

– Nawet gdyby była tylko jedna – powiedziała Zina – nie wyjechałabym i nie dała jej satysfakcji.

Zina trzymała ręce na stole, a Chase przykrył je obie swoją jedną.

– Panie Rhodes, jeśli sądzi pan, że to mogłoby wam pomóc, kilkoro dzieci z przedszkola, te, które odwołały zeznania, na pewno zgodziłoby się z wami porozmawiać.

Przychodziły do nas.

Przepraszaly.

To nie są źli ludzie.

Zostali wykorzystani.

Myślę, że chętnie pomogą.

– Gdyby mógł pan to zorganizować – powiedział Dusty – spotkalibyśmy się z nimi jutro.

Dzisiaj, dopóki jest jasno i nie pada śnieg, chcemy pojechać na ranczo państwa Pastore.

Chase odsunął krzesło od stołu i wstał, wydawał się jeszcze wyższy niż przedtem.

– Znacie drogę?

– Mamy mapę – odparł Dusty.

– No cóż, poprowadzę was kawałek – powiedział Chase.

– W połowie drogi do rancza Pastore jest coś, co powinniście zobaczyć.

Instytut Bellona-Tocklanda.

– Co to takiego?

– Trudno powiedzieć.

Powstał dwadzieścia pięć lat temu.

Tam znajdziecie przyjaciół Marka Ahrimana, jeżeli w ogóle jakichś ma.

Nie wkładając kurtki ani swetra, Zina wyszła z nimi na zewnątrz.

Pinie na dziedzińcu wydawały się tak nieruchome jak drzewa w dioramie, uwięzione za szkłem.

Skrzyp żelaznych zawiasów drewnianej bramy był jedynym dźwiękiem, który zakłócił ciszę zimowego dnia, jakby wszyscy ludzie w mieście zniknęli, a Santa Fe przemieniło się w widmowy okręt na morzu piasku.

Po ulicach nie jeździły żadne samochody.

Nie włączyły się żadne koty, nie latały ptaki.

Wielki ciężar spokoju przytłoczył świat.

Zwracając się do Chase'a, którego lincoln navigator stał zaparkowany przed nimi, Dusty spytał: – Czy ta furgonetka po drugiej stronie ulicy należy do waszego sąsiada?

Chase spojrział w tamtą stronę i potrząsnął głową.

– Nie sędzę.

Może.

Dlaczego pan pyta?

– Bez powodu.

Ładna furgonetka, to wszystko.

– Coś nadciąga – powiedziała Zina, patrząc w niebo.

W pierwszej chwili Martie pomyślała, że ma na myśli śnieg, ale śnieg nie padał.

Niebo było bardziej białe niż szare.

Jeśli chmury w ogóle się poruszały, to cały ruch odbywał się wewnątrz, ukryty przed światem na dole za bladą powłoką.

– Coś złego.

– Zina położyła rękę na ramieniu Martie.

– Moja indiańska intuicja.

Krew wojowników czuje nadchodzącą przemoc.

Proszę na siebie uważać, Martie.

– Będziemy uważać.

– Szkoda, że nie mieszkanie w Santa Fe.

– Szkoda, że nie mieszkanie w Kalifornii.

– Świat jest za duży, a my za mali – powiedziała Zina i znów się uściskały.

W samochodzie Martie spojrzała na Dusty'ego.

– Co z tą furgonetką?

Odwracając się na fotelu i patrząc przez tylną szybę, powiedział: – Wydaje mi się, że widziałem ją już wcześniej.

– Gdzie?

– W centrum handlowym, gdzie kupiliśmy magnetofon.

– Jedzie za nami?

– Nie.

Jeden zakręt i trzy przecznice dalej, wciąż jadąc za lincolnem Chase'a, Martie spytała: – A teraz?

– Nie.

Chyba się pomyliłem.

Rozdział 65.

Mark Ahriman jadł lunch sam przy dwuosobowym stoliku w stylowym bistro w Laguna Beach.

Z lewej roztaczał się oszałamiający widok na Pacyfik, z prawej siedzieli dobrze ubrani i zamożni goście.

Nie wszystko było idealnie.

Dwa stoliki dalej trzydziestokilkuletni mężczyzna wybuchał od czasu do czasu śmiechem tak chrapliwym i przeciągłym, że wszystkie osły na zachód od Pecos musiały strzyc uszami.

Starsza kobieta przy następnym stoliku miała na głowie absurdalny kloszowy kapelusz w kolorze musztardy.

Sześć młodszych kobiet w drugim końcu sali zanosilo się nieprzyjemnym chichotem.

Kelner przyniósł złą przystawkę i nie wracał z właściwą irytująco długo.

Mimo to doktor nie zastrzelił nikogo spośród nich.

Prawdziwemu graczowi, takiemu jak on, zwyczajna strzelanina nie sprawiała żadnej przyjemności.

Strzelanie na ślepo było dobre dla szaleńców, dla beznadziejnych głupców, dla zapalczywych kilkunastoletnich chłopców ze zbyt wielkim mniemaniem o sobie, dla fanatycznych radykałów, którzy chcieliby zmienić świat do wtorku.

Zakończywszy lunch kawałkiem czekoladowego ciasta i porcją lodów szafranowych, doktor zapłacił rachunek i wyszedł, udzielając przebaczenia nawet kobiecie w absurdalnym kapeluszu.

Czwartkowe popołudnie nie było mroźne, lecz przyjemnie chłodne.

W ciągu nocy wiatr odleciał do dalekiej Japonii.

Niebo było brzemienne, ale deszcz, który zapowiedziano wkrótce po świcie, jeszcze nie spadł.

Kiedy parkingowy podstawił jego mercedesa, doktor Ahriman studiował swoje paznokcie.

Był tak zadowolony z manikiurzystki, że prawie nie zwracał uwagi na otoczenie; nie odrywał wzroku od swoich rąk – silnych, męskich, a mimo to z wdzięcznie zwięzającymi się palcami pianisty – i mało brakowało, a nie zauważyłby nieznajomego mężczyzny, który opierał się o półciężarówkę zaparkowaną po przeciwnej stronie ulicy.

Pojazd był beżowy, dobrze utrzymany, ale nie nowy, z rodzaju tych, które będzie można kupić nawet za tysiąc lat, i dlatego Ahriman do tego stopnia nie zwracał na nie uwagi, że nie miał pojęcia, jaki to model ani rocznik.

Nadwozie półciężarówki stanowiła biała naczepa kempingowa i doktor wzdrygnął się na myśl, że można spędzać wakacje w ten sposób.

Oparty o nią mężczyzna, choć obcy, wyglądał znajomo.

Miał czterdzieści kilka lat, rudawe włosy, okrągłą czerwoną twarz i nosił grube okulary przeciwsłoneczne.

Nie patrzył na Ahrimana, ale było w jego zachowaniu coś, co natychmiast pozwalało rozpoznać w nim ogon.

Odegrał małe przedstawienie, spoglądając na zegarek, a potem patrząc niecierpliwie w stronę pobliskiego sklepu, jakby na kogoś czekał, lecz umiejętnościami aktorskimi ustępował nawet gwiazdorowi kina, którego doktor przygotował niedawno do życiowej roli odgryzacza prezydenckiego nosa.

Antykwariat z zabawkami.

Kilka godzin temu.

Pół godziny jazdy i sześć miejscowości stąd.

Tam właśnie doktor widział po raz pierwszy rudawego mężczyznę.

Kiedy zabawiał się myślą, jak zaskoczyłby właściciela sklepu, gdyby dla kaprysu zaczął strzelać do innych klientów, to był jeden z dwóch gości, którzy stanowili jego potencjalny cel.

Trudno uwierzyć, by w hrabstwie liczącym trzy miliony mieszkańców to drugie spotkanie w ciągu kilku godzin było po prostu zbiegiem okoliczności.

Jednak beżowa półciężarówka z naczepą kempingową nie należała do pojazdów, które kojarzyły się z tajniakami lub prywatnymi detektywami.

Kiedy Ahriman przyjrzał się jej bliżej, zauważył, że poza standardową anteną radiową półciężarówka jest wyposażona w dwie dodatkowe.

Jedna, sterująca nad kabiną, zasilana najprawdopodobniej radio pracujące na paśmie policyjnym.

Druga, zamocowana do tylnego zderzaka, wyglądała dziwnie: długa na dwa metry, prosta, srebrna, zwieńczona spiczastym zgrubieniem otoczonym czarną spiralą.

Ahriman nie zdziwił się, gdy wyjeżdżając z parkingu zobaczył, że półciężarówka podąża za nim.

Rudawy mężczyzna zachowywał się jak amator.

Nie trzymał się zbyt blisko mercedesa i wpuścił przed siebie dwa samochody, czego pewnie nauczył się, oglądając idiotyczne filmy sensacyjne w telewizji, ale nie ufał sobie w stopniu wystarczającym, by pozwolić Ahrimanowi zniknąć z pola widzenia na dłużej niż parę sekund; stale jechał przy środkowej linii lub tak blisko samochodów zaparkowanych przy prawym krawężniku, jak tylko się odważył, odbijając w jedną lub w drugą stronę, kiedy pojazdy przed nim choćby na chwilę przesłoniły mu mercedesa.

W efekcie klucząca półciężarówka z rozkołysanymi antenami była jedyną rzucającą się w oczy anomalią w ruchu ulicznym.

W dzisiejszych czasach, przy zaawansowanej technologii przesyłania informacji i dostępie do łączów satelitarnych, zawodowcy mogą śledzić podejrzanego dzień i noc, nie zbliżając się do niego bardziej niż na kilometr.

Kierowca półciężarówki poczynił sobie tak nieudolnie, iż na jego jedyne profesjonalne działanie wyglądało to, że nie przystroił swoich anten kolorowymi balonikami.

Doktor był zdumiony i zaintrygowany.

Zaczął kluczyć po ulicach, kierując się ku mniej ruchliwym dzielnicom willowym, gdzie od półciężarówki nie oddzielały go żadne pojazdy.

Tak jak oczekiwał, kierowca rekompensował sobie brak osłony, trzymając się bardziej z tyłu, zaledwie jednak o jedną przecznicę, najwyraźniej przekonany, że jego zwierzyna nie przewyższa inteligencją i spostrzegawczością krótkowzrocznej krowy.

Nie zdradzając swego zamiaru kierunkowskazem, doktor skręcił raptownie w prawo, podjechał do najbliższego domu, wjechał na podjazd, zatrzymał się, wrzucił wsteczny bieg, wycofał na ulicę i wrócił tą samą drogą, którą przyjechał – w samą porę, by spotkać półciężarówkę wyłaniającą się zza zakrętu w niezdnym pościgu.

Kiedy mijał półciężarówkę, udawał, iż szuka adresu, jakby całkowicie nieświadomy faktu, że jest śledzony.

Wystarczyły dwa szybkie spojrzenia w lewo, by rozwiązać większą część zagadki.

Na rogu doktor zatrzymał się, wysiadł z mercedesa i podszedł do tabliczki, gdzie przystanął, sprawdzając nazwę i numery domów, drapiąc się w głowę i porównując wyimaginowany adres

z wymagowaną kartką papieru w dłoni, jakby ktoś udzielił mu nieścisłych informacji.

Po chwili wrócił do samochodu i ruszył, ale co chwila oglądał się wstecz, dopóki znów nie ujrzał za sobą beżowej półciężarówki.

Nie chciał jej zgubić.

Jeśli nie liczyć krótkiego spotkania w sklepie tego ranka, nigdy przedtem nie widział kierowcy, lecz kierowca nie był w kabinie sam.

W fotelu pasażera, mrugając ze zdumieniem, a potem szybko odwracając głowę, gdy zobaczył mercedesa Ahrimana, siedział Skeet Caulfield.

Kiedy Dusty i Martie grzebali w przeszłości doktora w Nowym Meksyku, Skeet też bawił się w detektywa.

Niewątpliwie sam wpadł na ten poroniony pomysł, ponieważ jego brat był za sprytny, aby mu to zlecić.

Pyzaty mężczyzna w ciemnych okularach był pewnie jednym z zaćpanych koleżków Skeeta.

Sherlock Holmes i doktor Watson w wydaniu Cheecha i Chonga.

Niezależnie od tego, co przytrafi się Dusty'emu i Martie w Nowym Meksyku, teraz Skeet stanowił największy problem.

Pozbycie się tego nieudacznika z mózgiem jak ser szwajcarski było sprawą priorytetową od dwóch dni, czyli od momentu, gdy wysłał go na samobójczy spacer po dachu.

Uwolniony od konieczności szukania Skeeta, doktor Ahriman musiał tylko jechać rozważnie, wlokąc za sobą ogon, dopóki nie rozezna się w sytuacji i nie zdecyduje, jak najlepiej wykorzystać ten szczęśliwy rozwój wydarzeń.

Gra toczyła się nadal.

* * *

Martie wjechała za Chase'em Glysonem na parking przy zajeździe kilka kilometrów od granicy miasta, gdzie ogromny kowboj tańczył z ogromną dziewczyną na neonowym szyldzie, na razie ciemnym, ponieważ muzyka i picie miały się rozpocząć dopiero za kilka godzin.

Chase wysiadł z lincolna i usadowił się na tylnym siedzeniu wypożyczonego forda.

– To, co tam widzicie, to Instytut Bellona-Tocklanda.

Instytut zajmował spory kawał niezabudowanego obszaru.

Otaczał go wysoki na dwa i pół metra kamienny mur.

Budynek majaczący za murem architekturą nawiązywał do prac Franka Lloyda Wrighta, a zwłaszcza jego najstynniejszego projektu, Domu nad Wodospadem, tyle że nie leżał nad wodospadem i został zaplanowany z naruszeniem – może nawet rozmyślnym – zasady Wrighta, że budowla musi harmonizować z krajobrazem, który ją otacza.

Ta masywna, kamiennobetonowa bryła nie wyrastała z surowej pustyni, lecz zdawała się z niej eksplodować, bardziej jak akt gwałtu niż dzieło architektury.

Tak mogłaby wyglądać praca Wrighta w interpretacji Alberta Speera, nadwornego architekta Hitlera.

– Sprawia nieco barbarzyńskie wrażenie – powiedział Dusty.

– Co oni tam robią?

– spytała Martie.

– Planują koniec świata?

– Pewnie tak.

Nigdy nie rozumiałem tego, co mówią o swojej pracy, ale może wy nie jesteście tak tępi jak ja.

Zajmują się badaniami, jak mówią, które prowadzą do – zaczął cytować coś, co musiał kiedyś przeczytać – zastosowania najnowszych odkryć w dziedzinie psychologii i psychofarmakologii w celu zaprojektowania bardziej racjonalnych i stabilnych form rządu, gospodarki, kultury i społeczeństwa jako całości, które przyczynią się do oczyszczenia środowiska, stworzenia bardziej sprawiedliwego systemu prawnego, pełnego wykorzystania potencjału ludzkiego i zapewnienia światowego pokoju...

– I wreszcie pozwolą skończyć z tym okropnym rock'n'rollem – dodał Dusty szyderczo.

– Pranie mózgu – oświadczyła Martie.

– No cóż – powiedział Chase – cokolwiek byście powiedzieli, nie będę zaprzeczał.

Z tego, co wiem, mogą tam nawet mieć rozbity statek kosmiczny obcych.

– Wolałbym, żeby to byli obcy, choćby bardzo paskudni, tacy, którzy jedzą ludzkie wątroby – powiedział Dusty.

– To nie przerażałoby mnie nawet w połowie tak, jak Wielki Brat.

– To nie jest przedsięwzięcie rządowe – zapewnił go Chase Glyson.

– A przynajmniej nie ma żadnych widocznych powiązań z Waszyngtonem.

– No to kim oni są?

– Instytut jest finansowany przez dwadzieścia dwa uniwersytety i sześć prywatnych fundacji z całego kraju.

Do tego dochodzą ogromne dotacje od różnych korporacji.

– Uniwersytety?

– Martie zmarszczyła brwi.

– Szalona paranoiczka we mnie czuje się rozczarowana.

Wielki Profesor nie jest tak przerażający jak Wielki Brat.

– Nie uważałabyś tak, gdybyś spędziła trochę czasu z Jaszczurem Lamptonem – powiedział Dusty.

– Jaszczur Lampton?

– zdziwił się Chase.

– Doktor Derek Lampton.

Mój ojczym.

– Zważywszy, że pracują tu nad światowym pokojem – powiedział Chase – to cholernie dobrze strzeżone miejsce.

Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej na północ samochody wjeżdżające na teren instytutu musiały się zatrzymać przed potężną bramą obok strażnicy.

Trzej umundurowani mężczyźni podchodzili do każdego gościa, który zbliżał się do bramy, a jeden z nich obchodził pojazd z lusterkiem zamocowanym na dźwiku, sprawdzając podwozie.

– Czego szukają?

– zdumiał się Dusty.

– Pasażerów na gapę?

Bomb?

– Może jednego i drugiego.

Mają też zabezpieczenia elektroniczne, prawdopodobnie lepsze niż w Los Alamos.

– To nic nie znaczy – zauważył Dusty – skoro Chińczycy wykradli z Los Alamos wszystkie nasze sekrety nuklearne.

– Sądząc po tych zabezpieczeniach – odezwała się Martie – nie musimy się martwić, że Chińczycy wykradną nasze sekrety pokojowe.

– Ahriman był ściśle związany z tym miejscem – powiedział Chase.

– Prowadził praktykę w mieście, ale to jego prawdziwa praca.

A kiedy po zabójstwach na ranchu Pastore trzeba było pociągnąć za sznurki, żeby ocalić jego dupę, pociągali za nie właśnie ci ludzie.

Martie nie zrozumiała.

– Jeśli nie mają nic wspólnego z rządem, to jak mogli zmusić gliniarzy i prokuratorów okręgowych, żeby tańczyli, jak im zagrają?

– Mają ogromne pieniądze, to raz.

I stosunki, to dwa.

To, że nie pracują dla rządu, nie znaczy, że nie mają wpływów we wszystkich instytucjach rządowych i w policji, i w mediach.

Ci faceci mają lepsze układy niż mafia i o wiele lepszy wizerunek.

– Światowy pokój zamiast narkotyków, pirackich płyt kompaktowych i malwersacji na wielką skalę?

– Właśnie.

A skoro już o tym mowa, są lepiej ustawieni niż rząd.

Żadnych kongresowych komisji nadzorczych.

Żadnych dociekliwych polityków.

Po prostu kilku dobrych facetów, którzy robią dobrą robotę w imię lepszego jutra, i dlatego jest mało prawdopodobne, by ktoś chciał patrzeć im dokładnie na ręce.

Do diabła, niezależnie od tego, co robią, nie zdziwiłbym się, gdyby większość z nich uważała, że naprawdę są dobrymi ludźmi, którzy zbawiają świat.

– Ale pan tak nie uważa.

– Z powodu tego, co Ahriman zrobił moim bliskim, i dlatego, że był tak ściśle powiązany z tym miejscem.

Ale większość tutejszych ludzi nie myśli o instytucie.

Nie jest dla nich ważny.

A jeśli myślą, to ciepło.

– Kim są Bellon i Tockland?

– spytała Martie.

– Korneli Bellon, Nathaniel Tockland.

Dwie figury w świecie psychologii, profesorowie.

Instytut to ich pomysł.

Bellon zmarł kilka lat temu.

Tockland zbliża się do osiemdziesiątki, jest na emeryturze i ożenił się z olśniewająco piękną, mądrą, dowcipną – a w dodatku bogatą!

– damą, młodszą od niego o pięćdziesiąt lat.

Jeśli ich kiedykolwiek spotkacie, nigdy nie zdołacie zrozumieć, co ona w nim widziała, ponieważ jest nie tylko stary, ale również nadęty, nudny i brzydki.

Martie i Dusty wymienili spojrzenia.

– Haiku.

– Albo coś w tym rodzaju.

Chase powiedział: – W każdym razie pomyślałem, że powinniście to zobaczyć.

Ponieważ w jakiś sposób, nie wiem dokładnie, ale w jakiś sposób wyjaśnia to, kim jest Ahriman.

I daję wam lepsze pojęcie, z czym macie do czynienia.

Pomimo wpływów Wrighta instytut sprawiał wrażenie, że lepiej pasowałby do otoczenia, gdyby był położony wysoko w Karpatach przy ścieżce wiodącej do zamku hrabiego Draculi albo siedziby doktora Frankensteina, spowity wieczną mgłą i wstrząsany uderzeniami piorunów.

* * *

Po doskonałym lunchu doktor Ahriman zamierzał przejechać w pobliżu domu państwa Rhodes, by rzucić okiem na zniszczenia wyrządzone przez ogień.

Teraz, kiedy śledzili go Skeet i nowe wcielenie inspektora Clouseau, wybór tej trasy wydawał się nierozsądny.

Tak czy inaczej, nie miał dla siebie całego dnia, ponieważ po południu był umówiony z pacjentką.

Pojechał więc prosto, choć spokojnie, do swego gabinetu w Fashion Island.

Udawał, że nie dostrzega półciężarówki, która zatrzymała się na tym samym parkingu, dwa rzędy przed jego mercedesem.

Okna gabinetu na czternastym piętrze wychodziły na ocean, ale doktor Ahriman najpierw poszedł do gabinetu specjalisty od uszu, nosa i gardła po wschodniej stronie budynku.

Z okien poczekalni roztaczał się widok na parking.

Kiedy podszedł do okna, recepcjonistka, zajęta pisaniem na maszynie, nawet nań nie spojrzała, uznawszy niewątpliwie, że jest po prostu kolejnym pacjentem, który musi czekać wraz z resztą tej pociągającej nosami żalosnej zgrai siedzących na niewygodnych krzesłach i czytających stare, rojące się od bakterii magazyny.

Szybko zlokalizował beżową półciężarówkę z białą naczepą kempingową.

Nieustraszona para wysiadła z samochodu, by rozprostować nogi, rozruszać ramiona, zaczerpnąć świeżego powietrza, najwyraźniej przygotowana na długie czekanie, nim ich zwierzyna znów się pojawi.

Dobrze.

Wchodząc do gabinetu, spytał Jennifer, jak jej smakowała kanapka z serem tofu i fasolowe kielki na herbatniku ryżowym, z których zwykle składał się jej czwartkowy lunch.

Kiedy zapewniła go, że były pyszne – miała bzika na punkcie zdrowej żywności, wywołanego z pewnością brakiem połowy kubków smakowych – poświęcił pięć minut, udając zainteresowanie dietetycznym wymogiem spożywania regularnie dużych ilości miłorzębu japońskiego, po czym zamknął się w gabinecie.

Zatelefonował do Cedrica Hawthorne'a, zarządcy domu, i polecił mu, aby wyprowadził z garażu najmniej rzucający się w oczy samochód z jego kolekcji, chevroleta el camino rocznik 1959, i zostawił go na parkingu budynku sąsiadującego z tym, w którym doktor miał swój gabinet.

Kluczyki miały zostać w magnetycznym pudełku pod prawym przednim zderzakiem.

Żona Cedrica mogła wyjechać innym samochodem i odwiedzić go do domu.

– Aha, i przywieź mi kominiarkę – dodał doktor.

– Zostaw ją pod fotelem kierowcy.

Cedric nie pytał, po co mu kominiarka.

Nie miał zwyczaju zadawania pytań.

Był na to zbyt dobrze wytresowany.

Bardzo dobrze wytresowany.

– Tak, oczywiście, proszę pana, kominiarkę.

Broń doktor już miał.

Opracował również strategię.

Wszystkie pionki stały na swoich miejscach.

Niebawem zacznie się rozgrywka.

Rozdział 66.

Dom na ranchu miał podłogi wykładane zniszczonymi meksykańskimi kafelkami i sufity z masywnych vigas przedzielających płaszczyzny z osikowych latillas.

W pokojach, w zmysłowo zdobionych ceglanych kominkach, potrzaskiwał aromatyczny ogień, doprawiony sosnowymi szyszkami i cedrowymi szczapami.

Meble, poza wyściełanymi fotelami i kanapami, pamiętały w większości epokę Nowego Ładu; pod nogami leżały indiańskie kobierce – wszędzie, z wyjątkiem pokoju, w którym nastąpiła śmierć.

Tam nie płonął ogień.

Wszystkie meble oprócz jednego zostały usunięte i sprzedane.

Podłoga była goła.

Przez pozbawione zasłon okna sączyło się szare światło, od ścian ciągnęło chłodem.

Od czasu do czasu Martie zdawało się, że dostrzega kątem oka, jak szare światło załamuje się na czymś, jakby nagle zniekształcone bezgłośnym przejściem niemal przezroczystej postaci, ale kiedy spoglądała w tamtą stronę, nie widziała nic, światło padało prosto.

Mimo to łatwo było tu uwierzyć w czyjąś niewidoczną obecność.

Na środku pokoju stało drewniane krzesło z wysokim oparciem i twardym siedziskiem.

Zapewne wybrano je ze względu na stopień niewygody, jakiej przysparzało.

Niektórzy uważają bowiem, że wygoda zakłóca zdolność do skupienia się na medytacji i modlitwie.

– Siaduję tutaj kilka razy w tygodniu – powiedział Bernardo Pastore.

– Zwykle dziesięć lub piętnaście minut...

ale czasem kilka godzin.

Głos miał ochrypliwy i trochę niewyraźny.

Słowa zgrzytały mu w ustach jak kamienie, lecz polerował je cierpliwie i wydobywał na zewnątrz.

Dusty trzymał magnetofon z wbudowanym mikrofonem zwrócony w stronę ranchera, aby mieć pewność, że jego nieskładna opowieść zostanie dobrze zarejestrowana.

Prawa połowa odtworzonej twarzy Bernarda Pastore nie mogła wyrażać żadnych uczuć, nerwy zostały nieodwracalnie zniszczone.

Jego prawą szczękę i część podbródka łączyły ze sobą metalowe płytki, druty, śruby chirurgiczne, elementy silikonowe i przeszczepy kostne.

Efekt był względnie funkcjonalny, lecz mało estetyczny.

– Przez pierwszy rok – mówił Bernardo – spędzałem większość czasu na tym krześle, starając się zrozumieć, jak do tego doszło.

Kiedy pospieszył do tego pokoju, usłyszawszy wystrzał, który pozbawił życia jego śpiącego syna, został trafiony dwoma pociskami wystrzelonymi z bliska przez swoją żonę, Fionę.

Pierwsza kula przeszła przez prawe ramię, druga roztrzaskała szczękę.

– Potem uświadomiłem sobie, że nie ma sensu próbować to zrozumieć.

Jeśli to nie były czary, to coś równie niepojętego.

W tamtych dniach siedziałem tutaj, myśląc o nich, powtarzając im, że ich kocham, zapewniając ją, że jej nie winie, że wiem, iż to, co zrobiła, było taką samą zagadką dla niej jak dla mnie.

Ponieważ myślę, że to prawda.

To musi być prawda.

Przeżył, jak twierdzili chirurdzy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu.

Kula, która strzaskała szczękę, jakimś cudem odchyliła się na zuchwie, zmieniła tor i wyszła nad łukiem jarzmowym, nie naruszając zewnętrznej tętnicy szyjnej, co spowodowałoby śmierć, zanim zjawiłaby się pomoc lekarska.

– Kochała Diona tak samo jak ja, a wszystkie te oskarżenia, które wysunęła w swoim liście, rzeczy, które rzekomo robiłem jej i Dionowi, były nieprawdą.

A nawet gdybym robił te rzeczy, nawet gdyby nosiła się z zamiarem samobójstwa, to nie była kobietą, która mogłaby skrzywdzić dziecko, własne czy jakiegokolwiek inne.

Trafiony dwukrotnie Pastore zatoczył się na wysoką komodę w pobliżu okna, które było otwarte w tę letnią noc.

– A tam był on, stał na zewnątrz, patrzył na nas ze strasznym wyrazem twarzy.

Uśmiechał się, a jego twarz była spocona z podniecenia.

Oczy mu błyszczały.

– Mówi pan o Ahrimanie – uściślił Dusty na użytek taśmy.

– O doktorze Marku Ahrimanie – potwierdził Pastore.

– Stał tam, jakby wiedział, co się wydarzy, jakby miał bilety na ten spektakl, miejsce w pierwszym rzędzie.

Spojrzał na mnie.

Nie potrafię wyrazić słowami tego, co zobaczyłem w jego oczach.

Ale jeśli w życiu zrobiłem więcej złego niż dobrego, i jeśli istnieje miejsce, gdzie będziemy musieli rozliczyć się ze wszystkiego, co zrobiliśmy na tym świecie, to z pewnością znów zobaczę takie oczy.

Umilkł na chwilę i popatrzył w okno, w którym teraz nie było nic oprócz bladego światła.

– Potem upadłem.

Leżąc nieuszkodzoną połową twarzy do podłogi, widział, jak jego żona zabiła się i upadła obok niego.

– Spokojna, tak niesamowicie spokojna.

Jakby nie wiedziała, co robi.

Żadnego wahania, żadnych łez.

Broczący krwią i omdlały z bólu Bernardo Pastore na przemian tracił i odzyskiwał przytomność, a przy każdym nawrocie świadomości czołgał się w stronę telefonu na nocnej szafce.

– Na zewnątrz słyszałem kojoty, początkowo daleko w ciemnościach, potem coraz bliżej.

Nie wiedziałem, czy Ahriman nadal stoi przy oknie, ale przypuszczałem, że odszedł, i bałem się, że kojoty, zwabione zapachem krwi, mogą wejść przez siatkę w oknie.

To bardzo bojaźliwe stworzenia...

ale nie w stadzie.

Dotarł do telefonu, zwałił go na podłogę i zadzwonił po pomoc, z trudem dobywając głos ze spuchniętego gardła i strzaskanej szczęki.

– A potem czekałem, wyobrażając sobie, że umrę, zanim ktokolwiek tu dotrze.

I tak powinno się stać.

Tak byłoby najlepiej.

Kiedy Fiona i Dion zginęli, nie dbałem o to, czy przeżyję.

Tylko dwie rzeczy sprawiały, że pragnąłem żyć.

Udział doktora Ahrimana musiał zostać ujawniony, wyjaśniony.

Chciałem sprawiedliwości.

A druga...

choć byłem gotów umrzeć, nie chciałem, żeby kojoty pożyły się mną i moją rodziną, jakbyśmy nie różnili się od zagryzionych królików.

Sądząc z tego, jak głośne stało się wycie, całe stado kojotów zebrało się pod oknem.

Pazurami drapały parapet.

Pyskami napierały na siatkę.

W miarę jak Pastore tracił siły i umysł coraz bardziej mu się mącił, zaczął wierzyć, że to nie kojoty próbują wejść do pokoju, lecz stworzenia nieznane dotąd w Nowym Meksyku, przybyłe nie wiadomo skąd.

Bracia Ahrimana, z oczami jeszcze dziwniejszymi niż oczy doktora.

Napierały na siatkę nie dlatego, że chciały pożywić się świeżym mięsem, lecz dlatego, że przyciągnął je zapach trzech upadłych dusz.

* * *

Jedyną pacjentką tego dnia była trzydziestodwuletnia żona człowieka, który w ciągu zaledwie czterech lat zarobił pół miliarda dolarów na giełdzie internetowej.

Chociaż była atrakcyjną kobietą, przyjął ją nie dla wyglądu.

Nie interesowała go pod tym względem, ponieważ kiedy do niego przyszła, była już znerwicowana jak laboratoryjny szczur dręczony przez długie miesiące nieustannymi zmianami w labiryncie i wymierzanymi przypadkowo wstrząsami elektrycznymi.

Ahrimana pociągaly jedynie kobiety, które przychodziły do niego całe i zdrowe, mając wszystko do stracenia.

Ogromny majątek pacjentki też nie miał wpływu na jego decyzję.

Ponieważ sam nigdy nie doświadczył braku pieniędzy, dla tych, którzy kierowali się chęcią zysku, żywił jedynie pogardę.

Najpiękniejsze dzieła tworzy się zawsze dla czystej przyjemności.

Mąż oddał żonę pod opiekę Ahrimana nie w trosce o jej zdrowie, lecz dlatego, że zamierzał kandydować do Senatu Stanów Zjednoczonych.

Uważał, iż żona cierpiąca na dziwaczne ataki graniczące z szaleństwem zagrozi jego karierze, lecz prawdopodobnie była to przesadna obawa, zważywszy, że podobne ataki zdarzały się od lat zarówno politykom, jak i ich małżonkom, nie powodując negatywnych konsekwencji podczas wyborów.

Poza tym mąż był nudny jak zdechła ropucha, toteż tak czy inaczej nie miał szans na elekcję.

Doktor przyjął ją jako pacjentkę, ponieważ zainteresował go jej stan.

Ta kobieta wpędzała się w niezwykłą fobię, która mogła dostarczyć mu ciekawego materiału do przyszłych gier.

Chciał również wykorzystać jej przypadek w następnej książce, która dotyczyła obsesji i fobii, a której nadał roboczy tytuł „Nie bój się, jestem z tobą”, choć, rzecz jasna, zmieniłby jej nazwisko.

Żona przyszłego senatora przeżywała od jakiegoś czasu obsesyjną fascynację aktorem Keanu Reevesem.

Zgromadziła dziesiątki grubych albumów wypełnionych fotografiami Keanu, artykułami o Keanu, recenzjami filmów z udziałem Keanu.

Żaden krytyk nie znał jego filmografii tak dobrze jak ona, ponieważ w zaciszu swego domowego

kina na czterdzieści miejsc obejrzała na panoramicznym ekranie każdy z jego filmów co najmniej dwadzieścia razy, a raz przez czterdzieści osiem godzin oglądała na okrągło „Zabójczą prędkość”, dopóki nie zemdląca z niewyspania.

Niedawno kupiła u Cartiera za dwieście tysięcy dolarów wisiołek w kształcie serca ze złota i brylantów, na którego odwrocie kazała wygrawerować napis „Pragnę Keanu”.

To miłosne zapamiętanie przerodziło się nagle w lęk, którego przyczyn nie rozumiała sama pacjentka.

Zaczęła podejrzewać, że Keanu ma drugą, mroczną naturę.

Że zdał sobie sprawę z jej zainteresowania jego osobą i nie spodobało mu się to.

Że wynajmuje ludzi, aby ją śledzili.

Że sam ją śledzi.

Ilekcją dzwonił telefon, a rozmówca odkładał słuchawkę bez słowa lub mówił: „Przepraszam, pomyłka”, była pewna, że to Keanu.

Kiedyś uwielbiała jego twarz, teraz wprawiała ją ona w przerażenie.

Zniszczyła wszystkie albumy i spaliła wszystkie fotografie, ponieważ doszła do przekonania, że aktor może obserwować ją na odległość za pośrednictwem własnych zdjęć.

Sam widok jego twarzy wywoływał u niej atak paniki.

Nie mogła już oglądać telewizji ze strachu, że zobaczy reklamę jego ostatniego filmu.

Nie śmiała czytać większości magazynów, ponieważ mogła odwrócić stronę i ujrzeć patrzącego na nią Keanu; nawet widok jego imienia w druku niepokoił ją, a na jej liście bezpiecznych czasopism znajdowało się teraz niewiele więcej niż „Przegląd polityki zagranicznej” i publikacje medyczne w rodzaju „Postępów w dializie nerek”.

Doktor Ahriman wiedział, że wkrótce, jak zwykle w podobnych przypadkach, pacjentka nabierze przekonania, że Keanu Reeves prześladowuje ją, chodzi za nią wszędzie, i wtedy jej fobia osiągnie stadium końcowe.

Potem albo ustabilizuje się i nauczy się prowadzić życie tak ograniczone jak Susan Jagger ze swoją agorafobią, albo popadnie w całkowitą psychozę i zapewne będzie wymagała przynajmniej krótkotrwałego leczenia w zakładzie zamkniętym.

Terapia lękowa nie dawała takim pacjentom żadnej nadziei, lecz doktor nie zamierzał traktować tego przypadku w sposób konwencjonalny.

Najwyżej przeprowadzi trzy sesje programujące, nie po to, by zdobyć nad nią kontrolę, lecz by poinstruować ją, że ma przestać bać się Keanu.

Potem, w swojej następnej książce, poświęci cały rozdział cudownemu wyleczeniu, które przypisze swoim zdolnościom analitycznym i geniuszowi terapeutycznemu, przedstawiając skomplikowaną historię nieodbytej terapii.

Nie zaczął jeszcze poddawać jej mózgu praniu, ponieważ fobia potrzebowała czasu, aby się rozwinąć.

Pacjentka musi bardziej cierpieć, gdyż wtedy jej wyleczenie będzie bardziej spektakularne, a jej wdzięczność, kiedy już wróci do zdrowia, większa.

Jeśli odpowiednio się to rozegra, może nawet zgodzi się wystąpić wraz z nim w programie Oprah Winfrey, gdy książka zostanie opublikowana.

W tej chwili, siedząc w fotelu po drugiej stronie niskiego stolika, słuchał jej gorączkowych spekulacji na temat makiawelicznych intryg pana Reevesa, nie zadając sobie trudu, by sporządzać notatki – zresztą,

ukryty magnetofon rejestrował jej monolog i jego wtrącanie od czasu do czasu pytania.

Figlarny jak zawsze doktor pomyślał nagle, jak byłoby zabawnie, gdyby aktorem czekającym teraz na spotkanie z prezydenckim nosem mógł być sam Keanu.

Wyobrażał sobie przerażenie swojej pacjentki, kiedy usłyszałaby tę wiadomość, co utwierdziłoby ją w przekonaniu, że to jej nos zostałby odgryziony, gdyby wcześniej los nie postawił na drodze Keanu głowy państwa.

No cóż.

Jeśli w mechanizmie wszechświata było choć trochę miejsca na poczucie humoru, to z pewnością nie tak wyrafinowanego jak poczucie humoru doktora.

– Doktorze, pan mnie nie słucha.

– Ależ słucham – zapewnił ją.

– Nie, buja pan w obłokach, a ja nie płacę panu tych skandalicznie wygórowanych honorariów za to, żeby mógł pan śnić na jawie – powiedziała szorstko.

Choć jeszcze pięć lat temu ta kobieta i jej mąż ledwie mogli sobie pozwolić na frytki do hamburgerów, stali się tak arogancy i wymagający, jakby przez całe życie opływali w dostatki.

W istocie jej obsesja na punkcie Keanu i szalona potrzeba jej męża, by szukać potwierdzenia własnej wartości przy urnie wyborczej, wynikały z ich nieoczekiwanego sukcesu finansowego, z kłującego poczucia winy, iż zdobyli tyle tak małym wysiłkiem, i z niewyartykułowanego strachu, że to, co tak szybko przyszło, może się równie szybko rozpląnąć.

– Nie ma pan tu chyba konfliktu interesów, prawda?

– spytała z nagłym lękiem.

– Przepraszam?

– Zatajonego konfliktu interesów?

Nie zna pan KKKeanu, prawda, doktorze?

– Nie, nie.

Oczywiście, że nie.

– Zatajenie znajomości z nim byłoby wysoce nieetyczne.

Wysoce.

A skąd mogę wiedzieć, czy nie jest pan zdolny do nieetycznego postępowania?

Co ja w ogóle wiem o panu?

Zamiast wyciągnąć taurusa millenium z kabury pod pachą i udzielić tej nowobogackiej dziwce lekcji dobrych manier, doktor przywołał na pomoc cały swój wdzięk, aby ją udobruchać i skłonić do dalszych wynurzeń.

Zegar na ścianie pokazywał, że za niecałe pół godziny będzie mógł odesłać ją do świata, w którym straszyl Keanu.

Wtedy zajmie się Skeetem Caulfieldem i pyzaty męczyzną.

* * *

W niektórych miejscach polewa na meksykańskich kafelkach była mocno wytarta.

– To tam widziałem krew – wyjaśnił Bernardo Pastore.

– Kiedy leżałem w szpitalu, przyjaciele dokładnie wysprzątaли pokój, pozbyli się mebli, wszystkiego.

Nim wróciłem, nie było już żadnych plam.

Lecz ja wciąż je widziałem.

Przez następny rok zeskrobywałem je po trochu każdego dnia.

Ale to nie krew starałem się usunąć, tylko smutek.

Kiedy to sobie uświadomiłem, przestałem skrobać.

Przez pierwsze dni na oddziale intensywnej opieki medycznej walczył o życie, jedynie z rzadka odzyskując świadomość, ale na skutek ciężkich ran i mocno opuchniętej twarzy nie mógł mówić, nawet kiedy był przytomny.

Zanim oskarżył Ahrimana, psychiatra miał już alibi i świadków.

Pastore podszedł do okna i wyjrzał na ranczo.

– Widziałem go tutaj.

Właśnie tutaj, stał pod oknem i patrzył.

To nie było coś, co mi się przywidziało, kiedy zostałem postrzelony, jak próbowali mi wmówić.

Podchodząc do ranczera i trzymając magnetofon blisko niego, Dusty spytał: – I nikt panu nie uwierzył?

– Kilka osób.

Ale tylko jedna, która się liczyła.

Gliniarz.

Zaczął sprawdzać alibi Ahrimana i chyba coś znalazł, bo dali mu mocno po łapach.

Przenieśli go do innej sprawy, a tę czym prędzej zamknęli.

– Myśli pan, że zechce z nami porozmawiać?

– spytał Dusty.

– Tak.

Po tylu latach chyba zechce.

Zadzwonię do niego i powiem mu o was.

– Gdyby mógł pan umówić nas na dzisiejszy wieczór, byłoby świetnie.

Jutro Chase Glyson obiecał skontaktować nas z byłymi wychowankami przedszkola.

– To, co robicie, na nic się nie zda – powiedział Pastore, patrząc w okno.

– Ahriman jest nietykalny.

– Zobaczymy.

Nawet w szarym świetle sączącym się przez warstwę szarego kurzu na szybie grube blizny po prawej stronie twarzy ranczera były wściekle czerwone.

Jakby wyczuwając wzrok Martie, Pastore spojrział na nią.

– Przeze mnie będzie pani miała koszmary.

– Nie przez pana.

Podoba mi się pańska twarz, panie Pastore.

Jest w niej szczerść.

Poza tym, jeśli ktoś miał do czynienia z Markiem Ahrimanem, nie będzie miał innych koszmarów.

Dusty wyłączył magnetofon.

– Mogliby usunąć większość tych blizn – powiedział Bernardo Pastore.

– I chcieli zrobić mi jeszcze jedną operację szczęki.

Obiecali, że wygładzą linię.

Ale co mnie to obchodzi, jak teraz wyglądam?

Ani Dusty, ani Martie nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć.

Ranczer nie miał więcej niż czterdzieści pięć lat, przed nim było jeszcze wiele lat życia, ale nikt nie mógł sprawić, by pragnął tych lat, nikt z wyjątkiem jego samego.

* * *

Jennifer mieszkała trzy kilometry od gabinetu.

Niezależnie od pogody drogę do pracy i z pracy przebywała pieszo, ponieważ spacer był częścią jej zdrowego trybu życia w takim samym stopniu, jak ser tofu, kiełki fasolowe i miłorząb japoński.

Doktor poprosił ją, aby wyświadczyła mu przysługę, odprowadzając jego samochód do warsztatu i zostawiając go tam w celu wymiany oleju i opon.

– Podrzucą panią do domu swoją furgonetką.

– Och, nie ma potrzeby – odparła.

– Przejdę się.

– Ale to chyba z piętnaście kilometrów.

– Naprawdę?

Świetnie!

– A jeśli będzie padać?

– Znam prognozę.

Padac ma jutro, nie dzisiaj.

Ale jak pan wróci do domu?

– Pójdę do Barnes'a i Noble'a trochę poszperać, a potem spotkam się z przyjacielem na wczesnej kolacji – skłamał.

– Odwiezie mnie do domu.

– Spojrzał na zegarek.

– Kończymy dziś wcześniej...

powiedzmy, za piętnaście minut.

W ten sposób, nawet po piętnastokilometrowym spacerze, wróci pani do domu o zwykłej porze.

I proszę wziąć sobie trzydzieści dolarów z podręcznej kasy, żeby mogła pani wpaść na kolację do tej swojej restauracji, jeśli pani zechce.

Zielone Pola, prawda?

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony – odparła.

Piętnaście minut powinno wystarczyć, by zdążyć opuścić ten budynek frontowym wejściem, gdzie nie zobaczą go chłopcy w beżowej półciężarówce, pójść do sąsiedniego budynku, a potem na parking, gdzie czekał na niego chevrolet el camino rocznik 1959.

* * *

Ujeżdżalnie i wygony były puste, ponieważ wszystkie konie odprowadzono do stajni przed nadciągającą burzą.

Kiedy Martie zatrzymała się przy wypożyczonym samochodzie, ceglany budynek rancza nie wydawał się już tak niezwykły i romantyczny jak w chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Jak większość budowli w Nowym Meksyku, i ta była magiczna, jakby wyrosła na pustyni za sprawą czarów – lecz teraz wyblakłe ściany nie wyglądały bardziej romantycznie niż błoto, a dom nie zdawał się

wyrastać, lecz osiadać, zapadać się, wtapiać w ziemię, z której się zrodził, aby niebawem zniknąć, jakby nigdy nie istniał, wraz z ludźmi, którzy niegdyś zaznali w jego murach miłości i szczęścia.

– Zastanawiam się, z czym mamy do czynienia – powiedział Dusty, gdy wyjeżdżali z terenu rancza.

– Kim jest Ahriman...

poza tym, kim wydaje się być.

– Nie chodzi ci o jego znajomości, instytut, o to, kto go osłania i dlaczego.

– Nie.

– Głos miał cichy i uroczysty, jakby mówił o rzeczach tajemnych.

– Kim jest ten facet, pomijając oczywiste i łatwe odpowiedzi?

– Socjopata.

Narcystycznym dupkiem, według Clostermana.

Wysypana żwirem droga prowadząca z rancza do szosy miała prawie dwa kilometry długości i przecinała najpierw płaską jak stół równinę, a potem znikła wśród wzgórz.

Pod pośepnym gipsowym niebem w tej ostatniej godzinie zimowego dnia ciemnozielona szalwia zdawała się pokryta srebrnym listowiem.

W bezwietrznej ciszy wędrujące rośliny stały nieruchomo jak dziwne skamieliny, przypominające na wpół zakopane szkielety prehistorycznych potworów.

– Gdyby Ahriman przechodził teraz przez pustynię – powiedział Dusty – czy grzechotniki wypełzałyby tysiącami ze swoich jam i podążały za nim, potulne jak kocięta?

– Nie strasz mnie, kochanie.

Martie bez trudu potrafiła wyobrazić sobie Ahrimana pod oknem sypialni Diona Pastore, nieporuszonego obecnością kojotów, stojącego bezpiecznie wśród tych drapieźców, jakby wywalczył sobie honorowe miejsce w stadzie, przyciskającego twarz do siatki i napawającego się ciężkim zapachem krwi, gdy tymczasem stłoczone wokół niego preriowe wilki warczały cicho i drapały pazurami parapet.

W miejscu, gdzie żwirówka okrążała wzgórze, a potem ostro skręcała, ktoś rozłożył stalową kolczatkę, taką samą, jakich używa policja podczas pościgów.

Martie zauważyła ją zbyt późno.

Zahamowała w momencie, gdy strzeliły obie przednie opony.

Kierownica wyrywała się jej z rąk.

Kiedy Martie za wszelką cenę próbowała nad nią zapanować, wóz toczył się dalej.

Grzechocząc pod podwoziem jak oszalały wąż ze strzaskanym kręgosłupem, kolczatka przetoczyła się pod tył forda; strzeliły tylne opony.

Szorując czterema flakami po sypkim żwirze, samochód zaczął ześlizgiwać się z pochyłości, a potem przewrócił się na bok.

– Trzymaj się!

– krzyknęła Martie, choć ostrzeżenie wcale nie było potrzebne.

Potem trafili na wybój.

Ford podskoczył, przechylił się, na ułamek sekundy jakby się zawahał i zaczął się toczyć.

Przetoczył się dwa razy i runął z krawędzi drogi w szeroką, suchą nieckę, koziołkując przez dobrych sześć metrów w dziwnie leniwym upadku.

Przednia szyba pękła, a karoseria jęknęła i zazgrzytała, kiedy wreszcie ford zatrzymał się na dachu.

Rozdział 67.

Ostry zapach benzyny ocucił Martie szybciej niż sole trzeźwiące.

Słyszała też ciurkanie paliwa wyciekającego z pękniętych przewodów.

– Nic ci nie jest?

– Nic – odparł Dusty, mocując się z pasami bezpieczeństwa i klnąc; był zbyt zdezorientowany, aby zlokalizować sprzączkę.

Wisząc głową w dół w swoich pasach i patrząc w górę, na kierownicę, i jeszcze wyżej, na swoje stopy i podłogę, Martie też czuła się trochę zdezorientowana.

– Zaraz tu będą.

– Broń – powiedział nagłaco Dusty.

Colt znajdował się w jej torebce, ale torebki nie było już na siedzeniu między jej biodrem a drzwiami.

Instynkt kazał jej spojrzeć na podłogę, lecz podłogę miała teraz nad głową.

Torebka nie mogła spaść w górę.

Drżącymi palcami rozpięła sprzączkę pasa, wyplątała się z krępującej uprząży i osunęła się na sufit.

Głosy.

Niezbyt blisko, ale coraz bliżej.

Założyłaby się o własny dom, że nadchodzący ludzie nie byli sanitariuszami spieszącymi na ratunek.

Dusty też uwolnił się wreszcie z pasów i wylądował na suficie.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

– Słowa więzły jej w gardle, ponieważ zapach benzyny utrudniał oddychanie.

Światło w przewróconym samochodzie było mętne.

Na zewnątrz zapadał zmierzch.

Stłuczoną przednią szybę przesłaniały krzewy wypełniające dno niecki tak szczelnie, że nie wpadało tamtędy żadne światło.

– – Tam!

– krzyknął Dusty.

Zanim się jeszcze odezwał, zobaczyła torebkę obok tylnej szyby i zaczęła pełznąć na brzuchu po suficie.

Torebka była otwarta i wypadły z niej różne przedmioty.

Odsunęła puderniczkę, grzebień, szminkę i kilka innych drobiazgów i złapała torebkę, w której wyczuła ciężar broni.

Małe kamyki, osuwające się spod nóg ludzi, którzy schodzili zboczem, spadały na odsłonięte podwozie samochodu.

Martie spojrzała w lewo, a potem w prawo, w boczne szyby, spodziewając się, że zobaczy ich stopy.

Starła się zachować ciszę, nasłuchując kroków, aby się zorientować, z której strony nadejdą, ale musiała głośno zaczerpnąć oddechu, ponieważ powietrze było gęste od oparów benzyny.

Dusty też oddychał chrapliwie, a ich rozpaczliwe sapanie brzmiało jeszcze bardziej przerażająco niż grzechot spadających kamieni.

Stuk-stuk, stuk-stuk – to nie serce, ponieważ serce jej waliło – stuk-stuk – a potem coś mokrego spłynęło jej po twarzy i sprawiło, że drgnęła i spojrzała w górę.

Z wykładziny podłogowej kapłała benzyna.

Martie odwróciła głowę, patrząc za siebie, i zobaczyła jeszcze parę miejsc, z których ciekło paliwo.

Tłuste krople chwytały resztki światła i połyskiwały jak perły.

Twarz Dusty'ego.

Oczy rozszerzone świadomością ich beznadziejnego położenia.

Duszące opary wyciskały łzy z oczu Martie, lecz zanim twarz jej męża rozmazała się, zobaczyła, że poruszył ustami.

Z trudem dobywał z siebie głos, nie usłyszała więc, co powiedział, ale wyczytała z jego warg słowa: „Nie strzelaj”.

Gdyby nawet płomień wylotowy nie spowodował eksplozji – a z pewnością by spowodował – to zrobiłaby to iskra od rykoszetu.

Otarła wierzchem dłoni załzawione oczy i w najbliższej szybie zobaczyła parę kowbojskich butów, a zaraz potem ktoś zaczął szarpać za klamkę zablokowanych drzwi.

* * *

Ciemnoczerwony chevrolet el camino rocznik 1959 miał kilka wprowadzonych na zamówienie ulepszeń: chromowaną maskę z otworami wentylacyjnymi; gładkie, lite zderzaki; cylindryczną chłodnicę i składany dach.

Doktor Ahriman czekał za kierownicą w bocznej uliczce, obserwując wyjazd z parkingu za budynkiem, w którym mieścił się jego gabinet.

Pod fotelem kierowcy leżała kominiarka.

Sprawdził to, zanim zapuścił silnik.

Dobry, niezawodny Cedric.

Mały pistolet tkwiący w kaburze pod lewym ramieniem nie przeszkadzał mu ani trochę.

Był to wręcz przyjemny, ciepły, kojący ciężar.

Paf, paf, jesteś martwy.

Po chwili zobaczył, jak Jennifer wyjeżdża mercedesem i zatrzymuje się przy budce, tylko po to, by pożegnać się ze strażnikiem, ponieważ samochód miał opłacone miejsce za cały miesiąc, a kwit tkwił za przednią szybą.

Pasiasty szlaban podniósł się i Jennifer skierowała się do wylotu ulicy.

Za nią półciężarówka zahamowała ostro przy budce, a jej anteny zakołysały się gwałtownie.

Jennifer skrzyła w lewo.

Sądząc po czasie, jaki spędzili przy budce, obaj domorośli detektywi nie postarali się o drobne, aby zapewnić sobie szybki wyjazd.

Zanim znaleźli się na ulicy, mercedes skręcał za róg i prawie stracili go z oczu.

Doktor obawiał się, że kiedy Skeet i jego koleżka zobaczą tylko Jennifer, a nie swoją prawdziwą zwierzynę, będą czekać na parkingu, aż ta pojawi się ponownie lub umrą z pragnienia.

Zapewne nie przygotowali opłaty parkingowej, ponieważ spierali się, czy warto śledzić samochód, skoro jego w nim nie ma.

W końcu połknęli przynętę, tak jak się spodziewał.

Nie ruszył za nimi.

Wiedział, dokąd jedzie Jennifer, i postanowił dotrzeć do warsztatu własną trasą, na skrót.

El camino był wyposażony w potężny silnik Chevy 350.

Doktor przemknął przez New-port Beach, wypatrując jednym okiem policji drogowej i trzymając rękę na klaksonie, by w razie potrzeby przepędzić przechodniów, którzy odważyliby się wejść na pasy.

Zaparkował w uliczce naprzeciwko wejścia do warsztatu i czekał ponad cztery minuty, nim pojawił się mercedes, a za nim półciężarówka.

Jennifer pojechała prosto do warsztatu, a półciężarówka zaparkowała w głębi ulicy, przed chevroletem doktora.

Ponieważ naczepa kempingowa zasłaniała im widok przez tylne okno kabiny, ani Skeet, ani jego partner nie mogli łatwo sprawdzić, kto parkuje za nimi.

Mieli jeszcze wprawdzie lusterka boczne, lecz doktor był pewien, że skoro uważają się za nieustraszony zespół śledczy, nie biorą pod uwagę możliwości, że sami też mogą być śledzeni.

* * *

Mały colt dał się wsunąć za pasek dżinsów Martie łatwiej, niż się spodziewała.

Przykryła go swetrem i wygładziła tweedowy żakiet, gdy drzwi od strony kierowcy otworzyły się z twardym zgrzytem wgniecionego metalu.

Męski głos rozkazał im wysiąść.

Dławiąc się cuchnącymi oparami, od których rozbolały ją płuca, Martie zaczęła się czołgać na brzuchu po suficie samochodu i wypelzła przez drzwi na otwartą przestrzeń.

Ktoś złapał ją za lewe ramię i postawił na nogi, pociągnął, a potem odepchnął na bok.

Zachwiała się i upadła, lądując w splątanej masie zarośli.

Słyszała, jak wyciągnęli z samochodu Dusty'ego i przewrócili go na ziemię.

Oboje siedzieli tam, gdzie upadli, oddychając głęboko, ale krztusząc się nazbyt świeżym powietrzem, dopóki ich płuca nie przywykły do niego.

Załamane oczy Martie nadal rozmywały i zniekształcały wszystko, lecz zobaczyła dwóch mężczyzn, z których jeden pilnował ich z czymś, co wyglądało na pistolet, w ręku, a drugi okrążył przewrócony samochód.

Wielcy mężczyźni.

Ciemne ubrania.

Nie rozróżniała szczegółów.

Coś musnęło jej twarz.

Komary.

Roje komarów.

Ale zimne.

Nie komary więc, tylko śnieg.

Zaczął padać śnieg.

Oddychała teraz spokojniej, wzrok się wyostrzał.

Podniosła rękę, aby otrzeć łzy, i wtedy ktoś chwycił ją za włosy i postawił na nogi.

– Dalej, dalej – usłyszała.

– Jak będziecie się guzdrać, zastrzelimy was i zostawimy tutaj.

Martie potraktowała groźbę poważnie i zaczęła się wspinać łagodnym zboczem, po którym stoczył się ich samochód.

* * *

Kiedy Jennifer wyszła z warsztatu, obaj detektywi spieszyli się.

Ani Skeet, ani jego pyzaty przyjaciel nie byli przygotowani na śledzenie piechura.

Co gorsza, Jennifer szła tak, jakby ścigały ją wszystkie demony piekieł i pół tuzina namolnych sprzedawców polis ubezpieczeniowych.

Z podniesioną głową, wyprostowanymi ramionami, wypiętym biustem i rozkołysanymi biodrami kroczyła energicznie w chłodzie popołudnia jak kobieta, która postanowiła dotrzeć do granicy stanu przed zachodem słońca.

Była ubrana w ten sam kostium, w którym przyszła do pracy, ale zamiast pantofli na wysokich obcasach włożyła najlepsze obuwie turystyczne firmy Rockport.

Wszystkie drobiazgi osobiste nosła w małym plecaku, aby mieć wolne ręce; machała nimi rytmicznie jak olimpijczyk bijący rekord świata w chodzie długodystansowym.

Włosy związała z tyłu w koński ogon, który podskakiwał wdzięcznie, kiedy pędziła chodnikiem, spiesząc na dietetyczną kolację.

Szyby el camino były lekko przyciemnione, a Jennifer nie знаła tego samochodu.

Kiedy mijala go, idąc po przeciwnej stronie ulicy, nawet nie spojrzala w kierunku doktora.

Na rogu skręciła, ciągle w polu widzenia, i zaczęła wspinać się w górę po długiej, łagodnej pochyłości.

Gestykując zawzięcie, detektywi odbili od krawężnika, zatoczyli ostry łuk, przejechali obok el camino i ruszyli w stronę skrzyżowania, gdzie znów się zatrzymali.

Kilkaset metrów dalej, na następnym skrzyżowaniu, Jennifer skręciła w prawo.

Kierowała się na zachód.

Kiedy prawie zniknęła z pola widzenia, półciężarówka podążyła za nią.

Doktor odczekał chwilę i ruszył za półciężarówką, ale nie ujechał daleko: idiotyczny pojazd zatrzymał się przy skrzyżowaniu około stu metrów za Jennifer.

Ulica pięła się w górę mniej więcej półtora kilometra, a te błazny najwyraźniej zamierzały obserwować Jennifer, dopóki nie dotrze na szczyt wzniesienia, dopiero potem wtedy podjechać do skrzyżowania i zobaczyć, dokąd pójdzie dalej.

Zielone Pola, kulinarna mekka amatorów kiełków, znajdowały się około sześciu kilometrów stąd, a doktor nie zamierzał jechać tam za półciężarówką krótkimi zrywami.

Wyminął ją, minął Jennifer i skierował się w stronę restauracji.

Dwaj domorośli detektywi bardzo rozbawili doktora.

Sherlock i Watson bez krzty wyobraźni i bez odpowiednich kostiumów.

Ich słodki idiotyzm przydawał im swoistego uroku.

Doktor prawie żałował, że będzie musiał ich zabić, gdyż wolałby zatrzymać ich sobie w charakterze dwóch małpek, by dostarczali mu rozrywki w nudne wieczory.

Z drugiej jednak strony, minęło już sporo czasu, odkąd zabił kogoś naprawdę, a nie przez pośredników, i nie mógł się doczekać, by znów poczuć ten dreszczyk.

* * *

Nim dotarli na szczyt pochyłości, oczy Martie przestały łzawić i odzyskała ostrość widzenia, lecz

nadal oddychała ciężko, choć już nie chrapliwie.

Wciąż pluła śliną kwaśną od oparów benzyny, ale się nie krztusiła.

Na drodze prowadzącej na rancho stało ciemnogrnatowe BMW z otwartymi drzwiami i pracującym na wolnych obrotach silnikiem.

Ciężkie zimowe opony oplatały przeciwnieźne łańcuchy.

Martie spojrzała na dno niecki, na rozbitego forda, mając nadzieję, że eksploduje.

Na tej cichej i otwartej przestrzeni wybuch mógł być słyszalny na rancho, w końcu to tylko niecały kilometr; a może, wyglądając przez okno w odpowiednim momencie, Bernardo Pastore dostrzegłby rozbłysk płomienia za wzgórzem?

Była to złudna nadzieja i Martie wiedziała o tym.

Nawet w nikłym świetle gasnącego dnia widziała, że obaj mężczyźni są uzbrojeni w pistolety maszynowe z zapasowymi magazynkami.

Nie wiedziała nic o pistoletach maszynowych, poza tym, że jest to broń szybkostrzelna, groźna nawet w rękach kiepskiego strzelca, a co dopiero w posiadaniu ludzi, którzy potrafią się nią posługiwać.

Ci dwaj wydawali się stworzeni w laboratorium metodą klonowania, według formuły genetycznej oznaczonej etykietką „pokazowe zbiry”.

Choć byli elegancko ubrani, sprawiali nieprzyjemne wrażenie; mieli szyje wystarczająco grube, by oparły się każdej garocie, i ramiona tak szerokie, że mogliby wynosić konie z płonącej stajni.

Ten z jasnymi włosami otworzył bagażnik BMW i rozkazał Dusty’emu wejść do środka.

– Tylko nie rób głupot i nie próbuj rzucać się na mnie później z kluczem do opon, bo zastrzelę cię, zanim zdążysz go podnieść.

Dusty spojrzał na Martie; oboje wiedzieli, że nie jest to dobry moment, by wyciągnąć colta.

Nie kiedy mierzyły w nich dwa pistolety maszynowe.

To nie ukryta broń mogła im zapewnić przewagę, tylko zaskoczenie; była to wątpliwa przewaga, ale zawsze.

Rozwścieczony zwłoką blondyn przyskoczył do Dusty’ego, podciął go i przewrócił na ziemię.

– Właż do bagażnika!

– wrzasnął.

Dusty nie chciał zostawiać Martie samej, ale nie miał wyboru.

Wstał i wgramolił się do bagażnika samochodu.

Martie widziała, jak leży tam na boku, patrząc na nią z pobladłą twarzą.

Była to pozycja ofiar z pierwszych stron gazet opisujących mafijne porachunki; brakowało tylko nieruchomego spojrzenia i krwi.

Miała straszliwe przecucie, że już go więcej nie zobaczy.

Blondyn zatrzasnął pokrywę i przekręcił kluczyk w zamku.

Potem okrążył samochód i usiadł za kierownicą.

Drugi mężczyzna wepchnął Martie na tylne siedzenie i szybko wśliznął się za nią.

Siedział bezpośrednio za kierowcą.

Obaj poruszali się z wdziękiem sportowców i właściwie nie przypominali typowych chłopców do wynajęcia.

Nieoszpeceni bliznami, gładko ogoleni, z wysokimi czołami, ładnymi kośćmi policzkowymi i patrycjuszowskimi nosami, wyglądali na mężczyzn, których dziewczyna może przedstawić rodzicom bez obawy, że straci kieszonkowe, a jej posag zostanie zredukowany do jednej filizanki.

Byli do siebie tak podobni, że ich niewątpliwą naturę klonów maskował jedynie kolor włosów – jasno-blond, miedziano-rude – i osobisty styl.

Blondyn zdawał się bardziej ulegać emocjom.

Wciąż zirytowany wahaniem Dusty'ego przy wchodzeniu do bagażnika, gwałtownie wrzucił bieg, ruszył z rykiem silnika, aż żwir zagrzechotał o podwozie, i pomknął do położonej kilometr dalej autostrady.

Rudowłosy uśmiechnął się do Martie i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć, że jego towarzysz bywa niekiedy męczący.

Trzymał pistolet maszynowy w jednym ręku, celując w podłogę pomiędzy swoimi stopami.

Najwidoczniej nie obawiał się, że Martie może stawić skuteczny opór.

Rzeczywiście, nigdy nie zdołałaby odebrać mu broni ani zadać obojędnego ciosu.

Szybki i zwalisty, zmiażdżyłby jej tchawicę jednym ruchem łokcia lub rozbił jej nos o boczną szybę.

Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła, aby znalazł się przy niej Uśmiechnięty Bob, zarówno ciałem, jak i duchem.

I ze strażacką siekierą.

Początkowo sądziła, że jadą w kierunku autostrady na południe.

Niecałe pół kilometra dalej skręcili jednak ze żwirówki i pojechali prosto na wschód zrytą koleinami drogą, zarośniętą niemal całkowicie szalwią, karłowatymi krzewami mimozy i kaktusami.

Jeśli dobrze zapamiętała mapę – i sądząc z tego, co widziała po drodze z Santa Fe – rozciągało się tam jedynie pustkowie.

Kaskady śniegu, spienione wodospady płatków zasłaniały widok, toteż równie dobrze przed nimi mogło znajdować się miasto.

Nie liczyła jednak na to i spodziewała się raczej zupełnego odludzia z bezimiennymi grobami.

– Dokąd jedziemy?

– spytała, ponieważ pomyślała, że oczekują od niej całej masy nerwowych pytań.

– Do alejki zakochanych – odparł kierowca i popatrzył w lusterko, szukając w jej oczach oznak strachu.

– Kim wy jesteście?

– My?

Przyszłością – odparł kierowca.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu znów się uśmiechnął i uniósł brwi, jakby szydząc z dramatycznego zacięcia partnera.

Nie jechali tak szybko jak drogą z rancza, ale i tak za szybko, zważywszy na ukształtowanie terenu.

Samochód podskakiwał na każdym wyboju, a tłumik i zbiornik paliwa szorowały o ziemię.

Wykorzystując sposobność, Martie wsunęła prawą rękę pod żakiet i sweter, a gdy podskoczyli na kolejnym wyboju, wyciągnęła pistolet zza paska; po następnym trzymała już broń przyciśniętą do uda i przykrytą połą niezapiętego żakietu.

Pistolec kierowcy leżał prawdopodobnie na fotelu pasażera, w zasięgu ręki.

Rudowłosy wciąż trzymał swój w prawym ręku, pomiędzy kolanami, mierząc w podłogę.

Działanie.

Działanie kształtowane przez zdrowy rozsądek i perspektywę moralną.

Ufała swemu zdrowemu rozsądkowi.

Morderstwo nie było, rzecz jasna, rzeczą moralną, ale zabójstwo w obronie własnej z pewnością tak.

Moment nie wydawał się odpowiedni.

Synchronizacja.

Synchronizacja jest równie ważna w balecie, jak przy wymianie ognia.

Słyszała to gdzieś.

Niestety, mimo kilku wizyt na strzelnicy, gdzie strzelała tylko do papierowych sylwetek, nie wiedziała nic ani o balecie, ani o wymianie ognia.

– Nie ujdzie wam to bezkarnie – powiedziała tak, aby usłyszeli prawdziwy strach w jej głosie, ponieważ umacniało ich to w przekonaniu, że jest całkowicie bezbronna.

Kierowca był ubawiony.

– Zachary, myślisz, że ujdzie nam to bezkarnie?

– zwrócił się do partnera.

– Jasne – odparł rudowłosa.

Znów uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Zachary, powiedz jej, jak nazywamy tego rodzaju operacje.

– Zwyczajnie: przetrząść i sprzątnąć.

– Słyszałaś, dziewczyno?

Z naciskiem na „zwyczajnie”.

Nic dodać, nic ująć.

Spacer po parku.

Bułka z masłem.

– Wiesz, Kevin, jeśli chodzi o mnie – powiedział Zachary – to z naciskiem na „przetrząść”.

Kevin roześmiał się.

– Dziewczyno, ponieważ mamy zamiar cię przetrząść i sprzątnąć was oboje, jest jasne, że dla ciebie to poważna sprawa.

Ale dla nas to nie jest poważna sprawa, prawda, Zachary?

– Nie jest.

– I dla glin też nie będzie.

Powiedz jej, dokąd jedzie, Zachary, – Do Orgasmo City.

– A po Orgasmo City?

– Znajdziesz się w starej indiańskiej studni – Zachary spojrzał na Martie – i Bóg wie jak głęboko w warstwach wodonośnych.

– Od ponad trzystu lat nie ma tu żadnych Indian, którzy mogliby z niej korzystać – wyjaśnił Kevin.

– Nie chcielibyśmy zanieczyścić czyjejs wody pitnej – dodał Zachary.

– To przestępstwo federalne.

– Nikt nigdy nie znajdzie waszych ciał.

Na pewno uznają, że po wypadku zabłądziliście na pustyni, zgubiliście się w zamieci i zamarzyście na śmierć.

Samochód zwalniał, po obu jego stronach zaczęły wyłaniać się ze śniegu niesamowite kształty.

Niskie i pofałdowane, połyskujące w świetle reflektorów, przesuwały się za szybą jak widmowe okręty we mgle.

Zasypane piaskiem ruiny.

Szkielety domów, kamienne i ceglane ściany dawno opuszczonego osiedla.

Kiedy Kevin parkował, Martie odwróciła się do Zacharego i wbiła mu colta w żebra tak mocno, że aż

skrzywił się z bólu.

Jego oczy zdradzały człowieka, który nie zna strachu ani litości, ale nie jest głupi.

Bez słowa upuścił pistolet maszynowy na podłogę między swoimi nogami.

– Co się dzieje?

– spytał Kevin.

Martie, patrząc mu w oczy w lusterku, powiedziała: – Sięgnij za siebie i połóż ręce na zagłówku fotela, sukinsynu.

Kevin zawahał się.

– Szybko – krzyknęła – bo zastrzelę tego kretyna, a potem rozwalę łeb tobie.

Ręce na zagłówek, tak, żebym je widziała.

– Chyba mamy problem – mruknął Zachary.

Prawa ręka Kevina przesunęła się nieznacznie w stronę pistoletu leżącego na przednim siedzeniu.

– Ręce na zagłówek, skurwielu!

– ryknęła Martie, zdumiona brzmieniem własnego głosu.

Nie zachowywała się jak kobieta, która udaje twardą, lecz jak osoba naprawdę obłąkana, i prawdopodobnie była teraz obłąkana, całkowicie oszalała ze strachu.

Kevin wyprostował się, wyciągnął obie ręce za siebie i położył dłonie na zagłówku.

Z coltem wbitym w żebra Zachary nawet nie pomyślał o oporze; wiedział, że naciśnąłaby na spust szybciej, niż on zdążyłby się poruszyć.

– Wysiedliście z samolotu tylko z bagażem podręcznym – powiedział Kevin.

– Zamknij się.

Myślę.

Nie chciała nikogo zabijać, nawet tych ludzkich śmieci, gdyby tylko udało się tego uniknąć.

Ale jak to zrobić?

Jak wysiąść z samochodu i jeszcze wyciągnąć ich tak, żeby nie mieli okazji czegoś spróbować?

Kevin nie dawał za wygraną.

– Tylko z bagażem podręcznym, więc skąd wzięliście broń?

Dwóch do pilnowania.

Dużo ruchu przy wysiadaniu.

Niebezpieczne chwile.

– Skąd wzięliście broń?

– dopytywał Kevin.

– Wyciągnęłam ją z tyłka twojego koleśia.

Zamknij się!

Nie miała wyboru, musiała wysiąść po stronie pasażera.

Zmusić Zacharego, aby przesunął się za nią na siedzeniu, trzymając pistolet przy jego boku i patrząc jednocześnie na Kevina z przodu.

Przy wyłączonych wycieraczkach śnieg błyskawicznie pokrywał szybę białą kołderką.

Ruch wirujących płatków przyprawiał Martie o zawrót głowy.

Napotkała wzrok Zacharego.

Wyczuł jej niezdecydowanie.

Natychmiast uciekła spojrzeniem i wbiła lufę colta jeszcze głębiej w jego bok.

– Może to nie jest prawdziwy pistolet – odezwał się Kevin.

- Może plastikowy.
- Prawdziwy, prawdziwy – zapewnił go pospiesznie Zachary.

Wysiadanie tyłem z samochodu byłoby ryzykowne.

Mogła zaczepić stopą o próg albo o same drzwi.

Mogła upaść.

- Jesteście zasranymi malarzami pokojowymi.
- Jestem projektantką gier wideo.
- Co?
- Mąż jest malarzem pokojowym.

Kiedy już wysiądzie, Zachary na moment wypełni sobą drzwi, z lufą jej pistoletu pod żebrem, a ona straci z oczu Kevina.

Jedyną rozsądną rzeczą, byłoby zastrzelić ich, dopóki ma przewagę.

Uśmiechnięty Bob nigdy jej nie powiedział, co należy robić, kiedy zdrowy rozsądek i moralność kolidują ze sobą.

- Nie sądzę, żeby nasza pani wiedziała, co dalej – poinformował Zachary swego partnera.
- Chyba mamy impas – powiedział Kevin.

Działanie.

Kiedy uznają, że nie jest zdolna do zdecydowanego działania, sami zaczną działać.

Rozdział 68.

Zimowy pejzaż zastygły w wypełnionej płynem szklanej kuli: łagodne i zaokrąglone kontury ruin starych indiańskich budowli, oszroniona szaławia, granatowe BMW, w środku dwaj mężczyźni i jedna kobieta, kolejny mężczyzna w bagażniku – dwóch zabójców i dwie ofiary – i nikt ani nic się nie rusza, wszystko zastygło jak wszechświat przed Wielkim Wybuchem, oprócz śniegu, który pada i pada, jakby ręka olbrzyma potrzasała kulą; piękny biały śnieg, godny arktycznej zimy.

– Zachary – powiedziała wreszcie Martie – nie odwracając się ode mnie, otwórz drzwi lewą ręką.

Kevin, trzymaj ręce na zagłówku.

Zachary szarpnął za klamkę.

– Zablokowane.

– Odblokuj.

– Nie mogę.

To główna blokada, chroniąca przed dziećmi.

On może to zrobić z przodu.

– Gdzie jest wyzwalacz blokady, Kevin?

– spytała Martie.

– Na konsoli.

Gdyby pozwoliła mu majstrować przy blokadzie, jego ręka znalazłaby się o centymetry od pistoletu maszynowego, który niewątpliwie leżał na przednim siedzeniu.

– Trzymaj ręce na zagłówku, Kevin.

– Jakie gry wideo projektujesz?

– spytał Kevin, próbując odwrócić jej uwagę.

Ignorując go, Martie zwróciła się do jego partnera: – Masz scyzoryk, Zachary?

– Scyzoryk?

Nie.

– To źle.

Jeśli nie przestaniesz się wiercić, będziesz potrzebował noża, żeby zrobić sobie dwie dziurki w jelitach, ponieważ nie będziesz żył wystarczająco długo, by dotrzeć do szpitala, gdzie zrobiłby to lekarz.

Przesuwając się na siedzeniu do miejsca, gdzie znalazła się pomiędzy dwoma przednimi oparciami, Martie trzymała pistolet wymierzony w rudowłosego.

– Na wypadek, gdybyś miał wątpliwości – powiedziała – to nie jest broń półautomatyczna.

Całkowicie automatyczna.

Spust chodzi lekko i miękko, więc lufa nie odskakuje.

Strzela bardzo celnie.

Siedząc z tyłu, nie widziała dobrze, co dzieje się z przodu, więc wychyliła się i podniosła nieco z fotela, z nogami zgiętymi w półprzysiadzie, wykręconymi i ściśniętymi stopami, odwrócona w stronę Zacharego, lecz wsparta prawym ramieniem o przedni fotel, z pistoletem w zaciśniętej kurczowo dłoni.

Bardzo niewygodna pozycja.

Głupio, niebezpiecznie niewygodna, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak inaczej mogłaby trzymać broń wymierzoną w Zacharego, a jednocześnie obserwować rękę Kevina, kiedy pochylał się nad konsolą.

Nie miała odwagi sięgnąć do konsoli sama.

Musiałyby się odwrócić od Zacharego.

Dwaj wściekli orkowie i jeden hobbit zamknięci w samochodzie.

Jakie są szanse, że wszyscy troje wyjdą z tego żywi?

Niewielkie.

Albo hobbit wygrywa i przechodzi na następny poziom gry, albo gra się kończy.

Aby spojrzeć na przednie siedzenie, musiała odwrócić głowę od Zacharego, zerkając nań tylko kątem oka.

– Jeden dźwięk, jeden najdrobniejszy ruch i jesteś martwy.

– Gdybyś była mną, już byłbym martwy – zauważył Zachary.

– Ale nie jestem tobą, zasrańcu.

Jeśli jesteś mądry, będziesz siedział grzecznie i dziękował Bogu, że masz szansę wyjść z tego z życiem.

Serce waliło jej tak, jakby za chwilę miało pęknąć.

To dobrze.

Więcej krwi dopływa do mózgu.

Będzie szybciej myśleć.

Odwróciła głowę i wychyliła się, by spojrzeć na przednie siedzenie.

Tak jak się spodziewała, pistolet maszynowy Kevina leżał na fotelu pasażera, w zasięgu ręki.

Wielki magazynek.

Trzydzieści pocisków.

– Dobrze, Kevin, powoli wyciągnij prawą rękę i zwolnij blokadę, a potem połóż rękę z powrotem na zagłówku.

– Nie denerwuj się i nie rozwal mnie za nic.

– Nie denerwuję się – powiedziała, a opanowanie we własnym głosie zdumiało ją, ponieważ trzęsła się w środku jak mysz w cieniu skrzydeł sowy.

– Robię to, co chciałaś.

– Kevin powoli oderwał prawą dłoń od zagłówka.

Martie zerknęła szybko na Zacharego, który trzymał ręce wysoko, tuż przy twarzy, aby mogła je widzieć, chociaż nie kazała mu tego robić – a powinna mu kazać – a potem znów spojrzała na przednie siedzenie.

Kevin, którego ręka płynęła w kierunku wyzwalacza blokady, powiedział: – Ja lubię grać w „Carmageddon”.

Znasz tę grę?

– Myślałam, że wolisz „Kingpin”.

– O, tam też się sporo dzieje.

Przesunął dźwignię przełącznika.

To, co stało się później, wydawało się zaplanowane przez obu mężczyzn telepatycznie.

Blokada zwolniła się z cichym szcękaniem.

W tym samym momencie Zachary otworzył drzwi i wytoczył się z samochodu, a Martie dostrzegła kątem oka, że wyciągnął rękę, by podnieść z podłogi pistolet.

Kiedy oddała dwa strzały do znikającego rudowłosego, Kevin padł na przednie siedzenie i chwycił swoją broń.

Drugi strzał rozbrzmiewał jeszcze jak salwa armatnia w ciasnym wnętrzu samochodu, gdy Martie

przypadła do podłogi, znikając z pola widzenia Kevina, przystawiła colta do fotela kierowcy i wystrzeliła szybko cztery razy, nie do końca pewna, czy kule przebiją oparcie.

Była zagrożona od frontu i z góry.

Nic nie stało na przeszkodzie, by Kevin odpowiedział ogniem przez oparcie fotela, a miał w magazynku trzydzieści naboji.

Jeśli nie został trafiony, mógł podnieść się i strzelić do niej bezpośrednio.

Niebezpieczeństwo groziło jej także od strony otwartych drzwi, za którymi czał się Zachary z drugim pistoletem maszynowym.

Nie mogła tu tkwić.

Naciskała jeszcze na spust po raz czwarty, a już zaczęła wyczołgiwać się z samochodu.

Nie mogła tracić czasu na mocowanie się z drugimi drzwiami, więc wyszła tymi, które otworzył Zachary, być może prosto pod kule, z jednym tylko nabojem w magazynku colta.

Nie przywitał jej ogień.

Zachary jednak nie czekał na nią.

Był ranny, ale nie martwy.

Z co najmniej jedną, a może nawet dwiema kulami w szerokich plecach, czołgał się na rękach i kolanach.

Martie zobaczyła, ku czemu się czołga.

Pistolet.

Leżał trzy metry dalej na przyprószonej śniegiem ziemi.

Myśląc jedynie o przeżyciu, czując w sercu dzikość, która wzięła górę nad szkółką niedzielną i cywilizacją, kopnęła go w zębra.

Jęknął z bólu, próbując złapać ją za nogę, ale upadł na twarz.

Jej serce waliło tak mocno, że pulsująca mgła zasnuwała oczy i rozmywała się na brzegach przy każdym uderzeniu.

Gardło miała ściśnięte ze strachu.

Powietrze raniło jej krtań jak bryły lodu, a potem wrywało się z płuc z głośnym rżeniem.

Rzuciła się w stronę pistoletu maszynowego.

Porwała go, w każdej chwili spodziewając się serii w plecy, która przygwoździ ją do ziemi.

Dusty zamknięty w bagażniku BMW rozpaczliwie woła jej imię.

Tłucze od środka w pokrywę.

Zdumiona, że wciąż żyje, cisnęła colta.

Chwyciła obiema rękami nową broń, wbijając wzrok w śnieżną ciemność i wypatrując celu, ale Kevina za nią nie było.

Drzwi kierowcy były zamknięte.

Nie widziała go w samochodzie.

Może leżał martwy na przednim siedzeniu.

A może nie.

Mrocznego nieba nie rozświetlała żadna poświata.

Nie miało już koloru gipsu.

Przybrało teraz barwę popiołu, a na wschodzie sady.

Padający śnieg był znacznie jaśniejszy niż przestwór nad głową, jakby niecierpliwa noc rozrzucała i strącała na ziemię płatki światła.

Pod wpływem nagłego impulsu Martie przyklękła na jedno kolano, wbijając wzrok w ciemność i w snopy jasnego światła, rzucanego przez reflektory, wypatrując ruchu innego niż lot płatków śniegu.

Zachary leży nieruchomo, twarzą do ziemi.

Martwy?

Nieprzytomny?

Udaje?

Zamknięty w bagażniku Dusty wciąż wołał jej imię, a teraz rozpaczliwie kopał w oparcie tylnego fotela, próbując się wydostać.

– Cicho!

– krzyknęła.

– Nic mi nie jest.

Cicho.

Jeden dostał, może obaj.

Bądź cicho, bo nic nie słyszę.

Dusty umilkł natychmiast, ale w tej samej chwili, pomimo łomotu rozszalałego serca, Martie zdała sobie sprawę, że silnik samochodu cały czas pracuje na jałowym biegu.

Dobiegło ją ciche, basowe tętnienie: wrrrumwrrrumwrrrum.

Mimo to odgłos był wystarczająco donośny, by stłumić wszystkie dźwięki, jakie mógł wydawać Kevin, jeśli naprawdę leżał ranny w samochodzie.

Strącając z rzęs koronki śniegu, podniosła się ostrożnie i spojrzała na drzwi BMW po stronie pasażera – były otwarte.

Nie zauważyła tego wcześniej.

Ranny czy nie, Kevin wydostał się z samochodu.

* * *

Zjawiwszy się w Zielonych Polach na długo przed Jennifer i dwoma niedorozwiniętymi siostrzeńcami panny Jane Marple, doktor Ahriman wszedł do restauracji, aby wybrać przekąskę na wynos i w ten sposób powściągnąć swój apetyt w oczekiwaniu na kolację, którą najprawdopodobniej będzie zmuszony odłożyć do późnego wieczora, w zależności od rozwoju wydarzeń.

Siermiężny wystrój uraził jego wrażliwość i doktor poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go lekko stalowym młoteczkiem do badania odruchów w płat czołowy mózgu.

Podłoga z dębowych desek.

Płócienne obrusy w kratkę.

Pasiaste bawełniane zasłony.

Między stolikami wstretne, witrażowe parawany z przedstawieniami snopów zboża, kolb kukurydzy, zielonego groszku, marchewki, brokułów i innych przykładów szczodrobliwości matki natury.

Kiedy zobaczył kelnerki w błękitnych drelichowych spódnicach, koszulach w białoczerwona kratę i małych, słomkowych kapelusikach, miał ochotę uciec.

Zatrzymał się przy kasie, czytając jadłospis, który wydał mu się bardziej makabryczny niż wszystkie zestawy fotografii z sekcji zwłok, jakie kiedykolwiek oglądał.

Można by się spodziewać, że restauracja oferująca tak okropny asortyment potraw zbankrutuje w ciągu miesiąca, lecz nawet o tej wczesnej godzinie sala była pełna.

Goście o rumianych twarzach siedzieli nad wielkimi misami sałaty, parującymi talerzami bezmięsnej zupy, omletami z kruchym dietetycznym pieczywem, wegetariańskimi kotlecikami o smaku wysuszonego torfu i kopiastymi porcjami potrawy sojowo-ziemniaczanej.

Przerażony doktor chciał zapytać kelnerkę, dlaczego restauracja nie posunie tego szaleństwa krok dalej, do logicznej konkluzji, sadzając swoich gości rzędem przy korycie lub rozsypując im posiłki na podłogę, aby mogli chodzić po nich bosymi stopami jak bydło na pastwisku, becząc i mecząc z rozkoszy.

Ahriman, który wolałby cierpieć męki głodowe niż zjeść cokolwiek z tego menu, z nadzieją skierował swoją uwagę na wielką tacę ze słodyczami wystawioną obok kasy.

Ręcznie wykonany napis obwieszczał dumnie, że wszystkie były domowej roboty i zdrowe.

Kruche ciasteczka z jabłkami i rabarbarem.

Nie.

Maślane makaroniki z groszkiem.

Nie.

Marchewkowe placuszki przyprawione imbirem.

Nie.

Na sam widok czwartego i ostatniego smakołyku wpadł w takie podniecenie, że wyciągnął portfel z kieszeni, zanim uświadomił sobie, iż czekoladowe wafelki zostały zrobione z chleba świętojańskiego, koziego mleka i mąki ryżowej.

– Mamy jeszcze takie – powiedziała kelnerka, prezentując z nieśmiałym uśmiechem koszyk zapakowanych w celofan słodyczy, ukrytych wstydliwie za półmiskiem z suszonymi owocami.

– Nie sprzedają się najlepiej.

Chyba przestaniemy je sprowadzać.

– Wyciągnęła koszyk na długość ramienia, rumieniając się, jakby to były kasety pornograficzne.

– Kokosowe baloniki w czekoladzie.

– Prawdziwe kokosy, prawdziwa czekolada?

– spytał podejrzliwie.

– Tak, ale zapewniam pana: żadnego masła, margaryny ani nasyconych tłuszczów roślinnych.

– Wezmę wszystkie.

– Ale jest ich dziewięć.

– Tak, doskonale, wszystkie dziewięć – powiedział, wykładając pieniądze na ladę, aby jak najszybciej dokonać zakupu.

– I butelkę najlepszego soku jabłkowego.

Kokosowe baloniki kosztowały trzy dolary za sztukę, lecz kelnerka była tak zadowolona, że się ich pozbywa, iż sprzedała doktorowi wszystkie dziewięć za osiemnaście dolarów, a doktor wrócił do swego el camino bardziej uszczęśliwiony, niż mógłby przypuszczać jeszcze kilka minut wcześniej.

Ustawił samochód w takim miejscu, aby mieć dobry widok zarówno na parking, jak i na frontowe wejście do Zielonych Pól.

Siedział za kierownicą, rozparty w fotelu, zając drugi balonik, kiedy zjawiła się Jennifer.

Szła krokiem tak samo szybkim i długim jak na początku wędrówki, machając rękami z niesłabnącym wigorem.

Koński ogon podskakiwał dziarsko.

Nie okazując śladu zmęczenia, zdążyła w kierunku restauracji.

Oczy jej błyszczały i najwyraźniej nie mogła się już doczekać, by zasiąść nad swoją ulubioną paszą.

Skradając się za Jennifer w niedyskretnej odległości, rzygając chmurami błękitnych spalin i rzucając się w oczy jak kulawy i cierpiący na wzdęcie lis na tropie królika, wtoczyła się na parking wysłużona półciężarówka z naczepą kempingową.

Stało się to w tym samym momencie, kiedy zwierzyna z końskim ogonem otworzyła drzwi restauracji, za którymi zniknęły po chwili jej umięśnione pośladki.

Skeet i jego towarzysz zaparkowali bliżej, niżby doktor sobie tego życzył, ale nie zauważyliby go, nawet gdyby siedział przed namiotem cyrkowym ubrany w kostium kłowna.

Odczekali kilka minut, najwidoczniej omawiając plan dalszych działań, a potem mężczyzna z czerwoną twarzą wysiadł z samochodu, przeciągnął się i wszedł do Zielonych Pól, zostawiając Skeeta samego.

Zapewne podejrzewali, że Jennifer przyszła tu na spotkanie z samym doktorem, na romantyczne tete a tete nad miską otrębów i talerzem gotowanej dyni.

Ahriman zastanawiał się, czy nie podejść do półciężarówki, nie otworzyć drzwi od strony Skeeta i go nie uaktywnić.

Mógłby wtedy zabrać Skeeta do el camino i odjechać, zanim wróciłby jego partner.

Program Skeeta nie zawsze jednak funkcjonował prawidłowo na skutek nieszczęsnej kondycji jego otumanionego narkotykami umysłu, istniało więc niebezpieczeństwo, że jeśli coś pójdzie nie tak, mężczyzna o czerwonej twarzy wróci i przyłapie doktora na gorącym uczynku.

Nie mógł też po prostu podejść do ciężarówki i zastrzelić Skeeta, ponieważ na parkingu kręciło się wielu amatorów zdrowej żywności.

Świadkowie to zawsze świadkowie, choćby nawet mieli wypaczony smak.

Rumiany mężczyzna wyszedł z restauracji i wrócił do ciężarówki, a dwie minuty później on i Skeet udali się razem do Zielonych Pól.

Najwyraźniej mieli zamiar nadal śledzić Jennifer, a przy okazji wychłptać trochę pomyj.

Doktor był w doskonałym nastroju, ponieważ spodziewał się, że rychło znajdzie okazję, aby zastrzelić obu w jakimś ustronnym miejscu, a następnie uda się na kolację godną myśliwego.

Miał zamiar wykorzystać wszystkie dziesięć naboju w magazynku, czy będzie to potrzebne, czy nie, dla czystej przyjemności.

Zapowiadany deszcz nie spadł, a teraz, o zmroku, chmury rozproszyły się, odsłaniając gwiazdy.

To też ucieszyło doktora.

Lubił gwiazdy.

Kiedyś chciał zostać astronautą.

Był w połowie trzeciego balonika, kiedy zobaczył coś, co omal nie zepsuło jego cudownego nastroju.

Jeden rząd dalej stał na parkingu piękny biały rollsroyce z przyciemnionymi szybami, tradycyjnie zdobioną maską i połyskującymi tytanowymi piastami.

Doktor był wstrząśnięty, że ktoś dostatecznie bogaty, by posiadać rollsa, i dostatecznie wyrafinowany, by prowadzić taki wóz, mógł przyjechać na kolację do Zielonych Pól inaczej niż pod lufą pistoletu.

To naprawdę umierająca kultura.

Wybująty kapitalizm doprowadził do tak powszechnej zamożności, że nawet przeżuwiający korzonki prostacy mogą przyjeżdżać królewskimi pojazdami, by zjeść wegetariański odpowiednik sznycla wiedeńskiego.

Sam widok tego pojazdu w takim miejscu wystarczył, by doktor zapragnął oddać swego

wypieszczonego rollsroyce'a silver cloud pod najbliższą prasę hydrauliczną.

Odrzucił wzrok od białej piękności i poprzysiągł sobie nigdy więcej na nią nie spojrzeć.

By wyrzucić z umysłu przygnębiający widok, uruchomił silnik, włożył do magnetofonu kasety z klasycznymi programami radiowymi starego Spike'a Jonesa i skupił się na swoim batoniku.

* * *

Z trzech stron rozpościerała się widmowa wioska.

Kiedyś płonęły tu ogniska i kaganki, rozpraszając mrok.

Teraz zewsząd napierała lodowata ciemność, zaludniona przez upiory.

Może były to tylko postacie ze śniegu, a może prawdziwe duchy.

Na południu, za plecami Martie, ledwie widoczne w mroku wznosiły się wykruszone ściany z cegły, w niektórych miejscach wysokie na dwie kondygnacje, w innych znacznie niższe, z czarnymi otworami okiennymi.

Odrzwia bez drzwi prowadziły do pomieszczeń w większości pozbawionych dachu i zawalonych śmieciami, zamieszkiwanych w cieplejszą pogodę przez tarantule i skorpiony.

Na wschodzie, lepiej widoczne w świetle samochodowych reflektorów, lecz ukryte częściowo w ciemnościach, wysokie, poszczerbione kominy wyrastały z kamiennych kręgów, zapewne starych palenisk.

Co dziwne, wśród rozrzuconych półkuliście ruin majaczyły wysokie topole.

Oprócz głębokiej studni, o której wspominał Zachary, musiała tu być woda bliżej powierzchni, w zasięgu korzeni.

Kevin mógł zejść Martie od tyłu, przekradając się od jednej zrujnowanej budowli do drugiej, od drzewa do drzewa.

Musiała zejść z otwartej przestrzeni, ale przerażała ją myśl o tropieniu go – i byciu tropioną – w tym niezwykłym miejscu.

Przemknęła skulona do samochodu i przykucnęła za tylną oponą po stronie kierowcy.

Po chwili położyła się płasko na ziemi i zajrzała pod samochód.

Kevina tam nie było.

Cienki płaszcz śniegu przed BMW jarzył się w poświacie reflektorów.

W jednym miejscu nieskazitelna biel wydawała się zdeptana przez kogoś, kto oddalał się od samochodu.

Ponownie siadłszy w kucki, pochyliła się do światła, które padało z wnętrza BMW, i obejrzała dokładnie pistolet maszynowy, aby mieć pewność, iż nic jej nie zaskoczy, jeżeli będzie musiała się nim posłużyć.

Sterczący magazynek napawał ją lękiem.

Wyglądało na to, że pistolet jest w pełni automatyczny, nie półautomatyczny, ale i tak nie była do końca przekonana, czy poradzi sobie z tak potężną bronią.

Ręce też miała zimne.

Traciła czucie w palcach.

Zamknęła tylne drzwi i oparła się o nie plecami, patrząc na Zacharego.

Wciąż leżał nieruchomo, twarzą do ziemi.

Jeśli udawał nieprzytomnego, czekając, aż osłabnie jej czujność, był nadludzko cierpliwy.

Zanim zajmie się Kevinem, musi się upewnić, czy ten człowiek nadal jest dla niej zagrożeniem.

Po namyśle uznała, że lepiej podejść do niego śmiało, a nie ostrożnie, podbiegła więc i dźgnęła go w kark łufą pistoletu.

Nie poruszył się.

Odchyliła kołnierz jego watowanej kurtki narciarskiej i przycisnęła zimne palce do jego gardła, próbując wyczuć puls tętnicy szyjnej.

Nic.

Głowę miał odwróconą na bok.

Odciągnęła kciukiem powiekę.

Nawet w tak słabym świetle nieruchome spojrzenie nie mogło mylić.

Poczucie winy połączyło jej umysł z sercem, toteż myśl o tym, co zrobiła, wywołała kłujący ból w piersi.

Już nigdy nie będzie tą samą osobą, co dawniej, ponieważ odebrała komuś życie.

Chociaż okoliczności nie dały jej innego wyboru i chociaż ten człowiek zasłużył na to, co go spotkało, Martie czuła się przygnieciona ciężarem swego uczynku i w jakiś sposób skalana.

Utraciła niewinność i już nigdy nie zdoła jej odzyskać.

Poczuciu winy towarzyszyło jednak zadowolenie, zimna i głęboka satysfakcja, że jak dotąd radzi sobie zupełnie dobrze, że szansę na przeżycie jej i Dusty'ego znacznie wzrosły i że zachwiała arogancką pewnością siebie zawodowych zabójców.

Wiedziała, iż postępuje słusznie, i ta świadomość wydała jej się krzepiąca, choć i przerażająca zarazem.

Znów podbiegła do samochodu, do drzwi kierowcy, podniosła się powoli i zajrzała przez szybę.

Otwarte drzwi po stronie pasażera.

Kevin zniknął.

Krew na siedzeniu.

Kuląc się pod oknem, myślała o tym, co przed chwilą zobaczyła.

Przynajmniej jeden z czterech pocisków, które wystrzeliła przez oparcie fotela, musiał trafić.

Krwi nie było dużo, ale świadczyła, że Kevin został ranny, więc miała nad nim przewagę.

Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Co robić?

Zgasić silnik, otworzyć bagażnik, uwolnić Dusty'ego?

Wtedy byłoby ich dwoje na jednego.

Nie.

Kevin mógł czekać, aż sięgnie po kluczyki, mógł mieć dobry widok na wnętrze samochodu przez otwarte drzwi pasażera.

Nawet gdyby zdobyła kluczyki i nie została postrzelona, będzie łatwym celem, kiedy stanie przy samochodzie, mocując się z zamkiem i otwierając pokrywę bagażnika.

Choć wzdragała się na tę myśl, najbezpieczniejszą rzeczą, jaka przychodziła jej do głowy, było wycofać się przez otwartą przestrzeń w kierunku ruin na południu.

Wykorzystać osłonę w postaci wykruszonych budynków i pni drzew, aby pójść łukiem na wschód, a potem na północ.

Dostać się na drugą stronę samochodu, gdzie zniknął Kevin.

Jeśli zatoczy dostatecznie szeroki łuk, może uda jej się podejść od tyłu do miejsca, z którego

obserwował BMW.

Oczywiście, wcale nie musiał czaić się gdzieś w pobliżu i obserwować samochodu z jednej wybranej pozycji.

On także mógł być w ruchu, robić to samo, co ona, tylko w odwrotnym kierunku.

Pod osłoną opuszczonych budynków i drzew podążać na wschód, a potem na południe.

Zataczać łuk i szukać jej.

Gdyby musiała go tropić w labiryncie ruin i topoli, wśród których on też na nią polował, szansę, że to ona wyjdzie z tego z życiem, byłyby mizerne.

Straciłaby przewagę zaskoczenia.

A chociaż został ranny, był zawodowcem, a ona amatorem.

Szczęście nie sprzyja amatorom.

Szczęście nie sprzyja również tym, którzy okazują wahanie.

Trzeba działać.

Działanie musiało być także dewizą Kevina, wpojoną mu przez wojskowych lub innych specjalistów, którzy go szkolili, a prawdopodobnie również przez doświadczenie.

Nagle nabrała pewności, że na nią poluje i że ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewa po projektantce gier wideo i żonie malarza pokojowego, jest to, iż podąży śmiało jego śladem i będzie go szukać.

.

Może miała rację.

A może nie.

Uznała, że nie powinna zachodzić go od tyłu ani czekać w ukryciu, aż się pojawi, ale właśnie ruszyć za nim, tropiąc go po śladach, które pozostawił na świeżym śniegu.

Nie odważyła się przechodzić przez snop światła z reflektorów.

Równie dobrze mogłaby zastrzelić się sama.

Wycofała się zatem skulona wzdłuż boku samochodu, oddalając się od przednich świateł.

Przy tylnym zderzaku zawahała się, lecz potem przeszła na tył BMW.

Czerwone tylne światła były znacznie słabsze niż przednie, ale spływające z góry płatki śniegu zamieniały się w krew, kiedy padał na nie ich blask.

Kłęby spalin wyglądały jak krwawa mgła.

Spaliny zapewniały Martie osłonę, lecz także oślepiły ją, niczym karmazynowe opary kadzidła nad ołtarzem ofiarnym.

Potem znalazła się poza szkarłatną chmurą, niebezpiecznie odsłonięta po północnej stronie samochodu.

Działanie, które w zamyśle wydawało się śmiałe, stało się lekkomyślne w wykonaniu.

Pochylona, podbiegła do śladów prowadzących od otwartych przednich drzwi BMW.

Odciski stóp i krople krwi, na wpół przysypane już śniegiem, świadczyły, że Kevin poszedł w kierunku okrągłej ceglanej budowli kilkanaście metrów dalej.

Nie widziała wyraźnie tego budynku zza samochodu.

Teraz, kiedy mogła przyjrzeć mu się lepiej, wydał jej się dosyć tajemniczy.

Dwumetrowa zakrzywiona ściana ginąca w ciemnościach.

Niski, kopulasty dach.

Trudno było dokładnie określić średnicę budowli, ale z pewnością miała co najmniej dziesięć metrów.

Schody z ozdobnymi kamiennymi poręczami prowadziły na dach, gdzie prawdopodobnie znajdowało się wejście; nasuwał się logiczny wniosek, że większa część budynku mieści się pod ziemią.

Kiva.

Przypomniała sobie tę nazwę z filmu dokumentalnego, który kiedyś widziała.

Kiva, podziemna komnata obrzędowa, duchowe centrum wioski.

Kiedy oddaliła się od samochodu, cienie stały się głębsze, a z każdą chwilą grubszy kożuch śniegu przykrywał trop.

Ślad pozostał jednak widoczny, ponieważ odciski stóp przemieniły się w szerokie bruzdy, jakby ranny mężczyzna powłóczył nogami, a krople krwi ustąpiły miejsca większym plamom.

Serce jej waliło, bębenki w uszach pulsowały w tym samym rytmie, kiedy szła w stronę schodów, drżąc na myśl, że Kevin wspiął się na dach, zszedł do wnętrza i czeka na nią w przytulnej, zacisznej ciemności.

Przy schodach jednak zawahał się, świadczyły o tym rozleglejsze plamy krwi, a potem ruszył wzdłuż ściany.

Martie przywarła plecami do muru i ostrożnie okrążyła budowlę, aż znalazła się w jeszcze głębszych ciemnościach, ściskając pistolet maszynowy obiema rękami i nie odrywając palca od spustu.

Mroczny cień rozświetlało jedynie słabo rozpostarte na ziemi prześcieradło śniegu i spadające, fosforyzujące płatki.

Odgłos pracującego silnika samochodu, stłumiony przez budynek i śnieżną kurtynę, był teraz ledwie słyszalny.

Przystanęła, próbując wyłović w ciemnościach chrzęst kroków lub urywany oddech swojej zwierzyny, ale nic nie słyszała.

Nawet w gęstym mroku mogła iść tropem Kevina, prowadziła ją krew, szlak czerni na dziewiczej bieli śniegu, wijący się zapętlonym wzorem, jakby ścigany pisał wciąż tę samą cyfrę.

Martie podziękowała Bogu, że krwi jest tak dużo.

Była przerażona, że wyraża wdzięczność za krew innej istoty ludzkiej, lecz mimo to nie mogła stłumić poczucia dumy z własnej skuteczności.

Przez tę dumę, ostrzegł ją wewnętrzny głos, może jeszcze zarobić kilka kul.

Posuwając się ostrożnie naprzód, pamiętała o tym, by spoglądać co jakiś czas za siebie, na wypadek, gdyby Kevin okrążył budynek i skradał się teraz za nią.

Raptem potknęła się o jakiś leżący na ziemi przedmiot, a kiedy odwróciła głowę, ujrzała ciemny kształt bardziej geometryczny niż wzór krwi.

Zamarła ze strachu, że hałas ją zdradził, lecz również ze zdumienia.

Nie wierząc własnym oczom, przyklękła, aby dotknąć przedmiotu, który przed chwilą kopnęła.

Drugi pistolet maszynowy.

Potrzebowała obu rąk, aby posłużyć się bronią, którą wcześniej zdobyła.

Cisnęła porzucony pistolet Kevina za siebie, nie obawiając się już, że mógłby jej zagrozić z tamtej strony.

Dziesięć kroków dalej spostrzegła ciemny kształt; wyteżywszy wzrok, rozpoznała rozrzucone nogi na ośnieżonej ziemi.

Kevin siedział oparty o ścianę kivy, jakby szedł przez cały dzień i był potwornie zmęczony.

Jego głowa była przechylona w lewo.

Ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

Nie widziała, by z jego ust wydobywały się obłoczki pary.

Z drugiej strony, nie było wystarczająco jasno, aby to stwierdzić.

Własnego oddechu też nie widziała.

Wreszcie podeszła bliżej, przykucnęła i ostrożnie przycisnęła zziębnięte palce do jego szyi, tak jak zrobiła to wcześniej z Zacharym.

Jeśli żył, nie mogła odejść i pozwolić mu umrzeć w samotności.

Nie zdążyłaby sprowadzić pomocy, aby go uratować, a nawet gdyby pomoc mogła dotrzeć na czas, nie odważyłaby się szukać jej w tych okolicznościach, kiedy wisiała nad nią groźba oskarżenia o morderstwo.

Mogła jednak zostać przy nim do końca, czuwać, ponieważ nikt, nawet taki człowiek jak ten, nie powinien umierać samotnie.

Nieregularne tętno.

Podmuch gorącego oddechu na grzbiecie jej dłoni.

Jego ręka poderwała się jak sprężynowa pułapka i chwyciła ją za nadgarstek.

Martie straciła równowagę i upadła na plecy, przyciskając spust.

Szarpnięty odrzutem pistolet podskoczył jej w rękę, a kule przeszły gałęzie pobliskiej topoli.

* * *

W bagażniku BMW czas nie płynął normalnie, sekundy wlokły się jak minuty, a minuty jak godziny.

Martie kazała Dusty'emu czekać, być cicho, ponieważ nic nie słyszała.

Jeden dostał, powiedziała.

Jeden, a może obaj.

To „może” napawało go przerażeniem.

To maleńkie „może” było jak pożywka na szalce Petriego, na której nie rosły bakterie, lecz strach, a tym, co zdążyło wyrosnąć, Dusty zadławił się już prawie na śmierć.

Od momentu, kiedy zamknęli go w bagażniku, badał po omacku przestrzeń, zwłaszcza krawędź pokrywy, szukając blokady zamka.

Nie znalazł jej.

Z boku leżały jakieś narzędzia.

Klucz nasadowy, ręczny podnośnik i łom.

Ale nawet gdyby udało się podważyć zamkniętą pokrywę, dźwignię należało założyć z zewnątrz, a nie od wewnątrz.

Myśl, że ona jest tam z nimi sama, potem strzały i nagle cisza.

Tylko odgłos pracującego silnika, basowe tętnienie w podłodze bagażnika.

Czekanie, czekanie wypełnione strachem.

Wreszcie czekanie stało się nie do zniesienia.

Leżąc na boku, przesunął płaskim końcem łomu wzdłuż krawędzi obitej wykładziną płyty na przedniej ściance bagażnika, podważył nity, odgiął krawędź płyty, chwycił ją w palce i z niemałym trudem oderwał i położył na podłodze.

Odłożył łom, odwrócił się na plecy, podciągnął kolana pod brodę, tak daleko jak pozwalała na to ciasna przestrzeń, i uderzył stopami w przednią ściankę bagażnika, którą tworzyło tylne siedzenie samochodu.

Uderzył znów, i znów, po raz czwarty, piąty, łapiąc oddech, serce mu waliło...

...

ale nie waliło tak głośno, by nie usłyszał kolejnej serii strzałów, twardego, nieprzyjemnego jazgotu automatycznej broni w oddali.

Może obaj dostali.

A może nie.

Martie nie miała pistoletu maszynowego.

Miały te zbiry.

Wstrzymał oddech, nasłuchując, ale nie było dalszych strzałów.

Znów zaczął kopać, kopać, kopać, dopóki nie usłyszał trzasku pękającego plastiku i nie poczuł, że coś się zmieniło.

Cienka wstążka bladego światła w ciemnościach.

Światło z kabiny dla pasażerów.

Obrócił się i zaczął naciskać rękoma, napierać ramieniem, jęcząc z wysiłku.

* * *

Umierający człowiek wyteżył resztki sił, żeby złapać Martie za nadgarstek, choć pewnie chciał tylko zwrócić na siebie jej uwagę.

Kiedy zachwiała się i przewróciła na plecy, posyłając serię w drzewo, ręka Kevina puściła ją i opadła.

Z drzewa posypały się kawałki gałęzi, odbiły się od ceglanej ściany i spadły na śnieg, a Martie odpełzała do tyłu i podniosła się na kolana, ściskając w obu rękach pistolet.

Wymierzyła broń w Kevina, ale nie pociągnęła za spust.

Ostatnie kawałki topoli uderzyły o ziemię i w powracającej ciszy mężczyzna wycharczał: – Kim jesteś?

Pomyślała, że pewnie mający w ostatnich sekundach życia, że umysł mu się mąci na skutek utraty krwi.

– Lepiej pojednaj się ze światem – poradziła łagodnie, ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy.

Była to jedyna trafna rada, jakiej można by udzielić, nawet gdyby ten człowiek był świętym, a szczególnie stosowna, jeśli zważyć, jak bardzo oddalił się od świętości.

Kiedy zaczerpnął powietrza, aby znów się odezwać, osąd, że mający, wydał się pochopny.

Głos miał wąty jak płótno utkane wiele stuleci temu.

– Kim jesteś naprawdę?

Ledwie widziała słaby blask jego oczu.

– Z kim...

mieliśmy...

do czynienia?

Przeszedł ją dreszcz, niemający nic wspólnego z zimnem czy śniegiem, ponieważ przypomniała sobie podobne pytanie, które zadał Dusty na temat doktora Ahrimana, zanim skręcili z drogi na ranczo i wjechali na stalową kolczatkę.

– Kim...

jesteś...

naprawdę?

– spytał znowu Kevin.

Zakrztusił się i zadławił ochrypłym kaszlem wzbierającym mu w gardle.

W rześkim powietrzu uniósł się miedziany zapach, który wydał z siebie wraz z ostatnim tchnieniem, a potem krew popłynęła mu z ust.

Jego odejściu nie towarzyszyło najmniejsze zawirowanie śniegu, najślabszy błysk przesłoniętego księżycyca, najlżejszy powiew wiatru w konarach drzew.

Pod tym względem jej śmierć, kiedy prędzej czy później nadejdzie, będzie podobna: świat pozostanie obojętny, tocząc się łagodnie ku olśnieniu nowego brzasku.

Martie podniosła się jak we śnie i stała przez chwilę, wstrząśnięta i trochę zdumiona, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to ostateczne pytanie.

Wróciła po własnych śladach, powtarzając drogę, która doprowadziła ją do niego.

Raz oparła się o ścianę.

Idąc ku światłu przez padający obficie śnieg, Martie trzymała pistolet w obu rękach, zdjęta niemal zabobonnym lękiem, że w pobliżu nadal czai się jakaś niebezpieczna istota, lecz potem opuściła broń, gdyż uświadomiła sobie, iż owa niebezpieczna istota wpatruje się w mrok jej oczami.

Szła na otwartą przestrzeń, w stronę samochodu i otaczających go ruin.

Świat roztapiał się stopniowo i rozpływał w śnieżnej zamieci.

Dusty, uwolniwszy się z bagażnika, podążał spiesznie zamazanym śladem kroków i krwi.

Na jego widok pistolet wypadł Martie z rąk.

Spotkali się u podstawy schodów i padli sobie w objęcia.

Przywarła do niego.

Świat nie mógł się roztopić i rozplynać wraz z nim, ponieważ on wydawał się wieczny, tak niewzruszony jak góry.

Zapewne to też było złudzenie, podobnie jak w przypadku gór, ale uczepiła się go kurczowo.

Rozdział 69.

Dobrze po zmroku, podciągając spodnie na pełnych brzuchach, wydlubując wykałaczkami uparte okruchy spomiędzy zębów, Skeet i jego rumiany przyjaciel wyszli pospiesznie z Zielonych Pól i ruszyli prosto do swego katastrofalnego dla środowiska pojazdu, którego silnik zaskoczył, wypływając kłęby spalin, a doktor mógłby przysiąc, że poczuł ich smród nawet w zamkniętym el camino.

Minutę później wyszła z restauracji Jennifer, dziarska i rześka jak młody koń.

Wykonała kilka ćwiczeń, by rozruszać mięśnie pośladków, ścięgna, stawy i pęciny.

Potem skierowała się w stronę domu, już nie galopem, lecz swobodnym cwałem, potrząsając grzywą, ze śliczną główką wypełnioną bez wątpienia marzeniami o świeżej słomie wolnej od stajennych myszy i o pysznym chrupiącym jabłku przed snem.

Równie niezmordowani co bezmyślni detektywi ruszyli za nią, lecz ich zadanie komplikował teraz wolniejszy krok źrebicy i ciemność.

Chociaż nawet Skeet i jego koleżka mogli się niebawem zorientować, że ta kobieta nie ma umówionego spotkania z doktorem, a ich prawdziwa zwierzyna już dawno im się wymknęła, Ahriman postanowił zaryzykować i nie jechać za nimi.

Znów ruszył przodem, tym razem kierując się w stronę uliczki przed osiedlem, w którym mieszkała Jennifer.

Zaparkował pod rozłożystymi konarami drzewa koralowego, dostatecznie wielkiego, by mógł służyć za dom gościnny rodzinie Robinsonów Szwajcarskich, chroniony tam przed blaskiem pobliskich latarni ulicznych.

W innych okolicznościach Martie i Dusty udaliby się prosto na policję, lecz tym razem postanowili dobrze to rozważyć.

Wspominając oszpeconą twarz Bernarda Pastore i rozczarowanie, jakie spotykało ranczera, ilekroć próbował szukać sprawiedliwości, Dusty wzdragał się na myśl o sprowadzeniu tu policji.

Gołe fakty zapewne nie przekonałyby przedstawicieli prawa, że Instytut Bellona-Tocklanda, oddany szlachetnej sprawie światowego pokoju, mógł mieć coś wspólnego z wynajęciem zastrzelonych mężczyzn.

Czy w sprawie domniemanego samobójstwa pięcioletniej Valerie-Marie Padilli przeprowadzono jakieś poważne dochodzenie?

Nie.

Czy ktoś został ukarany?

Nikt.

Carl Glyson, fałszywie oskarżony, pospiesznie skazany, zakłuty nożem w więzieniu.

Jego żona, Terri, umarła ze wstydu, jeśli wierzyć Zinie.

Jaką znaleźli sprawiedliwość?

I Susan Jagger.

Zginęła z własnej ręki, owszem, lecz jej ręką kierował ktoś inny.

Przekonanie o tym wszystkim policjantów, nawet tych uczciwych, będzie bardzo trudne albo wręcz niemożliwe.

A wśród nich znajdowali się też skorumpowani, którzy nie szczędzili starań, aby prawda nigdy nie wyszła na jaw.

Posługując się silną latarką znaną w BMW, przeszukali pobliskie ruiny i szybko znaleźli starą

studnię, o której wspominali dwaj wynajęci zabójcy.

Wyglądała jak naturalny szyb w miękkiej skale wulkanicznej, poszerzony ręcznie i umocniony zaprawą murarską, otoczony niskim kamiennym ocembrowaniem, ale bez ochronnego daszka.

Snop światła z latarki nie sięgał dna studni.

Śnieg opadał spiralnie w głąb szybu, połyskując w świetle jak roje ciem, niknąc w ciemności; z dołu dolatywał słaby zapach wilgoci.

Dusty i Martie wspólnymi siłami przyciągnęli pod studnię ciało Zacharego, przerzucili je przez niskie ocembrowanie i słuchali, jak obija się o ściany.

Martwy człowiek spadał tak długo, że Dusty zastanawiał się, czy kiedykolwiek dotrze do dna.

Kiedy ciało zakończyło wreszcie swą ostatnią drogę, upadkowi nie towarzyszył plusk ani głuchy łomot, lecz odgłos, który miał w sobie coś z obu tych dźwięków.

Zapewne woda na dole nie była tak czysta jak za dawnych czasów, lecz gęsta od zbierającego się przez stulecia osadu, a może i od szczątków innych nieszczęśników, którzy wcześniej znaleźli tu miejsce wiecznego spoczynku.

W ślad za odgłosem upadku rozległo się mokre, obleśne cmokanie, jakby coś, co żyło tam w dole, zaczęło pożerać lub tylko badać zwłoki, próbując rozpoznać dotykiem twarz i korpus.

Najprawdopodobniej ciało naruszyło uwięzione w lepkiej mazi pęcherze trującego gazu, który wydobywał się teraz z bulgotem na powierzchnię.

Przecignięcie pod studnię drugich zwłok wyczerpało ich oboje, choć nie tylko na skutek wysiłku fizycznego.

Kevin stracił więcej krwi niż Zachary, a nie cała zdążyła zamarznąć na jego skórze i ubraniu.

Poza tym cuchnął, wypróżniwszy się najwidoczniej w bólach przedśmiertnych.

Ciężki, lepki, tak samo uparty po śmierci jak za życia, okazał się trudnym do przeniesienia bagażem.

Znacznie gorszy był jednak jego widok, najpierw w snopie światła latarki, kiedy siedział oparty o ścianę kivy, a potem w blasku samochodowych reflektorów, gdy na wpełnieśli, a na wpełnie wlekli go po ośnieżonej ziemi.

Jego zalana krwią broda, zaplamione na czerwono zęby i wąsy, jego szara skóra pod białymi cętkami śniegu.

W szklistych oczach zastygł tak czysty i przesywający wyraz przerażenia, że w swojej ostatniej minucie musiał ujrzeć twarz samej śmierci nachylonej do pocałunku, a za pustymi oczodołami trupiego oblicza kostuchy niewypowiedzianą wieczność.

Praca potępionych, a jeszcze tyle mieli do zrobienia.

Pracowali w ponurym milczeniu, ponieważ żadne z nich nie ośmieliło się wyrzec słowa.

Gdyby mieli rozmawiać o tym, co robią, ta niezbędna praca stałaby się niemożliwa.

Byliby zmuszeni odwrócić się ze zgrozą.

Wrzucili Kevina do studni, a kiedy spoczął na dnie z jeszcze bardziej twardym odgłosem niż jego partner, upadkowi znów towarzyszył ten straszliwy bulgot.

Wyobraźnia podsunęła Dusty'emu upiorną scenę powitania Zacharego i Kevina przez ich poprzednie ofiary, koszmarnie postacie w różnych stadiach rozkładu, pałające pragnieniem zemsty.

Chociaż na powierzchni Nowy Meksyk jest spalony słońcem, pod spodem rozciąga się zbiornik wodny tak ogromny, że tylko jego niewielka część została dotąd zbadana.

To tajemnicze morze zasilają podziemne rzeki przynoszące wody zarówno z wysokich równin w środkowych Stanach Zjednoczonych, jak i z Gór Skalistych.

Jaskinie Karlsbadzkie wyrzeźbiła nieustająca praca takich wód sączących się przez szczeliny w miękkim wapieniu, a bez wątpienia są tam jeszcze nieodkryte sieci jaskiń dostatecznie wielkich, by pomieścić całe miasta.

Gdyby po tym morzu kursowały widmowe okręty z umarłymi na pokładzie, ci dwaj nowi rekruci mogliby spędzić wieczność jako wioślarze na galerach lub majtkowie stawiający spleśniałe żagle na zbutwiałych galeonach, płynących z urojonym wiatrem, pod niebem z kamienia, do nieznanych portów pod Albuquerque, Portales, Alamogordo i Las Cruces.

W dole rozpościerał się ocean, ale na powierzchni nie było żadnej wody, aby zmyć krew z rąk.

Zaczerpnęli pełne garście śniegu i zaczęli szorować, aż rozboleły ich zmarznięte palce, aż skóra zrobiła się czerwona od tarcia, a potem biała z zimna, a oni szorowali i szorowali, coraz mocniej i mocniej, próbując nie tylko się umyć, lecz także oczyścić.

Z nagłym poczuciem zbliżającego się szaleństwa Dusty spojrzął znad swoich obolałych dłoni i zobaczył, że Martie klęczy, pochylona do przodu, z wyrazem obrzydzenia na twarzy, z czarnymi włosami przykrytymi koronkową białą mantylą.

Nacierając ręce ubitym twardo śniegiem, który zmienił się już po części w kłujący lód, szorując tak zawzięcie, że niebawem mogła zacząć krwawić.

Chwycił ją za nadgarstki, zmusił łagodnie, by wypuściła stwardniałe grudy śniegu, i powiedział: – Wystarczy.

Skinęła głową.

Głosem drżącym ze zgrozy i z wdzięczności oznajmiła: – Szorowałabym całą noc, gdybym mogła zmyć ostatnią godzinę.

– Wiem – powiedział.

– Wiem.

* * *

W pięćdziesiąt minut Jennifer przycwałowała do domu, gdzie czekał ją zasłużony odpoczynek i ciepła derka.

Jej płochliwi jednochodźcy, Skeet i rumiany mężczyzna, zjawili się wkrótce po niej.

Wjechali na osiedlowy parking i zatrzymali się, by popatrzeć, jak Jennifer wchodzi do budynku.

Ze swego posterunku pod rozłożystym drzewem koralowym doktor śledził śledzących, gratulując sobie w duchu cierpliwości.

Dobry gracz powinien wiedzieć, kiedy wykonać ruch, a kiedy czekać, choć czekanie mogło wystawić jego nerwy na ciężką próbę.

Najwidoczniej Martie i Dusty lekkomyślnie powierzyli Skeeta opiece rumianego mężczyzny.

Nagrodą za cierpliwość będą zatem dwa zbite pionki i premia w grze.

Zdażył już poznać dwóch detektywów wystarczająco dobrze, by zakładać z dużą dozą pewności, iż nawet oni będą zbyt znudzeni i zniechęceni, aby dalej prowadzić obserwację, i przyznają wreszcie, że pokpili sprawę.

Poza tym obaj chłopcy, napchani rabarbarowym gulaszem i potrawką ze słodkich ziemniaków, są z pewnością senni i ociężali, złaknieni domowych wygod: poplamionych foteli z podnóżkami i kretyńskich seriali, których dostarcza ogromny, zwariowany, hałaśliwy, termonuklearny amerykański przemysł rozrywkowy.

Kiedy poczują się przytulnie i bezpiecznie, uderzy.

Miał tylko nadzieję, że Martie i Dusty wrócą z Nowego Meksyku żywi i zdążą jeszcze zidentyfikować zwłoki i je oplakać.

Ku zaskoczeniu Ahrimana mężczyzna w ciemnych okularach Mount Palomar wysiadł z półciężarówki, okrążył ją i wypuścił z naczepy kempingowej psa.

To mogła być komplikacja, która wymagała drobnych zmian w strategii.

Mężczyzna wyprowadził psa na osiedlowy trawnik.

Pies dokładnie obwąchał trawę i po kilku próbnych podejściach załatwił swoje potrzeby.

Ahriman rozpoznał psa.

Był to łagodny i strachliwy retriever Dusty'ego i Martie.

Lotos?

Lowelas?

Lizus?

Lokaj.

Żadne zmiany w strategii nie będą konieczne.

No, może jedna.

Będzie musiał zachować jedną kulę dla psa.

Mężczyzna odprowadził Lokaja do naczepy i wrócił do kabiny półciężarówki.

Doktor przygotował się na leniwy pościg, ale półciężarówka nie ruszyła.

Po minucie pojawił się Skeet.

Trzymając w ręku latarkę i niezidentyfikowany błękitny przedmiot, przeszukiwał teren, gdzie przed chwilą załatwił się pies.

Skeet szybko znalazł to, czego szukał.

Błękitny przedmiot okazał się plastikową torbą.

Sprzątnąwszy po psie, Skeet zacisnął wylot torby, zawiązał na podwójny węzeł i umieścił zawiniątko w czerwonym pojemniku na śmieci, który stał obok półciężarówki.

Gratulacje, państwo Caulfield.

Chociaż wasz syn jest niezaradnym, palącym trawkę, wachającym kokę, łykającym pigułki głupkiem o inteligencji karpia, na drabinie odpowiedzialności społecznej stoi o jeden szczebel wyżej od tych, którzy nie sprzątajają psich gównien.

Półciężarówka wyjechała z parkingu, minęła el camino i skierowała się na wschód.

Ponieważ ulica była długa i prosta, z widocznością na co najmniej pięć przecznic, i ponieważ półciężarówka jechała powoli, doktor uległ dziecięcej pokusie.

Wysiadł z el camino, podbiegł do czerwonego pojemnika na śmieci, wyjął błękitną torbę, wrócił do samochodu i ruszył w pościg, zanim półciężarówka zniknęła mu z oczu.

Podczas przesłuchania Skeeta, które było częścią sesji programującej, doktor dowiedział się o figlu spletanym niegdyś Holdenowi Caulfieldowi Starszemu.

Kiedy Skeet i matka Dusty'ego zamienili ojca Skeeta na doktora Dereka Lamptona, szalonego psychiatrę, bracia pozbiali psie odchody z całego sąsiedztwa i anonimowo wysłali je pocztą wielkiemu profesorowi literatury.

Chociaż doktor Ahriman nie wiedział jeszcze, co zrobi z produktem przemiany materii Lokaja, nie wątpił, że znajdzie dla niego jakieś zabawne zastosowanie.

Doda wdzięczną nutę zapachową o znaczeniu symbolicznym do jednego z wielu zgonów, jakie miały

niebawem nastąpić.

Położył błękitną torbę na podłodze przed fotelem pasażera.

Zawiązany plastik był zdumiewająco szczelny: z torby nie wydostawał się najmniejszy ślad nieprzyjemnego zapachu.

Teraz, pewien, że dzięki swym umiejętnościom pozostanie niewidzialny dla opiekunów Lokaja, doktor ruszył za półciężarówką.

Czekała go pełna wrażeń noc, a miał jeszcze pięć z dziewięciu kokosowych baloników w czekoladzie i dziesięć kul w magazynku.

* * *

Wyczerpana fizycznie, otepiała umysłowo i roztrzęsiona emocjonalnie Martie przetrwała następną godzinę, powtarzając sobie, że czynności, które teraz wykonują, to po prostu sprzątanie.

Musieli poukładać wszystko na swoim miejscu.

Nie lubiła sprzątać, ale zawsze czuła się lepiej, kiedy zrobiła porządek.

Wrzucili do studni oba pistolety maszynowe.

Chociaż było mało prawdopodobne, by znaleziono zwłoki, Martie postanowiła pozbyć się też swojego colta, ponieważ w obu ciałach tkwiły wystrzelone z niego kule.

Ktoś w instytucie musiał wiedzieć, co wynajęci zabójcy zamierzali zrobić z nią i z Dustym, i mógł zacząć szukać na własną rękę, gdy Kevin i Zachary nie zameldują o wykonaniu zadania.

Wolała nie ryzykować.

Nie chciała jednak wrzucać go do studni, aby nie został znaleziony z ciałami i nie doprowadził do Dusty'ego.

Pomiędzy tym miejscem a Santa Fe rozciągały się kilometry bezludnej pustyni; tam colt przepadnie na zawsze.

Na przednim siedzeniu BMW nie było dużo krwi, ale i tak dość, by stanowiła problem.

Ze skrzynki z narzędziami w bagażniku Dusty wyciągnął dwie szmaty.

Posłużył się jedną i garścią stopionego śniegu, by w miarę możliwości oczyścić obicie.

Martie zatrzymała drugą szmatę do późniejszego użytku.

Na podłodze przed fotelem pasażera leżał magnetofon.

Była tam również jej torebka i to, co w niej pozostało – w tym także mikrokasety, na których nagrali relacje Chase'a Glysona i Bernarda Pastore.

Najwidoczniej Zachary lub Kevin znalazł kasety, kiedy Martie siedziała na ziemi w pobliżu przewróconego samochodu, łapiąc oddech i przecierając oczy zażawione od oparów benzyny.

Niewątpliwie kasety też trafiłyby do studni.

Wiatr jeszcze się nie zerwał.

Chociaż śnieg nie unosił się w powietrzu oślepiającą kurzawą, widoczność była słaba i obawiali się, że nie trafią do drogi na ranczo.

Okazało się to jednak łatwiejsze, niż przypuszczali, ponieważ drogę porastały z obu stron kępy szaławii i kaktusy.

Z zimowymi oponami i łańcuchami samochód nie bał się złej pogody.

Wrócili piaszczystą drogą do miejsca, gdzie wypożyczony ford wjechał na kolczatkę.

Świecąc sobie latarką, zeszli łagodnym zboczem niecki.

Przewrócony samochód był pochylony do przodu, toteż Dusty bez problemu otworzył bagażnik i wyciągnął z niego dwie walizki.

Wnieśli je po śliskim zboczach, zostawiając we wraku wóz strażacki Figi i kilka drobiazgów, które wypadły z torebki Martie; wokół samochodu nadal unosił się zapach benzyny, woleli nie kusić losu.

Później, zanim dotarli do głównej szosy, Dusty zatrzymał BMW, a Martie odeszła kilkanaście metrów od żwirówki i wybrała miejsce, w którym zamierzała zakopać colta.

Piaszczysta ziemia nie zamarzła.

Pracując obiema rękami, wygrzebała niewielką jamę, włożyła do niej pistolet i przysypała go ziemią.

Znalazła kawałek skały wielkości torby cukru i umieściła go nad jamą.

Byli teraz nieuzbrojeni i mieli więcej wrogów niż kiedykolwiek.

W tej chwili Martie czuła się jednak zbyt zmęczona, aby się tym przejmować.

Poza tym nie chciała już nigdy strzelać.

Może jutro lub pojutrze zmieni zdanie.

Czas wszystko leczy.

Nie, nie wszystko.

Ale czas mógł ją zahartować.

Zakończywszy sprzątanie, Martie wróciła do samochodu i Dusty ruszył w stronę Santa Fe.

* * *

Ahriman jechał na południe Autostradą Nadbrzeżną między Corona Del Mar a Laguna Beach.

Ruch był niewielki.

Mieszkańcy okolicznych domów jedli kolację lub odpoczywali.

Tylko wystrzępione chmury płynęły wolno na wschód.

Zimne gwiazdy, lodowy księżyc.

I czarny cień skrzydeł.

Nocny ptak szuka ofiary.

Tego wieczoru nie krytykował swoich wierszy.

Udzielił sobie moratorium na obsesję na punkcie wysokich standardów artystycznych.

Bądź co bądź dzisiaj był nie tyle artystą, ile łowcą, chociaż jedno nie wykluczało drugiego.

Znowu czuł się młody i wolny jak nocny ptak.

Nie zabił nikogo od czasu, gdy ofiarował ojcu zatrute czekoladki i przebił serce Viveki centymetrowym wiertłem.

Przez ponad dwadzieścia lat zadowalał się mordowaniem posłusznymi rękami pośredników.

Zdalnie sterowane zabójstwo było, rzecz jasna, bezpieczniejsze niż akcja bezpośrednia.

Człowiek, który jest szanowanym członkiem społeczeństwa i ma wiele do stracenia, musi zachowywać w tych sprawach szczególną ostrożność, musi nauczyć się znajdować większą przyjemność w sprawowaniu władzy nad innymi istotami ludzkimi, w zmuszaniu ich do popełnienia morderstwa, niż w samym akcie morderstwa.

A doktor czerpał dumę z faktu, że jego wrażliwość jest nie tylko wyrafinowana, lecz i wydestylowana do krystalicznej czystości.

Mimo to nie mógł zaprzeczyć, iż tęskni niekiedy za dawnymi czasami.

Pozostał sentymentalny.

Perspektywa unurzania się w mokrej ohydzie ostatecznej przemocy sprawiła, że znów poczuł się jak mały chłopiec.

A zatem ta jedna noc.

Ta jedna chwila rozkoszy.

A potem kolejne dwadzieścia lat niezachwianej wstrzemięźliwości.

Przed nim, nie włączając kierunkowskazu, półciężarówka skręciła w prawo, w boczną uliczkę prowadzącą przez niezabudowany teren na parking przy publicznej plaży.

Taki obrót wydarzeń zaskoczył Ahrimana.

Dojechał do skrzyżowania, zatrzymał się i wyłączył przednie światła.

Półciężarówka zniknęła z pola widzenia.

O tej godzinie, zwłaszcza w zimną noc styczniową, Skeet i rumiany mężczyzna byli zapewne jedynymi ludźmi, którym przyszła ochota wybrać się na plażę.

Gdyby pojechał za nimi dalej, nawet ci idioci zorientowaliby się, że ich śledzi.

Postanowił odczekać dziesięć minut.

Jeśli nie wrócą, pojedzie za nimi.

Pusta plaża może być bardzo odpowiednim miejscem, żeby z nimi skończyć.

Rozdział 70.

W świetle dnia Santa Fe mogło wydawać się urzekające, ale w tę śnieżną noc nawet ulica, którą jechali, wyglądała złowieszczo.

Martie o wiele silniej niż wcześniej odczuwała wysokość.

Powietrze było zbyt rzadkie, aby się nim nasycić.

Kuliła się z powodu dziwnej słabości w piersiach, suchej pustki, jakby jej płuca zapadły się i nie chciały pracować.

Lekkość w ciele, nieprzyjemna nieważkość wywoływała przyprawiające o mdłości wrażenie, że na tych wysokościach siła ciężenia jest mniejsza i nierozważny ruch grozi oderwaniem się od ziemi.

Wszystkie te odczucia były subiektywne, ponieważ naprawdę chciała opuścić Santa Fe nie z powodu rozrzedzonego powietrza czy obawy, że mogłaby wzbić się ponad ziemię.

Chciała stąd uciec, ponieważ tutaj dowiedziała się o sobie czegoś, czego wolałaby nie wiedzieć.

Może jeśli oddali się od Santa Fe, łatwiej pogodzi się z tymi odkryciami.

Poza tym ryzyko było zbyt wielkie.

Może nikt nie zatęskni za Kevinem i Zacharym jeszcze przez wiele godzin.

Bardziej prawdopodobne jednak, że mieli złożyć komuś raport po wykonaniu zlecenia, z którym do tej pory powinni już sobie poradzić.

Niebawem ktoś może zacząć szukać ich, samochodu, a potem Martie i Dusty'ego.

– Albuquerque – zasugerował Dusty.

– Jak daleko?

– Około stu kilometrów.

– Dojedziemy w taką pogodę?

Wreszcie zerwał się władczy wiatr, smagając batem śnieg, póki ten nie przerodził się w zamieć śnieżną.

Przez wysokie równiny mknęły dobrze wyszkolone armie białych duchów.

– Może nie będzie tak padać, kiedy znajdziemy się niżej.

– Albuquerque jest większe od Santa Fe?

– Sześć, siedem razy.

Łatwiej się tam ukryć do rana.

– Mają lotnisko?

– Ogromne.

– No to jedźmy.

* * *

Gdy doktor Ahriman czekał na poboczu autostrady, gwałtowny wiatr tarosił wysoką nadmorską trawą i potrząsał el camino mocniej niż pęd przejeżdżających samochodów i ciężarówek.

Tak silny wiatr powinien stłumić odgłos wystrzałów, a przynajmniej zniekształcić do tego stopnia, że komuś, kto usłyszałby huk, byłoby trudno ustalić jego źródło.

Mimo to doktor miał wątpliwości.

Co te dwie oferty robią na plaży o tej porze, w taką pogodę?

A jeżeli należą do tych obłąkańców, którzy sprawdzają swoją wytrzymałość, pływając w zimnej

wodzie?

Morsy, jak sami się nazywają.

Czy aby morsy nie lubią kąpać się nago?

Perspektywa spotkania Skeeta i jego koleśki bez ubrań wystarczyła, by zmienić stosunek doktora do czterech batoników kokosowych, które już zjadł.

Jeden chodzący szkielet i jedna żywa reklama pączków.

Nie podejrzewał, że są pedałami, chociaż nie wykluczał i takiej możliwości.

Małe romantyczne sam na sam na parkingu dla plażowiczów.

Gdyby zaskoczył ich w samochodzie obściskujących się jak dwie bezwłose małpy, czy powinien ich zabić, jak zaplanował, czy udzielić im odroczenia?

Kiedy ciała zostaną odnalezione, policja i prasa uznają, że zginęli z powodu swojej orientacji seksualnej.

To byłoby irytujące.

Doktor nie był mizantropem ani bigotem.

Wybierał swoje cele z poszanowaniem zasad czystej gry i z wiarą w równe możliwości.

To prawda, zadawał cierpienia raczej kobietom niż mężczyznom.

Miał jednak zamiar wyrównać szale w ciągu najbliższej godziny, a z pewnością do czasu, gdy skończy rozgrywać grę, do której te dwa trupy będą jedynie wstępem.

Po dziesięciu minutach, kiedy półciężarówka nie wróciła, doktor odłożył na bok swoje wątpliwości.

W imię sportu włączył przednie światła i wjechał na parking.

Półciężarówka rzeczywiście była jedynym pojazdem w zasięgu wzroku.

Parking oświetlał tylko księżyc, lecz to wystarczyło, by Ahriman zobaczył, że w kabinie półciężarówki nikogo nie ma.

Jeśli to miłosa schadzka, mogli się przenieść do naczepy kempingowej.

Potem przypomniał sobie o psie.

Skrzywił się z niesmakiem.

Z pewnością nie.

Zaparkował dwa miejsca od półciężarówki i doradził sobie pośpiech.

Policja mogła patrolować parkingi takie jak ten, aby zniechęcać nastolatków przed urządzeniem hałaśliwych pijatyk.

Gdyby tak policjanci spisali numery z tablic rejestracyjnych, rano, gdy ciała zostaną odnalezione, miałby problem.

Musi załatwić ich szybko i zniknąć, zanim gliny, lub ktokolwiek inny, zjadą z autostrady.

Naciągnął na głowę kominiarkę, wysiadł z el camino i zamknął drzwi.

Mógłby zaoszczędzić kilka cennych sekund po powrocie, gdyby zostawił samochód otwarty, nawet tutaj jednak, na długim pasie kalifornijskiego Złotego Wybrzeża, w hrabstwie Orange, gdzie wskaźnik przestępczości jest stosunkowo niski, nadal można spotkać ludzi niegodnych zaufania.

Wiatr był cudowny: chłodny, ale nie zimny, porywisty, ale nie tak silny, by utrudniał ruchy, i z pewnością zagłuszy odgłos strzałów.

Sama natura tego upadłego świata zdawała się mu sprzyjać, toteż ogarnęło go przyjemne poczucie przynależności.

Wyciągając taurusa millenium z kabury pod pachą, doktor zwawym krokiem podszedł do półciężarówki.

Zajrzał przez szybę kabiny, aby się upewnić, że nikogo nie ma w środku.

Z tyłu pojazdu przyłożył jedno osłonięte kominiarką ucho do drzwi naczepy kempingowej, spodziewając się odgłosów zwierzęcej orgii, ale nic nie usłyszał i poczuł ulgę.

Minął półciężarówkę i zobaczył dziwne światło na brzegu, około pięćdziesięciu metrów dalej na północ.

Blask księżyca oświetlał dwóch ludzi stojących kilka metrów od linii przyływu, skupionych na jakiejś czynności.

Zastanawiał się, czy szukają jadalnych skorupiaków.

Doktor nie miał pojęcia, gdzie i kiedy szuka się skorupiaków, ponieważ była to praca, a on nie interesował się takimi rzeczami.

Niektórzy urodzili się do pracy, inni do zabawy – doktor wiedział, do którego obozu przyniósł go bocian.

Z trzymetrowej skarpy prowadziły na plażę betonowe schody z metalową poręczą, ale wolał nie podchodzić do tych ludzi brzegiem.

Z pewnością zobaczyliby go w świetle księżyca i mogliby nabrać podejrzeń, że ma złe zamiary.

Ruszył więc na północ przez drobny piasek i nadmorską trawę, trzymając się w przyzwoitej odległości od krawędzi skarpy, tak aby ofiary nie dostrzegły jego sylwetki na tle nieba.

Do jego włoskich butów wsypywał się piach.

Zanim skończy, będą zbyt wytarte, by porządnie błyszczeć.

Blask księżyca na piasku.

Czarne buty muskane bladym światłem.

Czy mam winić księżyc?

Żałował, że nie zdążył się przebrać.

Wciąż miał na sobie garnitur, w którym rozpoczął dzień, straszliwie wymięty.

Wygląd stanowi ważny element strategii, a żadna gra nie jest tym, czym powinna być, jeśli rozgrywa się ją w nieodpowiednim stroju.

Na szczęście w blasku księżyca będzie wyglądał bardziej elegancko niż w rzeczywistości.

Odliczywszy w pamięci pięćdziesiąt metrów, Ahriman zbliżył się do skraju niskiego cypla i znalazł się na wprost Skeeta i jego koleżki.

Stali zaledwie parę metrów od podnóża skarpy, odwróceni plecami do niego i wpatrzeni w morze.

Był z nimi golden retriever.

On też patrzył na Pacyfik.

Wiatr wiał od morza, w stronę Ahrimana, toteż pies nie wyczuł jego zapachu.

Obserwował ich, próbując zgadnąć, co robią.

Skeet trzymał lampę sygnałową z przesłoną i systemem szybko przesuwających się soczewek, który pozwalał mu zmieniać kolor wiązki światła.

Najwidoczniej przekazywał wiadomość komuś na morzu.

Drugi mężczyzna miał w prawym ręku coś, co wyglądało na mały mikrofon kierunkowy z talerzowym odbiornikiem i pistoletowym uchwytem.

W lewym ręku trzymał słuchawki, przyciskając jedną czaszę do lewego ucha, choć przy tak silnym wietrze z pewnością nie mógł słyszeć żadnej rozmowy.

Dziwne.

Nagle Ahriman zdał sobie sprawę, że mężczyźni nie kierują lampy sygnałowej ani mikrofonu do

statków na morzu, lecz w nocne niebo.

Jeszcze dziwniejsze.

Nie rozumiejąc, na co może trafić, doktor prawie zrezygnował ze swego planu.

Za bardzo jednak pałał żądzą czynu.

Nie chcąc zwlekać ani chwili dłużej, szybko zszedł z osypującej się skarpy.

Miękki piasek tłumiał odgłos jego kroków.

Mógłby strzelić im w plecy.

Ale od czasu, gdy dał się ponieść fantazji w sklepie z zabawkami tego przedpołudnia, korciło go, by wpakować komuś kulę w brzuch.

Poza tym strzelanie ludziom w plecy nie było zabawne; nie widziało się ich twarzy, ich oczu.

Podszedł do nich śmiało i stanął przed nimi, patrząc na obu.

Wycelował millenium w rumianego mężczyznę i podniósł głos, aby przekrzyczyć wiatr i huczący przybój.

– Co tu, do diabła, robicie?

– Obcy – odparł rumiany.

– Nawiązujemy kontakt – dodał Skeet.

Uznawszy, że obaj są naćpani i nie usłyszcy od nich niczego sensownego, Ahriman dwukrotnie strzelił koledze Skeeta w brzuch.

Rumiany mężczyzna zwałił się na plecy, martwy lub umierający, upuszczając mikrofon i słuchawki.

Doktor odwrócił się do zdumionego Skeeta i jemu też strzelił dwa razy w brzuch, a Skeet upadł jak szkielet w laboratorium biologicznym, który zerwał się z metalowego stojaka.

Gwiazdy, księżyc i huk wystrzałów.

Podwójna śmierć tam, gdzie zaczęło się życie.

Morze i przybój.

Liczy się szybkość.

Nie ma czasu na poezję.

Dwie kolejne kule w pierś leżącego Skeeta wykończą go na pewno.

Twoja matka jest dziwką, twój ojciec jest oszustem, a twój ojczym ma świńskie gówno zamiast mózgu – zadrwił Ahriman.

Obrót, cel.

Bach, bach.

Jeszcze dwie kule w pierś niewydarzonego koleżki Skeeta, po prostu dla równego rachunku.

Niestety, doktor nie wiedział nic o jego rodzinie, nie mógł więc ubarwić tej chwili żadnymi zniewagami.

Ostry zapach prochu przyjemnie kłuł w nozdrza, ale niestały księżyc nie był wystarczająco jasny, by można było cieszyć się widokiem krwi i poszarpanego ciała.

Może mógłby poświęcić minutę, użyć scyzoryka i zabrać jakąś pamiątkę.

Czuł się taki młody.

Odrodzony.

Bez wątpienia śmierć jest treścią życia.

Zostały mu dwie kule.

Retriever wył, skamlał, a nawet odważył się zaszczekać, wycofując się w kierunku morza; nie zamierzał atakować.

Mimo to doktor postanowił zachować dziewiątą i dziesiątą kulę dla niego.

Kiedy ósmy strzał rozbrzmiewał mu jeszcze w uszach, wymierzył broń w psa – i w tym momencie zdał sobie sprawę, że Lokaj nie szczeka na niego, lecz na kogoś na niskim cyplu za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył dziwaczną postać spoglądającą na niego z piaszczystej skarpy.

Przez chwilę miał idiotyczne wrażenie, że to jeden z obcych, z którymi Skeet i jego kumpel próbowali nawiązać kontakt.

Potem rozpoznał biały zakiet, połyskujący w świetle księżyca, jasne włosy i arogancką pozę nowobogackiej suki.

Wcześniej, w gabinecie, w przyływie paranoi, oskarżyła go o konflikt interesów, o nieetyczne postępowanie.

„Nie zna pan KKKeau, prawda, doktorze?”

.

Wówczas sądził, że udało mu się rozwiać jej absurdalne podejrzenie, ale najwyraźniej nie.

Kto jak kto, ale doktor powinien mieć lepsze wyczucie.

Była jedną z jego pacjentek, a także przypadkiem, który zamierzał opisać w swojej następnej książce „Nie bój się, gdyż jestem z tobą”.

Osoby cierpiące na ostre obsesje lub ostre fobie – a ona cierpiała na jedno i drugie – są absolutnie nieprzewidywalne, w najgorszych przypadkach zdolne do całkowicie irracjonalnych zachowań.

Ona była kłopotem w butach za sześćset dolarów.

Jeśli chodzi o ścisłość, trzymała te buty w ręku, stojąc na piasku w samych pończochach.

Doktor poczuł się głupio: zniszczył swoje włoskie lakierki.

Do tej pory nie wiedział, jakim samochodem jeździ, ale właśnie się dowiedział.

Białym rollsroyce'em.

Kiedy tak doskonale się bawił, śledząc tych dwóch błaznów, ta przebiegła kobieta śledziła jego, spodziewając się przyłapać go na potajemnym spotkaniu z Keanu Reevesem.

Był przerażony własną krótkowzrocznością.

Wszystkie te myśli przeleciały doktorowi przez głowę w ciągu najwyżej dwóch sekund.

W trzeciej sekundzie uniósł pistolet i strzelił, poświęcając jeden z pocisków, które przeznaczył dla psa.

Może sprawił to wiatr lub odległość, może kąt lub wstrząs, jaki przeżył na jej widok, w każdym razie chybił.

Odwróciła się i zniknęła mu z oczu.

Gorzko żałując, że musi odejść, nie zabiwszy psa i bez żadnej pamiątki po dwóch zabitych, doktor pobiegł za swą cierpiącą na Keanufobię pacjentką.

Zamierzał wyleczyć ją z obsesji w sposób całkowity i ostateczny.

„Pobiegł” nie jest najtrafniejszym określeniem kroku doktora.

Na piaszczystym zboczu nie rosła ani jedna kępka trawy, która by je umacniała.

Wchodzenie okazało się znacznie trudniejsze niż schodzenie.

Piasek osypywał mu się spod stóp.

Zapadał się w nim po kostki i zanim wspiał się na szczyt, prawie musiał się czołgać.

Jego garnitur był w strasznym stanie.

Pacjentka, rącza jak gazela, znacznie go wyprzedzała, ale przynajmniej nie miała żadnej broni z wyjątkiem pantofli na wysokich obcasach.

Gdyby ją dogonił, zrobiłby dobry użytek z jedyne go pocisku, jaki pozostał w magazynku millenium, a gdyby jakimś cudem chybił nawet z bezpośredniej odległości, miał dość siły, by ją udusić.

Ale najpierw musiał ją dogonić.

Kiedy dotarła do twardej nawierzchni parkingu, pobiegła szybciej, natomiast Ahriman nadal brnął przez sypki piach.

Odległość zaczęła się zwiększać i doktor pożałował, że zjadł trzeci i czwarty batonik.

Biały rollsroyce stał u wylotu drogi dojazdowej, przodem do parkingu.

Dobiegła do niego i usiadła za kierownicą w momencie, gdy skórzane buty doktora zastukały o asfalt.

Silnik zaskoczył z rykiem.

Nadal dzieliło go od niej sześćdziesiąt metrów.

Zapłonęły przednie światła.

Pięćdziesiąt metrów.

Wrzuciła wsteczny bieg.

Opony zapiszczały na asfalcie, kiedy wcisnęła pedał gazu.

Doktor zatrzymał się, obiema rękami uniósł pistolet, i przyjął idealną postawę strzelecką: głowa i tors zwrócone w jej stronę, prawa noga cofnięta dla równowagi, lewa lekko zgięta w kolanie, plecy proste...

Za daleko.

Rolls cofał się coraz szybciej.

Po chwili skrył się za wzgórzem.

Nie było sensu strzelać.

„Liczy się tylko czas”, powiedział Anonim, najczęściej zapewne cytowany poeta w historii, i w tej chwili dla doktora Ahrimana było to bardziej prawdziwe niż kiedykolwiek.

„Wstecz, płyn wstecz, o Czasie, w swej ucieczce”, napisała Elizabeth Akers Allen, a doktor gorzko żałował, że nie ma magicznego zegarka, który mógłby dokonać takiej sztuki, ponieważ Delmore Schwartz nigdy nie wyrzekł słów prawdziwszych niż „czas to ogień, w którym płoniemy”, a doktor bał się spłonąć, chociaż krzesło elektryczne nie było narzędziem kary śmierci w stanie Kalifornia.

„Czas, szalenciec rozsypujący prochy”, pisał Tennyson, a doktor lękał się, iż jego prochy zostaną rozsypane, chociaż wiedział, że musi się uspokoić i zacząć myśleć jak Edward Young, który napisał: „Oprzyj się zębowi czasu”.

Sara Teasdale twierdziła, że „Czas to łaskawy przyjaciel”, ale nie miała pojęcia, o czym mówi, a Henry Wadsworth Longfellow napisał: „Poeci wychwalają tych, których odległe kroki rozbrzmiewają echem w korytarzach Czasu”, co nie miało absolutnie żadnego odniesienia do obecnej sytuacji, lecz doktor był geniuszem, absurdalnie dobrze wykształconym, a także roztargnionym, toteż wszystkie te myśli i niezliczone mnóstwo innych przelatywały mu przez głowę, kiedy biegł do el camino, uruchamiając silnik i wyjeżdżał z parkingu.

Zanim dotarł do Autostrady Nadbrzeżnej, biały rollsroyce zniknął.

Bogata dziwka i jej tępy mąż mieszkali w pobliskim New-port Coast, ale mogła nie pojechać prosto do domu.

W istocie, jeśli jej fobia przekształciła się w znacznie poważniejszą chorobę, niż podejrzewał, w jakąś formę psychozy paranoidalnej, mogła w ogóle nie chcieć wracać do domu, ze strachu, że Keanu lub któryś z jego siepaczy – takich jak jej uzbrojony w pistolet psychiatra – będzie tam na nią czekać, aby ją skrzywdzić.

Nawet gdyby Ahriman wiedział, że jego pacjentka wróci do domu, nie pojechałby tam za nią.

Ona i jej mąż z pewnością mieli wielu służących, a każdy z nich był potencjalnym świadkiem, razem zaś stanowili niezłą ochronę.

Doktor zerwał więc kominiarkę z głowy i pojechał do własnego domu, tak szybko jak się odważył.

Rozdział 71.

W drodze do domu z przewróconej skrzyni pamięci Marka Ahrimana nie wysypywały się już żadne poetyckie refleksje na temat czasu, lecz w ciągu pierwszej połowy dziesięciominutowej jazdy cisnęły mu się na usta wyłącznie plugawe przekleństwa – wszystkie pod adresem jego pacjentki, tak jakby mogła go słyszeć – a potem także solenne obietnice, że upokorzy ją, okaleczy i zmasakruje na wszelkie możliwe sposoby.

Było to dziecinne i niegodne jego, z czego zdawał sobie sprawę, ale musiał jakoś wyładować swoją złość.

Przez drugą połowę podróży zastanawiał się, czy i kiedy kobieta zadzwoni na policję, by zgłosić dwa morderstwa.

Jako paranoiczka mogła podejrzewać, że nikczemny Keanu kontroluje każdą agencję dochodzeniową, od miejscowych glin po Federalne Biuro Śledcze, a w takim wypadku z pewnością zachowa milczenie lub przynajmniej da sobie czas, by wszystko rozważyć, nim zwróci się do władz.

Mogła zniknąć na trochę, a nawet uciec z kraju i ukryć się, dopóki nie obmyśli jakiejś strategii.

Mając na koncie pół miliarda dolców, mogła wyjechać bardzo daleko i trudno byłoby ją znaleźć.

Myśl o jej możliwym zniknięciu zaniepokoiła go, a lodowaty pot wystąpił mu na kark.

Jego wysoko postawieni przyjaciele z pewnością pomogliby mu wykręcić się od odpowiedzialności za każdą, choćby najstraszliwszą zbrodnię popełnioną przez ludzi, nad którymi sprawował kontrolę, ale nie należało od nich oczekiwać, że uchronią go przed konsekwencjami morderstw popełnionych własnymi rękami, co było jednym z powodów, dla których przez dwadzieścia lat nie podejmował takiego ryzyka.

Zimny pot z karku spływał mu teraz po kręgosłupie.

Zawsze bardzo pewny siebie doktor nigdy jeszcze nie czuł się tak jak w tej chwili.

Zdawał sobie sprawę, że powinien szybko wziąć się w garść.

Był władcą pamięci, ojcem kłamstw i mógł stawić czoło każdemu wyzwaniu.

Dobrze, zgoda, kilka rzeczy poszło ostatnio źle, ale drobne trudności od czasu do czasu przydadzą tylko pikanterii jego grze.

Kiedy wjeżdżał do labiryntu podziemnych garaży, całkowicie odzyskał panowanie nad sobą.

Wysiadł z el camino i popatrzył z przerażeniem na piasek, który wbił się głęboko w tapicerkę i w wykładzinę podłogową.

Piasek lub ziemia są dopuszczalnymi dowodami w procesie kryminalnym.

Wydział śledczy każdego szanującego się departamentu policji potrafiłby porównać skład, wielkość ziarenek i inne cechy tego piasku z próbką piasku pobranego z miejsca zbrodni – i stwierdzić, że do siebie pasują.

Pozostawiając kluczyki w stacyjce, Ahriman zabrał z el camino tylko kilka przedmiotów.

Zawiazaną błękitną plastikową torbę z odchodami Lokaja.

Papierową torebkę z balonikami w czekoladzie.

Położył je delikatnie na granitowej podłodze garażu.

Potem szybko zzuł swoje zniszczone buty, ściągnął skarpetki i spodnie i zdjął marynarkę, rzucając to wszystko na stertę na podłodze.

Portfel, pistolet i kaburę położył obok dwóch toreb.

Do sterty garderoby dodał zapiaszczony krawat i białą koszulę, chociaż zachował

dwudziestoczerokaratową spinkę do krawata.

Co zdumiewające, piasek przywarł także do jego bielizny.

Rozebrał się więc całkowicie i dorzucił podkoszulek i gatki do stosu rzeczy, których zamierzał się pozbyć.

Użył paska, by związać garderobę w zgrabny tłumoczek.

Umieścił go na siedzeniu samochodu.

Pojedyncze ziarenka piasku przylgnęły do włosków na jego ciele.

Otrzeptał się rękami najstaranniej jak mógł.

Nagi, tylko z zegarkiem na rękę, niosąc nieliczne przedmioty, które zdecydował się ocalić, wszedł na parter domu i wjechał windą do apartamentów mieszkalnych na drugim piętrze.

Posługując się panelem kontrolnym, otworzył sekretny sejf w kominku.

W wyscietanej skrytce umieścił pistolet wraz ze słojem zawierającym oczy jego ojca i po namyśle dodał jeszcze błękitną torbę.

Był to tylko tymczasowy schowek dla obciążającego taurusa, dopóki nie zdecyduje, w jaki sposób pozbyć się go raz na zawsze.

Psie odchody mogły mu być potrzebne już jutro.

Przebrawszy się w zielony jedwabny szlafrok z czarnymi klapami i czarną szarfą, Ahriman zatelefonował do zarządcy domu, i poprosił, aby Cedric Hawthorne przyszedł natychmiast do salonu.

Kiedy Cedric zjawił się chwilę później, Ahriman uaktywnił go nazwiskiem kamerdynera z powieści kryminalnej Dorothy Sayers, a następnie wyrecytował warunkujące haiku.

Doktor z zasady nie programował swoich pracowników, lecz w imię absolutnej prywatności uznał, że powinien sprawować całkowitą kontrolę nad dwojgiem najważniejszych spośród służby domowej.

Byli dobrze opłacani, mieli zapewnioną najlepszą opiekę lekarską i ubezpieczenia emerytalne, a także wczasy – chociaż wszczepił każdemu z nich żelazny zakaz wyjadania z zapasów kuchennych jego ulubionych słodczy.

Poinstruował zwięźle Cedrica, co ma robić.

Pojedzie el camino do najbliższego punktu zbiórki używanych rzeczy na cele dobroczynne i odda tam zawiniątko z zapiaszczoną garderobą.

Następnie zatankuje bak do pełna i ruszy prosto do Tijuany w Meksyku, tuż za granicą w pobliżu San Diego.

Jeśli kosztowny pojazd nie zostanie skradziony natychmiast, zaparkuje go w jednej z najmniejbezpiecznych dzielnic Tijuany z otwartymi drzwiami i kluczami w stacyjce.

Upewniwszy się, że samochód zniknął, uda się do najbliższego dużego hotelu, wynajmie jakiś wóz i wróci do New-port Beach dobrze przed świtem.

(Ponieważ nie było jeszcze ósmej, doktor przewidywał, że Cedric zdąży wrócić przed trzecią rano).

W hrabstwie Orange odda wypożyczony samochód na lotnisku i przyjedzie do domu taksówką.

Następnie położy się do łóżka, prześpi się dwie godziny i wstanie wypoczęty, nie pamiętając, by dokądkolwiek wyjeżdżał.

Zrealizowanie tego planu mogło okazać się trudne, zważywszy na późną porę, o jakiej Cedric zjawi się w Meksyku, ale z pięcioma tysiącami dolarów, które wręczył mu Ahriman, powinien sobie poradzić.

A gotówka pozostawia mniej śladów.

– Rozumiem – powiedział Cedric.

– Mam nadzieję, że jeszcze zobaczę cię żywego, Cedricu.

– Dziękuję panu.

Po wyjściu Cedrica doktor zatelefonował do Nelli Hawthorne i poprosił ją, aby przysłała natychmiast do salonu, z którego jej mąż wyruszył właśnie na meksykańską wyprawę.

Kiedy się zjawiała, uaktywnił ją nazwiskiem głównej pokojówki w Manderley, rezydencji z powieści „Rebecca” Daphne du Maurier.

Poinstruował ją, aby oczyściła garaż z wszelkich śladów piasku, wykopała głęboki dół na rabatach kwiatowych w ogrodzie, umieściła w nim worek z odkurzacza i zasypała ziemią.

Zakończywszy tę pracę, miała zapomnieć, że ją wykonała.

– Potem wrócisz do siebie i zaczekasz na dalsze instrukcje – polecił Ahriman.

– Rozumiem.

Kiedy Cedric był w drodze do Meksyku, a Nella zajęta sprzątaniami, doktor zszedł na pierwsze piętro, do swego wykładanego sykomorowym drewnem gabinetu.

Komputer potrzebował zaledwie siedmiu sekund, by wyjechać z biurka na elektrycznym podnośniku, lecz Ahriman bębnił niecierpliwie palcami, czekając, aż blokada zaskoczy i włączy się monitor.

Połączony siecią z komputerem w gabinecie, mógł uzyskać dostęp do kart pacjentów i sprawdzić numer telefonu kobiety cierpiącej na Keanufobię.

Podawała dwa: domowy i komórkowy.

Minęło niecałe czterdzieści minut od jej ucieczki z parkingu przy plaży.

Chociaż wolałyby nie dzwonić do niej z domu, liczył się tylko czas – a także ogień, w którym płonimy – nie mógł więc przejmować się zbytnio tym, że pozostawia wyraźny ślad.

Wybrał numer komórkowy.

Rozpoznał jej głos, kiedy odebrała po czwartym sygnale: – Halo?

Najwyraźniej, tak jak podejrzewał, znajdowała się w stanie paranoicznego rozkojarzenia, jadąc bez celu przed siebie i próbując zdecydować, co powinna zrobić z tym, czego była świadkiem.

Och, jaka szkoda, że nie została zaprogramowana.

To powinna być delikatna rozmowa.

Kiedy wydawał instrukcje Hawthorne’om i załatwiał różne drobne sprawy, zastanawiał się gorączkowo, jak powinien to rozegrać.

Doszedł do wniosku, że jest tylko jedna strategia, która może zadziałać.

– Halo?

– powtórzyła.

– Wie pani, kto mówi – powiedział.

Nie odpowiedziała, ponieważ rozpoznała jego głos.

– Czy rozmawiała pani z kimś o tym...

incydencie?

– Jeszcze nie.

– To dobrze.

– Ale zrobię to.

Niech pan sobie nie myśli, że nie.

Siląc się na spokój, doktor spytał: – Widziała pani „Matrix”?

Pytanie było zbędne, ponieważ obejrzała każdy film Keanu Reevesa przynajmniej dwadzieścia razy w swoim prywatnym kinie na czterdzieści miejsc.

– Oczywiście, że widziałam – odparła.

– Jak może pan pytać o coś takiego po tym, jak wysłuchał mnie pan w swoim gabinecie?

Ale prawdopodobnie bujał pan w obłokach, jak zwykle.

– To nie jest tylko film.

– Więc co to jest?

– Rzeczywistość – powiedział doktor, starając się, aby to słowo zabrzmiało tak złowieszczo, jak na to pozwalał jego niemały talent aktorski.

Milczała.

– Tak jak w filmie, nie jest to początek nowego tysiąclecia, choć tak się pani zdaje.

Naprawdę mamy rok 2300, a ludzkość jest zniewolona od kilkuset lat.

Chociaż nic nie powiedziała, oddychała płytko i szybko, co było widomą oznaką paranoidalnych fantazji.

– I tak jak w filmie – ciągnął – ten świat, który uważa pani za prawdziwy, nie jest prawdziwy.

To tylko złudzenie, oszustwo, rzeczywistość wirtualna, wstrząsająco dokładna matryca stworzona przez zły komputer, aby zmusić panią do uległości.

Jej milczenie wydawało się raczej pełne namysłu niż wrogie, a jej cichy, przyspieszony oddech ośmielił doktora.

– W rzeczywistości pani i miliardy innych istot ludzkich z wyjątkiem garstki buntowników są trzymane w kokonach, karmione dożylnie i podłączone do komputera, któremu dostarczają energii bioelektrycznej i czerpią fantazje z jego matrycy.

Nie odzywała się.

Czekał.

Przeczekała go.

Wreszcie powiedział: – Ci dwaj, których pani widziała na plaży dziś w nocy, to nie byli ludzie.

To były maszyny konserwujące matrycę, tak jak w filmie.

– Pewnie myśli pan, że jestem szalona – powiedziała.

– Wręcz przeciwnie.

Rozpoznaliśmy panią jako jedną z tych, którzy zaczynają kwestionować słuszność tej wirtualnej rzeczywistości.

Potencjalną buntowniczkę.

I chcemy pani pomóc odzyskać wolność.

Chociaż nie powiedziała ani słowa, dyszała głośno, jak pudel kontemplujący w wyobraźni obraz biskopota.

Jeśli naprawdę była paranoiczką, jak podejrzewał doktor, scenariusz, który jej przedstawił, powinien mieć dla niej niezwykłą siłę przekonywania.

Świat musiał jej się nagle wydać mniej zagmatwany.

Poprzednio wszędzie widziała wrogów, działających z różnych, często niewytłumaczalnych, a niekiedy sprzecznych pobudek, natomiast teraz miała tylko jednego wroga, na którym mogła się skoncentrować: gigantyczny, zły, panujący nad światem komputer i jego maszyny.

Jej obsesja na punkcie Keanu – oparta najpierw na miłości, a później na strachu – często wprawiała ją w zmieszanie i zakłopotanie, ponieważ wydawało się to takie dziwaczne, przyznawać tak wielkie znaczenie komuś, kto jest tylko aktorem; teraz mogła zacząć rozumieć, że nie jest tylko gwiazdorem kina, lecz także tym Jedynym, wybranym, który ocali ludzkość przed maszynami, a zatem bohaterem godnym jej szczególnego zainteresowania.

Jako paranoiczka była przekonana, iż rzeczywistość, którą akceptuje przeważająca większość ludzkości, jest ułudą, że prawda jest dziwniejsza i bardziej przerażająca niż fałszywa rzeczywistość akceptowana przez większość ludzi, a teraz doktor potwierdzał jej podejrzenia.

Oferował jej paranoję z logicznym uzasadnieniem i krzepiącym poczuciem wewnętrznego sensu, która powinna oddziaływać na nią w sposób nieodparty.

Wreszcie powiedziała: – Z pańskich słów wynikałoby, że K-K-Keanu jest moim przyjacielem, moim sojusznikiem.

Ale ja wiem, że jest...

niebezpieczny.

– Kiedyś go pani kochała.

– No cóż, tak, ale potem odkryłam prawdę.

– Nie – zapewnił ją doktor.

– Pani pierwotne uczucia wobec Jedyne go nie były pomyłką.

Pani instynktowne przeczucie, że jest kimś szczególnym i godnym podziwu, było prawdziwe i słuszne.

Pani późniejszy strach przed nim został wszczepiony przez zły komputer, który chce zatrzymać panią w kokonie.

Słuchając własnego głosu, przepełnionego współczuciem i szczerością, doktor poczuł się jak bredzący w malignie szaleniec.

Znów wycofała się w milczenie.

Ale nie rozłączyła się.

Ahriman dał jej czas do namysłu.

Nie powinna odnieść wrażenia, że sprzedaje jej tę koncepcję.

Czekając, myślał o tym, co chciałby zjeść na kolację.

O nowym garniturze od Ermenegildo Zegna.

O sprytnym zastosowaniu dla torby z odchodami.

O rozkoszy naciskania na spust.

O zaskakującym triumfie Ala Capone pod Alamo.

– Muszę mieć trochę czasu, żeby to rozważyć – powiedziała wreszcie.

– Oczywiście.

– Niech pan nie próbuje mnie szukać.

– Może pani jechać, dokąd pani chce w wirtualnej rzeczywistości matrycy – odparł Ahriman – ale i tak będzie pani uwięziona w tym samym kokonie.

Po chwili namysłu powiedziała: – Przypuszczam, że to prawda.

Czując, że zaczyna kupować scenariusz, który jej przedstawił, doktor wykonał następny śmiały ruch: – Zostałem upoważniony, aby poinformować panią, że Jedyny nie uważa, iż jest pani tylko następną potencjalną kandydatką na buntownika.

Po pełnej napięcia ciszy znów rozległo się ciche, płytkie, psie dyszenie, chociaż tym razem dźwięk był inny, z delikatnym odcieniem erotycznym.

Potem spytała: – Keanu interesuje się mną osobiście?

Nie zająknęła się przy imieniu aktora.

Biorąc to za oznakę postępu, doktor starannie wyważył odpowiedź: – Powiedziałem na ten temat wszystko, co wolno mi było powiedzieć.

Ma pani całą noc, żeby zastanowić się nad tym, o czym rozmawialiśmy.

Jutro przez cały dzień będę w gabinecie, więc może pani do mnie zadzwonić, kiedy zechce.

– O ile do pana zadzwonię.

– O ile – zgodził się.

Przerwała połączenie.

– Bogata, pomyłona, głupia dziwka – powiedział doktor, odkładając słuchawkę.

– Oto moja profesjonalna diagnoza.

Był pewien, że do niego zadzwoni i że zdoła ją nakłonić do spotkania w cztery oczy.

Wtedy ją zaprogramuje.

Kryzys został zażegnany, a władca pamięci znów był bezpieczny na swoim tronie.

Zanim zatelefonował do Nelli Hawthorne, aby zamówić kolację, przejrzał pocztę komputerową i znalazł dwie zaszyfrowane wiadomości z instytutu w Nowym Meksyku.

Rozszyfrował je i po przeczytaniu usunął obie z twardego dysku.

Pierwsza nadeszła rano i była odpowiedzią na wiadomość, którą wysłał poprzedniego wieczoru.

Państwo Rhodes znajdują się pod stałym nadzorem od chwili, gdy wyjdą z samolotu na lotnisku w Santa Fe.

Przed ich przybyciem w wypożyczonym przez nich samochodzie zostanie umieszczony nadajnik, co umożliwi śledzenie go elektronicznie.

Technik z obsługi chciał, aby Ahriman wiedział, że on i jego narzeczona postanowili zacząć się spotykać, kiedy odkryli wspólną fascynację książką „Naucz się kochać siebie”.

Druga wiadomość nadeszła zaledwie kilka godzin temu i była zwięzła.

Przez cały dzień państwo Rhodes wypytywali ludzi zamieszanych w sprawy Glysonów i Pastore i otrzymali od nich wszelką pomoc.

Dlatego pozostaną na zawsze w Santa Fe, chyba że wcześniej wszechświat przekształci się w bryłkę materii wielkości ziarnka grochu.

Ahriman poczuł ulgę, iż nadal może liczyć na poparcie kolegów, gotowych bronić jego interesów, ale zmartwił się, że obecną grę – jedną z najważniejszych w jego życiu – trzeba będzie przerwać i zmodyfikować.

Potrzebował przynajmniej Skeeta albo Dusty’ego lub Martie – a najchętniej obojga – aby urzeczywistnić swoją wyrafinowaną strategię, a teraz wszyscy oni byli martwi lub mieli umrzeć lada chwila.

Nie otrzymał jeszcze co prawda potwierdzenia o egzekucjach w Santa Fe, ale z pewnością wkrótce nadejdzie, prawdopodobnie zanim położy się spać.

No cóż, nadal był graczem.

Dopóki nim pozostawał, wynik jakiejś pojedynczej rozgrywki nie miał większego znaczenia.

Dopóki był graczem, zawsze mógł rozpocząć następną grę i wymyślić zupełnie nową.

Uspokojony, zatelefonował do Nelli Hawthorne i zamówił kolację: dwie parówki z ostrą papryką, duszoną cebulą i żółtym serem, torbę chrupek ziemniaczanych, dwie butelki korzennego piwa i kawałek czekoladowego ciasta olvike.

Kiedy wrócił na górę, do apartamentu mieszkalnego, odkrył, że Cedric poszedł do warsztatu samochodowego, zabrał z mercedesa poranne zakupy i położył je na biurku w sypialni.

Ferrari Johnny’ego Błyskawicy.

Zestaw Strzały w Dodge City w idealnym stanie.

Doktor usiadł przy biurku, otworzył pudełko z zestawem Marksa i obejrzał kilka plastikowych figurek.

Stróże prawa i rewolwerowcy.

Dziewczyny z saloonu.

Wykonanie było perfekcyjne, przemawiające do wyobraźni, jak niemal wszystkie wyroby nieodżałowanego Louisa Marksa.

Doktor podziwiał ludzi, którzy podchodzili do swojej pracy, niezależnie od jej rodzaju, z dbałością o najdrobniejsze szczegóły, tak jak on.

Jego niestrudzony, zawsze płodny umysł podsunął mu stare przysłowie: „Diabeł tkwi w szczegółach”.

Rozbawiło go bardziej, niż mógłby przypuszczać.

Śmiał się i śmiał.

Potem przypomniał sobie wariację tego porzekadła: „Bóg tkwi w szczegółach”.

Chociaż był graczem, a nie wyznawcą, na tę myśl śmiech uwiązał mu w gardle.

Po raz drugi w ciągu ostatnich kilku godzin zimny pot wystąpił mu na kark.

Marszcząc brwi, odtworzył w myślach ten długi, pełen niespodzianek dzień, szukając w pamięci istotnych szczegółów, które mógł wcześniej źle zinterpretować lub przeoczyć.

Jak biały rollsroyce na parkingu przed Zielonymi Polami, którego obecność zdecydowanie błędnie zinterpretował.

Ahriman poszedł do łazienki i długo mył ręce, zużywając wielkie ilości mydła w płynie i szorując dłonie szczotką z miękkiego włosia, przeznaczoną do usuwania brudu spod paznokci.

Szorował je zawzięcie od czubków palców do nadgarstków, po obu stronach, zwracając szczególną uwagę na stawy i kłykcie.

Pacjentka cierpiąca na Keanufobię zapewne nie zadzwoni na policję i nie zgłosi, że doktor zabił dwóch ludzi na plaży, a było mało prawdopodobne, by ktoś jeszcze widział go w pobliżu miejsca zbrodni.

Gdyby jednak zjawiły się gliny, nie powinien mieć na rękach żadnych śladów prochu, które mogłyby zostać wykryte podczas testów laboratoryjnych i dowieść, że tego wieczoru strzelał z pistoletu.

Nie przychodził mu na myśl żaden inny szczegół, który powinien uwzględnić.

Wytarłszy ręce, wrócił do biurka w sypialni, gdzie ustawił naprzeciwko siebie szeryfa Dillona i jednego z opryszków.

– Paf, paf, paf – powiedział i pstryknął palcem, trafiając zabitego szeryfa tak mocno, że figurka uderzyła w ścianę sześć metrów dalej.

Szeryfowie i rewolwerowcy.

Pojedynki o zachodzie słońca.

Sępy zawsze mają żer.

Poczuł się lepiej.

Zjawiła się kolacja.

Życie jest piękne.

Podobnie jak śmierć, kiedy się ją zadaje.

* * *

Jadąc z pustyni na pustynię, z Santa Fe do położonego ponad sześćset metrów niżej Albuquerque,

Dusty pokonał sto kilometrów w półtorej godziny.

Intensywność zamieci malała wraz z wysokością, ale śnieg padał również w tym drugim mieście.

Znaleźli odpowiedni motel i wynajęli pokój, płacąc gotówką, ponieważ rankiem ktoś mógłby wpaść na ich ślad, gdyby użyli kart kredytowych.

Zaniósłszy walizki do pokoju, wsiedli do BMW, przejechali około dwóch kilometrów i porzucili samochód w bocznej uliczce, gdzie nie powinien zwracać na siebie uwagi co najmniej przez kilka dni.

Dusty wolałby jechać sam, zostawiając Martie w ciepłym pokoju motelowym, ale nie chciała o tym słyszeć.

Martie użyła drugiej szmaty, by wytrzeć kierownicę, deskę rozdzielczą, klamki u drzwi i inne powierzchnie, których mogli dotykać.

Nie zostawili kluczyków w samochodzie.

Gdyby dzieciaki ukradły go dla zabawy i rozbiły podczas przejażdżki, policja skontaktowałaby się z właścicielami BMW, a wówczas instytut natychmiast przeniósłby swoje poszukiwania do Albuquerque.

Dusty zamknął samochód i wrzucił kluczyki do najbliższego kanału ściekowego.

Wrócili do motelu pieszo, trzymając się za ręce.

Noc była zimna, ale nie przejmująco zimna, a wiatr, który wiał na wyżej położonych terenach, jeszcze tu nie dotarł.

W każdą inną noc taki spacer mógłby być przyjemny, a nawet romantyczny.

Teraz śnieg kojarzył im się ze śmiercią, a Dusty podejrzewał, że w jego umyśle jedno pozostanie nierozzerwalnie związane z drugim już do końca życia i że zawsze będzie wolał spędzać zimowe miesiące na ciepłym wybrzeżu Kalifornii.

W całodobowym sklepie kupili bochenek białego chleba, paczkę sera, słoik musztardy, kukurydziane chrupki i piwo.

Idąc wzdłuż półek, wybierając produkty, robiąc coś, co w innych okolicznościach szybko by go znudziło, Dusty był tak przejęty, tak zadowolony, że żyje, tak szczęśliwy, że ma u swego boku Martie, iż nogi ugięły się pod nim i z wdzięczności prawie osunął się na kolana.

Oparł się o półkę, udając, że czyta etykietkę na puszcze z gulaszem.

Gdyby widzieli go inni klienci, prawdopodobnie tak właśnie by pomyśleli.

Ale Martie nie dała się oszukać.

Stała obok niego, położyła mu rękę na ramieniu, udając, że czyta etykietkę wraz z nim, i powiedziała szeptem: – Tak bardzo cię kocham, najdroższy.

Z pokoju zatelefonowali pod numer linii lotniczych, aby zapytać o najbliższy lot.

Znaleźli odpowiedni i użyli karty kredytowej tylko do rezerwacji miejsc, prosząc kasjera, aby nie dokonywał przelewu.

– Wolelibyśmy zapłacić gotówką, kiedy będziemy odbierać bilety.

Wzięli bardzo gorący, długi prysznic.

Zanim skończyli, miniaturowe kawałki hotelowego mydła rozpuściły się całkowicie.

Dusty odkrył skaleczenie za swoim prawym uchem.

Była na nim zakrzepła krew.

Prawdopodobnie uderzył się, kiedy samochód staczał się ze zbocza.

Do tej pory nawet tego nie czuł.

Siedząc na łóżku i posługując się ręcznikiem kąpielowym jako obrusem, przygotowali kanapki z serem.

Puszki z piwem włożyli do wypełnionego śniegiem pojemnika na śmieci.

Kanapki i chrupki nie smakowały ani dobrze, ani źle.

Było to po prostu coś do zjedzenia.

Porcja energii, pozwalająca dalej funkcjonować.

Piwo miało pomóc im zasnąć.

Prawie nie rozmawiali podczas jazdy z Santa Fe i teraz też głównie milczeli.

W następnych latach, jeśli okaże się, że dopisało im szczęście i mają przed sobą lata, a nie godziny czy dni, prawdopodobnie też nie będą rozmawiali często o tym, co wydarzyło się w indiańskich ruinach.

Życie jest zbyt krótkie, aby tracić je na rozpamiętywanie koszmarów.

Zbyt zmęczeni, aby rozmawiać, jedli, oglądając telewizję.

Dziennik telewizyjny wypełniały obrazy samolotów bojowych.

Nocne eksplozje gdzieś na drugiej półkuli.

Za radą ekspertów od stosunków międzynarodowych najpotężniejsza na świecie koalicja państw znów próbowała zmusić dwie walczące strony do podjęcia rokowań, bombardując obiekty cywilne.

Mosty, szpitale, elektrownie, wypożyczalnie kaset wideo, wodociągi, kościoły, domy towarowe.

Sądząc z komentarzy, żaden z polityków czy sprawozdawców, a właściwie w ogóle nikt z wyższych szczebli drabiny społecznej nie kwestionował moralnej strony operacji.

Dyskutujący eksperci skoncentrowali się przede wszystkim na tym, ile tysięcy ton bomb różnych typów należy zrzucić, aby wywołać powszechne powstanie przeciwko reżimowi, a tym samym uniknąć prawdziwej wojny.

– Dla ludzi w tym pieprzonym domu towarowym – powiedziała Martie – to już jest wojna.

Dusty wyłączył telewizor.

Kiedy skończyli jeść i wypili po dwie puszki piwa, weszli pod kołdrę i leżeli w ciemnościach, trzymając się za ręce.

Poprzedniej nocy seks był afirmacją życia.

Teraz wydawałby się bluźnierstwem.

Potrzebowali nawzajem tylko swojej bliskości.

Po chwili Martie spytała: – Czy jest z tego jakieś wyjście?

– Nie wiem – odparł szczerze.

– Ci ludzie w instytucie...

Cokolwiek robią, z pewnością nic do nas nie mieli, dopóki tu nie przyjechaliśmy.

Wystąpili przeciwko nam, żeby chronić Ahrimana.

– Ale teraz mogą być na nas źli za Kevina i Zacharego.

– Prawdopodobnie podejną do tego pragmatycznie.

Myślę, że dla nich są to po prostu koszty prowadzenia interesów.

Nie mamy przeciwko nim żadnych dowodów.

Nie stanowimy dla nich zagrożenia.

– Więc?

– Więc jeśli Ahriman zginie...

czy nie zostawią nas w spokoju?

– Może.

Przez chwilę milczeli oboje.

Noc była tak cicha, iż Dusty prawie uwierzył, że słyszy płatki śniegu spadające na ziemię za oknem.

– Mogłabyś go zabić?

– spytał wreszcie.

Nie odpowiedziała od razu.

– Nie wiem.

A ty mógłbyś?

Tak...

z zimną krwią?

Podejść do niego i pociągnąć za spust?

– Może.

Milczała przez kilka minut, ale wiedział, że nie zasypia.

– Nie – powiedziała w końcu.

– Nie sądzę, żebym mogła.

To znaczy, zabić go.

Jego czy kogokolwiek.

Nigdy więcej.

– Wiem, że nie chciałabyś być do tego zmuszona.

Ale myślę, że mogłabyś.

I ja też bym mógł.

Ku swemu zaskoczeniu, zaczął jej opowiadać o złudzeniu optycznym, które zafascynowało go w dzieciństwie: o rysunku lasu, który przez zwykłą zmianę perspektywy zamieniał się nagle w gotyckie miasto.

– Czy to ma jakiś związek z nami?

– spytała.

– Tak.

Ponieważ dzisiaj w nocy ja byłem tym rysunkiem.

Zawsze myślałem, że doskonale wiem, kim jestem.

Nagle zmienia się perspektywa i widzę kogoś innego.

Który jest prawdziwy, a który jest fikcją?

– Obaj są prawdziwi – odparła.

– I tak powinno być.

Kiedy usłyszał, jak mówi, że tak powinno być, poczuł, że naprawdę tak powinno być.

Bo chociaż ona o tym nie wiedziała i chociaż on nigdy nie zdołałby wyrazić swoich uczuć słowami, Martie zawsze była kamieniem probierczym, za pomocą którego Dusty oceniał swoją wartość jako istoty ludzkiej.

Później, już prawie zasypiając, powiedziała: – Musi być jakieś wyjście.

Po prostu...

zmiana perspektywy.

Może miała rację.

Wyjście.

Ale nie potrafił go znaleźć ani na jawie, ani w snach.

Rozdział 72.

W błękitny poranek, wylatując z Albuquerque bez broni, Martie, zdrewniała i obolała po doświadczeniach minionego dnia, czuła się zmęczona i stara.

Kiedy Dusty czytał „Naucz się kochać siebie”, aby lepiej zrozumieć ich przeciwnika, Martie przycisnęła czoło do szyby i patrzyła na ośnieżone miasto, które gwałtownie znikło w dole.

Cały świat stał się nagle taki dziwny, że równie dobrze mogłaby lecieć do Stambułu lub innej egzotycznej stolicy.

Niecałe siedemdziesiąt dwie godziny temu zabrała Lokaja na poranny spacer i przestraszyła się własnego cienia.

Kiedy to minęło, była rozbawiona.

Jej najlepsza przyjaciółka nadal żyła.

Ona nie wybierała się do Santa Fe.

Wtedy wierzyła, że życie ma tajemniczy wzór i dostrzegała potwierdzające to znaki w wydarzeniach dnia codziennego.

Nadal wierzyła w istnienie wzoru, chociaż znaki, które teraz widziała, były inne niż przedtem, zróżnicowane i niepokojąco bardziej złożone.

Spodziewała się, że będą ją dręczyć koszmary – i to nie po dwóch piwach i skromnych kanapkach z serem.

Ale spała spokojnie.

Uśmiechnięty Bob też jej nie nawiedzał, ani we śnie, ani w tych chwilach w nocy, kiedy, rozbudzona, rozglądała się po hotelowym pokoju, wypatrując charakterystycznego kształtu jego hełmu i fluoryzujących pasków na impregnowanej kurtce.

Martie bardzo pragnęła zobaczyć go we śnie lub na jawie.

Czuła się porzucona, jakby nie zasługiwała już na jego opiekę.

Teraz, gdy wracała do Kalifornii i wszystkiego, co ją tam czekało, potrzebowała obu mężczyzn swojego życia, Dusty’ego i Uśmiechniętego Boba, jeśli miała zachować nadzieję.

* * *

Doktor zwykle przyjmował pacjentów tylko w cztery pierwsze dni tygodnia.

Jedynie Martie i Dusty Rhodes byli zapisani na ten piątek, a z pewnością nie uda im się dotrzymać umówionego terminu.

– Lepiej uważaj – powiedział swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze.

– Wkrótce zostaniesz bez pacjentów, jeśli nadal będziesz ich zabijał.

Przebrnąwszy przez kryzys minionych dwóch dni z całym ogonem i nienaruszonymi rogami – maleńki metafizyczny żart – był w doskonałym nastroju.

Co więcej, dużo myślał o tym, jak uratować grę, która zeszłej nocy wydawała się bezpowrotnie stracona, i znalazł cudowne zastosowanie dla pachnącej zawartości błękitnej torby.

Włożył następny garnitur od Zegny: czarny, szyty na miarę, z klapami najnowszego kroju, zapinany na dwa guziki.

Tak się sobie spodobał w trzyczęściowym lustrze we wnętrzu szafy z ubraniami, że zastanawiał się, czy nie pójść po kamerę wideo i nie uwiecznić, jak fantastycznie wygląda w tym historycznym dniu.

Niestety, liczył się czas, podobnie jak poprzedniej nocy.

Obiecał cierpiącej na Keanufobię pacjentce, że przez cały dzień będzie w gabinecie, czekając na jej decyzję, czy przyłączy się do buntu przeciwko złośliwemu komputerowi.

Nie mógł sprawić zawodu nowobogackiej dziwce.

I tym razem postanowił wziąć ze sobą broń.

Groźba wydawała się zażegnana, wielu potencjalnych wrogów nie żyło, ale przecież czasy są takie niebezpieczne.

Chociaż taurus millenium nie był zarejestrowany – otrzymał go, podobnie jak resztę swojego arsenału, od dobrych ludzi z instytutu – nie mógł użyć go powtórnie.

Teraz, kiedy zastrzelono z niego dwóch ludzi, była to trefna broń, której należało dyskretnie się pozbyć.

Otworzył sejf ukryty za regałem z książkami w salonie i wybrał berettę model 85F, elegancki, samopowtarzalny pistolet z magazynkiem na osiem naboii.

Ta broń też nie została zarejestrowana i nie mogła naprowadzić policji na trop właściciela.

Do skórzanej teczki włożył błękitną torbę, torebkę z balonikami i magnetofon kasetowy, którego używał do dyktowania.

Czekając na telefon pacjentki, zajmie się planowaniem gry lub podyktuje rozdział „Nie bój się, gdyż jestem z tobą”.

Sprawdził pocztę komputerową i przekonał się, że jeszcze nie ma wiadomości o podwójnym zabójstwie w Nowym Meksyku.

Bardziej zdziwiony niż zaniepokojony, ułożył krótkie zaszyfrowane pytanie i przesłał je do instytutu.

Wyprowadził z garażu rollsroyce’a, Srebrną Chmurę.

Podczas krótkiej jazdy do gabinetu samochód zainspirował go do twórczości poetyckiej.

Błękitny dzień, Srebrna Chmura.

Pojazd dla królów.

I błękitna torba z gównem.

Doktor był w dobrej formie i dwie przecznice przed gabinetem jego szampański nastrój zaowocował następnymi zabawnymi strofami: – Srebrna Chmura, czarny asfalt.

Ślepiec na pasach, postukuje laską.

Współczucie czy zabawa?

Wybrał współczucie i pozwolił ślepcowi przejść bezpiecznie.

Poza tym rollsroyce nigdy nie miał stłuczki, a doktor wzdragał się na myśl, że wspaniały samochód mógłby doznać choćby niewielkiego uszkodzenia.

* * *

Kiedy samolot podchodził do lądowania, Dusty podejrzewał, że jego i Martie czeka jeszcze długie spadanie, nawet gdy maszyna dotknie już bezpiecznie płyty kalifornijskiego lotniska.

Ten słoneczny dzień zaprowadzi ich do kolejnych mrocznych miejsc, których nie zdążyli jak dotąd odwiedzić.

Bez broni, lecz uzbrojony w wiedzę, uznał, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko stanąć twarzą w twarz z Ahrimanem.

Nie łudził się, że psychiatra przyzna się do czegokolwiek czy choćby wytłumaczy.

W najlepszym razie mogli mieć nadzieję, iż Mark Ahriman wyjawi niechęć coś, co da im nieznaczną przewagę lub przynajmniej pozwoli im lepiej zrozumieć zarówno jego, jak i prawdziwy charakter instytutu w Nowym Meksyku.

– Poza tym nie sądzę, by Ahriman kiedykolwiek spotkał się z przeciwnościami.

Prześlizgiwał się gładko przez życie.

Sądząc z tego, co przeczytałem w tej idiotycznej książce, naprawdę jest narcystycznym dupkiem, jak twierdzi doktor Closterman.

– I cholernym kabotynem – dodała Martie, ponieważ wcześniej Dusty przeczytał jej kilka ustępów z „Naucz się kochać siebie”.

– Jest potężny, ma znajomości, jest sprytny, ale w środku może być słaby.

Jeśli zdołamy nim wstrząsnąć, zastraszyć go, pewnie nie załamię się od razu, ale może zrobi coś głupiego, ujawni coś, czego nie powinien.

A w tej chwili potrzebujemy każdej, nawet najmniejszej przewagi, jaką możemy uzyskać.

Po wykupieniu saturna z lotniskowego garażu pojechali na Fashion Island w New-port Beach i zaparkowali przed budynkiem, gdzie Ahriman miał swój gabinet.

Dotarli do wieży Kirith Ungol, jak nazwała ten gmach Martie, siedliska zła we „Władcy pierścieni”.

Podczas jazdy windą na czternaste piętro Dusty odczuwał nieprzyjemne sensacje w piersiach i żołądku, jakby kabina opadała zamiast się wznosić.

Już prawie postanowił, że nie wysiądą z windy, zjadą z powrotem na dół.

I wtedy wpadł na ten pomysł.

Doktor siedział za biurkiem i jadł czekoladowy balonik, kiedy jego komputer – który zawsze był włączony – wydał cichy pisk, a ekran wypełnił przekazywany przez ukrytą kamerę obraz poczekalni, jak zawsze, gdy ktoś wchodził z publicznego korytarza.

Gdyby pracował na komputerze, obraz pojawiłby się jako okno w oknie, a on nie zobaczyłby tak wyraźnie Martie i Dusty’ego Rhodesów.

Spojrzał na zegarek i zauważył, że spóźnili się na spotkanie zaledwie sześć minut.

Najwyraźniej coś poszło bardzo źle w Nowym Meksyku.

U góry ekranu pojawiły się ikony systemu bezpieczeństwa.

Doktor użył myszy, by kliknąć w ikonę przedstawiającą pistolet.

Bardzo czuły wykrywacz metalu pokazał, że oboje mają przy sobie drobne metalowe przedmioty – monety, klucze i temu podobne – ale żadne z nich nie ukrywa masy metalu dostatecznie dużej, by mogła być bronią.

Następna ikona: miniaturowy szkielet.

Klik.

Kiedy stanęli przy okienku recepcji, rozmawiając z Jennifer, zostali prześwietleni promieniami z rentgenoskopu ukrytego za kratką wentylatora na ścianie po ich lewej stronie.

Na ekranie komputera Ahrimana pojawiły się fluoroskopowe obrazy.

Mieli dobre szkielety, oboje.

Mocna struktura kości, dobrze połączone stawy, znakomita sylwetka.

Gdyby posiadali talent dorównujący ich predyspozycjom fizycznym, byłiby świetnymi tancerzami baletowymi.

Rentgenogram ukazywał też inne przedmioty zawieszony w powietrzu wokół obu szkieletów, jakby unoszące się w stanie nieważkości.

Monety, klucze, guziki, metalowe suwaki, ale nie było żadnych noży w rękawie lub w pochwie przytroczonej do nogi, nic niebezpiecznego.

Wiele drobnych przedmiotów w torebce Martie było trudnych do zidentyfikowania.

Mógł się wśród nich znajdować nóż sprężynowy.

Nie da się tego stwierdzić z całą pewnością.

Trzecia ikona przedstawiała nos.

Doktor skończył jeść balonik i kliknął myszą.

Uruchomił w ten sposób analizator zapachów, który pobrał próbkę powietrza z poczekalni.

Urządzenie, zaprogramowane tak, że mogło rozpoznać skład chemiczny trzydziestu dwóch różnych materiałów wybuchowych, było wystarczająco czułe, by wykryć trzy molekuły na centymetr sześcienny powietrza.

Wynik negatywny.

Żadne z nich nie przyniosło bomby.

Nie oczekiwał, że Dusty bądź Martie znajdą się na materiałach wybuchowych lub że starczy im sprytu, by przyjąć na rozmowę z bombą przytroczoną do ciała.

Te nadzwyczajne środki ostrożności zostały zainstalowane dlatego, że od czasu do czasu doktor miał do czynienia z pacjentami, którzy byli mniej zrównoważeni niż ci dwoje.

Niektórzy mogliby uznać ten skomplikowany system bezpieczeństwa za oznakę paranoi.

Doktor jednak po prostu zwracał uwagę na szczegóły.

Tatuś często mu powtarzał, jak ważne jest bezpieczeństwo osobiste.

Gabinet wielkiego reżysera został wyposażony w najnowocześniejsze w tamtych czasach środki bezpieczeństwa, aby chronić go przed porzuconymi aktoreczkami, impulsywnymi aktorami, którym nie podobał się sposób, w jaki okroił ich role, i rozwścieczonym krytykiem, który zdołał się przypadkiem dowiedzieć, kto zapłacił za złamanie nogi jego matce.

Teraz, pewien, że ani Dusty, ani Martie nie zdołają go skrzywdzić, zanim on zdąży ich aktywować, Ahriman połączył się z Jennifer i powiadomił ją, iż jest gotów na spotkanie.

Nie wstając zza biurka, uruchomił elektroniczny zamek przy drzwiach do poczekalni, które otworzyły się powoli do wewnątrz.

Doktor kliknął w ikonę przedstawiającą słuchawki.

Martie i Dusty weszli do gabinetu.

Wyglądali na rozgniewanych, ale zachowywali się grzeczniej, niż oczekiwał.

Kiedy wskazał im dwa mniejsze krzesła naprzeciwko biurka, posłusznie usiedli.

Drzwi zamknęły się za nimi.

– Doktorze – powiedziała Martie – nie wiemy, co tu się dzieje, ale wiemy, że coś niedobrego, śmierdzącego, chorego, i żądamy wyjaśnień.

Kiedy to mówiła, doktor patrzył na ekran komputera.

Sądząc z braku pól elektronicznych wytwarzanych przez reagujący na głos nadajnik, nie miała ukrytego przekaźnika.

– Jedną chwilę – powiedział, klikając w ikonę przedstawiającą mikrofon.

– Proszę posłuchać – zaczął gniewnie Dusty – nie zamierzamy tu siedzieć, podczas gdy pan...

– Cśśś – upomniał ich doktor, przykładając palec do ust.

– Proszę o jedną chwilę absolutnej ciszy.

Absolutnej.

Spojrzeni po sobie, a tymczasem Ahriman studiował odczyt na ekranie.

Wreszcie powiedział: – Martie, w tym pokoju są zainstalowane bardzo czułe mikrofony, które wykrywają charakterystyczny dźwięk obracających się wałków w magnetofonie kasetowym.

Widzę, że nie zamknęłaś torebki i trzymasz ją zwróconą w moją stronę.

Czy masz w torebce takie urządzenie?

Wyraźnie wstrząśnięta, wyjęła magnetofon.

– Połóż go na biurku, proszę.

Pochyliła się na krześle i oddała magnetofon.

Ahriman wyłączył go i wyjął mikrokasetę.

– Ma pan taśmę – powiedziała Martie gniewnie.

– Dobrze, świetnie.

Ale my mamy lepszą, sukinsynu.

Mamy taśmę, na której Susan Jagger...

– Raymond Shaw – powiedział doktor.

– Słucham – odparła Martie, sztywniejąc lekko na krześle, kiedy ją uaktywnił.

Dusty spojrział na nią, marszcząc brwi, lecz w tym samym momencie Ahriman powiedział: – Yiola Narvilly.

– Słucham – odparł Dusty, reagując w identyczny sposób jak jego żona.

Aktywowanie dwóch osób jednocześnie było ryzykowne, ale wykonalne.

Gdyby w ciągu sześciu sekund nie zaczął recytować warunkującego haiku, odzyskaliby pełną świadomość.

Dlatego musiał zwracać się do nich na przemian, jak zongler trzymający dwie tyczki z wirującymi na szczycie talerzami.

Do Martie powiedział: – Wieje z zachodu...

– Ty jesteś zachodem i zachodnim wiatrem.

Do Dusty'ego powiedział: – Światło błyskawicy...

– Ty jesteś błyskawicą...

Potem do Martie: – ...

opadłe liście gromadzą się...

– Liście to twoje instrukcje.

I znów do Dusty'ego: – ...

i krzyk nocnej czapli...

– Krzyki to twoje instrukcje.

Ahriman skończył z Martie: – ...

na wschodzie.

– Ja jestem wschodem.

I na koniec zwrócił się do Dusty'ego: – ...

błądzi w ciemnościach.

– Ja jestem ciemnością.

Martie siedziała z głową lekko pochyloną, patrząc na swoje dłonie, w których ścisnęła torebkę.

Pięknie pochylona głowa.

Gdyby kazać jej przestrzelić sobie mózg...

posłucha swego pana.

Z pewnością nie było to najlepsze haiku, ale doktor uznał, że świetnie oddaje nastrój chwili.

Nadal zwrócony w stronę żony, z głową zadartą w pozie wyrażającej zaskoczenie, Dusty zdawał się skoncentrowany wyłącznie na niej.

Oczywiście wcale nie interesowała się swoją torebką, a jej mąż nie był świadomy jej obecności, ponieważ oboje czekali tylko na jedno: instrukcje.

Doskonale.

Zdumiony i zachwycony Ahriman rozsiadł się wygodnie na krześle i zadumał nad tym nieoczekiwanym uśmiechem fortuny.

Gra, którą przekonstrował tego ranka, mogła zostać rozegrana zgodnie z oryginalną strategią.

Wszystkie problemy rozwiązały się same.

No cóż, z wyjątkiem pacjentki cierpiącej na Keanufobię.

Ale teraz, gdy wszechświat zdawał się liczyć z każdym jego życzeniem, doktor oczekiwał, że kwestia tej nowobogackiej dziwki z głową pełną fermentującego zaciera rozstrzygnie się po jego myśli jeszcze przed zmierzchem.

Zastanawiał się, jak ta niewydarzona para, malarz pokojowy i projektantka gier wideo, uszła z życiem w Nowym Meksyku.

Gdyby zadał jedno pytanie, musiałby zadać pięćset następnych; mógłby spędzić cały dzień, wypytyując ich o to, jak zdołali domyślić się tylu rzeczy na jego temat, nawet mając do dyspozycji kilka nieoznaczonych kart, które im podrzucił.

Choć jednak należy zwracać uwagę na szczegóły, nie wolno przy tym tracić z oczu ostatecznego celu.

Ostatecznym celem było w tym przypadku pomyślne zakończenie najważniejszej gry w karierze doktora.

Chociaż pierwotnie zamierzał pobawić się trochę z Martie, zanim wykorzysta ją i Dusty'ego w Malibu, teraz uznał, że nie chce dłużej czekać, nie chce odwlekać upragnionego rozstrzygnięcia o dodatkowe miesiące, tygodnie czy tylko godziny.

Bądź co bądź, pomimo swego sprytu, Martie i Dusty byli tylko dwojgiem plebejuszy, dwojgiem zwyczajnych, prostych ludzi, którzy rozpaczliwie próbują wnieść się ponad własną klasę społeczną, co jest marzeniem wszystkich plebejuszy, nawet jeśli się do tego nie przyznają, dwojgiem drobnych ciułaczy o ambicjach znacznie przerastających możliwości ich realizacji.

Niewątpliwie, niektóre szczegóły ich wzruszających poszukiwań mogłyby być zabawne, ale koniec końców ich eskapady okazałyby się tylko trochę mniej żałosne niż poczynania detektywa Skeeta i jego bezimiennego kompana.

Interesujące było w nich nie to, kim są, lecz to, jak można sprawować nad nimi kontrolę.

Zanim bogata pacjentka zatelefonuje lub przyjdzie do jego gabinetu, stwarzając dodatkową komplikację, Ahriman musiał udzielić Dusty'emu i Martie instrukcji, zaprogramować ich i wysłać na krwawą rzeź, która była ostatecznym celem tej gry.

– Martie, Dusty, poinstruuje was jednocześnie, żeby nie tracić czasu.

Czy rozumiecie?

– Rozumiemy?

– spytała Martie, a Dusty powtórzył za nią jak echo: – Rozumiemy?

– Powiedzcie mi, czy rozumiecie, co powiedziałem.

– Rozumiemy – odparli chórem.

Pochylając się na krześle, napawając się tą chwilą, promieniejąc z zachwyty, nie żałując nawet, że nie

miał okazji zerznąć Martie kilka razy, doktor powiedział: – Wybierzecie się dzisiaj oboje na przejażdżkę do Malibu...

– Malibu...

– wymamrotała Martie.

– Tak, właśnie.

Malibu.

Znacie adres.

Złożycie wizytę matce Dusty'ego, Claudette, i jej mężowi, temu chciwemu, pazernemu, zadufanemu w sobie gnojkwowi, doktorowi Derekowi Lampionowi.

– Rozumiem – mruknął Dusty.

– Tak, jestem pewien, że rozumiesz – powiedział ubawiony Ahriman – ponieważ musiałeś mieszkać pod jednym dachem z tym śmierdzącym, żalonym gównojadem.

Dalej, kiedy przyjedziecie do Malibu i nie zastaniecie Claudette albo chujogłowego Dereka, zaczekacie, aż oboje wrócą do domu.

Doktor zdawał sobie sprawę, że zasypując Lamptona stekiem wyzwisk, daje upust swym dzieciennym skłonnościom.

Ale, och, cóż to była za słodka ulga.

Z rosącym podnieceniem ciągnął: – Musicie także poczekać, aż do domu wróci ich syn, twój zastrany przyrodni braciszek Derek Junior, który, nawiasem mówiąc, jest takim samym ropiejącym wrzodem na dupie ludzkości jak jego ojciec.

Junior prawdopodobnie będzie tam, kiedy przyjedziecie, ponieważ pobiera nauki w domu, jak wiesz.

Twój syfilityczny ojczym ma własne gówniane teorie na temat edukacji, które, jak przypuszczam, wypychał do gardła również tobie i Skeetowi.

Tak czy inaczej, wszyscy muszą być obecni, zanim zaczniecie działać.

Obezwładnicie wszystkich, ale nie zabijecie ich natychmiast.

Okaleczycie ich i poćwiartujecie w następującej kolejności: najpierw Claudette, potem Junior, a na końcu sam Derek Lampton z gównem zamiast mózgu.

Musi być ostatni, aby mógł widzieć wszystko, co zrobicie z Claudette i Juniorem.

W środę, Martie, pokazałem ci fotografię dziewczyny, której poćwiartowane ciało morderca ułożył później w bardzo pomysłowy sposób, i prosiłem cię, żebyś zwróciła szczególną uwagę na to zdjęcie.

Kiedy już poćwiartujecie Claudette, ty i Dusty ułożycie ją w taki sam sposób, z jedną tylko zmianą, dotyczącą oczu...

Zamilkł, uświadomiwszy sobie, że w podnieceniu trochę się zagalopował.

Przerwał, by zaczerpnąć oddechu i napić się wody sodowej z sokiem wiśniowym.

– Wybaczcie mi.

Przepraszam.

Na chwilę musimy się cofnąć.

Zanim pojedziecie do Malibu, wstąpicie do przechowalni w Anaheim i zabierzecie torbę z pełnym zestawem narzędzi chirurgicznych.

I piłę do autopsji z zapasowymi ostrzami – jest wśród nich kilka wspaniałych ostrzy, które otworzą każdą czaszkę, nawet tak twardą jak Dereka.

Zostawiłem tam również dwa pistolety maszynowe typu Glock i zapasowe magazynki...

Dotycząca oczu.

Te dwa słowa z instrukcji uparcie przychodziły doktorowi do głowy, choć na razie nie rozumiał, dlaczego.

Dotyczącą oczu.

Raptownie wstał z krzesła, odpychając je do tyłu, usuwając z drogi.

– Martie, spójrz na mnie.

Po chwili wahania podniosła głowę i spuszczone dotąd oczy.

Zwracając się do męża, Ahriman spytał: – Dusty, dlaczego przez cały czas patrzysz na Martie?

– Dlaczego patrzę na Martie?

– powtórzył Dusty, odpowiadając pytaniem na pytanie, tak jak powinien w stanie głębokiego stłumienia osobowości.

– Dusty, spójrz na mnie.

Spójrz prosto na mnie.

Dusty przeniósł wzrok z żony na Ahrimana.

Martie znów wpatrywała się w swoje dłonie.

– Martie!

– krzyknął doktor.

Posłusznie podniosła głowę.

Ahriman patrzył na Martie, obserwując jej oczy, potem spojrział na Dusty'ego, potem znowu na Martie, potem znów na Dusty'ego, przez jakiś czas spoglądał to na jedno, to na drugie, i wreszcie powiedział, bardziej wstrząśnięty, niżby sobie życzył: – Nie ma odruchów okołożrenicowych.

Nie ma skurczów.

– A żebyś wiedział, że nie – wycedził Dusty, podrywając się na nogi.

Ich postawa zmieniła się.

Zniknęło szkliste spojrzenie.

Zniknęła aura posłuszeństwa.

Nie można symulować gwałtownych odruchów okołożrenicowych, więc nawet nie próbowali.

Podnosząc się z krzesła, Martie spytała: – Czym ty jesteś?

Jakim odrażającym, żalonym śmieciem?

Doktorowi nie podobał się ton jej głosu, bardzo się nie podobał.

Obrzydzenie.

Pogarda.

Ludzie nie rozmawiali z nim w ten sposób.

Taki brak szacunku był nie do zniesienia.

Spróbował odzyskać kontrolę: – Raymond Shaw.

– Pocałuj mnie w dupę – powiedziała.

Dusty zaczął okrażać biurko.

Wyczuwając w nim gotowość do przemocy, doktor wyciągnął berettę z kabury pod pachą.

Widok broni ostudził ich.

– Nie mogliście zostać przeprogramowani – upierał się Ahriman.

– Nie mogliście.

– Dlaczego?

– spytała Martie.

– Bo jeszcze nigdy się to nie zdarzyło?

– Co masz przeciwko Derekowi Lampionowi?

Odpowiadaj – zażądał Dusty.

Ludzie nie żądali niczego od doktora.

A w każdym razie nie więcej niż raz.

Chciał strzelić temu głupiemu, źle ubranemu, niedouczoneму malarzowi pokojowemu prosto między oczy, odstrzelić mu twarz, rozwalić łeb.

Zastrzelenie go tutaj miałoby, rzecz jasna, nieprzyjemne reperkusje.

Policja ze swoimi niekończącymi się pytaniami.

Reporterzy.

Plamy, które mogłyby się nie zmyć z perskiego dywanu.

Przez chwilę podejrzewał zdradę w instytucie.

– Kto was przeprogramował?

– Martie zrobiła to dla mnie – wyjaśnił Dusty.

– A Dusty uwolnił mnie.

Ahriman potrząsnął głową.

– Kłamiecie.

To niemożliwe.

Oboje kłamiecie.

Doktor usłyszał nutę paniki we własnym głosie i zawstydził się.

Przypomniał sobie, że jest Markiem Ahrimaniem, jedynym synem wielkiego reżysera, wybitniejszym w swojej dziedzinie niż tatuś w Hollywood, władcą marionetek, a nie marionetką.

– Wiemy o tobie dużo – powiedziała Martie.

– I zamierzamy dowiedzieć się jeszcze więcej – obiecał Dusty.

– Do ostatniego parszywego szczegółu.

Szczegół.

Znowu to słowo, które poprzedniej nocy wydawało się znakiem, i to niezbyt pomyślnym.

Przekonany, że zostali uaktywnieni i uwarunkowani, powiedział im za dużo.

Teraz mieli przewagę i mogli znaleźć sposób, aby to skutecznie wykorzystać.

Punkt dla przeciwnika.

– Dowiemy się, co masz przeciwko Derekowi Lampionowi – przyrzekł Dusty.

– A kiedy poznamy twoje motywacje, będzie to gwóźdź do twojej trumny.

– Proszę – powiedział doktor, krzywiąc się z udawanego bólu.

– Nie torturujcie mnie komunałami.

Jeśli chcecie mnie przestraszyć, bądźcie tak uprzejmi i tymczasem wyjdźcie, uzupełnijcie swoją edukację, popracujcie nad swoim słownictwem i wróćcie tu ze świeżymi metaforami.

O wiele lepiej.

Na moment wypadł z roli.

Była to trudna rola, złożona, pełna intelektualnej głębi i obfitująca w podteksty.

Żaden z aktorów, którzy zdobywali Oscary za udział w wyciskaczach łez tatusia, nie odegrałby jej tak dobrze i z takim wyczuciem jak doktor.

Chwila roztargnienia może się zdarzyć każdemu, ale znów był władcą pamięci.

Teraz, w odpowiedzi na ich nieudolną próbę zastraszenia, udzielił im lekcji prawdziwej gry aktorskiej.

– Kiedy wyruszyście na tę krucjatę, aby doprowadzić mnie przed oblicze sprawiedliwości, chyba będziecie musieli pomieszkać trochę z ukochaną mamusią.

Wasz śmieszny domek spłonął do fundamentów w środę w nocy.

Biedne głupie dzieciaki zmieszały się na chwilę, nie do końca pewne, czy to, co właśnie usłyszały, jest prawdą czy kłamstwem, a jeżeli kłamstwem, to jaki mógł być cel tego oszustwa.

– Wasza piękna kolekcja mebli z wyprzedaży przepadła, obawiam się.

I ta przekłeta taśma, o której wspominaliście wcześniej, ta z wiadomością od Susan, też przepadła.

Cóż za tragedia.

Ubezpieczenie nigdy nie zwróci przedmiotów o wartości sentymentalnej, prawda?

Teraz uwierzyli.

Zagubione spojrzenie bezdomnych, pozbawionych dachu nad głową.

Zanim zdążyli dojść do siebie, doktor zadał następny cios.

– Ten idiota o wylupiastych oczach, z którym zostawiliście Skeeta.

Jak się nazywał?

Spojrzeni po sobie, a potem Dusty odparł: – Figa.

Doktor zmarszczył brwi.

– Figa?

– Foster Newton.

– Ach.

Rozumiem.

No cóż, Figa nie żyje.

Cztery kule w brzuch i w pierś.

Wstrząśnięty Dusty spytał: – Gdzie jest Skeet?

– Także nie żyje.

Również cztery kule w brzuch i w pierś.

Skeet i Figa.

To była piękna rozgrywka: jeden na dwóch.

Kiedy Dusty znów ruszył wokół biurka, Ahriman wycelował berettę prosto w jego twarz, a Martie chwyciła męża za rękę, powstrzymując go.

– Niestety – ciągnął doktor.

– Nie udało mi się zabić waszego psa.

To byłby niezły dramatyczny efekt, wieńczący tę piękną scenę.

Jak w kinie.

Ale życie nie jest tak zręcznie skonstruowane jak filmy.

Doktor napawał się swoim triumfem.

Gdyby mógł podskoczyć i zawisnąć w powietrzu, zrobiłby to.

Plebejuszami targały wielkie emocje, ponieważ jak wszyscy osobnicy tego pokroju, kierowali się nie tyle intelektem, ile pierwotnymi odruchami.

Beretta zmuszała ich jednak do samokontroli i stopniowo musieli zacząć godzić się z przykrą świadomością, że pistolet nie jest jedyną bronią doktora.

Jeśli przyznał się do zabicia Skeeta i Figi, nawet tutaj, w całkowitej prywatności swego sanctum sanctorum, to znaczy, że nie boi się oskarżenia o morderstwo, musi być nietykalny.

Z ociąganiem, z goryczą, dochodzili do wniosku, iż niezależnie od tego, jak bardzo będą się starali go

pokonać, zwycięży ich swoją zręcznością, wyższą inteligencją, pogardą dla wszelkich reguł innych niż własne i wyjątkowym talentem do oszukiwania – co w efekcie czyniło pistolet jego ostatnią bronią.

Doktor pozwolił, aby prawda wsączyła się w ich gąbczaste szare komórki, a potem zakończył przedstawienie.

– Myślę, że powinniście już iść.

Ale zanim pójdziecie, udzielę wam rady, żeby gra stała się trochę ciekawsza.

– Gra?

– spytała Martie.

Pogarda i wstręt w jej głosie nie mogły już dotknąć Ahrimana.

– Kim wy jesteście?

– spytał Dusty ochryplym z emocji głosem.

– Instytut...

dlaczego?

– Och – powiedział doktor – z pewnością rozumiecie, że dobrze jest czasem usunąć kogoś, kto sprzeciwia się korzystnej dla społeczeństwa polityce.

Albo kierować kimś, kto ją prowadzi.

A czasem zamach bombowy dokonany przez prawicowego fanatyka lub w następnym tygodniu przez lewicowego fanatyka, dramatyczne masowe morderstwo popełnione przez samotnego strzelca, spektakularna katastrofa kolejowa albo wyciek ropy...

Takie rzeczy mogą wzbudzić niezwykle zainteresowanie mediów, skupić uwagę społeczną na jakiejś szczególnej kwestii i wymusić rozwiązania prawne, których wynikiem będzie bardziej stabilne społeczeństwo, co pozwoli nam uwolnić się od wszelkiego rodzaju ekstremistów.

– Ludzie tacy jak wy mają ocalić nas przed ekstremistami?

Ignorując jej drwiący ton, powiedział: – A co się tyczy rady, o której wspomniałem...

Od tej pory nie śpijcie w tym samym czasie.

Nie rozdzielajcie się.

Pilnujcie się nawzajem.

I pamiętajcie, że każdy człowiek na ulicy, każdy człowiek w tłumie, może należeć do mnie.

Widział, że nie mają ochoty iść.

Serca biły im szybko, a w ich umysłach wrzał gniew, żal i gorycz.

Chcieli rozwiązania teraz, natychmiast, ponieważ jak wszyscy osobnicy ich pokroju nie potrafili docenić długoterminowej strategii.

Nie byli w stanie pogodzić rozpaczliwej potrzeby emocjonalnego oczyszczenia z własną bezsilnością.

– Idźcie – powiedział Ahriman, wskazując berettą drzwi.

Poszli, ponieważ nie mieli innego wyboru.

Za pośrednictwem kamery połączonej z komputerem doktor obserwował, jak mijają poczekalnię i wychodzą na korytarz.

Zamiast schować berettę do kabury, doktor położył ją na biurku, w zasięgu ręki, i usiadł, aby rozważyć tę nową sytuację.

Bardzo chciał się dowiedzieć, jak tych dwoje prostaków odkryło, że są zaprogramowani, i jak zdołało się przeprogramować.

Ich zdumiewające samowyzwolenie wydawało się nie tyle osiągnięciem, ile zwykłym cudem.

Niestety, prawdopodobnie nie dowie się niczego, dopóki znów nie uzyska nad nimi kontroli, nie

odbuduje ich kaplic umysłu i nie zainstaluje nowego programu, co oznaczało zorganizowanie trzech nudnych sesji, takich jak te, które przeprowadził z każdym z nich już wcześniej.

Ale teraz mieli się na baczności, zdawali sobie sprawę z cienkości linii między rzeczywistością a fantazją we współczesnym świecie, i zapewne nie daliby mu tej szansy, niezależnie od tego, jakim sprytem by się wykazał.

Będzie musiał żyć z tą tajemnicą.

Powstrzymanie ich, zanim narobią dalszych szkód, było ważniejsze niż poznanie prawdy o tym, jak się uratowali.

Tak czy inaczej, nie miał wielkiego szacunku dla prawdy.

Prawda jest bezpostaciowa, amorficzna, zmienia kształt na naszych oczach.

Przez całe życie kształtował prawdę z taką samą łatwością, z jaką garncarz przetwarza bryłę gliny w naczynie o dowolnej formie.

Siła codziennie triumfuje nad prawdą.

Nie mógłby zabić tych ludzi prawdą, lecz odpowiednio zastosowana siła zmiażdży ich i zmiecie z planszy gry na zawsze.

Wyjął z teczki błękitną torbę.

Położył ją na biurku i wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

Gra mogła zostać rozegrana do końca w ciągu najbliższych kilku godzin.

Wiedział, dokąd pójda teraz Martie i Dusty.

Wszystkie najważniejsze figury znajdą się w tym samym miejscu, zdane na łaskę wytrawnego stratega.

„Dowiemy się, co masz przeciwko Derekowi Lamptonowi.

A kiedy poznamy twoje motywy, będzie to gwóźdź do twojej trumny”.

Jacyż byli beznadziejnie prostoduszni.

Po tym wszystkim, co przeszli, nadal wierzyli w świat tak uporządkowany jak w powieści kryminalnej.

Poszlaki, zeznania, dowody i prawda nie pomogą im w tej sprawie.

Tą grą rządziły bardziej fundamentalne siły.

Mając nadzieję, że pacjentka z Keanufobią nie zadzwoni podczas jego krótkiej nieobecności, doktor schował beretkę do kabury, zjechał windą na parter, opuścił budynek, przeszedł przez parking do jednej z restauracji w pobliskim centrum handloworozrywkowym i skorzystał z publicznego aparatu, by zatelefonować pod ten sam numer, pod który dzwonił w środę wieczorem, zlecając podpalenie.

Numer był zajęty.

Próbował cztery razy, zanim wreszcie uzyskał połączenie.

– Halo?

– Ed Mavole – powiedział doktor.

– Słucham.

Po wyrecytowaniu linijek warunkującego haiku doktor zażądał: – Powiedz mi, czy jesteś sam.

– Jestem sam.

– Wyjdź z domu.

Weź ze sobą dużo drobnych.

Idź prosto do publicznego telefonu, gdzie będziesz miał choć odrobinę prywatności.

Za piętnaście minut zadzwoń pod ten numer.

– Doktor podał rozmówcy bezpośredni numer do swego gabinetu, z którym można się było połączyć z pominięciem Jennifer.

– Powiedz mi, czy zrozumiałeś.

– Zrozumiałem.

Ahriman wyprowadził obiekt z kaplicy umysłu do pełnej świadomości, każąc mu liczyć do dziesięciu, po czym powiedział: – Przepraszam, pomyłka – i odłożył słuchawkę.

Wracając do gabinetu na czternastym piętrze, doktor zawahał się przed drzwiami poczekalni, ponieważ mogła tam czekać pacjentka cierpiąca na Keanufobię z butem na wysokim obcasie w ręku.

Jennifer podniosła głowę znad biurka, spojrzała przez okienko recepcji i pomachała mu przyjaźnie.

On też jej pomachał, ale zniknął w gabinecie, zanim zdążyła wdać się w entuzjastyczny wywód o korzyściach płynących z codziennego spożywania pięciu uncji gotowanej kory sosnowej.

Siadając przy biurku, wyciągnął z kabury berettę i położył ją w zasięgu ręki.

Wyjął z lodówki nową butelkę wiśniowej wody sodowej, by popić nią następny balonik.

Potrzebował dawki cukru.

Znów działał.

Przeżył kilka ciężkich chwil, ale kryzys tylko dodał mu sił.

Pełen optymizmu, jak zawsze, wiedział, że za kilka godzin odniesie kolejne spektakularne zwycięstwo, i był podniecony.

Ludzie bez przerwy pytali doktora, jak udaje mu się zachować młody wygląd, młodzieńczą sylwetkę i wigor, chociaż prowadzi tak intensywne życie.

Jego odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: zachował młodość, ponieważ umie się bawić.

Kiedy telefon zadzwonił, musiał uaktywnić obiekt jeszcze raz: – Ed Mavole.

– Słucham.

Po zakończeniu procedury warunkowania doktor Ahriman powiedział: – Pójdiesz prosto do przechowalni w Anaheim.

– Podał adres przechowalni, numer skrytki, którą wynajął na fałszywe nazwisko, i kombinację cyfrową zamka w drzwiach.

– Oprócz innych rzeczy znajdziesz tam dwa pistolety maszynowe Glock 18 i kilka zapasowych magazynków na trzydzieści naboji.

Weź jeden pistolet i...

cztery magazynki, powinny wystarczyć.

Niestety, ponieważ w domu w Malibu będzie pięć osób zamiast trzech, a do wykonania zadania pozostała tylko jedna osoba zamiast dwóch, zapewne nie uda się jej przeprowadzić całej operacji dostatecznie cicho, by zdążyć jeszcze poćwiartować wszystkie ofiary i ułożyć ironiczną kompozycję zgodnie z pierwotnym planem gry.

Padnie tyle strzałów, że policja zjawi się bardzo szybko i przerwie pracę: gliny słyną z braku wyczucia.

Może jednak wystarczy czasu, aby przekształcić Dereka Lamptona seniora w przedmiot kpin, jak na to zasługuje.

– Oprócz pistoletu i czterech magazynków zabierzesz ze skrytki tylko piłę do autopsji i jedno ostrze.

Nie, lepiej dwa ostrza, na wypadek, gdyby jedno się złamało.

Diabeł tkwi w szczegółach.

Opisał te narzędzia, aby mieć pewność, że obiekt nie popełni pomyłki, a następnie podał mu adres

Dereka Lamptona w Malibu.

- Zabijesz wszystkich w domu.
 - Wymienił osoby, które powinny być obecne.
 - Ale gdybyś zastał jeszcze kogoś – sąsiadów, inkasenta z gazowni, kogokolwiek – też ich zabij.
- Wkroczył śmiało, przechodził szybko z pokoju do pokoju, goń ich, gdyby uciekali, i nie trać czasu.

Potem, zanim zjawi się policja, usuniesz górną część czaszki doktora Dereka Lamptona piłą do autopsji.

- Opisał technikę, jaką najlepiej się posłużyć.
- Teraz powiedz mi, czy zrozumiałeś.
- Zrozumiałem.
- Wyjmiesz mózg i odłożysz go na bok.

Powtórz, proszę.

- Wyjmę mózg i odłożę na bok.

Doktor spojrzał tęsknie na błękitną torbę na biurku.

Nie było sposobu, aby szybko i bez świadków spotkać się z zaprogramowanym zabójcą i przekazać mu produkt przemiany materii Lokaja.

- Musisz coś włożyć do pustej czaszki.

Jeśli Lamptonowie mają psa, być może znajdziesz to, co trzeba, ale jeśli nie, będziesz musiał sam się postarać.

- Udzielił ostatnich instrukcji, obejmujących polecenie samobójstwa.
- Rozumiem.
- Wyznaczam ci bardzo ważne zadanie i jestem przekonany, że nie sprawisz mi zawodu.
- Dziękuję.
- Bardzo proszę.

Ahriman odłożył słuchawkę.

Żałował, że nie mógł zaprogramować samej krostowatej rodziny Lampionów – niestrawnego Dereka, jego flejowatej żony i pomyłonego syna – i użyć ich jako marionetek.

Niestety, zbyt dużo o nim wiedzieli i z pewnością potraktowałiby go podejrzliwie; nie miałby praktycznie żadnej możliwości zbliżenia się do nich, by podać im wymagane narkotyki i przeprowadzić trzy długie sesje programujące.

Mimo to wszystko w nim kipiało.

Triumf był w zasięgu ręki.

Wiśniowa soda.

Martwy głupiec w Malibu.

Naucz się kochać siebie.

Doskonale.

Doktor wznosił toast za swój geniusz poetycki.

Rozdział 73.

Na przylądku Cod czy w Winnicy Marty ten dom wyglądałby jak miejsce z Amerykańskiego Snu, miejsce, gdzie przekracza się rzekę i przechodzi przez las, by dotrzeć do chłodnego świtu w Dniu Dziękczynienia, gdzie w gwiazdkowy poranek Święty Mikołaj wydaje się prawdziwy nawet dorosłym.

Kwintesencja domu idealnej babci.

Chociaż idealny dom oraz idealna babcia nigdy nie istniały, ten naród ckliwych sentymentalistów uważał, że tak właśnie powinny wyglądać wszystkie babcine domy.

Dwuspadowy dach z mansardą.

Srebrzyste gonty z drewna cedrowego.

Framugi i okiennice lśniące od białej farby w lekko niebieskim odcieniu.

Głęboka weranda z wiklinowymi bujanymi fotelami i huśtaną ławeczką, wypielegnowany ogródek z białymi płótkami otaczającymi każdą grządkę kwiatową.

Na przylądku Cod czy w Winnicy Marty, w wybranym momencie przeszłości, można by tu spotkać Normana Rockwella siedzącego w ogrodzie przy sztalugach i malującego dwójkę roześmianych dzieci, które biegają za gęsią, by zawiązać jej wokół szyi czerwoną kokardę, podczas gdy w pobliżu dokazuje szczęśliwy pies.

Tutaj, w Malibu, nawet w środku nadmorskiej zimy, na niskim cyplu nad Pacyfikiem, ze schodami prowadzącymi na plażę i rosnącymi wokół palmami, ten dom wydawał się nie na miejscu.

Piękny, zgrabny, dobrze zaprojektowany i dobrze skonstruowany, lecz mimo to nie na miejscu.

Gdyby mieszkała tu czyjokolwiek babcia, miałyby elektryzująco błękitne paznokcie, ufarbowane blond włosy, usta uwypuklone zmysłowo zastrzykami z kolagenu i chirurgicznie powiększone piersi.

Dom był lśniącą fikcją, kryjącą w swoim wnętrzu mroczną prawdę, a sam jego widok podczas tej wizyty – zaledwie piątej, jaką złożył Dusty, odkąd opuścił go prawie dwanaście lat temu – podziałał na niego tak jak zawsze, wywołując zimny skurcz w sercu.

Dom, rzecz jasna, nie był niczemu winien.

Był tylko domem.

Mimo to, kiedy on i Martie zaparkowali na podjeździe i wchodzili frontowymi schodami na werandę, powiedział: – Wieża Kirith Ungol.

Nie śmiał myśleć o ich małym domku w Corona Del Mar.

Jeśli naprawdę spłonął do fundamentów, jak utrzymywał Ahriman, Dusty nie był gotowy na emocjonalny wstrząs.

Oczywiście, dom to tylko dom, a każdą własność można zastąpić, lecz jeśli kocha się swój dom i jeśli wiążą się z nim dobre wspomnienia, trudno nie odczuwać żalu z powodu jego utraty.

Nie śmiał także myśleć o Skeecie i Fidze.

Jeśli Ahriman nie kłamał, jeśli rzeczywiście ich zabił, zarówno ten świat, jak i serce Dusty'ego wypełni mrok, który pozostanie tam już na zawsze.

Świadomość, że miałby utracić kłopotliwego, lecz kochanego brata, przejmowała go głuchą rozpaczą, tak jak mógł się spodziewać, ale był trochę zdziwiony, jak głęboko wstrząsnęła nim myśl o śmierci Figi; cichy, pracowity malarz pokojowy był naprawdę trochę dziwny, ale także uprzejmy i dobroduszny, a puste miejsce, jakie pozostawił w życiu Dusty'ego, miało wielkość i kształt osobliwej, lecz znaczącej przyjaźni.

Na dzwonek odpowiedziała jego matka, Claudette, a Dusty, jak zawsze, był poruszony i rozbrojony

jej urodą.

Mając pięćdziesiąt dwa lata, wyglądała na trzydzieści pięć, a mając trzydzieści pięć, przykuwała uwagę wszystkich w zatłoczonym pokoju samym swoim pojawieniem się.

Takie samo wrażenie będzie z pewnością wywierała jako osiemdziesięcioletnia staruszka.

Jego ojciec, drugi z jej czterech mężów, powiedział kiedyś: „Claudette od urodzenia wygląda tak, że chciałoby się ją zjeść.

Świat patrzy na nią codziennie i ślini się”.

Było to tak trafne i zwięzłe, że Trevor, jego ojciec, prawdopodobnie nie wymyślił tego sam, ale przeczytał gdzieś, a chociaż w pierwszej chwili uwaga wydawała się grubiańska, wcale taka nie była – była prawdziwa.

Trevorowi nie chodziło o jej seksualność.

Miał na myśli piękno oddzielone od pożądania seksualnego, piękno jako ideał, piękno tak uderzające, że przemawia do duszy.

Kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy lgnęli do Claudette, chcieli być blisko niej, a kiedy patrzyli na nią, w ich oczach pojawiało się coś przypominającego czystą nadzieję i zachwyt, ale inne i bardziej tajemnicze.

Miłość, którą ofiarowywało jej tak wielu, była niezasłużona – i nieodwzajemniona.

Claudette miała oczy podobne do oczu Dusty’ego, szarobłękitne, ale z mniejszą domieszką błękitu, a on nigdy nie zobaczył w nich tego, co każdy syn pragnie zobaczyć w oczach swojej matki, i nigdy nie znalazł powodu, by wierzyć, że ona chce tej miłości, którą – bardziej jako chłopiec niż teraz, ale wciąż – hojnie ją darzył.

– Sherwood – powiedziała, nie całując go ani nie podając mu ręki na powitanie – czy w dzisiejszych czasach wszyscy młodzi ludzie przychodzą niezapowiedziani?

– Mamo, wiesz, że nie mam na imię Sherwood...

– Sherwood Penn Rhodes.

Tak jest zapisane w twojej metryce urodzenia.

– Doskonale wiesz, że zmieniłem je oficjalnie...

– Tak, kiedy miałeś osiemnaście lat, byłeś zbuntowany i jeszcze bardziej lekkomyślny niż teraz – powiedziała.

– Dusty.

Od najmłodszych lat wszyscy przyjaciele tak mnie nazywali.

– Twoi przyjaciele zawsze wywodzili się z nieodpowiedniej sfery.

Zawsze wiązałeś się z niewłaściwymi ludźmi, z taką regularnością, jakbyś robił to rozmyślnie.

Dustin Rhodes.

Jak moglibyśmy zachować powagę, przedstawiając cię kulturalnym ludziom jako Dusty’ego Rhodesa?

– Myślałem dokładnie tak samo.

– Cześć, Claudette – przywitała się ignorowana do tej pory Martie.

– Moja droga – powiedziała Claudette – proszę, użyj swojego dobrego wpływu na tego chłopca i nakłoń go, żeby wrócił do poważnego imienia.

Martie uśmiechnęła się.

– Podoba mi się Dusty – imię i chłopiec.

– Martine – powiedziała Claudette.

– To jest imię prawdziwej osoby, moja droga.

– Wolę, kiedy ludzie nazywają mnie Martie.

– Tak, wiem.

Jaka szkoda.

Nie dajesz dobrego przykładu Sherwoodowi.

– Dustinowi – wtrącił Dusty.

– Nie w moim domu – ucięła Claudette.

Za każdym razem, kiedy tu przychodził, niezależnie od tego, ile czasu minęło od jego poprzedniej wizyty, Dusty był witany w taki sam sposób, choć nie zawsze kłótnią na temat imienia, niekiedy uwagami dotyczącymi nieodpowiedniego ubioru lub uczesania albo pytaniem, czy znalazł sobie wreszcie prawdziwą pracę, czy też nadal maluje domy.

Raz przetrzymała go na werandzie, dyskutując o kryzysie politycznym w Chinach, przez całe pięć minut, które ciągnęły się jak godzina.

Zawsze w końcu wpuszczała go do środka, ale on nigdy nie był pewien, czy pozwoli mu przekroczyć próg.

Skeet wpadł kiedyś w niezwykle podniecenie, obejrzawszy film o aniołach, w którym Nicholas Cage grał jednego ze skrzydlatych.

Przesłanie filmu było takie, że aniołom stróżom nie wolno poznać romantycznej miłości ani innych silnych uczuć; muszą pozostawać istotami ściśle intelektualnymi, aby mogły służyć ludzkości, nie angażując się emocjonalnie.

Skeetowi tłumaczyło to zachowanie ich matki, której nawet aniołowie mogli pozazdrościć urody, ale która potrafiła być zimniejsza niż dzban cierpkiej lemoniady w środku upalnego lata.

Wreszcie, pobrawszy psychiczne myto, Claudette cofnęła się, zapraszając ich do środka bez słowa czy gestu.

– Jeden syn pojawia się z...

gościem prawie w środku nocy, drugi z żoną, i żaden wcześniej nie uprzedzi.

Obaj pobierali lekcje dobrych manier, ale najwyraźniej były to wyrzucone pieniądze.

Dusty przypuszczał, że tym drugim synem był piętnastoletni Junior, który nadal tu mieszkał, ale gdy on i Martie weszli do przedpokoju, ze schodów zbiegł Skeet, aby się z nimi przywitać.

Wydawał się bledszy, niż kiedy widzieli go po raz ostatni, a także szczuplejszy, a pod oczami miał ciemne kręgi, ale żył.

Kiedy Dusty go objął, Skeet powiedział: – Au, au, au – a potem powiedział to znów, kiedy objął Martie.

Oszołomiony Dusty bąknął: – Myśleliśmy, że...

– Słyszeliśmy – zaczęła Martie – że...

Zanim któreś z nich zdążyło skończyć tę myśl, Skeet uniósł sweter i podkoszulek, co wywołało grymas niesmaku na twarzy jego matki, i odsłonił nagi tors.

– Rany po kulach!

– oznajmił z osobliwą dumą.

Jego pierś i brzuch znaczyły cztery złowieszcze, ciemne sińce z jaśniejszymi obwódkami.

Przepętniony ulgą, że widzi Skeeta żywego, uradowany, lecz zdumiony, Dusty spytał: – Rany po kulach?

– No cóż – wyjaśnił Skeet – to mogły być rany po kulach, ale na szczęście ja i Figa...

– Figa i ja – poprawiła go matka.

– Tak, na szczęście Figa i ja mieliśmy na sobie kamizelki kuloodporne.

Dusty poczuł, że musi usiąść.

Martie też była wstrząśnięta.

Ale przyjechali tu w poczuciu zagrożenia i mogło ich to drogo kosztować, gdyby teraz o tym zapomnieli.

– Co robiliście w kamizelkach kuloodpornych?

– Dobrze się stało, że nie zabraliście ich do Nowego Meksyku – powiedział Skeet.

– Ja i Figa...

– szybkie, skruszone spojrzenie na matkę – Figa i ja pomyśleliśmy, że też możemy się na coś przydać, i postanowiliśmy śledzić doktora Ahrimana.

– Co takiego?

– Jechaliśmy za nim ciężarówką Figi...

– Którą kazałam im zaparkować w garażu – wtrąciła Claudette.

– Nie życzę sobie, żeby taki pojazd widziano przed moim domem.

– Ciężarówka jest w porządku – powiedział Skeet.

– W każdym razie, włożyliśmy kamizelki po prostu na wszelki wypadek, pojechaliśmy za nim, a on w jakiś sposób to odkrył.

Myśleliśmy, że nam się wymknął, i pojechaliśmy na plażę, żeby nawiązać kontakt z jednym ze statków macierzystych, a wtedy on podszedł i strzelił do każdego z nas cztery razy.

– Dobry Boże – szepnęła Martie.

Dusty dygotał, targany uczuciami, których nie potrafił nazwać.

Mimo to zauważył, że oczy Skeeta są tak jasne i czyste jak jeszcze nigdy od tamtego radosnego dnia, ponad piętnaście lat temu, gdy obaj zebrali całe pudełko psich odchodów i wysłali je pocztą Holdenowi Caulfieldowi starszemu zaraz po tym, jak Claudette rzuciła go dla Dereka.

– Miał na głowie kominiarkę, więc nie moglibyśmy zidentyfikować go na policji.

Nawet nie poszliśmy na policję.

Chyba nic byśmy nie wskórali.

Ale i tak wiedzieliśmy, że to on.

Nie oszukał nas.

– Skeet promieniał, jakby obaj zrobili psychiatrze świetny kawał.

– Strzelił dwa razy do Figi, a potem cztery razy do mnie.

To było tak, jakby ktoś uderzył mnie młotkiem w brzuch, uszło ze mnie całe powietrze i prawie straciłem przytomność.

Chciałem zaczerpnąć oddechu, ale nie mogłem, ponieważ mógł mnie usłyszeć nawet przy tym wietrze i zorientować się, że nie jestem martwy.

Figa też udawał zabitego.

Zanim odwrócił się do Figi i strzelił do niego jeszcze dwa razy, powiedział do mnie: „Twoja matka jest dziwką, twój ojciec jest oszustem, a twój ojczym ma gówno zamiast mózgu”.

– Nigdy w życiu nie spotkałam tego dostawcy popularnej szmiry – powiedziała Claudette lodowatym tonem.

– Potem ja i Figa, to znaczy Figa i ja, zobaczyliśmy, że Ahriman odchodzi w pośpiechu, ale nadal tam leżeliśmy, ponieważ byliśmy przerażeni.

I przez chwilę nie mogliśmy się ruszyć.

Jakbyśmy zostali ogłuszeni.

Masz pojęcie?

A kiedy już mogliśmy się ruszać, przyjechaliśmy tutaj, żeby się dowiedzieć, dlaczego nazwał mamę dziwką.

– Nie byłeś w szpitalu?

– zaniepokoiła się Martie.

– Nie, nic mi nie jest – odparł Skeet, opuszczając wreszcie sweter.

– Możesz mieć złamane żebro albo obrażenia wewnętrzne.

– Mówiłam mu to samo – powiedziała Claudette – ale bez skutku.

Wiesz, jaki jest Holden, Sherwood.

Zawsze miał więcej entuzjazmu niż zdrowego rozsądku.

– Mimo wszystko powinieneś pójść do szpitala i zbadać się, dopóki obrażenia są widoczne – doradził Skeetowi Dusty.

– To dopuszczalny dowód, gdyby udało się nam postawić tego zasańca przed sądem.

– Kanalię – upomniała go Claudette – albo sukinsyna.

Oba określenia są odpowiednie, Sherwood.

Prostackie wulgaryzmy nie robią na mnie wrażenia.

Jeśli sądziłeś, że zasraniec mną wstrząśnie, to byłeś w błędzie.

W tym domu nigdy nie uważaliśmy, że William Burroughs to literatura, i na pewno nie zaczniemy myśleć tak teraz.

– Uwielbiam twoją matkę – powiedziała Martie do Dusty’ego.

Żrenice Claudette zwięzły się prawie niedostrzegalnie.

– Jak było w Nowym Meksyku?

– spytał Skeet.

– To cudowny kraj – odparł Dusty.

Na końcu korytarza otworzyły się wahadłowe drzwi do kuchni i ukazał się w nich Derek Lampton.

Ruszył w ich stronę wyprostowany, z wypiętą piersią, a chociaż miał wojskową postawę, zdawał się skradać ku nim.

Od dnia, kiedy się pojawił, Skeet i Dusty nazywali go między sobą Jaszczurem, lecz Lampton przypominał raczej norkę, lśniącą, zwinną i podstępna, z włosami gęstymi i błyszczącymi jak futro oraz szybkimi, czarnymi, uważnymi oczami stworzenia, które tylko czeka, aby wdrzeć się do kojca z kurczętami, gdy farmer się odwróci.

Miał dłonie o wąskich palcach z lekko spiczastymi paznokciami, przypominającymi zręczne szpony.

Norka należy do rodziny łasic.

– Czy ktoś umarł i będziemy odczytywać testament?

– spytał Lampton, co było próbką jego poczucia humoru, a zarazem odżywką najbardziej zbliżoną do powitania, na jaką potrafił się zdobyć.

Zlustrował Martie od stóp do głów, zatrzymując wzrok na wypukłości piersi pod swetrem, tak jak zawsze oglądał atrakcyjne kobiety.

Kiedy wreszcie popatrzył jej w oczy, obnażył małe, ostre, nieskazitelnie białe zęby.

Mogło to uchodzić za uśmiech, a zapewne w jego przekonaniu był to nawet uwodzicielski uśmiech.

– Sherwood i Martine wrócili właśnie z Nowego Meksyku – poinformowała Claudette męża.

– Doprawdy?
– spytał Lampton, unosząc brwi.
– Mówiłem wam – powiedział Skeet.
– W istocie – potwierdził Lampton, zwracając się raczej do Dusty’ego niż do Skeeta.
– Mówił nam, ale z tak malowniczymi szczegółami, że uznaliśmy to za jedno z jego chorobliwych urojeń.

– Nie mam chorobliwych urojeń – zaproponował Skeet.

Udało mu się przybrać stanowczy ton, ale nie odważył się spojrzeć Lamptonowi w oczy i zamiast tego wbił wzrok w podłogę.

– No, Holden, nie wypieraj się – próbował go pocieszać Lampton.

– Nie osądzam cię.

kiedy mówię o twoich chorobliwych urojeniach, tak jak nie osądzałbym Dusty’ego, gdybym wspomniiał o jego patologicznej awersji do autorytetów.

– Nie mam patologicznej awersji do autorytetów – zaprzeczył Dusty, zły na siebie, że nie oparł się pokusie, aby odpowiedzieć, starając się zachować spokojny, a nawet przyjazny ton głosu.

– Mam uzasadnioną awersję do zgrai nadętych durniów, którzy mówią każdemu, co ma robić i myśleć.

Mam awersję do samozwańczych ekspertów.

– Sherwood – powiedziała Claudette – nie wyrazisz swojego stanowiska ani trochę dobitniej, jeśli będziesz używał niefortunnnych oksymoronów, takich jak samozwańczy eksperci.

– Tak naprawdę, Claudette, to nie był oksymoron – powiedziała Martie z najgłębszą powagą.

– To była metonimia, w której przymiotnik „samozwańczy” miał zastąpić bardziej wulgarne, chociaż bardziej trafne określenie „aroganckie kutasy”.

Gdyby Dusty żywił jakiegokolwiek wątpliwości, czy zawsze będzie kochał Martie, to teraz upewnił się, że są związani na wieczność.

Claudette, która zdawała się nie słyszeć swojej synowej, zwróciła się do Skeeta: – Derek ma absolutną rację, Holden, i to w obu kwestiach.

Nie osądza cię.

Nie jest tego rodzaju osobą.

A ty, rzecz jasna, masz chorobliwe urojenia.

Jeśli nie przyjmiesz tego do wiadomości, nigdy nie wyzdrowiejesz.

Przestąpienie progu, choć trudne, było zdecydowanie łatwiejsze niż wyjście poza przedpokój.

– Holden przestał przyjmować leki – poinformował Derek Lampton Dusty’ego, a jego wzrok znów powędrował w dół i spoczął na piersiach Martie.

– Przepisałeś mi siedem rodzajów proszków – powiedział Skeet.

– Gdybym brał wszystkie rano, nie miałbym miejsca na śniadanie.

– Nigdy nie dowiesz się, na co cię stać – upomniała go Claudette – dopóki nie pogodzisz się ze swoją chorobą i nie zaczniesz się leczyć.

– Myślę, że powinien przestać brać leki już dawno temu – wtrącił Dusty.

Odrywając wzrok od piersi Martie, Lampton powiedział: – Nie ułatwiasz Holdenowi powrotu do zdrowia, kiedy macisz mu w głowie dyletanckimi radami.

– Jego ojciec ułatwiał mu powrót do zdrowia, odkąd Skeet skończył dziewięć lat, a potem ty się do tego zabrałeś.

- Dusty silił się na uśmiech i lekki ton, który, jak wiedział, nikogo nie zmyli.
- I jak na razie widzę mnóstwo ułatwiania, ale żadnej poprawy.
- Mamo, czy wiesz, że mój ojciec nie nazywał się naprawdę Holden Caulfield?
- powiedział rozpromieniony Skeet.
- Nazywał się Sam Farner, zanim zmienił nazwisko.

Żrenice Claudette zwęziły się.

- Znowu coś ci się uroiło, Holden.
- Nie, to prawda.

W domu mam dowód.

Może to miał na myśli Ahriman, kiedy nazwał go oszustem po tym, jak do mnie strzelił.

Claudette wycelowała palec w Dusty'ego.

- Podburzasz go, żeby przestał brać leki, i oto skutki.
- Odwróciła się do Skeeta.
- Ten Ahriman nazwał mnie dziwką.

Czy mam przez to rozumieć, Holden, że twoim zdaniem to słowo pasuje do mnie, tak jak twoim zdaniem słowo oszust pasuje do twojego ojca?

Dusty poczuł, że głowę wypełnia mu znajomy szum, który zwykle słyszał jednak dopiero wtedy, kiedy spędził w tym domu co najmniej pół godziny.

Zdecydowany wrócić do najważniejszej kwestii, spytał: – Derek, dlaczego Mark Ahriman tak cię nienawidzi?

- Ponieważ go zdemaskowałem i ujawniłem, kim jest naprawdę.
- A kim jest naprawdę?
- Szarlatanem.
- A kiedy go zdemaskowałeś?
- Robię to przy każdej okazji – odparł Lampton, a jego oczy norki zaślniły złośliwą uciechą.

Stając obok męża i obejmując go w talii, Claudette powiedziała: – Kiedy głupcy w rodzaju Marka Ahrimana zostaną ukąszeni żądłem dowcipu mojego Dereka, nigdy tego nie zapominają.

– Jak?

– dopytywała się Martie.

– Jak go zdemaskowałeś?

– Zamieściłem w dwóch najlepszych czasopismach artykuły krytyczne – odparł Lampton – wyśmiewające jego puste teorie i napuszoną prozę.

– Dlaczego?

– Byłem przerażony, że tylu psychologów traktuje go poważnie.

Ten człowiek nie jest intelektualistą.

To najgorszy rodzaj pozera.

– I to wszystko?

– spytała Martie.

– Kilka artykułów?

Ostre zęby Lamptona błysnęły.

Chociaż miał to być wyraz radości, wyglądał, jakby właśnie zobaczył mysz, którą zamierzał złowić i rozerwać na strzępy.

– O rany, panno Claudy, oni nie rozumieją, co to znaczy znaleźć się w polu rażenia najcięższej

artylerii Lamptona, prawda?

– Ja chyba rozumiem – powiedział Skeet, ale matka i ojczym zdawali się go nie słyszeć.

Zupełnie jakby Lampton powiedział coś dowcipnego lub nieprzyzwoitego, albo jedno i drugie, Claudette wydała z siebie krótki dziewczęcy chichot, tak pełen szczerej wesołości jak terkot grzechotnika.

– O rany, panno Claudy – powtórzył Lampton, podrygując w miejscu i strzelając palcami, jakby sądził, że posługuje się najnowszą odmianą gwary ulicznej.

– Artykuły w dwóch czasopismach.

Trochę sprytnej wojny partyzanckiej.

I parodia jego stylu na ostatniej stronie „The New York Times Book Review”...

– Niezwykle zabawna – zapewniła ich Claudette.

– ...

poza tym napisałem recenzję z jego ostatniej książki dla wielkiego koncernu i recenzja ukazała się w siedemdziesięciu ośmiu gazetach w całym kraju.

Mam wszystkie wycinki.

Czy uwierzycie, że ta okropna książka była na liście „Timesa” przez siedemdziesiąt osiem tygodni?

– Masz na myśli „Naucz się kochać siebie”?

– spytała Martie.

– Bełkot – oświadczył Lampton.

– Prawdopodobnie wyrządziła więcej szkody amerykańskiej psychologii niż jakakolwiek inna książka opublikowana w ostatniej dekadzie.

– Siedemdziesiąt osiem tygodni – powiedział Dusty.

– To długo?

– Dla książki takiej jak ta to wieczność – odparł Lampton.

– Jak długo twoja książka była na liście?

Wybierając najprostszy unik, Lampton powiedział: – Naprawdę nie liczyłem.

Nie chodzi o tani rozgłos.

Chodzi o wartość książki, o to, jaki wpływ wywiera na społeczeństwo, ilu ludziom pomaga.

– Przypuszczam, że dwanaście do czternastu tygodni – naciskał Dusty.

– Och, nie, na pewno dłużej – odparł Lampton.

– No to piętnaście.

Trawiony potrzebą przedstawienia swojego osiągnięcia w sposób ścisły, lecz schwytny we własne sidła Lampton spojrzał na Claudette, szukając u niej pomocy, a ona powiedziała: – Była na liście dwadzieścia dwa tygodnie.

Derek nigdy nie dba o takie rzeczy, ale ja tak.

Jestem z niego dumna.

Dwadzieścia dwa tygodnie to bardzo dobry wynik, naprawdę bardzo dobry w przypadku wartościowej książki.

– No tak, na tym właśnie polega problem – poskarżył się Lampton.

– Popularny bełkot zawsze wypada lepiej niż solidna praca.

Nie może nikomu pomóc, ale jest łatwy w czytaniu.

– Amerykańscy czytelnicy – dodała Claudette – są leniwi i słabo wykształceni, a w dodatku lubią słuchać psychologicznych porad.

– Mówimy o książce Dereka „Odważ się być swoim najlepszym przyjacielem” – rzekł Dusty, patrząc

na Martie.

– Nie mogłem przez nią przebrnąć – wyznał Skeet.

– Z pewnością jesteś dostatecznie bystry – orzekła Claudette – ale jeśli nie będziesz brał leków, twoje trudności z koncentracją będą się pogłębiać i niedługo nie będziesz potrafił przeczytać własnego nazwiska.

„Lecz się, żeby się uczyć”.

Spoglądając w stronę salonu, Dusty zastanawiał się, ile procent gości dociera dalej niż do przedpokoju.

Skeet zebrał się na odwagę.

– Nie mam żadnych problemów z czytaniem powieści fantastycznych, nawet bez leków.

– Twoje powieści fantastyczne – powiedział Lampton – są częścią problemu, Holden, a nie częścią terapii.

– Co z wojną partyzancką?

– spytał Dusty.

Wszyscy popatrzyli na niego ze zdumieniem.

– Powiedziałeś, że prowadziłeś sprytną wojnę partyzancką przeciwko Markowi Ahrimanowi – przypomniał Dusty.

Na twarzy Lamptona znów pojawił się drapieżny uśmiech.

– Chodźcie, pokażę wam!

Poprowadził ich na górę.

Lokaj czekał w korytarzu na pierwszym piętrze, zapewne dlatego, że wystraszył się panującej w przedpokoju atmosfery pola bitwy.

Martie i Dusty zatrzymali się, aby go przytulić, pogłaskać pod brodą, podrapać za uszami, a on w odpowiedzi lizał ich po rękach i merdał ogonem.

Dusty wolałby, gdyby miał wybór, usiąść na podłodze i spędzić resztę dnia z Lokajem.

Poza uściskiem Skeeta, przywitanie z psem było jedyną normalną i prawdziwą rzeczą, jaką przeżył od chwili, gdy nacisnął na dzwonek.

Lampton zapukał do drzwi na końcu korytarza.

Oglądając się na Dusty’ego i Martie, powiedział: – Chodźcie, chodźcie.

Claudette i Skeet zniknęli za drzwiami mieszczącego się po drugiej stronie korytarza gabinetu Lamptona.

Chociaż nie usłyszeli zaproszenia, Lampton otworzył drzwi i wszedł do środka, a oni przekroczyli próg w ślad za nim.

Znaleźli się w sypialni Juniora.

Dusty był tu ostatni raz prawie cztery lata temu, kiedy Derek Lampton Junior miał jedenaście lat.

Wówczas na ścianach wisiały plakaty gwiazd koszykówki i piłki nożnej.

Teraz ściany były pomalowane lśniącą czarną farbą, która pochłaniała światło, toteż pokój wydawał się ciemny, nawet gdy paliły się trzystuwatowe żarówki w lampie pod sufitem.

Metalowe wezglowie łóżka było czarne, podobnie jak narzuta i poduszki.

Także biurko, krzesło i półki na książki.

Podłoga z klonowych desek, tak piękna w innych pomieszczeniach, też została pomalowana na czarno.

Inny kolor miały tylko grzbiety książek na czarnych półkach i dwie naturalnej wielkości flagi

rozpięte na suficie: czerwono-biało-czarna flaga ze swastyką, którą Adolf Hitler próbował narzucić światu, i flaga z sierpem i młotem byłego Związku Radzieckiego.

Cztery lata temu półki wypełniały książki o sporcie, biografie sportowców i powieści fantastyczno-naukowe.

Teraz zastąpiły je książki o Dachau, Auschwitz, Buchenwaldzie, radzieckich łagrach, KuKluxKlanie, Kubie Rozpruwaczu, współczesnych seryjnych zabójcach i obłąkanych terrorystach.

Sam Junior miał na sobie białe tenisówki, białe skarpetki, jasnobrunatne spodnie i białą koszulę.

Leżał na łóżku, czytając książkę z fotografią przedstawiającą stos rozkładających się ciał na obwołucie, a kontrast pomiędzy ubraniem chłopca a czarną jedwabną pościelą sprawiał, że zdawał się lewitować.

– Cześć, braciszku, jak się masz?

– spytał Dusty niezręcznie.

Nigdy nie wiedział, co powiedzieć swemu przyrodniemu bratu, ponieważ właściwie byli sobie obcy.

Opuścił dom – uciekł – dwanaście lat temu, kiedy Junior zaledwie skończył trzy.

– Czy wyglądam, jakbym umarł?

– spytał Junior ponuro.

W istocie chłopiec wydawał się zdumiewająco żywy, zbyt żywy jak na ten świat, jakby naładowany widmową energią sączącą się przez ściany z innego wymiaru.

Zupełnie nie przypominał ojca; los postanowił obdarzyć go hojnie genami matki, użyczyć mu pięknej postawy i pięknych rysów, których poskapił jej pozostałym dzieciom.

Gdyby pewnego dnia zdecydował się wystąpić na scenie, wziąć do ręki mikrofon i zaśpiewać, niezależnie od tego, czy miałby dobry, czy tylko przeciętny głos, stałby się większy niż Elvis, Beatlesi i Ricky Martin razem wzięci, a młode kobiety i młodzi mężczyźni krzyczeliby, płakali, rzucali się na scenę, a wielu z nich z radością podciąłoby sobie żyły i ofiarowało mu swoją krew, gdyby ich o to poprosił.

– Co to ma być?

– zdziwił się Dusty, wskazując na czarne ściany i flagi na suficie.

– A na co to wygląda?

– spytał Junior.

– Postpunk?

– Chrzanić punk.

To dla dzieci.

– Wygląda, jakbyś przygotowywał się na śmierć – powiedziała Martie.

– Ciepłej – odparł Junior.

– Czy to ma sens?

Junior odłożył książkę.

– A czy cokolwiek ma sens?

– Chodzi ci o to, że wszyscy i tak umrzemy?

– Po to tu jesteśmy – powiedział Junior.

– Aby o tym myśleć.

Obserwować, jak przytrafia się innym ludziom.

Przygotowywać się na to.

A potem po prostu umrzeć i przestać istnieć.

– Co to ma być?

– spytał znowu Dusty, tym razem kierując pytanie do swego ojczyma.

– Większość dorastających chłopców, jak Derek, przechodzi przez okres intensywnej fascynacji śmiercią, i każdy z nich uważa, że ma na ten temat głębsze przemyślenia niż ktokolwiek przed nim – wyjaśnił Lampton, mówiąc o swoim synu tak, jakby Junior nie mógł go słyszeć.

Kiedy Dusty i Skeet mieszkali z nim pod jednym dachem, zachowywał się tak samo w stosunku do nich, jakby byli interesującymi zwierzętami laboratoryjnymi, które nie rozumieją ani słowa z tego, co mówi.

– Seks i śmierć.

To najważniejsze kwestie w wieku dojrzewania.

Chłopcy i dziewczęta, ale zwłaszcza chłopcy, obsesyjnie interesują się tymi rzeczami.

Czasem przechodzą przez stany na pograniczu psychotycznych.

To kwestia braku równowagi hormonalnej i najlepiej pozwolić im folgować swoim obsesjom, ponieważ natura sama szybko zlikwiduje ten brak równowagi.

– No cóż, nie pamiętam, żebym była zafascynowana śmiercią – powiedziała Martie.

– Byłaś – orzekł kategorycznie Lampton, jakby znał ją jako dziecko – ale sublimowałaś tę obsesję, przenosząc ją na inne zainteresowania, takie jak lalki Barbie lub makijaż.

– Makijaż ma być sublimacją obsesji śmierci?

– Czy to nie oczywiste?

– powiedział Lampton z samozadowoleniem.

– Celem makijażu jest przeciwstawienie się zmianom powodowanym przez czas, a czas jest synonimem śmierci.

– Ja nadal walczę z lalkami Barbie – wtrącił Dusty.

– Zastanów się nad tym – upierał się Lampton.

– Czym jest lalka, jeśli nie wizerunkiem zwłok?

Nieruchoma, bezwładna, sztywna, martwa.

Małe dziewczynki, bawiące się lalkami, bawią się zwłokami i uczą się nie bać śmierci.

– Pamiętam, że byłem zafascynowany seksem – przyznał Dusty – ale...

– Seks to kłamstwo – powiedział Junior.

– Seks to ucieczka.

Ludzie uciekają w seks, aby uniknąć konfrontacji z prawdą, że celem życia jest śmierć.

Życie to nie tworzenie, lecz umieranie.

Lampton uśmiechnął się, dumny z syna.

– Derek postanowił oswoić się ze śmiercią, aby uwolnić się od strachu przed nią wcześniej niż większość ludzi.

To znana technika przyspieszonego dojrzewania.

– Ja jeszcze się od niego nie uwolniłam – zauważyła Martie.

– A widzisz?

– powiedział Lampton, jakby przyznała mu rację.

– W zeszłym roku to był seks, jak zawsze w przypadku czternastoletnich chłopców.

W przyszłym roku to znów będzie seks, kiedy już znudzi mu się to.

Dusty podejrzewał, iż po roku spędzonym w tym mrocznym pokoju na fascynacji śmiercią Junior może trafić na pierwsze strony gazet, i to nie dlatego, że wygra konkurs ortograficzny.

Lampton zwrócił się do chłopca: – Dusty i Martie są zainteresowani naszymi operacjami partyzanckimi przeciwko Markowi Ahrimanowi.

– Temu pajacowi?

– Junior skrzywił się z dezaprobatą.

– Chcecie mu jeszcze dokopać?

– Dlaczego nie?

– odparł Lampton, zacierając ręce.

Junior wstał z łóżka, przeciągnął się i wyszedł z pokoju.

Kiedy mijał Martie, powiedział: – Niezłe cycki.

– Widzicie?

– Lampton rozpromienił się.

– Już wyrasta z okresu fascynacji śmiercią, chociaż jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Kiedyś Dusty i Martie zastanawiali się, czy nie porwać chłopca, nie ukryć się z nim w jakimś odległym miejscu i nie wychować, aby dać mu szansę na normalne życie.

Teraz wystarczyło jedno spojrzenie na Martie, by nabrać pewności, że nadal chciałaby się ukryć, podobnie jak Dusty, tylko już nie z Juniorem, ale raczej przed nim.

Udali się za chłopcem do gabinetu Lamptona, gdzie czekali Skeet i Claudette z Fosterem Newtonem.

Figa stał przy oknie, patrząc na frontowy dziedziniec i na podjazd.

– Cześć, Figa – powiedział Dusty.

Figa odwrócił się.

– Cześć.

– Nic ci nie jest?

– spytała Martie.

Figa podwinął koszulę, aby pokazać im pierś i brzuch, które nie były ani tak blade, ani wychudzone jak u Skeeta, ale na których widniał co prawda inny, lecz równie paskudny wzór sińców po uderzeniach kul zatrzymanych przez kamizelkę.

– Bardzo męczący poranek – westchnęła Claudette, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją Figa, który źle zrozumiał jej słowa.

– Ocaliłeś nam życie – powiedziała Martie.

– Wóz strażacki?

– Tak.

– I ocalił też moje – dodał Skeet.

Figa potrząsnął głową.

– Kamizelka.

Junior siedział przy biurku ojca przed komputerem.

Lampton stał za nim, patrząc mu przez ramię.

– Proszę bardzo.

Dusty i Martie podeszli bliżej i zobaczyli, że Junior układa zjadliwą i dobrze napisaną minirecenzję z „Naucz się kochać siebie”.

– Umieścimy to na stronie recenzji czytelników w Amazon.com.

Napisaliśmy już i wysłaliśmy ponad sto pięćdziesiąt opinii krytycznych o „Naucz się kochać siebie”, używając różnych nazwisk i adresów emailowych.

Dusty przypomniał sobie wyraz nie ludzkiej złości na twarzy i w oczach Ahrimana, kiedy stali przed

nim w jego gabinecie nie tak dawno temu.

– Czyich nazwisk i adresów emailowych?

– spytał, zastanawiając się, jaką zemstę mógłby wyrzucić psychiatra na tych nieświadomych niczego i niewinnych ludziach.

– Nie martw się – odparł Lampton.

– Kiedy używaliśmy prawdziwych nazwisk, wybieraliśmy skończonych idiotów, którzy nic nie czytają.

Prawdopodobnie nigdy nie odwiedzą Amazon i nie zobaczą tego.

– Najczęściej wymyślamy nazwiska i adresy emailowe – wyjaśnił Junior – co jest nawet lepsze.

– Możecie to robić?

– zdziwiła się Martie.

– Sieć jest płynna – odparł Junior.

Próbując zgłębić prawdziwe znaczenie tych słów, Dusty powiedział: – Trudno odróżnić fikcję od rzeczywistości.

– Jest jeszcze lepiej.

Fikcja i rzeczywistość się nie liczą.

To jedno i to samo, jedna rzeka.

– Więc jak dowiedzieć się prawdy o czymkolwiek?

Junior wzruszył ramionami.

– A kogo to obchodzi?

Prawda nie jest ważna.

Ważne jest to, co działa.

– Jestem pewien, że w Amazon.com połowa pochlebnych recenzji z tej idiotycznej książki Ahrimana została napisana przez samego Ahrimana – powiedział Lampton.

– Znam kilku pisarzy, którym takie rzeczy zajmują więcej czasu niż pisanie.

My tylko próbujemy odwrócić proporcje.

– Wysyłałeś własne pochlebne recenzje z „Odważ się być swoim najlepszym przyjacielem”?

– spytała Martie.

– Ja?

Nie, nie – zapewnił ją Lampton.

– Jeśli książka jest dobra, obroni się sama.

Akurat.

Przez całe godziny, całe dni te zręczne szpony norki wystukiwały z pewnością pochwały w takim tempie, że co chwila zacinała się klawiatura.

– Później – obiecał Junior – pokażemy wam, co jeszcze możemy robić z różnymi stronami w sieci, dotyczącymi Ahrimana.

– Derek ma niezwykły talent do komputerów – pochwalił się Derek Starszy.

– Przetrzęsaliśmy całą sieć w poszukiwaniu Ahrimana, całą.

Poradzi sobie z każdym programem, z każdym zabezpieczeniem.

– Myślę, że widzieliśmy już dość – powiedział Dusty, odwracając się od komputera.

Chwyając Dusty’ego za ramię obiema rękami, Martie odciągnęła go na bok.

Na jej twarzy malował się wyraz przerażenia, kiedy mówiła nerwowym szeptem: – Kiedy Susan pokazywała klientom dom Ahrimana, zanim jeszcze Ahriman go kupił, reprezentowała poprzedniego

właściciela, i chciała, żebym obejrzała to miejsce.

Niezwykły dom, ale trochę zbyt przytłaczający, jak scenografia do „Zmierzchu bogów”.

Powiedziała, że muszę go zobaczyć.

No więc poszłam tam.

To było w dniu, kiedy po raz pierwszy pokazała dom Ahrimanowi, kiedy się z nim spotkała.

Zjawiłam się, gdy kończyła go oprowadzać.

Ja też go wtedy spotkałam.

Trochę rozmawialiśmy...

we trójkę.

– O Boże.

Czy pamiętasz...

– Próbuję.

Ale nie jestem pewna.

Mógł wypłynąć temat tej jego nowej książki.

Siedemdziesiąt osiem tygodni na liście bestsellerów.

Mniej więcej wtedy musiała się więc ukazać.

Półtora roku temu.

A jeśli zdałam sobie sprawę, co to za książka...

mogłam wspomnieć o Dereku.

Próbując stąpić mordercze ostrze przeszywającej konkluzji, ku której zmierzała Martie, Dusty powiedział: – Panno M., przestań natychmiast.

Nawet przez chwilę tak nie myśl.

Ahriman i tak zainteresowałby się Susan.

Była taka piękna, że z pewnością upatrzył ją sobie, zanim się zjawiłaś.

– Może.

– Na pewno.

Lampton odwrócił się od komputera, by posłuchać.

– Spotkaliście już tego hochsztaplera?

Stając przed Derekiem seniorem i mierząc go spojrzeniem, pod którym zamieniłby się w lód, gdyby w jego żyłach płynęła krew, Martie powiedziała: – Przez ciebie wszyscy o mało nie zginęliśmy.

Czekając na pointę tego, co uznał za dowcip, Lampton obnażył drobne, ostre zęby.

– O mało nie zginęliśmy – powtórzyła Martie i dodała: – Przez waszą dziecinną rywalizację.

Claudette stanęła po stronie Lamptona niczym płomienna walkiria spiesząca na pomoc rannemu wojownikowi.

– Nie ma w tym nic dziecinnego.

Nie rozumiesz świata akademickiego, Martine.

Nie rozumiesz intelektualistów.

– Doprawdy?

– wycedziła Martie.

Dusty usłyszał w tym jednym słowie tyle obrzydzenia, że ucieszył się, iż Martie nie ma już przy sobie colta.

– Rywalizacja wśród ludzi takich jak Derek – ciągnęła Claudette – nie dotyczy ego czy osobistych ambicji.

Dotyczy idei.

Idei, które kształtują społeczeństwo, świat, przyszłość.

Aby te idee mogły zostać sprawdzone i przygotowane do wcielenia w życie, potrzebne są spory, dyskusje na różnych płaszczyznach.

– Jak strona dla czytelników w Amazon.com – powiedziała szyderczo Martie.

Claudette nie dała się zrazić.

– Walka idei to prawdziwa wojna, a nie dziecinna rywalizacja, jak próbujesz ją przedstawić.

Lokaj wycofał się z pokoju i stał na korytarzu, patrząc na nich z niepokojem.

Dołączając do Dusty'ego i Martie, choć na wszelki wypadek trzymając się za ich plecami, Skeet zdobył się na odwagę, by wtrącić: – Martie ma rację.

– Kiedy nie bierzesz leków – powiedział Lampton – twój osąd nie jest dostatecznie wyważony, byś mógł być mile widzianym sprzymierzeńcem, Holden.

– Jeśli chodzi o mnie, to jest mile widziany – nie zgodził się Dusty.

Broniąc swojej sprawy, Claudette okazywała więcej emocji, niż Dusty kiedykolwiek widział.

– Tobie się zdaje, że życie to gry wideo, filmy, moda, piłka nożna i uprawa ogródka, czy co tam jeszcze wypełnia twoje dni, ale życie to idee.

Ludzie tacy jak Derek, ludzie idei, kształtują świat.

Kształtują ustrój, religię, społeczeństwo, każdy najdrobniejszy aspekt naszej kultury.

Większość ludzi to trutnie, którzy marnotrawią czas na błahostki, zajmują się bzdurami, żyją własnym życiem, nie zdając sobie nawet sprawy, że Derek, ludzie tacy jak Derek, stworzyli to społeczeństwo i rządzą nim siłą idei.

W tym brzydkim ideologicznym sporze z Claudette, który dla Dusty'ego, a z pewnością również dla Skeeta, przeradzał się błyskawicznie w starcie o iście mitycznych proporcjach, Martie była ich rycerzem, stojącym z uniesioną włócznią oko w oko ze smokiem.

Skeet stał bezpośrednio za nią, trzymając ręce na jej ramionach, a Dusty prawie uległ pokusie, by schronić się za Skeetem.

– Ośmielić się być swoim najlepszym przyjacielem – powiedziała Martie – i nauczyć się kochać siebie, to są te idee, które kształtują świat?

– Nie ma porównania między książką Ahrimana a moją – zaproponował Lampton, lecz po energicznym wystąpieniu jego żony zabrzmiało to tak, jakby się dąsał.

Występując przed Lamptona, jakby chciała bronić fizycznie swego osaczonego mężczyzny, lecz również po to, by przycisnąć się do niego pośladkami, Claudette powiedziała: – Derek tworzy żywe, solidne, głębokie psychologicznie książki.

Precyzyjnie skonstruowane idee.

Ahriman rzyga popularnymi wymiocinami.

Dusty nigdy wcześniej nie widział, by jego matka zrzuciła lodowaty welon i ujawniła swą seksualną naturę, i miał nadzieję, że nie ujrzy tego po raz drugi.

Podniecały ją nie same idee, lecz idea, że idee stanowią siłę.

Siła była jej afrodyzjakiem; nie naga siła generałów, polityków i zdobywców nagród, nie prymitywna siła seryjnych zabójców, lecz siła tych, którzy kształtują umysły generałów, polityków, kapłanów, nauczycieli, prawników, filmowców.

Siła manipulacji.

W jej rozszerzonych nozdrzach i błyszczących oczach dostrzegał teraz zimny erotyzm pająka i bijącej

ogonem jaszczurki.

– Nadal nic nie rozumiesz – wybuchnęła Martie.

– W obronie „Odważ się być swoim najlepszym przyjacielem” spaliłaś nasz dom.

Bo to równie dobrze mogłabyś być ty, ty bezpośrednio.

W obronie „Odważ się być swoim najlepszym przyjacielem” strzelałaś do Skeeta i Figi.

Ty myślisz, że to, co wydarzyło się ubiegłej nocy, jest chorobliwym urojeniem, ale to się wydarzyło naprawdę, Claudette.

Te sińce są prawdziwe, kule były prawdziwe.

Twoja głupia, głupia, głupia idea tego, na czym polega spór, twoja idea, że nękanie kogoś to to samo, co racjonalna dyskusja – oto co kierowało palcem, który naciskał na spust.

Może ty jesteś gotowa umrzeć za żywe, solidne, precyzyjnie skonstruowane, głębokie psychologicznie, narcystyczne brednie Dereka, ale ja nie!

– Lexus – oznajmił ni z tego, ni z owego Figa, stojący przy oknie.

Claudette jeszcze nie ziała ogniem, choć była tego bliska.

– Łatwo ci jest wysuwać ignoranckie, pozorne argumenty, ponieważ nigdy nie ukończyłaś uniwersyteckiego kursu logiki.

Jeśli Ahriman podpala domy i strzela do ludzi, to znaczy, że jest maniakiem, psychopatą, a Derek ma prawo występować przeciwko niemu w każdy dostępny sposób.

Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, trzeba odwagi, aby występować przeciwko niemu.

Odważając się być swoim najlepszym przyjacielem, Lampton powiedział: – Zawsze wyczuwałem w jego książkach socjopatyczny światopogląd.

Zawsze podejrzewałem, że ryzykuję, występując przeciwko niemu, ale warto ryzykować dla dobrej sprawy.

– O, tak – zadrwiła Martie.

– Zadzwońmy do Pentagonu, żeby przygotowali dla ciebie medal.

Za męstwo na polu akademickiej bitwy, za odwagę przy klawiaturze komputera i za bohaterskie użycie fałszywych nazwisk i adresów emailowych.

– Nie jesteś tu mile widziana – fuknęła Claudette.

– Lexus na podjeździe – powiedział Figa głośniej.

– A niech sobie będzie i sto pieprzonych lexusów na podjeździe – warknęła Claudette, nie odrywając wzroku od Martie.

– Każdy idiota w tym pretensjonalnym sąsiedztwie ma lexusa albo mercedesa.

– Parkuje.

Martie i Dusty dołączyli do Figi przy oknie.

Drzwi lexusa otworzyły się i z samochodu wysiadł wysoki, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna.

Eric Jagger.

– O Boże – jęknęła Martie.

Za pośrednictwem Susan Ahriman dotarł do Martie.

Z uniwersyteckim kursem logiki czy bez niego, Dusty potrafił dodać dwa do dwóch.

Eric sięgnął do samochodu, by wyjąć coś, co leżało na siedzeniu.

Za pośrednictwem Susan Ahriman dotarł też do Erica, zaprogramował go i poinstruował, aby odszedł od żony, zostawiając Susan samą i bezbronną, bardziej dostępną, ilekroć psychiatra miał ochotę ją posiąść.

A teraz zażądał czegoś więcej, czegoś bardziej skomplikowanego niż porzucenie żony.

– Piła – powiedział Figa.

– Piła do autopsji – poprawił Dusty.

– Z ostrzami do cięcia czaszki – dodała Martie.

Eric ruszył w stronę domu.

Rozdział 74.

Śmierć była tak elegancka, jak każdy w dzisiejszych czasach: zniknął czarny powóz zaprzężony w czarne konie, przehandlowany za srebrnego lexusa.

Zniknęła czarna opończa z melodramatycznym kapturem, zastąpiona przez mokasyny z frędzlami, czarne spodnie i sweter od Jhane Barnes.

Kamizelki kuloodporne zostały w półciężarówce, a półciężarówka stała w garażu, toteż Skeet i Figa byli tak samo narażeni jak wszyscy, a zresztą tym razem strzelec i tak miał celować w głowy.

– Broń?

– zdziwił się Lampton, kiedy Martie spytała go o to.

– Tutaj?

– Nie, oczywiście, że nie, nie bądź śmieszna – powiedziała Claudette, jakby nawet teraz szykowała się do następnej kłótni.

– Nie mamy broni.

– W takim razie szkoda, że nie masz pod ręką jakiejś naprawdę zabójczej idei – odparła Martie.

Dusty złapał Lamptona za rękę.

– Dach nad kuchennym gankiem.

Możesz się tam dostać przez pokój Juniora albo przez sypialnię.

Mrugając oczami w oszołomieniu, pociągając nosem, jakby próbował złowić zapach, który wyjaśni mu rzeczywistą naturę niebezpieczeństwa, podobny do norki mężczyzna wybąkał: – Ale dlaczego...

– Pospiesz się!

– zawołał Dusty.

– Wy też.

Dalej, dalej.

Na kuchenny ganek, stamtąd na trawnik, na plażę, a potem ukryjcie się w którymś z sąsiednich domów.

Junior pierwszy dopadł drzwi gabinetu i pobiegł do swego pokoju, najwyraźniej nieprzygotowany na to, by oswoić się ze śmiercią w postaci innej niż idea.

Dusty podążył za nim, odsuwając obrotowe krzesło na kółkach od biurka Lamptona i popychając je przed sobą, pędząc korytarzem w stronę schodów, gdy tymczasem wszyscy pozostali biegli w przeciwnym kierunku.

Nie, nie wszyscy.

Obok niego biegł Skeet, rozbrajający, lecz bezużyteczny.

– Co mogę zrobić?

– Jasna cholera, mały, zjeżdżaj stąd!

– Pomóż mi z tym – powiedziała Martie.

Ona też nie uciekła.

Szarpała się z długim na prawie dwa metry, osiemnastowiecznym kredensem, stojącym w korytarzu naprzeciwko schodów.

Jednym ruchem ręki zmiotła z niego wazę i komplet srebrnych świeczników, które zagrzechotały na podłodze.

Najwidoczniej domyśliła się, co Dusty zamierza zrobić z obrotowym krzesłem, ale uznała, że będzie potrzebna amunicja większego kalibru.

We trójkę, odepchnąwszy fotel na bok, odsunęli kredens od ściany i ustawili go na szczycie schodów.

– A teraz zabierz go stąd – polecił jej Dusty głosem ochrypłym ze strachu.

Bał się jeszcze bardziej niż w przewróconym samochodzie na pustyni w Nowym Meksyku, ponieważ kiedy zabójcy schodzili ku nim po zboczu, przynajmniej pocieszał się myślą, że Martie ma pod ręką colta.

Teraz nie miał nic oprócz tego przeklętego kredensu.

Martie chwyciła Skeeta za ramię.

Próbował się opierać, lecz ona była silniejsza.

Na dole rozległ się jazgot automatycznej broni.

Pociski z pistoletu maszynowego strzaskały szybę w drzwiach, odłupały kawałki drewna i utkwiły w ścianie przedpokoju.

Dusty padł na podłogę za postawionym na sztorc kredensem i patrzył spoza niego na schody.

Eric otworzył z trzaskiem podziurawione drzwi i wpadł do domu, jakby dyplom z księgowości na Harvardzie wymagał teraz kursów z posługiwania się ciężką bronią i walki wręcz.

Położył piłę do autopsji na stole, ujął pistolet maszynowy w obie dłonie i zatoczył nim półkole, zasypując gradem kul pokoje na parterze.

Był to duży magazynek, miał jednak ograniczoną pojemność, toteż w pewnym momencie broń Erica umilkła.

Zapasowe magazynki Eric zatknął za pas.

Mocował się teraz z pistoletem, próbując odczepić opróżniony magazynek.

Nie wolno było pozwolić, aby przeszukał najpierw parter, ponieważ gdyby poszedł do kuchni, mógłby zobaczyć ludzi skaczących z dachu werandy lub uciekających przez podwórze w stronę plaży.

Huk strzałów nadal zdawał się rozbrzmiewać w całym domu, lecz Dusty wiedział, że to tylko wibruje mu w uszach, więc krzyknął: – Ben Marco!

Eric spojrział na schody, ale nie zastygł w bezruchu, a jego oczy nie przybrały szklatego wyrazu.

Nadal grzebał przy pistolecie, z którym najwyraźniej nie potrafił się obchodzić.

– Bobby Lembeck!

– krzyknął Dusty.

Pusty magazynek upadł ze szczękiem na podłogę.

Może uaktywniające Erica nazwisko nie zostało wzięte z „Mandzurskiego kandydata”.

Równie dobrze mogło pochodzić z „Ojca chrzestnego”, „Dziecka Rosemary” czy „Chatki Puchatka”, ale nie miał czasu próbować każdej powieści z ostatnich pięćdziesięciu lat w poszukiwaniu właściwej postaci.

– Johnny Iselin!

Włożywszy następny magazynek do pistoletu, Eric umocował go uderzeniem dłoni.

– Wen Chang!

Eric strzelił krótką serią pocisków, które przedziurawiły nadstawkę kredensu – stuk, stuk, stuk, zbyt wiele stuknięć, aby dało się je policzyć – przeszły przez szuflady, wyleciały z drugiej strony i uderzyły w ścianę za plecami Dusty’ego, świszcząc mu nad głową i zasypując deszczem drzazg.

Pociski o wielkiej sile przebicia, w płaszczu z czegoś tak twardego, że wołał o tym nie myśleć, i prawdopodobnie z teflonowym rdzeniem.

– Jocelyn Jordan!

– krzyknął Dusty w świdrującej ciszy, która pulsowała mu pod czaszką wypełnioną jeszcze echem wystrzałów.

Przeczytał dokładnie spory fragment powieści, a przerzucił całą, szukając nazwisk.

Zapamiętał je wszystkie.

Jego ejdetyczna pamięć była jedynym darem, z jakim przyszedł na świat, jeśli nie liczyć zdrowego rozsądku, który kazał mu zostać malarzem pokojowym, a nie manipulatorem w świecie Wielkich Idei, ale w powieści Condon'a występowało mnóstwo postaci, bardziej i mniej istotnych – tak mało istotnych jak Yiola Narvilly, pojawiająca się dopiero pod koniec książki – a jemu mogło nie wystarczyć czasu, aby wymienić wszystkie, zanim Eric odstrzelił mu głowę.

– Alan Melvin!

Eric wstrzymał ogień i zaczął wchodzić po schodach.

Wspinał się szybko, nie zważając na stojący u szczytu schodów kredens.

Szedł jak robot.

Bo tak naprawdę tym właśnie był: robotem, żywą maszyną.

– Ellie Iselin!

– krzyknął Dusty, na wpół oszalały ze strachu, a jednocześnie świadom, cóż to będzie za idiotyczny koniec, odejść w zaświaty, wykrzykując nazwiska jak ogarnięty paniką uczestnik teleturnieju, próbujący pokonać nieubłagany zegar.

– Nora Lemmon!

Eric nie zareagował i nadal się wspinał, a Dusty wstał z podłogi, napał na kredens i uskoczył w lewo, schodząc z linii strzału i kryjąc się za ścianą w momencie, gdy następna seria przeszła spadającą masę osiemnastowiecznego drewna czereśniowego.

Eric jęknął i zaklął, ale z łoskotu zjeżdżającego po stopniach mebla nie dało się wywnioskować, czy został ranny lub zepchnięty do przedpokoju w dole.

Schody były szersze niż ustawiony bokiem antyk, więc mógł uskoczyć.

Stojąc z plecami przyciśniętymi do ściany korytarza obok schodów, Dusty nie odważył się wychylić głowy za narożnik, by popatrzeć.

Nie tylko nie uczęszczał na uniwersytecki kurs logiki, ale nie pobierał też lekcji czarów i nie potrafił chwycić kul zębami.

I, dobry Boże, gdy na schodach wciąż rozlegał się grzmiący łomot spadającego kredensu, pojawiła się Martie – która powinna uciec wraz z innymi – pchając korytarzem segregator biurowy na kółkach.

Dusty zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

Co ona sobie, do diabła, myśli?

Że Ericowi zabraknie kul, zanim im zabraknie mebli?

Chwycił segregator, odepchnął Martie na bok i kryjąc się za metalową konstrukcją jak za tarczą, znów ruszył ku schodom.

Eric mocował się w przedpokoju z kredensem, który przygniótł mu lewą nogę.

Nie wypuścił jednak pistoletu maszynowego i posłał kolejną serię w stronę szczytu schodów.

Pociski przeszły górą.

Uderzyły w sufit, kilka zadzwoniło o przewody i rury nad stropem.

Ani jeden nie odbił się od metalowego segregatora.

Kiedy Dusty ostrożnie wyjrzał zza osłony, zobaczył, że Eric wy dostał nogę spod kredensu i wstaje.

Bezlitosny jak automat, działający zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, a nie pod wpływem emocji, wydawał się mimo to rozwścieczony.

– Eugenie Rosę Cheyney!

Klnąc potoczyście, Eric ruszył w stronę schodów.

Biurowy segregator nie był nawet w połowie tak masywny jak kredens.

Z pewnością zdąży się uchylić i strzelić.

– Ed Mavole!

– Słucham.

Eric zatrzymał się u podnóża schodów.

Morderczy grymas zniknął z jego twarzy, a na to miejsce pojawił się nie ów tępy wyraz ponurej determinacji, z którym wkroczył do domu, lecz szkliste i lekko zdziwione spojrzenie oznaczające aktywację.

Dusty znał już nazwisko, ale nie znał haiku.

Jeśli wierzyć Nedowi Motherwellowi, tomiki haiku zajmowały kilka metrów bieżących półek w księgarni, gdyby więc nawet mieli pod ręką wszystkie, które kupił Ned – a nie mieli – warunkujących linijek mogłoby tam po prostu nie być.

W przedpokoju na dole Eric drgnął, zamrugnął i przypomniał sobie o swych morderczych zamiarach.

– Ed Mavole – powtórzył Dusty, a Eric znowu zamarł i powiedział: – Słucham.

To nie było łatwe, ale wykonalne.

Posługując się magicznym nazwiskiem, wtrącać Erica na powrót w stan aktywacji za każdym razem, kiedy się ocknie, zejść na dół, wyrwać mu broń z ręki, przewrócić go na podłogę, uderzyć w głowę kolbą pistoletu dostatecznie mocno, aby stracił przytomność, ale nie zapadł w śpiączkę, a następnie związać.

Może kiedy odzyska przytomność, nie będzie już zaprogramowanym zabójcą.

Jeśli nie, będą musieli trzymać go w więzach, kupić wszystkie tomiki haiku, zaparzyć dziesięć galonów kawy i czytać wiersze, dopóki nie uzyskają odzewu.

Kiedy Dusty odepchnął segregator, Martie powiedziała: – O Boże, proszę, kochanie, nie rób tego.

W tym samym momencie Eric ocknął się.

– Ed Mavole.

– Słucham.

Dusty zaczął schodzić po schodach.

Eric patrzył na niego, lecz zdawał się nie pojmować, co się za chwilę stanie.

Jeszcze dwa razy Dusty wykrzykiwał nazwisko „Ed Mavole”, a Eric Jagger odpowiadał „Słucham”, nim spotkali się na ostatnich stopniach.

Patrząc prosto w wylot lufy, który wydawał się wielki jak tunel, Dusty chwycił ją, skierował w inną stronę i wyrwał broń z bezwładnej ręki Erica, jednocześnie przewracając go na podłogę.

Sam również upadł i potoczył się po stłuczonym szkłe i kawałkach drewna z podziurawionych kulami drzwi frontowych, uważając, aby przypadkiem nie nacisnąć spustu.

Wpadł na półokrągły stół, uderzając czołem o twardą podpórkę, łączącą jego I trzy nogi, ale nie postrzelił się w udo, w pachwinę ani w ogóle nigdzie.

Kiedy wstawał z podłogi, zobaczył, że Eric też się podnosi.

Wydawał się zmieszany, lecz mimo to wściekły i nadal zaprogramowany na tryb zabójcy.

Ze schodów, po których pospiesznie schodziła, Martie krzyknęła: – Ed Mavole – zanim Dusty zdążył to powiedzieć, i nagle wszystko to zaczęło wyglądać jak najgłupsza z gier wideo: „Malarz pokojowy kontra doradca finansowy” – jeden uzbrojony w broń automatyczną, a drugi w meble i magiczne nazwiska.

Ta myśl w takim momencie może by go rozśmieszyła, gdyby nie spojrział na schody, gdzie stał Junior

z napiętą kuszą.

– Nie!

– krzyknął Dusty.

Brzdęk.

Bełt do kuszy, krótszy i grubszy niż zwykła strzała, leci znacznie szybciej niż strzała wystrzelona z łuku, więc trudniej go zobaczyć.

Kiedy utkwił w piersi Erica, wyglądało to tak, jakby wyskoczył z jego serca niczym królik z cylindra; wbity niemal do połowy, sterczał z niewielkiej plamy krwi.

Eric osunął się na kolana.

Morderczy wyraz zniknął z jego oczu, a on rozejrzał się ze zdumieniem po przedpokoju, który najwyraźniej zobaczył po raz pierwszy.

Potem spojrział w górę, na Dusty'ego, i upadł na twarz.

Martie próbowała powstrzymać męża, ale odtrącił jej rękę i popędził po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Wzrok mu się mącił, ale nie od uderzenia o podpórkę stolika, lecz dlatego, że jego ciało zalewały związki chemiczne, które wytwarza mózg, by wywołać i podtrzymać gniew, jego serce pompowało tyle samo czystej wściekłości, co krwi, a chłopiec o anielskim wyglądzie wydawał się spowity ciemnoczerwoną mgłą, jakby z oczu Dusty'ego płynęły krwawe łzy.

Junior spróbował zasłonić się kuszą jak tarczą, aby odparować atak.

Dusty chwycił ją tak mocno, że dźwignia mechanizmu napinającego wbiła mu się w dłoń, wyrwał z rąk chłopca, cisnął na ziemię i dalej parł przed siebie.

Pociągnął chłopca przez korytarz, do miejsca, gdzie stał kredens, i pchnął na ścianę.

– Ty zdegenerowane, cuchnące ścierwo!

– On miał broń!

– Odebrałem mu ją!

– Nie widziałem!

Powtarzali te same bezużyteczne słowa raz po raz, dopóki Dusty nie oskarżył go z taką gwałtownością, że jego głos zagrzemiał echem w korytarzu: – Widziałeś, wiedziałeś, a jednak to zrobiłeś!

Wtedy zjawiała się Claudette, wchodząc pomiędzy nich, rozdzielając, zasłaniając sobą Juniora i mierząc Dusty'ego nieustępliwym spojrzeniem szarych jak krzemień oczu, które zdawały się sypać iskry.

Po raz pierwszy w życiu jej twarz nie olśniewała swoją urodą: malowała się na niej straszliwa wściekłość.

– Zostaw go w spokoju, zostaw go, odejdz od niego!

– On zabił Erica.

– Uratował nas!

Wszyscy mogliśmy zginąć, a on nas uratował!

– Claudette mówiła piskliwym głosem, co nigdy jej się nie zdarzało.

Z pobladłymi wargami, szara na twarzy, wyglądała jak kamienna bogini, która ożyła i wpadła w szal.

– Starczyło mu odwagi, starczyło mu rozumu, aby działać, aby nas uratować!

Pojawił się również Lampton, wylewając z siebie potoki uspokajających słów, strugi komunałów, gniewnych upomnień i przebiegłych rad, równie trudne do zatamowania jak wyciek ropy z uszkodzonego supertankowca.

Usta mu się nie zamykały, a ponieważ jego żona ani na chwilę nie przerwała piskliwej obrony Juniora, oboje mówili naraz.

Ich słowa były jak wałki malarskie, nakładające warstwy nowych kolorów na przeświecające spod farby plamy.

Jednocześnie Lampton próbował wyjąć pistolet maszynowy z zaciśniętej dłoni Dusty'ego, który z początku nawet nie zdawał sobie sprawy, że nadal go trzyma.

Kiedy zrozumiał, czego chce Lampton, puścił broń.

– Lepiej wezwijmy policję – powiedział Lampton, choć z pewnością sąsiedzi już to zrobili, i oddalił się pospiesznie.

Skeet podszedł do nich ostrożnie, trzymając się z dala od matki, lecz najwyraźniej biorąc w tym sporze stronę Dusty'ego, a Figa stał w głębi korytarza, patrząc na nich tak, jakby wreszcie nawiązał kontakt z obcymi, których pragnął spotkać od tak dawna.

Żadne z nich nie uciekło, do czego przynaglał ich Dusty, a jeśli nawet dotarli na dach kuchennej werandy, to później wrócili.

Przynajmniej Lampton i Claudette musieli widzieć, że Junior łąduje kuszę z zamiarem włączenia się do walki, i najwyraźniej nie próbowali go powstrzymać.

A może się bali.

Gdyby mieli choć odrobinę zdrowego rozsądku i naprawdę kochali swoje dziecko, powinni odebrać mu kuszę i w razie konieczności wywlec je z domu siłą.

A może wizja chłopca z prymitywną bronią, który zwycięża człowieka z pistoletem maszynowym – przewrotna wersja idei szlachetnego dzikusa Rousseau, przyprowadzającej o drżenie tyle serc w społeczności akademickiej – była zbyt urzekająca, aby się jej oprzeć.

Dusty nie zamierzał dłużej udawać, że rozumie sposób myślenia tych ludzi.

– Zabił człowieka – przypomniał matce, ponieważ żadne piskliwe argumenty nie mogły zmienić tej fundamentalnej prawdy.

– Szaleńca, maniaka, psychopatę z bronią – nie ustępowała Claudette.

– Odebrałem mu broń.

– Ty tak twierdzisz.

– Tak było.

Poradziłem sobie z nim.

– Nie potrafisz poradzić sobie z niczym.

Rzuciłeś studia, uciekasz od życia, utrzymujesz się z malowania domów.

– Gdyby miarą sukcesu było zadowolenie klienta – powiedział, wiedząc, że nie powinien tego mówić, ale nie mógł się powstrzymać – „Time” zamieściłby na okładce moje zdjęcie, a Derek trafiłby do więzienia, oskarżony przez pacjentów, którym spieprzył życie.

– Ty niewdzięczny draniu.

Skeet, zrozpaczony, na krawędzi płaczu, błagał: – Nie zaczynajcie.

Nie zaczynajcie.

To się nigdy nie skończy, jeżeli teraz zaczniecie.

Dusty czuł, że Skeet ma rację.

Przez wszystkie te lata cierpliwego znoszenia upokorzeń i pokornego zwieszania głowy nabierało się tyle nieukojonego bólu, tyle przemilczanych zniewag, iż teraz pojawiła się pokusa wyrównania krzywd w jednym straszliwym wybuchu gniewu.

Chciał oprzeć się temu żywiołowi, lecz on i jego matka zdawali się dryfować w beczce na skraju ryczącej Niagary, skąd nie było odwrotu.

– Wiem, co widziałam – upierała się Claudette.

– A ty nie przekonasz mnie, żebym zmieniła zdanie na ten temat, na pewno nie ty, nie ty, Dusty!

Nie mógł tego tak zostawić.

– Nie było cię tutaj.

Nie mogłaś niczego widzieć.

Martie dołączyła do niego.

Biorąc Dusty'ego za rękę i ściskając ją mocno, powiedziała: – Claudette, tylko dwie osoby widziały, co się stało.

Ja i Dusty.

– Ja widziałam – oznajmiła Claudette gniewnie.

– Nikt nie będzie mi mówił, co widziałam, a czego nie.

Co ty sobie wyobrażasz?

Nie jestem trzęsącą się, zgrzybiałą staruszką, której można mówić, co ma myśleć i co widziała!

Za plecami matki Junior uśmiechnął się.

Napotkał wzrok Dusty'ego, ale nie odwrócił oczu.

– Co się z tobą dzieje?

– zwróciła się Claudette do Dusty'ego.

– Co się z tobą dzieje, że chcesz zrujnować życie bratu z powodu czegoś tak pozbawionego znaczenia?

– Morderstwo nie ma dla ciebie znaczenia?

Claudette uderzyła Dusty'ego, mocno, złapała go obiema rękami za koszulę, spróbowała odepchnąć, a kiedy nim potrząsała, słowa wysypywały się z niej po jednym: – Nie.

Zrobisz.

Mi.

Czegoś.

Tak.

Niegodziwego.

– Nie chcę zrujnować mu życia, mamó.

To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

On potrzebuje pomocy.

Nie możesz tego zrozumieć?

Potrzebuje pomocy i ktoś powinien mu jej udzielić.

– Nie osądzaj go, Dusty.

– Wypowiedziała to imię z jadem i goryczą.

– Jeden rok studiów nie czyni z ciebie eksperta w dziedzinie psychologii.

Nie czyni z ciebie w ogóle nikogo.

Skeet przerwał jej ze łzami w oczach: – Mamó, proszę...

– Zamknij się – powiedziała Claudette, zwracając się do młodszego syna.

– Po prostu się zamknij, Holden.

Nic nie widziałeś i lepiej nie udawaj, że widziałeś.

I tak nikt ci nie uwierzy, ty żałosna pomyłko.

Kiedy Martie odciągała Skeeta na bok, z linii ognia, Dusty spojrział na Juniora, który uśmiechał się szyderczo, patrząc na Skeeta.

Dusty prawie usłyszał kliknięcie, jakby ktoś wcisnął przełącznik i rozświetlił mroczny dotąd obszar w jego mózgu.

Taki moment nagłego olśnienia Japończycy nazywają satori: dziwne słowo, które poznał przez jeden rok studiów.

Satori.

Oto Junior, piękny jak matka, obdarzony też jej fizycznym wdziękiem.

I bystry.

Nie ma wątpliwości, że jest bardzo bystry.

Ostatnie i jedyne dziecko, które może spełnić jej oczekiwania.

To dla niej ostatnia szansa, aby zostać nie tylko kobietą idei, nie tylko żoną człowieka idei, ale także matką człowieka idei.

W jej przekonaniu była to dla niej ostatnia szansa na bezpośredni kontakt z wielkimi ideami, które poruszają świat, ponieważ pierwsi trzej mężowie okazali się ludźmi, których wielkie idee nie odznaczały się trwałością i pękały od pierwszego ułucia.

Nawet Derek, mimo wszystkich swoich sukcesów, był kolibrem, nie orłem, i Claudette wiedziała o tym.

Dusty, jej zdaniem, był zbyt uparty, aby wykorzystać swój potencjał, a Skeet zbyt delikatny.

A Dominique, jej pierwsze dziecko, od dawna nie żyła.

Dusty nigdy nie poznał swojej przyrodniej siostry, widział tylko jej fotografię, zapewne jedyną, jaką zrobiono: słodka, mała, delikatna twarzyczka.

Junior był jedyną nadzieją, jaka pozostała Claudette, a ona pragnęła wierzyć, że jego umysł i serce są tak piękne jak twarz.

Gdy nadal piorunowała wzrokiem Skeeta, Dusty spytał: – Mamo, jak umarła Dominique?

Pytanie uciszyło Claudette tak skutecznie, jak mogłaby to uczynić chyba tylko następna seria z pistoletu maszynowego.

Napotkał jej spojrzenie i nie przemienił się w głaz, co było jej intencją, a wstyd – właśnie wstyd, a nie jego brak – sprawił, iż nie odwrócił wzroku.

Wstyd, że poznał prawdę, najpierw intuicyjnie, a później dzięki logicznemu rozumowaniu i wspomnieniom, poznał ją już jako dziecko, ale wyparł się jej przed samym sobą i nigdy nie ujawnił.

Wstyd, że pozwolił Claudette i pompatycznemu ojcu Skeeta, a później Derekowi Lamptonowi znęcać się nad Skeetem, choć ujawniając prawdę o Dominique, mógłby wytrącić im broń z ręki i zapewnić Skeetowi lepsze życie.

– Musiałaś mieć złamane serce – powiedział Dusty – kiedy twoje pierwsze dziecko urodziło się z zespołem Downa.

Takie wielkie nadzieje i taka smutna rzeczywistość.

– Co ty robisz?

– Jej głos był teraz cichy, ale jeszcze bardziej naładowany gniewem.

Korytarz zdawał się zwężać, a sufit opadać powoli, jakby znaleźli się w jednym z tych pokojów-pułapek w starych filmach przygodowych i jakby groziło im zmiążdżenie żywcem.

– A potem następna tragedia.

Dziecko umiera.

Zespół nagłej śmierci niemowląt.

Jakie to musiało być straszne...

szepty, badanie lekarskie, oczekiwanie na ostateczną diagnozę.

Martie gwałtownie nabrała powietrza, uświadomiwszy sobie, do czego to zmierza, i powiedziała: – Dusty – co miało oznaczać: „Może nie powinieneś tego robić”.

Nigdy tego nie ujawnił, kiedy mógł pomóc Skeetowi, a teraz był zdecydowany zrobić, co w jego mocy, aby zmusić ją do zapewnienia odpowiedniej opieki Juniorowi, dopóki nie jest za późno.

– Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, mamó, to dzień, kiedy miałem pięć lat, prawie sześć...

Kilka tygodni po tym, jak Skeet został przywieziony do domu ze szpitala.

Byłeś wcześniakiem, Skeet.

Wiedziałaś o tym?

– Domyślałem się – powiedział Skeet drżącym głosem.

– Uważali, że nie przeżyjesz, ale pomylili się.

A kiedy przywieźli cię do domu, myśleli, że prawdopodobnie doznałeś uszkodzenia mózgu, które ujawni się prędzej czy później.

Ale tak się, oczywiście, nie stało.

– Moje trudności z koncentracją – przypomniał mu Skeet.

– Może – zgodził się Dusty.

– Zakładając, że naprawdę je miałaś.

Claudette patrzyła na Dusty'ego jak na węża: chciała go rozdeptać, zanim zwinie się w spiralę i ukąsi, ale bała się wykonać jakikolwiek ruch, aby nie przyspieszyć tego, czego obawiała się najbardziej.

– Tego dnia byłaś w dziwnym nastroju, mamó – powiedział.

– W takim dziwnym nastroju, że nawet mały chłopiec musiał czuć, że wydarzy się coś straszego.

Wyciągnęłaś fotografię Dominique.

Podniosła pięść, jakby znów zamierzała go uderzyć, ale pięść zawisła w powietrzu, cios nie spadł.

Pod niektórymi względami było to najtrudniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił, a pod innymi tak łatwe, że aż przerażało, łatwe w takim sensie jak skok z dachu bez żadnych konsekwencji upadku.

Ale tutaj konsekwencje będą.

– Nigdy przedtem nie widziałem tej fotografii, nie wiedziałem nawet, że miałem siostrę.

Nosiłaś ją przy sobie przez cały dzień.

Bez przerwy na nią patrzyłaś.

A późnym popołudniem znalazłem ją na podłodze przed drzwiami pokoju dzieciennego.

Claudette opuściła pięść i odwróciła się od Dusty'ego.

Jego ręka zdawała się należeć do innego, śmielszego mężczyzny, kiedy patrzył, jak wyciąga się, chwytając ją za ramię, zatrzymuje i zmusza, aby na niego spojrziała.

Junior postąpił krok do przodu.

– Lepiej podnieś kuszę i załaduj ją – ostrzegł go Dusty – bo bez niej sobie ze mną nie poradzisz.

Junior, choć w jego oczach płonęła wściekłość silniejsza niż gniew matki, cofnął się.

– Kiedy wszedłem do pokoju dzieciennego – powiedział Dusty – nie usłyszałaś mnie.

Skeet leżał w łóżeczku.

Stałaś nad nim z poduszką w rękach.

Stałaś tak dłuższy czas.

A potem opuściłaś poduszkę na jego twarz.

Wtedy coś powiedziałem.

Nie pamiętam, co.

Ale zorientowałaś się, że tam jestem.

Wtedy nie rozumiałem, co prawie się stało.

Lecz później...

wiele lat później, zrozumiałem, tylko nie przyjmowałem tego do wiadomości.

– O Jezu – powiedział Skeet głosem słabym jak dziecko.

– Dobry Jezu.

Chociaż Dusty wierzył w potęgę prawdy, nie był pewien, że tym objawieniem pomoże Skeetowi bardziej, niż go skrzywdzi.

Na myśl o tym, jakie zło mógł wyrządzić, chwyciły go mdłości i przez chwilę bał się, że zwymiotuje.

Claudette zacisnęła zęby tak mocno, że drżały jej mięśnie twarzy.

– Kilka minut temu, mam, spytałem, czy morderstwo nie ma dla ciebie znaczenia, a ty nawet się nie zająknęłaś.

To dziwne, bo to wielka idea.

Warta dyskusji bardziej niż cokolwiek.

– Skończyłeś?

– Niezupełnie.

Po tylu latach taplania się w tym gównie mam prawo to z siebie wyrzucić.

Znam twoje największe sekrety, mam.

Cierpiałem przez nie, wszyscy cierpieliśmy, i jeszcze będziemy cierpieć...

Wpijając się w jego rękę, rysując paznokciami cienkie, krwawe linie, uwalniając się, powiedziała: – A gdyby Dominique nie urodziła się z Downem, i gdybym nie oszczędziła jej tego życia, które musiałyby wieść, gdyby nadal żyła, czy to nie byłoby gorsze?

Czy to nie byłoby znacznie gorsze?

Junior przysunął się bliżej matki.

Stali teraz ramie w ramie, czerpiąc od siebie siłę.

Wskazując na martwego mężczyznę gestem, który zdawał się nie mieć żadnego związku z jej słowami, powiedziała: – Down to była przynajmniej widoczna choroba.

A gdyby Dominique wydawała się normalna, a potem...

dorośla, stała się taka jak jej ojciec?

Ojcem Dominique, pierwszym mężem Claudette, starszym od niej o ponad dwadzieścia lat, był psycholog nazwiskiem Lief Reissler, zimny płaz z bladymi oczami i cienkim wąsikiem, który na szczęście nie odegrał żadnej roli w życiu Dusty'ego i Skeeta.

Mógł być zimnym płazem, zgoda, ale nie potworem, jak to implikowało jej pytanie.

Zanim Dusty zdążył wyrazić zdziwienie, Claudette wyjaśniła, co miała na myśli.

Po trzech dniach doświadczeń, które, jak sądził, uodporniły go na wszelkie niespodzianki, zdruzgotała go ośmioma słowami: – A gdyby stała się taka jak Mark Ahriman?

– Reszta była już zbędna: – Mówisz, że podpala domy, strzela do ludzi, jest socjopatą, a ten szaleniak, który leży na dole, był z nim w jakiś sposób związany.

Czy chciałbyś zatem mieć jego dziecko za przyrodną siostrę?

Podniosła dłoń Juniora i ucałowała ją, jakby chciała powiedzieć, że jest niezmiernie szczęśliwa, iż oszczędziła mu problemu tak kłopotliwej siostry.

Kiedy Dusty oświadczył, że zna jej największe sekrety, uznała, iż chodzi mu o coś więcej niż fakt, że zespół nagłej śmierci niemowląt, który wystąpił u Dominique, był w rzeczywistości brutalnym zabójstwem.

Teraz, na widok reakcji jego i Martie, uświadomiła sobie, że nie musiała tego mówić, ale zamiast wycofać się w milczenie, zaczęła wyjaśniać.

– Lief był bezpłodny.

Miałam dwadzieścia jeden lat, a Lief czterdzieści cztery, i mógłby być doskonałym ojcem, ze swoją rozległą wiedzą, intuicją, ze swoimi teoriami na temat rozwoju emocjonalnego.

Lief miał błyskotliwą filozofię wychowywania dzieci.

Tak, oni wszyscy mieli własną filozofię wychowywania dzieci, głęboką intuicję i skłonność do eksperymentów w dziedzinie inżynierii społecznej.

Lecz się, żeby się uczyć, i tak dalej.

– Mark Ahriman miał zaledwie siedemnaście lat, ale studia zaczął wkrótce po swoich trzynastych urodzinach, a kiedy go poznałam, pisał już pracę doktorską.

Był naprawdę cudownym dzieckiem i wszyscy na uniwersytecie zachwycali się nim.

Niemal skończony geniusz.

Nikt nie chciałby mieć takiego ojca.

Był rozpieszczonym hollywoodzkim snobem.

Ale te geny!

– Czy wiedział, że dziecko jest jego?

– Tak.

Dlaczego nie?

Żadne z nas nie dbało o konwenanse.

Szum w głowie Dusty'ego, który był wiodącym tematem muzycznym do każdej jego wizyty w tym domu, przybrał teraz bardziej złowieszczy ton.

– Kiedy Dominique urodziła się z Downem...

co zrobiłaś?

Wpatrywała się w krew na jego ręce, którą podrapała paznokciami, a kiedy wreszcie podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, powiedziała tylko: – Wiesz, co zrobiłam.

Znów przycisnęła dłoń Juniora do ust i ucałowała ją, jakby chciała powiedzieć, że teraz, kiedy ma jego, doznała zadośćuczynienia za wszystkie problemy z nieudanymi dziećmi.

– Nie pytam, co zrobiłaś z Dominique, ale jak zareagowałaś na wiadomość o jej chorobie.

Jak cię znam, dałaś Ahrimanowi do wiwatu.

Założę się, że ten rozpieszczony hollywoodzki snob w życiu nie zaznał tylu upokorzeń.

– Nic takiego nigdy nie wystąpiło w mojej rodzinie – powiedziała Claudette, przyznając tym samym, że Ahriman musiał odczuć na sobie pełny ciężar jej niepohamowanej furii.

Martie nie mogła się dłużej powstrzymać.

, – A zatem trzydzieści lat temu upokorzyłaś go, zabiłaś jego dziecko...

– Ucieszył się na wieść, że umarło.

– Teraz, kiedy go znam, nie wątpię w to.

Ale wszystko jedno, i tak go upokorzyłaś.

A po tylu latach człowiek, który dał ci Juniora, tego cudownego chłopca...

Junior uśmiechnął się, jakby Martie naprawdę prawila mu komplementy.

– ...

człowiek, który dał ci coś, czego nie mógł ci dać Ahriman, twój mąż, wychodzi ze skóry, żeby ośmieszyć Ahrimana, poniżyć go, rozedrzyć publicznie na strzępy, i nawet zamieszcza te żenujące brednie w Amazon.com.

A ty tego nie powstrzymałaś?

Gniew Claudette zapłonął na nowo, kiedy Martie oskarżyła ją o brak rozsądku.

– Zachęcałam do tego.

A dlaczego nie?

Mark Ahriman nie potrafi napisać dobrej książki, tak jak nie potrafi spłodzić zdrowego dziecka.

Dlaczego miałby odnosić większe sukcesy niż Derek?

Dlaczego cokolwiek miałyby mu się udawać?

– Ty głupia kobieto.

– Martie najwyraźniej wybrała tę zniewagę, ponieważ wiedziała, że zrani Claudette bardziej niż jakakolwiek inna.

– Ty głupia, bezmyślna kobieto.

Skeet, zaniepokojony bezpośredniością Martie, bojąc się o nią, próbował ją odciągnąć.

Martie chwyciła go za rękę i ścisnęła mocno, tak jak Claudette rękę Juniora.

Ale nie czerpała siły od Skeeta, dawała mu ją.

– Spokojnie, kochanie.

– Kontynuując atak, powiedziała: – Claudette, nie masz pojęcia, do czego jest zdolny Ahriman.

Nic o nim nie wiesz, nie zdajesz sobie sprawy z jego podłości, bezwzględności.

– Wiem...

– Gównu wiesz!

Otworzyłaś mu drzwi i wpuściłaś do naszego życia, nie tylko do swojego.

Nawet by na mnie nie spojrział, gdybym nie była związana z tobą.

Gdyby nie ty, nic złego by mi się nie przydarzyło i nie musiałabym robić rzeczy – spojrzała żałośnie na Dusty'ego, a on wiedział, że myśli o dwóch zabitych ludziach w Nowym Meksyku – które zrobiłam.

Claudette nie przestraszyła się ani jadowitego tonu, ani rzeczowych argumentów.

– Można by odnieść wrażenie, że to wszystko dzieje się z twojego powodu.

Pech nie wybiera, jak to mówią.

Z pewnością słyszałaś podobne mądrości w kręgach, w których się obracasz.

Pech nie wybiera, Martie.

Nieszczęścia zdarzają się wszystkim.

To w moim domu doszło do strzelaniny, na wypadek, gdybyś nie zauważyła.

– Lepiej do tego przywyknij – odparowała Martie.

– Bo Ahriman na tym nie poprzestanie.

Przyśle kogoś innego, a potem jeszcze kogoś, a potem dziesięć następnych osób, ludzi, których nie znamy, i ludzi, których znaliśmy i którym ufaliśmy przez całe życie, i nie przestanie ich przysyłać, dopóki wszyscy nie zginiemy.

– Mówisz od rzeczy – zachnęła się Claudette.

– Dość!

Zamknijcie się, zamknijcie się wszyscy!

– Derek stał przy schodach w przedpokoju, obok ciała Erica.

– Sąsiadów musiało nie być w domu, bo nikt nie wezwał policji, dopóki ja tego nie zrobiłem.

Zanim tu przyjadą, powiem wam, jak to rozegramy.

To mój dom i ja tu decyduję.

Wytarłem broń.

Włożyłem mu ją do ręki.

Dusty, Martie, jeśli chcecie wystąpić przeciwko nam, zrobicie, co uznacie za stosowne, ale to będzie oznaczało wojnę pomiędzy nami, a ja obciążę was dwoje w każdy możliwy sposób.

Mówicie, że wasz dom spłonął?

Powiem, że graliście, mieliście długie i podpaliście go, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia.

Wstrząśnięty, choć niezbyt zaskoczony tą groteskową groźbą, Dusty powiedział: – Derek, na miłość boską, co nam z tego przyjdzie?

– To zamąci wodę – odparł Lampton.

– Zmyli gliniarzy.

Ten facet był mężem twojej przyjaciółki, Martie?

Wobec tego powiem glinom, że przyszedł tu zabić Dusty'ego, ponieważ Dusty rznął Susan.

– Ty głupi sukinsynu – wybuchnęła Martie.

– Susan nie żyje.

Ona...

Claudette ochoczo przyłączyła się do spisku: – A wtedy ja powiem, że Eric, zanim zaczął strzelać, przyznał się do zabicia Susan, ponieważ pieprzyła się z Dustym.

Ostrzegam was oboje, zamącimy wodę tak, że nawet nie zauważą mojego chłopca, nie mówiąc już o oskarżeniu go o morderstwo, kiedy on tylko ocalał nam wszystkim życie.

Dusty nie pamiętał, by przechodził przez lustro lub by wessała go trąba powietrzna pełna złych czarów, lecz mimo to znalazł się w świecie, gdzie wszystko zostało postawione na głowie i na wspak, gdzie kłamstwa ogłaszano jako prawdy, a prawda była niemile widziana i nierozpoznana.

– Chodź, Claudette – przynaglał Lampton, zapraszając ją gestem na dół.

– Chodź, Derek.

Do kuchni.

Szybko.

Musimy porozmawiać, zanim zjawi się policja.

Nasze wersje powinny do siebie pasować.

Chłopiec uśmiechnął się do Dusty'ego, kiedy szedł za matką, wciąż trzymając ją za rękę, ku schodom, a potem na dół.

Dusty odwrócił się od nich i ruszył korytarzem w stronę Figa, który podczas całej awantury stał nieruchomo w kącie.

– Rety – powiedział Figa.

– Teraz lepiej rozumiesz Skeeta?

– O, tak.

– Gdzie Lokaj?

– spytał Dusty, ponieważ pies był jego łącznikiem z rzeczywistością, jego Toto, przypominając mu, że świat, gdzie grasują złe czarownice, nie jest prawdziwy.

– Łóżko – powiedział Figa, wskazując otwarte drzwi sypialni.

Stylowe łożo było dostatecznie wysokie, by Lokaj zdołał się pod nie wcisnąć.

Zdradzał go ogon, który wystawał spod narzuty.

Dusty obszedł łóżko dookoła, usiadł na podłodze, uniósł narzutę i spytał: – Jest tam miejsce dla mnie?

Lokaj zaskamlał, jakby zapraszał go pod łóżko na pieszczoty.

– I tak nas znajda – zapewnił go Dusty.

– Chodź tutaj, stary.

Chodź i pozwól mi podrapać cię po brzuchu.

Lokaj wyczołgał się z ukrycia na otwartą przestrzeń, chociaż był zbyt przerażony, by pokazać brzuch nawet tym, którym ufał najbardziej.

Martie dołączyła do Dusty'ego, siadając na podłodze obok psa.

– Rozważam na nowo całą ideę posiadania rodziny.

I myślę, że chyba najlepiej jest tak, jak teraz: ty, ja i Lokaj.

Pies zdawał się z nią zgadzać.

– Jadąc tutaj, myślałam, że już nic gorszego nie może nas spotkać, i spójrz, co się dzieje – powiedziała Martie.

– Wpadliśmy po szyję i toniemy.

Jestem jak odrętwiła, wiesz?

Wiem, co stało się z Edkiem, ale jeszcze tego nie czuję.

– Tak.

Ze mną jest podobnie.

– Co masz zamiar zrobić?

Dusty potrząsnął głową.

– Nie wiem.

A zresztą, co można zrobić?

Dzieciak i tak wyj – dzie na bohatera, niezależnie od tego, co powiem.

Albo ty.

To jasne jak słońce.

Prawda nie zabrzmi dostatecznie przekonująco, aby policja w nią uwierzyła.

– A co z Ahrimanem?

– Boję się, Martie.

– Ja też.

– Kto nam uwierzy?

Ciężko było skłonić kogoś, aby zechciał nas wysłuchać, zanim...

to się stało.

A teraz, kiedy Jaszczur i Claudette zamierzają wymyślać najdziksze historie na nasz temat, żeby zamącić wodę...

Jeśli zaczniemy opowiadać o praniu mózgu, zaprogramowanym samobójstwie i zaprogramowanych zabójcach...

osiągniemy tyle, że wszystkie te kłamstwa o nas tylko nabiorą prawdopodobieństwa.

– A jeśli ktoś podpalił nasz dom – Ahriman lub ktoś, kogo wysłał – to było oczywiste podpalenie.

Jakie mamy alibi?

Dusty mrugnął zaskoczony.

– Byliśmy w Nowym Meksyku.

– I co tam robiliśmy?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć – i zamknął je bez słowa.

– Jeśli wspomnimy o Nowym Meksyku, zabrnijemy w sprawę Ahrimana.

Zgoda, mamy trochę konkretów, te wszystkie rzeczy, które przydarzyły się różnym ludziom dawno temu.

Ale będziemy musieli uważać, żeby nie wyszedł na jaw...

incydent z Zacharym i Kevinem.

Przez chwilę głaskali w milczeniu psa.

– Mógłbym go zabić – odezwał się wreszcie Dusty.

– To znaczy, ubiegłej nocy pytałaś mnie, czy mógłbym to zrobić, a ja odpowiedziałem, że nie wiem.

Ale teraz wiem.

– Ja też bym mogła – powiedziała.

– Zabijmy go, a to wszystko się skończy.

– Pod warunkiem, że nie zainteresuje się nami instytut.

– Słyszałaś, co mówił Ahriman w gabinecie dzisiaj rano.

To nie ma z tamtym nic wspólnego.

To sprawa osobista.

A teraz już wiemy, jak bardzo osobista.

– Zabijesz go – powiedziała – i spędzisz resztę życia w więzieniu.

– Może.

– Na pewno.

Ponieważ żaden sędzia nie przyjmie tłumaczenia w rodzaju: „Zabiłem go, bo bawił się w eksperymenty z praniem mózgu”.

– Więc wsadzą mnie na dziesięć lat do zakładu zamkniętego.

To lepsze wyjście, nie sądzisz?

– Nie, chyba że wsadzą nas oboje do tego samego zakładu.

Lokaj podniósł łeb i spojrzał na nich, jakby chciał powiedzieć: „Troje”.

Usłyszeli, że ktoś biegnie korytarzem, i po chwili wpadł do sypialni Figa Newton.

Okulary mu się przekrzywiły, a twarz miał czerwoną bardziej niż zwykle.

– Skeet.

– Co z nim?

– spytała Martie, podrywając się na nogi.

– Pojechał.

– Dokąd?

– Ahriman.

– Co takiego?

– Broń.

Dusty też wstał.

– Do diabła, Figa, dość zabawy w telegraf.

Mów!

Figa skinął głową i zaczął wyjaśniać: – Wziął broń zabitego.

I jeden z pełnych magazynków.

Wziął lexusa.

Powiedział, że nikt nie będzie bezpieczny, dopóki tego nie zrobi.

Martie popatrzyła na Dusty'ego.

– Zawiadomimy policję, żeby go powstrzymali?

– Powiemy im, że jedzie zastrzelić szanowanego obywatela, uzbrojony w pistolet maszynowy? Kradzionym samochodem?

Skeet będzie martwy, jeżeli to zrobimy.

– Wobec tego musimy tam dotrzeć przed nim – powiedziała.

– Figa, uważaj na Lokaja.

Ci ludzie tutaj mogliby go zabić po prostu dla zabawy.

– Sam nie czuję się zbyt bezpiecznie – wyznał Figa.

– Pozostali wiedzą, dokąd pojechał Skeet?

– Nie.

Nie wiedzą, że w ogóle pojechał.

– Powiedz im, że wziął dzisiaj prochy i nagle poczuł się dziwnie.

Zabrał broń i powiedział, że jedzie do Santa Barbara rozprawić się z ludźmi, którzy sprzedali mu zły towar.

– To nie w stylu Skeeta.

Zbyt brutalne.

– Lamptonowi się spodoba.

Pomoże mu mącić wodę.

– Co się stanie, kiedy okłamię gliny?

– Nie mów słowa glinom.

Jesteś w tym dobry.

Po prostu powiedz Lamptonowi, a on zrobi resztę.

I powiedz mu, że pojechaliśmy za Skeetem.

Do Santa Barbara.

Kiedy Dusty i Martie dotarli do przedpokoju, ominęli ciało i przewrócony kredens, odprowadzani krzykami Lamptona i Claudette, Dusty usłyszał w oddali syreny.

Wyjechali z podjazdu, skręcili na południe w stronę autostrady i ujechali około dwóch kilometrów, zanim zobaczyli pierwszy radiowóz pędzący na północ w kierunku domu Lamptonów.

Wpadli po szyję i tonęli.

Rozdział 75.

W gabinecie na czternastym piętrze doktor pracował nad swoją najnowszą książką, cyzelując zabawną anegdotę o pacjentce, która ze strachu przed jedzeniem schudła z sześćdziesięciu trzech do trzydziestu dziewięciu kilogramów i zagłodziła się prawie na śmierć, zanim rozpoznał przyczynę jej fobii i wyleczył ją dosłownie w ostatniej chwili.

Jej historia nie była, rzecz jasna, zabawna, ale ponura i dramatyczna, akurat odpowiednia, by zapewnić mu czas w studiu, wraz z wdzięczną pacjentką, kiedy rozpocznie się promocja; tu i ówdzie jednak zdarzały się przebłycki humoru, a nawet rubasznej wesołości.

Nie mógł skoncentrować się na pracy, ponieważ myślami ciągle przebywał w Malibu.

Kiedy obliczył czas, jakiego potrzebował Eric, aby odwiedzić przechowalnię i dotrzeć do domu Lamptonów, uznał, że pierwszy strzał powinien paść mniej więcej za kwadrans pierwsza, a może nawet o pierwszej.

Rozpraszały go także, chociaż nie tak bardzo, myśli o pacjentce z Keanufobią, która jak dotąd nie telefonowała.

Nie przejmował się tym.

Na pewno wkrótce zadzwoni.

Na nikim nie można polegać bardziej niż na osobach cierpiących na obsesje i fobie.

Beretta leżała niedaleko prawej krawędzi biurka, w zasięgu ręki.

Nie oczekiwał, by pacjentka zjechała po linie z dachu i wpadła do gabinetu przez okno, strzelając z pistoletu maszynowego i rzucając granaty, ale nie zamierzał jej też lekceważyć.

Najtwardsze kobiety, jakie w życiu spotkał, nosiły stylowe konserwatywne garsonki z dzianiny i buty Ferragamo.

Wiele z nich poślubiło szefów wytwórni filmowych i znanych agentów; wyglądały tak nobliwie jak majątne wdowy z Bostonu, których drzewa genealogiczne miały swoje korzenie głęboko pod Pymouth Rock, były wyrafinowane i arystokratyczne, lecz mimo to mogłyby zjeść na lunch twoje serce, z nerkami w śmietanie na przystawkę, i popić to wszystko kieliszkiem wytrawnego merlota.

Mogąc zamówić produkty z delikatesów, które uznawały majonez, masło i tłuszcze zwierzęce w każdej formie, doktor często jadał lunch w gabinecie.

Tym razem posilał się z błękitną torbą przy talerzu, szczelnie zawiązaną i lekko pomarszczoną.

Nie przeszkadzała mu świadomość, co jest w środku, ponieważ było to radosne przypomnienie stanu, w jakim policja znajdzie ciało Dereka Lamptona.

O pierwszej piętnaście, po skończonym lunchu, sprzątnął z biurka talerze i opakowania, ale nie wrócił do układania anegdoty.

Na obciążonym skórą blacie, inkrustowanym kością słoniową, leżała samotnie błękitna torba.

Niestety, nie będzie się mógł napawać osobiście upokorzeniem Lamptona, a jeśli któraś z brukowych gazet nie wykona dobrze swojej pracy, nie zobaczy zapewne nawet jednego przyzwoitego zdjęcia.

Fotografie otwartej czaszki pełnej ekskrementów z pewnością nie ukażą się w „New York Timesie” ani w „USA Today”.

Na szczęście miał żywą wyobraźnię.

Czerpiąc natchnienie z błękitnej torby, bez trudu malował w myślach barwne i zabawne obrazy.

O pierwszej trzydzieści uznał, że Eric Jagger skończył strzelać i zabrał się do amatorskiej kraniotomii.

Kiedy zamykał oczy, słyszał jazgot piły.

Biorąc pod uwagę zwartość masy kostnej w czaszce Lamptona, dostarczenie drugiego ostrza wydawało się mądrą decyzją.

W przypadku, gdyby Lamptonowie nie mieli psa, liczył na to, że Eric spożywa każdego ranka treściwe produkty mączne.

Najbardziej żałował, iż nie mógł zrealizować pierwotnego planu gry, w którym Dusty, Skeet i Martie torturowaliby i zabili Claudette i obydwu Dereków.

Przed popełnieniem samobójstwa Dusty, Skeet i Martie napisaliby długie oświadczenie, oskarżając starszego Dereka i jego żonę o straszliwe znęcanie się nad Skeetem i Dustym, kiedy byli dziećmi, i o wykorzystywanie seksualne odurzonych narkotykami Martie i Susan Jagger, którą Ahriman mógłby nawet włączyć do zespołu zabójców, gdyby nie wpadła na dowcipny pomysł z kamerą wideo.

Łącznie siedem ofiar, nie licząc służby i sąsiadów, gdyby przypadkiem zjawili się na miejscu zbrodni.

Zdaniem Ahrimana były to minimalne rozmiary rzezi, jeśli miała przyciągnąć uwagę środków masowego przekazu w całym kraju, chociaż przy reputacji Dereka jako psychologa siedem trupów powinno wzbudzić co najmniej takie zainteresowanie jak wybuch bomby, która zabija dwieście osób, lecz nie wyróżnia żadnej z nich w sposób szczególny.

No cóż, chociaż gra została rozegrana z mniejszą finezją, niż oczekiwał, czerpał satysfakcję ze zwycięstwa.

Ponieważ nie było sposobu, aby zdobyć mózg Dereka Lamptona, może zachowa zamkniętą hermetycznie błękitną torbę jako symboliczne trofeum.

* * *

Chociaż ostatnie dwa dni bez narkotyków wpłynęły dodatnio na procesy myślowe Skeeta, nadal nie osiągnął dostatecznej sprawności umysłowej, by zarządzać elektrownią atomową czy choćby zamiatać w niej podłogi.

Na szczęście był tego świadom i zamierzał starannie przemyśleć każdy szczegół planowanego ataku na doktora Ahrimana podczas jazdy z Malibu do Newport Beach.

Był również rozstrojony emocjonalnie, często wybuchał płaczem, a nawet spazmatycznym szlochem.

Prowadzenie pojazdu mechanicznego z załzawionymi oczami jest szczególnie niebezpieczne na Autostradzie Nadbrzeżnej w porze deszczowej, ponieważ nagle lawiny błota i obsuwających się głazów wielkości półciężarówek wymagają od kierowców refleksu dzikiego kota.

Co gorsza, tego popołudnia ruch na autostradzie odbywał się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, mimo ograniczenia do stu kilometrów na godzinę, a przy takiej prędkości niekontrolowany płacz za kierownicą może mieć katastrofalne konsekwencje.

Piers i brzuch bolały go od uderzeń czterech zatrzymanych przez kamizelkę kul.

Żołądek skręcały mu bolesne skurcze, wywołane napięciem i strachem.

Miał migrenę, jak zawsze po spotkaniu z matką, niezależnie od tego, czy podczas wizyty ktoś został zabity z kuszy, czy też nie.

O wiele gorszy od bólów fizycznych, które cierpiał, był jednak smutek.

Dom Dusty'ego i Martie przestał istnieć, a on czuł się tak, jakby to jego dom spłonął do fundamentów.

Byli najlepszymi ludźmi na świecie, Martie i Dusty, najlepszymi.

Nie zasługiwali na to, co ich spotkało.

Ich piękny mały domek zniknął, Susan nie żyje, Eric nie żyje, życie w strachu.

Jeszcze większy smutek ogarnął go, kiedy pomyślał o sobie i o swoim dzieciństwie; matka stała nad nim z poduszką w rękach, jego piękna matka.

Kiedy Dusty przypomniał jej o tym, nawet nie zaprzeczyła, że zamierzała go zabić.

Wiedział, że jako człowiek dorosły jest skończonym niedojdą, był niedojdą jako dziecko, a teraz okazało się, iż nawet jako niemowlę musiał być tak oczywistym materiałem na niedojdę, że rodzona matka postanowiła go udusić, kiedy spał w swoim łóżeczku.

Nie chciał być niedojdą.

Chciał robić właściwe rzeczy i robić je dobrze, aby jego brat, Dusty, był z niego dumny, ale zawsze gubił się po drodze i nawet nie wiedział, że się zgubił.

Poza tym zdawał sobie sprawę, iż Dusty'emu też przysporzył wiele zmartwień, i czuł się jeszcze gorzej.

Ponieważ rozpraszały go bóle w piersiach i brzuchu, ustawiczne kurcze żołądka, migrena, smutek, zamglony wzrok i prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę, a w dodatku niepokoił się tym, że jego prawo jazdy straciło ważność już kilka lat temu, dotarł do Newport Beach, na parking przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet Ahrimana, niedługo przed trzecią po południu, nie przemyślawszy żadnego szczegółu ataku na doktora Ahrimana.

– Jestem skończonym niedojdą – powiedział sobie.

Ponieważ był skończonym niedojdą, szansę, że uda mu się przejść przez parking, dotrzeć na czternaste piętro, do gabinetu Ahrimana, i skutecznie załatwić drania, wydawały się zbyt nikłe, aby dało się je ocenić.

To tak, jakby ktoś próbował zważyć włos na tyłku pchły.

Tylko jedna rzecz przemawiała na jego korzyść.

Jeśli uda mu się przewyciężyć wszystkie trudności i zastrzelić psychiatrę, prawdopodobnie nie pójdzie do więzienia na resztę życia, co z pewnością czekałoby Dusty'ego lub Martie, gdyby to któreś z nich pociągnęło za spust.

Zważywszy na barwną dokumentację jego leczenia, wysoką na pół metra stertę psychiatrycznych ekspertyz i fakt, że dominującą cechą jego charakteru była raczej patologiczna słabość niż wrodzona agresja, prawdopodobnie trafi do jakiegoś zakładu zamkniętego i może nawet pewnego dnia wyjdzie stamtąd, jeśli oczywiście coś z niego zostanie po kolejnych piętnastu latach intensywnej chemoterapii.

Pistolet miał duży magazynek, mimo to Skeet zdołał wcisnąć go za pasek i przykryć swetrem.

Na szczęście sweter był z założenia workowaty, a ponieważ kupił go kilka lat temu i od tamtej pory nieustannie tracił na wadze, był nawet bardziej workowaty niż powinien, co najmniej o dwa numery za duży.

Wysiadł z lexusa, pamiętając, by zabrać ze sobą kluczyki.

Gdyby zostawił je w stacyjce, ktoś mógłby ukraść samochód, czyniąc go na dodatek współnikiem kradzieży.

Kiedy jego nazwisko pojawi się we wszystkich gazetach, a ludzie będą oglądać w telewizji jego aresztowanie, nie chciał, aby myśleli, że jest złodziejem.

Nigdy w życiu nie ukradł ani centa.

Niebo było błękitne, dzień pogodny i bezwietrzny.

Skeet ucieszył się z tego, ponieważ czuł się tak, jakby nawet najłżejszy powiew mógł go porwać i unieść ze sobą.

Przez jakiś czas chodził tam i z powrotem przed samochodem, patrząc na swój sweter, przekrzywiając głowę na jedną, a potem na drugą stronę, próbując dostrzec zarys pistoletu pod różnymi kątami.

Broń była doskonale ukryta.

Kiedy był gotów wkroczyć do budynku i przystąpić do dzieła, po policzkach znów popłynęły mu gorące łzy, więc dalej chodził tam i z powrotem, przecierając oczy rękawami swetra.

W sieni prawdopodobnie stał funkcjonariusz ochrony.

Skeet zdawał sobie sprawę, że wychudzony, zapłakany, szary na twarzy mężczyzna w ubraniu za dużym o dwa numery z pewnością wzbudzi podejrzenia.

Jeden rząd dalej od miejsca, gdzie Skeet zaparkował lexusa, i trochę bardziej na północ, nieznajoma kobieta wysiadła z białego rolls-royce'a i stanęła obok, przyglądając mu się uważnie.

Oczy miał już dostatecznie suche, by zobaczyć w miarę wyraźnie, że jest to jasnowłosa młoda dama, bardzo dobrze ubrana, w różowej garsonce, niewątpliwie kobieta sukcesu i dobra obywatelka.

Nie sprawiała wrażenia osoby, która ma zwyczaj stać i gapić się na nieznajomych mężczyzn, uznał więc, że musi wyglądać co najmniej tak podejrzanie, jakby ugiął się pod ciężarem pasów z amunicją i trzymał w ręku karabin.

Jeśli kobieta w różowej garsonce zaniepokoi się i podniesie alarm, funkcjonariusz ochrony prawdopodobnie oślepi go gazem łzawiącym, ogłuszy ciosem pałki i powali na podłogę w momencie, gdy otworzy drzwi i wejdzie do sieni.

Znów okaże się niedojdą.

Nie mógł znieść myśli, że zawiedzie Dusty'ego i Martie, jedynych ludzi, którzy go kochali, naprawdę kochali, w całym jego życiu.

Nie mógł im tego zrobić, wolałby już wyciągnąć broń spod swetra i strzelić sobie w łeb od razu.

Tak jak nie był zdolny do kradzieży, nie był też zdolny do samobójstwa.

No cóż, z wyjątkiem skoku z dachu Sorensonów we wtorek.

Rozumiał jednak, że to wcale nie musiał być jego pomysł.

Pod badawczym spojrzeniem kobiety w różowej garsonce, udając, że jej nie zauważa, starając się wyglądać na zbyt szczęśliwego i zadowolonego z życia jak na szalonego zamachowca, pogwizdując „Cóż za wspaniały świat”, ponieważ była to pierwsza melodia, jaka przysłała mu do głowy, ruszył przez parking w stronę budynku i wkroczył do środka, ani razu nie obejrząwszy się za siebie.

* * *

Doktor nie przywykł do tego, aby inni narzucali mu rozkład zajęć, był więc coraz bardziej zły na pacjentkę z Keanufobią.

Do tej pory nie zatelefonowała!

Nie wątpił, iż zareaguje na wizję złego komputera, którą jej przedstawił; jej obsesja wykluczała inną możliwość.

Najwyraźniej jednak idiotka nie miała cienia przyzwoitości, nie liczyła się z czasem innych ludzi; typowa nowobogacka klępa.

Nie mogąc skoncentrować się na pisaniu ani opuścić biura i zająć się grą, zadowolił się układaniem

haiku, czerpiąc inspirację z materiału, który miał pod ręką.

Błękitna torba.

Beretta, siedem naboí.

Mam zabić gównó?

Okropne.

Siedemnaście sylab, zgoda, i poprawne technicznie pod każdym względem.

Nigdy jednak nie widział lepszego dowodu na to, że techniczna poprawność nie jest wy tłumaczeniem nieśmiertelności Szekspira.

Pistolet, siedem kul.

Nowobogacka dziwka.

Paf, paf, paf, paf, paf.

Równie okropne, lecz bardziej satysfakcjonujące.

* * *

Funkcjonariusz ochrony, dwa razy większy od Skeeta i ubrany w rzeczy, które na nim świetnie leżały, siedział za kontuarem w punkcie informacyjnym.

Czytał książkę i nawet nie podniósł głowy.

Skeet spojrział na tablicę, by zlokalizować gabinet Ahrimana, podszedł do windy, nacisnął guzik i stanął, patrząc prosto na drzwi.

Wyobrażał sobie, że strażnik, dobrze wyszkolony zawodowiec, natychmiast wyczuje, iż ktoś przygląda mu się z niepokojem.

Przyjechała jedna z wind.

Z kabiny wysiadły trzy starsze kobiety i trzech wysokich, przystojnych sikhów w turbanach; obie grupy ruszyły w przeciwnych kierunkach.

Skeet, już wcześniej przygnębiony i przerażony, doznał wstrząsu na widok starszych kobiet i sikhów.

Jak dowiedział się od Figi w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin, cyfry trzy i sześć były kluczem do zrozumienia, dlaczego obcy odwiedzają potajemnie Ziemię, a tutaj miał dwie trójki i jedną szóstkę.

Niedobry znak.

Do windy weszły ze Skeetem dwie osoby.

Dostawca z firmy przewozowej wtoczył ręczny wózek, na którym leżały trzy pudła.

Po nim wsiadła kobieta w różowej garsonce.

Skeet nacisnął guzik czternastego piętra.

Dostawca nacisnął guzik dziewiątego piętra.

Kobieta w różowej garsonce nie nacisnęła niczego.

* * *

Wchodząc do budynku, Dusty od razu spostrzegł Skeeta wsiadającego do windy.

Martie też go zobaczyła.

Chciał zawołać brata, ale w pobliżu siedział strażnik, a ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, było zwrócenie na siebie uwagi pracowników ochrony.

Ruszyli pospiesznie w kierunku wind, ale nie biegli.

Drzwi kabiny zamknęły się, byli w połowie drogi.

Żadnej z trzech wind nie było na parterze.

Dwie jechały na dół, jedna do góry.

Z jadących w dół bliższa znajdowała się na piątym piętrze.

– Schody?

– spytała Martie.

– Czternaste piętro.

Nie.

– Wskazał na tablicę z numerami pięter, na której zapaliła się cyfra cztery.

– Tak będzie szybciej.

Dostawca wysiadł na dziewiątym piętrze, a kiedy drzwi zamknęły się, kobieta w różowej garsonce nacisnęła guzik „stop”.

– Nie jesteś martwy – powiedziała.

– Przepraszam?

– Ubiegłej nocy na plaży dostałeś cztery kule w pierś, a mimo to jesteś tu.

– Pani tam była?

– Z pewnością wiesz.

– Nie, naprawdę, nie widziałem pani.

– Dlaczego nie jesteś martwy?

– Kamizelka kuloodporna.

– Niemożliwe.

– To prawda.

Śledziliśmy niebezpiecznego człowieka – powiedział, zdając sobie sprawę, że brzmi to, jakby próbował jej zaimponować, co zresztą odpowiadało rzeczywistości.

Była piękną kobietą, a Skeet czuł osobliwe mrowienie w łędźwiach, którego nie czuł już od dawna.

– To wszystko zostało zaaranżowane?

Przedstawienie na mój użytek?

– Żadne przedstawienie.

Pierś i brzuch bołą mnie jak diabli.

– Kiedy umierasz w matrycy – powiedziała – umierasz naprawdę.

– Pani też podobał się ten film?

– Umierasz naprawdę...

chyba że jesteś maszyną.

Zaczęła się wydawać Skeetowi trochę niesamowita, a jego przeczucie potwierdziło się, kiedy z białej torebki wyciągnęła pistolet.

Był wyposażony w coś, co zwykle ludzie nazywają tłumikiem, a co, jak wiedział, bardziej fachowo nazywa się pochłaniaczem dźwięku i płomienia.

– Co masz pod swetrem?

– spytała.

– Ja?

Pod swetrem?

Nic.

– Gówno prawda.

Podnieś sweter bardzo powoli.

– Cholera – powiedział z gorzkim rozczarowaniem, ponieważ znowu wyszedł na niedojdę.

– Jest pani zawodowym ochroniarzem, tak?

– Jesteś z Keanu czy przeciwko niemu?

Skeet był pewien, że przez ostatnie trzy dni nie brał żadnych prochów, lecz to musiał być opóźniony skutek któregoś z jego mieszanek.

– No cóż, jestem z nim, kiedy gra w dobrych kawałkach fantastycznonaukowych, ale jestem przeciwko niemu, kiedy robi takie bzdety jak „Spacer w chmurach”.

– Dlaczego stoją tak długo na dziewiątym piętrze?

– spytał Dusty, wskazując na tablicę nad windą.

– Schody?

– zasugerowała znowu Martie.

Po krótkim postoju na trzecim piętrze winda, na którą czekali, zjechała na drugie.

– W ten sposób możemy go jeszcze wyprzedzić.

Pistolet maszynowy, który odebrała Skeetowi, nie mieścił się w jej torebce.

Wystawał przedłużony magazynek, ale nie przejmowała się tym.

Wciąż mierząc do niego z własnego pistoletu, nacisnęła guzik czternastego piętra.

Kabina ruszyła natychmiast.

– Czy tłumiki nie są nielegalne?

– spytał Skeet.

– Tak, oczywiście.

– Ale może pani taki mieć, ponieważ jest pani zawodowym ochroniarzem?

– Dobry Boże, nie.

Jestem warta pięćset milionów dolarów i mogę mieć wszystko, co chcę.

Nie wiedział, czy mówi prawdę, czy nie.

Nie przypuszczał, aby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Chociaż kobieta była bardzo piękna, Skeet zaczął dostrzegać w jej zielonych oczach, a może w jej zachowaniu, coś, co go przerażało.

Kiedy mijali trzynaste piętro, uświadomił sobie, dlaczego nieznajoma przyprawia go o zimny dreszcz: posiadała trudną do zdefiniowania cechę, która upodabniała ją do jego matki.

W momencie, gdy zatrzymali się na czternastym piętrze, Skeet wiedział, że jest chodzącym trupem.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, Martie natychmiast weszła do środka i nacisnęła guzik oznaczony numerem czternaście.

Dusty wsiadł za nią, nie wpuścił dwóch mężczyzn, którzy też próbowali wejść, i powiedział: – Przepraszam, nagły wypadek.

Musimy być zaraz na czternastym.

Martie wcisnęła guzik zamykający drzwi i przytrzymała go kciukiem.

Jeden z mężczyzn mrugnął zaskoczony, a drugi zaczął oponować, ale drzwi zamknęły się, zanim wybuchła kłótnia.

Kiedy wyszli z niszy windy na korytarz czternastego piętra, Skeet spytał: – Dokąd idziemy?

– Przestań tak głupio udawać.

To irytujące.

Doskonale wiesz, dokąd idziemy.

Ruszaj.

Chyba chciała, żeby poszedł w lewo, więc poszedł, nie dlatego, że miała broń, lecz dlatego, że przez całe życie szedł tam, dokąd kazali mu iść inni ludzie.

Ruszyła za nim, przyciskając wylot tłumika do jego pleców.

Długi, wyłożony dywanem korytarz był cichy.

Akustyczny sufit pochłaniał ich głosy.

Zza ścian nie dobiegały żadne dźwięki.

Równie dobrze mogli być ostatnimi ludźmi na całej planecie.

– A jeśli się teraz zatrzymam?

– spytał Skeet.

– Wtedy cię zastrzelę – zapewniła go.

Skeet szedł dalej.

Kiedy mijał drzwi do gabinetów po obu stronach korytarza, odczytywał nazwiska wyryte na mosiężnych tabliczkach.

W większości przyjmowali tu lekarze takiej bądź innej specjalności, a także dwóch prawników.

Świetnie się składa, uznał.

Jeśli jakimś cudem przeżyje kilka następnych minut, będzie potrzebował kilku dobrych lekarzy i jednego prawnika.

Dotarli do drzwi, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem DR MARK AHRIMAN.

Pod nazwiskiem psychiatry, mniejszymi literami: KORPORACJA KALIFORNIJSKA.

– Tutaj?

– spytał.

– Tak – odparła.

Kiedy Skeet pchnął drzwi, kobieta w różowej garsonce strzeliła mu w plecy.

Jeśli pistolet z tłumikiem wydawał jakikolwiek dźwięk, nie usłyszał go, ponieważ poczuł tak niespodziewany i straszliwy ból, że nie usłyszałby nawet przechodzącej obok wojskowej orkiestry.

Skoncentrował się całkowicie, niepodzielnie na bólu i był zdumiony, że postrzał może boleć bardziej, kiedy nie ma się na sobie kamizelki kuloodpornej.

W momencie oddawania strzału kobieta wepchnęła go przez otwarte drzwi do poczekalni doktora Ahrimana.

Bing!

Komputer Ahrimana obwieścił czyjeś wejście, a ekran wypełnił przekazywany przez kamerę obraz poczekalni.

Doktor przerwał kontemplację błękitnej torby i ze zdumieniem, jakiego nie doświadczył od lat, patrzył, jak do poczekalni wtacza się Skeet, a drzwi prowadzące na korytarz zamykają się za nim powoli.

Przód jego żółtego swetra znaczyła wielka plama krwi, która bez wątplenia powinna się tam znajdować, skoro dostał z bliska cztery kule w pierś i brzuch.

Obraz z kamery nie był, niestety, wystarczająco ostry, by dało się stwierdzić, czy zaplamiona krwią wełna jest przedziurawiona w czterech miejscach.

Skeet wyciągnął ręce, jakby szukał oparcia, zachwiał się i upadł twarzą na podłogę.

Doktor słyszał opowieści o psach, które, odłączywszy się przypadkowo od swoich panów daleko od domu, przemierzały setki, a nawet tysiące kilometrów w deszczu, śniegu i palącym słońcu, często

z pokaleczonymi łapami i jeszcze gorszymi obrażeniami, i zjawiały się po wielu tygodniach pod drzwiami domu, ku zdumieniu i radości domowników.

Nigdy jednak nie słyszał, aby postrzelony czterokrotnie w brzuch człowiek wstał, przeszedł około dziesięciu czy dwunastu kilometrów w ciągu – spojrzał na zegarek – osiemnastu godzin przez gęsto zaludniony obszar, wjechał windą na czternaste piętro i wtoczył się do gabinetu człowieka, który go postrzelił, by wskazać nań oskarżycielskim palcem, uznał więc, że kryje się za tym coś więcej, niż mogłoby się z pozoru wydawać.

Doktor kliknął myszą w ikonę przedstawiającą pistolet.

Wykrywacz metalu pokazywał, że Skeet nie ma przy sobie broni.

Leżący płasko na podłodze niedoszły detektyw znajdował się poza zasięgiem aparatów rentgenowskich, fluoroskopia nie była zatem możliwa.

Jennifer wyszła zza okienka recepcji i stanęła nad leżącym Skeetem.

Zdawała się krzyczeć, lecz Ahriman nie był tego pewny, jak nie był pewny, czy – jeśli krzyczy – krzyczy czy dlatego, że przeraził ją stan rannego człowieka, czy może dlatego, że widok krwi zranił jej wegetariańską wrażliwość.

Doktor włączył mikrofony.

Tak, krzyczała, chociaż niezbyt głośno, jakby nie mogła zaczerpnąć dostatecznie głębokiego oddechu, by wydać z siebie prawdziwy krzyk.

Gdy Jennifer przyklękała na jedno kolano i pochyliła się nad Skeetem, szukając oznak życia, doktor kliknął w ikonę przedstawiającą nos, włączając analizator zapachu.

Raczej trudno było przypuszczać, by ten człowiek, z czterema ranami postrzałowymi, przerwał swą osiemnastogodzinną podróż, by zaopatrzyć się w materiały wybuchowe i skonstruować bombę, którą następnie przytroczył sobie do piersi, ale doktor, pomny, iż należy zwracać uwagę na każdy szczegół, czekał na odczyt z monitora.

Czujniki nie wykryły żadnych materiałów wybuchowych.

Jennifer wstała i wybiegła z zasięgu kamery.

Bez wątplenia zamierzała wezwać policję i pogotowie.

Wywołał ją przez interkom.

– Jennifer?

– Doktorze, to straszne, jest tutaj...

– Tak, wiem.

Postrzelony mężczyzna.

Nie wzywaj policji ani pogotowia, Jennifer.

Ja to zrobię.

– Ale on okropnie krwawi.

Jest...

– Uspokój się, Jennifer.

Nikogo nie wzywaj.

Ja się tym zajmę.

Minęła niecała minuta od chwili, gdy Skeet wtoczył się do poczekalni.

Doktor oceniał, że ma jeszcze minutę, najwyżej dwie, zanim przedłużająca się zwłoka skłoni Jennifer do działania.

Drepczyła go niepokojąca myśl: jeżeli jeden człowiek z czterema ciężkimi ranami postrzałowymi

mógł się tu zjawić po osiemnastu godzinach, to dlaczego nie dwóch?

Choć obdarzony bujną wyobraźnią, doktor nie potrafił wyczarować w swoim umyśle przekonującego obrazu rannego Skeeta i jego rannego kolegi idących chwiejnie plażą, obejmujących się ramionami i podtrzymujących się nawzajem niczym para pijanych piratów, którzy wracają na okręt po całonocnej hulance.

A mimo to, jeśli pojawił się jeden, równie dobrze może być ich dwóch, a ten drugi gdzieś się zaczął.

* * *

Najgorsza zwłoka nastąpiła na szóstym piętrze.

Winda stanęła, a drzwi otworzyły się, chociaż Martie nadal wciskała kciukiem guzik.

Tęga kobieta ze stalowoszarymi lokami i twarzą robotnika portowego koniecznie chciała wejść do środka, chociaż Dusty zagrażał jej drogę i powoływał się na nagły wypadek.

– Jaki wypadek?

– Postawiła nogę w kabinie, uruchamiając mechanizm bezpieczeństwa i uniemożliwiając zamknięcie drzwi, choć Martie z całej siły wciskała guzik.

– Nie widzę żadnego wypadku.

– Atak serca.

Czternaste piętro.

– Nie jesteście lekarzami – powiedziała podejrzliwie.

– Mamy wolny dzień.

– Lekarze się tak nie ubierają, nawet w wolny dzień.

Tak czy inaczej, ja jadę na piętnaste.

– Dobrze, niech pani wsiada – ustąpił Dusty.

Kiedy znalazła się w środku, a drzwi się zamknęły, wcisnęła guzik dwunastego piętra i uśmiechnęła się triumfująco.

Dusty wpadł we wściekłość.

– Kocham mojego brata, droga pani, i jeśli coś mu się stanie, znajdę panią i wypatroszę jak rybę.

Przyjrzała mu się od stóp do głów z nieskrywaną pogardą i powiedziała: – Ty?

* * *

Doktor schował berettę i ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się, kiedy przypomniał sobie o błękitnej torbie.

Nadal tkwiła na środku biurka.

Cokolwiek się stanie, prędzej czy później zjawi się policja.

Jeśli Skeet jeszcze żył, trzeba go wykończyć, zanim przyjadą gliniarze.

Kiedy znajdą zwłoki leżące w poczekalni w kałuży krwi, z pewnością będą mieli mnóstwo pytań.

Obejrzą też miejsce zbrodni, przynajmniej pobieżnie.

Jeśli z jakiegoś powodu nabiorą podejrzeń, postawią człowieka w gabinecie i postarają się o nakaz rewizji.

Prawo nie pozwalało im oglądać teczek pacjentów, więc nie obawiał się, że mogliby coś znaleźć – z wyjątkiem beretty i błękitnej torby.

– Pistolet nie był zarejestrowany, a chociaż na pewno nie trafiłby do więzienia za jego posiadanie, nie chciał dawać im powodu do dociekań.

Gdyby się nim zainteresowali, mogliby zacząć go obserwować, poważnie komplikując mu życie.

Torba z psimi odchodami nie była obciążająca, ale...

dziwna.

Zdecydowanie dziwna.

Znalazłszy ją na biurku, z pewnością zapytaliby, po co przyniósł ją do gabinetu.

Doktor, przy całym swoim sprycie, nie potrafiłby udzielić na poczekaniu prostej odpowiedzi, która miałaby sens.

Znów dałby im powód do rozmyślań.

Podszedł szybko do biurka, otworzył szufladę i wrzucił do niej torbę.

Potem uświadomił sobie, że jeśli posuną się do tego, by wystąpić o nakaz rewizji, i znajdą torbę w szufladzie, wyda się nie mniej dziwna, niż gdyby leżała na widoku.

Tak naprawdę, gdziekolwiek schowałby torbę w gabinecie, nawet w koszu na śmieci, policjanci bardzo się zdziwią, kiedy ją znajdą.

Wszystkie te myśli przeleciały doktorowi przez głowę w ciągu kilku sekund, ponieważ jego umysł nadal pracował tak samo szybko jak w dniach, kiedy był cudownym dzieckiem, ale wciąż musiał przypominać sobie, że czas to szalowiec rozsypujący prochy.

Prędzej, prędzej.

Zamierzał pozbyć się beretty i kabury, zanim zjawi się policja, więc równie dobrze mógł wyrzucić błękitną torbę razem z pistoletem.

Co oznaczało, że musiał zabrać ją ze sobą teraz.

Z kilku powodów, z których nie ostatnim było jego poczucie stylu, nie chciał, aby Jennifer zobaczyła go wynoszącego torbę.

Poza tym torba krępowałaby mu ruchy, gdyby musiał uporać się z kolegą Skeeta.

Jak nazwał go Dusty?

Figa.

Tak.

Błękitna torba przeszkadzałaby mu, gdyby Figa czał się gdzieś w pobliżu i trzeba było się z nim uporać.

Prędzej, prędzej.

Zaczął wpychać torbę do wewnętrznej kieszeni płaszcza, ale myślał, że mogłaby pęknąć i zniszczyć ten wspinały garnitur od Zegny, była nie do zniesienia.

Ostrożnie włożył ją do pustej kabury.

Zadowolony z szybkiej oceny sytuacji i pewien, że nie pominął żadnego szczegółu, który mógłby narazić go na niebezpieczeństwo, Ahriman wyszedł do poczekalni, trzymając berettę tak, by nie zobaczyła jej Jennifer.

Stała w otwartych drzwiach prowadzących na zaplecze, drżąca, z szeroko otwartymi oczami.

– On krwawi, doktorze, bardzo krwawi.

Każdy głupiec zorientowałby się, że Skeet krwawi.

Rzeczywiście, nie zdołałby tu dotrzeć, gdyby przez osiemnaście godzin tracił krew w takim tempie.

Doktor przyklęknął na jedno kolano obok Skeeta.

Nie odrywając wzroku od drzwi na korytarz, sprawdził puls.

Ten mały ćpun nadal żył, chociaż tętno miał słabe.

Łatwo będzie go wykończyć.

Najpierw jednak Figa.

Czy ktokolwiek inny, kto czaił się tam na zewnątrz.

Doktor podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho.

Nic.

Ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

Nikogo.

Przekroczył próg, pozostawiając drzwi otwarte, i popatrzył w lewo i w prawo.

W zasięgu wzroku w korytarzu nie było nikogo.

Najwidoczniej Skeet nie został postrzelony tutaj, ponieważ huk wystrzału z pewnością zwróciłby czyjąś uwagę.

Tymczasem nikt nie wyszedł nawet z gabinetu psychologa dziecięcego po drugiej stronie korytarza, doktora Moshliena, tego nieznośnego prostaka i beznadziejnego głupca, którego teorie na temat przemocy wśród nieletnich były tak samo nieprawdopodobne jak jego krawaty.

Tajemnica, w jaki sposób Skeet zdołał tu dotrzeć, pozostanie zapewne tajemnicą i przysporzy doktorowi wielu bezsennych nocy.

W tej chwili najważniejszą rzeczą było jednak zatarcie śladów.

Wróci do poczekalni i poinstruuje Jennifer, aby mimo wszystko wezwała policję i pogotowie.

Kiedy będzie zajęta telefonowaniem, on pochylił się nad Skeetem, niby po to, aby udzielić mu pomocy, i zatka mu usta i nos na około półtorej minuty, co powinno w zupełności wystarczyć, biorąc pod uwagę jego rozpaczliwy stan.

Potem wyjdzie szybko na korytarz, do najbliższego pomieszczenia gospodarczego, które zdoła otworzyć swoim wytrychem.

Tam schowa broń, kaburę i błękitną torbę głęboko za środkami toaletowymi.

Wyjmie je stamtąd po wizycie policji.

Oprzyj się zębowi czasu.

Prędzej, prędzej.

Kiedy odwracał się plecami do korytarza, aby wejść do gabinetu, zdał sobie sprawę, że na dywanie nie ma żadnych plam, które powinny być, gdyby Skeet szedł tędy, brocząc krwią tak obficie, jak broczył nią teraz w poczekalni.

Gdy jego szybki jak błyskawica umysł próbował dociec znaczenia tego osobliwego szczegółu, usłyszał, że drzwi gabinetu Moshliena otwierają się za nim, i skrzywił się w oczekiwaniu na zwykłe „Hej, Ahriman, masz chwilkę”?

i stek idiotyzmów, który następował potem.

Zamiast słów dosięgły go kule.

Nie usłyszał ani jednego wystrzału, ale poczuł je, i to jeszcze jak, co najmniej trzy, wyznaczające ukośną linię od jego krzyża do prawego ramienia.

Z mniejszym wdziękiem, aniżeliby chciał, zatoczył się do poczekalni.

Upadł na Skeeta.

Ze wstrętem zsunął się z małego ćpuna.

Przewrócił się na plecy i spojrzał w stronę drzwi.

Na progu stała pacjentka cierpiąca na Keanufobię, blokując otwarte drzwi ciałem, trzymając w obu

rękach pistolet z tłumikiem.

– Jesteś jedną z maszyn – powiedziała.

– To dlatego nie słuchałeś mnie podczas naszych sesji.

Maszyny nie zwracają uwagi na prawdziwych ludzi, takich jak ja.

Ahriman w tej chwili rozpoznał w jej oczach coś, co przedtem mu umknęło.

Była jedną z Wszystkowiedzących dziewcząt, które potrafiły przejrzeć jego najskrytsze zamiary i podstępny, które spoglądały na niego szyderczo i wymieniały za jego plecami porozumiewawcze uśmiešky, które wiedziały o nim coś zabawnego, czego on sam nie wiedział.

Od kiedy skończył piętnaście lat, a jego twarz wyprzystojniała, Wszystkowiedzące już nie mogły przebić się przez tę nieprzeniknioną maskę, więc przestał się ich bać.

A teraz to.

Spróbował unieść berettę, lecz odkrył, że jest sparaliżowany.

Wymierzyła pistolet w jego twarz.

Była rzeczywistością i fantazją, prawdą i kłamstwem, przedmiotem kpín i czymś śmiertelnie poważnym, wszystkim dla wszystkich ludzi i tajemnicą dla siebie samej, kwintesencją swoich czasów.

Była nowobogacką suką i miała głupiego męża, ale była też Dianą, boginią księżycy i łowów, na której brązową włócznię nadziała się Minette Luckland w palladiańskiej rezydencji w Scottsdale, zastrzeliwszy wcześniej ojca i roztrzaskawszy matce czaszkę młotkiem.

Tamto było takie zabawne, ale to teraz wcale nie było zabawne.

Moja bogata Diano.

Weź mnie ze sobą na księżyc.

Zatańcz wśród gwiazd.

Cukierkowate.

Romantyczne pomyje.

Przegadane.

Godne pogardy.

Moja bogata Diano.

Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę.

Nienawidzę cię, nienawidzę.

– Zrób to – powiedział.

Bogini opróżniła magazynek, celując w twarz doktora.

Kiedy Martie i Dusty wypadli z windy, od razu zobaczyli kobietę stojącą w otwartych drzwiach poczekalni Ahrimana przy końcu korytarza.

Po różowej garsonce Martie rozpoznała w niej tę, która wsiadła do windy za Skeetem w sieni na dole.

Kobieta weszła do gabinetu i zniknęła z pola widzenia.

Biegając korytarzem, Martie myślała o zaczarowanym Nowym Meksyku i o dwóch martwych ludziach na dnie starej studni.

O czystości padającego śniegu i o krwi, którą przykrył.

Myślała o twarzy Claudette i o sercu Claudette.

O pięknie haiku i o potwornym celu, do jakiego służyły.

O wysokich zielonych gałęziach i o pająkach wykluwających się z jaja wśród poskręcanych liści.

Rzeczy widzialne i niewidzialne.

Rzeczy odsłonięte i ukryte.

Błysk radosnego różu, różowe kwiaty kwitnącej wiśni i przecucie ciemności w błysku, trucizna w różowych kwiatach.

Wszystkie jej najstraszliwsze obawy stały się najstraszliwszą rzeczywistością, kiedy pchnęła drzwi poczekalni Marka Ahrimana i zobaczyła ciała rozciągnięte na podłodze we krwi.

Doktor leżał twarzą do góry, ale nie miał twarzy: rzadki, gryzący dym unosił się z opalonych włosów, w ciele ziały ogromne dziury, kości policzkowe były strzaskane, oczy przemieniły się w czerwone kałuże, a na rozerwanym policzku zastygł upiorny półśmiech.

Leżący twarzą do dołu Skeet sprawiał mniej dramatyczne wrażenie, a mimo to wydawał się bardziej realny.

Jego też otaczało czerwone jezioro, ale był tak kruchy, że zdawał się unosić na karmazynowej powierzchni jak kłębek szmat.

Ten widok wstrząsnął Martie bardziej, niż się spodziewała.

Nieudacznik Skeet, wieczny chłopiec, tak szczery, ale tak słaby, dążący ku samozniszczeniu, jakby chciał zrobić ze sobą to, co jego matka próbowała zrobić poduszką.

Martie kochała go, lecz dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo go kochała, i dopiero teraz zrozumiała, dlaczego.

Mimo wszystkich swoich wad Skeet miał czystą duszę i tak jak jego przyrodni brat, dobre serce; w świecie, gdzie dobre serca są rzadsze niż drogie kamienie, był brylantem ze skazą, ale mimo wszystko brylantem.

Nie potrafiła zdobyć się na to, aby pochylić się nad nim, dotknąć go i przekonać się, że jest strzaskanym brylantem, którego już nie da się naprawić.

Nie bacząc na krew, Dusty padł na kolana i położył ręce na twarzy brata, dotknął zamkniętych oczu Skeeta, sprawdził puls i z udręką, jakiej Martie jeszcze nigdy nie słyszała w jego głosie, krzyknął: – O Jezu, karetka!

Szybko, niech ktoś wezwie karetkę!

W otwartych drzwiach zaplecza pojawiła się Jennifer.

– Wezwałam.

Są w drodze.

Kobieta w różowej garsonce stanęła przy okienku recepcji i położyła na kontuarze dwa pistolety, w tym pistolet maszynowy, który Skeet zabrał martwemu Ericowi.

– Jennifer, czy nie byłoby lepiej, gdybyś przechowała to do czasu, aż zjawi się policja?

Chyba wezwałam policję?

– Tak.

Oni też już jadą.

Jennifer podeszła ostrożnie do okienka, wzięła pistolety i położyła je na swoim biurku.

Może dlatego, że obok umierał Skeet, może sprawił to widok upiornej twarzy Ahrimana i krwi, niezależnie jednak od przyczyny Martie nie mogła myśleć dostatecznie jasno, by pojąć, co się tutaj stało.

Czy Skeet strzelał do Ahrimana?

Czy Ah-riman strzelał do Skeeta?

Kto strzelił pierwszy i ile razy?

Położenie ciał nie przemawiało na korzyść żadnego scenariusza, który potrafiła sobie wyobrazić.

A niezwykle spokojny kobiecie w różowej garsonce, jakby codziennie oglądała podobne sceny, zdawał się sugerować, że odegrała w tym jakąś tajemniczą rolę.

Kobieta przeszła w najmniej zachlapaną krwią kąt poczekalni, wyjęła z torebki telefon komórkowy i wybrała numer.

Wciąż daleki, ale coraz bliższy, zniekształcony przez odległość i topografię dźwięk syren brzmiał groźnie i dziwnie prehistorycznie, raczej organicznie niż mechanicznie, jak krzyk ptero-daktyla.

Jennifer podbiegła do drzwi wejściowych, otworzyła je i podłożyła pod krawędź gumowy klin, aby się nie zamknęły.

Potem powiedziała do Martie: – Proszę mi pomóc wynieść te krzesła na korytarz, żeby sanitariusze mieli miejsce do pracy, kiedy się tu zjawia.

Martie była szczęśliwa, że ma coś do roboty.

Czuła się tak, jakby stała na skraju przepaści.

Pomagając Jennifer, mogła wycofać się znad otchłani.

Trzymając telefon z dala od ust, kobieta w różowej garsonce pochwaliła Jennifer: – Świetnie sobie radzisz, młoda damo.

Recepcjonistka obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem.

– Hm, dziękuję.

Kiedy ostatnie krzesło i mały stolik zostały przeniesione w odległy koniec korytarza, syreny zajęczały głośniejsze, a potem, jedna po drugiej, umilkły.

Pomoc musiała być w windzie.

Kobieta w różowej garsonce mówiła do telefonu: – Czy mógłbyś przestać się mazać, Kenneth?

Jak na drogiego prawnika jesteś strasznym ciamajdą.

Będę potrzebowała najlepszego adwokata do spraw kryminalnych, i to natychmiast.

Weź się w garść i załatw to.

Skończywszy rozmowę, kobieta uśmiechnęła się do Martie.

Potem wyjęła z torebki wizytówkę i wręczyła ją Jennifer.

– Będziesz potrzebowała pracy, jak przypuszczam.

Mogłabym coś znaleźć dla młodej osoby tak kompetentnej jak ty, jeśli jesteś zainteresowana.

Jennifer zawahała się, ale przyjęła wizytówkę.

Martie patrzyła, jak Dusty, klęcząc we krwi, co chwila odgarniając Skeetowi czarne włosy z twarzy, przemawia cicho do brata, chociaż nic nie wskazywało, że dzieciak go słyszy.

Dusty mówił o dawnych czasach, o rzeczach, które robili jako chłopcy, figlach, które płatali, odkryciach, których razem dokonywali, ucieczkach, które planowali, wspólnych marzeniach.

Słyszała ludzi biegnących korytarzem, ciężkie kroki sanitariuszy ze straży pożarnej, i ogarnęło ją cudownie zwariowane poczucie, że za chwilę, kiedy wpadną przez otwarte drzwi, jednym z nich będzie Uśmiechnięty Bob.

Rozdział 76.

Z chaosu wyłonił się jeszcze większy chaos.

Zbyt wiele obcych twarzy i zbyt wiele głosów mówiących naraz, sanitariusze i policjanci, szybko, lecz hałaśliwie wytyczający kompetencyjne granice pomiędzy żywymi a umarłymi.

Gdyby zamęt był chlebem, a podejrzania rybami, nie trzeba by żadnych cudów, by wydać ucztę dla mas.

Zamęt w głowie Martie pogłębiła jeszcze niezwykła wiadomość, że to kobieta w różowej garsonce strzelała zarówno do Skeeta, jak i do Ahrimana.

Przyznała się do wszystkiego, zażądała, aby ją aresztowano, lecz nie chciała podać żadnych dalszych szczegółów, choć poskarżyła się na przykry zapach, jaki wydzielały spalone włosy doktora.

Skeet, niedający żadnych oznak życia, został ułożony na wózku i powierzony opiece czterech muskularnych sanitariuszy w bieli.

Ich kitle błyszcząły osobliwie w świetle fluoryzujących lamp na korytarzu, jakby byli obrońcami piłkarskimi, którzy poszli do nieba, a teraz wrócili odziani w bardziej współczesną wersję anielskich szat.

Jeden popędził przodem, aby sprowadzić windę, jeden ciągnął, jeden pchał, jeden trzymał butelkę kroplówki i biegł obok wózka, i tak zabrali Skeeta, szybko i delikatnie, a Martie wydawało się, że ani kółka, ani ich stopy nie dotykają podłogi, jakby lecieli korytarzem, jakby nie odwozili rannego człowieka do szpitala, lecz towarzyszyli nieśmiertelnej duszy w znacznie dalszej podróży.

Po wyjaśnieniach Jennifer – i zwięzłych zeznaniach kobiety w różowej garsonce – policjanci pozwolili Dusty'emu towarzyszyć bratu.

Chwycił Martie za ramiona i przyciągnął do siebie, przytulił mocno, pocałował, a potem pobiegł za wózkiem.

Patrzyła za nim, dopóki nie skręcił w korytarz prowadzący do windy i nie zniknął jej z oczu, a potem zobaczyła, że jego ręce pozostawiły krwawe ślady na jej swetrze.

Przeszyta nagłym dreszczem Martie skrzyżowała ramiona na piersiach, przykrywając dłońmi straszne czerwone ślady, jakby dotykając tych niewyraźnych znaków mogła połączyć się z Dustym i Skeetem, czerpać od nich siłę i użyczać im swojej.

Zatrzymano ją na miejscu zbrodni.

Ponieważ policja w Malibu skontaktowała się za późno z policją w Newport, pozwoliło to ustalić związek między strzelaniną w gabinecie Ahrimana a śmiercią Erica Jaggera, wobec czego Martie i Dusty stali się ważnymi świadkami w jednej z tych spraw, a zapewne i w obu.

Detektyw był w drodze do szpitala, aby przesłuchać Dusty'ego w poczekalni, lecz policja wolała przeprowadzić wstępne przesłuchanie przynajmniej jednego z nich raczej tutaj niż gdzie indziej, raczej teraz niż potem.

Policyjny fotograf, technicy z laboratorium, przedstawiciele biura koronera, detektywi, klnąc na bałagan panujący na miejscu zbrodni, zbierali skrupulatnie dowody mimo zeznań kobiety w różowej garsonce, ponieważ mogła, rzecz jasna, odwołać je później i oskarżyć policję o wywieranie nacisku.

Jennifer została przesłuchana przy własnym biurku, lecz Martie poproszono, by przeszła z dwoma detektywami, bardzo życzliwymi i uprzejmymi, do gabinetu Ahrimana.

Jeden z nich usiadł obok niej na kanapie, a drugi w stojącym naprzeciwko fotelu.

To było dziwne, znaleźć się jeszcze raz w mahoniowym lesie z jej koszmarów, gdzie rządził Liściasty Człowiek.

Znów skrzyżowała ręce na piersiach, kładąc lewą dłoń na prawym ramieniu, a prawą na lewym, i przykrywając palcami krwawe odciski dłoni Dusty'ego.

Detektywi spostrzegli to i spytali, czy chciałaby umyć ręce.

Nie rozumieli.

Martie tylko potrząsnęła głową.

Potem, tak jak wiatr w jej haiku zwiewał opadłe liście na zachód, cała historia popłynęła z niej jednym długim strumieniem.

Nie zataiła żadnego szczegółu, choćby najbardziej fantastycznego czy nieprawdopodobnego – poza tym, że kiedy opowiadała im o Glysonach w Santa Fe, a także o Bernardzie Pastore i jego rodzinie, nie wspomniała o spotkaniu z Kevinem i Zacharym w śnieżną noc.

Spodziewała się niedowierzania i zobaczyła niedowierzanie w przymrużonych oczach i otwartych ustach, chociaż już kilka godzin po dramatycznych wypadkach wydarzyły się rzeczy, które przydały jej słowom przynajmniej odrobinę wiarygodności.

Usłyszawszy wiadomość o strzelaniu w jednym z pierwszych dzienników radiowych, przyjechał ze swego gabinetu, oddalonego zaledwie o kilka kilometrów, Roy Closterman.

Dowiedziała się, że jest w korytarzu i rozmawia z policją, kiedy jeden z przesłuchujących ją detektywów został wywołany na zewnątrz, a po powrocie przyznał wstrząśnięty, iż Closterman potwierdził jej zeznania.

Była jeszcze sprawa niezarejestrowanej beretty w zaciśniętej dłoni martwego Ahrimana.

W komputerowym archiwum nie znaleziono żadnego śladu, że psychiatra nabył tę czy jakąkolwiek inną broń.

Nie miał również pozwolenia na noszenie broni w hrabstwie Orange.

Jego wizerunek uczciwego i praworządnego obywatela doznał na skutek tych odkryć niejakiego uszczerbku.

Co ostatecznie przekonało policję, że jest to sprawa o niezwykłym charakterze, nawet w annałach kryminalnych południowej Kalifornii, to odkrycie torby z odchodami w wykonanej na zamówienie z eleganckiej skóry kaburze doktora.

Sam Sher-lock Holmes musiałby się dobrze natrudzić, by przedstawić logiczne wyjaśnienie tego zdumiewającego znaleziska.

Błękitna torba została starannie zapakowana, opieczętowana i przesłana do laboratorium, a funkcjonariusze policji zakładali się między sobą o płeć i gatunek tajemniczej osoby bądź stworzenia, którego produkt przemiany materii przechowywał doktor.

Martie nie sądziła, że będzie mogła prowadzić, ale gdy już znalazła się w samochodzie, pojechała, tak dobrze jak zawsze, prosto do szpitala.

Nie umyła rąk, dopóki nie odszukała Dusty'ego w poczekalni oddziału intensywnej opieki medycznej i nie dowiedziała się, że Skeet przeżył trzygodziną operację.

Był w stanie krytycznym, nieprzytomny, ale się trzymał.

Nawet wówczas, w damskiej toalecie, Martie wpadła w panikę i prawie przestała zmywać krew ze strachu, że pozbawiony tej więzi duchowej Skeet nie będzie mógł czerpać od niej potrzebnej siły.

Zaskoczył ją ten atak zabobonnej histerii.

Przeżywszy jednak spotkanie z diabłem, miała powód, by ulegać przesądom.

Skończyła myć ręce, gdy przypomniała sobie, że diabeł nie żyje.

Niedługo po jedenastej, ponad siedem godzin po przyjeździe do szpitala, Skeet odzyskał przytomność.

Wiedział, co się z nim dzieje, ale był bardzo słaby.

Pozwolono im porozmawiać z nim, choć tylko przez chwilę.

To wystarczyło, aby powiedzieć wszystko, co należało powiedzieć, a co członkowie rodzin mówią wszystkim pacjentom oddziału intensywnej opieki medycznej, zawsze tę samą i prostą rzecz, która znaczy więcej niż wszystkie słowa lekarzy: kocham cię.

Tej nocy zatrzymali się u matki Martie, Sabriny, która nakarmiła ich domowym chlebem i domową zupą jarzynową, a kiedy wrócili do szpitala w sobotę rano, stan Skeeta poprawił się z krytycznego na poważny.

Niezwykły rozgłos, jaki miała zyskać ta historia w środkach masowego przekazu w całym kraju, zwiastował fakt, że dwie ekipy telewizyjne i trzech znanych dziennikarzy koczowało już w szpitalu, czekając, aż pojawią się Martie i Dusty.

Uzbrojona w nakaz policja potrzebowała trzech dni, by przeprowadzić dokładną rewizję w przestronnym domu Marka Ahrimana.

Początkowo nie znaleziono nic bardziej osobliwego niż ogromna kolekcja zabawek psychiatry i w połowie pierwszego dnia wydawało się, że śledztwo może utknąć w martwym punkcie.

Rozległa rezydencja była całkowicie zautomatyzowana.

Oficerowie policji dysponujący specjalistyczną wiedzą komputerową złamali prywatny kod, który poprzednio zapewniał pełny dostęp do wszystkich elementów systemu jedynie Ahrimanowi, i niebawem odkryli istnienie sześciu ukrytych sejfów różnych rozmiarów.

Kiedy złamano kombinacje cyfrowe, okazało się, iż pierwszy sejf – w wykładanym drewnem sykomorowym gabinecie – zawiera jedynie zestawienia finansowe.

Drugi, w salonie głównego apartamentu, był większy i mieścił pięć pistoletów, dwa w pełni automatyczne pistolety maszynowe i karabin Uzi.

Żaden z nich nie został zarejestrowany i żaden nie mógł doprowadzić do licencjonowanego dostawcy broni palnej.

Trzeci sejf był małą skrytką zamaskowaną sprytnie w kominku głównej sypialni.

Tam policja znalazła dziesięciopistoletowy taurus PT-111 millennium z pustym magazynkiem, z którego, jak się okazało, niedawno strzelano.

Większe zainteresowanie zarówno kryminologów, jak i dziennikarzy wzbudził drugi przedmiot znaleziony w skrytce: zamknięty próżniowo słoik, zawierający dwoje ludzkich oczu w chemicznym płynie konserwującym.

Na pokrywce była przyklejona etykieta z wypisanym odręcznie haiku: Oczy ojca, mój słoik.

Hollywoodzki król łez.

Ja wolę się śmiać.

Wrzawa w mediach przerodziła się w burzę.

Dusty i Martie nie mogli mieszkać dłużej w domu Sabriny, który jeszcze przez wiele dni był oblegany przez reporterów.

Trzeciego dnia policja znalazła bogaty zbiór kaset wideo przechowywanych w kasie pancерnej, nieuwzględnionej na liście sejfów znanych domowemu komputerowi.

Wezwany na miejsce wykonawca oświadczył, że dołączył ten element konstrukcyjny na specjalne życzenie doktora Ahrimana po nabyciu przezeń domu.

Taśmy były cennymi pamiątkami doktora, zapisem jego najniebezpieczniejszych gier.

Była wśród nich taśma przedstawiająca Susan i jej gwałciciela nakręcona z kamery ukrytej pod

drzewkiem ming w jej sypialni.

Burza w mediach przerodziła się w huragan.

Ned Motherwell prowadził firmę, natomiast Martie i Dusty mieszkali u różnych przyjaciół, często zmieniając miejsce pobytu i zawsze wyprzedzając o krok dziennikarzy i reporterów.

Tylko jedna historia pozbawiła sprawę Ahrimana pierwszego miejsca w wiadomościach wieczornych, a mianowicie niespodziewany atak na prezydenta Stanów Zjednoczonych podczas przyjęcia w Bel Air i późniejsze zastrzelenie obłąkanego zamachowca przez tych rozwścieczonych agentów, którzy nie byli zajęci szukaniem i ratowaniem prezydenckiego nosa.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, kiedy okazało się, że zamachowiec, słynny gwiazdor kina, znał Marka Ahrimana, a co więcej, był ostatnio pacjentem kliniki odwykowej należącej częściowo do Ahrimana, huragan w mediach przerodził się w burzę stulecia.

Burza ucichła w końcu sama z siebie, ponieważ taki już jest charakter tych dziwnych czasów, że po każdym strasznym wydarzeniu, niezależnie od jego bezprecedensowego wymiaru i grozy, następuje nieuchronnie kolejne straszne wydarzenie, jeszcze bardziej niezwykle i przerażające.

* * *

Późną wiosną Skeet zakończył wreszcie rekonwalescencję i znacznie przybrał na wadze.

Kobieta w różowej garsonce, z własnej inicjatywy i bez groźby pozwu sądowego, przekazała Skeetowi siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, po odliczeniu podatków; kiedy powrócił do zdrowia, postanowił odpocząć przez kilka miesięcy od malowania domów, wyjechać w długą podróż i zastanowić się nad swoją przyszłością.

Skeet i Figa Newton zaplanowali razem wyprawę, która miała ich zaprowadzić najpierw do Roswell w Nowym Meksyku, a później do innych miejsc w poszukiwaniu śladów UFO.

Teraz, gdy Skeet odzyskał prawo jazdy, on i Figa mogliby się zmieniać za kierownicą nowego, ruchomego domu Skeeta.

Ponieważ kobieta w różowej garsonce utrzymywała, że Mark Ahriman poddał ją praniu mózgu i wykorzystywał seksualnie, powoływała się na prawo do obrony własnej.

Skeet, stwierdziła, miał pecha znaleźć się na linii jej pierwszego strzału.

Po bardzo burzliwej debacie w biurze prokuratora okręgowego została oskarżona o zabójstwo i zwolniona za kaucją.

Latem zakładano się o duże pieniądze, że nigdy nie stanie przed sądem.

Gdyby naprawdę doszło do procesu, jaka ława przysięgłych uznałaby ją za winną po jej poruszającym wystąpieniu w programie telewizyjnym, pod koniec którego Oprah uściskała ją i powiedziała: „Jesteś dla nas natchnieniem, dziewczyno”, a cała publiczność zalewała się łzami.

Derek Lampton młodszy był przez tydzień bohaterem i wystąpił w ogólnokrajowych wiadomościach, popisując się umiejętnością strzelania z kuszy.

Na pytanie, kim chciałby zostać, kiedy dorośnie, Junior odparł: „Astronautą”, co wcale nie wydawało się dziecinnyim marzeniem, ponieważ był studentem ze średnią 4,0 i zamiłowaniem do nauk ścisłych, a w dodatku pobierał lekcje pilotażu.

W połowie lata Instytut Bellona-Tocklanda w Santa Fe został oczyszczony z wszelkich podejrzeń o udział w dziwacznych eksperymentach Marka Ahrimana w dziedzinie kontroli umysłu.

Twierdzenie, że doktor pracował w instytucie lub był z nim w jakikolwiek sposób związany, okazało

się pozbawione podstaw.

„Był socjopatą – oświadczył dyrektor instytutu – i żalonym megalomanem, miernym psychiatrą, który chciał podnieść swój autorytet, powołując się na związki z prestiżową instytucją i jej pracą na rzecz światowego pokoju”.

Chociaż charakter prowadzonych w instytucie badań został opisany na różne sposoby w prasie, żaden artykuł, ani ten zamieszczony w „The New York Times”, ani w „National Enquirer”, nie uczynił go bardziej zrozumiałym.

Martie zerwała kontrakt na projekt gry wideo na podstawie „Władcy pierścieni”.

Nadal uwielbiała Tolkiena, ale uznała, że musi zająć się czymś bardziej prawdziwym.

Dusty zaproponował jej pracę przy malowaniu domów, którą na razie przyjęła.

Praca była dostatecznie prawdziwa, by pozostawiać cudowny ból w mięśniach, i dawała jej czas na myślenie.

Operacja przyszczenia prezydenckiego nosa powiodła się.

Ned Motherwell sprzedał trzy haiku czasopismu literackiemu.

Dwa losy na loterię okazały się przegrane.

Tego lata Martie i Dusty często odwiedzali trzy cmentarze, gdzie Lokaj uwielbiał buszować wśród nagrobków.

Na pierwszym przynosili kwiaty Uśmiechniętemu Bobowi, na drugim – Susan i Ericowi Jaggerom, na trzecim – Dominique, przyrodniej siostrze, której Dusty nigdy nie poznał.

Claudette utrzymywała, że zgubiła jedyne zdjęcie swojej małej córki.

Może była to prawda.

A może po prostu nie chciała, aby miał je Dusty.

Za każdym razem, gdy Dusty opisywał łagodną twarz, którą zapamiętał z fotografii, Martie zastanawiała się, czy dziecko, gdyby pozwolono mu żyć, odmieniłoby Claudette.

Być może, otaczając troską i opieką tak bezbronną istotę, stałaby się inna, nauczyłaby się współczucia i pokory.

Chociaż trudno było sobie wyobrazić, aby dziecko z zespołem Downa, poczęte z pokątnego związku Ahrimana i matki Dusty’ego, mogło okazać się błogosławieństwem, wszechświat pełen jest niezwykłych przypadków, które, kiedy przyjrzeć im się dokładnie, wydają się mieć znaczenie.

Pod koniec lipca w setnym tygodniu na liście bestsellerów „New York Timesa” książka „Naucz się kochać siebie” nadal zajmowała wysoką, piątą pozycję.

Na początku sierpnia Skeet i Figa zadzwonili z Oregonu, gdzie zrobili zdjęcie Wielkiej Stopy, które wysyłają pocztą.

Zdjęcie było zamazane, lecz intrygujące.

Pod koniec lata Martie zdecydowała się przyjąć spadek zapisany jej w testamencie przez Susan Jagger.

Po likwidacji aktywów i sprzedaży domu na półwyspie Balboa suma okazała się całkiem spora.

Początkowo nie chciała ani centa, uważając, iż są to przeklęte pieniądze.

Potem uświadomiła sobie, że mogłaby dzięki nim zrealizować swoje dziecięce marzenie, cofnąć zegar i pójść w życiu drogą, z której zawróciła niegdyś z takich czy innych powodów.

Susan już nigdy nie będzie miała szansy, aby cofnąć zegar i zostać skrzypaczką, o czym marzyła w dzieciństwie, Martie uznała więc za słuszne, by ten dar zrodzony ze śmierci stał się początkiem nowego życia.

Ponieważ Martie była zdolną studentką, już kilka lat później mogli świętować jej dyplom z weterynarii i niemal jednoczesne otwarcie kliniki dla zwierząt i schroniska dla kotów i psów.

Niewiele pozostało ze spadku, lecz niewiele też było potrzebne.

Przy odrobinie szczęścia wpływy z praktyki weterynaryjnej powinny pokryć koszty akcji ratunkowej i zostawałoby jeszcze tyle, ile zarabiał Dusty na malowaniu domów.

Przyjęcie wydali w swoim domu w Corona Del Mar, który odbudowali w ubiegłym roku na zgliszczach starego.

Nowy dom przypominał stary w każdym szczególe, łącznie z dekoracją malarską, którą Sabrina, choć ostatnio była dla nich bardzo miła, nadal uważała za błazeńską.

Z rodziny Dusty'ego zaproszony został tylko Skeet.

Przyszli z żoną Jasmine i trzyletnim synkiem Fosterem, którego wszyscy nazywali Chupaflor.

Figa i jego żona, Primrose, starsza siostra Jasmine, przynieśli mnóstwo egzemplarzy broszury reklamującej firmę, którą założyli wspólnie Figa i Skeet.

Poszukiwania Dziwnych Zjawisk prosperowały doskonale.

Jeśli ktoś chciał tropić Wielką Stopę, zobaczyć miejsca najśłynniejszych uprowadzeń przez obcych w Stanach Zjednoczonych, pomieszkać w kilku nawiedzonych domach lub przemierzać kraj szlakiem pieszych wędrówek Elvisa od czasu jego domniemanej śmierci, Poszukiwania Dziwnych Zjawisk były jedynym biurem podróży, które mogło zaspokoić to pragnienie.

Ned Motherwell przyszedł z przyjaciółką, Spike, przynosząc podpisane egzemplarze swojego ostatniego zbioru haiku.

Jak powiedział, na poezji nie można dużo zarobić, a z pewnością nie tyle, by przestać malować domy, ale daje ona mnóstwo satysfakcji.

Poza tym w swojej codziennej pracy znajdował natchnienie.

Nowy zbiorek nosił tytuł „Drabiny i pędzle”.

Luanne Farner, odnaleziona babka Skeeta, którą poznał, kiedy podróżował z Figą kilka lat temu, przyjechała aż z Cascade w Kolorado, przywożąc ciasto bananowe domowego wypieku.

Była uroczą damą, a co najważniejsze, w niczym nie przypominała swego syna, Sama Farnera alias Holdena Caulfielda starszego.

Roy Closterman i Brian przyszli z czarnym labradorem, Charlotte, a poza tym było jeszcze mnóstwo innych psów.

Piekarnia Trzy Psy dostarczyła najróżniejszych smakołyków dla czworonogów, a Lokaj okazał się hojnym gospodarzem, nawet gdy chodziło o biszkopty z chleba świętojańskiego.

Chase i Zina Glyson przylecieli z Santa Fe, przywożąc kłaczka czerwonej papryki i inne skarby Południowego Zachodu.

Ojciec i matka Chase'a odzyskali dobre imię, a w tej chwili żaden z dawnych wychowanków Szkoły Małego Króliczka nie przyznawał się do fałszywych wspomnień dotyczących molestowania.

Późnym wieczorem, kiedy goście już się rozeszli, trzej członkowie rodziny Rhodesów, z ośmioma nogami i jednym ogonem, przytulili się do siebie w ogromnym łożu.

W uznaniu swego zaawansowanego wieku Lokaj otrzymał ograniczone przywileje związane z meblami, w tym prawo do wylegiwania się w łóżku w rozsądnych granicach.

Martie leżała na plecach, a Lokaj wyciągnął się w poprzek jej stóp, czuła więc dostojne bicie jego wielkiego serca na swoich kostkach.

Dusty leżał na boku, blisko niej, i wyczuwała także spokojny, miarowy rytm jego serca.

Pocałował ją w ramię, a ona powiedziała w aksamitnej, ciepłej ciemności: – Gdyby to mogło trwać wiecznie.

– Będzie – odparł.

– Mam wszystko, czego zawsze pragnęłam, z wyjątkiem jednej dobrej przyjaciółki i ojca.

Ale wiesz co?

– Co?

– Kocham swoje życie nie dlatego, że jest snem, lecz dlatego, że jest prawdziwe.

Wszyscy nasi przyjaciele, to, co robimy, gdzie jesteśmy...

wszystko jest takie prawdziwe.

Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

– Mnóstwo-zapewnił ją.

Tej nocy śnił się jej Uśmiechnięty Bob.

Miał na sobie czarną impregnowaną kurtkę z dwoma odblaskowymi paskami, ale nie przedzierał się przez ogień.

Szli razem porośniętym trawą zboczem, pod błękitnym letnim niebem.

Powiedział, że jest z niej dumny, a ona przeprosiła, iż nie jest tak odważna jak on.

Odparł, że jest odważna pod każdym względem, który się liczy, i nic nie mogłoby ucieszyć go bardziej niż świadomość, iż przez najbliższe lata jej silne ręce będą nieść ulgę i pomoc najbardziej niewinnym stworzeniom na tym świecie.

Kiedy obudziła się ze snu w środku nocy, obecność, którą czuła w ciemnościach, była tak samo prawdziwa jak chrapiący Lokaj, tak samo prawdziwa jak Dusty u jej boku.